

IMPERIUM GŁUPCÓW

KORPOKRACJA

PAWEŁ ŚMIESZEK

PAWEŁ ŚMIESZEK
IMPERIUM GŁUPCÓW
Korpokracja

© Copyright by
Paweł Śmieszek & e-bookowo
Projekt okładki: Paweł Śmieszek
Korekta: Patrycja Żurek

ISBN 978-83-7859-496-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015
Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

Podziękowania

Rodzicom, za to, że dali mi dom, zrozumienie i czas

tak potrzebne by oddawać się pasji pisania.

Agnieszce, za to, że wspierała mój idealizm i wierzyła w sukces na każdym etapie mozolnej pracy.

Bartkowi, za rozmowy i zaangażowanie, wiarę i entuzjazm,

które wciąż utwierdzają mnie w przekonaniu, że warto.

„Spektakl ma zasadniczo tautologiczny charakter, jego środki są bowiem tożsame z jego celem. Jest słońcem, które nigdy nie zachodzi nad imperium nowoczesnej bierności. Pokrywa całą powierzchnię świata i nurza się niedbale w przestworzach własnej chwały”.

„Spektakl, pojmowany jako całość, jest równocześnie rezultatem i celem istniejącego sposobu produkcji. Nie jest dopełnieniem realnego świata, jego dekoracyjną oprawą, ale samym rdzeniem nierealności realnego społeczeństwa. We wszystkich swych poszczególnych formach – informacji lub propagandzie, reklamie lub bezpośredniej konsumpcji rozrywek – spektakl wyznacza dominujący model życia społecznego. Jest wszechobecną afirmacją wyboru dokonanego już w produkcji, a zarazem konsumpcją jej wytworów. Zarówno forma, jak i treść spektaklu służą uprawomocnianiu założeń oraz celów panującego systemu. Spektakl jest również ustawiczną obecnością tego uprawomocnienia, jako że wypełnia większość czasu spędzanego poza sferą produkcji”.

„W spektaklu nie należy dopatrywać się zwykłego nadużycia technik masowego rozpowszechniania obrazów. Jest to raczej wizja świata, która stała się rzeczywista, znalazła materialny wyraz; uprzedmiotowiony światopogląd”.

„Spektakl jest spadkobiercą całej ułomności zachodniego projektu filozoficznego [...]. Nie urzeczywistnia filozofii, ufilozoficznia rzeczywistość. Spektakl to konkretne życie wszystkich ludzi, które wyrodziło się w spekulatywne uniwersum”.

– Guy Debord, Społeczeństwo Spektaklu

Przedmowa

Większość zdarzeń, o których tutaj przeczytacie, wydarzyła się naprawdę. Odcisnęły piętno nie tylko na bohaterze, ale i na milionach innych, często niemych postaci, ludzi pokonujących własne demony z uporem i heroizmem. Ich historie są zwykle tragiczne i zupełnie nam obce. Im mniej wydają się prawdziwe, tym łatwiej są zatajane i częściej przemilczane.

Ludzie i władza toczą nieustanny bój, w którym naiwność, energia, wiara i egoizm są motorem ich działania, motywują ich lub hamują i spychają w przepaść. To właśnie o nich jest ta książka. O nich i o ludziach, którzy w tej walce jeszcze nie uczestniczą, czyli po części również o nas samych.

Mówiąc, że większość zdarzeń spisanych tu jest prawdą, nie sugeruję wcale, że reszta jest jedynie wytworem wyobraźni. Ludzie tacy jak Jerry istnieją. Żyją wśród nas i brną uparcie pod prąd. Ich opór i walka bywają treścią komentarzy, rzadziej nagłówków gazet, ale ich historie i tak zazwyczaj giną w ogłupiającym jazgocie mediów i szumie umykającego życia. To właśnie ich ucieleśnieniem jest główny bohater i to ich historie ubiera naszym kostium.

Fikcja zatem przeplata się tu z prawdą, by rozwiać anonimowość tych dzielnych ludzi i zdemaskować iluzje naszej codziennej rzeczywistości – w szkołach, na uniwersytetach, w telewizji i prasie. Mieszają się one, by podkreślić istnienie ludzi, którzy podejmując decyzje zza kulis, zniewalają nas, a tych, którzy stawiają opór, niszczą.

Fabula i bohaterzy są zatem nie tylko motorem akcji, ale również siłą napędową faktów, które przesuwają się nam przed oczami niczym scenografię nedorzecznego filmu. Są to fakty, przed którymi nauczyliśmy się bronić i które oddalamy od siebie uspokojeni złudzeniem izolacji. Zwykle nie obchodzą nas sprawy, które nie dotyczą nas bezpośrednio. Wytworzyliśmy pancierz ochronny z własnej, trudnej lub wygodnej rzeczywistości, w której nie ma miejsca na cierpienie innych.

Nasz bohater przybiera więc rolę medium chłonnego świadomości, przenoszącego nas w miejsca rzeczywiste i w te wykreowane, które dzięki historii i autentycznym wydarzeniom mogą okazać się bliższe prawdzie niż świat, który, jak sądzimy, znamy. Jerry porywa nas w rzeczywistość zbudowaną na szkieletach nagiej prawdy, która nas otacza i przed którą nie sposób się ukryć. Aby zachować siłę tej prawdy i przełamać wniesione przez nas przekonania, Jerry zabiera nas w podróż do miejsc i czasów, które powinniśmy poznać, a jeśli je znamy, odkryć na nowo.

Pejzaż, który ukazuje, nie jest jednak kompletny. Jest jedynie fragmentem rzeczywistości. Całkowity obraz zniszczenia mógłby go okaleczyć, zabić w nim to,

co istotne i zdyskwalifikować jako nośnika akcji. Prawda i fikcja mieszają się zatem, by chronić w bohaterze to, co ludzkie: siłę, wiarę i odwagę, a nam dawkować świadomość tak, byśmy mieli siłę udźwignąć jej ciężar. Od świadomości bowiem do szaleństwa dzieli nas zwykle cienka granica.

W dzisiejszych czasach stanąć twarzą w twarz z prawdą to prawdziwa odwaga. Nie zlekceważyć jej i nie przejść obok obojętnie to prawdziwy heroizm. Ostatecznie dać się prawdzie pochłonąć i stracić niewinność to cnota.

Część Pierwsza – Głupiec

I. Tabula Rasa

Gdy budzimy się rano i wszystko wskazuje na to, że nadchodzący dzień będzie prawdziwą kąpielą w szambie, bosym spacerem przez trawnik obsrany przez stado bezpańskich psów, uwierzcie mi, dzień ten najprawdopodobniej taki właśnie będzie. I nie dzieje się tak dlatego, że jakaś wredna, kosmiczna siła, niech to będzie karma, popycha nas wraz z wózeczkiem naszych nikczemnych uczynków. Dzieje się tak dlatego, że święcie wierzymy w nieuchronność losu.

W chwilach takich jak ta, gdy łatwiej jest zrzucić winę na los albo na tych, którzy go ujarzmili, by szczuć nas nim i poniżyć, zastanawiamy się, co właściwie zrobiliśmy tym ludziom i dlaczego to właśnie nas wzięli za cel. Myślimy sobie, karma to suka, przypomina sobie o nas tylko wtedy, gdy zalegamy ze spłatą – i tkwimy w idiotycznym przekonaniu, że to nie my, a ktoś inny nawala na każdym kroku.

I tak, im większa porażka, tym chętniej szukamy winnych. Im bardziej upokarzająca sytuacja, tym łatwiej odsuwamy od siebie autorstwo własnej klęski. A jednak czasami zdarzają się dni, gdy możemy dać sobie dyspensę – dni, w których podnosimy się rano i od pierwszego momentu, wdechu i spojrzenia, wiemy, że spłacamy rachunek zaciągnięty nie przez nas, a przez kogoś innego. Czasami zdarzają się dni takie jak tamten.

Wyobraźcie sobie, że podnosicie się rano z wielkim bólem głowy, ale nie jesteście jeszcze pewni, czy to kac, czy może pozostałość po wczorajszej bójce. Wyobraźcie sobie, że nie wiecie, czy krew, która tu i ówdzie usztywniła wasze cuchnące ciuchy, pochodzi z jednej z ran, którymi wykwitło wasze ciało, czy może

wręcz przeciwnie, jest odznaką chwały, herbem agresji, którą uprawialiście poprzedniej nocy. Założmy, że ciało, które próbujecie podźwignąć, jest obolałe do tego stopnia, iż z trudem odnajdujecie kończyny i zmuszacie je do heroicznego ruchu w górę. Założmy, że zwyczajny kac moralny jest pobożnym życzeniem, odległym luksusem, na który nie możecie sobie pozwolić. Macie przecież o wiele więcej na głowie niż tylko analizę własnego upodlenia. Przyjmijmy, że leżycie teraz u boku sześćdziesięcioletniej Marylin Monroe rozłożonej w pozycji „już dawno nie byłam tak rozluźniona, skarbie”, a pokój, w którym obudziliście się, nie jest żadnym bliżej znanym pomieszczeniem, a jedynie pustą przestrzenią wypełnioną oparami alkoholu i zapachem seksu. Ogarnia was poczucie zażenowania i paląca potrzeba wydostania się z potrzasku. Chcecie się uwolnić, podrywacie się z łóżka, babcia otwiera lewe oko, tętno przyspiesza i budzik, pieprzony budzik wyrywa was z tego cholernego koszmaru.

Sięgacie ręką po komórkę i próbujecie ją wyłączyć. Wiecie instynktownie, że tam jest. Przez sen, półprzytomni, nie tyle słyszycie, co czujecie, jak jęczy i charczy. Jesteście w połowie drogi z kanalizacji marzeń. Sięgacie po nią i już wiecie, że to ona jest wszystkiemu winna. Chwytnie komórkę, próbujecie wyłączyć, zaciskacie wokół niej pięść i rzucacie ją o ścianę. Robicie głęboki wdech, aby wasz mózg przyzwyczał się do braku Marylin Monroe. I w tym właśnie momencie, gdy odwracacie wzrok, wasz układ nerwowy doznaje kolejnego wstrząsu. Marylin Monroe wciąż leży obok, może nieco młodsza, może odrobinę mniej zużyta, ale wciąż tak samo rozluźniona. Nie śpi. Spogląda na was lubieżnie. Zainfekowane dziąsła i brunatnożółte uzębienie odsłaniają uśmiech, który opowiada własną historię: mężczyzn, których całowała, whisky, którą piła, crack, który paliła, zaciągając się drżącymi dłońmi. Czujecie instynktownie i po chwili jesteście pewni, że musicie być niewidoczni, bezszelestni, zupełnie jakby was nie było, jakby straciła wzrok, wiecie, że musicie się podnieść, wstać i uciec, zanim zdąży wydusić dźwięk, do którego właśnie składa usta...

– Byłeś cudowny, skarbie – szepnęła zalotnie, wtulając się w mój nagi tors.

– Byłem? – spytałem głupio.

– Nie bądź taki skromny, złotko. Nie miałam takiego rżnięcia, odkąd zaczęłam się dobrze prowadzić.

Kłamała. Nie winię jej. Takie kobiety nie prowadzą się dobrze. Dają się prowadzić, a potem parkują z powrotem na miejscu, chodnik przed monopolowym, cztery płyty na prawo od wejścia.

Tak, zdecydowanie lepiej wyjść, zanim powie coś, czego wołałbym nie wiedzieć. Na samą myśl o dotykaniu jej, włos jeży mi się na głowie.

I co dalej? Niby wszystko w porządku, niby wszystko w normie. Wstaję, ubieram się, a ona patrzy na mnie kocim wzrokiem, śledząc moje dłonie walczące z rozporkiem. I właśnie wtedy, kiedy wydaje mi się, że opanowałem sytuację,

kiedy myślę, że udało mi się cudem umknąć śmierci, wyssania przez miss zombie, narzucam bluzę, podchodzę do lustra i dostrzegam w nim gościa, którego nie rozpoznaję.

Ma średniej długości zaczesane do tyłu ciemne blond włosy i twarz ukrytą pod kilkudniowym zarostem. Wygląda na zmęczonego, trochę zaniedbanego, jakby kradł całą noc batoniki z maszyny przed motelem. Jasnoniebieskie, prawie szare oczy podpowiadają, że jest dobrym facetem, chociaż mogę się mylić, w końcu kradł te batoniki. I wtedy właśnie zadaję sobie pytanie: kim jest gość w lustrze? No właśnie. Nie wiem.

W taki właśnie sposób rozpoczął się tamten dzień. Który? Tamten. Dla mnie pierwszy, dla niego ostatni. Dlaczego rozdzielał siebie od niego? Spójrzmy prawdzie w oczy, on i ja to dwie zupełnie inne osoby. On jest tam, za zakrętem, przykucnięty trzyma cienką nitkę czasu przywiązaną na drugim końcu do mojej nogi i tylko czeka na odpowiedni moment, żeby szarpnąć i mi dowalić. Pociąga lekko, od czasu do czasu nadając morsem litanie parszywych uczynków, wybuchających mi w twarz z opóźnionym zapłonem. Chce, żebym się potknął, przewrócił, zatrzymał i zastanowił, ale ja nie mam zamiaru. Co to to nie. Kimkolwiek był, jest tam, a ja tutaj. Zostawił mnie samemu sobie, poza zasięgiem sumienia i zobowiązań, skazanego na wierzycieli, alimenty i urząd podatkowy, mimo że jestem przecież czysty jak łza, niewinny jak szata komunijna, dziewiczy jak czysta tablica, na której mogę zapisać, co mi się żywnie podoba.

Tak więc reasumując, tabula rasa: nic nie pamiętałem, nie wiedziałem, gdzie jestem, nie wiedziałem, kim jestem, i nie zastanawiałem się nawet, dlaczego mi to nie przeszkadza.

Wyszedłem na ulicę z cuchnącego motelowego pokoju. Nieprzyjemny, mroźny podmuch przetoczył się po ciele, przyklejając przeupoconą, zakrwawioną koszulę do piersi, ramion i pleców. Zadrżałem.

Przede mną rozpościerał niewyszukany widok na pusty parking, za nim chodnik i przystanek autobusowy. Dalej rozciągała się dwupasmowa droga, biegnąca równoległe do ściany frontowej motelu. Za jezdnią rozciągało się wzniesienie pokryte szarą trawą, łysymi drzewami i krzakami.

Była zima. Wiatr dmuchnął, wgrzyzając się w skórę. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wrócić. Wystarczyło wejść do środka i zamknąć drzwi.

Kawa i gorący prysznic były na wyciągnięcie ręki. Intymna chwila w zamkniętej kabinie i mała czarna z cukrem zdawały się mieć magiczną moc. Walczyłem z tą myślą najwyżej pięć sekund, bo moją uwagę przykuła nieco inna mała czarna.

Jedna z dobroduszych dziewcząt zaparkowanych przy jezdni po prawej spostrzegła moje wahanie, poprawiła futerko, unosząc wystawione na chłód piersi i ruszyła mi na ratunek. Jej ciemne oczy i kakaowa cera przywodziły na myśl starą,

zastygłą kawę, ani do końca czarną, ani wybieloną, z całą pewnością niestrawną.

– Czy wyglądam aż tak źle? – pomyślałem.

Piętnastodolarowa piękność uśmiechnęła się, lekceważąc wyraz zdegustowania na mojej twarzy i przyspieszyła kroku. Wyglądała na czterdziestkę. Po kilku krokach na pięćdziesiątkę. Poczulem się jak ktoś zupełnie wyjątkowy.

Nagle zza rogu po prawej dobiegł pisk. Szara, zdezelowana furgonetka wyrzucona siłą odśrodkową wpadła w poślizg i runęła na jednokierunkową prowadzącą pod motel. Miała przyciemniane szyby, przerdzewiałe srebrne błotniki i nadpobudliwego kierowcę, który zdierał asfalt z nonszalancją Jamesa Deana. Imponowanie dziwkom musiało być jego życiową ambicją. Dziewczyny z porannej zmiany nie wyglądały na zainteresowane. Jedna, stojąca z czekoladową czterdziestką poprawiła biustonosz, powiększając zapraszający gruzlicę dekolt, splunęła pod koła przejeżdżającego obok rowerzysty i odwróciła się w przeciwnym kierunku. Druga, zdeterminowana, wciąż uparcie kroczyła w moją stronę. Mimowolnie pomyślałem o portfelu.

– No tak, portfel – wymruczałem do siebie. – Wypadałoby sprawdzić, kim jesteś.

Kierowca furgonetki wyminął zaparkowanego pick upa, przyspieszył i opanował pojazd, zarzucając tylnym zderzakiem na boki. Wyprostował i nacisnął hamulec zmuszając opony do kolejnego pisku. Długi, czarny ślad zdartej gumy kończył się tuż przede mną.

Spojrzałem na kierowcę i jego niedogoloną, kwadratową szczękę. Układał w myślach jakieś zdanie.

Czekałem przez chwilę z nadzieją, że ruszy do przodu. Kątem oka widziałem, że moja randka zbliżyła się na niebezpieczną odległość.

– Jeśli potrzebujesz wskazówek, lepiej kup mapę – rzuciłem w stronę kierowcy. Byłem poirytowany.

Kac zdążył już dojrzeć i siał spustoszenie. Nie miałem ochoty na rozmowy, zwłaszcza że nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Poza tym jego gęba nie wróżyła niczego dobrego. Ruszyłem w lewo, chcąc go wyminąć, i tylko na moment mój wzrok zatrzymał się na twarzach w szoferce. Coś mnie tknęło. Zupełnie jakbym już gdzieś widział te gęby.

Gość za kierownicą spojrzał na mnie, jakbym ćwiczył na nim esperanto. Obrócił się w stronę pasażera, który z równie elokwentnym wyrazem twarzy wzruszył ramionami. Nagle wewnątrz pick upa coś się poruszyło, coś stuknęło o blachy i zakłęło głośno. Odwróciłem wzrok tylko na moment. Pasażer z przedniego siedzenia wyparował. Pomyślałem, że wbił się na tył, sprawdzić, co jest grane. Przez moment zapomniałem o irytacji i zbliżającej się adoratorce. Mój wzrok przyssał się do twarzy mężczyzny. Byłem pewny, że gdzieś go już widziałem.

Nagle kierowca obrócił się, dał znak komuś w tyle i chrząknął. Drzwi furgonetki rozsunęły się. Dwójka niezamaskowanych, całkowicie rozpoznawalnych zbirów wciągnęła mnie do środka.

– Ani słowa! – ryknął grubas, szarpiąc się ze mną, jakbym był workiem gnoju. Dyszał przy tym ciężko. Nie był w najlepszej formie. Męczył się, prawie mu współczułem.

– Na miłość boską! – usłyszałem głos z tyłu. Na twarzy pasażera, unoszącej się nade mną, malowało się zażenowanie.

– Pomożesz mi Cliff, czy jak? – Grubas szarpnął mocniej, dzięki czemu mogliśmy razem runąć na podłogę. Był dość niezdamny. Drugi zresztą również. Spięcie moich nadgarstków opaską samozaciskową okazało się sporym wyzwaniem. Z nogami poszło im lepiej, ale też mieli problemy. Dopiero gdy Gruby usiadł na mnie, chudy mógł zapoznać mnie z linką.

– Ile razy mam ci powtarzać?! – ryknął. – Bez imion, kurwa, bez imion!

Niezamaskowany, przedstawiony oficjalnie Cliff najwidoczniej nie przepadał za kolegą. Na jego twarzy, podobnie jak na twarzy grubego, nie było ani kominiarki ani pończochy, ani nawet chusty, tak nieocenionych w podobnych sytuacjach. Pomyślałem, że nie wróży to dobrze ani mnie ani ich kryminalnej karierze.

– Gdzie macie rajtki, chłopaki? – zapytałem. Wciągnęli mnie do środka więc wypadało zagadać. – Nie boicie się, że ktoś was rozpozna?

– Drugi raz nie uciekniesz – syknął Cliff.

– Dlaczego bandziory zawsze muszą wciągać ludzi do furgonetek? – spytałem. – Muszę przyznać, że jesteście wyjątkowo mało oryginalni.

– Stul ryj! – ryknął gruby. Obrócił się, podniósł i wsunął głowę między siedzenia. Kierowca toczył walkę z zapłonem.

– Co jest, do kurwy nędzy?! – wrzasnął jeszcze głośniejszy gruby. Kierowca spojrzał na niego, napiął się poirytowany i wrócił do piłowania rozrusznikiem.

– Nie mogę odpalić – krzyknął znad kierownicy.

– Pomocy – szepnąłem nieśmiało.

– Co on, kurwa, znowu kombinuje? – usłyszałem głos z tyłu. Postać przesunęła się na przód furgonetki i stanęła nade mną niczym kat. Kiedy podniosłem wzrok, zrozumiałem dlaczego się chował. Miał metr dwadzieścia w butach i zdeformowaną twarz. O mało nie parsknąłem śmiechem. Myślę, że tak reaguję na strach i na komicznych twardzieli.

– Coś z rozrusznikiem! – wrzasnął kierowca.

Karzeł trzymał w ręku taśmę izolacyjną. Rozciągnął ją, oderwał kawałek i z błyskiem w oku nachylił się nade mną.

– Pomocy! – krzyknąłem, próbując dopasować tembr do skrzeku karła. Nie spodobało mu się to. Kopnąłem energicznie w drzwi, a potem powtórzyłem to

jeszcze dwa razy. Pokurcz sięgnął za kurtkę i wyjął zza pazuchy ogromny pistolet. Przyłożył mi zimną lufę do skroni i uśmiechnął się. To był paskudny, szeroki uśmiech. Przypominał ropuchę wyduszającą skrzek.

Wnętrze pojazdu było dość schludne. W powietrzu unosił się delikatny aromat brudnych skarpetek, ropy i nieświeżego oddechu. Podłoga wyścielona była niegrubym dywanikiem o włosiu przyjemnym w dotyku, a kolor butów grubego doskonale komponował się z gównem, w które wlażł ten drugi, szczuplejszy bandzior.

– Brzydzą się przemocą – wyznał mały, spoglądając na mnie z góry. – Ale nie pozostawiasz nam wyboru – nachylił się, przyjrzał mi się dokładnie, po czym z sadystycznym uśmiechem kopnął z całej siły w żebra. Nagły ból rozlał się po moim ciele, blokując na moment rozbiegane myśli. Chciałem go zapamiętać. Musiałem zapamiętać. Wiedziałem, że kiedyś zabiję tego karła, a do tego potrzebowałem pamięci, która najwyraźniej nie była moją najmocniejszą stroną.

Dołożył mi jeszcze ze dwa razy, zanim się uspokoiłem. Potem przypomniał sobie o taśmie w dłoni, przycisnął kolanem moją klatkę i zakleił mi usta. Tymczasem kierowca wyszedł na ulicę, otworzył maskę i wymienił kilka kwiecistych uwag pod adresem silnika. Potem opuścił ją, wrócił za kierownicę, odmówił modlitwę, przekręcił kluczyk i zalał świece do końca.

– Do kurwy nędzy, Bobby! – warknął karzeł. – Ruszysz, czy mam przenieść tę kupę złomu na plecach?! – Pokurcz wydawał się być coraz bardziej poirytowany.

Zerknął na mnie nerwowo, jakby szukał pocieszenia. Uśmiechnąłem się do siebie i tylko przytaknąłem w geście solidarności.

– Melvin! – Kierowca o małpiej twarzy odwrócił wzrok w naszą stronę. – Suki! Jezu! Co robimy?!

– Wiedziałem! Do chuja, wiedziałem! – Cliff syknął, uderzając w coś pięścią...

I w tym momencie przerwę – dla objaśnienia sytuacji.

Otóż ja, na tym etapie wciąż bezimienny, leżałem na podłodze furgonetki. Nade mną stał Melvin, którego imię wspaniałomyślnie zdradził kierowca Bobby. Był z nami jeszcze Cliff, to ten, który siedział na miejscu pasażera. Był trochę strachliwy i czułem, że zaczął się pocić. Nogi trzymał mi gruby, wciąż jeszcze nieznanym z imienia. Tak. To by było na tyle. A teraz kontynuujmy.

– Spokojnie panowie... – Melvin zdawał się być opanowany, ale krótki sygnał syreny wytrącił go z równowagi.

– Przepchnijcie pojazd! Powtarzam, przepchnijcie pojazd na pobocze! – gлина z megafonem brzmiał jak naganiacz obwoźnego cyrku. – Tamujecie ruch!

– Cliff, Mike! – rzucił mały. – Wyskakujcie z Bobbym i przepchajcie nas z tych pieprzonych pasów.

Zanim zdążyli się ruszyć, skorzystałem z okazji i zacząłem mocniej

wierzgać. Zdołałem kopnąć w tylną ściankę furgonetki. Sygnał syreny rozbrzmiał ponownie. Słyszałem wyraźnie dźwięk zatrzymującego się za nami radiowozu. Karzeł zacharczał i nadepnął podeszwą na moje gardło. Gruby Mike przycisnął mocniej moje nogi w kostkach.

- Przewozicie coś w środku? – usłyszałem głos gliniarza na zewnątrz.
- Nic przyjemnego – odparł kierowca. Bobby zdawał się być opanowany.
- Dokumenty i karta wozu – glina rzucił znudzonym głosem.

Cliff przeszedł na przednie siedzenie, żeby pomóc Bobbiemu. Przekopał schowki, boczne kieszenie i w końcu zlokalizował papiery dla kierowcy.

- Dzień dobry, panie władzo – Cliff zapiał falsetem.
- Proszę wyjść z wozu i otworzyć bagażnik – powiedział glina.
- No dobrze, ale uprzedzam, to nic przyjemnego – odparł Bobby.
- Słucham?
- Mam tam tylko kilka pustych klatek i dwa przejechane kocury.
- Proszę wyjść i pokazać.

Pechowy szofer wyszedł na jezdnię i stanął na wysokości drzwi po mojej lewej.

- Jak pan chce – powiedział.

Drzwi furgonetki rozsunęły się minimalnie i włochata łapa kierowcy podniosła niewielki plastikowy worek, leżący tuż przy mojej twarzy. W tym samym momencie subtelny do tej pory zapach zmienił się w dojrzały smród rozkładającego się ścierwa. – Jadę właśnie pozbyć się tego zucha – Bobby wysunął na zewnątrz worek i zademonstrował tak, by policjant mógł zobaczyć, powąchać, cofnąć się i może nawet wyrzygać. Glina, rzecz jasna, nawet nie drgnął. Spojrzał na kierowcę znad wąziutkich wąsów i powolnym ruchem dłoni odsunął od siebie ramię zakończone trupem. Mogłem to zobaczyć tylko dlatego, że uchylone przez kierowcę drzwi zaczęły się rozsuwać, powoli, niemal bezszelestnie niczym w idiotycznej scenie z komedii omyłek.

– Pan otworzy drzwi i pokaże te zwierzaki – powiedział policjant, zanim moja twarz zdążyła ukazać się w ciemnym wnętrzu furgonetki.

– Pan funkcjonariusz chce zobaczyć rozjechane zwierzęta? – Bobby tracił pewność siebie.

– Frank! – Policjant obrócił się i krzyknął do kogoś w radiowozie. – Skończ wpierdalać tego pączka i chodź pomóc.

Z przodu, ku zaskoczeniu kierowcy, rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Latynos spojrział na uciekającego wzdłuż drogi Cliffa i odruchowo sięgnął po broń. Gruby Mike puścił moje kostki, skinął na gotowego już karła i ruszył. W tym samym momencie furgonetka poruszyła się, drzwi rozsunęły się do końca, a ja ukazałem się w pełni okazałości. Glina z wąsem wyjął broń i wycelował w stojącego przed nim Bobbiego.

– Na kolana i ręce za głowę! – rozkazał. – Odsuń się od wozu i ręce za głowę – krzyknął. Potem zrobił krok w tył i odbezpieczył pistolet.

– Frank, goń tego gnoja! Mamy tu niezłą akcję! – dodał.

Nie wiem, czy chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Boczne drzwi rozsunęły się do końca i ze środka wyskoczył Mike. W dłoniach zaciskał wielki kij bejsbolowy. Gruchnął nim po przegubach gliny. Pistolet opadł z brzękiem na jezdnię a tuż za nim twarz funkcjonariusza. Obróciłem się na bok. Mike jak opętany okładał glinę po plecach.

– Przestań Mike! – wrzasnął Melvin. – Bob, spierdalamy!

Bobby rozejrzał się, dostrzegł coś za furgonetką i zerwał się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Krzyk drugiego policjanta rozległ się od strony radiowozu. Mike wciąż tłukł glinę leżącego na jezdni, pomagając sobie zamaszystymi kopnięciami. Huk wystrzału rozdarł powietrze i gruby Mike zachwiał się. Przyłożył dłoń do piersi, podniósł ją zakrwawioną i zatrzymał nieruchomo na wysokości twarzy. Przez moment próbował utrzymać równowagę, zataczając się i rozglądając na boki. Spojrzał na nas z głupkowskim zdziwieniem, jakby nie wierzył, że ktoś odważył się do niego strzelić, a potem runął na asfalt, uderzając głową w próg rozsuwanych drzwi.

Melvin zaklął po cichu. Przycisnął mocniej lufę do mojej skroni i szepnął.

– Odezwij się. Tylko się odezwij – syknął.

Spojrzał głębokimi czarnymi ślepiami w moje oczy, przeskoczył na przednie siedzenie i po cichu uchylił otwarte przez Cliffa drzwi. W tym samym momencie drugi policjant krzyknął i oddał strzał ostrzegawczy.

– Stój, bo strzelam! – wrzasnął w kierunku Bobbiego. Jego głos drżał. Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do biegnącego wzdłuż chodnika kierowcy. Do furgonetki podszedł bezpański kundel. Zatrzymał się przy zalanym krwią policjancie, obwąchał go, zawarczał i przeszedł dalej.

– Co z tą karetką, do diabła?! – mundurowy warknął do krótkofalówki.

Na krótki moment Bobby zniknął z jego świadomości. Melvin również mu umknął, zapewne przeklinając w myślach posranego ze strachu Cliffa. Tymczasem w otworze rozsuniętych drzwi zobaczyłem go w całej okazałości: tłusty, nieprzyzwoicie spocony glina z trudem podnosił się z pozycji klęczącej. Otarł czoło i pokiwał głową. Minęło kilka długich sekund, zanim jego wzrok mnie uchwycił.

– A ty to, kurwa, kto? – powiedział, zaciskając z wrazenia kciuk na krótkofalówce.

Gdybym mógł, uśmiechnąłbym się. Spojrzałem tylko w kierunku drzwi pasażera. Otwarte na oścież zdradzały drogę ucieczki karła. Sznur samochodów jadących z naprzeciwka musiał zapewnić mu osłonę w ucieczce. Na jego nieszczęście sygnał kolejnych radiowozów rozbrzmiewał z kierunku, w którym

zmierzał. Miałem nadzieję, że nie zauważą go, dokładnie tak, jak nie zauważa się psów, gdy kierowcy nie chce się ruszyć kierownicą.

* * *

Wchodząc do ociekającego sennością komisariatu, pomyślałem o emerytowanej Marylin Monroe. Co robi teraz, o tej porze? Co może robić emerytowana Marylin Monroe? Myśl ta była najdalszym wspomnieniem, przy którym mogłem zakotwiczyć ciekawość: zęby Marylin Monroe i wyraz jej twarzy. Musiałem przyznać sam przed sobą, że zaczynało mnie to niepokoić.

– Tędy – zachęcił młody funkcjonariusz. – Proszę usiąść – wskazał na krzesło w przyciemnionym żaluzjami holu. – Zaraz ktoś się panem zajmie, panie Dawson.

W poczekalni obok siedział pobity chłopak z dziwną siatką spinającą włosy na głowie. Gniewne latynoskie spojrzenie podpowiadało, że matka, którą kocha nad życie, nie spisała się najlepiej. Brązowa pończocha naciągnięta na skroń w założeniu miała odstraszać innych samców, a jednak siniak pod opuchniętym okiem nadawał mu wygląd pobitej żony. Czy tak stylizują się tutejsze gangi? Z trudem zdławiłem cisnący się na usta uśmiech.

– Proszę za mną – powiedział młody, około trzydziestoletni gość. Był wysoki i dobrze zbudowany. Typowy hollywoodzki produkt. Nieprzyzwoicie przystojny, jak z reklamy. Kiedy doszliśmy do biurka, wskazał na krzesło, usiadł i wyjął notes. Hollywoodzki potwór, blond twardziel o twarzy dziecka z notatnikiem w dłoni wydawał się mimo wszystko życzliwy.

– Miło znów pana widzieć – powiedział po dłuższej chwili i uśmiechnął się.

– Wzajemnie – odparłem, starając się nie zdradzać, że go nie rozpoznaję. – Może przejdziemy do rzeczy?

– W porządku – rzucił. – Wiem, że jest pan zmęczony i na pewno chce pan wrócić do domu, ale jeśli mamy złapać tych, którzy to panu zrobili, musimy teraz zebrać więcej informacji.

Otarłem ręką czoło i odruchowo wsunąłem dłoń do kieszeni. Nie znalazłem pudełka papierosów. Znalazłem za to odruch.

– Palę – westchnąłem. – Pięknie, kurwa... Do tego wszystkiego muszę rzucić palenie.

– To straszny nałóg, wiem – powiedział laleczka. Wyjął z szuflady paczkę Marlboro i poczęstował mnie jednym. – Niech pan zatrzyma – powiedział i położył przede mną paczkę. – Przydadzą się panu. Przynajmniej dopóki pan nie rzuci.

Zaciągnąłem się i zakaszlałem, czując pieczenie w krtani.

- Albo masz raka, albo jednak nie palisz – pomyślałem.
- Panie Dawson – powiedział po dłuższej chwili – podczas wstępnych zeznań powiedział pan, że nie wie, kim byli napastnicy i nie ma pojęcia, w jakim celu próbowali pana uprowadzić.
- Zna mnie – pomyślałem.
- Panie Dawson? – powtórzył.
- Tak? No, tak. Jasne. Napastnicy – powtórzyłem tępo.
- Powtórzyć pytanie?
- Proszę.
- Pytałem, czy rzeczywiście nie wie pan, dlaczego ktoś chciał pana uprowadzić?
- Cóż... Panie...
- Detektywie – poprawił.
- Panie detektywie. – Uśmiechnąłem się. – Powody uprowadzeń sprowadzają się zwykle do jednej z trzech rzeczy: zabójstwo, okup lub wydobycie informacji z zabójstwem w pakiecie.
- No tak... – Laleczka westchnął. Najwidoczniej nie spodobało mu się moje nastawienie. – A te siniaki i krew na pańskim ubraniu?
- Co z nimi?
- O to właśnie pytam. Czy to jest pańska krew?
- Czy to moja krew?
- Tak. Nie rozumie pan pytania?
- Rozumiem. Tak. To moja krew. Zostałem napadnięty, pobity, zakneblowany i związany. To chyba normalne, że trochę krwi rozlało się tu i tam.

Detektyw zmierzył mnie wzrokiem, który mówił, że stać mnie na więcej. Nachylił się do przodu, złożył dłonie w piramidkę na wysokości ust i zamilkł.

- Niech pan posłucha – kontynuowałem. – Mówiłem już, że ściągnęli mnie siłą z ulicy. Pewnie wzięli mnie za kogoś, kim nie jestem. Spuścili łomot, a potem pojawiła się kawaleria. Kiedy drugi funkcjonariusz zdecydował się w końcu włączyć do zabawy, uciekli. To wszystko. Tyle wiem na ten temat.
- No dobrze. Ale to nie wyjaśnia zaschniętej krwi na pańskiej koszuli. Będziemy musieli wziąć ją do analizy.

Nie odpowiedziałem. Miał zupełną rację. Od początku bałem się, że zauważy ten niekoniecznie drobny szczegół. Cokolwiek robiłem poprzedniego dnia, nie było zwykłym spacerem po parku.

- Czy jest ktoś, do kogo może pan zadzwonić? Potrzebne będą panu ubrania na zmianę.
- Po co?
- Cóż. Nie chcemy chyba, żeby chodził pan obryzany krwią po ulicach?

Poza tym, jak już mówiłem, nie może pan wyjść w tej koszuli. Ona zostaje tutaj.

– W porządku. Wystarczy kurtka. Czy potrzebujecie mnie do czegoś jeszcze?

Laleczka czekał chwilę z odpowiedzią.

– Niech pan powie – odezwał się. – Ten Melvin, o którym pan wspominał, składając wstępne zeznania, czy to ten sam mężczyzna, którego widać na zdjęciu?

– Podsunął mi pod nos teczkę z portretem karła. Na zdjęciu lekko uśmiechnięty Melvin trzymał pod brodą tabliczkę z numerem członkostwa w policyjnym fanklubie dla zawodowo aktywnych.

– Tak, to ten sam – potwierdziłem.

– W takim razie mamy punkt zaczepienia. Niech pan zaczeka. – Wstał i ruszył w stronę korytarza. Zatrzymał się na moment przy koleśku siedzącym dwa biurka za nami, powiedział coś, a tamten wstał, podszedł do mnie i usiadł na miejscu detektywa. Był przysadzisty, o wysokim czole i przyszytych równo gęstej brodzie. Przyglądał mi się przez chwilę kąpiącym wzrokiem, jakby chciał, żebym coś powiedział, rozpoznał go albo przeprosił. Potem wziął do ręki teczkę ze zdjęciami i przekartkował ją, kręcąc głową. Zanim Kpiący zdecydował się odezwać, Laleczka znów się pojawił. Dał znak koledze, tamten wstał i każdy wrócił na miejsce.

– Proszę rzucić okiem – powiedział, stając nade mną po drugiej stronie biurka. – Czy rozpoznaje pan któregoś? – Wyjął papierosa, zapalił i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Ten – powiedziałem w połowie pierwszej teczki. – I ten też – wskazałem chudego Cliffa i kierowcę.

– No to mamy komplet – rzucił zadowolony. – Tych dwóch znamy dość dobrze. Nie są może geniuszami zbrodni, ale do świętych też nie należą.

– Czy to wszystko? Mogę już iść?

– W zasadzie... – przyznał, spoglądając jeszcze raz na splamioną krew koszulę. – Nie widzę potrzeby, żeby zatrzymać pana tutaj. Musi pan jednak liczyć się z tym, że jest pan niewygodnym świadkiem.

– Jestem świadom. Coś jeszcze?

– Cóż... Z uwagi na dobro śledztwa zaleciłbym panu zostać w mieście, ale tak naprawdę dopóki nie znajdziemy ich wszystkich, nie jestem w stanie zapewnić panu bezpieczeństwa. Mógłbym oczywiście postawić radiowóz przed pana domem, ale to może okazać się niewystarczające. Tak więc najlepiej będzie, jeśli zaszyje się pan gdzieś i nie będzie wychylał przez jakiś czas. Przynajmniej dopóki nie złapiemy pozostałej trójki.

– W porządku. Zrozumiałem. – Podniosłem się, gotowy do wyjścia.

– Nie zapomniał pan o czymś?

– Słucham?

– Koszula. – Wskazał na biurko. – Proszę zostawić ją tutaj.

Zdjąłem ją i zawiesiłem na krześle. Skinąłem, zapiąłem kurtkę i wyszedłem.

Cieszyłem się, że nie zapytali, kim jestem, ani nie dochodzili, jak się tam znalazłem. Wyglądało na to, że wystarczyły im dane z prawa jazdy i rozmowa, którą najwidoczniej odbyliśmy.

W portfelu, który do mnie należał, oprócz prawa jazdy znalazłem dokumenty wozu i kilka kart debetowych. Dopiero po wyjściu z komisariatu mogłem przyjrzeć się im, próbując zidentyfikować siebie.

Według plastikowego prostokąta w dłoni nazywałem się Jeremy Dawson. Mieszkałem w apartamencie przy Panama Street 29. Oprócz dokumentów ukrytych w portfelu, w kieszeni kurtki znalazłem jeszcze kwit ze strzeżonego parkingu. Był na nim mandat, koszt holowania i przede wszystkim data utraty samochodu. Z pomiętego świstka papieru wywnioskowałem, że ford tkwił na policyjnym składowisku już co najmniej dwa dni. Nie mogłem być pewien, czy nie rozstałem się z nim o wiele wcześniej, ale na początek ta informacja wystarczyła. W portfelu, między trzema prawie pustymi przegródkami, znalazłem kilka dolarów i stare paragony. Zasobność portfela mogła oznaczać, że byłem „pod kreską” albo, co zgadzałoby się z kwitem z policyjnego parkingu, że przez ostatnich kilka dni korzystałem z taksówek. W końcu żaden Amerykanin przy zdrowych zmysłach nie posuwa się do korzystania z transportu miejskiego, jeśli nie jest naprawdę zdesperowany. Zdesperowany raczej nie byłem, chociaż gdyby ktoś spotkał mnie wtedy, mógłby spokojnie wziąć za bezdomnego: kilkudniowy zarost, brudne, pogniecione ubranie, siniaki na twarzy i drobne rozcięcia na czole mówiły same za siebie.

Po wyjściu z komisariatu skierowałem się w stronę banku wciśniętego między muzeum i obskurną pizzerią na rogu. Wsunąłem kartę do bankomatu i rozejrzałem się dokoła. Czuję się jak złodziej okradający krewnego. Jakaś kobieta ustawiła się za mną i czekała cierpliwie, aż skończę. Na ekranie bankomatu SkyNet zażądał PIN-u. Zakląłem, wałnąłem pięścią w klawiaturę i zrezygnowany oparłem głowę o obudowę. Czterocyfrowy język kodu był poza zasięgiem. Na szczęście bank znajdował się tuż obok, a kobieta w okienku wykazała się większą wyrozumiałością niż automat. Wystarczyło moje prawo jazdy i spojrzenie na zmarnowaną twarz.

Wybrałem dwieście czterdzieści dwa dolary z konta, wyszedłem na chodnik i zatrzymałem taksówkę. Kierowca włókł się leniwie przez poranne korki, skrzyżowania i wąskie jednokierunkowe ulice, jakby wyczuł, że nie wiem, gdzie jedziemy i celowo wybrał okrężną trasę. Parking znajdował się dość daleko, więc kiedy mój nowy hinduski przyjaciel zatrzymał się przed składowiskiem złupionych wozów, byłem lżejszy o okrągłe pięćdziesiąt pięć dolarów.

Pracownik parkingu okazał się bardzo pomocny, pomógł nawet otworzyć

łomem zgniecione od strony kierowcy drzwi. Cokolwiek uderzyło w samochód, nie było żadnym monstrem. Cały bok od strony pasażera był sprasowany i porysowany, zupełnie jakby po uderzeniu auto wpadło w poślizg, zatrzymało się na ścianie i ponownie ruszyło, zdzierając lakier o beton. Silnik chodził bez zarzutu, a wewnątrz było nienaruszone i tylko boczna szyba kierowcy była podejrzanie nisko opuszczona. Przekopałem schowek w poszukiwaniu wskazówek, ale jedyne co znalazłem, to notes z adresami i rozładowana komórka.

Kiedy jechałem w stronę mieszkania, czułem delikatny przyływ ekscytacji. Byłem jak nastolatek zmierzający po spadek. Mogłem odziedziczyć penthouse albo obskurną norę. Wydruki z banku nie napawały optymizmem, ale miałem nadzieję, że to, co zastanę na miejscu, nie okaże się pijacką meliną.

Stałem w wąskim, mrocznym korytarzu na parterze i zatrzasnąłem drzwi. Zza progu mieszkania po prawej, w głębi korytarza, wyłonił się czyjś zgarbiony profil. Podeszedłem bliżej, przyglądając się zbliżającemu się starcowi, który dokuśtykał z trudem do schodów, wsparł się o balustradę i zagroził mi drogę na górę czarną, drewnianą laską.

– Czynsz, panie Dawson. Wie pan co to takiego? – wycharczał w moim kierunku.

Starłem się nie wpatrywać w jego szklane oko, ani nie spoglądać na sztywną, jakby trochę dłuższą lewą nogę, ale widziałem go wtedy po raz pierwszy i wydawał się fascynująco groteskowy.

– Czy pan mówi do mnie, czy do kogoś obok? – spytałem, przyglądając się perle w lewym oczodole.

Była jaśniejsza od lewego oka, jakby starła się od wieloletniego mrugania. Mężczyzna wsparł się drugą dłonią o balustradę, żeby utrzymać równowagę. Zastanawiałem się, jakim cudem udawało mu się jeszcze egzekwować czynsz od kogokolwiek. Ominąłem go, wszedłem kilka stopni wyżej i stanąłem, patrząc, jak z trudem obraca się w moją stronę.

– Do pana mówię, a do kogo, do cholery, miałbym mówić?

Wyciągnąłem z portfela trzy pięćdziesiątki, zszedłem niżej i wcisnąłem je do kieszeni starca.

– To za dzisiejszy dzień. Jutro będę miał resztę pieniędzy.

– Jutro, jutro. Zawsze tylko jutro. Czy wy nie znacie innego słowa? – wycharczał poirytowany.

Ruszyłem na górę, sięgając po klucz. Oczywiście nie było go w żadnej kieszeni.

– Nie ma pan czasami zapasowego klucza? – krzyknąłem w dół, wychylając się przez barierkę.

– A po cholere ci klucz? – warknął. – Przecież wiesz, że muszę wymienić zamek na nowy! Przez te twoje machloje znów zdemolowali mi lokal –

wycharczał. Zanim zdążyłem stanąć przed moim „lokałem”, trzask zamykanych drzwi potwierdził koniec rozmowy.

Przekręciłem gałkę drzwi i lekko je pchnąłem. Wewnątrz było ciemno. W powietrzu unosił się słodkawy odór metanu z domieszką stęchlizny. Zepsute jedzenie, niewyrzucone śmieci – melina, moje mieszkanie, mój apartament. Wąski przedpokój prowadził do otwartego salonu. W przyćmionych prześwitach między zasłonami skrzył się słaby blask zimowego słońca. Na stole dojrzałem resztki pizzy i muchy krążące nad pudełkiem. Były tłuste i leniwe. Wydawały jednostajny niski dźwięk. W drodze do okna potknąłem się o coś, co przypominało zwłoki. Po rozsunięciu zasłon okazały się wypchaną po brzegi torbą podrózną. Białe światło rozlało się po zdewastowanym salonie. Na podłodze leżały poprzewracane regały na książki, rozpruty fotel i kilka egzemplarzy Przeglądu Politycznego. Kanapa również straciła wnętrzości na rzecz dywanu, który usiany był fragmentami gąbki i waty. Rozejrzałem się dookoła, zastanawiając, od czego zacząć. Kuchnia i łazienka czekały na inspekcję po lewej, sypialnia po prawej. Wszystkie pomieszczenia były mocno zdemolowane. Jedynym miejscem, do którego nie byli w stanie się dostać, był sejf ukryty w ścianie salonu. Otaczała go seria dziur po kulach, dowodząca chwilowej frustracji włamywacza.

Przyłożyłem krzesło do drzwi, blokując klamkę i zabrałem się za porządkowanie bajzlu. Potem wziąłem długi pryznic, ogoliłem się i przyjrzałem nieco lepiej doprowadzonej do porządku twarzy. Stojąc przed lustrem przyglądałem się sobie i szukałem w odbiciu czegoś znajomego. Zupełnie jakby ktoś przedstawił mi dawnego kumpla, którego za nic nie mogłem sobie przypomnieć.

I chyba wtedy dotarło do mnie, że gość w lustrze jest dość przystojny. Być może miał kilka nadprogramowych kilogramów, a podkrążone oczy nie były powodem do chwały, ale generalnie, pod maską odświeżonego bezdomnego krył się całkiem przystojny facet.

Zastanawiające było, co robiłem w takiej norze? Przecież z taką twarzą, mogłem mieć wszystko. Wystarczyło postarać się o odpowiednią kobietę i byłbym ustawiony na całe życie.

A jednak nie spodobała mi się ta myśl. Nie spodobało mi się też to, co mówiła o mnie.

Po kilku kwadransach, gdy przywróciłem mieszkanie do jako takiego ładu, usiadłem w rozprutym fotelu i wziąłem do ręki prawo jazdy.

Zastanawiałem się, czy dawny „ja” siliłby się na zabezpieczenie sejfu wyjątkowo wymyślnym szyfrem. Spojrzałem na mieszkanie, niechlujne i kiepsko utrzymane, w stanie, który sugerował odpowiedź na pytanie. Dawny „ja” był nieudacznikiem. Musiałem się z tym pogodzić. Nie wygrałem wygranej na loterii.

Odziedziczyłem spis grzechów i zaniedbań leniwego człowieka.

Wstałem i podszedłem do sejfu. Szyfr nie mógł być specjalnie skomplikowany. Spojrzałem na prawo jazdy i datę urodzenia. Sięgnąłem po pokrętło i wykręciłem pierwszą kombinację. Potem pozamieniałem kolejność lat i miesięcy. Po trzeciej próbie usłyszałem kliknięcie i ku mojemu zdziwieniu zamek otworzył się. To zaczynał być naprawdę dobry dzień. Czegokolwiek intruzi szukali, musiało mieć sporą wartość.

Pociągnąłem ciężkie drzwiczki sejfu i zajrzałem do zięjącego pustką wnętrza. Oprócz oczywistego braku oszczędności na dolnej półce dojrzałem dwie dość sporych rozmiarów koperty i Berettę M9 z niewielkim napisem „REPLICA” po obu stronach lufy.

– Po co mu broń? – zdziwiłem się. Nie miałem pojęcia i w końcu uznałem, że nie chcę wiedzieć.

Wyjąłem koperty i usiadłem na tapczanie. Wysypałem zawartość na szklaną ławę. W jednej znajdował się maszynopis, raport lub szkic tekstu. Z notatek i bazgrołów na marginesach ciężko było cokolwiek odczytać. W drugiej kopercie znalazłem zapiski i zdjęcia, a oprócz nich również dwie płyty z zapisanymi na nich datami. Ktokolwiek włamał się do mieszkania, musiał szukać właśnie tego.

Zawartość około piętnastostronicowego raportu nie była jakoś szczególnie powalająca. Napisano go topornym językiem, bez wyczucia i polotu. Jedyne co zrozumiałem z komentarzy autora to to, że od dłuższego czasu grupka bandziorów zastrasza przedsiębiorców, próbując zmusić ich do sprzedaży nieruchomości w okolicy stadionu.

Jeżeli to był powód tego całego bajzlu, musiałem założyć, że problem pozostał nierozwiązany. Moje obolałe ciało było tego doskonałym dowodem.

Zdjęcia i opisy złożone w drugiej kopercie nijak się miały do treści tekstu. Moją uwagę przykuła długa i skrupulatnie sporządzona adnotacja załączona do serii fotografii z niejakim Donnym Marsiano. Z komentarzy wynikało, że obserwowałem go dość skrupulatnie. Wiedziałem, że miał ochroniarza, kierowcę i gosposię, która gospodarowała również zawartością jego spodni. Na liście nazwisk było sporo mętów społecznych o niebezpiecznie brzmiących ksywach. Były tam zapisane godziny obiadów, miejsca poufnych spotkań i nazwiska interesantów, a nawet ilość wizyt drobnych dilerów i dziwek zamawianych pod nieobecność żony.

Z zapisków domyśliłem się, że Donny był członkiem tutejszej rady miejskiej i kandydatem partii na burmistrza. Z kolei ludzie, którzy bawili w jego domu, należeli do rodzaju tych, którzy z łatwością przekraczają cienką linię prawa. Byli wśród nich biznesmeni włoskiego pochodzenia, zajmujący się z reguły wszystkim: od sprzedaży lewej elektroniki, broni i narkotyków, po „ochronę” miejscowych lokali, a na morderstwach kończąc. Bywali tam również członkowie gangu

motocyklistów, biali chłopcy, rzadko zapuszczający się w wypieszczone, bezpieczne przedmieścia Filadelfii. Czasami podjeżdżali na motorach, ale o wiele częściej pojawiali się wieczorem – po dwóch lub trzech w nierzucającym się w oczy pick upie. Jedynie kamizelki z prymitywnym symbolem gangu na plecach zdradzały prawdziwą profesję. Czego mogli chcieć od radnego? Czego chcieli od kandydata na burmistrza? Tego, niestety, nie znalazłem w zapiskach.

Bywali u niego też prawdziwi biznesmeni, a nawet politycy z krwi i kości. Na ich temat nie było wiele informacji. Przy imieniu jednego napisane było: „sędzia”, a na samych zdjęciach, nad postaciami dwóch innych widniały imiona z tytułem „prezes”. Wszystko to wyglądało dość intrygująco, a jednak nie na tyle, żeby od razu pochłonąć mnie bez reszty. W końcu był to przecież klasyczny układ korupcyjny: władza – pieniądze – biznes – władza, a ja miałem na głowie inne, całkowicie niestandardowe problemy – takie jak na przykład zdobycie informacji o samym sobie.

Postanowiłem dać zagadce kilka dni wolnego i przekonać się, czy umrze śmiercią naturalną w kolejce priorytetów.

Ogarnąłem resztę myśli, zwinąłem je w rulon i wepchnąłem pod poduszkę by dojrzały przez noc. Nie chciałem myśleć o niczym. Chciałem po prostu zasnąć i odpłynąć. I tylko na krótko przed snem, zanim zapadłem się w inny wymiar, pomyślałem, że byłoby naprawdę do dupy, gdybym jutro rano znów niczego nie pamiętał.

* * *

Tamta noc była dziwna. Byłem obcy we własnym domu. I nie chodziło o to, że nie czułem się bezpiecznie. Chodziło o każdego potencjalnego intruza, który podając się za przyjaciela, kochankę lub wroga rościłby sobie prawo do fragmentu mojego życia. Kiedy budziłem się w nocy i rozglądałem po obcym pokoju, powoli dojrzewała we mnie irytująca świadomość: to nie jest moje życie, to nie jest mój dom, a jednak jestem przypisany do niego i do wszystkich, którzy tu zawitają. Prędzej czy później ktoś zgłosi się po odbiór swojej części „mnie”, a ja będę musiał walczyć z nim, dopóki nie odprawię go z kwitkiem. Myśli przychodziły przez sen, budziły mnie i znikwały we mgle nocy. Były irytujące jak upokarzające wspomnienia. Świadomość, że na dłuższą metę nie będę w stanie uniknąć wszystkiego, co pozostawił po sobie Jerry, drażniła mnie i wypełniała palącym poczuciem niesprawiedliwości.

Zanim rano wybudził mnie z niespokojnego snu, zdążyłem dojrzeć do decyzji o nieuniknionym – o odzyskaniu przynajmniej części wspomnień. Musiałem rozliczyć się z przeszłością. Nie chciałem, żeby dopadła mnie

w najmniej oczekiwanym momencie. Postanowiłem rozwiązać zagadkę kopert, dowiedzieć się więcej o sobie i poszerzyć krąg znajomych, sprowadzający się obecnie do kulawego starca i Laleczki. Wiedziałem, że nawet gdybym nie odzyskał pamięci, zawsze mogłem liczyć na cudzą.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po podźwignięciu się z pustego łóżka, była słodka chwila relaksu w kafelkowanej łazience w stylu późnego Nixona. Stojak na gazety miałem pod lewą ręką, rolkę papieru pod prawą. Kiedy siedziałem, wertując czasopisma, i koncentrowałem myśli wokół artykułów finansowych, reklam zegarków za dwa tysiące i drobnych ogłoszeń, dostrzegłem coś, co wprawiło moje serce w drzenie. Pod jednym z artykułów, drobnym drukiem, przy słowie „autor” widniało nazwisko „Dawson” – moje imię i nazwisko: „Jeremy Dawson”.

– Jestem dziennikarzem – pomyślałem i uśmiechnąłem się. W tamtym momencie było to nie tylko logiczne założenie, ale i cholernie przyjemna myśl. Z bezdomnego, bezimiennego włóczęgi stałem się nagle kimś wartościowym. Byłem skłonny uwierzyć, że nie mam się czego wstydzić, a to było naprawdę dobre uczucie.

Zastanawiało mnie jednocześnie, jak to jest być dziennikarzem. Jak to jest manipulować innymi, wymuszać na nich własny punkt widzenia, zaskarbiając sobie przy okazji ich podziw? Szybko doszedłem do wniosku, że moje dotychczasowe życie nie mogło być aż tak żałosne, że być może zbyt ostro oceniłem tekst znaleziony w sejfie, że może nie warto odcinać się od przeszłości zupełnie, do końca, zwłaszcza tak intrygującej przeszłości jak ta wynikająca z artykułu. I wtedy właśnie po raz pierwszy pomyślałem, że może warto byłoby pogodzić się z dawnym sobą.

Uznałem, że moja była lub obecna praca musiała być naprawdę niezła, skoro wysiłałem się i przepychałem łokciami w tłumie ścigających się szczurów. Miałem w końcu własną kolumnę, listy od czytelników i generalnie satysfakcję z pracy w tak renomowanym tygodniku jak filadelfijski Financial Journal.

Sam artykuł, który miałem przed oczami, był również radosnym znaleziskiem. Rzucił bowiem nieco światła na ponurą sprawę ukrytą w kopertach w sejfie. Artykuł nie był długi, zaledwie dwie kolumny, ale dokładnie opisywał plany inwestorów związane z budową ogromnego centrum handlowego na jednym z niewielu tak naprawdę atrakcyjnych inwestycyjno terenów miasta. Liczba miejsc po przecinku w kwocie, na którą wyceniono inwestycję działała na wyobraźnię, a usytuowanie kompleksu, tuż przy największym miejskim stadionie, sugerowało nieuniknioną rentowność całego przedsięwzięcia. Inwestycja tego kalibru musiała nieść ze sobą również wyzwania. Z artykułu wynikało, że przy Pattison Avenue, gdzie planowano wybudować komercyjnego molocha, znajdowały się dwie większe sieci handlowe i przynajmniej dziesięć innych, małych rodzinnych firm. Większość z nich prosperowała tam od pokoleń, kilka od momentu założenia

jeszcze w złotych latach pięćdziesiątych. Autor poddawał w wątpliwość realność inwestycji, podkreślając, że większość lokali jest własnością rodzin pochodzenia włoskiego, które bardziej od pieniędzy cenią sobie rodzinne wartości i własne korzenie. Co więcej, autor sugerował, że obszar miasta, o którym mowa, był niczym innym jak częścią systemu korzeniowego lokalnej filadelfijskiej mafii.

Spojrzałem jeszcze raz na nazwę ulicy. Wszystko się zgadzało. To właśnie ten projekt przysporzył Jerry'emu nowych, niebezpiecznych przyjaciół. Ulica Pattison Avenue pojawiała się co najmniej dwa razy w raporcie Jerry'ego. Były tam nazwiska właścicieli punktów gastronomicznych, firm usługowo-handlowych, a nawet najemców lokali mieszkalnych, którzy wszyscy zgodnie odmawiali sprzedaży swojej własności. Sprawa z pewnością warta była zgłębienia.

* * *

Redakcja Philadelphia Journal znajdowała się przy Market Street 400. To niecałe dziesięć minut drogi od mojego apartamentu. Ciemne szkło szyb, obramowane pasami szarego betonu podpowiadało, że powinienem być ubrać się nieco bardziej formalnie na wizytę. Kiedy wchodziłem do recepcji, przywitał mnie zdziwiony i nieco zniesmaczony tłum mijanych twarzy. Odniosłem wrażenie, że część mężczyzn w drogich garniturach zna mnie, ale z jakiegoś powodu nie chce się do tego przyznać.

– Dzień dobry, panie Dawson – przywitał mnie mężczyzna za biurkiem. Miał około czterdziestki, mundur ochroniarza i idiotyczny wyraz twarzy.

– Dzień dobry – Podszedłem bliżej, żeby odnaleźć imię na jego identyfikatorze. – Dzień dobry, Ben.

– Wszystko w porządku, panie Dawson? – spytał, spoglądając dwuznacznie na mój niecodzienny image.

– Tak, tak, wszystko w porządku. Miałem małą awarię, to wszystko. – Wskazałem palcem na rozcięcie nad lewym okiem.

– Ach tak, rozumiem – powiedział, przytakując. – Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Powiedz mi, nie masz może klucza do mojego biura? Zdaje się, że gdzieś go zostawiłem.

– Do pańskiego biura? – Uśmiechnął się, z trudem powstrzymując chichot. – Wie pan co? Myślę, że dzisiaj będzie otwarte – dodał i puścił porozumiewawczo oko.

– Piętro...?

– Czwarte – odpowiedział, zastanawiając się, co ze mną nie tak.

– Dzięki – rzuciłem, podciągając opadające spodnie dresowe i ruszyłem w stronę windy.

Na czwartym piętrze jedenastopiętrowego budynku znajdowały się trzy osobne pokoje, zarezerwowane dla redaktora, zastępcy i kogoś jeszcze, natomiast cała pozostała przestrzeń między nimi, a windą należała do hordy „rzemieślników” tkwiących przy biurkach ze wzrokiem wlepionym w ekrany monitorów. Naturalnie żaden nie zwrócił na mnie uwagi, poza jakimś chłopakiem stojącym akurat obok maszyny z kawą tuż przy wejściu do windy. Na mój widok przestał słuchać otyłej brunetki i zatrzymał kubek w połowie drogi do ust.

– Jerry, na miłość boską – szepnął konfidencyjnie. Wziął mnie pod rękę i przeciągnął na bok, zaglądając przy tym przez ramię w stronę pokoju szefa. Żaluzja za szybą poruszyła się, wygięła i znów wyprostowała. Wyglądało to tak, jakbym nie był mile widziany.

– Cześć. – Wyciągnąłem dłoń. Byłem pewien, że właśnie tak zachowują się ludzie po przyjściu do pracy. Młody spojrzał zdziwiony, a potem niepewnie uściśnął dłoń.

– Wyglądasz koszmarnie. Co się z tobą działo?

Rozejrzałem się po otwartej przestrzeni biurowej. Nikt inny mnie nie zauważył.

– Przyszedłem wziąć urlop, najlepiej zdrowotny.

– Ale przecież ty jesteś na urlopie i to od prawie pół roku. Fisher już dawno przestał za tobą wydzwaniać. Gdzieś ty był? I co ci się stało?

– Miło, że w końcu się pan pojawił, panie Dawson – głos zza pleców brzmiał śmiertelnie poważnie. Młody dziennikarz wyprostował się, a ja, próbując zrobić to jak najwolniej, obróciłem się, obnażając siniaki i rozcięcia na twarzy. Nie ukrywam, że odczułem satysfakcję, kiedy ten nieznany mi, choć podający się za naczelnego mężczyzna zmienił minę z poirytowanej na zdziwioną, a potem zaniepokojoną.

– W coś ty się znowu wpakował, Jerry? – zapytał, przechodząc w tryb koleżeński.

– Właśnie próbuję się tego dowiedzieć – odparłem. – Myślę, że wezmę jeszcze tydzień lub dwa chorobowego. Oczywiście o ile to nie problem.

Fisher zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. Jak każdy szef prawidłowo zareagował na „chorobowe”. Przez chwilę wpatrywał się intensywnie w moją twarz, a gdy uznał, że nie znajdzie tam odpowiedzi na pytania, powiedział:

– Przecież... – zaczął, zawahał się i nie skończył. Widocznie dostrzegł coś w mojej twarzy, co uzasadniało niedorzeczne plany. Pokiwał głową zamyślony i powiedział:

– W porządku, ale najpierw powiedz, o co chodzi. Kto cię tak urządził?

– Przyszedłem po materiały z biurka, w ten sposób będę mógł pracować

w domu. Oczywiście o ile nie masz nic przeciwko?

Naczelnny spojrzał na chłopaka, dając mu do zrozumienia, żeby zniknął. Potem przysunął się bliżej, tak, że poczułem tytuł w jego oddechu.

– Przestań się zgrywać i lepiej powiedz, o co chodzi? Czy to ma jakiś związek z Marsiano? – szepnął.

Młody, który zdążył tylko cofnąć się, poruszył się nagle i zamarł, jakby dźwięk usłyszanego imienia uaktywnił zakodowany w nim algorytm. Odwrócił głowę, zaczepiając wzrokiem o przechodzącą obok blondynkę, ale ucho ustawił dokładnie w naszą stronę.

– Możliwe – potwierdziłem – ale w tej chwili nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć. Gdzie jest moje biurko?

– Jak to gdzie? – oburzył się szef. – Tam, gdzie zawsze.

– Gdzie jest moje biurko? – powtórzyłem najspokojniej, jak tylko mogłem. Spojrzałem mu prosto w oczy i nie spuszczałem wzroku, dopóki nie zrozumiał, że pytam poważnie.

– Tam po prawej, drugie od końca. – Wskazał, trzymając przez chwilę dłoń w powietrzu. W jego oczach pojawił się niepokój. Był pierwszą osobą, która zrozumiała, że stary Jerry zniknął. Ruszyłem w głąb biura. Dołączył do mnie dopiero po chwili.

Biurko, które mi wskazał, było czyste i uporządkowane. Byłem porządnym kolesiem albo miałem porządne koleżanki w redakcji. Wszystko jedno. Przeszukałem je – biurko, nie koleżanki – schowałem notes znaleziony w szufladzie, skopiowałem zawartość dysku na pendrive'a i wstałem, gotowy do wyjścia. Naczelnny stał za mną z założonymi na piersi rękoma. Szczeliny jego powiek zwężyły się, nadając twarzy wygląd przyczajonej łasicy. Zanim zdążył zadać pytanie, spojrzałem na postać na drugim końcu biura. Młody w dalszym ciągu stał tam, gdzie go zostawiliśmy i wciąż się przyglądał. Po chwili odebrał telefon i zaczął gorączkowo gestykulować. Przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Jerry? – zabrzmiał głos redaktora Fishera.

– Tak? – odparłem oderwany od lustrowania młodego.

– Jak tam twoja siostra, Jerry? Cała i zdrowa? – Fisher zmrużył oczy. Jego głos sugerował obojętność, ale skupienie na twarzy zdradzało co innego.

– Kiepski z niego manipulator – pomyślałem.

Jego czujne szare oczy były jak znak ostrzegawczy dla każdego, kogo zamierzał wysterować.

– Co to? Jakiś test? – zapytałem.

– Pytam po prostu. Dawno nic o niej nie mówiłeś – przekonywał głosem dobrego wujka. – Wraca do zdrowia?

– Tak, tak – potwierdziłem. – Wszystko w porządku.

– To dobrze, Jerry, to dobrze – powiedział spokojnym, odrobinę zawiedzionym głosem.

– Muszę już lecieć. Jeśli będę potrzebny... – próbowałem dokończyć, ale nie zdążyłem.

Redaktor podniósł dłoń, przerywając mi w pół zdania.

– Problem w tym, Jerry – powiedział bardzo powoli – że ty nie masz siostry. I nigdy nie miałeś.

Westchnąłem. Chwila ciszy, na którą mu pozwoliłem, nie była nawet kłopotliwa. Kiedy uznałem, że nasycił się zwycięstwem, wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się głupio.

– No cóż, przyłapałeś mnie. Punkt dla ciebie, ale teraz naprawdę muszę lecieć. – Wstałem.

– Naprawdę? – zapytał, zagradzając mi ramieniem drogę. – To naprawdę wszystko, co masz do powiedzenia?

– Cóż... – westchnąłem. – Jakby to powiedzieć?

Przesunąłem dłonią po twarzy i podrapałem się za uchem. Potem przeciągnąłem palcami nad rozcięty łuk brwiowy. Zabolalo.

– Jeszcze nie wróciłem do siebie po tym... no wiesz, po tym wszystkim.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie pamiętasz? – Znow przysunął się nieprzyjemnie blisko.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale nie słyszę, żebyś zaprzeczał – odparł jakby zatroskany. Znow wzruszyłem ramionami.

– Co zrobić? – Uśmiechnąłem się głupio.

– Ile pamiętasz z tego, co wydarzyło się... – Wskazał na ranę na moim czole – przed tym?

– Przed czym? – odparłem.

Fisher pokręcił tylko siwą głową.

– Posłuchaj, jak tylko czegoś się dowiem, będziesz pierwszą osobą, której o tym powiem – skłamałem. Poklepałem go po ramieniu, skinąłem i ruszyłem w stronę rozmawiającego z kimś młodego. W miarę jak się zbliżałem, słyszałem, że mówi coraz ciszej. Spoglądał na mnie, zaciskając nerwowo dłoń na telefonie. Wyglądał, jakby relacjonował zaskakujące zjawisko.

– I jak tam, kolego? – spytałem, mijając go. Wszedłem do windy, nie czekając na odpowiedź i odwróciłem się w kierunku biura. Chłopak przerwał połączenie i schował telefon.

– W porządku. A u ciebie? – zapytał zmieszany.

– Jak tam raport? Mam nadzieję, że nie zapomniłeś wspomnieć, że żyję. – Spojrzałem na zawieszony na jego szyi identyfikator.

– Keith! – Pomyślałem. – Tak się nazywa ta szumowina: Keith kabel.

– Chciałbym, żebyś wiedział, Keith, że zawsze możesz liczyć na swoje miejsce w mojej kolumnie, ba, może nawet na stronie! – Uśmiechnąłem się.

Keith przełknął ślinę. Wyraz jego twarzy sugerował, że nie spodziewał się, że go rozpoznam. Wyciągnął komórkę, przycisnął dwa razy zieloną słuchawkę i zanim drzwi windy się zamknęły, usłyszałem dwa słowa.

– On pamięta.

II. Znalezisko

Gdy wróciłem do domu, drzwi były zamknięte, a zamek wymieniony. Po krótkiej negocjacji warunków spłaty czynszu, Tom zgodził się dać mi jeden z kluczy, zaznaczając przy tym, że nie będzie tolerował kolejnych opóźnień. Nowy zamek dał mi poczucie spokoju i mogłem w końcu zabrać się do pracy.

Komputer, który nie ucierpiał podczas włamania, a jedynie „przeniósł się” z biurka na dywan, zawierał więcej informacji niż przypuszczałem. Kimkolwiek byli wandalę, nie interesowały ich dane z dysku albo nie wpadli na to, by go włączyć, zanim wyrwali go z sieci.

W przeciągu kilku godzin przejrzałem setki stron tekstu i artykułów o firmach zainteresowanych „inwestycją stulecia”. Pośród potencjalnych współników przedsięwzięcia były takie giganty jak Pizza Hut, Cinema City czy AMF Bowling Centres. Deweloperzy prześcigali się pomysłowością, by przejąć intratny kontrakt, natomiast radni, choć nie przedstawili jeszcze oficjalnego stanowiska, nie zaprzeczali oskarżeniom protestujących. Kwestia dzielnicy wypełnionej blokami, sklepami i małymi restauracjami, których żadnym sposobem nie można było usunąć z miejskich map, była beztrąsko omijana we wszystkich artykułach.

Dopiero w pliku oznaczonym jako „Lista Marsiano” znalazłem schematy powiązań i zależności między przynajmniej tuzinem członków rady miejskiej i firmami, które zainteresowane były ulokowaniem kapitału.

W miarę przeglądania tych skrupulatnie zebranych materiałów, doszedłem do wniosku, że przy tak wielkiej liczbie zamieszanych, utrzymanie wszystkiego w tajemnicy było po prostu niemożliwe. Część radnych z pewnością kpiła sobie z obietnic bajecznych zysków z inwestycji. I na pewno niejeden krzywił się na decyzje, zapadające przy wyborze metod rozwiązania problemu. Bez uprzedniego przejścia parceli, planami, które tak pieczołowicie układano, można było sobie co najwyżej tylek podetrzeć.

Nagle, w gąszczu plików, w oczy rzucił się jeden w formacie „.wav”, którego nazwa brzmiała dość obiecująco: „Rozmowa z M”. Założyłem słuchawkę tak, by drugie ucho gotowe było wykryć niespodziewanych gości, włączyłem nagranie i dałem się ponieść nowej detektywistycznej pasji.

- Dzień dobry, panie Marsiano – rozpoznałem swój głos.
- Dzień dobry – odpowiedział.
- Dziękuję, że zechciał się pan spotkać. Postaram się nie zająć zbyt wiele pańskiego czasu.
- W czym mogę panu pomóc? – zapytał.
- Kochanie? Czy przynieść wam kawy? – Z korytarza dobiegł głos kobiety.

– Nie, nie trzeba, skarbie, pan Dawson nie zabawi zbyt długo.
– Może przejdę do rzeczy? – zapytałem.
– Proszę bardzo.
– Tak więc na początek chciałem, aby sprostował pan informację, którą chcemy opublikować w piątkowym wydaniu Financial Journal...

Zatrzymałem plik. Rzuciłem okiem na zegarek i sprawdziłem kalendarz. Był poniedziałek, 29 stycznia 2001 roku. Następnie sprawdziłem datę utworzenia pliku. I tutaj moje zdziwienie było nieco większe. Od czasu rozmowy z Donnym minęło ponad dziewięć miesięcy. Nagrano ją 12 kwietnia 2000. Co, do cholery, robiłem przez pół roku? Dlaczego nie raczyłem napisać choćby jednego artykułu na ten temat?

Mój wzrok mimowolnie zatrzymał się na rozprutej sofie. Zaklejone taśmą skórzane siedzenie sugerowało odpowiedź. Możliwe, że po prostu się bałem, ale z drugiej strony, czy strach przed włamaniem powstrzymałby tak dzielnego dziennikarza? Czy ciekawość i instynkt nie są silniejsze od strachu? Tak czy inaczej coś powstrzymało mnie i chciałem wiedzieć, co to było. Musiałem wiedzieć, co to było.

Założyłem drugą słuchawkę, rozsiadłem się w niewygodnym fotelu i wznowiłem zatrzymane nagranie.

– Słucham pana – powiedział Marsiano. – Jaką rewelację chce pan ujawnić w tej pańskiej kolumnie?

– Artykuł jest już gotowy, proszę spojrzeć. – Usłyszałem chrząknięcie i długą, nieprzerwaną niczym ciszę.

– Pan chyba żartuje? – oburzył się. – Mam uwierzyć, że pański redaktor opublikuje coś takiego? Przecież to stek bzdur. Czy wie pan, że jako reprezentant piętnastego okręgu planuję kandydować do senatu? Myśli pan, że pozwoliłbym sobie na taki przekręt?

– Mam dowody.

– Dowody? Na co?

– Wiem, że sześć z dziesięciu wypadków, które miały miejsce w ostatnim czasie, to pobicia. Za każdym razem rozboju dokonała grupa białych mężczyzn, niezrzeszonych z żadnym gangiem. To nie było wymuszenie haraczu. Pracują na zlecenie kogoś z zewnątrz, komu bardzo zależy na tych parcelach. Wiem również, że pożar, który strawił budynek na rogu Pattison i Darien, był skutkiem podpalenia. Poza tym w ostatnim napadzie na sklep Vincenzo Diego sprawcy nie ukradli nawet ćwierćdolarówki. Pobicia i wandalizm to moim zdaniem ostrzeżenie. Nie do końca przemyślane.

– Doprawdy nie wiem, dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi.

– Mówię, bo tu nie chodzi już tylko o mieszkańców dzielnicy. Tu chodzi o wojnę, którą przez swoje małe rozgrywki rozpocznie pan z mafią. Pan wie, że

kuzyn Vincenca jest przyjacielem jednego z członków rodziny Scarfo?

– Niech pan się o mafię nie martwi, panie Dawson. Niech pan to zostawi profesjonalistom. Policja doskonale radzi sobie z tym problemem. A jeśli chodzi o te nieszczęśliwe wypadki, to mogę jedynie dodać, że Filadelfia to niebezpieczne miasto.

– Czyli zaprzecza pan, jakoby miał pan coś wspólnego z grupą przestępczą odpowiedzialną za nękanie mieszkańców Pattison Avenue?

– Oczywiście. I wie pan, co jeszcze panu powiem? Jeśli dalej będzie pan rzucał oskarżenia na lewo i prawo, ktoś może stracić cierpliwość i narobić panu kłopotów.

– To zabrzmiało jak groźba – odparłem.

– To nie groźba, to ostrzeżenie i proszę nie przekreślać moich słów. Zresztą wie pan doskonale, do czego polityk może się posunąć, a do czego nie. Jeśli wydaje się panu, że ktoś zrobi dla pana wyjątek w tej kwestii, to grubo się pan myli.

Zatrzymałem nagranie. Wyglądało na to, że mimo wszystko Jerry był facetem z ikrą. Nie bawił się w ciche oskarżenia. Zamiast atakować Marsiano z redakcyjnego biurka, postanowił stanąć z nim twarzą w twarz. Teraz zapewne uznaliby to za głupotę, ale wtedy, w tamtym momencie pójście do Donny'ego z jakiegoś powodu wydawało mu się uzasadnione. Nie wróżyło to dobrze na przyszłość. Odważni głupcy rzadko dożywają końca rozgrywki.

Pomyślałem, że dobrze byłoby znaleźć ten artykuł. Jeśli to nie był blef ani prowokacja i jeśli Jerry rzeczywiście opublikował go, tak, jak obiecał Donny'emu, tekst powinien rzucić trochę światła na całą tę aferę z Marsiano. Zastanawiało mnie też coś innego. Jeśli rzeczywiście miał opublikować tekst, po jaką cholere pchał się w objęcia króla złoczyńców? A może ten artykuł to błaga, a cała scena to zwykła prowokacja?

Dumałem chwilę nad tym pytaniem, po czym zrobiłem to, co każdy szanujący się egocentryk robi przynajmniej raz dziennie: włączyłem przeglądarkę i wpisałem swoje nazwisko. W rezultatach wyszukiwania już na pierwszej stronie pojawiły się jego teksty. Większość dotyczyła spraw lokalnych i koszmarnie nieistotnych. Regionalne wydarzenia, opisywane jak międzynarodowe igrzyska przedsiębiorczych, prawych i uczciwych, robiły wrażenie pisanych pod zamówienie, bez krzty indywidualizmu i polotu. Jedynie sporadycznie pojawiały się między nimi analizy gospodarcze, ukryte pod płaszczkiem osobistych historii tego czy innego polityka. Artykułów z prawdziwego zdarzenia było jak na lekarstwo, tak że w miarę czytania mój szacunek do dawnego siebie znów zaczął topnieć. Artykułów było sporo, a te najwcześniejsze sięgały 1998 roku. Czytając wcześniejsze, doszedłem do wniosku, że nie zawsze byłem tak nędznym dziennikarzyną. Pierwsze artykuły dowodziły, że wszystko, co napisałem potem,

od marca 2000 roku było obciążone jakimś namacalnym balastem, paraliżującą ostrożnością; zupełnie jakby Donny Marsiano rzucał potężny cień na moje małe biurko. Nie muszę chyba dodawać, że po artykule przedstawianym Donny'emu nie było ani śladu? Pozostawało zadać sobie jedno pytanie: dlaczego Jerry nie napisał artykułu? Czy spotkało go coś, o czym powinienem wiedzieć?

Był późny wieczór, gdy zakończyłem analizę artykułów. Dopiero gdy doszedłem do wniosku, że kawał drania ze mnie, mój nastrój uległ nieznaczej poprawie. Okazało się bowiem, że oprócz stałego etatu w Financial Journal, pisywałem również obszerne felietony w różnych miesięcznikach o nakładzie ogólnokrajowym. Być może właśnie dlatego Fisher nie zwolnił mnie jeszcze po tylu miesiącach dziennikarskiej fuszerki, a artykuły pojawiały się nieprzerwanie do połowy sierpnia. Wyglądało na to, że moje nazwisko wciąż jeszcze coś znaczyło w dziennikarskim świecie. Przynajmniej dopóki nie zacząłem prowadzić moich małych, tajnych, a potem jawnych poszukiwań.

Oficjalnie Jerry był wziętym reporterem. Przenikał do środowisk i opisywał je od wewnątrz jak nieszkodliwy pasożyt. Wkradał się do sekt, w których starzy szamani i charyzmatyczni pedofile biorą pod opiekę wyzwolone nastolatki, gdzie przekwalifikowani złodzieje zakładają interesy życia, pozbawiając oszczędności samotnych frajerów. Jerry dołączał do grup anarchistycznych, stowarzyszeń antyglobalistów i innych żyjących złudzeniami idealistów. Zapoznawał się z ich ideami, zaprzyjaźniał z członkami, a potem zdobywał zaufanie i wszystkie potrzebne informacje. Na koniec dokonywał bezkompromisowej analizy i dokładnie opisywał, rozmieniając ich wielkie, szlachetne idee na drobne monety bezwartościowych przekonań.

Z artykułów wynikało, że większość członków infiltrowanych grup miała jedynie śladową wiedzę o tym, co dzieje się na świecie. Nie wiedzieli, jakie mechanizmy rządzą gospodarką, społeczeństwem i psychologią tłumów. Każda przytoczona wypowiedź zatwardziały antyglobalistów była z łatwością ośmieszana przytłaczającą ilością kontrargumentów. Zagorzali anarchiści byli wielokrotnie demaskowani. Z brutalną dokładnością Jerry ukazywał hipokryzję i brak wierności przekonaniom. Momentami można było przysiąc, że mój imiennik, był „świętym mieczem konserwatywnej prawicy”, zmiatającym z powierzchni ziemi zamęt wzniesany przez tych mało znaczących, naiwnych buntowników. A jednak czytając jego felietony, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Jerry próbował przygotować czytelników do przyjęcia szerszego i głębszego obrazu społecznych potrzeb przejawianych przez te lewackie i śmiesznie subkultury. Z artykułów można było wywnioskować, że przygotowywał się do tego od dłuższego czasu, realizując stopniowo politykę małych kroków, wodząc za nos setki dorosłych czytelników, podawał im wiedzę i dawkował jak małym dzieciom: powoli, stopniowo i ostrożnie. Wszystko po to, by nie zniechęcić ich do dalszej

lektury.

Tuż przed północą wiedziałem co nieco o sobie, a raczej o dawnym Jerry'm i muszę powiedzieć, że nie byłem tym ani zaskoczony ani zniesmaczony. Naiwność, z jaką poświęcał się pracy, była w zasadzie zrozumiała. W końcu nawet ja, obecny Dawson, nie zajmowałem się niczym innym jak powielaniem schematu. Byłem człowiekiem bez pamięci, przyjaciół i rodziny, a jedyne na czym potrafiłem się skupić to sprawa, której skutki nie interesowały mnie tak, jak powinny. Byłem jak dziecko, któremu po raz pierwszy pokazuje się ulubioną zabawkę. Wiedziałem, że muszę rozwiązać zagadkę, nie po to, żeby poczuć się bezpiecznie i nie przez spadek po Jerry'm, ale dla samej frajdy poszukiwań, dla polechtania niezaspokojonej ciekawości, która właśnie się we mnie budziła.

Nie był to jednak koniec nowości. Podczas przeglądania danych z pamięci redakcyjnego komputera, natrafiłem na plik, którego zawartość wywołała dziwne uczucie. Nagle któraś z szufladek w głowie przywołała obraz Marty'ego McFly'ego z „Powrotu do Przyszłości”. Plik stanowił bowiem zapis wydarzeń sprzed kilku miesięcy i był niczym innym jak wiadomością dla Jerry'ego zagubionego w odległej czasoprzestrzeni. Niczym młody Michael J. Fox czytałem wiadomość od człowieka z przeszłości: „Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że mi się nie udało” – tak brzmiało mniej więcej filmowe przesłanie bohatera. Zaiste, Jerry, nie udało ci się. Szkoda tylko, że podczas czytania artykułów nie zastanowiłem się nad tym odrobinę dłużej.

W pliku o enigmatycznej nazwie „.txt” znalazłem coś w rodzaju dziennika, w którym oprócz intymnych szczegółów z życia Jerry'ego opisanych pompatycznym tonem, językiem silącym się na literacki, znajdowały się również krótkie i rzeczowe opisy rozciągające pomost między mną a przeszłością.

Wpis z osiemnastego kwietnia szczególnie przykuł moją uwagę.

18 kwietnia 2000

Marsiano nie żartował. Było ich czterech. Zaskoczyli mnie późnym popołudniem. Już nigdy nie założę słuchawek na uszy. Związali mnie i posadzili na fotelu. Zdemolowali mieszkanie i dokładnie przeszukali każdy kąt. Sejfu nie znaleźli. Dopytywali się, dlaczego interesuję się Pattison Avenue, i czy mam zamiar napisać o niej artykuł. Jeszcze do dziś mam ślad po lufie na skroni. Zwinęli dysk z komputera, wszystkie pamięci przenośne i płyty. Do materiałów w sejfie nie dotarli. Karzeł wyglądał tak śmiesznie, że nie powstrzymałem się i parsknąłem śmiechem. To był błąd. Skopał mnie niemiłosiernie. Zagrozili, że dotrą do Liz i Pat. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Czyżby to był właśnie powód, dla którego Jerry tak ociągał się z opisaniem całej sprawy? Plik zmodyfikowano jeszcze kilka razy, a każdy kolejny wpis

wydawał się omijać któreś z zaryglowanych drzwi w mojej głowie. Pośród kolejnych istotnych wydarzeń były między innymi enigmatyczne zapisy rozmów i wspomnienia o przełomach w gromadzeniu materiałów do książki, kontakty z tajemniczym informatorem, i co najważniejsze, cała lista osób z nazwiskami, datami i dokładnym opisem spotkań.

Wpis z osiemnastego kwietnia nie otwierał dziennika, ale był zdecydowanie pierwszym z serii niepokojących zapisów. Był też jedynym, który mogłem wpleść w moją obecną rzeczywistość. Wieńczył bowiem sześciodniową ciszę po rozmowie z przyszłym senatorem Marsiano. I to właśnie te sześć dni przerwy w literackim życiorysie Jerry'ego przykuło moją uwagę. W zasadzie wszystkie wpisy przed nim i po nim zapisane były z jedno lub dwudniowym odstępem. Cokolwiek Marsiano zrobił, zrobił to dobrze, gdyż literat ukryty w Jerry'm zamilkł prawie na tydzień.

W pozostałych plikach, bez większego zaskoczenia, natrafiłem na różnego rodzaju materiały kompromitujące osoby zamieszane w przekręt przy budowie centrum handlowego. Dowiedziałem się, że część radnych miasta Filadelfia zakupiła spore pakiety w lokalnych firmach, dopuszczonych do inwestycji i budowy tego komercyjnego giganta. Sam Marsiano był współwłaścicielem firmy budowlanej, która wygrała przetarg na pierwszą, wartą ponad sto milionów, konstrukcyjną fazę projektu.

Sprawa wydawała się prosta, a jednak wszystko co miałem to poszlaki. Poza tym wyglądało na to, że Jerry przez długi czas bał się cokolwiek ujawniać i dopiero przed moim wejściem na scenę zdarzyło się coś, co wpłynęło na zmianę jego zdania i zmusiło do działania.

Cokolwiek to było, musiało mieć związek z aferą. Melvin i jego zbiry nie próbowałyby porwać mnie po raz drugi bez powodu. Ktoś najwyraźniej wyczuł zagrożenie i postanowił uciszyć niewygodnego dziennikarza. Wynajęcie do tego gangsterów amatorów, na których łatwo zrzucić winę, nie okrywając się tym samym podejrzeniami, było sprytnym posunięciem. Naturalnie Marsiano był podejrzanym numer jeden.

Liz i Pat, wspomniane we wpisie, były kluczem do rozwiązania zagadki. Wiedziałem, że muszę skontaktować się z nimi bez względu na to, kim były. Mogły być nawet prostytutkami albo zakonnicami, u których Jerry stołował się co niedzielę. Ważne, że mogły mieć zupełnie nowe informacje – takie, które pomogłyby pchnąć sprawę do przodu.

Nazajutrz przekopałem mieszkanie w poszukiwaniu śladów istnienia rzekomej Elizabeth i Pat. Niestety poza wpisami w pamiętniku i pozycjach w książce adresowej nie znalazłem niczego, co wskazywałoby na ich obecność w moim życiu. Doszedłem do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie

skontaktować się i spotkać z nimi, żeby opowiedziały swoją wersję tej historii.

Elizabeth była dość zaskoczona, ale ucieszyła się, że żyję. Z jej głosu wyczytałem, że znaliśmy się dobrze i że nie próbowała dominować nade mną w żaden sposób. Była swobodna w rozmowie i dość bezpośrednia, co w połączeniu ze zmysłowym głosem dawało wyobrażenie silnej i pięknej kobiety. Z powodzeniem mogłaby być byłą żoną, choć na pewno nie była nią w tamtym momencie. Podejrzywałem, że nie wytrzymałbym na dłuższą metę z tego typu kobietą. Stworzenia te powinny być przecież kruche i delikatne. Cała reszta natomiast nadaje się jedynie do obfitych zbiorów osobliwości na wystawie okrucieństw losu. Okrucieństw wyrządzanych mężczyznom, rzecz jasna.

Elizabeth zaprosiła mnie na kolację, uprzedzając, bym nie przynosił żadnego alkoholu. Mogło to oznaczać, jedną z dwóch rzeczy: albo nie miałem gustu jeśli idzie o alkohol, albo gustowałem w nim zbyt ochoczo.

Kiedy otworzyła drzwi, zdziwiłem się nieco, widząc, że jest ładniejsza, niż się spodziewałem. Prawdę mówiąc wyglądała oszałamiająco i pomyślałem, że gdyby nie makijaż, mogłaby wyglądać na o wiele młodszą. Długie blond włosy, ładne błękitne oczy i drobna budowa podpowiadały, że pośpieszyłem się z identyfikacją głosu jako należącego do żony.

– Patsy, nie każ stać ojcu w drzwiach – odezwał się głos zza jej pleców. – Proszę cię, nie rób scen.

Nie muszę chyba mówić, jak czuje się facet, który właśnie dowiedział się, że jest ojcem? Musiałem szybko przestawić się z trybu lubieżnego w... No właśnie, w jaki? Najlepiej w neutralny.

– Co się tak gapisz? – dziewczyna burknęła. – Wejdz. Czekaamy na ciebie.

– Cześć – wyrzuciłem z siebie, wziąłem głęboki oddech i wszedłem do środka.

– Masz wino? – zapytała. – Muszę się napić.

– Co na to twoja matka? – spytałem, podając butelkę taniego wina.

Wytrzeszczyła oczy, patrząc zdziwiona, po czym poklepała po ramieniu i uśmiechnęła się lekko.

– Chodź, tatko, Liz jest dzisiaj w nie najgorszym humorze, powinniśmy to jakoś przeżyć. Frank też jest, cieszysz się?

Pat ruszyła w stronę salonu, przyglądając się swojemu kacowi w butelce.

– Ciągle nic nie pamiętam – pomyślałem.

– W końcu jesteś! – Elizabeth wstała od stołu. – Dlaczego się nie odzywałeś? Martwiłyśmy się o ciebie.

Przez moment nie mogłem oderwać wzroku od mężczyzny przy stole. Nakładał właśnie coś na talerz, nie zwracając na mnie uwagi. Po chwili wstał, podszedł, podał mi rękę i się przywitał.

– Cześć, Jerry – powiedział neutralnym głosem. Miał kamienną, nie

wyrażającą emocji twarz. Zupełnie jakby przybrał maskę tylko po to, żeby utrudnić mi rozszyfrowanie naszych relacji.

Jeśli Liz lubiła męskie maszyny, na pewno znalazła w nim to, czego chciała. Facet zdawał się nie posiadać mimiki twarzy. Dopiero po chwili ślad irytacji wyłonił się zza tej fasady, ale nawet ona przypominała leniwą obojętność.

– Siadaj – powiedział. – Liz namęczyła się, żeby to wszystko przygotować. Pat miała oczywiście pilniejsze zajęcia w tym czasie. – Obrzucił dziewczynę chłodnym spojrzeniem.

– Cześć – powiedziałem.

Pat wskazała miejsce przy stole.

– Co się stało, że tak nagle zadzwoniłeś? – zapytała była żona. – Wszystko w porządku?

Stała na odległość wyciągniętej dłoni i spojrzała na mnie, przekrzywiając głowę jak zaciekawiony pies.

– Coś ty sobie znów zrobił? – Pokręciła głową.

– W zasadzie to nie ja.

– Mamo, daj spokój. I bez twoich uwag ojciec ma dużo na głowie.

– Dzięki, Pat – powiedziałem.

– Nic ci nie jest? – Liz zdawała się być nieprzekonana. – To znaczy poza tymi siniakami?

– Wszystko w porządku. Wszystkie kości na swoim miejscu.

– Siadamy czy nie? – rzuciła Pat.

– Śpieszysz się gdzieś? – zapytał facet po mojej prawej.

– A nawet jeśli? – syknęła Pat. – To nie twoja pieprzona sprawa. Mówię do nich – wskazała nas i zajęła miejsce przy stole.

Ojczym nie był w ogóle zaskoczony. Sprawiał wrażenie faceta, którego trudno zaskoczyć. Na jego twarzy malował się tylko delikatny ślad smutku, jakby roztargnienie kłębiło się w nim i nie mogło znaleźć ujścia na zewnątrz. Liz tylko pokiwała głową i dołączyła do Pat przy stole.

Usiadłem naprzeciwko. Frank usiadł po mojej prawej.

Liz zabrała się do nakładania mięsa.

Atmosfera zastygła. Ciszę przerywały jedynie odgłosy sztućców uderzających o zastawę.

I nie chodziło ani o agresywną odzywkę Pat, ani o to, że byłem gościem we własnym domu. Czułem, jak między nami kłębi się i kumuluje śliski temat, coś, czego nikt nie chce ruszyć z obawy, że zacznie śmierdzieć. Zupełnie jakby to do mnie należał ten przykry obowiązek. Po kilku minutach niemego przeżuwania, gdy miałem już dość ich analitycznych spojrzeń, gdy przyswoiłem świadomość ojcostwa i zbliżałem się niebezpiecznie do ostatniego kawałka na talerzu, postanowiłem zabrać się do zbierania informacji.

– Dobra ta pieczeń. Używasz pieprzu ziołowego czy czarnego? – spytałem.
– Chyba nie jesteś tutaj żeby rozmawiać o kulinariach? – odparła – Mów, o co chodzi?

– Daj człowiekowi spokojnie zjeść – dodał pan domu.

– Właśnie zastanawiam się, jakby tu zacząć – powiedziałem.

– Od początku, Jerry – wtrąciła Pat. – Od początku – powtórzyła, kładąc nacisk na drugie słowo.

– Hmm... – odłożyłem sztućce i wytarłem usta chusteczką. Wszyscy czekali. Nie było wyjścia, musiałem im powiedzieć. – Pamiętacie może ten artykuł, przez który zdemolowali mi mieszkanie jakieś pół roku temu?

– Ten o Proximity Centre? – spytała dziewczyna.

Zawahałem się. Coś poruszyło się w pamięci.

– Proximity Centre... – powtórzyłem, próbując wywołać coś z tej czarnej dziury.

– Tak. To te, które budują w południowej części miasta – powiedziała Elizabeth.

Zastygłem na moment.

– Budują – powtórzyłem w myślach.

Sięgnąłem po lampkę i spłukałem gardło czerwonym winem. Było to coś, czego się nie spodziewałem. Projekt był już w fazie realizacji. Byłem pewny, że to aktualna sprawa, że wszystko co mnie spotkało, łącznie z utratą pamięci, ma początek i koniec we wścibskiej naturze Jerry'ego. W jednej chwili ostatnie pół roku życia, jego życia i cały wysiłek, który włożył w rozpracowanie afery, szlag trafił.

– Dlaczego pytasz? – spytała Elizabeth. – Co centrum handlowe ma wspólnego z twoją wizytą?

Zacisnąłem pięść, wziąłem głęboki oddech i powoli odłożyłem lampkę na stół. Dziewczyny nie spuszczały ze mnie oczu. Tymczasem pan domu mamlął befszytk, zupełnie mnie ignorując. Zastanawiałem się, dlaczego mam przemożną ochotę przysunąć mu w ten cwaniacki pysk.

– Czyli artykuł, który pisałem, nie poszedł do druku?

– Jeśli chodzi ci o Centrum to nie, nie poszedł – powiedziała Pat.

– A budują je już od...?

– Odkąd przestałeś nas odwiedzać – ucięła Pat.

– Czyli to będzie już jakieś...? – zacząłem, próbując wydobyć z niej coś więcej.

– Grubo ponad pół roku – dokończyła. – Budowa ruszyła podejrzanie szybko. Czytałam, że jedyny problem, jaki się pojawił, to brak terenu pod inwestycje.

– Ludzie nie chcieli odsprzedawać miastu – dodała Liz.

– Jak to miastu? – spytałem zdziwiony.

– Tak to załatwili – odezwał się, milczący do tej pory Frank. Wytarł usta w chusteczkę i rzucił ją na talerz. – Miasto przejęło cały teren, parcelę po parceli, co w przypadku firmy prywatnej trwałoby o wiele dłużej, o ile byłoby to w ogóle możliwe. Kiedy już wykupili wszystkie działki, miasto wystawiło teren na sprzedaż.

– I nikomu nie przeszkadzało, że pieniądze podatników są wykorzystywane do wywłaszczania – wtrąciła Liz. – Użyli moich pieniędzy, żeby okraść tych ludzi z dorobku całego życia.

– Tak to już jest – Frank przesunął sztucę na środek talerza. – Kwoty, które włoskie rodziny otrzymały od miasta, były śmiesznie małe i wystarczająco podejrzane, żeby napisać o tym w którejkolwiek z gazet, a jednak nikt nie raczył o tym nawet wspomnieć.

Spojrzał, jakby to po mnie spodziewał się tego bohaterskiego czynu.

– A poza tym dlaczego zadajesz te głupie pytania? Chyba nie powiesz, że cała ta sprawa umknęła twojej uwadze? Gdzie byłeś przez ostatnie kilka miesięcy? Nie wiedziałeś o rozpoczęciu budowy? Ty? Dobrze sobie.

Nie zrozumiałem aluzji, chociaż jego wzrok mówił, że powinienem.

– Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie. – Zdjąłem chusteczkę z talerza, sięgnąłem po miskę i nałożyłem kurczaka z ryżem

– Wolałbyś? Czy może nie możesz odpowiedzieć? – Frank nie dawał za wygraną.

Kobiety wciąż nie spuszczały ze mnie wzroku, ale dopiero teraz ich uwaga przyjęła tę formę skupienia, która nadzwyczaj drażni i męczy jednocześnie.

– No dobra, do cholery, przecież nie przyszedłbym tutaj, gdyby nic się nie stało, prawda? – Miałem dość tych podchodów.

– A co się tak właściwie stało? – zapytała Elizabeth.

Zamilkłem. Na tym etapie milczenie wychodziło mi już całkiem niezłe. Spuściłem wzrok na talerz w poszukiwaniu odpowiedzi. Wrózenie z ryżu nie było moją mocną stroną.

– Co się stało? – Pat wstała i stanęła nade mną.

Tak naprawdę nie wiedziałem. Czułem, że umknęło mi coś ważnego. Wskazówki pozostawione w sejfie Jerry'ego okazały się prowadzić mnie w zupełnie inną stronę. Mój plan, o ile można go tak nazwać, załamał się. Znow byłem w punkcie wyjścia. Sprawa, która miała mnie napędzać, prysła bez zapowiedzi. Mało tego wyglądało na to, że po kilkumiesięcznym milczeniu, zbieraniu materiałów i opracowywaniu taktyki Jerry i tak był pionkiem bez znaczenia. Został uśmiercony, a na jego miejscu pojawiłem się ja.

Świadomość ta całkowicie zmieniała reguły gry. Musiałem jak najprędzej podjąć decyzję. Mogłem porzucić przeszłość i zaakceptować porażkę, jaką

zaserwował mi Jerry albo spróbować odzyskać pamięć i dojść do sedna sprawy. Wolność i życie w cieniu przegranej lub utrata siebie i naprostowanie tego, co sieprzył. Nie mogłem, rzecz jasna, pogodzić się z żadną z tych opcji.

– Nie jestem Jerryem – powiedziałem w końcu.

– On chyba naprawdę kiepsko się czuje – stwierdziła Pat.

– Słucham? – rzuciła Elizabeth. – Czy mógłbyś to powtórzyć, bo chyba się przestęszalałam?

– Nie jestem twoim byłym mężem.

– Przestań pleść bzdury! – uniosła się. – Na miłość boską, weź się w garść i skończ to, co zacząłeś!

– Nie rozumiecie – odparłam spokojnie. – Nie jestem tym Jerryem, który był tutaj ostatnim razem, bez względu na to, kiedy to było. Coś się stało i jak na razie nic nie wskazuje na to, żeby sytuacja miała się zmienić.

– Wszyscy się zmieniamy, Jerry. To nieuniknione – powiedziała Liz, jakby instynktownie czując, o czym mówię. Spojrzała z naciskiem w stronę córki.

– Nie o to chodzi – westchnąłem zniecierpliwiony. – Przedwczoraj obudziłem się w jakimś motelu cały w krwi i bez najmniejszego pojęcia, skąd się tam wziąłem.

– Wielka mi nowina – parsknęła Pat.

– Słuchaj i daj skończyć – odparłem. – Nie miałem pojęcia, jak tam trafiłem ani kim jestem. Dotarcie do was zajęło mi dwa dni, a teraz jestem pewien, że widzę was pierwszy raz w życiu.

Frank pokręcił głową zniesmaczony.

– Zabiłeś kogoś? – zapytał.

– Na miłość boską, Frank! Słyszysz, co on mówi? – Elizabeth chyba uwierzyła w moją historię.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – To raczej was powinienem zapytać. Czy byłbym w stanie zrobić komuś krzywdę?

Pat spojrzała mi prosto w oczy, uśmiechnęła się głupio i wzruszyła ramionami. To wystarczyło.

– Nie – odpowiedziała Liz. – To nie w twoim stylu.

– A co jest w moim stylu?

– Lepiej powiedz, co teraz zamierzasz zrobić – odparła. – Przyznaję, że wszedłeś sobie tutaj jakby nigdy nic, ale nie wszędzie ci się to uda.

– W redakcji się udało – rzuciłem.

– W porządku – wtrąciła Pat. – Załóżmy, że faktycznie jest, jak mówisz. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie mam pojęcia. Teraz, kiedy wiem, że Marsiano wygrał, dobrze byłoby przynajmniej dowiedzieć się dlaczego. Musiał chyba coś na mnie mieć, skoro do tej pory nie wyciągnąłem jego brudów na światło dzienne. Podejrzewam, że

zagroził, że zrobi wam krzywdę. Frank, jak długo jesteście z Liz?

Cała trójka patrzyła na siebie, jakby związani byli niewidzialną, duszącą ich szyje nitką. Na ich twarzach nie było zrozumienia. Zamiast niej dostrzegłem podejrzliwość. Frank przerwał przedłużającą się ciszę, odsuwając teatralnie talerz.

– Są dwie opcje – powiedział. – Ten... jak mu? Marsiano?

– Tak, Marsiano.

– Albo faktycznie miał coś na ciebie, albo zagroził, że naśle kogoś na nas, albo...

– Albo zrobiłeś coś, czego nie pamiętasz – dokończyła Pat.

– O czym ty w ogóle mówisz, Jerry? – wtrąciła Liz. – Jaki Marsiano?

Pierwsze słyszę.

Pat patrzyła na mnie wielkimi błękitnymi oczami i przetwarzała coś.

– Powiedz lepiej co z twoją książką? – rzuciła.

– Książką? – zapytałem zdziwiony. W moim umyśle pojawił się impuls.

Faktycznie, w pliku Jerry'ego z zapisem ostatnich kilku miesięcy było wspomniane coś o gromadzeniu materiałów do książki.

– Tak, z książką? Nie pamiętasz? – spytała Elizabeth.

– No właśnie, co z twoją książką? – Frank zastukał palcem o stół, jakby rościł sobie prawo do tantiem.

Spojrzałem na nich kompletnie zbity z tropu i przeciągnąłem dłońmi po zmęczonej twarzy. Gdy starłem z czoła znużenie i zaskoczenie, obecni przy stole wymienili konspiracyjne spojrzenia.

– Czy jesteś pewien, że nie pamiętasz nic o książce? – spytała Elizabeth.

– Jestem pewien, że nie pamiętam – odpowiedziałem. – Przecież mówiłem, że nie pamiętam.

– A co, gdybym powiedział ci, Jerry – Frank ożywił się nieco, rzucił okiem na Pat i ciągnął dalej – że w twoim domu, pod dywanem w salonie znajduje się schowek, w którym trzymasz to, co bałeś się trzymać w sejfie?

– Powiedziałbym, że to sprawdzę, że to mało prawdopodobne, ale sprawdzę. Powiedziałbym też, że chciałbym wiedzieć, skąd wiesz o tajnym schowku w moim mieszkaniu i zapytałbym jeszcze, co w ogóle wiesz o mnie i o książce.

– Niewiele – odparła Pat – poza tym, o co wypytywałeś mnie i Nicka, niewiele.

– Mnie nie pytaj – Elizabeth wzruszyła ramionami. – Nie przesłuchiwałeś mnie, tylko ich.

– Moim zdaniem nawet zbyt dokładnie – odezwał się Frank.

– Ach, dajże już spokój, Frank – jęknęła Pat. – Przecież nikt nie kazał ci...

– Wystarczy! – przerwał. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli Jerry sam dojdzie do tego, co się stało. To nie nasza sprawa. Jerry, ta rodzina i tak już dość przez ciebie wycierpiała.

– Masz chyba na myśli, że to twoja kariera ucierpiała, Frank! – syknęła Pat.

– Przestańcie oboje – ucięła Elizabeth. – Co planujesz? Musisz iść do neurologa. Może jest ktoś, kto mógłby ci pomóc? Może jakaś kuracja? Na pewno jest coś, co pozwoli ci sobie przypomnieć.

– Ale w tym właśnie problem. Może ja niekoniecznie chcę sobie przypomnieć? Z tego, co widzę, Jerry był niezłym artystą i tak naprawdę niewiele udało mu się w życiu osiągnąć.

– Do artysty wiele mu brakowało.

– Więc aktywistą. Zgrywał się na wielkiego aktywistę – odparłem.

– Po pierwsze – Pat uniosła kciuk do wyliczanki – nie mów o sobie w trzeciej osobie. Po drugie nie mów o sobie tak, jakbyś był kimś, kim nie jesteś. Przecież się wcale nie zmieniłeś. Patrzę na ciebie i widzę tego samego dziwaka co zawsze. I po trzecie nie byłeś i chyba nigdy nie będziesz aktywistą. Jesteś zbyt zapatrzony w siebie, żeby można było cię tak nazwać.

– Dobra, mniejsza z tym. Powiedzcie co z książką? – zapytałem.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sam ją przeczytasz i zdecydujesz, co zrobić dalej – przyznała Elizabeth.

– Masz rację. Może to rzeczywiście nie taki zły pomysł – odparłem.

Liz wstała i wyniosła talerze. Pat rozlała resztę wina do lampek.

Resztę wieczoru spędziliśmy na rozmowie o dzieciństwie Pat, kompromitujących scenach ze ślubu Franka i Elizabeth i niecodziennym zjawisku zwanym amnezją. W zasadzie czułem się jak stary znajomy, odwiedzający ich po dłuższej przerwie. Byłem osobliwym zjawiskiem w życiu trójki dziwaków, z których jedynie Pat odbierała mnie, jakby nic się nie stało. Jej młodzieńczy nonkonformizm emanował w każdym gościu. Uznałem, że jeśli ktoś miał do Jerry'ego największy dostęp, to była właśnie ona. Pozostawało jedynie zadać pytanie: czy pełniła w tym wszystkim jakąś rolę? I kim właściwie jest ten Nick, o którym wspominała?

Po obejrzeniu serii nudnych rodzinnych zdjęć, postanowiłem zabrać się stamtąd i uwolnić ich od mojej osoby. Pat odprowadziła mnie do drzwi, po raz ostatni próbując upewnić się, czy nie symuluję amnezji.

– Nick cię pozdrawia. Martwił się o ciebie tak samo jak ja. Nie odzywałeś się tak długo.

– Kto to jest Nick? – odparłem najzupełniej szczerze.

– Mój chłopak, Jerry. Facet, z którym spiam. Pamiętasz?

– Nie, nie pamiętam – odparłem niepewny. Zastanawiałem się, czy mam jakoś zareagować.

– Ty rzeczywiście nic nie pamiętasz? – uśmiechnęła się lekko.

– Nic a nic.

– Spoko, zupełnie jakbym miała nowego starego – dodała.

- Skoro tak twierdzisz.
- Może to i lepiej.
- Lepiej? – spytałem.
- Tak, będziemy mogli zacząć, jak ty to ująłeś? Z czystym kontem?

Wzruszyłem ramionami. Chciałem być obojętny. Ale nie potrafiłem. Patrząc na nią, odniosłem dziwne wrażenie, że jest bardzo ważna i że to właśnie ona trzymała Jerry'ego w kontakcie z pozostałą dwójką. Patrząc na nią, po raz pierwszy poczułem, że wraz z pamięcią straciłem coś ważnego, wspomnienia o Pat i te lata, gdy byłem jej ojcem.

- Jak tam sobie chcesz – rzuciłem.
- Teoretycznie, dopóki nie odzyskasz pamięci, nie mogę mieć do ciebie o nic pretensji. A nawet gdybym miała, nie wiedziałabyś, o co chodzi.
- No, raczej tak.
- Tak więc, Jerry, jesteś zupełnie obcym facetem – mówiąc to stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek. – Dobrze, że nic ci nie jest.
- Dziwne uczucie – pomyślałem i ruszyłem w stronę samochodu.

Gdy wsiałem do starego forda, mój umysł automatycznie przeniósł się do schowka w salonie. Ciekawość zaczęła drążyć wyobraźnię, a ta wiła się jak rozjuszona żmija. Dlaczego ukryłem ją tak dokładnie? Co ważnego mogłem zapisać w pendrive, że wymagało to osobnej, starannie zakamuflowanej skrytki?

W drodze do domu zahaczyłem o sklep na rogu i zaopatrzyłem się w butelkę taniej whisky. Smak Burbona był jedną z tych rzeczy, które przypomniały mi się bez problemu. Właściwie nie było to wspomnienie a odruch, mimowolny uśmiech na wspomnienie smaku uwięzionego na dnie szkła. Była to również jedna z tych rzeczy, które lubiłem w sobie i za które się szanowałem. Potrafiłem wypić i szybko się regenerowałem. Pierwszą szklankę wypilem jednym haustem. Drugą nalałem, by poczekała, aż pierwsza zacznie działać.

Odsunąłem na bok szklaną ławę, zerwałem przybity do podłogi dywan i od razu zauważyłem szparę w podłogowych klepkach. Podważyłem jedną z drewnianych płytek i wyjąłem. Na spodniej stronie, w wydrążonym otworze znajdował się przyklejony taśmą pendrive.

Kiedy otworzyłem zawartość pamięci, w środku znalazłem folder, a w nim plik tekstowy i kilka zdjęć z trójką nowo poznanych krewnych, choć na dobrą sprawę Franka można było zaliczyć do zupełnie innej, odległej rodziny stworzeń. Zdjęcia, na które patrzyłem, jak każde inne rodzinne fotografie, odznaczały się elementami dynamiki, emocji i znudzenia. Łączył je klasyczny wątek popołudniowego barbecue pod pretekstem spotkania lub spotkania pod pretekstem barbecue. I zapewne nie byłoby w nich nic dziwnego, gdyby nie wiadomość

rozcłonkowana na powierzchni zeskanowanych fotografii. Napis głosił: „Co dalej? Twój ruch”.

Gdybym był grafologiem z pewnością z linii flamastra wyczytałbym, że autor tajemniczego tekstu był inteligentnym, zdyscyplinowanym choć nerwowym osobnikiem. Niestety ostre skrzywione pismo nie sugerowało nic poza ewentualnym agresywnym usposobieniem autora. Jedyne, co mogłem wywnioskować ze słów nakreślonych czarnym flamastrem to to, że na pewno nie chodziło tu o rozgrywaną na odległość partię szachów.

Zdjęcia wykonano z różnych odległości tak, aby dać do zrozumienia, że byłem obserwowany. Były profesjonalnie wykadrowane i im dłużej się im przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że nie były dziełem zbirów Marsiano. Data, którą aparat naświetlił na kliszy, została umieszczona tam najwidoczniej celowo, tak abym już na pierwszy rzut oka wiedział, kiedy i o której godzinie moje życie było w niebezpieczeństwie. Tymczasem nie chodziło przecież o moje bezpieczeństwo. To Frank, Liz i Pat mieli być kartą przetargową.

Sącząc whisky z niskiej, wypełnionej lodem szklanki przeglądałem zdjęcia i zastanawiałem się, co o tym wszystkim myśleć. Czy to była moja rodzina? Czy powinienem się martwić?

Naburmuszona mina Jerry'ego podczas nakładania warzyw sugerowała, że nie czuł się tam najlepiej. Wyglądał jak daleki krewny, który trafił tam przez pomyłkę i właśnie uzmysłowił sobie, jak bardzo tego żałuje. Frank stał przy grillu, Liz gestykulowała, stojąc nade Jerry'm, a Pat śmiała się do rozpuku, przytrzymując dłonią czoło, by nie opadło na blat stołu. Było jednak coś, co niepokoiło mnie w tych zdjęciach: odległość, z jakiej je wykonano. Na pierwszym, zapewne celowo, ujęto dom Jerry'ego z odległości kilkudziesięciu metrów. Na drugim powiększono i złapano w kadr ogród, tak, że widać było wyraźnie postacie kręcące się wokół stołu. I dopiero na trzecim dostrzec można było kwaśny wyraz twarzy i zmarszczone brwi, kiedy cały w majonezowym sosie Jerry podnosił z talerza piłkę bejsbolową sąsiadów.

Jakby nie patrzeć było to ostrzeżenie. Sekwencja zdjęć mówiła: mam cię jak na dłoni i nie chodzi o kadr obiektywu.

Nie wiedziałem, na ile Jerry wziął to na poważnie i czy był to ostatni sygnał ze strony szantażysty. Zastanawiało mnie, dlaczego Jerry w ogóle zeskanował i zachował te zdjęcia. Jaki mógł mieć powód, żeby je tutaj ukryć? Jeśli chciał zataić to wszystko przed Liz i Pat, mógł przecież po prostu się ich pozbyć. A jednak z jakiegoś powodu nie zrobił tego. Czyżby planował mały odwet? Bo jeśli tak to zbieranie dowodów musiało utknąć w martwym punkcie. Oprócz fotek i pliku tekstowego nie było tam nic innego, a fotografie przecież niczego nie dowodziły.

Z drugiej strony przyczyną zabezpieczenia zdjęć mogła być najzwyczajsza rzecz w świecie: potrzeba sprawiedliwości. Same fotografie nie stanowiły żadnego

dowodu, ale w połączeniu ze świeżą klepsydrą ozdobioną nazwiskiem Dawson, obrazy miały potencjał stać się nie lada zagadką do rozwiązania. Mogłyby poruszyć wyobraźnię niejednego detektywa. Nie można też zapomnieć, że Jerry pisał wtedy książkę, a jeżeli książka ta warta była ryzykowania dla niej życia i jeżeli faktycznie zamierzał ją opublikować, to może właśnie temu miały służyć ukryte zdjęcia. Każdy wie, że nic tak nie nakręca biznesu, jak świeży trup, a pozostawienie dowodów ewentualnego zabójstwa byłoby jak heroinowy strzał w skostniałą żyłę każdego wygłodniałego bestsellerów redaktora.

Odsunąłem temat zdjęć i zabrałem się za przeglądanie tekstu. Myślałem, że pójdzie łatwiej, ale nie poszło. Przeczytanie „książki” Jerry’ego zajęło mi kilka godzin. W pliku zapisanym na pendrivie i pieczołowicie ukrytym jak największy skarb znajdowało się trzysta siedemdziesiąt siedem stron dziennikarskiego samouwielbienia. To, co Pat i Liz nazwały książką, w niczym nie przypominało profesjonalnej publikacji. Daleko było jej do reportażu, a jeszcze dalej do publikacji naukowej. Co prawda tekst zawierał kilka ciekawych źródeł, ich analizę i próbę oceny pewnych zjawisk, ale ogólny moralizatorski styl, fabularyzowanie faktów i bezpardonowy ekshibicjonizm przekreślały tekst jako dokumentalny. Nie rozumiałem, jak Jerry mógł pomylić się tak bardzo. Dla tego tekstu zaryzykował przecież i stracił wszystko, nad czym pracował przez większość życia. Powinien wiedzieć, że relacjonując własny upadek, nie miał szans na wzbudzenie zainteresowania wydawców. Jego naiwność była rażąca, a podejście do sprawy nieprofesjonalne. Było jednak coś, co działało na jego obronę. W tekście znalazło się nie tylko archiwum części jego życia, ale również sprawy, o których nie miałem do tej pory pojęcia. Choćbym nie wiem jak odcinał się od Jerry’ego, choćby nie wiem, jak mnie irytował, jednego nie mogłem mu odmówić: przekonał mnie.

Przedmowa

Mógłbym powiedzieć, że wszystko zaczęło się od przypadkowej rozmowy, ale nie zrobię tego. Mógłbym powiedzieć, że zainspirował mnie jakiś szczególny przypadek, potworność lub doniosłość chwili, ale tego również nie przyznam. Do napisania tej książki nie skłoniło mnie nic innego, jak wieloletni, niezmienny stan nasilającej się bezsilności, jaką odczuwam, obserwując naiwność, obojętność i ignorancję ludzi, których nie obchodzi, w jakim kierunku zmierza świat. Przez pierwszą część życia byłem tak jak każdy z nas – bardziej lub mniej szczęśliwą larwą, pozerającą po kawałku liść, który zamieszkiwała. Moje życie było procesem rozrastania się, wypełniania sobą przestrzeni fizycznej i przestrzeni mentalnej w świadomości innych. Egzystencja była niczym niezmaconą konsumpcją. Ten pierwszy etap życia był błogim czasem, bo wypełnionym prostymi obowiązkami, płytkimi przyjemnościami, rytuałami nieskażonymi ciężarem świadomości. Ale były w nim i te, które dawały przecucie, że być może nie tędy droga, że nie tu leży prawda. Był to też okres, w którym dzięki przedzierającym się przez liście promieniom słońca zacząłem dostrzegać rozświetlaną miejscami ciemność, tkwiącą gdzieś obok, na pozór niewidoczną i ukrytą głębię, prawdę spoczywającą gdzieś poza zasięgiem wzroku. Zastanawiała mnie wtedy i przerażała ta mroczna otchłań i cisza, podobnie zresztą jak i świadomość, że tak naprawdę nie wiemy nic, że przemierzamy życie po omacku jak larwy na liściu, z którego pozostał już jedynie niewielki, kruchy fragment.

Siłą rzeczy okres ten nie mógł trwać wiecznie. Po kilkunastu latach beztroskiego przeżuwania, wydalania i spoglądania w niebo nadszedł czas, by z larwy przejść w dorosłą, mniej skrępowaną postać. I tu właśnie los wszedł w szatański układ z czasem, oszukując mnie, otumaniając i w końcu strącając w przepaść.

Żona, córka, przyjaciele, praca, czynsz, kredyt, przyszłość, wszystko stało się tym, czym musiało się stać – więzieniem i cełą wśród niemych, głuchych i ślepych istnień. Nikt nie widzi, co kryje się za krawędzią. Nikt nie przeczuwa, że jego potomstwo skazane będzie na beznadziejną walkę o przetrwanie.

Ciemność poniżej pociągała mnie, kusila i obiecywała, że to właśnie ona jest jedynym wyjściem i jedyną prawdziwą drogą. Wmawiała mi bezustannie, że jeśli zmienię postać i wzbiję się wzwyż, zawładnie mną bezduszny wiatr i będzie targał

mną do końca życia. Szeptala do mnie, mówiąc, że będę niewolnikiem czasu, że każde „mogę” na „muszę” zamienię, a „wiem” za „mam” sprzedam. I kiedy tak stałem nad krawędzią i rozmyślałem, czasami dochodziło do mnie echo innych, spadających wokół larw. Traciłem powoli grunt pod nogami a jednak wciąż przedłużałem ślepa vegetację, spoglądałem raz po raz, to w dół, to w górę i zastanawiałem się: co począć? Co zmienić? Co zrobić, by nie skończyć w dole, pozostawiając po sobie jedynie obgryziony liść? Traciłem czas, esencję życia. Upływał, zamykając nade mną korony drzew, odmawiając mi upragnionego słońca i złudzenia, do którego wszyscy dążą.

A gdy wybiła ostatnia godzina, a ja wciąż wpatrzony w czeluść wyczekiwałem skrzydeł, osunąłem się lekko i powoli, bez podejrzeń zacząłem opadać w dół.

Płynnie, niemal niezauważalnie wirowałem na mym liściu po delikatnej linii naznaczonej dłonią losu. A gdy dotknąłem powierzchni mroku, zamknąłem oczy i powoli zanurzyłem się w bagnie rzeczywistości. Opadając na dno, w odmętach faktów i bredni zacząłem spoglądać w górę, ku zanikającym promieniom, ku wichurze oczekiwań i rozczarowań i zacząłem rozumieć, dlaczego nie chcę zwykłego przepoczwarzania, dlaczego nie powinienem unosić się ponad bagnem i unikać go. W rozległym obrazie zniszczenia, który rozpościerał się wokół, mój mikroskopijny wkład stawał się nie tylko widoczny, ale i namacalny, bo po raz pierwszy świadomy.

Był to czas, w którym wsłuchiwałem się w ludzi, piłem ich słowa, trawiłem czyny i podążałem śladami, które pozostawiali. I nie trzeba było przekonywać mnie, że ziemia, po której pełzną ginie, że niewiele już czasu pozostało, a nam, pasożytom protestującym przeciw słabej przepustowości jej naczyń krwionośnych nie zależy już na ewolucji, że interesują nas jedynie kolejne organy, w których moglibyśmy złożyć jaja.

I tak oto postanowiłem swym małym larwim głosem wzbić się wysoko ponad odmęt uwarunkowań, ponad wypełniającą go próchnicę wartości. Postanowiłem spróbować zmienić coś, osuszyć mój kawałek moczarów, pozbyć się stęchlizny i smrodu, bezsilności i obojętności, powiedzieć innym larwom, że i one mogą coś zmienić, że tak jak ja muszą tylko chcieć. Tylko jak to zrobić, skoro wciąż są wysoko nade mną, w koronach drzew, w bezpiecznej odległości od ziemi, w komfortowej obfitości zieleni, w obiecującej perspektywie iluzorycznych zmian i oczekiwań?

Gdybym mógł, potrząsnąłbym pniem, strąciłbym je i sprawił, by wszystkie runęły w dół i przejrzały na oczy. Wiedziałem jednak, że nawet gdybym to zrobił, wszystkie w pośpiechu wpełzłyby ponownie na górę, obrzydzone jakością powietrza, ziemi i wody, które musiałyby ze mną dzielić. Jedyne, co mi pozostało, to przemówić do ich sumienia i poczucia bezpieczeństwa. Musiałem przekonać je,

że oprócz tej łatwej i wygodnej drogi istnieje również inny, słuszny wybór, którego mogą dokonać.

Moim wyborem i moją drogą okazały się słowa i zapewne słowa do końca nimi pozostaną. Wierzę w to i trwam przy tym, bo jedyne, co mi pozostało, to wiara, że każdy ma w sobie siłę, której może zaufać.

Wszelkie informacje zawarte na kartach tej książki, jak i osoby, które spotkałem, są prawdziwe. Jedyne w kilku przypadkach zmieniłem nazwy i imiona tych, którzy na to zasługują, by uchronić ich przed niebezpieczeństwem prawa i bezprawia. Przypisy znajdujące się na ostatnich stronach dowodzą nie tylko moich obaw, ale i prawdy, która kryje się na tych stronach. Jest to historia poszukiwania prawdy i wiary w to, że mimo wszystko można coś zmienić, jeśli tylko wystarczy nam odwagi.

I. Sprzeciw

Był duszny lipcowy poranek dwutysięcznego roku. Klimatyzacja w redakcji działała bez zarzutu, a mimo to na mych plecach zdążyła już wykwitnąć niewielka, ciemna plama potu. Przeciśnięta przez pory pozostałością alkoholu była niezaprzeczalnym dowodem na to, że stres znów wzbierał. Pracowałem mozolnie nad kolejnym felietonem, próbując siłą woli pokonać złośliwość rzeczy martwych. Mój komputer był już zbyt stary i zmęczony, żeby nadażyć za wymogami Internetu i nie pomógł mu nawet kolejny przeszczep pasożytniczego Windowsa. Byłem wyczerpany nadażaniem za coraz większą ilością przetwarzanych informacji. Chwilami odczuwałem tę dziwną synchronizację z maszyną, gdy żadne nie nadażało za tymi samymi danymi. Co prawda sporadycznie pojawiały się takie chwile, gdy wydawało się, że opanowuję gąszcz pootwieranych dokumentów, ale wtedy zawsze zadzwonił telefon lub ktoś podszedł i cała koncentracja rozpadała się jak domek z kart. Tak było i tym razem.

Czerwona lampka na przetartym grzbiecie telefonu migiała agresywnie, podpowiadając, że po drugiej stronie linii czekał redaktor naczelny Jack Fisher.

W miarę, jak moja dłoń zbliżała się do słuchawki, zacząłem analizować możliwy przebieg najbliższego kwadransa. Na biurku Jack'a wciąż leżał wczorajszy artykuł, a że jedynie artykuły bez zastrzeżeń pozostawały tam dłużej niż dziesięć minut, mogłem być pewny, że znów zinterpretował go nie tak, jak chciałem. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak krytykuje któryś bezsprzecznie poprawnych fragmentów tekstu, po czym wybiera banalne, przypadkowe sformułowanie i chwali je, dodając, że czegoś takiego właśnie oczekiwał.

Redaktor naczelny Financial Journal nigdy nie oczekiwał, że będę robił to, co do mnie należy. Tak jak każdy redaktor naczelny spodziewał się, że będę pisał tylko to, czego według niego pragną czytelnicy. A jeśli wziąć pod uwagę, że większość odbiorców pisma to dobrze zarabiający profesjonaliści między dwudziestym ósmym i czterdziestym piątym rokiem życia... Cóż, powiedzmy, że nie miałem zbyt wielkiego pola do popisu, jeśli chodzi o rzetelne przekazywanie informacji.

Jack Fisher, jak każdy szanujący się profesjonalista, oczekiwał informacji rzeczowych i przydatnych, o ile zgadzały się z ogólnie panującymi w mediach trendami. Dlatego każdy felieton, podobnie jak ten o efekcie cieplarnianym, który leżał na jego biurku, miał z założenia ograniczać się do informacji, które dawały choćby złudzenie użyteczności.

Cała sztuka polegała na tym, by przy pomocy oczywistych faktów i niezbyt wyszukanych frazesów wzbudzić w czytelniku poczucie własnej wartości i przekonanie, że wiedza, którą właśnie posiadał, nie pochodzi z czasopisma, a jest

wynikiem przenikliwego intelektu i umiejętności logicznego rozumowania. Dlatego celowo wplatałem w tekst sformułowania, które pozostawiały miejsce na wątpliwość i odpowiedzi. Było dokładnie tak, jak mawiał mój profesor: „zamknij w klatce kota, a szczury wręczą sobie medale”.

Kiedy podniosłem słuchawkę, utwierdziłem się w przekonaniu, że po raz kolejny tego dnia jestem obserwowany. Zanim głos z drugiego końca linii przedarł się przez ucho wewnętrzne, Keith jak zwykle wyrósł jak spod ziemi i przemknął obok niby przypadkowo.

– Tu Dawson. Słucham? – rzuciłem, patrząc na przemykającego obok szpiega. Nie był zbyt biegły w inwigilacji.

– Jerry, czy możesz podejść na moment? – zabrzmiał podejrzanie przyjazny głos mężczyzny po drugiej stronie.

– Zaraz będę – odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Było naprawdę gorąco. Myśli ciążyły jak zbyt mocno załadowane wagony, a pociąg zadań, na który liczył Fisher, z trudem wspinał się na wzgórze koncentracji.

Byłem gotów na kolejną przegraną w batalii o pozory dziennikarskiego rzemiosła. Nie miałem więcej siły, by rozglądać się za Keithem i próbować odgadnąć, z jakiego powodu tym razem obserwuje mnie z ukrycia. Po raz pierwszy zauważyłem, że rozpoczął tę nieudolną kampanię obserwacyjną przed około dwoma tygodniami, dokładnie dwa dni po mojej rozmowie z Bennym Marsiano. Jeśli miało to jakiś związek z materiałami, jakie gromadziłem w sprawie budowy Proximity Centre, to trzeba przyznać, że był jeszcze bardziej nieporadnym śledczym niż ja, kiedy byłem w jego wieku. Wszystkie materiały obciążające Marsiano były tutaj, w redakcyjnym komputerze, a on wciąż zdawał się o tym nie wiedzieć. Albo nie obszedł zabezpieczeń konta, albo zrobił to tak, że nie zauważyłem. Musiał być więc prawdziwą sierotą albo niezłym cwaniakiem. Tak czy inaczej zostawiłem materiały tutaj, aby zidentyfikować konfidenta i posunąć sprawę naprzód.

Kiedy wszedłem do przestronnego pokoju szefa, Jack od razu przeszedł do sedna.

– Artykuł jest w porządku. Wykreśliłem tylko jedno zdanie, ale nie po to cię tu wezwałem – powiedział.

– Zamieniam się w słuch – odparłem, siadając naprzeciwko.

Czułem, że to jedna z tych okazji, kiedy chciał pokazać, że nasza poufałość służy jedynie osłabieniu czujności i wyprowadzeniu ataku nie do odparcia.

– McAlister nie odzywa się od rana i nie pojawił się w pracy – powiedział bez emocji.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Wiesz dobrze, że miał opisać zjazd republikanów. Jeśli nawali i nie będę

miał nawet pół strony sensownego tekstu na ten temat, będzie mógł pożegnać się z premią.

– Na pewno nawali. Mam go zastąpić?

– A jak ci się wydaje?

– W porządku – odparłem. – Jaki ma być tekst? Sensowny czy ciekawy?

Zastanawiałem się, czy zniosę kolejne godziny konferencji prasowych, nużących przemówień i oficjalną przedwyborczą gloryfikację konserwatywnych cnót i obłudy.

– Ciekawy – odpowiedział bez zastanowienia. – Ma być ciekawy. Dodaj tylko kilka cytatów, żeby wiedzieli, że czytają o polityce, a nie kronikę towarzyską.

– Rozumiem, że wciąż rozróżniamy te dwie dziedziny? – Spojrzałem na szefa. Jego wzrok skrył się pod splecionymi palcami dłoni. Najwidoczniej nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– Jeśli nie chcesz... – powiedział, przerywając w pół zdania. – Zawsze mogę wysłać Keitha. Daję ci ten temat jedynie przez wzgląd na wszystko, kim byłeś, zanim...

– Nie ma potrzeby szturchać zwłok patykiem – przerwałem. – W porządku. Opiszę zjazd.

– Świetnie – Jack przyklasnął, jakby jego dłonie miały magiczną moc zatwierdzania kontraktów.

– A co z nimi? – spytałem, podchodząc do okna.

Na zewnątrz, pięć pięter pod nami, przesuwają się masy anonimowych przechodniów. Nie chodziło o nich i Jack doskonale o tym wiedział.

– Dlaczego by nie? – przyznał. – Zrób kilka zdjęć, ale postaraj się, żeby były... – zastanowił się, szukając odpowiedniego słowa i dokończył – obiektywne. W końcu, nie chcemy przecież, żeby ktoś posądził nas o brak obiektywizmu, prawda?

– Zapowiada się na sporą manifestację – przyznałem. – Kiedy jechałem tutaj rano, aż roilo się od mundurów. Podejrzewam, że przy Wachovia Centre będzie ich już całkiem sporo.

– Wiesz, że nie jesteśmy brukowcem – Fisher kontynuował. – Nie będziemy opisywać szarpaniny z policją, ale kilka kropel dramatyizmu nie zaszkodzi.

– Wiem, wiem. – Jego uwagi już dawno przestały robić na mnie wrażenie. Musiałem jedynie wyczekać do końca i zrobić swoje.

– Tylko pamiętaj – powiedział – jeśli coś schrzanisz, nie będziesz miał drugiej takiej szansy. Wiesz, o czym masz napisać?

Przytaknąłem.

– Zjazd republikanów, kilka fotek Cheney'a, Bush'a i jakiś zarys kampanii wyborczej.

– Tak – potwierdził – to twój główny temat. Wszystko, co zdecydujesz

dodać od siebie, robisz na własne ryzyko, więc uważaj. Nie chciałbym, żeby...

– Dobrze, rozumiem – przerwałem. – Dostanę fotografa, czy mam sam schrząnić te zdjęcia?

– Nie mam teraz nikogo wolnego. Jeśli chcesz, weź Keitha. Nie jest fotografem, ale i tak nie ma nic do roboty.

– W porządku. Coś jeszcze? – spytałem, stojąc w drzwiach.

– Przyniesie dobry tekst – odparł. – To wszystko.

Wyszedłem na zewnątrz w gorący zaduch redakcji. Przemierzając otwartą przestrzeń między biurkami przyglądałem się mrówkom pracującym cierpliwie nad kolejnym wydaniem. Każda miała ściśle określoną funkcję i gdybym nie znał każdej z osobna, mógłbym pomyśleć, że znają się na tym, o czym piszą. Na przykład Helen, która uśmiechnęła się lekko, gdy przechodziłem obok jej biurka, pisała właśnie z zawziętą miną o kolejnej porażce sektora produkcyjnego, ofierze złożonej na ołtarzu chińskiej taniej siły roboczej. Znała doskonale temat i przepowiadała nadchodzącą katastrofę. A raczej powinna była przepowiedzieć. Gdyby ktoś przyjrzał się jej skupionym oczom i twarzy, oddającej wewnętrzne sprzeczności, mógłby odczytać z niej nie tylko świadomość klęski, ale też zakorzenioną głęboko wolę przetrwania, dziennikarską ambicję i ból konformizmu, który zamykał jej usta, tak, jak wszystkim wokół. W przeciągu następnych kilku lat region Filadelfii miał się okazać czarną dziurą bezrobocia, ale ani Helen, ani nikt inny z redakcji nie ośmielił się wspomnieć o tym choćby słowem. W ich szufladach piętrzą się sterty dokumentów, zalegają setki analiz, prognoz inwestycyjnych, międzynarodowych kontraktów, a i tak żaden po nie nie sięgnie. Byłoby to równoznaczne z naciśnięciem spustu pistoletu przyłożonego do skroni ich dziennikarskiej kariery. Helen z pewnością wiedziała, o czym pisze, ale dla dobra własnego i rodziny wolała udawać, że jest inaczej. Kryzys już deptał nam po piętach, czytelnictwo spadało, a redakcje w całym mieście redukowały personel. Wychodzenie przed szereg i alarmowanie publiki bez wyraźnych wytycznych z góry nie leżało w interesie żadnego dziennikarza. Zatrzymałem się i spojrzałem jeszcze raz na Helen. Było mi jej żal. Pomimo że mogła skryć się w czterech ścianach domu na kredyt, ogrzać ciepłem nadpobudliwego męża i pokrzepić myślą o przyszłości dwójki dzieci, widać było, że jest nieszczęśliwa. Zaprzedała się i nie mogła cofnąć do miejsca, w którym był jeszcze wybór. Wolny duch jej dziennikarskiej dociekliwości miotał się i szarpał w klatce pod biurkiem. Czasami szturchnęła tę klatkę, lub kopnęła butem, żeby uwięziony w niej uspokoił się, zamilkł i dał jej pracować, ale nawet wtedy wyrzuty sumienia nie znikwały z jej twarzy.

Za kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat zasili szeregi martwych idealistów, którzy budzą się pod koniec życia ze świadomością, że byli tylko teoretykami. Niestety takich martwych idealistów pracujących w gazetach zdążyło się już zebrać

całkiem sporo. Natomiast młodzi, wciąż żywi, którzy może i chcieliby coś zmienić, nie mieli jeszcze porządnego zaplecza – wiedzy i doświadczenia – niezbędnych do skutecznego wyrażania obaw i sprzeciwu. Zdarzali się jednak weterani – specjaliści w swoich dziedzinach, którzy potrafili wbrew systemowi zachować w sobie okruchy godności. I to właśnie oni, między wierszami felietonów przemycali prawdę wśród zniekształconej prasowej rzeczywistości. Osobiście nigdy nie zaliczałem się do tej kategorii. Rutyna pochłonęła mnie zbyt szybko i w końcu nie miałem już nic do powiedzenia. A przynajmniej nic na tyle znaczącego, by utożsamiać się z tą drużyną stracenców. Odkąd pamiętam, tkwiłem wąskim gronie zrezygnowanych hipokrytów.

Idąc dalej przez usianą biurkami przestrzeń, spostrzegłem Keitha obserwującego mnie znad ekranu Maca. Jego wzrok był odrobinę wolniejszy niż mój, więc zdążyłem uchwycić skrawek zainteresowania ukryty pod maską arogancji.

– Jeśli potrzebujesz czegoś, po prostu powiedz – zwróciłem się do niego najbardziej życzliwym głosem, na jaki było mnie stać.

– O, cześć, Jerry. – Udawał zdziwionego. – Wszystko w porządku? – Spojrzał wymownie w stronę gabinetu Jacka. – Fisher zdaje się łagodnieje na stare lata, co?

– Czy po to przywołujesz mnie wzrokiem całymi dniami? Żeby mi to powiedzieć?

– Nie rozumiem. – Zmieszał się. – O co ci chodzi, Jerry?

– Wiem, że z jakiegoś powodu bardzo intryguje cię to, co robię. Jeśli chcesz, ułatwię ci te podchody i odpowiem na wszystkie pytania. Tylko nie szpieguj mnie więcej, bo jesteś w tym tak nieudolny, jak Laurie, która właśnie stanęła za mną.

– Cześć, Jerry! – Kobięcy głos dobiegł zza moich pleców.

– Dla ciebie pan Dawson, dziecko – odrzekłem i odwróciłem się powoli. – Czego chcesz?

Drobna brunetka o nagich ramionach i głębokim dekolcie prowokującym wszystkich w biurze, stanęła za mną z szerokokątnym obiektywem wycelowanym prosto w moją twarz. Miała na sobie cienki, szary top bez rękawów i błękitne, idealnie dopasowane dzinsy. Jej strój spełniał swoją funkcję, przyciągając wzrok wszystkich facetów w redakcji, a mnie dodatkowo irytował.

– Pięknie – wyznała wyraźnie zachwycona obrazem mojej dojrzewającej irytacji. – Podobno wybiera się pan na zjazd Republikanów? Pan Fisher powiedział, że mogę jechać z panem. Oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Dawson? – dodała, kładąc nacisk na przedostatnie słowo.

– No dobrze, mów mi Jerry, ale robieniem zdjęć podczas zlotu zajmie się Keith. Zresztą jest coś, o czym musimy z Keithem porozmawiać, prawda?

– Ależ nie nie, to nic takiego. – Chłopak wzdrygnął się i wskazał na

rozczarowaną Laurie. – Ona na pewno robi lepsze fotki niż ja. Zresztą myślę, że powinna się uczyć. W końcu po to tutaj jesteś, prawda skarbie?

– Po pierwsze nie jestem twoim skarbem, już ci to mówiłam – syknęła, zwięzając powieki. – A po drugie... – zrobiła małą przerwę, po czym zupełnie zignorowała chłopaka i zwróciła się do mnie, wypinając do przodu niewielkie, acz kształtne piersi. – No to jak będzie, panie Jerry?

– W porządku – zgodziłem się. – Tylko postaraj się nie plątać pod nogami.

Pomyślałem wtedy, że za kilka lat mógłbym się w niej zakochać. Wziąć mógłbym ją tu i teraz, ale zakochać się... To zupełnie inna bajka. Potrzebowała jeszcze kilku lat, musiała pozbyć się młodszej głupoty, skosztować goryczy wpisanej w zawód. Byłem ciekaw, jak zachowa się, widząc regularną bitwę uliczną, nagłą transformację policjantów i chaos bezprawia, które miały rozegrać się tego dnia. Zastanawiało mnie, jak zareaguje na trójkę krawężników tłukących leżącego nastolatka. Od tego, gdzie leży jej lojalność, zależeć będzie cała przyszła kariera. Gdyby wybrała to, co słuszne, byłbym w stanie ją pokochać. Czarne oczy, pełne usta i olśniewający uśmiech przypominały mi, że kiedyś i ja byłem młody, że tak jak ona traktowałem życie jak obiecującą przygodę. Teraz byłem już tylko urzędnikiem, konduktorem odcinającym kupony w pociągu zmierzającym do kresu życia. Wydawało mi się, że dla niej byłbym w stanie wykrzesać coś jeszcze. Musiałbym tylko dokonać niemożliwego, pozbawić ją próżności, którą była przesiąknięta, oszczędzając przy tym jej młodzieńczą wiarę i naiwność. Potrzebowałem tego, tej nadziei na lepsze jutro, uczucia, które już wiele lat temu ulotniło się, wytarte przez napierającą rzeczywistość.

Kiedy zjeżdżaliśmy windą, do chłodnego podziemnego parkingu nie wiedzieliśmy, co tak naprawdę będziemy opisywać. Dla Laurie był to zjazd członków partii, grupy kongresmenów i przypuszczalnie najważniejszych ludzi w kraju. Jej zadaniem miało być udokumentowanie wystąpień, programów i pomysłów – oczywiście o ile udałoby się je wychwycić. Dla mnie spektakl był wyreżyserowany na potrzeby promocji. Każdy, kto liczył się w grze lub mógł zacząć znaczyć coś po listopadowych wyborach, był potencjalnie kurą znoszącą złote jajka. Konwent był wielką kurzą farmą, gdzie inwestorzy mogli obejrzeć okazy, podkarmić je obietnicami przyszłych tantiem i sprawdzić, na jaki zysk mogą liczyć. Cała sztuka polegała na tym, by wiedzieć, gdzie i kiedy warto pojawić się, by zadać odpowiednim osobom właściwe pytania. W taki dzień jak ten Nagroda Pulitzera była na wyciągnięcie ręki dla każdego młodego, niemającego nic do stracenia publicysty. Na moje szczęście miałem dość dużo do stracenia, więc bez wahania zrezygnowałem z opisywania rzeczy takimi, jakimi były naprawdę. Postanowiłem przedstawić dokładnie to, czego oczekiwał szef. Przemówienia przedwyborcze, podobnie jak opery mydlane, nie budziły we mnie zbyt ciepłych uczuć, postanowiłem więc odtworzyć cały program zjazdu bez konieczności

uczestniczenia w nim.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po uruchomieniu zapłonu, było wyciągnięcie ze schowka niewielkiej radiostacji i dostrojenie jej do częstotliwości używanej przez filadelfijską policję. Następnie wyjechaliśmy na zewnątrz i zaparkowaliśmy na poboczu po przeciwnej stronie jezdni, tuż przed wejściem do lokalnego studia Fox News.

– I co teraz? – zapytała dziewczyna. – Dlaczego nie jedziemy do First Union Centre?

– O której rozpoczyna się konwent? – Skąd mogę wiedzieć? – odparła zdziwiona.

– No to może powiesz mi, jaki jest program obrad?

– Jestem tutaj tylko po to, żeby robić zdjęcia, no nie? – burknęła.

– Dokładnie – odparłem. – Więc proponuje ci zamilknąć i siedzieć cicho, dopóki nie nadarzy się taka okazja.

Nie odpowiedziała. Skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła głowę w kierunku chodnika. Po kilku minutach ciszy nie wytrzymała.

– Właściwie dlaczego tu siedzimy? – spytała nerwowo. – Myślisz, że nie mam lepszych rzeczy do roboty?

Spojrzałem na nią coraz bardziej poirytowany. Nie miała pojęcia o niczym. Była tak zielona jak ja w pierwszy dzień pracy, a siedziała w redakcji już kilka miesięcy. Miałem ochotę podziękować jej za współpracę. Na szczęście radiodbiornik w końcu zacharczał. Pośród szumów i trzasków rozległ się głos któregoś z funkcjonariuszy.

– Centrala? Tu Hamilton. Czy moglibyście przekierować trochę ruchu z głównej arterii na południe od ratusza?

– Tu centrala. O co chodzi, złotko? – odezwał się pewny kobiecy głos.

– Coś się tu kroi – kontynuował policjant. – Na chodniku roi się od ludzi z transparentami. – Stoję na rogu ulic South Broad Street i South Penn Street. Przyślijcie kogoś, jeśli nie chcecie mieć zatamowanego ruchu na południe od magistratu.

Wyłączyłem radio, spojrzałem na zdziwioną dziewczynę i ruszyłem w kierunku centrum.

– Jak ci się udało przechwycić ich sygnał? – zapytała, gdy mijaliśmy ostatni park w tej części miasta. – Nie wiesz, że korzystanie z pasma zastrzeżonego jest karalne?

Zastanawiałem się, czy pyta poważnie, czy może próbuje mi zaimponować wyrafinowanym poczuciem humoru.

– Gdybym nie wiedział, nie siedziałbym w wozie z zamkniętymi szybami przy plus trzydziestu stopniach, prawda? – odparłem.

– No właśnie. – Zrobiła kwaśną minę. – Nie chciałam nic mówić, ale

mógłbyś zamontować klimatyzację.

Spojrzała, jakbym zaprosił ją na randkę w obrzyganym samochodzie. Nie zareagowała. Zaczynała mnie irytować.

– W porządku. I co teraz? Jedziemy pod ratusz? – zapytała.

Z jakiegoś powodu jej głos działał mi na nerwy. Być może to wiek, być może to, że podobała mi się, być może to, że przy tym wszystkim robiła wrażenie po prostu głupiej. Wziąłem głęboki wdech i otworzyłem szybę. Chciałem uwolnić się od powietrza, które musiałem z nią dzielić. Dopuszczałem do siebie możliwość, że moje pierwsze wrażenie było jak najbardziej mylne, ale i tak przekląłem w duchu jej wielkie czarne oczy, głęboki dekolt i to, że jestem samcem. Wrzuciłem kierunkowskaz, zmieniłem pas i nacisnąłem na gaz. Chciałem mieć to za sobą.

Była jedenasta. Serce miasta i przechodnie kroczący mozolnie przez gęste lipcowe powietrze korzystali tłumnie z cienia, który wpełzł na lewą stronę jezdni. Karykatury drzew wtłoczone w kamienne płyty po obu stronach Park Street rzuciły śmieszne plamy dziurawego cienia na czysty, schludny trotuar. Mechaniczna regularność ich kształtów i odstępów między nimi, podpowiadały, że na tych połączeniach Ziemi niepodzielnie panował beton. Kiedy minęliśmy kolejne światła, zza sygnalizacji wyłoniła się sylwetka dziewiętnastowiecznego grafitowego gmachu, a tuż za nim nowoczesne drapacze chmur. W miarę, jak zbliżaliśmy się do centrum, ruch się nasilał, a na chodnikach przybywało ludzi. Przy prędkości trzydziestu mil na godzinę dało się zauważyć większą niż zwykle liczbę umundurowanych krawężników. Zostali tu ściągnięci z całej Pensylwanii. Nie pamiętam, żeby wcześniej rzucali się tak w oczy. Kiedy wjechałem w korytarz cienia rzucanego na ulicę zamkniętą między rzędem niewzruszonych, szklanych budynków, zauważyłem, że większość przechodniów zmierza w jednym kierunku. Sunęli ku dolnej Broad Street, gdzie tętniące życiem miasto powoli zanikało, uwalniając swą energię i ludzi na południe: w stronę Baltimore i za nim Waszyngtonu. Skrzyłem w prawo i zatrzymałem się na jedynym płatnym parkingu w tej części miasta. Laurie spojrzała pytająco, pozbawiając się jedynej szansy na jakiegokolwiek wyjaśnienie z mojej strony. Był to najdłuższy kontakt, na jaki pozwoliliśmy sobie, odkąd ją poznałem, a mimo to czułem, że te piętnaście minut wspólnej jazdy przekreśliło nadzieję na przyszły, urojony związek.

Wyjąłem ze schowka dyktafon, włożyłem do kieszeni i ruszyłem w kierunku ratusza, pozostawiając naburmuszoną dziewczynę samą sobie. Siedziała w samochodzie, zastanawiając się Bóg wie nad czym. Chociaż czasami wydaje mi się, że nawet On nie wie, o czym myślą kobiety.

Nie minęła chwila i ruch kompletnie zamarł. Kierowcy uwięzieni w swych pojazdach zaczęli nerwowo dusić klaksony, a uciążliwy do tej pory upał stał się nie do zniesienia. Zatrzymałem się i odwróciłem. Postanowiłem poczekać na rozkapryszoną dziewczynę.

Wyziwy z rur wydechowych kłębiły się w wąskim korytarzu między biurowcami. Kiedy Laurie dotarła, ruszyliśmy razem wzdłuż wypchanej wozami ulicy, krztusząc się od gromadzącego się w nim zastygłego smogu. Jednokierunkowa droga, okrążająca gmach ratusza, była całkowicie zakorkowana. Pięć pasów tworzących Bulwar Kennedy'ego stało się areną dantejskich scen, w których główną rolę odgrywali piekłacy się i kłócący z policją kierowcy. Postanowiliśmy przejść chodnikiem wokół ratusza. Chciałem sprawdzić, jak policja radzi sobie z tak poważnym zadaniem, podczas trwającego już dwa dni zjazdu. Szliśmy powoli, ramię w ramię. Przyglądałem się krzyczącym ludziom i wyobrażałem sobie, jak każdy zmienia się w terytorialne zwierzę, w dzikusa walczącego o fragment asfaltu. Wystarczyłoby odciąć im dopływ do taniego, niemal nieograniczonego paliwa z Bliskiego Wschodu, gazu ze Środkowej Azji i soi z Południowej Ameryki. Po chwili Laurie wytrąciła mnie z transu, wskazując źródło zamieszania. Obeszliśmy ratusz i naszym oczom ukazał się pierwszy tego dnia „punkt zapalny”.

Na niewielkim placu, tuż przed wejściem do ponurego, masywnego gmachu rady miasta stało kilkudziesięciu dziennikarzy błyskających aparatami. Obiektywy były skierowane w stronę grupki młodych ludzi, stojących na środku skrzyżowania. Jeden z policjantów, oddzielających tłum od wysepki na środku, gestykułował, wykrzykując coś w stronę młodzieży, ale tamci nie reagowali. Zdawali się nie zwracać na niego uwagi. Ruch uliczny zamarł.

Podeszliśmy bliżej, żeby przyjrzeć się scenie. Laurie wyjęła aparat i zamontowała obiektyw. Czwooro spośród aktorów stojących na przecięciu ulic miało przewiązane na oczach opaski. Ich nadgarstki związano z przodu. Mieli na sobie tradycyjne, latynoamerykańskie poncza, a głowy dwóch z nich zakrywały wielkie, słomiane kapelusze. Kilkoro innych uczestników happeningu trzymało wzniesione nad głowami tablice, opisane nazwami krajów, z których pochodzili skazańcy. Nazwy Meksyk, Gwatemala, Salwador i Kolumbia widniały pośepnie na ociekających czerwoną farbą tekturowych płytach. Po obu stronach tej swoistej sceny stały grupki ludzi z pikietą i sztandarami głoszącymi „Zamknąć School of Americas”, „Zamknąć Szkoły dla zabójców”. Oprócz nich, wkoło, jak okiem sięgnąć, można było dostrzec ludzi trzymających wzniesione nad głowami białe, drewniane krzyże. Na każdym widniało zdjęcie, a także coś, co mogło być imieniem, nazwiskiem lub nazwą. W miejscu, gdzie zatrzymał się ruch, oprócz czterech związanych chłopców o wyraźnie latynoamerykańskich rysach stało pięciu białych, młodych mężczyzn ubranych w wojskowe lub paramilitarne mundury. Celowali w jeńców z automatycznych karabinów. Gdy na scenę wkroczył ostatni aktor, starszy mężczyzna w czarnym fraku i charakterystycznym, wysokim, ozdobionym amerykańską flagą kapeluszu, scena nabrała pełnego wymiaru. Wuj Sam stanął między na środku, żołnierzami i skazańcami, przyglądał

się przez chwilę jednym i drugim, głaszcząc przy tym sztuczną, białą brodę, jakby analizował winę na podstawie postury ciała i koloru skóry, a potem zrobił dwa kroki w tył, stanął za plutonem egzekucyjnym i machnął ręką. Dowódca plutonu, śledzący każdy ruch amerykańskiego wodza bezbłędnie rozpoznał rozkaz i wydał komendę do strzału. Członkowie szwadronu nacisnęli na spusty. Nie usłyszałem wystrzału, ale widziałem, jak skazańcy upadają w milczeniu na asfalt i płyty wysepki na środku drogi.

Tuż po egzekucji pluton żołnierzy zaciągnął cztery ciała chłopów na koniec pasa betonu rozdzielającego sześć pasów ruchu. Tablica, która pojawiła się w dłoniach stojącego tam księdza głosiła: „miejsce pochówku”. Wleczone po jezdni „zwłoki” pozostawiły na asfalcie ślady czerwonej farby, która doskonale oddawała nastrój przedstawienia. Ludzie zebrani wokół, zarówno ci z podniesionymi do góry krzyżami, fotografiami i tablicami, jak i zwykli przechodnie, którzy zatrzymali się, żeby obejrzeć spektakl, milczeli. Zupełnie jakby farba znacząca jezdnię przemawiała językiem krwi, którego nie sposób było zignorować. Kiedy wszyscy zmasakrowani zostali zaciągnięci i złożeni w stertę ciał, żołnierze zapalili po papierosie, zrobili sobie wspólne zdjęcie i rzucili niedopałki na mogiłę. W ostatniej scenie oddalili się, znikając w zebranych tłumie.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał, ludzie patrzyli na siebie, nie wiedząc, jak zareagować. Szturchnąłem Laurie, żeby upewnić się, czy uchwyciła wszystkie akty przedstawienia. Kiedy przytaknęła, wskazałem na stojącego przy „mogile” księdza, dając do zrozumienia, że chcę, aby zrobiła jeszcze jedno. Po chwili ludzie z transparentami zaczęli skandować swoje hasła, czas wznowił bieg, a przechodnie ruszyli przed siebie. Skierowałem się w stronę księdza, żeby zdobyć materiał na pierwszy fragment artykułu.

Gdy się zbliżałem, dostrzegłem determinację na jego twarzy i zrozumiałem, że nic z tego, co powie, nie nada się do tekstu.

- Robi wrażenie – przyznałem.
- Dziękuję, staraliśmy się, żeby było przekonujące.
- Czy ksiądz często to robi? – zapytałem.
- Mów mi Thomas – powiedział, wyciągając dłoń.
- Jerry, Jerry Dawson.
- Nie, Jerry, niezbyt często. Ale to dobre ćwiczenie. Pomaga odzyskać kontakt z rzeczywistością.
- Musicie tkwić w niej po uszy, skoro stać was na wystawienie czegoś takiego.
- Nie – pokręcił głową. – To oni tkwią w niej po uszy. – Wskazał na grupkę podnoszących się młodych aktorów. Zdejmowali właśnie poplamione farbą ubrania i ścierali kolor ze skóry.

– Pracuję dla Financial Journal. Czy jest coś, co moi czytelnicy powinni

wiedzieć o tym przedstawieniu?

– Jasne, że powinni – odparł, wskazując na tłum przed ratuszem. – Ci ludzie nie stoją tu bez powodu. Zaslugują na to, żeby ktoś się o nich dowiedział.

– Zrobię co w mojej mocy – odparłem, ale chyba niezbyt przekonująco. Thomas przebiegł wzrokiem po mojej twarzy i chyba wyczuł, że kłamię. W jego oczach dostrzegłem determinację i wyzwanie. Chciał udowodnić, że warto. Chciał mnie przekonać.

– School of Americas trenuje członków szwadronów śmierci zarządzających rzezie ludności cywilnej w krajach Ameryki Łacińskiej, a nikt u nas niczego z tym nie robi.

– Rozumiem, że to była inscenizacja jednej z takich masakr? – zapytałem.

Nie musiałem pytać. Wiedziałem, że Ameryka Łacińska była krwawą łaźnią obsługiwaną przez z CIA za Reagana a potem Busha. Wiedziałem też, że nikogo to nie interesuje i że ten ksiądz próbuje po prostu wykorzystać mnie, żeby to zmienić. Zamierzałem pozwolić mu spróbować.

– Tak, to „Masakra w El Mozote” – powiedział. – Salwador jedenasty grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden. Około tysiąca zabitych, Batalion Atlacatl.

– Tysiąc zabitych – powtórzyłem w zadumie. – To spora liczba.

– To były trzy dni strachu, przesłuchań, tortur i gwałtów. Z całej wioski przeżył tylko jeden świadek – kobieta, która ukryła się w zaroślach. Żołnierze zabili jej męża i dzieci, a po wszystkim spalili ciała.

Wiedziałem, że nie mogę o tym napisać, a jednak moja wyobraźnia porwała mnie do minionych lat, gdy jako młody, naiwny student sprzeciwiałem się wszelkim przejawom agresji i nie myślałem o konsekwencjach, wierząc, że liczą się tylko ideały.

– Ideałami nie spłacisz długów — upomniałem się w myślach po raz kolejny.

Mimo wszystko chciałem, żeby mu się udało, chciałem pomóc i napisać o tym, jeśli nie teraz, to w niedalekiej przyszłości, gdy cały ten polityczny cyrk skończy się i ludzie będą znów bardziej skorzy do przyjęcia tekstu cięższego kalibru.

– No dobrze, rozumiem. Ale co to ma wspólnego z nami? – próbowałem go podpuścić.

– Więcej niż mogłoby się zdawać.

– Przecież to nie nasze terytorium – naciskałem. – Ksiądz mówi o ludobójstwie, a z tego, co rozumiałem, to jakiś miejscowy oddział dokonał tej zbrodni. Czy byli tam jacyś Amerykanie?

Wyciągnąłem dyktafon. Mężczyzna w koloratce uśmiechnął się na ten widok.

– To prawda. Nie znajdziesz tam ani jednego amerykańskiego żołnierza.

I nie jest to terytorium USA.

– Więc po co to całe zamieszanie?

Ksiądz spojrział na pakujących się do furgonetki aktorów. Stali w bocznej uliczce po jego lewej. Żołnierze czekali, paląc papierosy. Dwóch „zabitych” podeszło do nich i zaczęli rozmawiać.

– Aztekowie i jankesi – pomyślałem. – Ostateczne pojednanie po latach.

– Przede wszystkim należałoby tu powiedzieć o całej powojennej historii – powiedział. – O dominacji na południowym kontynencie i działaniach na przesmyku Ameryki Środkowej. Jeśli rzucisz okiem na listę konfliktów zbrojnych w dwudziestym wieku, nie znajdziesz tam wielu pozycji opisujących jawne konfrontacje w Ameryce Łacińskiej. A to dlatego właśnie, że na własnym terytorium nie prowadzi się wojen. Jeśli już, to wojny domowe, chociaż i to jest ostatnią rzeczą, jakiej zyczyliby sobie ekonomiści. Zamiast wysyłać wojsko do tych „demokratycznych” krajów lepiej uzbroić i wyszkolić ich lokalne siły zbrojne. One zawsze chętnie wykonają brudną robotę.

Przytaknąłem. Tego oczekiwał.

– Mówisz, że to nie nasze terytorium – ciągnął dalej. – To prawda, ale w tamtych czasach, kiedy powstawało amerykańskie imperium, pojęcie „strefa wpływów” było równoznaczne z terytorium. To złota lekcja, którą przejęliśmy od Brytyjczyków. Nie musisz rozszerzać terytorium, żeby zwiększyć zyski. Wielkie terytorium to koszt, spójrz, co stało się ze Związkiem Radzieckim. Z drugiej strony kraje, które są w twojej strefie wpływów, to idealne dojne krowy. Trzeba je tylko od czasu do czasu szturchnąć kijem, żeby nie schodziły z wyznaczonej ścieżki.

– Ścieżki kapitalizmu?

– Zgadza się.

– No dobrze, rozumiem, że to jest rozmowa na nieco dłuższą historyczną debatę. Ale jaka w tym wszystkim jest rola School of Americas?

– School of Americas to ośrodek szkoleniowy w forcie Bening w Georgii, którego pierwsza siedziba znajdowała się w Panamie. SOAs została utworzona w Wolnej Strefie Kanału Panamskiego, będącej de facto terytorium Stanów Zjednoczonych, wewnątrz marionetkowego państwa – Panamy. Była najlepszą instytucją szkoleniową poza granicami USA, w której to dyktatorzy i prezydenci terroryzowanych państw szkolili synów i zaufanych dowódców wojskowych.

– I to jest wszystko udokumentowane?

– Tak, wszystkie informacje na temat SOA są ogólnie dostępne. Każdy może sprawdzić i zweryfikować. Proszę – powiedział, podając mi jedną z ulotek, które miał ze sobą.

– Z jakiego powodu szkołę przeniesiono do Georgii? – spytałem, wpatrując się w czarno białą, wypełnioną danymi broszurę. Wyglądało na to, że są jednak rzeczy, których nie wiedziałem o Ameryce Łacińskiej.

– Z jakiego powodu przeniesiono szkołę? – powtórzył, jakby wyczuł moje wahanie. W jego oczach dostrzegłem triumf. – Z tego samego powodu, z jakiego podpisano Traktaty Panamskie. Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku pułkownik Gwardii Narodowej, Omar Torrijos, dokonał przewrotu, pozbawiając władzy ówczesnego nowo wybranego dyktatora Panamy Arnulfo Ariasa...

– Nowo wybranego dyktatora? – przerwałem. – Jak można być wybranym dyktatorem?

– Jeśli ktoś jest obalany podczas trzech kadencji prezydenckich, a podczas jednej zawiesza konstytucję i zakłada tajną policję, próbuje przejąć władzę nad ciałem ustawodawczym i kontrolować sąd najwyższy, to jak go można nazwać?

– Materiałem na dyktatora – stwierdziłem.

– No właśnie. Tak czy inaczej, kiedy Torrijos objął władzę w Panamie, School of Americas szkoliły latynoamerykańskich żołnierzy i szpiegów już od przeszło dwudziestu dwóch lat. Pomimo że Torrijos objął władzę za pomocą przewrotu i że był absolwentem SOAs, przejął kontrolę bez przelewu krwi, pozbawiając władzy oligarchię ustanowioną przez USA jeszcze na początku dwudziestego wieku, kiedy to utworzyliśmy marionetkowy rząd dla zabezpieczenia własnych interesów na południe od Meksyku. Strefa Kanału była państwem w państwie, a dla Panamczyków symbolem wyzysku i niewoli. Kiedy dziewięć lat później Torrijos dopiął swego, podpisując z Carterem traktat o przejęcie przez Panamczyków strefy kanału w dziewięćdziesiątym dziewiątym, usunięcie SOAs zostało w nim ujęte jako jedno z pierwszych zadań, jakie należało wykonać. Kto w końcu chciałby mieć amerykańską szkołę zabójców na swoim podwórku?

– Dlaczego ojciec wciąż powtarza, że to szkoła zabójców. Są na to jakieś dowody?

– Thomas, mów mi po imieniu.

– No tak. Masz rację.

– Jeśli spojrzysz na listę absolwentów placówki – przejechał palcem po liście z ulotki – trudno przeoczyć czołowych dyktatorów Ameryki Łacińskiej. Guillermo Rodriguez z Ekwadoru, Juan Velasco Alvarado z Peru, Leopold Galtieri z Argentyny, Manuel Noriega z Panamy, wszyscy byli absolwentami SOAs.

Według Departamentu Obrony, w przeciągu pięćdziesięciu lat istnienia szkoła wypuściła sześćdziesiąt jeden tysięcy absolwentów. Mniej niż jeden procent z nich ma coś wspólnego z naruszeniami praw człowieka. To bardzo wygodna argumentacja, ale zastanówmy się, ile może jeden człowiek. Mało tego, ile może sześciuset dziesięciu ludzi w odpowiednich miejscach?

– Wszystko zależy od tego, co to za ludzie – odparłem.

– Uczniem szkoły – odparł ksiądz – był na przykład pułkownik Lima Estrada dowodzący D-2, Wojskową Agencją Wywiadowczą Gwatemali, która w ramach

kampanii anty-powstańczej przeprowadziła pacyfikację czterystu czterdziestu ośmiu wiosek Majów, mordując dziesiątki tysięcy mieszkańców¹. Jeden człowiek, jedna decyzja. Czy daje to jakieś wyobrażenie o skali problemu?

– Niech ojciec mówi dalej – zachęciłem. Ksiądz uśmiechnął się, więc poprawiłem: – Mów dalej.

– To właśnie w Gwatemali, w latach siedemdziesiąt osiem – osiemdziesiąt sześć, podczas rządów trzech kolejnych ludobójczych dyktatur wojskowych, niezmiennie około czterdzieści procent ministrów w kolejnych rządach było absolwentami SOAs. Podczas ponad trzydziestoletniej wojny domowej w tym kraju dziesiątki tysięcy ludzi zostało zamordowanych, a ogólna liczba zabitych przekroczyła dwieście tysięcy. Większość z generałów, biorących udział w licznych przewrotach, aktach terroru i morderstwach w tym okresie, było szkolonych w SOAs¹.

– To wszystko jest potworne, przyznaję, ale równocześnie brzmi jak odległa, nierealna historia – powiedziałem. – Jak my, ludzie żyjący w XXI wieku, mamy się do tego odnieść? Dla wielu przeciętnych Amerykanów rewelacje tego typu są jak opowieści o holokauście na lekcjach historii. Kiwamy głowami jak dzieci w szkole, a gdy nauczyciel się odwróci, robimy swoje. Jak ktokolwiek tutaj może przejąć się losem ludzi żyjących tam?

– Spójrz na to – powiedział, wyjmując z torby plik pełen zadrukowanych stron, zdjęć i map. Byłem pewny, że nie dotarło do niego nic z tego, co powiedziałem. Był jak w transie. Musiał udowodnić za wszelką cenę, że warto o tym napisać.

– To jest mapa Kolumbii. Według badań jednej z niezależnych organizacji, wśród trzdziestu trzech dowódców oddziałów i brygad obejmujących jurysdykcją cały obszar kraju aż trzydziestu zostało przeszkolonych w SOAs. Jeśli spojrzysz na mapę, z łatwością dostrzeżesz, że każdy batalion dowodzony przez nich wykonał co najmniej pięćdziesiąt egzekucji na przestrzeni siedmiu lat. Co drugi z tych batalionów zamordował w tym czasie ponad stu ludzi. W czterech okręgach dowódcy przeprowadzili w tym okresie egzekucje na ludności cywilnej w liczbie szacowanej między osiemset a dwa tysiące czterysta. W Kolumbii ponad dziesięć tysięcy żołnierzy zostało przeszkolonych w SOAs, czyniąc z tego kraju naszego największego klienta i największego gwałciciela praw człowieka w Ameryce Południowej^{2,3}.

– Ale wciąż nie widzę tu bezpośrednich dowodów na odpowiedzialność SOAs za te potworności.

– Wyszkolenie tych wszystkich ludzi ma bezpośredni i wciąż aktualny cel: zapewnienie i podtrzymanie pełnej kontroli Stanów Zjednoczonych nad strefą wpływów, zarówno z ekonomicznego, jak i militarnego punktu widzenia. Kolumbia jest przyczółkiem otwierającym możliwość inwazji na pozostałe kraje

Ameryki Południowej, a obecność reżimów w pozostałych krajach daje nam dostęp do surowców naturalnych, jednocześnie otwierając wielkie rynki zbytu dla naszego przemysłu.

– A dowody? – zaczynałem tracić cierpliwość.

– Dobrze, że jestem przygotowany – wyznał, przeglądając teczkę. – O, proszę. To jest kopia raportu wydanego przez organ powołany do nadzorowania sił wywiadowczych, w którym stwierdzono, iż SOAs używało nieodpowiednich materiałów instruktażowych podczas trenowania oficerów z Ameryki Łacińskiej od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego do dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Są tu praktyki takie jak egzekucje na grupach partyzantów, wymuszenia, znęcanie się psychiczne, naciski i bezprawne więzienie zatrzymanych. Albo niech pan posłucha tego. Niespełna trzy miesiące po tym raporcie, Pentagon udostępnił do wglądu publicznego siedem podręczników treningowych przygotowanych przez nasze dowództwo, których używano między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym a dziewięćdziesiątym pierwszym rokiem nie tylko w Ameryce Łacińskiej, ale także podczas kursów na oficerów wywiadu w amerykańskiej SOAs. Podręczniki te, jak się okazało, bazowały częściowo na planach zajęć używanych jeszcze w osiemdziesiątym drugim roku, które z kolei oparte były na jeszcze starszych materiałach z czasów Projektu X. Materiały zawierały instrukcje w takich dziedzinach jak motywowanie strachem, oferowanie nagrody za martwych wrogów, a także wskazówki, jak torturować, dokonywać egzekucji i porywać członków rodzin poszukiwanych^{4,5,6,7}. Pentagon przyznał, że podręczniki były „błędem”. Rozumiesz? Błędem!

– Nic dziwnego, że nikt o tym nie pisze. To niezbyt chlubny epizod w naszej historii.

– To prawda. Jedno trzeba mediom przyznać – dbają o właściwy wizerunek ojczyzny. To bardzo patriotyczne, nie uważasz?

– W końcu znajdzie się ktoś, kto to opíše.

– Być może, panie Dawson, być może. – Uśmiechnął się i podał mi dłoń.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Oddałem uścisk i odprowadziłem wzrokiem w stronę furgonetki.

Gdy wróciłem na drugą stronę ulicy, Laurie przeglądała zdjęcia na ekranie małego wyświetlacza. Podniosła wzrok jedynie na moment, zajęta przeglądaniem swoich arcydzieł.

– Co to był za cyrk? – spytała, wpatrując się wciąż w wyświetlacz aparatu.

– Nic takiego – odparłem, przypatrując się szkarłatnym smugom na środku jezdnii.

Zaczekałem jeszcze chwilę, aż dziewczyna skończy majstrować przy lustrzance, po czym wskazałem na tłum zbierający się między dwoma pomnikami postawionymi przed ratuszem, a ścianą budynku za nimi. Na szerokim deptaku,

oddzielonym od drogi łańcuchem i rzędem metalowych słupków, zgromadził się już całkiem spory tłum – sto, może sto pięćdziesiąt osób. Jednak w odróżnieniu od aktywnych agitatorów zamknięcia SOAs, ludzie stojący tu byli skoncentrowani i milczący. Być może dlatego właśnie policja zamiast wkroczyć do akcji, pozwoliła aktywistom dokończyć występ i zejść ze sceny. Ruch powoli wracał do normy i niecodzienny poranny korek zaczynał rzednąć. Tłum bezustannie napływał z wschodniej i zachodniej części gmachu, wypełniając coraz szerszy ograniczony łańcuchem deptak. Brak miejsca zmusił część protestujących do przejścia przez barierki i policja po raz pierwszy zainterweniowała, zatrzymując kilka niepokornych osób.

Mimo wszystko mundurowi byli opanowani. Niektórzy nawet się uśmiechali. Zdawali się być doskonale przeszkoleni, co do możliwości wyboru między użyciem siły a stanowczej perswazji. W powietrzu jednak dało się wyczuć napięcie, w miarę jak tłum po obu stronach chodnika gęstniał i ożywiał się. Część transparentów wzbiła się w górę, odsłaniając w końcu pierwszego aktora kolejnego aktu. Nie zastanawiając się, ruszyłem na drugą stronę ulicy. Przemykając między jadącymi samochodami, dotarłem do krawężnika, przedarłem się przez tłum i zagadnąłem chłopaka trzymającego jeden ze transparentów. Moja asystentka przebiegła na lewo, przemknęła przez pasy i podążyła za mną.

– Jesteś tutaj z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytałem.

– A ty nie? – Chłopak z transparentem wzruszył ramionami i wrócił do obserwowania rozwoju akcji przed skrzyżowaniem.

Był czymś wyraźnie zaabsorbowany, jakby wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Mógł mieć dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Miał zmierzwione, brązowe włosy, małą ciemną bródkę i koraliki na szyi nadające mu wygląd „new hippy”. Podobnie jak większość ludzi wokół, również tych starszych i dość sędziwych, miał na sobie szarą, bawełnianą koszulkę, na której widniał napis: „Zaginieni w Ameryce – Ukrywanie Biednych”.

– Czy jest coś konkretnego, co nie podoba się wam w Republikanach? – zapytałem, licząc, że tym razem uda się zebrać coś nadającego się do druku.

– Ej no, stary – jęknął, jakby zażenowany moim pytaniem. – Tu nie chodzi o nich, tu chodzi o nas, o ludzi.

– Czy możesz być bardziej precyzyjny? – Nie dawałem za wygraną.

– Jasne, stary. – Uśmiechnął się, przeciągając oba słowa. – Będę tak precyzyjny, jak tylko potrzeba. Ty jesteś Dawson, ten od antyglobalistów, prawda?

Zdziwiłem się. Moje zdjęcie od dawna nie pojawiała się pod felietonami. Jedyne, na co mogłem liczyć, to zawiść i pamięć tych, których udało mi się pogrążyć.

– Nawet jeśli, to już dawno o tym nie piszę. To stare dzieje.

– A szkoda, stary, szkoda. Antyglobaliści to banda durniów, nie widzą, co się

dzieje u nas w kraju, a jęczą o biednych po drugiej stronie globu.

– Mniejsza o nich – przerwałem. – Powiedz lepiej, dlaczego tutaj stoisz? I dlaczego z bannerem „Kensington Welfare Rights Union”?¹

– Widzisz, stary, tam, gdzie mieszkam, na Kensington, źródłem utrzymania numero uno jest opieka społeczna. A wiesz co jest na drugiej pozycji? Trawa.

– Trawa? – spytałem, powtarzając w myślach ten niedorzeczny argument.

– Tak, trawa, zioło, narkotyki. Rozumiesz? Przemysł padł, rząd ma nas w dupie i wszyscy przechodzą do szarej strefy, dlatego to miasto zamienia się w slumsy.

– Obwiniacie o to Clintona i Demokratów, czy może szykujecie się na Busha i Republikanów, którzy go wspierają?

– Mam w dupie jednych i drugich. Polityka jest dla bogatych. My chcemy tylko pokazać, że jest problem. Nic więcej. Popatrz, człowieku, za siebie, masz tu wszystkich: przeciwników kary śmierci, studentów przeciw sweatshopom², związki pracownicze, związki niepełnosprawnych i nawet tych tutaj od naszych faszystowskich szkół dla morderców. Wszyscy chcemy pokazać, że możemy zrobić to razem. Popatrz, stary, i napisz o tym, bo to jest duża sprawa. To – powiedział, wskazując palcem w tłum. – To jest najważniejsze.

– Co takiego? – spytałem zniecierpliwiony.

– No to, że razem możemy więcej. Tu nie chodzi o politykę. Te dupki przyjechały tu z Waszyngtonu bawić się, pić i ćpać, kiedy miasto jest na granicy przepaści.

– Przepaści?

– No, przepaści. Przepaści ubóstwa. Tu chodzi o demokrację, o biednych ludzi i ich głos. O to, że mogą mieć głos i że można ich usłyszeć.

– Z tego, co wiem, to nie macie prawa głosu – stwierdziłem. – Burmistrz podpisał ustawę zakazującą tego typu demonstracji na czas zjazdu.

– Jasne, sprzedał nas, ale nie oddamy skóry tak łatwo – powiedział. – Będzie tutaj dzisiaj kilka tysięcy ludzi i pokażemy, że naprawdę możemy zrobić coś razem. Popatrz – wskazał na sporą grupę ludzi przechodzącą przez pasy około dwudziestu metrów od nas. – Zaczęło się.

Gdy wymawiał ostatnie słowo, przejście było wypełnione przechodniami maszerującymi z jednego brzegu jezdni na drugi. Po chwili druga fala przechodniów wtoczyła się na pasy i policja zdecydowała się wkroczyć do akcji. Gwizdki i pałki w dłoniach, dodatkowi niebiescy na środku jezdni. Po chwili było ich wystarczająco wielu, by utworzyć zwarty niebieski szereg odgradzający przechodniów na pasach od stojących w korku samochodów. Wyglądało na to, że drepczący tam i z powrotem przechodnie mają dwa wyjścia: rzucić się do walki albo zostać ofiarami zniecierpliwionego, odrobinę upokorzonego i zdeterminowanego oddziału prewencji. Nic takiego nie nastąpiło. Kiedy rząd

policjantów zrobił krok do przodu, organizatorzy dopięli swego jednym genialnym, taktycznym posunięciem. Nagle przemycona przez przejście lina napięła się, a na pasy wtoczył się orszak niepełnosprawnych na wózkach i małych dzieci kroczących między nimi. Flesze dziennikarskich aparatów rozbłysły, a policjanci jak jeden mąż opuścili pałki i ostatecznie się wycofali. Po chwili kordon stojący między tłumem a drogą również odpuścił, a powstrzymywana do tej pory masa ludzi rozlała się po skrzyżowaniu, blokując na dobre ruch w obu kierunkach. Marsz siedmiu tysięcy aktywistów właśnie się rozpoczął, a mi pozostało jedynie poddać się i popłynąć z prądem tej ogromnej ludzkiej fali nadziei i uniesień.

Orszak przeszedł w pokojowym nastroju ponad sześć kilometrów, od ratusza do miejsca zjazdu partii. Wszystko po to, by delegaci zebrani wokół okien hoteli i restauracji mogli obserwować hasła i bannery wzywające do konkretnej akcji. Jediną konkretną akcją, jaką podjęli, było odwrócenie się od okna.

Laurie była podekscytowana. Przyznała, że nie spodziewała się tak fantastycznej imprezy, choć w jej przekonaniu ludzie powinni zrobić trochę więcej szumu. Była wyraźnie rozczarowana brakiem konkretnej rozróby albo regularnej bitwy, jak to miało miejsce rok wcześniej w Seattle czy Waszyngtonie podczas ogólnonarodowych marszy antyglobalistów. Próbowałem wytłumaczyć, że tego typu demonstracje bardziej szkodzą niż pomagają w osiągnięciu zamierzonego celu i że nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjedzie tutaj, żeby walczyć z policją. Laurie nie była przekonana. W końcu rok wcześniej znalazł się ktoś, kto przyjechał do Seattle i pokazał, że można być niespełna rozumu.³ Nie odpowiedziałem. Nie miałem argumentów. W gruncie rzeczy miała rację, zawsze znajdzie się kilku przepełnionych testosteronem gówniarzy, którzy nic innego nie potrafią.

Gdy tłum w końcu ruszył, Mike i jego sztandar popłynęli z pozostałymi w dół South Broad Street. Zanim zniknął mi z pola widzenia, zdążyłem usłyszeć, jak krzyczy do kobiety, która stała kilka metrów od niego. Potem wskazał palcem w naszym kierunku i został porwany dalej. Kobieta zatrzymała się i odwróciła. Przypatrywała się nam przez chwilę, potem odkleiła dłoń od czoła i pomachała w naszym kierunku. Wyglądaliśmy jak trzy kikuty drzew na środku jezdni zalanej przyplływem obywatelskiego zaangażowania. Oprócz nas jedynie dachy samochodów pozostawały nieruchome. Wszystko, co mieściło się między ścianami budynków po obu stronach jezdni, płynęło niczym kolorowa, naszpikowana transparentami rzeka.

– Jestem Jemma – powiedziała, gdy dotarliśmy do niej. Wyciągnęła dłoń na przywitanie. Uśmiechała się. Była pewna siebie. Robiła wrażenie kobiety, która wie, czego chce.

– Jerry, Jerry Dawson.

– Laurie – wtrąciła dziewczyna.

– Mike mówił, że powinnam z tobą pogadać. Jesteś dziennikarzem, tak?

- Zgadza się. Piszę dla Financial Journal – odparłem.
- Zmierzyła mnie uważnym wzrokiem, jakby nie wierzyła, że pracuję właśnie dla tej gazety.
- Tak – powiedziała w końcu. – Zapewne chciałbyś wiedzieć, po co to wszystko?
- Każda opinia jest cenna – odparłem – ale może opowiesz o tym po drodze?
- Wskazałem na pochód, rozlewający się w dół South Broad Street.
- W porządku, ale to spory kawałek – ostrzegła.
- Zaraz, zaraz! – zaprotestowała Laurie. – Chyba nie myślisz, że będę szła z tobą w tym upale na drugi koniec miasta?
- Jeśli chcesz, możesz zostać – mruknąłem – tylko oddaj aparat.
- Żebyś zebrał laury za wszystkie zdjęcia, które zrobiłam? O nie, idę z wami
- oznajmiła i ruszyła przed siebie.
- Chodźmy – powiedziałem do Jemmy. – Bo zginie razem ze zdjęciami.
- Jemma przytaknęła i ruszyliśmy za Laurie.
- Co chciałbyś wiedzieć? – zapytała.
- Przede wszystkim powiedz, czym się zajmujesz i dlaczego tu jesteś?
- Jemma Rockwell. Jestem jedną z organizatorek tego marszu. Pracuję z Mike’em.
- W Kensington Welfare Rights Union?
- Tak – odparła. – Od dwóch lat. To dobry chłopak. Świetnie się spisał od strony logistycznej.
- Czy na trasie zaplanowano podobne atrakcje jak z SOAs Watch?
- Szczerze mówiąc nie mam pojęcia. Nie wiedziałam, że zorganizują tamtą inscenizację. Jedyne, co uzgodniliśmy i na co wszyscy się zgodzili to to, że ma to być pokojowa demonstracja. Każda z organizacji samodzielnie decyduje, jakich środków użyje, żeby przedstawić protest. Większość ogranicza się do transparentów.
- Rozumiem, ale dlaczego akurat dzisiaj? Dlaczego podczas zjazdu Republikanów? Rozumiem, że chodzi o media?
- Zgadza się.
- Jak oceniasz szanse na zrelacjonowanie protestu?
- Słabo. Ale skoro pytasz, pewnie wiesz, jak to działa. Dlatego właśnie rozmawiam z tobą. Mike mówił kiedyś, że jesteś jednym z niewielu, którzy odważą się napisać coś więcej.
- Ten chłopak mnie przecenia. Tamte czasy minęły bezpowrotnie.
- Nie wiem, być może. Ale nie zaszkodzi spróbować.
- O czym chciałabyś, żebyśmy napisał?
- Nie o tym marszu.
- Nie? – zdziwiłem się.

– Nie – odparła. – Jaki jest sens pisać o marszu protestujących, sprzeciwiających się lub opowiadających się za setką różnych kwestii. I tak nikt nie zrozumie, o co naprawdę chodzi.

– Coś mi mówi, że Mike udzieliłby innej odpowiedzi.

– Popatrz na te sępy dookoła – Jemma powiodła dłonią wzdłuż linii chodnika po przeciwnej stronie jezdni, a potem wskazała na reportera lokalnej stacji telewizyjnej, stojącego na poboczu z mikrofonem w dłoni. – Czy myślisz, że przyszedł tutaj, żeby zadawać pytania przechodniom? Wykonuje jedynie szablonową relację z miejsca zdarzenia, bez wnikliwej analizy, bez podania przyczyn i postulatów. Przekazuje po prostu najświeższe wiadomości z frontu czegoś, co nazwie potem „Bitwą o Filadelfię” lub nada jakiś inny idiotyczny tytuł.

– OK, rozumiem. W takim razie o czym według ciebie powinienem napisać?

– O tym, co robią tutaj Dick Cheney, Bush i cała reszta.

– A co takiego robią?

Wiedziałem, co odpowie, ale chciałem usłyszeć to z jej ust. Interesowała mnie intensywność jej reakcji. Z doświadczenia wiedziałem, że im bardziej ogniste przemowy i oskarżenia ktoś wysuwał, tym mniej wiarygodny był w tym, co mówił. Natomiast Jemma opowiadała wyjątkowo wstrzemięźliwie, jakby zbyt długo przyglądała się temu cyrkowi, żeby teraz ekscytować się kolejną odsłoną.

– Oboje dobrze wiemy, co robią. Chodzi o to, żeby teraz pozostali się dowiedzieli.

– Załóżmy, że nie wiem – powiedziałem, wyciągając z kieszeni dyktafon. – Nie masz nic przeciwko? – zapytałem.

– Nie, skądże – odparła, podrapała się w czoło, jakby wygrzebywała spod czaszki jakieś archiwalne dane, po czym rozpoczęła wywód. – W porządku. Skoro chcesz to usłyszeć, to weźmy na przykład takiego Andrew Card’a.

– Ma poprowadzić dzisiejszy zjazd i całą galę, prawda? – wtrąciłem.

– Tak, to właśnie on. Dam sobie rękę uciąć, że zajmie jakieś wysokie stanowisko w gabinecie prezydenta. Oczywiście o ile Al Gore nie rozjedzie Busha w ostatniej rundzie.

– Naturalnie – odparłem.

– No tak, ale kim właściwie jest Andrew Card. Wiesz może?

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– No właśnie. Jest prezesem Ford Company, a do dziewięćdziesiątego ósmego roku był szefem Amerykańskiego Stowarzyszenia Producentów Przemysłu Samochodowego. Jak myślisz, jaka jest szansa, że pozostanie obojętny wobec nacisku ze strony krajów żądających obniżenia poziomu emisji spalin? Czy z takim człowiekiem w gabinecie prezydenta można będzie mówić o lobbingu koncernów samochodowych?

– Lobbing wymaga strony, którą trzeba przekonać.

– A Andrew nie trzeba do niczego przekonywać – dokończyła. – Albo weźmy taką Gale Norton. Pewnie baluje gdzieś niedaleko z resztą chłopaków. Z tego, co wiem, ma największą szansę na ministerstwo zasobów naturalnych. Pracowała w nim w osiemdziesiątym piątym roku, ale co powinno nas zainteresować, to jej prywatna kariera, o której niewiele się dzisiaj mówi. Widzisz, Gale zaczynała jako główny prawnik w Mountain States Legal Foundation, gdzie reprezentowała takie korporacje, jak Amoco, Chevron, Exxon, Marathon Oil czy Texaco, a to był przecież dopiero początek jej kariery. Zaraz po tym wskoczyła na stanowisko asystenta wiceministra rolnictwa za czasów Reagana, a potem pracowała jako doradca do spraw środowiska naturalnego dla nikogo innego jak Busha seniora. W tym samym czasie pracowała dla firmy prawniczej Brownstein, Hyatt i Ferber, która to lobbowała w imieniu Delta Petroleum Corporation, zainteresowanej surowcami przybrzeżno-morskimi, Timet–Titanium Metals Corporations, przetwórcy metali, Shaw Group, wytwarzającej rury dla elektrowni i firm związanych z ropą, Warren Rogers Associates^{8,9}... Chyba nie muszę dalej wymieniać?

– Nie, nie musisz. Pojmuję ogólny zarys.

– No więc najciekawsze jest to, że zarejestrowała się jako oficjalny lobbysta NL Industries, znanego poprzednio jako National Lead Company, firmy, która miała wytoczoną sprawę w związku z narażaniem dzieci na działanie ołowiu.

– Innymi słowy nie figuruje na szczycie listy popularności zielonych.

– Naturalnie, że nie, ale Bush senior, który zatrudnił ją jako doradcę w tych właśnie kwestiach, najwidoczniej nic sobie z tego nie robi. Ona sama znana jest z doktryny „Mądrego użytkowania”, co nie oznacza nic innego, jak wyeliminowanie jakichkolwiek regulacji pro ekologicznych, które mogą ograniczyć rozwój gospodarczy^{8,9}. A to jest właśnie coś, co Bushowi młodszemu i jego sponsorom podoba się najbardziej.

– Myślisz, że wybierze ją na jakieś stanowisko?

– Jak znam życie, przyświe się do ministerstwa surowców naturalnych.

– Rozumiem cię, ale wiesz dobrze, że nie mogę o tym napisać. To tylko spekulacje. Poza tym do wyborów zostało jeszcze kilka miesięcy.

– I to jest właśnie największy problem. Możemy coś zrobić, ale dopiero po fakcie. A rzeczywistość dziś jest taka, że bogacze, prezesi i potentaci, zarabiający najwięcej ze wszystkich, to ci sami ludzie, którzy zajmują rządowe stołki. Większość zaczyna jako lobbyści, którzy wskakują potem na rządowe posadki, tylko po to, by po kilku latach oddanej służby korporacjom zostać przyjętymi z powrotem na ich łono, tym razem w charakterze prezesów, dyrektorów i innych zawodników pierwszej ligi. W międzyczasie ludzie i przyroda cierpią, ponosząc kolosalny koszt tej korupcyjnej roszady.

– Musiałbym mieć coś konkretniejszego – powiedziałem.

– Nic konkretniejszego nie znajdziesz. Mogłabym powiedzieć, że dr Condoleza Rice, która będzie jutro przemawiać wraz z Dickiem Cheneyem, była w zarządzie korporacji Chevron i Charles Schwab¹⁰. Ale dopóki nie dostanie stanowiska związanego z ropą lub wojskiem, nie będzie miało to żadnego znaczenia. Przynajmniej nie dla prasy. Każdy rozumny wyborca powinien wiedzieć, że ktoś, kto raz dostał pensję z najwyższej półki, prędko nie zrezygnuje z tego rodzaju dochodów.

– Na pewno masz całą listę takich potencjalnie skorumpowanych polityków?
– zapytałem.

– W zasadzie nie wiem, czy można w ogóle myśleć o nich w kategoriach korupcji. Cały ten system jest tak przeżarty przez brudne pieniądze, że trudno już odróżnić wszystkie subtelne formy sponsoringu i lobbingu od zwykłego łapówkarstwa.

– Musi być przecież jakiś sposób! Na pewno masz źródła informacji.

– Informacje pochodzą od ludzi. Ktoś pracuje dla senatora, ktoś inny dla prokuratora lub po prostu zostaje zwolniony z firmy za postępowanie zgodne z własnym sumieniem. Internet pod tym względem może być dla nas wybawieniem. Czy wiedziałeś, że Boeing wypuścił setki wadliwych samolotów 737?

– Nie, nie wiedziałem – przyznałem.

– Dokładnie. Nikt nie wiedział, dopóki dwóch zwolnionych pracowników nie wytoczyło im sprawy w sądzie. Myślisz, że wygrali?

– Trudno powiedzieć.

– Te samoloty mają wadę konstrukcyjną, której nie da się naprawić. Ich szkielet został wykonany z materiałów, które korodują już po ośmiu latach. Na całym świecie są ich setki, jeśli nie tysiące. To latające bomby zegarowe. Myślisz, że mielibyśmy te informacje, gdyby nie ci odważni ludzie?

– Nie wiem, ale co to ma wspólnego z tym konwentem?

– Powinieneś raczej zapytać o to, co to ma wspólnego z tobą?

– W takim razie powiedz, co według ciebie powinienem zrobić po naszej rozmowie?

– Tego nie mogę powiedzieć. To zależy tylko od ciebie. Ale pozwól, że dokończę to, co mam do powiedzenia o naszych gościach.

– Słucham.

– Oprócz Dicka Cheney'a, o którym chyba nie muszę mówić, jest tutaj cała rzesza indywidualnych przedsiębiorców, którzy krążą wokół niego jak satelici i czekają na okazję, żeby dostać się do Białego Domu.

– Kto na przykład?

– Donald Evans, przewodniczący giganta energetycznego, Tom Brown Inc... Jest prawdziwym liderem w dzisiejszej grze. To on organizuje grupę „Pionierów”,

ludzi zaszczyconych tym tytułem po zebraniu przynajmniej stu tysięcy dolarów od firm i udziałowców¹⁰. To oni właśnie będą mieli otwarte wejścia do białego domu. To im będą wyświadczone przysługi i to właśnie nimi powinieneś się zainteresować.

– Sto tysięcy to nieduża kwota jak na kampanię.

– Sto tysięcy? Ja mówię o milionach, dziesiątkach milionów dolarów. Nikt nie wie, ilu jest Pionierów i nikt nie chce się tym zainteresować. Wydają setki tysięcy dolarów, a bezrobotni w tym kraju nie mają za co żyć. Nie stać ich na opiekę zdrowotną i bankrutują lub umierają, jeśli choroba dopadnie ich, gdy są w dołku. Decyzje podejmowane na szczycie rujnują życie Amerykanom, którzy dźwigają na plecach zadłużenie tego kraju. Tymczasem Pionierzy i ich kukielki podejmują decyzje, które są w interesie korporacji, a nie ich pracowników i reszty obywateli. A media potulnie milczą, biorąc udział w tym procederze, przez co większość ludzi nie ma o nim zielonego pojęcia.

– Wiesz dobrze, że przed wysuwaniem oskarżeń potrzebne są niezbite dowody. Bez nich żadna redakcja nie podejmie ryzyka.

– A co, jeśli powiem, że mam listę kandydatów do głównych resortów, a ci, których przed chwilą wymieniłam, mają już zapewnione miejsca?

– Nic mi to nie da. To tak jakbyś powiedziała, że ktoś się gdzieś włamie się do banku, tylko nie wiesz dokładnie gdzie i kiedy.

– To prawda, ale zanotuj to sobie. – Spojrzała na mnie, czekając, aż wyjmę notes.

Uniosłem dyktafon odrobinę wyżej. Skinęła głową z aprobatą i zaczęła wymieniać:

– Steven Griles, były lobbysta dla Amerykańskiego Instytutu Paliwowego, Narodowego Stowarzyszenia Górniczego i między innymi firmy naftowej Sunoco. Będziesz mógł znaleźć go w ministerstwie spraw wewnętrznych¹⁰.

– W porządku. Kto jeszcze?

– Ann Veneman, była dyrektor firmy Calgene, wykupionej później przez Monsanto, lidera na rynku pestycydów i genetycznie modyfikowanej żywności. Za jej kadencji w Calgene wprowadzono na rynek pierwsze genetycznie modyfikowane warzywa¹⁰. Myślę, że taka kobieta na pewno przyda się członkom zarządu Monsanto przy przepychaniu przez granice naszych genetycznie modyfikowanych roślin.

– Kto jeszcze?

– James Connaughton.

– I według twoich informacji zostanie...?

– Tego jeszcze dokładnie nie wiem. Będziemy musieli poczekać do stycznia.

To, co mówiła Jemma, zdawało się być oczywiste, a jednak sposób, w jaki o tym mówiła, pewność, z jaką podawała nazwy, daty i nazwiska uświadomiły mi,

jak niewiele tak naprawdę wiem o scenie politycznej i kryjących się w cieniu manipulatorach. Rzuciłem okiem na kroczącą obok Laurie. Nie była w ogóle zainteresowana rozmową. Nie wiem, czy to przez gwar ulicy nie docierały do niej słowa Jemmy, czy może wolała z jakiegoś powodu udawać niezainteresowaną. Tak czy inaczej szła po mojej prawej, celując co jakiś czas obiektywem w interesującą ją fragment tłumy.

– Czyli jesteś pewna, że Bush wygra? – zapytałem.

– Jestem realistką – odparła, rozglądając się za kimś. – Słuchaj, nie wiem, co zrobisz z tymi informacjami. Prawdopodobnie nic. Z resztą nie zdziwiłabym się, gdybyś to wszystko zignorował. Wiem, że dzisiaj każdy tekst musi być podparty dowodami i niewiele można zdziałać bez oficjalnych źródeł, ale teraz masz przynajmniej punkt zaczepienia. Jeśli będziesz chciał, na pewno znajdziesz coś, co potwierdzi te informacje. Tak naprawdę są setki ludzi, którzy śledzą każdy krok tych bandytów, a kiedy któryś popełni błąd, dowiesz się o tym z Internetu i będziesz mógł o tym napisać.

– Niestety to nie takie proste – odparłem nieco zbity z tropu. – Ale masz rację, mogę spróbować.

– Cieszę się, że się rozumiemy. A tak na marginesie, myślę, że najszybszą drogą będzie dotarcie do źródła.

– Źródła czego? – zapytałem zdziwiony.

– Źródła dolarów – odparła. – Gdybyśmy wiedzieli, kto wyłożył na tę kampanię najwięcej, moglibyśmy przewidzieć, dla kogo szykują stołki. Miękką kasą, która płynie z firm wprost do Białego Domu, jest chyba najlepszym tropem.

– Wybory dopiero w listopadzie – przyznałem. – Dwa miesiące to sporo czasu.

– Zgadza się. A ty masz szansę na napisanie o tym z zupełnie nowej strony. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni punkt zaczepienia.

– Biura kampanii wyborczej?

– Dokładnie – odparła, ale nie powiedziała nic więcej. Tłum zatrzymał się przed pierwszym kordonem policji.

– Co się dzieje? odezwała się Laurie.

– Wejdz na śmietnik i zobacz – odparłem. Dziewczyna nawet na nas nie spojrzała. Wskoczyła na pojemnik, stojący pod latarnią, objęła jedną ręką słup, a drugą podniosła obiektyw. Po chwili aparat wypuścił serię błysków, po których w powietrzu rozległ się gwizd policyjnego gwizdka.

– Wszystko w porządku – powiedziała Laurie. – Nasi górą, gliny odpuszczają. Możemy iść dalej.

Zeskoczyła na chodnik pełna ekscytacji i ruszyła żwawo do przodu. Jemma spojrzała na mnie, a ja wzruszyłem ramionami.

– Co zrobisz? Takie są dzisiaj dzieciaki – westchnąłem.

– Masz dzieci, Jerry? – zapytała.
– Mam, córkę, ale nie mieszkamy razem.
– To niedobrze. Powinna wiedzieć co czeka ją za kilka lat. Powinna...
– Wie – przerwałem. – Siedzi w tym głębiej niż ja sam. A już na pewno głębiej niż bym tego chciał.
– Dzisiaj dzieciaki żyją tak, jakby nigdy nie musiały wyjść z piaskownicy.
– To nie ich wina tylko rodziców. To oni nie chcą dorosnąć.
– Napiszesz o tym? – zapytała.
– Nie wiem. Myślisz, że powinienem?
– Nie ważne, co myślę. Pytam, czy chcesz o tym napisać.
– Na razie muszę skleić ten artykuł. I ciągle nie mam nic nadającego się do publikacji.

– No to może to? – Wskazała na grupkę mężczyzn palących amerykańską flagę.

Jeden trzymał drzewiec, drugi podpalał płótno, a pozostała trójka wykrzykiwała coś, wznosząc do góry pięści. Chwilę potem dwaj policjanci na rowerach śmignęli koło nas i wjechali z dużą prędkością w tłum zebrany wokół piromanów. Jeden wyciągnął zza pasa butelkę wody mineralnej i spryskał dopalające się płótno, podczas gdy drugi odepchnął jednego z podpalaczy, grożąc mu wyprostowanym palcem.

– Jednak nie obędzie się bez incydentów – stwierdziłem.
– To nic. Nie pamiętasz, co działo się w zeszłym roku w Seattle?
– Pamiętam. No właśnie. Tak mi się wydawało, że coś tu za spokojnie.
– To dlatego, że nie dopuściliśmy do udziału żadnej ogólnokrajowej organizacji. Nie chcemy rozróbny na własnym podwórku. Wyjaśniliśmy to komendantowi tutejszej policji i wydaje mi się, że uwierzył w nasze dobre intencje.
– Rzeczywiście – przyznałem. – Całość wygląda dość spokojnie. Jak na nielegalną demonstrację oczywiście.

– Dokładnie. I o to właśnie chodzi. To ogromny sukces. Nasi politycy dostali jasną wiadomość. Nie powinni byli odsprzedawać tego miejskiego terenu. Powinien być dostępny dla wszystkich obywateli. Zresztą policja to też ludzie, a my nie jesteśmy krajem trzeciego świata, żeby zamykać nas w parkach miejskich, albo separować od bogatych biznesowych dzielnic.

– Zaplanowali miejsce konwencji dość daleko – zauważyłem. – Z dala od centrum.

– Ale przecież oboje wiemy, że to nie o przemówienia w Wachovia Centre tu chodzi. Wszystko dzieje się tutaj, wzdłuż tej ulicy i dalej na zachód. Wszystkie ważne rozmowy będą miały miejsce w prywatnych salach pięciogwiazdkowych hoteli i restauracji. To przecież nie tam tylko tutaj, podczas ekskluzywnych śniadań i wieczornych przyjęć koktajlowych, nawiązywane będą kontakty i zawiązywane

sojusze.

– Rzeczywiście trudno uwierzyć, że te czterdzieści pięć tysięcy uczestników przyjechało tu, żeby słuchać Laury Bush.

– To prawda. Zresztą nawet Colin Powell i Dick Cheney nie powiedzą nic, co mogłoby zainteresować delegatów. Jedynie sektor korporacyjny będzie uważnie wsłuchiwał się w to, co będą obiecywać.

Przytaknąłem, ale nie odezwałem się. Wiedziałem, że nie wyciągnę od niej niczego więcej. A już na pewno niczego, co mógłbym wykorzystać w artykule. Jemma uśmiechnęła się nieświadoma porażki.

– Będą węszyć obietnic ukrytych między wierszami – dodałem, jakby na otuchę.

– Zgadza się, będzie dokładnie tak, jak mówisz – przytaknęła, wprowadzając moją ciekawość w ślepy zaułek.

Nie wiedziała o tym, ale właśnie zgasła ją jak papierosa. Nie dała się sprowokować i nie zdradziła niczego, czego nie usłyszałbym od każdego demonstranta z tłumu.

– Dziękuję ci za rozmowę – powiedziałem, podając jej rękę.

Jemma obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem. Nie rozumiała, dlaczego przerywam w połowie. Nie wiedziała bowiem, że Fisher jest kapryśny i nie lubi, gdy ktoś wyskakuje przed szereg.

– Również dziękuję – odparła z rezerwą. – Mam nadzieję, że zapamiętałeś coś z tego, co mówiłam. Jeśli chcesz zobaczyć, co tak naprawdę tutaj robią... – Wyjęła z torebki notes, przewróciła kilka kartek i powiedziała: – Bądź jutro o dziewiątej przed Four Seasons Hotel.

– Dlaczego akurat tam? – zapytałem.

– Nie bój się, to nie żaden podstęp. – Uśmiechnęła się. – Będzie tam stadko senatorów i hien biznesu. Klasyczne wtorkowe śniadanko po okrągłym tysiącku za talerz.

– Jeśli do tego czasu nie znajdę nic, co nadawałoby się do druku, zajrzę – odparłem. Pożegnałem się i ruszyłem do przodu szukać Laurie.

Gdy doszliśmy pod First Union Centre, na miejscu było już kilka tysięcy ludzi. Tłoczyli się i kręcili wokół budynku Wahovia Centre, wypełniając otaczający go parking i rozstawiony na nim namiot. Jeśli wziąć pod uwagę skalę i rozmach, z jakim podjęto piętnaście tysięcy dziennikarzy z całego świata, manifestacja, która tam dotarła, nie robiła już tak wielkiego wrażenia. Na zewnątrz budynku Centrum, pośrodku wielkiego placu, rozbito ogromny prostokątny namiot–miasteczko, w którym dziennikarze mogli spokojnie rozlokować się i odpocząć, oczekując na przemówienia i inne punkty programu.

Jednym z przedstawicieli czwartej władzy był Jim Darroth, publicysta

o kilka lat młodszy ode mnie, choć dorównujący mi entuzjazmem na poziomie pozbawionego złudzeń sceptyka. Zaczepił mnie, gdy podziwiałem dwie aktywistki, przebrane za prostytutki próbujące zwrócić na siebie uwagę mediów.

– Co myślisz o tym wszystkim? – zapytał, popijając kawę ze styropianowego kubka.

– Nie mam zdania – odparłem. – Tak naprawdę to nie powinno mnie tu być.

– To tak jak większości z nas. – Wskazał na kolegów po fachu. – A jednak tu jesteśmy.

Miał rację. Rozejrzałem się dookoła i rzuciłem okiem pod dach pawilonu. Przedstawiciele prasy zdawali się zapominać, po co tam przybyli. Jeśli wierzyć organizatorom, tamtego dnia w namiocie powinno być co najmniej dziesięć tysięcy dziennikarzy, a patrząc na przestrzeń pod zadaszeniem, mogłem stwierdzić, że prawie dwie trzecie miejsc było zajętych. Dlaczego nie zajmowali się tym, co było naprawdę istotne? Dlaczego tkwili tam, czytając gazety, dzwoniąc do znajomych, drzemiąc lub czekając na Bóg wie co, zamiast relacjonować sesje w środku i protesty na zewnątrz?

W czasie, gdy Billy Tauzin i lider większości Dick Armeý prowadzili tuż obok debatę o podatkach, jedynie część z ludzi mediów pofatygowała się, by zaszczyścić ich swoją obecnością. Gdy wszedłem do środka, zobaczyłem niewielką grupkę kilkunastu korespondentów, którzy zadawali pytania o rzeczy naprawdę istotne. Zastanawiało mnie, po co tam jesteśmy, skoro nikt nie zadaje pytań, które powinniśmy zadawać, których oczekują od nas zwykli obywatele i oddani sprawie aktywiści tacy jak Jemma i Mike.

Zająłem miejsce, posłuchałem chwilę, zadałem kilka pytań rzuconych w pustą przestrzeń, wysłuchałem odpowiedzi, wymijających lub nietrafiających w sedno sprawy, i po kilkunastu minutach moderator w końcu przestał udzielać mi głosu. Zauważył zniesmaczenie na twarzach polityków i wybierał już tylko korporacyjne sępy z wielkich ogólnokrajowych stacji telewizyjnych. Wszedłem na zewnątrz zrezygnowany i stanąłem pod namiotem.

Zaczynałem rozumieć siedzących tam reporterów, ich apatię i chęć powrotu do domu. Kupiłem kawę i usiadłem na jednym z plastikowych krzeseł, tuż przy wejściu, w miejscu z widokiem na parking. Obserwowałem, jak dwóch policjantów i trzech ochroniarzy szarpie się z wykrzykującymi coś kobietami. Domyślałem się, że ich głębokie, wyzywające dekolty i czarne skórzane mini spódniczki miały symbolizować kurestwo polityki. Dla mundurowych jednak, niewrażliwych na dwuznaczność tego artystycznego przekazu, nie różniły się niczym od prostytutek, które zaludniały wieczorami spokojne niegdyś ulice Filadelfii. Aktorki–aktywistki padły ofiarą własnej kreatywności. Zapomniały, że dla mundurowych istnieją tylko dwie strony barykady: ta, po której stoi państwo i ta, po której stoi obywatel.

Przyglądając się tej scenie, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszyscy

stoimy po niewłaściwej stronie, tylko jeszcze o tym nie wiemy.

II. Miss Liberty

Następnego dnia, już bez Laurie, wybrałem się pod Four Season Hotel, tak jak zasugerowała Jemma. Potrzebowałem artykułu, a przemowy pod dachem First Union Centre nie oferowały nic poza tradycyjną kielbasą wyborczą. Zaparkowałem samochód na najdroższym miejscu parkingowym, na jakim dane mi było się zatrzymać i ruszyłem szerokim trotuarem w stronę otoczonego fontannami hotelu. Na pierwszy rzut oka scena wyglądała dość zwyczajnie. Przed hotelem zatrzymywały się jedynie ekskluzywne wersje najdroższych samochodów, a grupki bogatych, odprężonych garniturów zniknęły za oszklonymi drzwiami, wymieniając spostrzeżenia na temat kolejnej aukcji politycznych marionetek. Większość przechodzących przez lobby gości kierowała się w stronę restauracji, gdzie przez szklane szyby mogli podziwiać ogród i fontanny, z których raz po raz wystrzeliwały słupy i wstęgi wody. Byłem pewien, że Jemma pomyliła się, podając mi adres tego miejsca. Być może było tu sporo delegatów, ale z pewnością nie robili nic niezwykłego. Był to zwykły poranek, śniadanie i dyskusja przy kawie za sto dolarów. Miejsce to nie różniło się niczym od tuzina podobnych miejsc rozsiansych po całym mieście.

Rozglądałem się jeszcze przez chwilę z nadzieją, że dostrzegę kogoś wartego uwagi, ale nikt taki nie pojawił się w zasięgu wzroku. Moją uwagę natomiast przykuła grupka młodych ludzi, dyskutujących przy małym skwerku po lewej. Była wśród nich szczupła blondynka, do złudzenia przypominająca jedną z kobiet, które widziałem przy Wachovia Centre dnia poprzedniego. Przyodziana w złotą koronę Miss Liberty i dopasowane lśniące trzewiki, przemierzała szerokość chodnika tam i z powrotem, jakby powtarzała nie do końca zapamiętaną rolę. Na jej piersiach spoczywało bikini w gwieździsty wzór z kopułami Białego Domu umieszczonymi w strategicznych miejscach, poniżej nich czarna mini i rajstopy z siatki o oczkach wielkich jak krokodyle łuski. Spod rajstop wystawały zatknięte tam pliki zwiniętych banknotów. Wyglądała jak prostytutka, która uciekła z domu wariatów i tak dobrze jej szło, że nie miała gdzie schować zarobionych dolarów.

Nie musiałem długo czekać na demonstrację przydatności jej stroju. Miss Liberty dopięła ostatnią zapinkę rybackich rajstop, po czym wraz z dwiema innymi kobietami ruszyły na podbój męskiej części gości. Grupka młodzieńców, niczym wierni fani, ruszyła za nimi.

Zasiadłem przy jednym ze stolików rozstawionych w wąskim ogródku tuż przy przeźroczyściej ścianie jadalni na prawo od wejścia. Postanowiłem przyjrzeć się przedstawieniu.

– “Trent Lott’s a corporate whore, we won’t take any more!”⁴ – krzyczała blondynka. Kobiety skandowały za nią. Nie miały równie zmyślnego stroju co Miss Liberty, ale za to były równie zmotywowane. Dwie około dwudziestoletnie

brunetki i trzydziestokilkuletnia blondynka. Wszystkie miały wyraz buntu na twarzy, a w ich oczach dostrzegłem niezwykłą determinację.

Trent Lott, którego tak żarliwie szkalowały, był liderem republikanów w senacie i, jak się później dowiedziałem, to właśnie na jego cześć urządzono to przedłużające się do późna śniadanie. Kobiety weszły do restauracji, wykrzykując „Tren Lott”. Po chwili drzwi do lokalu rozsunęły się, wypuszczając na chodnik niewielką grupkę zde gustowanych tą sceną klientów. Chwilę po nich w drzwiach pojawiły się trzy kobiety, eskortowane przez ochronę hotelu. Towarzyszący im młodzieńcy zdawali się czekać na taki scenariusz. Gdy ochroniarze zajęły strategiczne pozycje po obu stronach drzwi, kilkuosobowa pikietka nagle rozszerzyła się, przyjmując w swe szeregi ludzi, którzy siedzieli do tej pory w samochodach zaparkowanych szczelnie jeden za drugim po drugiej stronie ulicy. W przeciągu kilku sekund grupa ustawiła się w długi rząd, zasłaniając ludziom wewnątrz widok na ulicę i fragment ogrodu. Tymczasem Miss Liberty podeszła do mojego stolika, zatrzymała się i zgięła w pół, udając, że poprawia coś przy butach. Widok kształtnych, wypiętych pośladków odbijał się beczelnie nie tylko od szyby, ale i od twarzy wpatrzonych w nią mężczyzn w środku. Po kilku sekundach blondynka wyprostowała się, puściła do mnie oko i ruszyła wzdłuż szyby, omijając z gracją stoliki wystawione jakby jej na złość. Ku oburzeniu kobiet i osłupieniu mężczyzn przeżyła półnagie ciało, przesyłając przy tym buziaki zażenowanym biznesmenom. Kiedy zainteresowanie hotelowych gości nieco osłabło, przeniosła się ze switą przed hotelowe wejście, gdzie nieco głośniejsze i mniej teatralnie skandowali razem.

– „Lott, Lott, he’s been bought, family values he ain’t got!”⁵ – wykrzykiwali.

Jeden z mężczyzn stojących na chodniku wyjął plik banknotów i dołączył do koleżanki.

– Hej! – krzyknął za wychodzącymi z restauracji ludźmi. – Kupiliście dziś jakiegoś republikanina? Co udało się wam dostać za tysiąc dolarów?

Po kilku minutach pojawiła się policja i pierwsza ekipa telewizyjna. Jeden z ochroniarzy z hotelu próbował zasłonić kamerzyście widok protestujących i policjanci podeszli do niego.

– Czy oni czasami nie powinni przejść gdzieś dalej? – zapytał jeden z ochroniarzy hotelu.

– Mają prawo stać na publicznym chodniku – odparł policjant, dając mu do zrozumienia, że nie powinien ingerować.

Pamiętam, że kiedy było już po wszystkim i rozmawiałem z pewnym porucznikiem w wydziale cywilnym, skomentował to nieporozumienie jednym, wymownym zdaniem:

– Czasami musimy wyjaśniać im, że prawo działa, tyle że nie zawsze tak,

jakby tego chcieli.

Jego słowa dały mi do myślenia. Sam trafniej nie określiłbym poziomu ignorancji, jakim potrafią wykazać się przedstawiciele biznesu i polityki. Choć nigdy się do tego nie przyznają, prawo jest dla nich jedynie jedną z wielu form legitymizacji władzy. Fakt, że słowa te wypowiedział policjant, tym dobitniej dowodzi roli, jaką według establishmentu spełnia władza wykonawcza. Według nich służby mundurowe mają za zadanie stać na straży prawa bogatych, a nie prawa per se.

Nie wiem, czy protest pod Four Season Hotel można było uznać za udany. Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem czegoś podobnego i nie wiem też, jaką miarą można zmierzyć sukces takiego sprzeciwu. Widywałem już bitwy uliczne, podpalane samochody i demolowane sklepy podczas demonstracji, ale to, co przedstawiła grupa przed hotelem, było czymś zgoła innym. O ile tłumy agresywnych młodych ludzi wzbudzały w innych na ogół jedynie niepokój i niesmak, o tyle Miss Liberty i jej akcje dawały nadzieję na wywołanie głębszej, psychologicznej reakcji ze strony widzów. Odnosiły się bowiem bezpośrednio do sumienia, wywołując w winnych zdziwienie, zażenowanie, wstyd lub gniew. Był to nowy rodzaj aktywizmu, który podobnie jak cały aparat promocji i reklamy, sprowadzał się do skuteczności, odwoływał się do podświadomości odbiorcy, zmuszając go do zidentyfikowania się z sytuacją lub do jej całkowitej negacji.

Zaintrygowało mnie to. Ta atrakcyjna, dojrzała kobieta mi imponowała. Była pierwszym zjawiskiem od kilku dni, które warto było opisać. Postanowiłem zaproponować jej wywiad.

Kiedy w końcu skończyła, zaczępiłem ją i przedstawiłem, co miałem do zaoferowania. Obiecałem, że postaram się, by opublikowano jej przesłanie, zapał i energię, nie unikając przy tym najistotniejszych postulatów i żądań. Było to coś, na co niewielu mogło liczyć tamtego dnia. Obecność prasy była niemal namacalna, a jednak byli wciąż jedynie agentami wrogiego imperium. Aktywiści nie mogli liczyć na przychyłność z ich strony. Jedyne, co dawało im nadzieję, to ten już przysłowiowy obiektywizm mediów, nadwyreżone przeświadczenie o sensie istnienia i wiara, że ktoś zauważy ich w kadrze ekranu, gdy nastąpi kluczowy moment. Kiedy zaproponowałem jej wywiad, prawdziwy, rzetelny wywiad, musiałem jawić się jej jako zbuntowany żołnierz, dezertier stojący nago na środku obozu wroga. Zmierzyła mnie wzrokiem, jakbym miał jakiś inny, ukryty motyw. W sumie nie dziwię się. Była piękną kobietą, stojącą przede mną w stroju bikini, a ja obiecywałem coś, czego trudno było odmówić. Każdy kierowany hormonami samiec starałby się wykorzystać taką sytuację. Z pewnością zdawała sobie z tego sprawę i chyba stąd pojawił się moment wahania.

Wiedziałem, że nie jestem jedynym reporterem, z jakim miała do czynienia. Sposób, w jaki mówiła, jak zmieniała tembr i barwę głosu sugerował, że miałem do

czynienia z doświadczoną mówczynią. Niczym dyplomata idealnie dostosowywała się do oczekiwań rozmówcy, przejmując jego styl, poziom ekspresji i charakterystyczny dialekt. Zdumiewało mnie to i napełniało nadzieją. Jeśli to właśnie była nowa fala świadomych aktywistów, być może nie wszystko było jeszcze stracone.

Dopiero gdy poznałem ją bliżej, upewniłem się w przypuszczeniach. Dziewczyna nie była typową aktywistką, ale jedną z pierwszych w nowej fali działaczy, tworzących pomost pomiędzy szarym ludem, a wielkim biznesem i wszechobecnymi, oplatającym wszystko mackami. Nawet jej znajomi, których potem poznałem, przyznali, że Jass odstawała od nich pod wieloma względami. Wychowana w republikańskiej rodzinie była wśród swych obdartych i zubożałych towarzyszy niczym połyskująca dekoracja, której pochodzenie ciężko było ukryć. Klasa średnia, z której się wywodziła, oszczędziła jej wszystkich przykrości losu, przeciw którym pozostali musieli przeciwstawiać się na porządku dziennym. Nigdy nie brakowało jej niczego i chyba nigdy nie pomyślałaby o prowadzeniu tego rodzaju życia, gdyby było inaczej. Po ukończeniu wydziału prawa w Vermont pracowała przez dwa lata w spółce rozprowadzającej żywność. Następnie zatrudniła się w firmie konsultingowej doradzającej korporacjom, jak prowadzić politykę bardziej przyjazną dla środowiska. Wątpię, żeby którykolwiek z tych wychudzonych, twardych chłopaków, którzy jej towarzyszyli, mógł poszczycić się obejmowaniem wymarzonego stanowiska. Z drugiej strony jeśli uwierzyć ich zapewnieniom o bezinteresowności i poświęceniu, moglibyśmy założyć, że jakakolwiek praca w ramach kapitalistycznego systemu była z gruntu sprzeczna z ich przekonaniem, co w zasadzie usprawiedliwiałoby ich idealistyczny, choć na wskroś epikurejski sposób bycia.

Co się tyczy Jasmine, na pierwszy rzut oka można by przyznać, że kariera w doradztwie była również świadomym wyborem, w którym na plan pierwszy wysuwała się chęć naprawy świata. Ale czymże był konsulting i wszystkie pozostałe usługi, jeśli nie nowym produktem w kolejnej komercyjnej niszy? Firmy, które obsługiwała, stały przed koniecznością zmiany wizerunku, co dla niej z kolei stanowiło pretekst do pozostania w dotychczasowym bezpiecznym świecie. Zarabiając przyzwoicie, zapadała co noc w błogi sen, budząc się rano bez wyrzutów sumienia, ze świadomością własnej wartości. Mogłoby się zdawać, że to rozwiązanie idealne. Niestety czasami przychodzi taki dzień, kiedy bez względu na to, jak bardzo się staramy, jak sprawnie organizujemy sobie życie, wszystko co robimy okazuje się niewystarczające. Tak było i w jej przypadku. Z czasem przesiąknęła ideami do tego stopnia, że zorganizowany, hermetyczny świat dochodowych firm odrzucił ją. Stała się ciałem obcym.

Po niespełna roku w firmie jej kompas moralny drgnął, a upragniona stabilizacja okazała się złudna, płytką i krucha. Ostatecznie porzuciła stanowisko

na rzecz o wiele mniej płatnej posady w Rainforest Action Network. Zajęła się tam projektem zmian w sposobie finansowania kampanii wyborczych, co, jak się okazało, było zajęciem dla niej stworzonym. Dzięki kontaktom i obyciu w świecie wielkich korporacji stała się hybrydą tego, co najlepsze i najcenniejsze w jej profesji – zdolności do manipulacji, kompromisu i działania.

I w tej właśnie aktywnej roli miałem możliwość ją podziwiać. Gdy podszedłem, wiedziała, kim jestem, zanim zdążyłem się odezwać, zupełnie jakbym miał na czole napisane czarnym flamastrem: „dziennikarz”.

– Nazywam się Jasmine Bloom – przejęła inicjatywę.

– Jerry Dawson. – Podałem jej dłoń. Spotkał mnie miękki i ciepły uścisk. Przez chwilę przyglądała mi się, jakby oceniała moją prawdomówność na podstawie nazwiska i dotyku dłoni, po czym uśmiechnęła się, obrzucając mnie ciepłym, zmysłowym spojrzeniem.

– Miło cię poznać, Jerry – powiedziała. Nie była ani poważna ani stanowcza. Jej drapieżne alter ego przykucnęło gdzieś pod ścianą świadomości i cierpliwie czekało.

– Chciałbym zadać ci kilka pytań – podjąłem, wyciągając dyktafon. – Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko?

– Masz na myśli wywiad? – zapytała, wchodząc do oklejonej reklamą budki telefonicznej.

– W zasadzie... – podjąłem, ale przerwałem od razu. Nie słyszała mnie. Budka była szczelnie zamknięta. Kiedy wyszła z tej prowizorycznej przebieralni, wyglądała mniej wyzywająco, choć wcale nie mniej ponętnie. Kręcone blond włosy, spięte z tyłu, podkreślały linię brwi i piękne jasnoniebieskie oczy. Miała na sobie białą, bawełnianą bluzkę stylizowaną na folklor z wycięciem na dekolt przewiązany cienkim, luźnym sznurkiem i długie, bawełniane spodnie. Nie mogłem oderwać wzroku. To, co robiła, i to, jak wyglądała łączyło się teraz w efekcie synergii, bombardując świadomość wizerunkiem stworzonym do pożądania. Jej widok szeptał do mnie, wywoływał po imieniu ukryte potrzeby i najprymitywniejsze instynkty. Przez chwilę zapomniałem o wywiadzie. Chciałem po prostu stać i sycić się jej obecnością.

– Czy mam coś na twarzy? – zapytała, uśmiechając się.

– Poza tym bajecznym uśmiechem? – odparłem. – Nie.

– No dobrze – odparła nieco chłodniej. – Więc co z tym wywiadem?

– Nie mówiłem nic o wywiadzie – odparłem. – Chciałem po prostu zadać ci kilka pytań.

Uśmiechnąłem się lekko, próbując ją zachęcić, ale szczerze wątpię, żeby mój uśmiech był zachęcający. Próbowałem nie dać po sobie poznać, że emocje przejmują nade mną kontrolę, ale na to, oczywiście, było już za późno. Jass doskonale wyczuła moją słabość i potraktowała ją jak rzecz zupełnie naturalną.

Przyglądała mi się z tą samą pobłażliwą miną, z jaką kobiety przyglądają się napalonym nastolatkiem wpatrzonym w ich dekolt.

Czułem na sobie jej rozbawiony wzrok i za wszelką cenę próbowałem się opanować. Wmawiałem sobie, że muszę tylko dowiedzieć się więcej, opisać ją, dokleić do reszty osób spotkanych w przeciągu tych dwóch dni, a potem zapomnieć o niej tak, jak się zapomina o ludziach, którzy tylko mijają nas w życiu, pozostawiając po sobie jedynie niktne echo. Prawda była jednak zupełnie inna. Imperatyw biologiczny przejął kontrolę, a mój umysł zdawał się błąkać gdzieś, próbując dogonić fantazje i myśli rozbiegane wokół Jasmine jak bezpańskie psy. Podałem się jej zupełnie. Zostałem pokonany, zanim jeszcze zdałem sobie sprawę, że toczę walkę o panowanie nad sobą.

Nie wiem dokładnie, jak to zrobiła, ale nie minęło pół godziny, a stałem z nią przed szklanym wieżowcem na J.F.K. Boulevard, zaczepiając przechodniów i wręczając im ulotki informujące o drugim spotkaniu o nazwie Shadow Convention, odbywającym się równolegle do zjazdu Republikanów.

– Więc naprawdę wierzysz, że twój konkurencyjny zjazd ma szansę na sukces? – zapytałem.

– Sądzę – odparła – że to pierwsza tego rodzaju okazja, żeby udowodnić sobie nawzajem, że potrafimy działać razem.

– Myślisz, że uda się wam wywrzeć wpływ na wyborców?

– Mam taką nadzieję – odparła i wyjęła po raz kolejny komórkę.

W przeciągu godziny otrzymała kilkanaście SMS-ów. Była jak centrum dowodzenia i centrala węzła komunikacyjnego w jednym. Po każdej wiadomości odpisywała jednej lub dwóm osobom rozmieszczonym w różnych częściach miasta. Dopiero potem wracała do mnie i ulotek.

– Tego rodzaju sojusze zazwyczaj kończą się, gdy ludzie... – podjąłem, ale urywałem w pół zdania. Jasmine znalazła bardziej interesującego rozmówcę. Spojrzała gdzieś za mnie, wyteżyła wzrok i ruszyła do przodu, pozostawiając mnie w tyle.

– Zaczekaj sekundkę – rzuciła i zniknęła za moimi plecami.

Kiedy się odwróciłem, nagabywała jakiegoś chłopaka z aparatem na szyi i torbą na ramieniu.

Gdy patrzyłem, jak się oddala, zamezczając go pytaniami, pomyślałem, że może faktycznie ta kobieta uosabiała zjawisko, które warto było opisać.

Chłopak najwyraźniej nie był zainteresowany, ale nie dawała za wygraną. Z sekundy na sekundę oddalali się, pozostawiając mnie z garścią ulotek w rękę. Przez moment przeszło mi przez myśl, że powinienem rzucić to w cholerę i ruszyć za moim tematem. Czas naglił, a ja nie zebrałem jeszcze żadnych materiałów. Miałem zasadniczo dwa wyjścia: mogłem pozostać z Jass i bawić się w roznosiciela ulotek albo odzyskać kontrolę i zabrać się za to, za co mi płacą.

Niestety imperatyw biologiczny wciąż trzymał mnie w hormonalnym uścisku i za każdym razem, gdy chciałem rzucić trzymanymi w dłoni ulotkami, przed oczami stawał mi obraz Jasmine: odważnej, nietuzinkowej, intrygującej.

– Liczę na ciebie, Bruce! – krzyknęła, pozwalając mu odejść. Chłopak pomachał jej nieco zmieszany.

– Znajomy? – zapytałem. Podejrzywałem, że znam odpowiedź. Jass bezbłędnie wychwyciła sugestię.

– Nie, nic z tych rzeczy – rzuciła. – To tylko kolega. Początkujący reporter. Zamęczam go, gdy tylko mam okazję. To właśnie na takich jak on możemy dziś najbardziej liczyć. Pytałeś o coś?

– Tak. Chciałem zapytać, czy myślisz, że... – zacząłem, ale znów wyrwała do przodu bez słowa. Kolejny nieznajomy, kolejna prośba o wsparcie, a ja z plikiem ulotek w ręku, stojący bezradnie na chodniku pełnym mijających mnie ludzi. Zaczynało mnie to irytować.

– Bill! Bill Murphy! – krzyknęła, machając radośnie do kogoś w tłumie. Elegancki mężczyzna około czterdziestki wychodził właśnie z restauracji po drugiej stronie ulicy. Jasmine przemknęła między sunącymi samochodami i zanim zdążyłem zareagować, stała już obok niego.

– Wiesz, naprawdę dobrze cię widzieć – wyznał, gdy dotarłem na drugą stronę. Schowałem ulotki i stanąłem w bezpiecznej odległości.

– Co tutaj robisz? Przyjechałaś z powodu zjazdu? – zapytał.

– Prowadzimy kampanię na rzecz wycofania z obrotu „miękkich pieniędzy” i lobbujemy za reformą finansowania wyborów.

– Ambitny cel – przyznał, wpatrując się w jej dekolt.

– Potrzebujemy każdego możliwego wsparcia. Twój głos byłby znaczący i mógłby działać wiele dobrego. Pracowałeś z tymi ludźmi i wiesz, jak działa system.

– Chcesz powiedzieć, że jestem jednym z tych ludzi? – spytał rozbawiony.

– Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Niewielu jest już takich jak ty. Wciąż pamiętam, co zrobiłeś dla mnie i dziewczyn w Seattle – przyznała, spuszczając teatralnie wzrok na jego buty.

– Nie ma co rozpamiętywać wczorajszych niepowodzeń – stwierdził, przyjmując ten sam melancholijny ton.

– Wiem, ale gdyby nie ty na pewno wytoczyliby proces – wyznała, uśmiechając się zalotnie.

– Ten restaurator to rozsądny mężczyzna. Dbał jedynie o swój interes.

– Tak, wiem, rozumiem. Tak czy inaczej bardzo chciałabym, abyś pojawił się na konferencji. To by dla mnie naprawdę dużo znaczyło.

Rozmawiali jeszcze chwilę w podobnym tonie, wymieniając uprzejmości i zapewniając się o wzajemnym szacunku. Stałem za jego plecami, wpatrując się

w wystawę sklepową i tylko przez chwilę udało mi się uchwycić wzrok Jasmine w odbiciu szyby. Czerpała przyjemność z mojej obecności, zupełnie jakby po raz pierwszy mogła pokazać komuś, na co tak naprawdę ją stać. Gdy postać biznesmena zniknęła ze sklepowej witryny, odwróciłem się i podszedłem do prześwietlającej mnie wzrokiem Jasmine.

– I jak? Gotowy na coś naprawdę dziennikarskiego? – spytała, przechodząc znów na wygodniejszy, bardziej chodnikowy język.

– Co może być bardziej dziennikarskiego niż to? – odparłem, wyciągając przed siebie plik papierowych kartek.

– Wiem, wiem. Przepraszam. Nie powinnam się tobą wysługiwać, ale jak inaczej miałam cię zatrzymać? – Uśmiechnęła się.

– Bądźmy szczerzy – podjąłem. – Wiem, że zrobisz wiele dla tego artykułu. Więc może na początek zaczniesz traktować mnie poważnie?

– Traktować cię poważnie, powiadasz? – zdziwiła się. – Ależ, my się dopiero co poznaliśmy, Jerry – dodała z uśmiechem. Ostatecznie odebrała ulotki z mojej dłoni. Czyniąc to, musnęła delikatnie mój kciuk, przeciągając opuszkami po zmęczonej, opalonej skórze. Sekundy rozplynęły się w elektryzującej chwili. Nagły dreszcz przebiegł po moich plecach i musiałem przyznać, że jest naprawdę dobra w tym, co robi. Gdyby istniał kurs uwodzenia dziennikarzy, Jass mogłaby go prowadzić.

– Myślisz, że za cztery lata będą widzieli potrzebę współpracy? – spytałem. Usilnie próbowałem wrócić do ostatniej myśli. Mówiła coś o organizowaniu się ludzi. Zastanawiałem się, czy to właśnie to pytanie miałem zadać. Jej oczy coraz silniej odciskały się w wyobraźni, a ja coraz mniej kontrolowałem prąd własnych myśli.

– Kto? Ludzie? Społeczeństwo? Czy może któraś z organizacji społecznych? – zapytała, wpatrując się we mnie błękitnymi oczami. – Musimy pędzić do Annenberg Centre – machnęła ręką, przywołując mnie. Nie próbowałem pytać, gdzie to jest. Jej telefon zdążył zadzwonić i znów zanurzyła się w organizowanie naprawy świata.

– Zatrzymajcie go tak długo, jak dacie radę! – krzyknęła do słuchawki. – Będę tam za piętnaście minut. Może uda się go przekonać, żeby włączył się do debaty.

– Jakiś problem? – zapytałem.

– Nie, wręcz przeciwnie – przyznała, chowając telefon do lewej kieszeni. – Chodźmy, muszę być przy stanowisku, zanim ekipa CNN zwinie się i odjedzie.

Zanim zorientowałem się, byliśmy już w połowie drogi na parking. Jakimś sposobem zmusiła mnie do biegu przełajowego przez centrum miasta. Gdy zatrzymałem się zdyszany, próbując złapać oddech, Jasmine zdążyła zaczepić jeszcze dwóch mężczyzn w garniturach, rozmawiających o czymś przed białą

taksówką.

– Panowie wybaczą, że przeszkodzę – podjęła, dostosowując ton do ich głosów. Była jak kameleon dostrajający barwę słów do otoczenia. – Nazywam się Jasmine Bloom. Pracuję w komitecie na rzecz zmiany sposobu finansowania kampanii wyborczych. Czy panowie są zaznajomieni z problemem?

Mężczyźni spojrzeli po sobie zdziwieni, po czym wybuchnęli śmiechem. – Tak, tak, droga Pani, jesteśmy świadomi problemu. Ale obawiam się, że na to trochę za późno – przyznał jeden.

– Na zmiany na lepsze nigdy nie jest za późno. Zapraszam do Annenberg Centre przy Walnut Street 380. Główny punkt programu nie potrwa dłużej niż godzinę, ale jestem pewna, że nie pożałujecie, panowie, spędzonego tam czasu.

– Podobno się śpieszyliśmy? – wtrąciłem, przerywając tę coraz mniej formalną rozmowę.

– Liczę na panów. Zapraszam do stanowiska Democracy in Motion. Będę tam do dziewiętnastej i z chęcią odpowiem na wszelkie pytania związane z problemami poruszonymi przez mówców.

– Idziemy? – zapytała, zerkając kątem oka. Wybrała numer z drugiego telefonu i wślizgnęła się do taksówki. Nie pozostało mi nic innego, jak ruszyć za nią. W samochodzie postanowiła być powściągliwa. Zupełnie jakby podejrzewała, że i tak nie napiszę o niej ani o kampanii. Wyjęła z torby notebooka i w ciągu piętnastu minut drogi, jaka dzieliła nas od budynku zjazdu, wykonała dwie rozmowy telefoniczne, odpisując jednocześnie na kilka krótkich maili.

– Zastanawiam się tylko, po co ciągniesz mnie za sobą? – powiedziałem. – Szofera przecież nie potrzebujesz. Dziennikarza zapewne też nie.

– Ależ Jerry – przepraszam cię najmocniej, nie chciałam, żeby to tak wyszło. Wynagrodzę ci to jakoś, obiecuję – dodała i uśmiechnęła się po raz kolejny.

Kiedy podjechaliśmy pod budynek uniwersytetu, okolica wyglądała podejrzanie spokojnie. Nic nie wskazywało na to, że odbywa się tu wydarzenie skupiające uwagę komentatorów politycznych. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegłem tłumów. Schludne, estetyczne chodniki przed budynkiem z czerwonej cegły świadczyły o porządku i praworządności panującej w tej części miasta. Budynek, w którym odbywał się zjazd, w odróżnieniu od Wachovia Centre, był antonimem komercji i megapolizmu. Mikroskopijność wydarzenia, które aspirowało do rangi alternatywnego konwentu, uderzała już przy wejściu. Przechodząc przez szklane, przyciemniane drzwi, miałem wrażenie, że wszyscy ci ludzie wtajemniczeni byli w jakiś dziwny, sekretny rytuał, o którym pozostali mieszkańcy Filadelfii mieli się dopiero dowiedzieć.

– Audytorium jest w tamtą stronę – Jasmine wskazała korytarz i schody prowadzące na górę. – Dołączę do ciebie, jak podopinam wszystko tutaj – powiedziała i ruszyła w stronę oczekującej na nią ekipy telewizyjnej. – Mam

nadzieję, że znajdziesz tutaj to, czego szukasz – dodała, odwróciła się i zniknęła za zakrętem korytarza.

Ruszyłem wąskim przejściem kierowany oznakowaniem na ścianach. W obszernym, opuszczonym pomieszczeniu na pierwszym piętrze znajdowały się kanapy i fotele, w których w każdy inny dzień studenci dzielili się spostrzeżeniami na temat historii, sztuki i ekscentryzmu wykładowców. Tamtego dnia jednak nie było nikogo. Gdy wszedłem na otwartą przestrzeń holu na drugim piętrze, nie dostrzegłem tam żywej duszy. Jedyne szklane drzwi na środku pomieszczenia zdradzały przejawy wzmożonej aktywności po drugiej stronie. Burze okłasków i przytłumione głosy mówców wydobywające się zza ich mleczej powierzchni podpowiadały, że się spóźniłem. Podeszedłem i sięgnąłem po prospekt leżący na stoliku obok. Otworzyłem rozpiskę i spojrzałem na zegarek. Część oficjalna rozpoczęła się niespełna pół godziny wcześniej. Według informacji na karcie za drzwiami przemawiał właśnie założyciel Miejskiego Kościoła Międzywyznaniowego, wielbny Edwin Sanders. Po nim przemawiać miał Gubernator Kalifornii, Gary Johnson, i jeszcze garstka ludzi o niemówiących mi nic nazwiskach. W programie były między innymi przemowy, filmy, występy i kabarety. Znalazł się tam nawet wieczorny Rapid Response Panel, którego członkowie mieli komentować na żywo wydarzenia z konwentu republikanów. Całość okraszono intrygującą nazwą „Drug War Reform Day” i pomyślałem, że coś takiego z pewnością musiało wzbudzić sensację wśród miejscowej prasy. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo się myliłem.

Kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do niewielkiego audytorium Filadelfijskiego Uniwersytetu, mój wzrok przykuła jedna, jedyna kamera telewizyjna ustawiona na podeście po środku widowni. W przeciwieństwie do ogromnej sceny i dziesiątek operatorów w First Union Centre miejsce to nie mogło liczyć nawet na cień tamtego zainteresowania. Było to dość dziwne, zważywszy że w Filadelfii media są bardzo konkurencyjne. Mamy przecież mnóstwo stacji telewizyjnych, różnego rodzaju etniczne gazety, trzy dzienniki i przynajmniej dwa alternatywne wydawnictwa. Czas antenowy i miejsce na papierze poświęcone polityce w tym mieście ustępuje jedynie uwadze skierowanej na scenę polityczną Waszyngtonu, a jednak media i tak potraktowały to miejsce po macoszemu. Uznałem, że albo nie zostały zaproszone, albo najzwyczajniej w świecie postanowiły się nie fatygować. Ta druga ewentualność doskonale potwierdzałyby opinię o mediach podzielaną większością świeżo upieczonych antyglobalistów. W zasadzie liczba dziennikarzy na sali dowodziła, że medialny obiektywizm to mit.

Zdziwiło mnie również to, co działo się na scenie. Pomiędzy dwoma płóciennymi ekranami, na których wyświetlano obraz rejestrowany przez kamerę ustawiono mównicę, za którą w natchnionych gestach i boskim gniewie przemawiał do zebranych około pięćdziesięciokilkuletni, ciemnoskóry duchowny.

Jego słowa zdawały się płynąć nie z kartki, a z jakiegoś ukrytego wewnątrz duszy miejsca, źródła, w którym rodzi się i rozrasta natchnienie. Masywna postura i niski, mocny, rezonujący głos porwały wyobraźnię słuchaczy w równym stopniu co słowa płynące z ust.

– Spotkaliśmy się w mieście, w którym napisano i sygnowano Deklarację Niepodległości – mówił. – Wierzę, że dzisiejszego dnia musi zostać zapisana nowa deklaracja i że ta deklaracja pochodzić będzie właśnie z tego miejsca. – Wskazał na scenę pośród aplauzu i gwizdów. – Są bowiem ludzie, którzy muszą usłyszeć wiadomość przekazaną z tego właśnie miejsca. Są ludzie, którzy muszą zwrócić swój wzrok i uwagę na to właśnie miejsce – powtórzył, uderzając palcem o blat mównicy.

– Jestem przekonany, że to my będziemy ludźmi, którzy powiedzą, że oto powstaje nowa deklaracja i że ta deklaracja przedstawiana jest w imieniu nas wszystkich. Tutaj, w Filadelfii. Dzisiaj. Zapowiadamy, że nie będziemy dłużej beczynnie czekać i pozostawiać niewinnych ludzi samym sobie. Nie będziemy pozwalać rodzinom, które są bezustannie represjonowane przez Wojnę z Narkotykami, by w osamotnieniu dźwigały ten ciężar. To właśnie my jesteśmy tymi, którzy podnoszą głos. Nie będziemy dłużej beczynnie czekać i pozwalać spekulantom gromadzić bogactwo z wyzysku i wykorzystywania tych, którzy są nieproporcjonalnie dotknięci skutkami tej wojny. I to my musimy być tymi, którzy powiedzą, że niezbędna jest prawdziwa, a nie pozorna inwestycja w edukację, prawdziwa inwestycja w leczenie, prawdziwa inwestycja w zapobieganie, prawdziwa inwestycja we wszystkich obszarach, które mogą zmienić coś, które mogą sprawić, by narkotyki nie niszczyły naszych społeczności. Nie będziemy beczynnie czekać i patrzeć, jak system prawa, cały system prawa karnego systematycznie wykorzystuje i wyzyskuje naszych braci. W szczególności zakłady karne. Ponieważ wiecie doskonale, co się dzieje. Wiecie, co stało się w tym kraju. Oni wszyscy znaleźli nowe złoto. A tym złotem jest czarne złoto. Wydobywają je w naszych społecznościach. Jestem przekonany, że dokładnie tak, jak nauczyli się kraść, dokładnie tak, jak nauczyli się tratować, dokładnie tak, jak nauczyli się bić, uciskać, poniżać i wykorzystywać w minionych latach tych, którzy mieli ziemię i pożądane surowce, tak samo teraz szukają tego nowego złota, czarnego złota. Złota, które napędza system penitencjarny, system penitencjarny, w którym spekulanci i paskarze bogacą się każdego dnia kosztem nas, tak jak siedzimy tutaj, w tej sali, w imieniu wojny, którą nazywają Wojną z Narkotykami. To my musimy jasno stwierdzić, że ta wojna jest zła i że nie będziemy dłużej siedzieć beczynnie i przyglądać się, jak trwa nadal.

Lawina oklasków przetoczyła się przez salę. Nie było chyba nikogo, kto nie dałby się porwać energii duchownego.

Pomyślałem... Pomyślałem, że jest jakiś sens w tym, co mówił, choć nie do

końca wiedziałem jaki. Gdybym wiedział, podszedłbym i przeprowadził wywiad, którego prawdopodobnie i tak nie mógłbym opublikować. Był zbyt radykalny, zbyt prawdziwy, bym mógł przekuć go na słowa.

– Dlatego że ten dzień jest dniem, jakiego nie znaleźliśmy wcześniej – kontynuował. – Dzisiejszego dnia możemy rozpocząć tu coś, co przetransformuje nasze społeczeństwo. Dzisiejszego dnia możemy zacząć coś, co sprawi, że prawo zostanie zmienione... – Jego zdania stawały się coraz krótsze, a ton głosu coraz bardziej zdecydowany. Publiczność reagowała bezbłędnie. Gwizdy i oklaski, będące wyrazem aprobaty, podtrzymywały atmosferę nadziei i zwycięstwa. Aplauz był jak refren wzniesłego hymnu płynącego z ust charyzmatycznego kapłana.

– Ten dzień – powiedział, powtarzając po raz ostatni – jest dniem, w którym mówimy: Koniec Wojny z Narkotykami. Dziękuję.

– Pięknie mówi, prawda? – Jasmine stanęła obok. Byłem tak zasłuchany, że nie zauważyłem, kiedy otworzyła drzwi i podkradła się od tyłu. Uśmiechała się. Jej błyszczące niebieskie oczy w półmroku audytorium przybrały barwę ciemnego szmaragdu.

– Myślałem, że jesteś z ekipą z CNN – odparłem.

– Nie byli zainteresowani udziałem w debacie.

– Ani tym co miałaś do powiedzenia?

– Zrobili kilka ujęć, chociaż jak dla mnie to kamera mogłaby być wyłączona.

Widziałam po ich minach, że mówię o niewygodnych sprawach. Już po pierwszej minucie chcieli się uwolnić.

– Myślisz, że zmontują materiał o tym miejscu?

– Z pewnością, choć nie jestem pewna, czy będzie to pochlebna relacja.

Wiesz, jak to jest. Wszystko zależy od tego, kto ma pakiet większościowy. No, ale dość o mnie. Jak ci się podoba impreza?

– Nie wiedziałem, że konserwatyści również odwiedzają takie miejsca – stwierdziłem, wskazując na wchodzącego na scenę gubernatora Nowego Meksyku.

– W niedzielę był tu Paul McCain, a wczoraj kongresmen John Campbell. Oboje są republikanami. Spójrz – powiedziała, wręczając mi dwie płyty oznaczone jako „Dzień 1” i „Dzień 2”.

– I McCain przyszedł tu, żeby mówić o...?

– O reformie sposobu finansowania kampanii. Bardzo starał się wkomponować w niedzielny temat – przyznała Jasmine. – Ale jak obejrzysz sobie przemowę – powiedziała, wskazując na płytę – zobaczysz, że chodziło mu głównie o głosy dla Busha.

– Sam nie ma wielkich szans na wygraną – przyznałem.

– I dzięki Bogu – odparła i znów skupiła się na scenie.

– Aż tak nie cierpisz Republikanów? – zapytałem.

– Nie o to chodzi. Osobiście chciałabym, żeby wygrał kandydat zielonych,

Ralph Nader. Nie miałabym też nic przeciwko McCainowi. Ale prawda jest taka, że dopiero kiedy Bush wygra, nasz ruch będzie mógł nabrać impetu. Ten człowiek będzie podejmował katastrofalne decyzje. I to dzięki niemu ludzie będą mogli wyrwać się z letargu.

– Katastrofalne decyzje – pomyślałem.

Zastanawiałem się, czy takie właśnie było prawdziwe oblicze aktywizmu. Poświęcanie status quo dla podźwignięcia się z popiołów.

– Czy to aby nie jest zbyt wysoka cena za to „przebudzenie?” – zapytałem.

– Nie ma innego wyjścia. Jest już za późno na czekanie. Trzeba działać, a Bush umożliwi działanie, stworzy przestrzeń, w której będziemy mogli się poruszać.

– Zdajesz sobie sprawę, jak niedorzecznie to brzmi? – zapytałem. – To naprawdę chora logika.

– Wiem, ale nic innego nam nie pozostaje – przyznała.

– A to? Po co to? – spytałem, podnosząc dwa nieopisane krążki.

– Nie zgub ich, to ostatnie dwie sztuki, jakie mam. Nie zdążyłam zrobić więcej kopii.

– Nagrywacie je dla siebie czy dla prasy?

– Prawda jest taka, że na wynik wyborów nie mamy wpływu. Tam rządzi zupełnie inny mechanizm. Tutaj natomiast możemy docierać do ludzi i pokazać, że mogą mieć wpływ na rząd, na to, co się w nim dzieje i jakie decyzje są podejmowane. Muszą się tylko zjednoczyć.

Pomyślałem, że gdzieś to słyszałem, zupełnie jakby Jasmine, Jemma i pozostali wyuczyli się tego samego skryptu lub ukończyli to samo seminarium z aktywizmu. Zastanawiało mnie, czy zdawali sobie sprawę, z tego jak naiwnie pojmowali uwarunkowania korumpujące ludzi. Nadzieja i wiara w ludzką szlachetność nie tylko napędzały ich, dodając sił, ale i przesłaniały wzrok, ukrywając całą złożoność ludzkiej psychiki i zachowań, które się z niej rodzą. Naiwność, nadzieja i wiara były jej największą bronią, ale i poważnym upośledzeniem.

– A dziś? – Próbowałem odnaleźć wątek. – Dziś jednoczycie się, by zakończyć wojnę z narkotykami? Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak. Dokładnie tak – przyznała. – O! I o wilku mowa. Spójrz. Jest i Gary.

W tym samym momencie po raz pierwszy dostrzegłem jej prawdziwą twarz. Nie tę sfabrykowaną, wykrzywioną uśmiechem serwowanym odbiorcom jej filozofii. Zobaczyłem twarz kobiety, która w coś wierzy.

Była promienna i skupiona. Wpatrywała się w scenę, na której przystojny, około czterdziestoletni mężczyzna stanął właśnie za mównicą. Miał przyjemną, inteligentną twarz i krótkie szpakowate włosy. Sposób, w jaki mówił i gestykułował, a nawet uśmiechał się przypominał bardziej poczciwego sąsiada,

dobrotliwego dziadka lub ojca aniżeli gubernatora zarządzającego piątym co do wielkości stanem w USA. Jass była wyraźnie zauroczona. Ja, muszę przyznać, również.

– Zgodzicie się przecież ze mną, że tak naprawdę nie ma nikogo, kto zachęcałby nas do zażywania narkotyków, prawda? – mówił. – No bo przecież wybrani przez nas politycy, podobnie zresztą jak stróże prawa, mówią zgodnie: „nie bierzcie narkotyków”. A jednak... Osiemdziesiąt milionów Amerykanów sięga po narkotyki. Zresztą nawet gdybyście chcieli, nie znajdziecie nigdzie nikogo, kto zachęcałby was do narkotyków. Mówimy naszym dzieciom: nie bierzcie narkotyków. Nauczyciele mówią dzieciom: nie bierzcie narkotyków. Politycy i policja również zgodnie powtarzają: nie bierzcie narkotyków. A jednak pięćdziesiąt cztery procent dzieciaków w ostatniej klasie liceum w roku dwutysięcznym sięgnęło po narkotyki¹.

Rozejrzał się po sali, skupionej na ostatnich słowach, zupełnie jakby oceniał ich potrzebę usłyszenia tej oczywistej prawdy.

– Muszę powiedzieć, że jestem w kropce – powiedział. – Zwłaszcza kiedy mówię moim dzieciom: nie bierzcie narkotyków. Ale kocham moje dzieci i wiem, że ze statystycznego punktu widzenia jedno z nich i tak sięgnie po narkotyki. I chyba jak każdy rodzic, nie chciałbym, żeby znaleźli się w sytuacji, w której mogą zrujnować sobie resztę życia tylko dlatego, że zrobili coś głupiego. Nie chciałbym, aby znaleźli się w sytuacji, w której zostaną pozbawieni szans, jakie daje im ten kraj tylko dlatego, że zrobili coś głupiego. Co więc powinienem zrobić? Powiem wam. Powinienem powiedzieć moim dzieciom, że je kocham – że je kocham i że jeśli kiedykolwiek będą w sytuacji, w której będą miały kłopoty, mają zadzwonić, a ja przyjadę i zabiorę je. Bez zadawania pytań, bez moralizowania. Dlatego, że je kocham. I właśnie to musimy mówić dzieciom, że je kochamy¹.

– Cieszę się, że zgodził się tu przyjechać – Jasmine westchnęła. Przedłużający aplauz zagłuszył jej głos.

– Gdybym nie wiedział, że jest gubernatorem, mógłbym przysiąc, że jest pastorem.

– To prawda, Gary to świetny facet.

– Myślisz, że to coś zmieni? – zapytałem.

Tak naprawdę nie spodziewałem się odpowiedzi. Jasmine skupiła całą uwagę na uśmiechniętej twarzy Gary’ego. Gubernator Nowego Meksyku czekał cierpliwie, aż owacje ucichną, a potem oparł dłonie na brzegach mównicy i podjął na nowo:

– To prohibicja. To ona jest problemem. Prohibicja i dzieci biorące narkotyki. Dzieciaki przenoszące ogromne ilości narkotyków. Dlaczego? Dlatego że w miarę jak kary dla pełnoletnich stają się coraz surowsze, ci sami pełnoletni zmieniają nieletnich w tragarzy. Dlaczego? Ponieważ dzieci zawsze dostają drugą

szansę.

Rozmawiałem z kilkoma dzieciakami przenoszącymi narkotyki. Jeden chłopak pięćdziesiąt funtów6 marihuany, inny pięćdziesiąt funtów kokainy, jeszcze inny siedemdziesiąt pięć kilogramów kokainy. Co to za fenomen? Na czym polega? Czy ktoś z was wie? Zjawisko to ma u podstaw jeden prosty fakt: dorośli wciskają dzieciom ogromne ilości narkotyków tylko dlatego, że jeśli oni zostaną złapani, wszyscy, bez wyjątku, zostaną skazani i zamknięci za kratami na resztę życia. A jak wiemy dorośli nie pozwolą się po prostu złapać i zapędzić się do więzienia – będą strzelać. I to właśnie dzieje się w tym kraju!

– Myślę, że ma rację – powiedziałem. – Zdziwiające, że nikt do tej pory na to nie wpadł.

– Nikt to znaczy kto? – spytała zdziwiona. – Nikt w głównych mediach? Czy może żaden z polityków?

– Politycy otwierają usta tylko jeśli mają w tym interes.

– Lepiej bym tego nie ujęła – odparła i zaczęła bić brawo, dołączając do całej widowni oklaskującej schodzącego ze sceny gubernatora.

– Powiedz mi coś – podjąłem.

– Co? – zapytała, wciąż wpatrzona w scenę.

– Czy według ciebie to jest dobry moment na przeprowadzenie wywiadu? – zapytałem.

– Nie wiem, czy Gary znajdzie czas.

– Nie mówię o nim – odparłem. Jasmine uśmiechnęła się.

– Nie chcesz zobaczyć reszty? – zapytała, wskazując na program w mojej dłoni.

– Z pewnością czeka nas tu jeszcze sporo atrakcji – przyznałem – ale wolałbym, żebyś powiedziała mi teraz coś o sobie.

– No tak – westchnęła rozczarowana. – Wojna z narkotykami może poczekać. Całe szczęście, że udało mi się zdobyć te płyty – sięgnęła do torebki i dokładnie wymieszała jej zawartość.

– Tego szukasz? – spytałem, odsłaniając schowane między kartkami dyski.

– Ach tak, rzeczywiście. Już ci je dałam. – Jej wzrok potwierdzał moje podejrzenia. Dochodziła do punktu krytycznego.

– Powinnaś odpocząć. Może siądziemy gdzieś i coś zjemy?

– Możesz je wykorzystać do artykułu, jeśli chcesz – odparła, ignorując propozycję.

– Co na nich znajdę? – spytałem, przyglądając się szerokości wypalonych ścieżek.

– Pierwsze dwa dni konwentu – powiedziała. – Prezentacje, śpiewy, filmy i kabarety. Cały ten cyrk na kółkach, chociaż jest tam też kilka przyzwoitych występów.

– Na pewno obejrzę. A teraz powiedz, Jasmine, może skusisz się na lunch? Kilka minut stąd widziałem miłą, włoską restaurację. Może tam porozmawiamy? – zaproponowałem.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się.

– W zasadzie mam ochotę na coś azjatyckiego – odparła.

Była niezdecydowana. Zastanawiała się nad czymś. Przygryzła wargi, przywołując jakąś myśl, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ta myśl nie miała nic wspólnego z kuchnią.

Od zawsze miałem słabość do tego gestu. Pobudzał wyobraźnię jak żaden inny. Ten jeden drobny ruch ust, przygryzienie czerwonych płatków dolnej wargi, mimowolna manifestacja ukrytej kobiecości, działał na mnie na najniższym, zwierzęcym poziomie, zakodowanym gdzieś w przeszłości przez moich przodków jako moment, w którym kobieta poddaje się, odsłania czuły punkt i na ułamek sekundy staje się gotowa do zdobycia.

Po raz kolejny straciłem kontrolę. Ogarnęło mnie uczucie ucisku, wijące się, przedzierające spod żołądka przez tors w stronę pięciu stron ciała jak gorąca, paraliżująca fala.

– Naprzeciwko wyjścia jest azjatycka knajpa – wydusiłem z siebie. – Mój głos załamał się na moment i nie mogłem wydobyć z krtani żadnego dźwięku.

– Wszystko w porządku? – spytała, kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Tak – wykrztusiłem. – Dzięki, to nic takiego.

– Jesteś pewien? – dodała, przesuwając dłonią po skórze do nadgarstka.

– Tak. Coś mnie chyba rozkłada. Pewnie jakiś wirus.

Przetarłem wolną dłonią mokre od potu czoło. Musiałem wyrwać się z odrętwienia. Czułem, że serce bije mi jak oszalałe.

– Co to za lokal? – spytałem.

– Jest w porządku, byłam tam. Jedzenie mają średnie, ale mam tylko niecałą godzinę, więc nie zdążymy podjechać nigdzie dalej...

Jasmin mówiła dalej, a dla mnie czas po raz kolejny zwolnił. Dźwięk jej ostatnich słów zmienił sens i znaczenie kolejnych, sprawiając, że stawały się mniej uchwytnie, bardziej ulotne, a jednocześnie niemal magiczne. Czułem, jak dźwięki rodzące z jej ust stają się przedłużeniem chwil, wyznacznikami czasu, oddzielającymi czas, w którym byłem ja i czas, w którym byliśmy my, oddzielającymi to co niezwykle od zwyczajnego.

Jasmine mówiła dalej, ale jakby wolniej, pozostawiając coraz dłuższe odstępy między słowami, a ja oczyma wyobraźni widziałem, jak po każdym zdaniu na powierzchni ciszy pojawia się wypukłość, która rośnie, pęcznieje i zmienia kształt po to, by oderwać się od dźwięku i rozprysnąć w niepokoju uczuć. Każda kolejna sekunda ciszy rozbrzmiewała w głowie jej słowami: „Nie zdążymy”, powiedziała. „MY”, powiedziała. Słowo to dudniło we mnie dźwięcznym echem,

uwalniając reakcję chemiczną, w której ja sam byłem bez znaczenia. Hormony przejęły ostatecznie kontrolę. Przeklinałem w duchu tę bezlitosną chemię. Patrzyłem, jak na zwolnionej taśmie składa zgłoski, otwiera usta, unosi brwi i uśmiecha się, unosząc kąciaki oczu.

Powinienem być zadać sobie pytanie, dlaczego błękitnooka blondynka przede mną była tak miła dla przygodnie spotkanego faceta? Dlaczego działała na mnie w taki sposób? Czyżby robiła to celowo?

Nie miałem pojęcia, ale wiedziałem, że nie mam już wyboru. Musiałem towarzyszyć jej, gdziekolwiek zechce mnie poprowadzić.

Z wszystkiego, co jadłem, koreańskie, chińskie i japońskie dania niezawodnie wywoływały we mnie wstręt i nudności, ale w tamtej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko tamto uczucie. Chciałem, by trwało jak najdłużej. Wiedziałem, że w tym stanie nie będę mógł niczego jej odmówić, ale zdawałem sobie też sprawę z tego, że jest wciąż zbyt wiele rzeczy, których nie wiem o tej kobiecie. Jeśli mogła poczuć się lepiej w otoczeniu glonów, sushi i grzybów moon, musiałem zrobić wszystko, by je dostała. Musiałem wykorzystać wszystko, co mogło skłonić ją do otworzenia się przede mną.

Zanim po raz setny otworzyła swe przepiękne usta, byliśmy już po drugiej stronie jezdnii, dokładnie na przeciwko Annenberg Centre.

Weszliśmy do pierwszej, papierowo–drewnianej sali. Oprócz nas i obsługi nie było nikogo. Grupa kelnerów, pomocników i kucharzy emocjonowała się meczem z podwieszzonego nad barem telewizora. Ich znudzone i pobudzone na przemian twarze wydały się dziwnie nierealne i odległe, jakby kraina uniesień, którą kroczyłem, prowadziła mnie przez inny wymiar tej przestrzeni.

Ruszyłem na lewo, wskazałem Jasmine miejsce przy drewnianym stoliku i opadłem z ulgą na krzesło. Kiedy Jass usiadła, jedna z kelnerów ocknęła się, krzyknęła na resztę obsługi i ruszyła w naszym kierunku. Zanim doszła do stolika, cała ekipa podniosła się leniwie, przetasowała i wtoczyła do kuchni. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś śladu klientów. Opustoszała sala nie wróżyła przyjemnych doznań kulinarnych. Kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła. Jasmin kartkowała menu jeszcze przez chwilę, dając mi czas na zebranie myśli. Gdy zobaczyła, że niecierpliwie się, odłożyła kartę i odezwała się:

– Powiedz, jak to jest pisać o tych wszystkich protestach, wiedzieć o nich dokładnie to, co powinno się wiedzieć i nie robić nic, by cokolwiek zmienić?

– Tak uważasz? – zapytałem, przelatykając ślinę przez zaschnięte gardło. – Myślisz, że nic nie robię?

– Przecież nie chcesz napisać o mnie żadnego artykułu.

– Nie chcę? – spytałem autentycznie zdziwiony. Na tym etapie już dawno wmówiłem sobie, że muszę o niej napisać.

– Nie. Chcesz zaciągnąć mnie do łóżka – stwierdziła.

Ocknąłem się. Czar prysł. Poczułem, jak wyjątkowość jej twarzy zanika, a dziwny narkotyczny odlot topnieje wraz z poziomem hormonów.

– Jesteś piękną kobietą, Jass – przyznałem, a mój wzrok mimowolnie zatrzymał się na jej piersiach. – I nie ukrywam, że pociągasz mnie, ale nie po to tutaj jestem.

– Nie? To dlaczego skanujesz mój biust?

– Wybacz, to silniejsze ode mnie. Ale uwierz, nie po to tutaj przyszedłem. To znaczy, wiem, że to głupio zabrzmiało... – Zmusiłem się, żeby oderwać wzrok od dekoltu.

– OK. Załóżmy, że rozumiem. Załóżmy nawet, że to, co teraz robisz, jest urocze. Czemu więc zawdzięczam przyjemność obcowania z tobą w to upalne, cholernie napięte popołudnie?

– Sam nie wiem – wzruszyłem ramionami jak bezradne dziecko.

Zastanawiałem się, na ile prawdy mogę sobie pozwolić. Zastanawiałem się, co jest prawdą, a co pretekstem i co będzie chciała usłyszeć, prawdę, czy potwierdzenie jej własnych założeń.

– Wydaje mi się... – powiedziałem usilnie, starając się unieść wzrok na wysokość jej twarzy. – Wydaje mi się, że nadszedł czas na zmiany. Powoli zaczynam mieć tego wszystkiego dość.

– Czego?

– Tego, co widzę na co dzień, co rzuca mi się w oczy, kiedy patrzę na ludzi i na to, co robią z życiem.

Nie odpowiedziała. Obserwowała mnie, a ja po raz kolejny straciłem wątek. Mój wzrok wyrwał się spod kontroli i znów powędrował w głąb jej dekoltu.

– Mówisz o tym? – zapytała, wskazując na linię rozdzielającą wypukłość lekko opalonych piersi.

– Przepraszam. – Podźwignąłem wzrok na wysokość ust i zakotwiczyłem go tam jako tymczasowe rozwiązanie. Moje myśli unosiły się na kuszących, dawno zapomnianych wodach, niczym kutry krążące wokół jej twarzy z sieciami zatopionymi na całej rozciągłości dekoltu.

– W porządku. W takim razie o co chodzi? – podjęła.

Otworzyłem szeroko oczy, próbując ocknąć się i opanować. Przetarłem dłońmi twarz i wziąłem głęboki wdech.

– Kiedy patrzę na was... – powiedziałem. – Czuję, że omija mnie coś ważnego.

– Na nas? – zapytała.

– Tak, na was – odparłem. – Na wszystkich aktywistów i tych, którzy starają się wyzwoić z tego obłądu.

Jasmine przyglądała mi się przez chwilę zdziwiona. Też nie mogłem uwierzyć, że to powiedziałem. W jakiś dziwny sposób sprawiła, że dojrzałem do

tych słów. Po chwili zapytała:

– Więc jednak chodzi o artykuł? Zamierzasz go napisać?

Spojrzała mi prosto w oczy i dopiero wtedy zrozumiałem, że to właśnie o to jej chodziło, od samego początku liczyła właśnie na to. Ton jej głosu imitował obojętność, ale była to jedynie iluzja. Oczy ją zdradzały. Dostrzegłem w nich tłamszoną iskrę zainteresowania.

– Nie wiem. Sam nie wiem. Raczej nie – odparłem, szukając odpowiedzi. – Na pewno nie – dodałem po chwili. – Ale powiem ci, co mogę zrobić.

– Co takiego?

– Mogę napisać książkę – stwierdziłem.

– Książkę? – parsknęła. – Zdajesz sobie sprawę, jak niedorzecznie to brzmi?

– zapytała.

Moja deklaracja rozbawiła ją. Ja sam też zdziwiłem się tym, co mówię. Przez chwilę czułem, jakby ktoś przejął nade mną kontrolę, arogancki dzieciak chcący zaimponować kobiecie, albo znudzone beczynnością alter ego, dopominające się chwili chwały.

– Wiem, że to zabrmi naiwnie, ale jestem na tropie większej afery i myślę, że jest na tyle poważna, że mógłbym znaleźć wydawcę. Zresztą swego czasu byłem całkiem niezły. Pisywałem dużo więcej i robiłem to dużo lepiej.

– Więc do czego, do cholery, jestem ci potrzebna? Chcesz napisać książkę, to pisz. Co mi do tego?

Zamilkłem. Nie takiej reakcji się spodziewałem. Jasmine przyglądała mi się przez chwilę, jakby oczekiwała ode mnie oczywistej odpowiedzi, a kiedy dotarło do niej, że jej nie otrzyma, poddała się.

– No dobrze. To o czym miałyby być ta książka?

– O korupcji. O kandydacie na burmistrza, który kandyduje teraz na senatora – podjąłem nieśmiało.

– Słucham – odparła. – Mów dalej.

– O reformie finansowania kampanii wyborczych, a może nawet o wojnie z narkotykami.

– Zdajesz sobie sprawę, że pisząc książkę trzeba mieć dwie rzeczy, z których najprawdopodobniej masz tylko jedną.

– Co takiego?

– Temat i talent.

Poczułem, jak zimne dłonie pogardy obejmują moje serce i zaciskają się wokół szyi, a potem miażdżą je do momentu, aż krople krwi nie zaczną przeciekać między palcami.

– Dzięki – rzuciłem i wtopiłem wzrok w kartę dań. Gniew, który mnie ogarnął, wprawił dłonie w drżenie i musiałem położyć menu na stole. Oddychałem głęboko, próbując nie podnosić wzroku, miałem ochotę odpłacić jej za każde

słowo. Już dawno żadna kobieta nie wywołała we mnie takich emocji. Podniosłem wzrok. Jasmine zgasiła na wpół wypalonego papierosa i zapytała:

– Myślisz, że potrafisz upchać to wszystko pod jednym tytułem?

– Chciałbym spróbować – odparłem. – Czy to takie złe – chcesz?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale właściwie po co mi o tym mówisz? Jeśli tylko to po to, żeby zaimponować, to pomyliłeś adres. Zresztą i tak straciłam przez ciebie wystarczająco dużo czasu.

– Napiszę też felieton o waszych protestach – dodałem. – W końcu mam zlecenie i muszę o czymś napisać, prawda?

– I co, twoim zdaniem, powinieneś opisać? – spytała.

– W zasadzie nie wiem, ale widzę, że ty za to masz jakiś pomysł.

– Znów ci się coś pochrzańło. Nie jestem tu, żeby mówić ci, co masz robić. Jeśli chcesz o coś pytać, pytaj. Jeśli nie, zostawiam ci rachunek i wychodzę, ale nie oczekuj, że będę ci coś sugerować – odsunęła do tyłu krzesło i wstała, sięgając po torebkę leżącą na krześle obok.

– W porządku. – Złapałem ją za nadgarstek. – Mam jedno pytanie. Mam więcej, mnóstwo pytań.

Jasmine zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem, jakbym był kochankiem proszącym o ostatnią szansę. Stała w bez ruchu przez kilka sekund, przeskakując wzrokiem między moją twarzą, a dłonią zaciśniętą wokół przegubu jej dłoni, po czym westchnęła i w końcu usiadła.

– No dobrze – powiedziała. – Co chcesz wiedzieć?

Wyjąłem dyktafon, włączyłem i położyłem na stole. Był moim najwierniejszym przyjacielem. Nie mogłem liczyć na pamięć, ale zawsze mogłem liczyć na niego.

– Zastanawia mnie na przykład, jak to się stało, że policja nie próbowała was wczoraj powstrzymać?

– Kto powiedział, że nie próbowali? – odparła. – Przecież tam byłeś, prawda? Momentami było naprawdę nieciekawie.

– Tak, pamiętam, ale chodzi o coś innego. O ogólną atmosferę podczas zjazdu. Pamiętasz Seattle? Głupie pytanie. Jasne, że pamiętasz. Tutaj, w Filadelfii, wszystko rozegrało się bezkonfliktowo.

– No nie tak zupełnie wszystko – powiedziała, celowo ignorując kwestie Seattle.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– No weźmy na przykład wczorajszy dzień. – Sięgnęła do torebki po nową paczkę.

– Jakiś czas temu kilku moich znajomych wynajęło studio przy Haverford Avenue – mówiła – w zachodniej części miasta. Montowali tam transparenty, makiety i kukły na demonstrację. Wczoraj przed południem pojawiła się policja,

bez nakazu oczywiście. Okrążyli budynek i zażądali wpuszczenia do środka. Szukali broni, którą mieliśmy rzekomo gromadzić z myślą o zjeździe republikanów. Kiedy uzyskali nakaz, wdarli się do środka i aresztowali siedemdziesiąt pięć osób. Pośród tych, którzy nie zostali aresztowani, była czwórka mężczyzn. Pojawili się tam tego samego dnia, kilka godzin wcześniej. Podawali się za stolarzy. Wyobrażasz to sobie? Stolarze!

– Rozumiem, że ze stolarką niewiele mieli wspólnego?

– Dobrze rozumiesz – przyznała, wypuszczając chmurę dymu. – Tak naprawdę byli glinami. Oczywiście żadnej broni nie znaleziono. Jedynym powodem, jaki podali przy aresztowaniu, była obecność łańcuchów, którymi czasami przypinamy się do znaków drogowych.

– Do znaków drogowych... – powtórzyłem w zadumie.

– Tak – odparła poirytowana. – Do znaków drogowych. Podobnie jak to barierki, słupków, pomników i innych elementów stałych. Mam ci to narysować?

Wzruszyłem ramionami.

– Planowaliście ich użyć? – zapytałem, starając się nie drażnić jej bardziej.

– Nie o to chodzi. Nie rozumiesz Jerry? To bez znaczenia. Te łańcuchy były ich jedynym przewinieniem. Skonfiskowano wszystko: kukły, bannery, materiały i masę sprzętu. Tak więc, jak widzisz – nie, niezupełnie wszystko przebiegło wczoraj bez komplikacji. No, ale co ciebie może to obchodzić? Ważne, że masz temat.

– Przykro mi – przyznałem i chyba tylko tembr głosu uchronił mnie przed kolejną obelgą. Jasmine spojrzała mi prosto w oczy, jakby spoglądała w ślepią gasnącej ofiary i powoli wypogodziła się, rozluźniając napięte mięśnie twarzy.

– Dobrze, że ciebie tam nie było – wyznałem i zamknąłem kartę dań.

– Gdybym tam była, z pewnością gniłabym dzisiaj w celi z resztą pechowców.

– Ilu z was aresztowano?

– Mówiłam już. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham, tylko chciałem się upewnić. To sporo ludzi.

– Tak... – westchnęła. – Policja śledziła, przesłuchiwała i gromadziła dane na nasz temat jeszcze na długo przed zjazdem. Jak widać dzisiaj nie jest ważne, co robisz. Przestępstwem jest to, w co wierzysz.

Gdy wypowiadała te słowa, nad jej głową pojawił się ciemnowłosa, krępy kelner z zestawem naczyń na tacy.

– Cudownie – Jasmine ożywiła się. – Umieram z głodu!

Zaczynałem rozumieć ją i wątpliwości, jakie żywiła wobec mnie. Byłem jedynie kolejnym poszukiwaczem sensacji. Bez względu na to, czym zajmowałem się w przeszłości i co deklarowałem jako cel, ona i tak widziała jedynie użyteczne narzędzie, kanał, którym rozgłosi wszystko, co może pomóc sprawie, konieczny

krok na drodze do celu.

– Pani tu nie palić – zakomunikował kelner i pośpiesznie rozłożył półmiski.

– A Pan tu nie myć taca ani miska. Tu miska być brudna – odparła kąśliwie, wskazując palcem tłuszcz na przyniesionych naczyniach. Mężczyzna skrzywił się, uśmiechnął jak żaba, przetarł białym rękawem miskę, odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę kuchni.

Jass przyglądała się z aprobatą, jak wlewam w siebie przyniesione piwo. Wewnątrz było tylko odrobinę chłodniej niż na ulicy. Gęste nieruchome powietrze tylko pozornie ulegało czterem wirującym płatom wentylatora pod sufitem, a popołudniowe słońce biło bezlitośnie, rozgrzewając purpurowy obrus na stole za nami. Zanim zdążyłem dopić piwo i odłożyć kufel, nasz nowy przyjaciel pojawił się ponownie z resztą zamówienia. Kolejny upstrzony sosem półmisek skrywał wewnątrz smażoną w płytce tłuszczu ośmiornicę, wyciągającą do mnie swe rozczłonkowane macki. Na półmiskach Jass rozkwitała sałatka z glonów i ryż sushi. Skosztowałem bulionu z wieprzowiny i owoców morza z martwym tofu spoczywającym na dnie. Nigdy nie przepadałem za chińszczyzną, a to, co miałem przed sobą, nadawało się bardziej na zanętę na ryby niż posiłek.

– Poznałem wczoraj Jemkę Rockwell – stwierdziłem, przesuwając martwy pierścień na brzeg naczynia.

– O proszę, poznałeś Jemkę? – uniosła lekko brwi i pokiwała głową. Jej wzrok szukał czegoś w bulionie. – Jemma zna się na tym, co robi – dodała.

– To ona dała mi namiar na twój występ przed Four Season Hotel.

Jasmin parsknęła.

– To do niej podobne. Nie przepuści okazji, żeby puścić coś w eter. Ale do czego pijesz?

– Chodzi o to, że podsunęła mi pewien pomysł i... – Zawahałem się. – I pomyślałem, że mogłabyś pomóc w tej sprawie.

Jass połknęła kęs sojowego sera, odłożyła sztucce i wbiła we mnie błękitny wzrok.

– Słucham – powiedziała poważnym, pozbawionym życzliwości tonem. Czas na flirt minął.

Wziąłem głęboki wdech, również odłożyłem widelec i zacząłem.

– Całą noc myślałem o tym, co powiedziała Jemma. Wiem, że forma finansowania kampanii i partii politycznych są największą zgorą systemu. Wiem też, że ta reforma jest warunkiem, który trzeba spełnić, żeby zdławić korupcję, która nas dotyka.

– Nas? – rzuciła zdziwiona.

– Tak, nas – odparłem zniecierpliwiony.

– OK. Przepraszam, już nie będę przerywać.

– O kampaniach i źródłach kapitału zawsze miałem jedynie mgliste pojęcie,

ale wczoraj, gdy obserwowałem marsz i wysłuchałem ludzi, uzmysłowiłem sobie, jak ogromnym problemem jest to, czym się zajmujesz. Ci, którzy protestowali wczoraj, skandowali hasła w obronie cierpiących w krajach trzeciego świata, ale i w obronie ludzi żyjących tutaj, w Stanach. Tak naprawdę nigdy do tej pory nie zastanawiałem się nad tym, jak bardzo korupcja zmienia naszą rzeczywistość. To, że hamuje rozwój Afryki, było oczywiste, ale jakoś nigdy nie dopuszczałem myśli, że tutaj jest jej tak dobrze jak tam, a kto wie, może nawet lepiej.

– Zawsze tu była – wtrąciła. – Tyle że nieco bardziej subtelna i zawoalowana. No dobrze, Jerry, ale przecież ja to wszystko wiem. Do czego zmierzasz?

– Widzisz, chodzi o to, że przez całe życie dążyłem do pewnego celu i chociaż nigdy nie potrafiłem go jasno określić, zawsze szukałem czegoś, czemu mógłbym się poświęcić. Pamiętam, że już od pierwszego roku studiów chciałem pisać jedynie o rzeczach ważnych, o sprawach istotnych, nawet jeśli nikt wokół nie uważał je za takie. Chciałem jedynie robić to w zgodzie ze sobą i sumieniem. Czulem, że mam misję i że znalazłem sens życia. Tyle że z czasem moje priorytety się zmieniły. Człowiek w końcu musi dojrzeć, założyć rodzinę, kupić dom i zaciągnąć kredyt. A świat wokół się też zmieniał. W pracy pojawiły się nowe twarze, wytyczne i reguły gry, a obywatele na ulicach wymarli wyparci przez konsumentów i ich władców. A ja stałem się jednym z nich...

– Pozwolisz, że będę jadła? – przerwała. – Nie chcę, żeby wystygło.

– Oczywiście – odparłem i też wróciłem do ośmiornicy. – Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała.

– Słucham – powiedziała i zabrała się za ramen.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Nie odzywała się. Czekwała. Wyglądała na zaintrygowaną.

– No więc... Muszę przyznać, że do wczoraj nie miałem pojęcia, co zrobić z resztą życia. Już dawno pogubiłem się w tym, co robię, w życiu prywatnym i zawodowym. Nie ma się co oszukiwać, czasy świetności mam dawno za sobą. Żona mnie zostawiła, córka pamięta o mnie od święta, a w pracy pisuję jedynie felietony przeciętnych lotów. Piszę na tematy bezpieczne i politycznie poprawne. Stagnacja stała się sposobem na życie.

– Nie no, na pewno nie jest aż tak źle – stwierdziła. – Będziesz to jadł? – wskazała ośmiornicę na moim półmisku.

– Nie, proszę. I tak nie przepadam za morską kuchnię.

Jass zrobiła wielki łyk wina, zsunęła połowę zawartości mojego półmiska na swój talerz. Sprawiała wrażenie nienasyconej. Pochłaniała bez opamiętania.

– W zasadzie można powiedzieć, że nie mam wiele do stracenia. Doszedłem do wniosku, że jeśli mam coś po sobie zostawić, to niech będzie to świadomość ludzi, którzy powinni wiedzieć więcej o tym, co się dzieje na świecie.

– I po to chcesz napisać książkę, tak? Żeby uświadamiać ludzi?

– Wiem, że to brzmi naiwnie, ale myślę, że mam coś, co może pchnąć ją na rynek. Aferę korupcyjną.

– Po pierwsze, mój drogi – powiedziała, uśmiechając się z mieszaniną drwiny i pobłażania – naiwnym możesz nazwać wszystko to, co robią ludzie tacy jak my, łącznie z dzisiejszymi przemówieniami w Annenberg Centre i tymi jutrzejszymi też. Naiwnym możesz nazwać wczorajszy marsz i ten poprzedni, mniej udany, w Seattle. Wszystko zależy od punktu widzenia. To po pierwsze. A po drugie... Jak dla mnie to, co chcesz zrobić, to czysta fantazja. Jak myślisz, jak długo uda ci się ukryć przed tymi ludźmi? Jakim sposobem zamierzasz zataić fakt, że piszesz o nich? Przecież prowadzisz dochodzenie, przepytujesz ludzi, zbierasz materiały, prawda? Myślisz, że nie wiedzą, kim jesteś i co robisz?

– To ryzyko, które muszę podjąć – odparłem.

W jej twarzy dostrzegłem cień aprobaty.

– A tak poza tym – powiedziała – kogo właściwie masz na myśli?

– Tego nie mogę powiedzieć. Ale zdradzę ci, że wykorzystam ten przekręt jedynie jako wstęp. Myślę, że to dobry punkt wyjścia, jeśli mam opisać korupcję w w rządzie.

– Jesteś naiwny, Jerry. Zresztą od tego są komisje senackie i wymiar sprawiedliwości – odparła. – Zamiast porywać się z motyką na słońce, zatrudniłbyś się w jakiejś niezależnej gazecie i robił to...

– To, co potrafisz? – przerwałem. – Przecież o to właśnie chodzi. Nieważne, w której gazecie się zatrudnię. Zawsze stanę w końcu przed murem, którego głową nie przebiję. Tylko książka ma szansę na dotarcie do mas z właściwym, niezniekształconym przekazem.

– Kto dzisiaj czyta książki? – Nie ustępowała. – Przecież nasz naród jest zbyt głupi. Przepraszam, wszystkie narody, którym wiedzie się dobrze, są głupie. A może chcesz znaleźć odzew wśród internautów? Przecież oni też nie czytają książek. A może wśród milionów widzów? To samo. Ratować naród przy pomocy książki, to jak przynosić dzieciom do piaskownicy podręczniki zamiast zabawek.

– Nikt nie mówi przecież o nagłym przewrocie. To jest tak, jak powiedział dzisiaj ten pastor. Chciałbym wierzyć, że dla mnie to właśnie dziś jest dzień, który da początek zmianom. Chciałbym, żeby jego słowa były prawdziwe. To jest coś, co ze swojej strony mogę zrobić. Czy to takie złe, że chcę?

– No dobrze, rozumiem. Naprawdę poruszyła cię mowa Sandersa, ale do czego w takim razie jestem ci potrzebna?

– Chciałbym, żebyś pomogła mi dotrzeć do ludzi, którzy mają doświadczenie, wiedzę i kontakty.

Jasmin zastygła na moment, przyglądając mi się uważnie. Po chwili

pokiwała głową i odparła:

– Jest parę osób, które mogłabym ci przedstawić, ale to ty musisz wiedzieć, z kim i po co chcesz się spotkać. Jeśli myślisz, że ludzie są chodzącymi skarbnicami tajemnic, albo że dadzą ci gotowy przepis na tekst, to się mylisz. To, o czym wiedzą i co otwarcie głoszą, jest ogólnie dostępne w Internecie. No a poza tym to szczerze wątpię, żeby napisanie książki bez wysuwania oskarżeń pod konkretnym adresem dało jakikolwiek skutek. Tobie potrzebny jest skandal i kozioł ofiarny. A skoro chcesz pisać o rządzie, to kogo z tego rządu zamierzasz umoczyć? Senatora? Prezydenta? Bądźmy realistami. Chyba zdajesz sobie sprawę, że im trudniejszy cel, im zaciejszy tyłek będziesz chciał kopnąć, tym trudniej będzie skończyć tekst i pozostać na nogach, ba, w ogóle pozostać z nietkniętym kompletem kończyn?

– Tak, ale prawdą jest też, że im większy tytan runie, z tym większym hukiem uderzy o ziemię. I to właśnie na ten huk liczę, na to, że media w końcu zrobią coś, co do nich należy. Musimy po prostu nauczyć się wykorzystywać je, postrzegać takimi, jakimi są – tępym, obosiecznym mieczem, który czeka na wprawnego szermierza.

– Jak na razie elita świetnie sobie radzi.

– Tylko dlatego, że nie potrafimy się zorganizować. Ale to się zmieni. To musi się zmienić.

Pokiwała głową zamyślona. Zaczynałam ją przekonywać.

– I naprawdę nie dbasz o to, co się z tobą stanie?

– Skłamałbym, gdybym potwierdził, ale z drugiej strony mam już dość tej vegetacji. Cały czas tylko myślę, jak ocalić własną skórę. Poza tym – uśmiechnąłem się – prawdziwe życie zaczyna się poza strefą komfortu, prawda?

Jasmine przytaknęła i odwzajemniła uśmiech.

– W takim razie – wzniosła do góry kieliszek – witamy w kręgu straconych!

Wzniosłem pusty kufel do toastu. Poczułem, jak napięcie powoli znika i spływa ze mnie, pozostawiając po sobie jedynie przejrzystość myśli i jasno sprecyzowany cel, którego tak bardzo mi brakowało.

Poczułem, jak ta jedna, krótka chwila kumuluje w sobie gorycz kilku ostatnich lat rezygnacji i rozczarowań, a i nagle uwalnia je, odsłaniając ukryte ukojenie.

Dojrzewanie do prawdy zazwyczaj trwa zbyt długo, żebyśmy mogli się nią nacieszyć, a ona sama rodzi się w bólu, odbierając nam radość z jej istnienia, tymczasem w tamtej chwili prawda rozkwitła dla mnie nagle, jak ukryty pąk róży pośród bezlistnych cierni faktów i urojeń, i to wszystko dzięki Jass i jej bezkompromisowej szczerości.

Nagle wszystkie prześladowające mnie do tej pory wyznaczniki wartości straciły rację bytu: pozycja społeczna i poczucie własnej wartości wobec

przedmiotów nabytych, samochód Franka zaparkowany obok mojego forda, statuetka Pulitzera na półce Fishera wobec mojego biurka – symbolu stagnacji i rozciągniętej w czasie klęski, córka naprzeciw siostrzenicy, pianistka naprzeciw obcej, nieznannej Pat, żona szwagra i moja Elizabeth, terapeutka i zimna, wyrachowana księgowia.

Jass mimowolnie uświadomiła mi, jak bardzo potrzebuję własnego celu, jak bardzo potrzebuję, by był autentyczny i prawdziwy. Dzięki niej dotarło do mnie to, co oczywiste, że jedynie zamieniając wielkie ego w mikroskopijny element większego planu, będę w stanie poznać i docenić swoją wartość, znaleźć prawdziwą satysfakcję zakorzenioną w poczuciu przynależności. Zbyt długo egoizm oślepiał mnie pychą, a ignorancja i naiwność przesłaniały wzrok, nasuwając na głowę wór, z którym mogłem kroczyć jedynie ślepo do przodu. Miałem dość tego bezmyślnego marszu. Chciałem w końcu naprawić coś, stworzyć i pozostawić po sobie.

Postanowiłem wrócić do pisania. Chciałem pisać tak, by zatrzęśły się fundamenty Wall Street, by kartki w Białym Domu pospadały z biurek. Zdecydowałem, że nie poddam się i dopnę sprawę Marsiano do końca. Zdemaskuję go i rzucę na kolana przed oblicze sprawiedliwości. Będzie doskonałym wstępem dla naprawdę ważnych tematów, pytań o nasze miejsce w państwie, o miejsce na Ziemi, o naszą przyszłość i o przyszłość naszych dzieci.

Jass przyglądała mi się uważnie, jakby śledziła tok myśli wyświetlanych na ekranie mojej twarzy. Uśmiechnęła się lekko, zadowolona z tego, co zobaczyła lub usłyszała i zamknęła paczkę papierosów, rezygnując z kolejnego Lucky Strike'a. Pomimo naiwności i sloganów, którymi byłem przesycony, którymi oddychałem i które rozsiewałem, wydawała się być zadowolona z tego, co usłyszała.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Pomogę ci, jak tylko będę mogła, ale pamiętaj, jeśli zauważysz coś podejrzanego – samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy, mężczyznę od kablówki, który nie poprawia ostrości kanałów – zwiąsz interes i wracasz do wegetacji. Nie chcę mieć cie na sumieniu.

– Rozumiem. – Przytaknąłem. – Nie urodziłem się wczoraj. Wiem, czym ryzykuję.

– Gdybyś potrzebował pomocy, zadzwoń pod ten numer. – Wyjęła wizytówkę, położyła na stole i przesunęła w moją stronę. – Albo gdybyś potrzebował czegoś innego. – Wstała, obdarzyła mnie szelmowskim uśmiechem, skinęła i odeszła bez słowa.

Dopiero gdy zniknęła za domykającymi się drzwiami, przypomniało mi się, że miałem przeprowadzić z nią wywiad. Uśmiechnąłem się w duchu. Pomimo że nie dowiedziałem się niczego i nie zdobyłem materiału na artykuł, nie przeszkadzało mi to. Zdobyłem przecież coś o wiele ważniejszego.

Pół godziny później, około czternastej, mknąłem nieklimatyzowanym

fordem w stronę pustego, dusznego mieszkania. Czekał tam na mnie Samuel Adams – czteropak chłodnego piwa i gotówka niezbędna do zamówienia czegoś na wynos. Orzeźwiający smak jasnego White Ale rozbudził we mnie prymitywny instynkt. Żałowałem, że nie zwabiłem tu Jass pod pretekstem rozmowy, wywiadu lub czegoś innego. Wiele bym dał, by móc rozwinąć rozmowę i przejść w inne, egzotyczne rejony komunikacji. Planowałem zamówić coś do zjedzenia, wypić kilka piw i odetchnąć od polityki i globalnych problemów. Niestety zanim zdążyłem się odprężyć, wyrzuty sumienia zaczęły ujadać, a myśl o nieukończonym artykule rozbudziła się, dopominając mojej uwagi.

Rzuciłem ulotki na ławę, otworzyłem laptopa i uchyliłem okno tak, by nie wpuścić zbyt dużo rozgrzanego powietrza. Miałem za sobą intensywny poranek, a przede mną rysowała się perspektywa długiego, spieczonego słońcem popołudnia. Zasłony chroniły przed bezlitosnym, lipcowym blaskiem, a mimo to zdawały się być w zмовie przeciwko mnie. Ich nieprzepuszczalne, ciemne fałdy zakrywały szczelnie okna. W przyćmionych, widmowych kształtach salonu przygnębienie czaiło się w mroku i szeptało zza granicy wzroku.

Było to samotne popołudnie, pozbawione ludzi i głosów. Artykuł wymagał ciszy i skupienia, a one nieuchronnie wywoływały uśpioną samotność. Budzące się poczucie infekowało skupienie, które, jak wiele innych rzeczy zależne od trzeźwości, padło w końcu ofiarą natrętnych słabości. Jedną z nich był alkohol.

Zasiadłem przed komputerem, przejrzałem pocztę i zrezygnowany otworzyłem kolejne piwo. Wszystko wskazywało na to, że i tym razem nie będę w stanie oddać tekstu w terminie. Ostatnimi czasy zbyt często polegałem na piwie, whisky, brandy, winie i jak na ironię do tej pory alkohol wciąż był jedyną muzą. A jednak mimo wszystko odniosłem wrażenie, że coś się zmieniło. Nie wiedziałem, czy to twarze, słowa, czy ogólna atmosfera happeningu, ale czułem, że po trzecim piwie, gdzieś pod warstwami alkoholowych oparów wciąż tliła się iskra energii, którą przygarnąłem i przejąłem tego dnia od Jasmine. Cel, który obrałem, był odległy, ale i ekscytujący. Mogłem żyć, jak żyłem do tej pory, pisząc artykuły, a jednocześnie uśmierzać samotność przy pomocy nowej obietnicy spełnienia i satysfakcji, którą przynieść miało wydanie prawdy w twardej okładce.

Jednak póki co miałem do napisania artykuł, a wiedziałem, że niewiele z tego, co zobaczyłem, nadawało się do przekazania Fisherowi.

Do osiemnastej zostało kilka godzin, a ja wciąż potrzebowałem treści. Wyjąłem portfel, rozłożyłem na stole trzy wizytówki, wymieszałem je i wybrałem pierwszy numer. Nikt nie odebrał. Potem zadzwoniłem pod drugi. Znów odpowiedział przerywany sygnał. Nikt z poznanych poprzedniego dnia osób nie odbierał komórki. Mike z pewnością siedział gdzieś w knajpie albo palił skręty, bawiąc się w agenta DEA., Jemma mogła tkwić w biurze, koordynować projekt dla bezdomnych albo walczyć z komornikami w imieniu ubogich. Jass natomiast

mogła robić w zasadzie wszystko. Była kameleonem przekroju społecznego, rozciągniętym czterema łapami między biznesem, pospólstwem i najprawdopodobniej polityką. Stwarzała pozory dla spełniania określonych celów, zajmowała się pięcioma sprawami naraz, sprowadzając tym samym ideę uniwersalności do nowej, bezprecedensowej formy.

Nikt jednak nie odebrał. Stałem więc przed dylematem: mogłem jak większość delegatów prasowych, opisać najciekawsze momenty zjazdu lub, jak to miałem w zwyczaju, wybrać ciekawszą opcję i opisać konkurencyjny konwent.

W zaistniałej sytuacji, pozbawiony bodźców zewnętrznych, sfrustrowany brakiem kobiety, motywowany ostatnim piwem, zamknięty w czterech ścianach ciemni z własnymi emocjami wybrałem jedyne oczywiste wyjście. Obsmarowałem protestujących.

Przygotowanie tekstu zajęło mi niespełna pół godziny. Wykorzystałem fragmenty rozmów i własne obserwacje z przemarszu. Zdjęcia Laurie okazały się pomocne. Zadzwoiłem do niej i zgodziła się przesłać je do wglądu. Jej głos był dziwnie radosny, a ona skora do współpracy. Wiedziałem, że świadomość publikacji zdjęć mogła ją zmotywować, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że była o wiele bardziej podekscytowana niż powinna. Przez myśl przeszło mi nawet, że może czekała na telefon. Świadomość ta rodziła podejrzenia i nowe, intrygujące możliwości. Odpędziłem je jednak, jako zbyt daleko idące przypuszczenia. W jej głosie było coś nieuchwytnego, coś, co mi się nie spodobało.

* * *

Około dziewiętnastej zadzwonił dzwonek u drzwi. To była Jasmine

– Cześć – powiedziała niepewnie, zerkając w mrok za mną. – Pomyślałam, że jeśli nie dokończymy wywiadu, na pewno nie napiszesz porządnego artykułu. – Podniosła w górę butelkę Johnny Walkera, uśmiechając się zachęcająco. Wpuściłem ją do środka, świadom, że właśnie zaciągam kredyt, którego nie będę mógł spłacić.

Kiedy dwie godziny później odprowadzałem ją do samochodu, wyznała:

– Chciałabym, żeby ci się udało, ale szkoda byłoby, gdyby coś ci się stało.

– Napiszę ten artykuł – skłamałem. – Ale nie wiem, czy ci się spodoba – skłamałem po raz drugi.

– Na pewno będzie przywoity. Przejrzałam kilka rzeczy, które napisałeś. Tego się nie zapomina.

– Czego?

– Pisania. To wciąż siedzi w tobie.

– Może masz rację – przyznałem, choć wiedziałem, że w tym jednym względzie myliła się. Jej poświęcenie było inspirujące, tym bardziej, że daremne. Zastanawiałem się, jak bardzo znienawidzi mnie, gdy przeczyta artykuł i okaże się, że ją oszukałem.

Naturalnie poczułem lekki niesmak zdrady, której dopuściłem się wobec niej i tych wszystkich ludzi. Wiedziałem, że żaden z moich wczorajszych rozmówców nie będzie się spodziewał tak nieprzychylniej relacji. Co prawda zachowałem dziennikarską wstrzeźliwość i starałem się być obiektywny, ale i tak wiedziałem, że to, co pójdzie do druku, nie będzie przedstawiać dla nich żadnej wartości. Zасыpiając, poczułem wstręt do samego siebie. Maskowałem go wymówkami, usprawiedliwiałem potrzebą chwili i dyktaturą debetu na koncie, ale i tak nic nie było w stanie ukryć smrodu, który się spod tej maski unosił. Postanowiłem, że to ostatni raz, że już nigdy nie napiszę niczego wbrew sobie.

III. Kolaborant

Wschód słońca nad rzeką Delaware zawsze poprawiał mi nastrój, ale tego dnia wydawał się wyjątkowo zachwycający. Delikatne refleksy światła posrebrzały falującą powierzchnię wody, a lekki poranny wiatr poruszał liśćmi drzew. Była to jedna z rzadkich chwil, w których zbliżałem się do czegoś w rodzaju radości. Nie wiem, czy powodem tej odmiany była Jasmine, ale podejrzewałem, że miała w niej swój udział.

Rozsunąłem zasłony, przewietrzyłem mieszkanie i nastawiłem wodę na mocną kolumbijską kawę. Musiałem oddać artykuł przed ósmą, tak, by miał szansę ukazać się w piątkowym dodatku. Jasmine wyjechała na dalsze tournée po kraju, tak więc gdy golilem trzydniowy zarost, wpatrując się w odbicie z zaparowanego lustra, ona gnała gdzieś przez środek pustyni, szukając stacji dla swojego Priusa.

Chciałem, żeby została i pomogła w gromadzeniu materiałów, ale wiedziałem, że prosić ją o to, to jak zakazać pstrągom wędrować w górę rzeki. A rzeka ta była długa, bo z Filadelfii do Los Angeles musiała pokonać osiem stanów i prawie cztery tysiące kilometrów. Wszystko to po to, by na końcu trasy znów włożyć rajstopy z czarnej siatki, koronę Miss Liberty i stanąć przed setkami delegatów przedwyborczego zjazdu demokratów.

W biurze pojawiłem się punkt ósma. Po wyjściu z windy ruszyłem wprost do gabinetu Fishera. Jack był zadowolony. Rezultat mojej pracy, owoc pogoni za aktywistami wypełnił jego twarz wyrazem powściągliwej ekscytacji.

– Tak. Tak, to jest to, o co chodziło – powiedział, strzepując popiół z papierosa.

Po chwili dostrzegłem coś na kształt wypieków na jego twarzy. Usta zaciskały się i rozluźniały, przybierając barwę głębokiej purpury, zupełnie jakby tekst, który czytał, miał zdolność do chwilowego blokowania krwiobiegu. Zaciągnął się dymem z białego Marlboro i rozparł wygodnie w fotelu.

– Niezłego zamieszania narobili, no nie? – spytał, nie odrywając wzroku od

tekstu.

– Było ciekawie, nie powiem – odparłem.

Jack podniósł kartkę na wysokość oczu, a lewą ręką podrapał potylicę.

– No dobra – powiedział. – Jest OK. Całkiem nieźle, Jerry.

Odłożył kartkę na biurko, splótł palce na brzuchu i dopiero wtedy po raz pierwszy przyjrzał mi się dokładnie.

– Nie wyglądasz za dobrze. Powiedz no, dobrze sypiasz? – zapytał.

Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem po raz kolejny w dół, na ulicę. Pod stopami, tuż za spoiną marmuru i szkła kłębiły się i mrowiły setki przechodniów.

– Muszę wziąć na jakiś czas wolne – powiedziałem.

Jego wzrok podniósł się powoli i skierował w moją stronę. Z odbicia w szybie wyczytałem, że nie był tym faktem zachwycony. Podrapał się po brodzie, przechylił do przodu i wsparł łokcie na biurku.

– Wyglądasz na strapionego – stwierdził po chwili. – Wszystko w porządku?

– Dzięki za troskę. Wszystko gra.

– Przystań chrzanić. Gdyby tak było, nie stałbyś tam, tylko patrzył mi prosto w oczy.

Miał rację. Odwróciłem się i podszedłem do biurka.

– Na jak długo? – spytał.

– Na rok – odparłem. – Może nawet dłużej.

– W coś ty się znowu wpakował, Jerry?

– Na razie w nic, ale jeśli nie będę mógł skupić się na tym, na czym mi zależy, mogę stracić więcej niż rok z życiorysu.

– Czy powinienem się martwić? – zapytał.

– Nie. Mam na warsztacie mały projekt i niestety muszę poświęcić mu nieco więcej czasu niż planowałem.

– Mały projekt, powiadasz?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– I co ja mam z tobą zrobić, Jerry? – westchnął. – Równie dobrze mógłbyś mi wręczyć wypowiedzenie.

– Zdaję sobie z tego sprawę i zrozumiem. Jeśli zdecydujesz się rozegrać to w ten sposób, nie będę miał żalu, ale chcę być fair, dlatego mówię to teraz, a nie po trzech miesiącach chorobowego.

Jack namyślał się przez chwilę, szukając wzrokiem czegoś na mojej twarzy i w końcu zdecydował.

– Umówmy się, że to przemyślisz, a ja póki co przyjmę kogoś w zastępstwie. Jeśli nie wpakujesz się w nic w przeciągu tych dwunastu miesięcy, będziesz mógł wrócić na etat.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

– Jesteś pewien, że chcesz tego, chłopcze? – zapytał głosem dobrotliwego dziadka.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem po chwili.

– To nie wszystko? – odparł zdziwiony.

– Chciałbym, jeśli to możliwe, móc pojawiać się tu jako wolny strzelec.

– Wolny strzelec? Co to ma niby znaczyć?

– Chcę przychodzić tu od czasu do czasu, nic więcej.

Jack zastanowił się chwilę, podrapał po brodzie i pokiwał głową.

– Stwarzanie pozorów?

– Coś w ten deseń.

– Coś kręcisz – powiedział, zastanawiając się kolejnych kilka sekund, jakby zamierzał wydać wyrok. – Ale dobrze, zaufam ci. Tylko pamiętaj, obowiązują te same reguły gry. Publikujemy tylko to, co nadaje się do druku.

– Niczego innego się nie spodziewałem.

– To dobrze. – Pokiwał głową. – I pamiętaj, żeby nie przynosić mi niczego poniżej tego poziomu. – Wskazał na leżący przed nim artykuł.

– OK, będę pamiętał.

– W takim razie zgoda, niech ci będzie. Masz urlop. Ale nie gwarantuję, że będziesz publikowany.

– OK – rzuciłem. – Rozumiem.

Znał mnie już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie przechodzę do innej redakcji, a co za tym idzie, wiedział, że planuję coś poważnego. Poza tym skoro stary lis nie postawił na mnie krzyżyka, uznałem, że spodziewał się czegoś interesującego.

– I pamiętaj, żeby odezwać się od czasu do czasu – powiedział, gdy stanąłem przy drzwiach.

– Jak wszystko dobrze pójdzie, jeszcze o mnie usłyszysz jeszcze – dodałem, uśmiechnąłem się i wyszedłem.

Powietrze w redakcji było cięższe i gęstsze niż w chłodnym biurze redaktora. Tutaj klimatyzacja odmówiła posłuszeństwa i jedynie uchylone okna dawały niewielką ulgę. Pomimo porannej godziny ludzie, którzy pracowali przy biurkach, zdążyli się już spocić i przyodziać w codzienne, zmęczone maski. Sprawiali wrażenie roztargnionych i nieobecnych, zupełnie jakby ich myśli płynęły gdzieś chłodną, arktyczną rzeką umysłów. Przykuci do biurek łańcuchami hipotek i alimentów, czynszów i rachunków za prąd przypominali bardziej niepiśmiennych niewolników niż pełnych werwy dziennikarzy.

Znalazła się jednak wśród nich jedna wolna dusza, nieprzykuty pasażer na tej piekielnej galerze. Jej twarzy nie znaczyły jeszcze znamiona zmęczenia, zużycia i zautomatyzowanej egzystencji. Na ustach malował się jedynie lekki, zarozumiały uśmiech. Wyglądała rześko i świeżo, jakby pochodziła z innego wymiaru,

z miejsca, w którym skwar nie istniał, a cera była zawsze piękna i wolna od potu. Czekala przy moim biurku. Czytala cos rozparta na odchylonym do tyłu fotelu, a jej usta napinały się rozkosznie z każdą przewracaną stroną.

Zatrzymałem się przy drzwiach redaktora i zamarłem w bezruchu. Kilkanaście długich uderzeń serca odmierzyło nieskończone rozciągniętą chwilę, podczas której wpijałem się chciwie wzrokiem w delikatność odsłoniętych ramion, śledziłem linię szyi i płynność ruchów dłoni. Gdy przewróciła drugą stronę, zorientowałem się, że wpatruję się w nią zbyt długo. Walczyłem ze sobą jeszcze kilka sekund, potwornie długich, po których podniosła wzrok i z łatwością przechwyciła moje spojrzenie. Nie pozostało nic innego jak tylko ruszyć w jej kierunku.

Gdy zbliżyłem się na odległość wyciągniętej dłoni, odłożyła książkę, odsłoniła piękny, głęboki dekolt i wstała. Pachniała jaśminem, lotosem i orchideą. Jej oczy lśniły w przechwyconych promieniach słońca, a ciemne kosmyki włosów poruszały się i falowały, tworząc z niej chimerę blasku, ruchu i kształtu.

– Cześć, Jerry – odezwała się lekko. – To znaczy panie Jerry – dodała, tłumiąc w sobie szyderczy chichot.

– Potrzebujesz czegoś, Laurie? – spytałem. Spojrzała zdziwiona, zastanowiła się i uśmiechnęła niemal dwuznacznie.

– Cóż... – zaczęła, przesuwając drobny palec po blacie biurka. – Tak właściwie to chodzi o Keitha.

– Co z nim? – spytałem zdziwiony.

– Jakby to powiedzieć. Przedwczoraj, kiedy przyjechałam po manifestacji... Prosto po manifestacji... – dodała i zamilkła na chwilę przyglądając się. – Wszystko w porządku? Hej, Jerry?

Byłem pewny, że rozszyfrowała moje lubieżne spojrzenie. Kod był dziecinnie prosty. Patrzyłem na jej biust, podnosiłem ciężki wzrok na czoło, a on spływał po linii szyi i znów osiadał na wypukłości piersi.

– Tak, w porządku – odparłem. – Mów dalej.

– No więc chciałam zabrać kilka rzeczy i przejrzeć zdjęcia, które zrobiłam. Nawiasem mówiąc wypadłeś całkiem niezłe.

– Do rzeczy Laurie – ponagliłem. Czułem, że znów zaczynam wracać do zmysłów.

– No więc było już dość późno, a redakcja była prawie pusta. Mówię prawie, bo oprócz mnie i sprzątaczkę był tu też Keith.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytałem.

– Przecież mówię, że był tutaj. – Wskazała na biurko. – Przy twoim komputerze. Szperał w nim i chyba kopiował coś z dysku.

Odruchowo rozejrzałem się dokoła, próbując wychwycić go wzrokiem. Ciśnienie mi się podniosło, a pięść zacisnęła. Oczywiście wyobraźni widziałem go,

siedzącego w jakimś obskurnym hotelu, z kopertą na kolanach pełną dwudziestodolarówek. Przeliczał banknoty, mylił się i liczył od początku. Pocił i denerwował, zerkał nerwowo na drzwi i znów wracał do liczenia. Czuł, że lada moment ktoś poruszy klamką, otworzy drzwi i wyceluje bronią w jego skroń. Widziałem oczyma wyobraźni, jak pociągam za spust.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Nie wiem. To zależy – odparłem. – Widziałaś go dzisiaj?

– Nie, jeszcze nie, ale pewnie zaraz przyjdzie.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Przyznam, że... – Chciałem powiedzieć, że doceniam jej inicjatywę i lojalność, ale ugryzłem się w język. Nie o to przecież chodziło. Jej piękne oczy wciąż zakłócały optymalną pracę mojego umysłu.

– To... – zacząłem, czując, jak zakłócenia zaczynają się nasilać. – To z pewnością nic takiego. Na pewno potrzebował po prostu skorzystać z komputera.

– Myślałam, że wszyscy macie je zabezpieczone hasłem.

– No w zasadzie tak... – przyznałem. – Ale czasami używamy cudzych komputerów, jeśli... Jeśli potrzebujemy – skłamałem. Byłem pewien, że robię to coraz bardziej nieudolnie.

– Ach tak, rozumiem! A wy znacie się tak dobrze, że wymieniacie się hasłami, prawda? – Uśmiechnęła się i puściła teatralnie oko.

– No, nieważne. Tak czy inaczej dzięki za troskę – odparłem, przysunąłem do biurka drugi fotel, usiadłem i wysunąłem szufladę, udając, że czegoś szukam. Laurie wstała, pożegnała się i oddaliła w stronę windy.

Chciałem, by jak najmniej ludzi wiedziało, czym się zajmuję, a już na pewno nie chciałem wtajemniczać tych, którzy mogliby mi zaszkodzić. Laurie, z racji wieku i płci była najgorszym z możliwych sojuszników. Jedynym miejscem, w którym widziałem ją na tym etapie, była sypialnia, moja lub jej.

Gdy odeszła, a kształt kołyszących się ud zniknął za krawędzią wejścia, włączyłem komputer, podłączyłem pamięć i uruchomiłem program monitorujący. Była to prosta aplikacja, którą swego czasu napisał dla mnie znajomy programista. W dzienniku zdarzeń pod datą trzydziesty pierwszy lipca znalazłem i przejrzałem wszystko, czego Keith dopuścił się na moim komputerze. Oprócz kilkunastu stron internetowych, nawiązujących do moich artykułów, stworzył również masę plików i dokumentów, które udało mi się zgromadzić w przeciągu ostatnich kilku miesięcy. Skopiował całą zawartość dysku poza jednym ukrytym folderem, który na szczęście zabezpieczyłem hasłem. Niestety nazwa, którą wybrałem, mówiła sama za siebie i jedynie ślepotą mogłaby utrudnić Keithowi skojarzenie „Proximity Centre” z zadaniem, jakie mu powierzono. I chociaż nie mógł dostać się do środka, to tak naprawdę nie musiał wiedzieć, co zawiera. Byłem pewien, że nazwa wystarczyła do wywiązania się z powierzonego zadania. Musiałem przyswoić nieprzyjemną myśl, że zleceniodawca szpiega z pewnością dowiedział się już, jak

nazwałem najbardziej strzeżone miejsce na dysku komputera.

Spakowałem część rzeczy do pudła, które przyniosłem z kantyny, wyłączyłem komputer i ruszyłem w stronę wyjścia. Ku mojemu zdziwieniu zza rozsuwających się drzwi windy wyłonił się nikt inny jak Keith, początkujący adept szpiegostwa.

– Keith, chodź na słówko – rzuciłem chłodnym głosem
– Witam pana, panie Dawson.
– Daruj sobie uprzejmości – syknąłem, próbując opanować gniew.
– Ależ panie Dawson... – wydukał zmieszany.
– Posłuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. Przekaż szefowi, że może być spokojny. Przekaż, że nie napiszę o nim ani słowa i gównu mnie obchodzi, kto dostanie w łapę, żeby wszystko ucichło. Jak dla mnie sprawy nie ma, nie było i nie będzie.

– Przyznam szczerze, że nie rozumiem. – Szedł w zaparte.
– Nie musisz rozumieć, po prostu zapamiętaj. Jeśli spadnie mi choć jeden włos z głowy wszystkie materiały, które do tej pory zebrałem, trafią do największych dzienników w całym kraju. Wszystkie dokumenty, kopie aktów własności, aktów notarialnych, dane fikcyjnych spółek, wszystko zostanie opublikowane. Pamiętaj, żeby mu to przekazać. A teraz zejdz mi z drogi. Wybieram się na długo oczekiwany urlop.

Chłopak się nie odezwał. Stał chwilę, wpatrzony we mnie i milczał, po czym podrapał się po głowie, spojrzał w stronę biura redaktora i w końcu odparł zrezygnowany:

– No dobra, panie Dawson. Cokolwiek pan sobie życzy.
Skinąłem głową, przeszedłem obok i stanąłem wewnątrz windy. Kiedy drzwi metalowego pudła zamknęły się, odetchnąłem.

Miałem nadzieję, że to wystarczy, że chłopak przekaze wiadomość dalej, ale tak naprawdę nie mogłem mieć pewności, jakie były jego prawdziwe zamiary. Być może czyhał na mój stółek, a szpiegowanie dla Marsiano było jedynie jednym ze środków prowadzących do celu. Mógł zaszkodzić mi bardziej niż Donny, a motywacja i środki, do których mógł się posunąć były nie do przewidzenia. O ile Marsiano odbierałem jako kierowcę jadącego prosto na mnie, którego widziałem z wyprzedzeniem, o tyle Keith był pijanym kierowcą wyłaniającym się z zakrętu w najmniej oczekiwanym momencie.

Przez dwa kolejne tygodnie zastanawiałem się, czy nasza rozmowa odniosła skutek. Czasami nie spałem pół nocy, nasłuchując kroków za drzwiami w przeświadczeniu, że nikogo nie przekonałem, że zza okna dosięgnie mnie kula i przykuje do krzesła na wieczność. Wypalałem wtedy papierosa, kończyłem drinka, zamykałem notebooka i kładłem się spać. Oczywiście nigdy nie doszło do żadnej próby zamachu, ale potem, gdy zacząłem pojawiać się w mieście, by zbierać

materiały do książki, coś się zmieniło.

IV. Kobieta Szpieg

Było późne czwartkowe popołudnie. Deszczowy wieczór zbliżał się ślamazarnie od wschodu i ludzie za oknami zaczęli przeistaczać się w chmary żółwi o kolorowych parasolowych skorupach. Odpędzałem zalegającego od rana kaca drinkami na rzecz dnia jutrzejszego. Od dwóch dni nie odzywałem się do nikogo, a praca nad tekstem okazała się trudniejsza, niż początkowo zakładałem. Kiedy zamykałem oczy, pod powiekami przemykały mi twarze sprzedawców z Pattison Avenue, Marsiano, Keitha, Jacka i przede wszystkim Jasmine. Zastanawiałem się, gdzie może być o tej porze i jakich podstępnych technik używa, by zwabić przedstawicieli płci przeciwnej. Tęskniłem, musiałem to przyznać. Chociaż znaleźliśmy się zaledwie kilka godzin, zdołałem rozwinąć w sobie coś na kształt uczucia. Byłem zadowolony, ale i zawiedziony, bo rozbudziła we mnie coś więcej niż tylko ciekawość. To z jej powodu stanąłem na rozdrożu kariery i być może całego życia. Musiałem skonfrontować ideały z tym, jak wiernie im dotąd służyłem. Rachunek nie był pocieszający. Nie chciałem być w takiej chwili sam, a wbrew temu co mówią o whisky, nie pomagała.

Otworzyłem okno, by wpuścić do środka odrobinę burzowego, zacinającego deszczem wiatru. Potrzebowałem poczuć siłę natury, by znów znaleźć wolę walki i nadzieję, że uda mi się tę naturę uchronić. Grzmot rozbiegł się po blaszanych dachach, a chwilę po nim błysk rozpruł niebo. W tym samym momencie wszystkie światła zgasły i jedyne, co wydzielalo z siebie blask, to mój laptop i jego wyszana niemal do zera bateria. Za drzwiami, na korytarzu, ktoś zapalił latarkę i przemknął obok, kierując się w stronę schodów. Alarm w czyimś wozie zaczął wyć, przebijając się przez szemranie deszczu na dachach. Po chwili nikłe, zimne światło znów pojawiło się w szczelinie między drzwiami, a podłogą. Szczelina zajaśniała na chwilę, potem przygasła i zza drzwi rozbrzmiało pukanie. Mógł to być sąsiad, włamywacz lub któryś z ludzi Marsiano. Wmawiałem sobie, że nikt inny nie wchodzi w grę.

Podszedłem do wejścia najciszej, jak tylko potrafiłem. Potrzebowałem chwili na podjęcie decyzji, zanim przyłożyłem oko do judasza. Gdy to w końcu zrobiłem i tak nie dostrzegłem niczego po drugiej stronie. Skanując wzrokiem korytarz, pomyślałem, że w zbyt wielu filmach morderca strzela gospodarzowi w oko przez wziernik. Ze stojaka na parasole wyjąłem kij bejsbolowy, przekręciłem powoli gałkę drzwi i pociągnąłem do siebie. Postać na korytarzu stała nieruchomo, wpatrując się w ekran czarno-białej komórki.

– Laurie! – jęknąłem. – Co tutaj robisz?

– Przechodziłam w pobliżu...

– Wejdz. – Wciągnąłem ją do środka i poszedłem do sypialni po ręcznik.

Dziewczyna zatrzymała się w przedpokoju, a pod jej stopami rozlała się

niewielka kałuża. Kiedy wróciłem z ręcznikiem i latarką, dziewczyna wciąż stała tam, gdzie ją zostawiłem. Z ubrań sączyły się strużki wody, wchłaniane chciwie przez drewnianą podłogę. Zastanawiałem się, jakim cudem jej komórka wciąż działała.

– Mam zdjęcia, które opisałeś w artykule, pomyślałam, że chciałbyś resztę. – Sięgnęła do torebki i wyjęła zawinięte w foliową koszulkę fotografie.

– Dziękuję – odparłem, przecierając rękawem mokry pakunek.

Przyglądałem się jej przez chwilę, zastanawiając, co dalej. Była przemoczona do suchej nitki. Moja wyobraźnia ryczała, rzucając sugestiami. Czyżby przyszła tutaj specjalnie?

– Pewnie myślisz, że coś kombinuję – powiedziała.

– Nie, skądże – odparłem. – Pojawiasz się znikąd, trafiasz wprost pod mój prywatny adres, którego nikomu nie podawałem, i zupełnie przypadkiem masz przy sobie zdjęcia, które chciałaś mi pokazać. Czy coś pominąłem?

– Tak – powiedziała. Zrobiła krok do przodu, stanęła na palcach i zatopiła wilgotne, drżące usta w moich.

Nie zadawałem zbędnych pytań. Nie wydawało się to konieczne. Teraz wiem, że czasami warto zadać przynajmniej jedno.

Kiedy się obudziłem, było już widno. Byłem w pełni usatysfakcjonowany i równie podbudowany, jak za sprawą Jass. Podniosłem się, przekonany, że Laurie jest w łazience. Słyszałem wodę lejącą się pod prysznicem.

Rozejrzałem się po mieszkaniu. W przedpokoju i w salonie pod oknem stały kałuże wody. Pod parapetem moczyły się spodnie i bluza. Wokoło ławy leżały rozbite kubki i gazety, które również padły ofiarą jej temperamentu. Nigdzie jednak nie dostrzegłem ubrań dziewczyny. Wszedłem do łazienki. Była pusta. Laurie zniknęła bez śladu. Jedyne uwolniony do połowy strumień wody potwierdzał, że przetoczyła się przez łazienkę.

Wróciłem do pokoju, rozglądając się za laptopem. Moje podejrzenia okazały się słuszne. Komputer, na którym w przeciągu ostatnich trzech dni konstruowałem własny wyrok śmierci, zniknął.

Wszystkie materiały, które do tej pory zgromadziłem, i pierwszy rozdział książki opisujący sprawę Marsiano, znajdowały się na pulpicie, dostępne dla każdego, kto chciałby zrobić z nich użytek.

Spojrzałem na zegarek. Była dziewiąta rano. Wiedziałem, że jeśli nie dopadnę jej, zanim przekaże bądź wyśle wszystko Donny'emu, będę skończony. Nie wiedziałem, o której wyszła, ani gdzie się udała. Jedyne, co mogłem zrobić w takiej sytuacji, to dostać się do jej mieszkania i liczyć na to, że jeśli jeszcze nikomu go nie przekazała, to zdążyć go odebrać, zanim to zrobi.

Niespełna pół godziny później wszedłem nieogolony i śmierzący do redakcji, gdzie miałem nadzieję otrzymać od Jacka jej domowy adres.

Fisher odesłał mnie do kadrowej, sugerując, bym nie wdawał się w szczegóły. Zanim wyszedłem, powiedział:

– Jest jeszcze jedna rzecz, Jerry.

– Co takiego?

– Zorganizowałem konkurs na twoje stanowisko.

– To twój przywilej jako pracodawcy – odparłem krótko. Śpieszyło mi się, ale zapytałem: – Dlaczego mi o tym mówisz? Przecież wiesz, że ci ufam.

– Wiem, ale Laurie raczej nie znajdziesz w domu.

– Nie? Dlaczego?

– Oboje, Keith i Laurie, zadeklarowali chęć objęcia twojej posady. Tymczasowo oczywiście.

– Oczywiście... – Westchnąłem, coraz bardziej przybity. Dopiero teraz dotarło do mnie, że ci dwoje mogą pracować razem. Laurie doniosła na Keitha, żeby uspić moją czujność i wykraść dane. Wyglądało na to, że jednak nie jest tak głupia, jak sądziłem.

– Jednym z zadań, jakie im powierzyłem – ciągnął Fisher – jest opisanie ostatniego dnia Shadow Convention, włącznie z dzisiejszym, porannym przemówieniem Rowany Atkinson.

– Dzięki, Jack – rzuciłem i wybiegłem z gabinetu.

Wiedziałem, że jeśli Laurie i Keith działali razem, byłem skończony. Donny nie tylko dowie się, że wciąż pracuję nad jego sprawą, ale że próbowałem go również oszukać. Mało tego, Marsiano dojdzie do wniosku, że rzuciłem pracę i być może karierę tylko po to, by go zniszczyć. Odbierze to jak rzucenie rękawicy. Tylko czekać, aż naśle na mnie zbirów.

Od Financial Journal do Annenberg Centre, gdzie odbywał się zjazd, dzieliło mnie trzy i pół mili korków ulicznych w nieklimatyzowanym starym fordzie i siedemdziesiąt trzy minuty rozmyślań o możliwych zakończeniach tamtego dnia. Moje zapuszczone cholesterolem arterie podlegały nieludzkiemu wysiłkowi z każdą sekundą, w której myślałem o dziewczynie, która oszukała mnie i wykorzystała jak naiwnego gówniarza. Gdy dojechałem na miejsce żądza zemsty dojrzała. Jedyne, czego nie byłem pewien to to, jak odpłacę za zdradę.

Po wejściu przez szklane drzwi budynku Annenberg Centre skierowałem się tym samym wąskim korytarzem w kierunku audytorium na pierwszym piętrze. Gdy wszedłem do środka i stanąłem na najwyższym stopniu wąskich schodów prowadzących w dół sali, bez trudu dostrzegłem Keitha siedzącego kilka rzędów poniżej. Wypełniona zaledwie do połowy sala zdawała się niezawodnie reagować na wyborcze slogany ze sceny. Jedyne Keith siedział nieruchomo, sprawiając wrażenie krytyka oceniającego kiepski spektakl.

Niestety nigdzie wokół nie dostrzegłem dziewczyny. Po kilkunastu sekundach rozległy się oklaski i ludzie zaczęli opuszczać miejsca, żeby skorzystać

z przerwy. Zszedłem kilka metrów w dół schodów i zająłem miejsce trzy rzędy za Keithem. Miałem nadzieję, że trafię na Laurie, ale nie pojawiła się. Kiedy chłopak wstał, odwróciłem się, a potem ruszyłem za nim w dół schodów i dalej, do łazienki na parterze. Odczekałam, aż skończy interes przy pisuarze, a gdy odwrócił się, zapytałem:

– Gdzie jest Laurie?

– Dawson? – rzucił zaskoczony. – Co pan tutaj robi?

Jego zdziwienie było prawdziwe. Nawet nie wychwycił imienia, które podałem.

– Muszę porozmawiać z Laurie. Gdzie jest? Miała być tu dzisiaj.

– Laurie? – powtórzył zaintrygowany. – Była. Widziałem ją. Przyjechała rano, ale...

– Ale co? – burknąłem.

– Ale nie była zainteresowana.

– Moim stanowiskiem? Daruj sobie. Dobrze wiesz, że biorę urlop, a nie odchodzę.

– To dobrze... to znaczy dla pana dobrze. No nic. W każdym razie nie ma jej tutaj.

– Jak to nie ma? Nie została? Gdzie pojechała?

– Nie wiem. Cały czas siedziała z otwartym laptopem. Siedzieliśmy na górze i w końcu musiałem się przenieść niżej, bo ludzie ciągle ją upominali.

– Z laptopem? – powtórzyłem jakby ogłuszony. Mój poziom adrenaliny sięgał zenitu.

– Tak. Była poirytowana, bo zapomniała hasła, a chciała pisać wszystko na bieżąco. Mówiła, że kiepsko notuje.

– O której wyszła?

– Jakąś godzinę temu. W którymś momencie najwidoczniej miała dość i odpuściła. Powiedziała, że nie będzie tracić na to czasu.

– Mówiła coś jeszcze?

– Co takiego?

– To ja zadałem pytanie. Odpowiedz!

– Nie, nie wiem, nie przypominam sobie. Czy coś się stało? Wygląda pan na podenerwowanego.

– Nic ci do tego – rzuciłem.

– Ach tak, rozumiem.

– Co rozumiesz? – Traciłem panowanie nad sobą.

– Nie. Nic. To znaczy... Przypomniało mi się coś. Zanim wyszła, powiedziała, że nie będzie tracić na to czasu i że ma o wiele lepszy temat do opisanego, coś lepiej wróżącego na przyszłość. Tak, chyba tak powiedziała.

– Na miłość boską! – Zakląłem po cichu.

– Wszystko w porządku?

– Taa. Pisz dalej. Tylko nie przesadź z faktami – dodałem i ruszyłem w stronę wyjścia.

Adres, który podała mi kadrowa, okazał się nieprawdziwy. Mężczyzna, który otworzył drzwi starej XIX-wiecznej kamienicy stwierdził, że nigdy w życiu o niej nie słyszał, a już na pewno nie wynajmował żadnego z pokoi. Zadzwoiłem więc jeszcze raz do redakcji, by upewnić się, czy kadrowe nie pomyliły się z adresem, ale zaprzeczyły.

Usiadłem na schodach, próbując się uspokoić. Jediną rzeczą, jaką wiedziałem o Laurie, poza dokładną mapą jej ciała, była ciastkarnia, z której przynosiła czasami babki i pączki, sugerując przy tym za każdym razem, że to jej własne. Któregoś dnia przyznała jednak, że kupuje je w małej piekarni o nazwie The Termini Bros. Nie miałem pojęcia, gdzie to jest i nie miałem czasu sprawdzać. Zapukałem jeszcze raz do drzwi, które tym razem otworzył kilkunastoletni syn właściciela.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział.

– Mam prośbę.

– Słucham – odpowiedział, przeciągając pierwszą część słowa, jakby regulował poziom podejrzliwości.

– Masz tutaj dychę. Leć do domu i sprawdź w sieci, pod jakim adresem znajduje się ta ciastkarnia. Jak zrobisz to w pięć minut, dostaniesz jeszcze dwa takie banknoty, OK.?

– Jasne – rzucił z cwaniackim uśmiechem i trzasnął drzwiami przed moim nosem.

Pięć minut później miałem w dłoni listę czterech adresów i o dwa banknoty mniej w portfelu.

Spośród nazw podanych przez chłopca tylko jedna znajdowała się w niewielkiej odległości od redakcji i była jednocześnie główną siedzibą firmy Termini Bros Piscatella. W odległości pięciu minut jazdy od South Broad Street, którą dwa dni wcześniej maszerowaliśmy wraz z protestującym tłumem, znajdowała się równoległa, wąska ulica i tam właśnie zaparkowałem rozgrzany słońcem samochód. Okolica wyglądała na spokojną, pozbawioną przechodniów i typowego dla centrum zgiełku. Niewysokie, szeregowe budynki sprawiały wrażenie przyjemnych i przytulnych. Był to mój pierwszy wypad do tej części miasta, a jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gdybym był niespełna dwudziestoletnią stażystką, zamieszkałbym właśnie tutaj.

Tak naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, co robię. Siedziałem w rozpalonym słońcem samochodzie, próbując po raz kolejny dodzwonić się do dziewczyny, która uwiodła mnie, okradła i prawdopodobnie podpisała wyrok

śmierci. Gdybym miał chociaż zdjęcie, mógłbym wejść do sklepu i zapytać sprzedawcę, czy ją rozpozna i jeśli jakimś cudem tak się stanie, zapytać, jak często tędy przechodzi.

Nagle telefon zadzwonił.

– Jerry? Mówi Jack Fisher. Chciałem tylko powiedzieć, że Laurie właśnie zadzwoniła i powiedziała, że przez najbliższy tydzień nie będzie jej w pracy. Coś ty jej zrobił?

– Jeszcze nic, Jack. Jeszcze nic... – wycedziłem przez zęby. – Nie mówiła, gdzie się wybiera?

– Nie. Powiedziała tylko, że ma osobistą sprawę do załatwienia i że nie wie, czy da radę napisać artykuł, który zleciłem. Chyba nie sugerowałeś jej niczego, Jerry?

– Co insynuujesz? – spytałem zirytowany.

– Mówiłem ci, że nie musisz bać się o posadę – odparł. – Zatrudnię ich tylko na zastępstwo.

– Wiem i ufam ci w tej kwestii – powiedziałem. – Tu chodzi o coś innego.

– Jerry, na miłość boską, jest od ciebie dwa razy młodsza. Mogłaby być twoją córką.

– Gdyby była moją córką, spuściłbym jej teraz lanie. Poza tym nie jest taka niewinna, na jaką wygląda.

– Dobra, zapomnij, że pytałem. Nie chcę wiedzieć nic więcej... – odparł i było to ostatnie słowo, jakie dotarło do mojej świadomości.

Przerwałem połączenie, schowałem telefon i skupiłem wzrok na wchodzącej do sklepu dziewczynie. Była ubrana w krótką, czarną spódnicę i obcisły, bawełniany top. Pozbawione rękawów ramiona lśniły w palącym słońcu, a poruszające się w spódnicy biodra przyciągały wzrok. To była Laurie. Poznałbym ją wszędzie, nawet z tymi ogromnymi przeciwsłonecznymi okularami na drobnym nosie. Serce zabiło mi szybciej, a dłonie zacisnęły się na kierownicy. Wiedziałem, że to może być jedyna szansa na odzyskanie laptopa. Być może nie zdążyła jeszcze podzielić się z nikim odkryciem. Mało tego, być może w ogóle nie zajrzała jeszcze do komputera.

Po kilku minutach wyszła z lokalu, uśmiechnięta, beztraska, z torbą wypełnioną zakupami.

Wyszedłem z samochodu i stanąłem obok jednego z drzew wetkniętych między płyty chodnika. Laurie szła spokojnie w sobie tylko znanym kierunku. Postanowiłem pozwolić jej dojść tam, gdzie ukryła komputer. Po kilkudziesięciu metrach przeszła na drugą stronę jezdni i skręciła w Dickinson Street po lewej. Gęste, nisko osadzone korony drzew nie tylko rzucały cień, ale i osłaniały moją twarz, więc mogłem trzymać się na tyle blisko, by jej nie zgubić. Po kolejnych dwudziestu, trzydziestu metrach zatrzymała się, otworzyła białą metalową bramkę

i weszła po schodkach na werandę jednego z szeregowych domów. Po drugiej stronie ulicy, około piętnaście metrów od mieszkania, znajdowała się mała, ciemna kawiarnia. Odczekałem chwilę, zastanawiając się, jakie jest prawdopodobieństwo, że dojrzy mnie w kawiarni z któregoś z okien, po czym przeciąłem ulicę i wszedłem do środka.

– Czy mam coś podać? – Kelnerka pojawiła się, gdy tylko zająłem miejsce.

– Espresso proszę – odparłem i rozsiadłem się wygodnie na wyłożonej skórą kanapie. Stolik stał bezpośrednio przy oknie. Przyciemniana, podzielona na kilkanaście kwadratów szyba doskonale kamuflowała mnie w tym niewielkim, acz przytulnym lokalu.

Wpatrywałem się w drzwi dłuższą chwilę, zastanawiając się, co zrobić dalej. Mały, oklejony białym kamieniem dom zdawał się być twierdzą nie do zdobycia. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystko, co mnie dziś spotkało, to początek jakiegoś nowego koszmaru.

Mniej więcej w połowie filizanki drzwi apartamentu naprzeciw otworzyły się i zza białego skrzydła wyłoniła się twarz dziewczyny. Nie miała przy sobie ani torby podróżnej ani laptopa, więc ewentualność ucieczki, ukrycia się, czy nawet wyjazdu nie wchodziła w grę. Laurie nigdzie się nie wybierała. Wyjąłem telefon z kieszeni i wybrałem numer. Zanim znalazła klucz, włożyła do zamka i zdążyła przekreślić, komórka zadzwoniła. Spojrzała na nią, zastanowiła się i ku mojemu zdziwieniu odebrała.

– Słucham? – jej głos rozbrzmiał między moimi myślami. Był irytujący i przyjemny zarazem. Rezonował z obrazami nagiego ciała w mojej pamięci.

– Cześć. Tu Jerry.

– Cześć, Jerry. Przepraszam, że musiałam wyjść tak bez słowa, ale wiesz, nie wszystkich stać na urlop.

– Perfidna kłamczucha – pomyślałem.

– Wiesz, dlaczego dzwonię? – spytałem.

– Na pewno chodzi ci o laptopa – powiedziała. – Wiem, że nie powinnam była go zabierać, ale śpieszyłam się i potrzebowałam komputera do pracy, a nie zdążyłabym pojechać do domu po swojego.

– W porządku – skłamałem. – Podaj mi adres, to zaraz podjadę.

– Szczerze mówiąc to nie najlepszy pomysł. Podwiozę ci go wieczorem, dobrze? – spytała.

– Ma mnie za durnia? – pomyślałem. – Czy może naprawdę jest taka głupia?

– W porządku – powiedziałem. – Pewnie i tak nie mogłaś go otworzyć. Był zabezpieczony hasłem.

– Ależ skąd, zostawiłeś go otwartego, więc zrobiłam osobne konto, żeby nie mieszać ci w dokumentach. Ale nie przejmuj się, usunę je, zanim go oddam. Jeszcze raz przepraszam za to całe zamieszanie.

– Nie ma sprawy, co tylko zechcesz – odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Laurie wpatrywała się jeszcze chwilę w aparat, myśląc nad czymś, po czym wzruszyła ramionami i ruszyła w dół schodów.

Czekałem chwilę, chcąc upewnić się, że nie zamierza wrócić, a gdy jej postać zniknęła za krawędzią okna, wstałem, rzuciłem dziesięciodolarowy banknot na blat stolika i wyszedłem na zewnątrz. Stojąc przed jej domem i patrząc, jak oddala się lekkim kocim krokiem, zastanawiałem się, o ile łatwiej manipulować ludźmi, gdy ma się takie ciało. Jej biodra kołysały się jeszcze chwilę w zasięgu wzroku, zanim zniknęły za zakrętem. Były jak wabik przymocowany do tułowia drapieżnej ryby. Cieszyłem się, że nie ma ich w pobliżu.

Spojrzałem na drewniane drzwi i otworzyłem furtkę prowadzącą na schody. Nigdy wcześniej nie włamywałem się do czyjegoś mieszkania i bynajmniej nie liczyłem na spektakularny sukces. Sam nie wiem, na co liczyłem. Być może na otwarte drzwi albo na słaby, zardzewiały zamek, taki, który można by wyważyć jednym silniejszym pchnięciem. Myślę, że było mi po prostu wszystko jedno. Nie ważne było, czy ktoś złapie mnie na włamaniu czy nie. Chciałem jedynie odzyskać moją własność.

Nacisnąłem na klamkę, ale drzwi nie drgnęły. Wiedziałem, co muszę zrobić, ale rozsądek podpowiadał, bym na wszelki wypadek upewnił się, czy nie ma nikogo w środku. Nacisnąłem czarny plastikowy przycisk dzwonka po prawej stronie i metaliczny dźwięk dobiegł zza drzwi. Po chwili usłyszałem kroki, trzeszczenie podłogi i drzwi uchyliły się. Przywitała mnie starsza kobieta o dobrotliwej, uśmiechniętej twarzy.

– Pan Dawson? – spytała lekko zaskoczona, ale nie czekała na odpowiedź. – Tak, to pan. Jak miło w końcu pana poznać.

Stałem jak wryty. Nigdy wcześniej nie widziałem tej kobiety. Szanse na to, że znała mnie z miniaturowej podobizny pojawiającej się sporadycznie pod felietonami były raczej znikome.

– Przepraszam, czy my się znamy? – wydusiłem.

– Ależ niech pan wejdzie, panie Dawson. Laurie dużo o panu mówiła.

– No tak, Laurie – odparłem z ulgą.

– Tak, czasami plotkujemy sobie i rozmawiamy, kiedy ma chwilę czasu. Niech pan wejdzie, powinna zaraz wrócić. Poprosiłam, żeby kupiła coś w aptece, widzi pan, lata już nie te i nogi czasami odmawiają posłuszeństwa.

Zaprosiła mnie do środka i zamknęła drzwi. Jeden łańcuszek, drugi i na koniec zamek.

– Proszę poczekać, mam gdzieś klucz do jej pokoju. – Zniknęła nagle za wnęką prowadzącą do kuchni. Rozejrzałem się po przedpokoju. Na pokrytych pożółkłymi tapetami ścianach wisiały oprawione w szkło szkice ołówkiem – akty kobiet dzierżących atrybuty epoki sprowadzone do poziomu fetyszu. Jedna leżała

ze słuchawką telefonu spoczywającą na sutkach, inna klęczała, siedząc okrakiem na szarej maszynie do pisania, jeszcze inna... – O! Tutaj są! – Staruszka przerwała mi, krzycząc z któregoś pokoju.

Wyłoniła się zza progu po lewej i stanęła przede mną z pękiem kluczy. Próbowała przez chwilę znaleźć ten właściwy, a gdy w końcu znalazła, otworzyła zamek i wpuściła mnie do środka.

– Napije się pan czegoś, panie Jerry? Kawę? Herbatkę malinową? A może coś mocniejszego?

– Nie, dziękuję – powiedziałem z trudem. Starsza pani uśmiechnęła się, skinęła głową i odeszła. Wspominając obrazy nagich kobiet w przedpokoju, rozpoznałem jej uśmiech już nie jako dobrotliwy, a co najmniej dwuznaczny. Wsłuchiwałem się jeszcze przez chwilę w odgłos oddalających się kroków, a gdy byłem już pewien, że nie ma jej w pobliżu, zabrałem się za to, po co przyszedłem.

W pokoju, który zajmowała Laurie, wszystko zdawało się mieć własne miejsce. Nic nie podlegało prawom chaosu i nigdzie nie dopatrzyłem się choćby drobiny kurzu. Pod oknem ustawiono wielkie małżeńskie łóżko, przy którym stał stolik nocny, a na nim dwie książki, zdjęcie w ramce i zegar. Vis-a-vis okna stała kremowa, lakierowana na połysk komoda, a na niej szkatułki na biżuterię i kolejna ramka z fotografią. Natomiast na śnieżnobiałej ścianie, na lewo od wieszaka na płaszcze, wisiały trzy antyramy, a w nich zdjęcia, na których Laurie ścisnęła jakiegoś faceta.

– Cudownie... – pomyślałem. – Tylko tego mi brakowało.

– Na pewno nie napije się pan czegoś? – głos staruszki dobiegł zza ściany.

– Nie, dziękuję – krzyknąłem, nie będąc pewien, czy mnie usłyszy.

Po chwili drzwi do pokoju uchyliły się i siwa czupryna wyłoniła się ze szpary.

– Pańska córka dzwoniła przed chwilą – powiedziała konfidencjonalnym szeptem. – Zdziwiła się, że pan przyjechał. Zaraz tutaj będzie – dodała i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

– Moja córka... – powtórzyłem w myślach. Wiedziałem, że muszę się śpieszyć. Laptop był priorytetem.

Zrobiłem krok przed siebie i ciśnienie znów skoczyło mi w górę. Na ścianie, gdzie okazałych rozmiarów galeria pyszniła się dziesiątkami ujęć, dostrzegłem coś, co przykuło mój wzrok. Gdy przyjrzałem się bliżej fotografiom, zdziwienie ustąpiło wstrętowi, a ten zamienił się w strach. Na każdym z ujęć, w różnych okolicznościach, w różnym towarzystwie i w różnej roli widniała Laurie i ja wtulony w jej drobną postać. Obrazy, które na pierwszy rzut oka wydawały się prawdziwe, były jedynie fotomontażem. A jednak starsza pani najwyraźniej rozpoznała we mnie kogoś, kto mógł być jej ojcem, wujkiem lub starszym kuzynem.

Rozejrzałem się jeszcze raz nerwowo po pokoju. Laptopa nie było ani na komodzie ani w szufladach, ani nigdzie w zasięgu wzroku. Były natomiast jeszcze jedne drzwi. Podszedłem do okna, wyrząłem na zewnątrz, a gdy upewniłem się, że Laurie tam nie ma, stanąłem przed drzwiami i nacisnąłem na klamkę. To, co znalazłem po drugiej stronie, zdziwiło mnie, choć nie tak bardzo, jak powinno.

W niewielkim, bo metr na dwa i pół metra pomieszczeniu, oprócz drzwi i okna znajdował się czarny, skórzany fotel, komoda i lustro. Do szklanej tafli przytwierdzono zdjęcia, na których rozpoznałem swoją kolejną podobiznę. Twarz doklejona była do ciał nagich mężczyzn, kobiet i zwierząt i tylko na środku, w centralnym punkcie ołtarza, spoczywał prawdziwy portret, fotografia, którą Laurie zrobiła kilka dni wcześniej, podczas mojej rozmowy z księdzem, zaraz po ulicznym spektaklu na South Broad Street. Był to sporych rozmiarów portret. Zajmował prawie połowę lustra. Całość, w połączeniu ze szpitalną bielą ścian, wywoływała dość nieprzyjemne odczucia. Nagły dreszcz przeszył mnie, gdy pomyślałem o tym, co roi się w głowie tej chorej dziewczyny. Oczywiście było, że jej zainteresowanie moją osobą, miało inny aniżeli jedynie wrogi charakter. Mimo to poczułem się jak truteń lub obiekt chorego, socjologicznego eksperymentu. Poprzedniej nocy leżała obok. Oddychała tym samym powietrzem i pociła się, łącząc ze mną w jedno drżące ciało. A mogła przecież zatruć mnie, zasztyletować lub przykuć do łóżka i urządzić jedną z tych nagich sesji, na które zapewne miała ochotę.

Przez dłuższą chwilę stałem jak zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać wzroku od wypaczonych obrazów siebie samego. Gdy w końcu udało mi się otrząsnąć, niemal natychmiast dostrzegłem znajomy kształt widoczny spod materiału sukienki zawieszanej na fotelu. Wziąłem głęboki oddech i sięgnąłem po laptopa. Wydawał się być nieuszkodzony, a jednak nie działał. Powodem mogła być wyczerpana bateria albo uszkodzenie. Złośliwość rzeczy martwych mogła okazać się w końcu przydatna. Mało tego, mogła się okazać wybawieniem. W tym samym momencie olśniło mnie: Laurie mogła przecież nie wziąć zasilacza. Gdyby się nad tym zastanowić, było to przecież bardziej niż prawdopodobne. Szanse na to, że w ogóle nie dobrała się do plików nagle wzrosły. Bateria, którą miał w sobie mój wysłużony komputer, mogła wytrzymać góra pół godziny. Choć nie mogłem mieć pewności, czy nie zdążyła skopiować wszystkiego na jakiś nośnik, to wciąż pozostawała nadzieja. Całkiem możliwe, że to właśnie dlatego opuściła Annenberg Centre. Musiała zabezpieczyć dane, zanim sprzęt całkowicie padnie.

Rozejrzałem się dokładnie po pokoju. Ani w torbie na laptopa, ani nigdzie indziej nie znalazłem kabla zasilającego. Miałem więc do wyboru: zaczekać, licząc na to, że nie udało się jej skraść danych albo po prostu wyjść, zakładając, że nie miniemy się gdzieś po drodze. Ostatecznie postanowiłem wyjść.

Byłem tam trzy, góra cztery minuty. Laurie wciąż nie było. Wykręciłem jej

numer. W odpowiedzi odezwał się głos nagrania ze skrzynki głosowej. Prawdopodobnie rozmawiała z kimś przez telefon. Mogła dzwonić do Marsiano albo do któregoś z jego zbirów. Wiedziałem, że powinienem zniknąć.

– Panie Dawson? – głos staruszki zabrzmiał zza drzwi. – Laurie dzwoniła i prosiła, żebym przekazała panu, że coś ważnego jej wypadło i że nie zdoła się z panem dzisiaj spotkać.

– Doprawdy? – rzuciłem, zapominając, z kim rozmawiam.

– Słucham? – spytała zdziwiona.

– Nic, nic. Przepraszam. Po prostu nie dosłyszałem. Poza tym mam dzisiaj ciężki dzień.

– No więc prosiła, żeby przekazać panu, żeby się pan nie denerwował. Powiedziała, żebym powiedziała panu, żeby pan wziął swój komputer i nie czekał na nią.

Westchnąłem. Pomyślałem, że dobrze to rozegrała. Jej wersja była wystarczająco wiarygodna, a chory ołtarzyk w pokoiku tylko potwierdzał siłę jej obsesji.

Mimo wszystko coś jednak podpowiadało mi, że może to być kolejny podstęp. Odchyliłem firankę i wyjrzałem na ulicę. Nie dostrzegłem nikogo podejrzanego. Spojrzałem jeszcze raz na komórkę, spakowałem komputer do torby i wyszedłem na zewnątrz. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegłem ludzi Marsiano. Gdyby Laurie mnie wydała, Donny przysłałby tu kogoś po komputer. A może tylko mi się wydawało? Może to wszystko było jedynie urojeniem? Wróciłem do samochodu, zastanawiając się nad tym. Chciałem w to wierzyć. Chciałem móc skończyć to, co zacząłem. Chciałem tego tak bardzo, że wróciłem do mieszkania, znalazłem zasilacz, podziękowałem opatrności za ten symboliczny gest z jej strony i zabrałem się do pisania.

Laptop okazał się być nietknięty, a wyładowana bateria skutecznie ochroniła mnie przed kradzieżą. Nie wiedziałem, dlaczego Laurie kłamała, ale czułem, że miała w tym cel. Program monitorujący potwierdził, że kilkukrotne nieudane wpisanie hasła było jedyną czynnością, jakiej Laurie dopuściła się na sprzęcie. Musiałaby wymontować dysk i podpiąć go pod inny system, by niepostrzeżenie skraść dane. Kolejną rzeczą, którą sprawdziłem, był dysk twardy. Plomba była nienaruszona, a co za tym idzie szanse na moje bezpieczeństwo były już spore. Ciężko było wyobrazić sobie Laurie rozkręcającą laptopa w redakcji, odbezpieczającą cudownym sposobem plombę i podpinającą dysk do redakcyjnego komputera. Jedyną luką był czas od momentu pozostawienia Keitha w Annenberg Centre do mojego pojawienia się w jej domu. Ale nawet ta ewentualność, że przekazała komputer komuś, kto potrafiłby skopiować dane, zdawała się być mało prawdopodobna. Koniec końców wciąż ludziłem się, że cała ta sprawa z laptopem to nieporozumienie, a ołtarz na zapleczu to jedynie wyraz afektacji. W końcu

dobrze byłoby mieć na miejscu kogoś naiwnego, kogoś głupiego nawet, kto nie ma pojęcia, czym się zajmuję i nie jeździ po kraju jak Jasmine, pokazując bieliznę wpływowym biznesmenom i politykom.

V. Wyznawczyni

Myśli o Jasmine prześladowały mnie jak harpie. Ich głos rozbrzmiewał za plecami za każdym razem, gdy opadałem z sił lub brakowało woli. Towarzyszyły mi przez kolejne dwa tygodnie dociekań, kojarzenia i spisywania, podczas których jak nigdy wcześniej odczułem i zrozumiałem własną słabość. W Jasmine było coś wyjątkowego, coś, co podsycalo poczucie niesprawiedliwości tłące się na dnie duszy. Ilekroć myślałem o niej, utwierdzałem się w przekonaniu, że to, co robię jest słuszne, a wszystkie przeciwności losu to jedynie błahe drobiazgi usiłujące zepchnąć mnie na drogę upadku. Ostatecznie uświadomiłem sobie, że była czymś więcej niż muzą. Była talizmanem, który w każdej chwili mógł stracić moc. Im dłużej się nie odzywała, tym bardziej docierało do mnie, że być może nigdy już jej nie zobaczę.

Laurie, podobnie jak Jass, nie dała nawet znaku życia. Cieszyło mnie to głównie z powodu Marsiano. W przeciągu tych dwóch tygodni nie nasłał nikogo i wyglądało na to, że wszystko, co zafundowała mi Laurie, było jedynie dziką farsą, przypadkowym ujawnieniem się fanatyczki i niczym ponad to. Czułem, że nasze drogi jeszcze nie raz się skrzyżują, ale nie obawiałem się już ani jej obsesji, ani zamiarów. Kilkanaście dni ciszy, których doświadczyłem po jej zniknięciu, utwierdziły mnie w przekonaniu, że Donny nie dowiedział się o niczym. A jeśli nawet to na pewno nie od niej i na pewno nie z mojego komputera. Zresztą radny najwidoczniej skreślił mnie z listy wrogów, gdyż nie zauważyłem nikogo ani przed domem, ani w drodze do pralni, ani w samoobsługowym, gdzie zaopatrywałem się w whisky i papierosy. Jeśli interesował się mną, zainteresowanie to musiało ograniczać się jedynie do przeglądu prasy. Wiedziałem, że po tym, co powiedziałem Keithowi, będę bezpieczny tak długo, jak Donny nie natrafi na artykuł sygnowany moim nazwiskiem. No cóż. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Tymczasem znów zacząłem sypiać spokojnie, nie budziłem się w nocy i powoli, z oporem, wdrażałem się w nowy tryb życia. Był to czas żmudnej pracy i choć całość powoli zazębiała się, to czułem, że znużenie tematem rośnie. Treść i forma splatały się strona po stronie, ale ilość nieprzyswojonych informacji rosła wraz z ilością wypełnionych kartek. Kiedy patrzyłem na sterty książek i wydruków, którym poświęcam czas i energię tylko po to, by po zapisaniu skrawków, ulotniły się w całości z pamięci jak tania perfuma, cóż, ręka sama sięgała po butelkę.

Praca nad tekstem wymagała skupienia, a ono z kolei było niemożliwe, gdy piłem. Dlatego pracowałem nierówno, zrywami, w przerwach dyktowanych kacem i wyrzutami sumienia. Ilekroć trzeźwiałem i nachodziła mnie chęć na przelanie myśli na papier, zawsze pojawiała się pokusa, by sięgnąć po szkło. Łudziłem się, że proces przebiegnie płynniej, jeśli zaleję ból głowy i rosnący wokół szum.

Pisałem więc nierówno, często błędząc po omacku, a co gorsza wciąż nie

wiedziałem, jaki kształt nadać całej historii.

Informacje, które gromadziłem i katalogowałem były zadowalające. Organizowałem je w logiczną całość, a jednak wciąż brakowało spoiwa, elementu, który połączyłby je i nakreślił wszystkie problemy w jednym, wyrazistym przypadku. Potrzebowałem przestępstwa i sprawcy złapanego za rękę. Potrzebowałem dowodów.

Gdy wychodziłem z biura Jacka Fishera ponad dwa tygodnie wcześniej, powiedziałem, że z pewnością o mnie usłyszy. Jak się miało wkrótce okazać, nie minąłem się bardzo z prawdą.

Jednym z powodów, dla których Jack miał rzekomo o mnie usłyszeć, był pomysł, który dopiero wykluwał się mojej głowie. Aby skryształizować go do czystej formy, musiałem jasno nakreślić zasady gry, w której na pozycjach rozgrywających stali prezesi, na ataku kongresmeni, a w bramce przeciwnej drużyny zmęczony obywatel. Taktyką była korupcja, grą demokracja.

Jak sama nazwa wskazuje demokracja była rozgrywką złożoną. Reguły należało więc przedstawić na konkretnych przypadkach, przedstawiając problem i rozwiązanie. Co do rozwiązania nie byłem pewien, było zbyt wiele niewiadomych, zbyt wiele faktów, które pozostawały poza zasięgiem. Wiedziałem jednak, że przynajmniej problemów do wytknięcia nie zabraknie. Wierzyłem, że to co Jemma i Jass mówiły o wyborach było prawdą, że dowody rzeczywiście były na wyciągnięcie ręki.

Była w tym oczywiście pewna naiwność, ale w tamtym momencie nie zawracałem sobie tym głowy. Zapisanie się do komitetu wyborczego G.W. Busha wydawało się być genialnym posunięciem. Mało tego było nawet realne. Zjazd republikanów zakończył się niespełna dwa tygodnie wcześniej, a mój niepochlebny artykuł dawał pewną nadzieję na powodzenie planu. Głoszona przeze mnie oficjalna wersja życiowych decyzji nie odbiegała daleko od prawdy. Byłem dziennikarzem, który miał dość pisania artykułów i postanowił zająć się polityką. Na szczęście decyzja o obsmarowaniu protestantów okazała się słuszną.

Zadzwoiłem do Jasmine. Jej głos był chłodny i pozbawiony emocji.

- W czym mogę pomóc tym razem, Jerry? – zapytała.
- Dzwonię, żeby poprosić cię o przysługę.
- Jak idzie praca nad książką? Piszesz w ogóle? Czy to też kolejna ściema, jak ta z artykułem? – jej słowa zaboląły, tym bardziej, że miała rację.
- Wiem, że jesteś zła, ale musiałem to zrobić. Gdybym nie napisał artykułu, nie mógłbym prosić teraz o to, o co chcę poprosić.
- Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałabym nie rzucić słuchawką.
- Biuro wyborcze Busha.

Cisza po drugiej stronie dawała nadzieję na pozytywną reakcję.

- Słucham – odparła po dłuższej chwili. – Mów.

– Myślałem o tym, co mówiłaś.
– Zamierzasz to zrobić? – zapytała
– Tak, ale potrzebuję pomocy kogoś z wewnątrz.
– Nie mogę ci pomóc – odparła.
– Rozumiem.
– Nie, nie rozumiesz – jej głos skwierczał irytacją. – Po prostu nie mamy nikogo, kto tam pracuje. Kandydaci do pracy w komitetach w całym kraju są dokładnie sprawdzani. Boją się, bo mają wiele do ukrycia.
– Więc nie znasz nikogo?
– Nie – odparła. – A przynajmniej nikt mi teraz nie przychodzi do głowy.
– Jasmine – powiedziałem powoli – tylko ty możesz mi pomóc.
Milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna, jakby ten tani chwyt mógł naprawdę coś zdziałać. Po kilku naelektryzowanych sekundach odezwała się.
– No dobra. Zaczekaj. Oddzwonię za kilka minut – rzuciła i rozłączyła się.
Stałem przy oknie i spojrzałem w ciemne, ołowiano-żółtawe chmury unoszące się z fabryk za miastem. Pomyślałem, że kiedyś, gdy ropa i gaz się skończą, korporacje padną i wszystkie światła zgasną, a natura przejmie znów ziemię we władanie, ludzie będą mogli wyjść z ruin, by znów spojrzeć w czyste niebo zachwycając się miriadami niedostępnych gwiazd.
Telefon zadzwonił dziesięć minut później.
– Mam! – rozbrzmiał głos po drugiej stronie. – Margaret Mitchell.
– Kto to? – Usiadłem przed komputerem i wpisałem imię w wyszukiwarkę.
– Żona jednego znajomego, właściwie to znajomego kolegi.
– Czy jest wtajemniczona?
– Nie, ale jej mąż podobno nie ma nic przeciwko. Mówił, że nie powinno być problemów.
– Nie rozumiem.
– Mam ci wytłumaczyć, czy może narysować? Chcesz się bawić w detektywa czy nie?
– W detektywa mogę, ale na pewno nie w szpiega.
– Ona wkręci cię do środka – kontynuowała, ignorując moje wątpliwości. – Musisz tylko wymyślić jak. Skontaktuj się z nią, powinieneś wpaść jej w oko.
– Nie po to zadzwoniłem. Gdybym chciał starać się o pracę u nich, uderzyłbym prosto do biura.
– I kto by cię przyjął? Kto zaprosiłby lisa do kurnika?
– Taki ze mnie lis jak z nich kury.
– Jesteś dziennikarzem.
– Byłem dziennikarzem – poprawiłem.
– Jasne. – Parsknęła śmiechem. – Nie próbuj mydlić mi oczu, już ja cię znam. A wracając do tematu Meg to prosta kobieta. Na pewno coś wymyślisz.

– Za kogo ty mnie masz?

– Jerry – powiedziała spokojnie. – Mnie nie musisz się krępować. Wiem, jak jest. Zresztą to, co było między nami, to tylko seks.

Ostatnie trzy słowa wklęły się we mnie jak szpada. To prawda, była u mnie tylko dwie godziny. Rozmawialiśmy, wypiliśmy kilka drinków, a potem wykorzystaliśmy siebie nawzajem. Potraktowała mnie instrumentalnie, a ja bez sprzeciwu przyjąłem tę rolę. Brałem, co oferowała, nie sądząc, że zostawi po sobie wiele więcej, ale zostawiła coś, cząstkę siebie, która rośnie we mnie jak pasożyt stymulujący i kontrolujący jednocześnie.

– Mniejsza z tym – ciągnęła. – Chciałeś pomocy, dostałeś ją. Czy coś jeszcze?

– Nie – odparłem pokonany. – To wszystko. Dzięki, Jass.

– Nie ma sprawy – powiedziała, ale po krótkiej chwili dodała jeszcze. – Lubię, jak tak do mnie mówisz.

– To dobrze – czułem się jak zbity pies, któremu właściciel rzuca po wszystkim kość.

– Do następnego – rzuciła.

– Do zobaczenia – odparłem i odłożyłem telefon.

Poczułem się tani. Nie tylko z powodu Jasmine i tamtej krótkiej chwili, ale i z powodu tego, co miałem wkrótce zrobić. Dopiero teraz dotarło do mnie, że to zupełnie inna gra. Jeśli chciałem w nią grać, musiałem zrobić więcej i posunąć się dalej niż kiedykolwiek do tej pory jako dziennikarz.

Wyglądało na to, że dla Jasmine przespanie się z obcym człowiekiem było co najwyżej złem koniecznym. Zastanawiałem się, czy też będę do tego zdolny i czy w ogóle chcę się do tego posunąć.

Przez następne dwa dni starałem się dowiedzieć jak najwięcej o pani Mitchell. Internet jak zwykle okazał się nieprzebrany źródłem informacji. Wszystko, co chciałem wiedzieć o Margaret, znalazłem w przeciągu kilkunastu minut. Zamężna od dwóch lat. Zeszłoroczna absolwentka wydziału zarządzania na uniwersytecie Barkleya. Asystentka dyrektora finansowego komitetu wyborczego Carla Fargo. Jej staż pracy wynosił trzy tygodnie i choć jej resume nie wyglądało imponująco, dowiedziałem się, że pracowała dla niego już wcześniej przez około pół roku. Wyglądało na to, że przyciągnął ją ze sobą z firmy, w której się poznali.

Nauczony historią z Laurie postanowiłem przyjrzeć się jej bliżej, zanim w ogóle podejmę się proceduru uwodzenia. Trzy, może cztery razy obserwowałem ją w drodze do domu. Gdy robiła zakupy, analizowałem zawartość jej koszyka. Oceniałem jadłospis na podstawie produktów, charakter po rodzaju kosmetyków, inteligencję po czasopiśmie, jakie czytała. Sprawiała wrażenie cichej, skromnej i dobrze zorganizowanej. Ostatecznie uznałem, że mogę spróbować. Niestety okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałem.

Po trzech dniach obserwacji wciąż trzymałem się na odległość. Nie mogłem zdobyć się na odwagę i zaczepić jej bez wyraźnego pretekstu. Przełamałem się dopiero czwartego dnia. Okazało się, że niepotrzebnie tak długo zwlekałem.

Był pogodny poranek. Siedziałem w samochodzie, rozpoczynając kolejny dzień szpiegowania. Był to dopiero drugi raz, gdy widziałem ją opuszczającą dom wraz z mężem. Miała na sobie dopasowaną, szarą garsonkę i kremową bluzkę. Mężczyzna ubrany był w sportową marynarkę i rozpiętą błękitną koszulę. Spomiędzy guzików koszuli wystawały czarne, kręcone włosy. Był dobrze zbudowany, męski, przystojny. Jego żona wyglądała przy nim jak szara mysz, która pędzi do biura w poszukiwaniu akceptacji.

Margaret zamknęła powoli drzwi. Brunet czekał zniecierpliwiony na chodniku. Gdy zeszła po kilku stopniach na dół, zamienili kilka słów, po czym on wsiadł do zaparkowanego na poboczu samochodu, a ona ruszyła przed siebie w kierunku przystanku autobusowego kilkanaście metrów dalej. Nie pocałował jej na pożegnanie, a ona nie uśmiechnęła się, życząc mu miłego dnia. Ich twarze były skupione, ale pozbawione emocji. Wystarczyło jedno spojrzenie, by domyślić się, że ich małżeństwo zgasło, o ile kiedykolwiek lśniło choć nikłym blaskiem.

Pomyślałem o Jasmine i jej stosunku do mnie. Z pewnością przyklasnęłyby teraz z radością, twierdząc, że to właśnie idealna okazja, by uwieść Meg. Jednak nie śpieszyło mi się do tego. W zasadzie w tamtym momencie bliżej było mi do współczucia niż do wyrachowania.

Tego samego dnia około siedemnastej czekałem na nią w mrocznym barze po drugiej stronie ulicy. W przeciągu kilkunastu dni stałem się stałym bywalcem. Obserwowałem Margaret po wyjściu z pracy, jak stoi na przystanku samotnie lub z kimś rozmawia. Bar był usytuowany dokładnie naprzeciwko budynku, w którym mieściło się biuro komitetu wyborczego. Oszklone, obrotowe drzwi biurowca spoczywały nieruchomo, poruszane jedynie od czasu do czasu przez przemykających tam i z powrotem mężczyzn w garniturach.

Stolik, przy którym siedziałem, jego ułożenie i obserwacja punktu po drugiej stronie ulicy niezmiennie przywodziły mi na myśl dzień, w którym przez okno kawiarni dojrzałem Laurie w obcisłej mini. Margaret brakowało w tym względzie wiele. Była wysoka i chuda, a jej jasnobrązowe włosy opadały swobodnie na ramiona. Tym razem miała na sobie grafitowy kostium, co jeszcze bardziej upodobniało ją do bezdusznego narzędzia w rękach pracodawców. Była przeciwieństwem Laurie, szurniętej, nieprzewidywalnej, pełnej energii i wyrachowania. Meg była zwyczajna, przeciętna i bez wyrazu. Gdyby nie to, że siedziałem tam już pół godziny, sącząc whisky i wpatrując się w szklaną karuzelę po drugiej stronie jezdni, z pewnością nie zauważyłbym jej, ani nie zwrócił na nią uwagi. Gdy tafla szklanych wrót na przeciwko poruszyła się, zauważyłem, że tym razem nie wychodzi sama. Mężczyzna, który stanął za nią rozłożył parasol

i rozejrzał się nerwowo na boki. Margaret odwróciła się do mnie plecami i spojrzała na niego. Facet najwidoczniej liczył na coś, bo musnął dłonią jej policzek, na co ona cofnęła się i stanęła w deszczu. Mężczyzna przeciągnął dłonią po twarzy, okazując znużenie i irytację. Podniósł w górę ramię i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Kiedy otworzył drzwi, Margaret wciąż się w niego wpatrywała. Powiedział coś, a gdy ta nie zareagowała, wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Po chwili kobieta stała sama, w coraz mocniej zacinającym deszczu. Jej żakiet chciwie wchłaniał krople, a skórzana aktówka w dłoni zaczęła ociekać wodą. Podniosłem szklankę, zastanawiając się, co zrobi dalej, a ona, jakby wyczuwając mój wzrok, ocknęła się i cofnęła pod białą markizę rozpostartą nad wejściem.

Stała tam przez kilka minut, bezskutecznie próbując zatrzymać taksówkę. Kiedy czwarta lub piąta z kolei minęła ją z pełną prędkością, kobieta poddała się i spojrzała przed siebie zrezygnowana. Nasz wzrok spotkał się na ułamek sekundy i mógłbym przysiąc, że skróciła ten moment celowo. Zmierzyła wzrokiem kilkanaście metrów budynku po lewej i prawej, po czym uniosła torbę nad głowę i ruszyła w kierunku pubu, w którym siedziałem.

Gdy weszła do lokalu czwórka grubych mężczyzn przy barze obrzuciła ją lubieżnym spojrzeniem. Meg rozejrzała się po sali, wybrała jeden z pustych stolików i usiadła. Mokra, klejąca plama po rozlanym piwie znaczyła miejsce, w którym siedział poprzedni klient. Rozejrzała się jeszcze raz, próbując ocenić czystość pozostałych stolików i nasze spojrzenia znów się spotkały. Wstałem, podniosłem szkło i powoli ruszyłem w stronę baru. Kątem oka dostrzegłem, jak śledzi mnie wzrokiem, a gdy usiadłem między dżentelmenami, zobaczyłem w lustrze, jak wstaje i przenosi się na moje miejsce. Zamówiłem whisky, podniosłem się i podszedłem. Szukała właśnie czegoś w torebce, więc nie zauważyła ani mnie, ani mojego parasola stojącego po jej prawej. Dostrzegła mnie dopiero, gdy stanąłem przed nią. Włosy i ubranie miała mokre, choć nie do końca przemoczone. Zdążyła zdjąć górną część garsonki i jej nagie, chude ramiona lśniły w świetle żarówek.

– Myślę, że przyda się pani bardziej niż mi – powiedziałem, wskazując na parasol.

– Słucham? – spytała, nie rozumiejąc, o co chodzi. Spojrzała na oparte o ścianę ustrojstwo, zaskoczyła w końcu i westchnęła.

– To pana? Przepraszam. Myślałam, że to miejsce jest wolne.

– Jest, a parasol proszę zatrzymać. Wydaje mi się, że pani przyda się bardziej.

– Nie, dziękuję, nie trzeba – odparła, próbując mnie zbyć. Podniosła go, położyła na blacie i wróciła do szukania czegoś w torebce.

– Proszę – powiedziała, wskazując na parasol. Wyciągnęła paczkę

chusteczek higienicznych, lusterko i zaczęła ścierać rozmazany makijaż, jakby mnie tam nie było. Wyglądała wyjątkowo nieatrakcyjnie. Ale zdawała się być pewna siebie.

– Mogę? – spytałem, wskazując na wolne miejsce przed nią. Wzruszyła ramionami.

– Jeśli pan musi. Ja i tak zaraz wychodzę.

Usiadłem, odłożyłem drinka na brzeg blatu i przyjrzałem się jej dokładnie. Ciemne, półokrągłe ślady tuszu pod oczami nie były rozmazane jedynie deszczem. Meg płakała.

– Pani praca musi być bardzo stresująca – powiedziałem.

Kobieta zamknęła z trzaskiem puderniczkę i spojrzała na mnie.

– Słucham? – zapytała zdziwiona.

– Stała tam pani kilkanaście sekund. I to w deszczu – dodałem.

– Tak, stałam – przyznała. – Przepraszam, ale się nie znamy. Chciał pan usiąść? W porządku, ale niech pan nie oczekuje, że będę z panem rozmawiać.

– A jednak rozmawiamy. – Uśmiechnąłem się, próbując przywołać najprzyjemniejsze wspomnienie z dzieciństwa.

Uniosła brwi zdziwiona, a potem powoli uwolniła napięcie z twarzy. Moje wspomnienie z dzieciństwa zadziało.

– Pani wybaczy. Jestem niekulturalny. – Wyciągnąłem dłoń nad parasolką i uśmiechnąłem się lekko. – Nazywam się Jeremy Dawson.

Spojrzała na mnie, wciąż nieufna, ale po chwili również wyciągnęła dłoń do uścisku.

– Margaret Mitchell – powiedziała.

– Pracuje tam pani? – spytałem, wskazując budynek po drugiej stronie.

– Jak widać – odparła, prezentując przemoknięty żakiet.

– To musi być stresująca praca. Do wyborów zostało niewiele czasu.

– Myślę, że to praca jak każda inna – skłamała. – Jej oczy zdradzały złość, ale i satysfakcję. Odniosłem wrażenie, że jest dumna z przynależności do establishmentu.

– Nigdy nie bawiłem się w politykę – powiedziałem.

– Polityka to nie jest coś, w co można się bawić – rzuciła oburzona.

– Tak, oczywiście – poprawiłem się. – Mam na myśli, że nigdy nie interesowałem się polityką.

– To nie jest zajęcie dla każdego. Trzeba mieć naprawdę powołanie i dużo samozaparcia, żeby walczyć o to, w co się wierzy.

– Zgadza się – przyznałem. – Zbyt wielu ludzi dba wyłącznie o własny interes, a nie o to, by ich partia zadbała o interes podatników.

– Niestety bywa i tak. Na szczęście udało mi się trafić na naprawdę dobry zespół.

– Nie wątpię – przyznałem. – George Walker Bush dobrze dobiera współpracowników. To konkretny człowiek.

– Tak, to prawda – powiedziała, zwalniając przy ostatnim słowie. Wyglądała, jakby zastanawiała się, czy kpię, czy mówię poważnie.

– Z tym, że Bush nie wybiera wszystkich pracowników – dodała. – To zadanie dyrektorów poszczególnych komitetów wyborczych.

– Oczywiście, ale nominacje dla dyrektorów podpisuje właśnie on. Myślę, że ma nosa do takich rzeczy.

– Mówił pan, że nie interesuje się polityką? – spytała podejrzliwie.

– Tak, ale nie znaczy to, że nie mam o niej pojęcia. Przez ostatnie kilkanaście lat pisałem dla Financial Journal i przyznam, że zdarzało mi się opisywać to i owo.

– Tak właśnie myślałam, że kojarzę pana nazwisko – powiedziała podekscytowana. – To pan napisał ten artykuł o anarchistach?

– Cóż, nie wszyscy byli anarchistami, ale tak, to ja.

– Podobał mi się. Nie wiedziałam, że robili aż takie problemy. Pod First Union Centre było spokojnie. Ale rzeczywiście widziałam tam kobiety w obscenicznym strojach.

– Dlatego właśnie republikanie powinni wygrać w tych wyborach – oświadczyłem.

– Na pewno wygramy – stwierdziła. Była święcie przekonana o tym osobistym zwycięstwie.

– To całkiem możliwe.

– A pan? Na kogo pan będzie głosował?

– Przyznam się, że do tej pory miałem nieco mylne pojęcie o tym, co dzieje się w naszym kraju.

– Doprawdy? – spytała, znów przyjmując pozycję defensywną.

– Tak, myślałem że wszystko jakoś samo się ułoży, że ludzie podejmą walkę, jeśli damy im wolną rękę, ale tak się niestety nie stało. Clinton zafundował nam upokorzenie na skalę światową i nie zrobił nic ponadto. Ludzie są coraz bardziej oburzeni tym, co się dzieje. Potrzeba nam zmian. Silnego przywódcy, który naprawi nasz zszargany wizerunek i stanie w obronie wartości, których naród potrzebuje.

– Lepiej bym tego nie ujęła.

– Myślę że George jest takim właśnie mężczyzną. Myślę, że nie tylko oczyści Biały Dom z rozpusty, ale i zakłamania. Wszyscy mówią, że tolerancja liberalnych demokratów jest wartością samą w sobie. A to przecież brednie. Najgorsze co może być to relatywizm moralny, który sączy się ze szczytów władzy w dół, aż do najniższych warstw społecznych. Skoro w Białym Domu robią, co chcą, jak możemy oczekiwać od prostych ludzi czegoś więcej? Myślę, że kraj

i naród potrzebują odnowy, rewitalizacji.

– Widzę, że rzeczywiście zarabia pan na życie słowem. Niestety nasi przeciwnicy nie dostrzegają tego, o czym pan mówi. Co więcej obiecują rzeczy nie do wykonania.

– Może nie wszystkie. Ale przecież George jest w stanie naprawić system edukacji, zatrzymać tysiące miejsc pracy w kraju. Jest w stanie zrobić to wszystko i więcej.

– Wszyscy w to gorąco wierzymy – odparła. Zaczynała podejmować mój ton. Czułem się tak, jakbym był na rozmowie kwalifikacyjnej do sekty, a mój zapał był kluczowym wyznacznikiem przydatności. Mało tego odniosłem wrażenie, że przywykła do tego rodzaju agitacji. Przez myśl przemknęło mi, że może rozmowa z nią to nie najlepszy pomysł.

– Człowiek z takim entuzjazmem jak pan powinien wykorzystać swój talent. Dlaczego nie chce pan pisać dla któregoś z tygodników informacyjnych partii? Mógłby pan publikować w Internecie.

– Nie, pisanie to nie dla mnie. Skończyłem z tym – przyznałem ze smutkiem.

– Jak to? – spytała zdziwiona.

– Konflikt interesów w wydawnictwie. Szef nie chciał opublikować niewygodnego artykułu i w końcu podziękowałem za współpracę.

– Jakiego artykułu?

– Miałem przygotowany jeszcze jeden, przychylną relację z Konwentu Republikanów, a on go zablokował.

– Nic dziwnego. Filadelfia to gniazdo demokratów. Z pewnością uległ wpływom i naciskom z góry.

– Być może, nie wiem. Tak czy inaczej zrozumiałem, że praca w gazecie to nie dla mnie – skłamałem.

Dźwięki wychodzące z krtani nie były moimi słowami. Każda z kolejnych bredni była trudniejsza do wypowiedzenia. Czułem, że kolejne nie przejdą mi przez gardło.

– Szkoda. Tamten artykuł o anarchistach był naprawdę dobry. Myślę, że nie powinien pan tak łatwo się poddawać.

– Z całym szacunkiem – powiedziałem – ale dlaczego pani uważa, że było mi łatwo?

Margaret spojrzała na mnie w kolejnym przypływie zdziwienia. To było zbyt łatwe. Jej nagłe zmiany nastroju były jak znaki mówiące: stop, stój, ruszaj do przodu. Wystarczyło wyczekać i uderzyć w odpowiednią strunę.

– Przepraszam. Faktycznie. Mogę się tylko domyślać, jak to jest stracić pracę po tylu latach.

– Ale jest też dobra strona tego wszystkiego.

– Doprawdy? Jaka? – zapytała.

– Gdybym nie stracił pracy, nie siedziałbym dzisiaj tutaj.

– Nie rozumiem? – Spojrzała wokół i wzdrygnęła się na widok mężczyzn przy barze.

– Nie siedziałbym tu i nie poznałbym pani. – Uśmiechnąłem się nonszalancko.

– A to mi przypomina, że już czas na mnie – rzuciła speszona.

– Może napije się pani czegoś? Niech pani spojrzy przez okno, strasznie leje.

Tym razem nie kłamałem. Szeroka ściana deszczu oddzielała budynek od wieżowca po drugiej stronie. Kałuże zniknęły z powierzchni asfaltu, zlewając się w szeroką rzekę podskakujących kropel, łączącą oba krawężniki. Margaret wpatrywała się chwilę w coś za szybą i chyba też uznała, że nie kłamię.

– Niech pan zamówi kawę – powiedziała zrezygnowana. – Mocną.

Skinąłem głową, uśmiechnąłem się ciepło i odszedłem w stronę baru. Gdy po chwili wróciłem z filiżanką czarnego płynu, nie była już tak spięta jak kilka minut wcześniej.

– Wie pan? – odezwała się, kiedy przesunąłem spodek bliżej jej dłoni.

– Co takiego? – spytałem, mieszając cukier w filiżance.

– Niektórzy dziennikarze robią takie rzeczy jak pan.

– To znaczy jakie?

– Przychodzą do biur i firm rzekomo szukając pracy, kiedy tak naprawdę węższą, szukając jakiegoś tematu.

– I rozumiem, że zwalniają ich tak samo jak mnie? – zapytałem, siląc się na kolejny uśmiech.

– Został pan zwolniony? – Była zdziwiona. – Myślałam, że pan odszedł.

– To długa historia. Zresztą mniejsza z tym. O co chodzi z tymi dziennikarzami?

– Nie, nic. Nie ważne. Coś mi się zdawało – odparła najwyraźniej zbita z tropu.

Spojrzałem w okno i odczekałem chwilę. Chciałem, aby cisza osłabiła jej pewność siebie. Margaret przysunęła do siebie filiżankę, nasypała jedną, drugą, trzecią łyżeczkę cukru, otworzyła wybielacz w małym plastikowym pojemniku, wlała go i zamieszała. Podniosła powoli kawę i zbliżyła do ust. Jej wzrok natrafił na moje spojrzenie. Uśmiechnąłem się, a ona w końcu odwzajemniła uśmiech.

– Bingo – pomyślałem. Zaczynało mi się to podobać.

– Tak więc jest pani republikanką? – zapytałem.

– Tak. Zdecydowanie.

– Moi rodzice byli demokratami przez wiele lat, ale kiedy zamknięto fabrykę ojca, też zrozumieli, że liberalizm gospodarczy nie jest tak piękny, jak głoszą liberałowie.

– Moi na szczęście są republikanami – odparła.

– To skarb mieć rodziców, którzy od razu podpowiedzą nam, jakich ludzi lepiej nie naśladować. Gdyby moi byli na tyle rozsądni, kto wie, być może tak jak pani znalazłbym dla siebie miejsce po właściwej stronie.

– Po właściwej stronie? – zapytała.

– Tak, po stronie ludzi stąpających twardo po ziemi. Wie pani, do niedawna byłem naiwny i wierzyłem w tę całą neoliberalną bujdę.

– Nie jest jeszcze za późno. Wie pan... Z takimi umiejętnościami jak pańskie z pewnością znajdzie pan pracę w którymś Komitecie Wyborczym. Płacą kiepsko, ale taka praca uczy wielu rzeczy... – przerwała, próbując przywołać z pamięci którąś z nich. – I pozwala docenić ludzi, z którymi się pracuje.

– Obawiam się, że nikt już nie będzie chciał ryzykować zatrudnienia takiego starego lisa jak ja. Praca w Komitecie Wyborczym to chleb dla młodych i energicznych ludzi.

– Litość – pomyślałem. – Litość też jest dobra. Wystarczy wzbudzić w niej szacunek i połączyć go z odrobiną litości.

– Niech pan nie przesadza. Ile pan może mieć lat? Trzydzieści? Czterdzieści? To najlepsze lata dla mężczyzny. Nie przechodzi pan chyba któregoś z kryzysów wieku średniego?

– Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– A żona i dzieci z pewnością ucieszą się, że spróbował pan czegoś nowego.

– Nie jestem żonaty. A moja córka jest niewiele młodsza od pani – przyznałem. – Z pewnością nie zrobi jej różnicy, czy będę pracował w redakcji czy w biurze.

Margaret chciała coś powiedzieć, ale zawahała się. Dopiero teraz dotarło do niej, jak wielka różnica wieku jest między nami. Przyjrzała mi się dokładnie, przechylając przy tym głowę lekko w prawo. Wyglądała jak pies, który zastanawia się, próbując zrozumieć, co mówi jego pan.

– W takim razie... – podjęła. – A może mogłabym pomóc panu w jakiś sposób?

– Dlaczego? Przecież pani mnie w ogóle nie zna.

– Jak to nie? Nazywa się pan Jerry Dawson. Wszyscy pana znają.

– Niektórzy czytelnicy Financial Journal, być może oni tak, ale nikt poza tym.

– Mniejsza o to. Tak czy inaczej potrafi pan pisać. Nie chciałby pan spróbować robić to dla naszego komitetu? – zapytała. Tembr jej głosu podpowiadał, że waha się, ale skupienie na jej twarzy mówiło co innego.

– To miło z pani strony, ale nie wiem nic o polityce.

– Jak to nie? – przerwała oburzona. – Wie pan, jak mówić z pasją o rzeczach, w które pan wierzy, a to wystarczy. Chodzi przede wszystkim o to, żeby ludzie uwierzyli, że warto głosować na Georga Busha.

– Pieprzona sekta – pomyślałem.
– I jest pani w stanie mnie zatrudnić? – spytałem, ryzykując jej pewnością siebie.

– Nie... – przyznała, a potem opuściła wzrok na blat stołu. – Ale mój szef? Tak, on mógłby pana przyjąć.

– To naprawdę miło z pani strony.

– Nie wiem, czy zechce – przyznała. – Ale spróbuję z nim pomówić.

W jej oczach pojawił się błysk, a na twarzy zawitał uśmiech. Zupełnie jakby odnalazła cel, którego potrzebowała.

Podczas, gdy zaczynała mnie lubić, ja przestawałem ją tolerować. Była wszystkim, czego nie znoszę w kobietach. Naiwna, przewidywalna i przeświadczona o własnej wyjątkowości. A kto dzisiaj jest wyjątkowy? George? Tak, George jest wyjątkowy.

– Przestało padać – powiedziała. – Mimo wszystko nie będę tego potrzebowała – wskazała na parasol.

– Całe szczęście. Gdybyś go wzięła, musiałbym zmoknąć. – Uśmiechnąłem się.

– Tu jest mój numer – powiedziała. – Proszę zadzwonić jutro koło południa.

– Margaret? – zapytałem.

– Tak? – odpowiedziała z uśmiechem.

– Mów mi Jerry.

– Dobrze, Jerry. Zadzwoń. Zobaczą, co da się zrobić.

– Dziękuję – odparłem, patrząc, jak się podnosi.

Wygramoliła się z trudem z pomiędzy stołu i zamontowanego na stałe siedzenia i stanęła obok. Założyła marynarkę i uśmiechnęła się, jakby wciąż niepewna swoich emocji. Z jej twarzy odczytałem cień satysfakcji.

Mogłem odetchnąć. Zaczynałem czuć się jak kiepski aktor w bardzo ważnej scenie miłosnej. Nic dziwnego, że jej mąż był tak oziębły. Była kobietą z rodzaju tych, które nie widzą, że mężczyzna nie jest nimi zainteresowany, nawet gdy unika ich wzroku, milczy lub mówi monosylabami, spoglądając co chwilę na zegarek. Niemniej jednak to właśnie ona miała mi pomóc dostać się do biura i jeśli zdobycie dowodów na przekręt w kampanii wiązało się z zaciągnięciem jej do łóżka, byłem gotów to zrobić, choćbym musiał szprycować się Viagrą.

Następnego dnia około piętnastej stanąłem przed biurkiem recepcji w dusznym, nieklimatyzowanym pomieszczeniu. Na tym etapie byłem już pewien, że brak klimatyzacji jest elementem zмовy pracodawców. Na lewo od recepcjonisty, za cienką ścianką działową znajdowała się prowizoryczna poczekalnia z niewygodnymi drewnianymi krzesłami. Zająłem jedno. Oprócz mnie w pokoju znajdowali się jeszcze dwaj interesanci. Byli znacznie więksi, oboje z chorobliwą nadwagą i nieuniknionym, czyhającym tuż za rogiem, niecierpliwym

zawałem serca. Ich spocone, rozpalone duchotą ciała wydawały nieprzyjemny, kwaśny odór. Wentylacja w poczekalni zawodziła na całej linii i tylko zawieszone pod sufitem wiatraki zdawały się walczyć z upałem. Jedyne, co robiły poza rozcinaniem gęstego smrodu, to rozprowadzanie go dalej w głąb biura. Po kilkunastu minutach mężczyzna w recepcji podniósł słuchawkę, wychylił się zza biurka i oznajmił, że mogę wejść.

– McCain powinien być wiceprezydentem – powiedział jeden z grubych, gdy podszedłem.

– Nieważne kto powinien dostać stołek. Dostanie go ten, kto trzyma z Georgem – szepnął drugi.

Oboje mieli rację. Ale wolałem nie wypowiadać się po stronie żadnego. Musiałem trzymać się roli, a nie wdawać w dyskusje. Gdy podszedłem do drzwi, śniady, wypełniony tłuszczem łysy zmierzył mnie wzrokiem i prychnął z pogardą.

– Panie Dawson – odezwał się szczipły, ciemnoskóry recepcjonista. – Pan Fargo czeka na pana.

Gdy wszedłem do biura, Fargo nie czekał. Rozmawiał z kimś przez telefon. Najwyraźniej nie zamierzał tracić na mnie zbyt dużo czasu. Stałem krótką chwilę, rozglądając się po niewielkim pokoju. Starłem się nie denerwować, ale była to moja pierwsza akcja szpiegowska i ciśnienie mimowolnie podniosło się o kilkanaście procent.

Fargo podniósł wzrok i skinął, bym usiadł w fotelu naprzeciw. Jego szpakowate, elegancko zaczesane włosy dygotały w miarę, jak coraz energiczniej gestykulował. Papieros w prawej ręce zakreślał kółka i zygzaki, roznosząc po pokoju unoszące się pod sufit wstążki dymu. Jego lewa dłoń zaciskała się na słuchawce, z której słychać było wysoki męski głos.

– Przepraszam – powiedział i odłożył słuchawkę. – To mój asystent. To znaczy ten drugi, nie Margaret. – Zaciągnął się porządnie i zgasił niedopałek na dnie popielniczki. – Strasznie ciężko dziś o porządnego asystenta. Nie potrafią nawet garnitur z pralni odebrać.

Nie odezwałem się. Otworzyłem papierową teczkę, wyjąłem czterostronicowe resume, położyłem na blacie i powoli przesunąłem je w jego stronę.

– Dzień dobry, panie Fargo – powiedziałem w końcu. Poziom adrenaliny wyrównał się.

– No tak, dzień dobry panie... – Podniósł CV na wysokość oczu i zlokalizował nazwisko. – Panie Dawson, panie Jerry Dawson. Co pana do nas sprowadza, panie Jerry Dawson?

– W zasadzie nie jestem pewien. Margaret uznała, że przydałby się wam ktoś taki, więc przyszedłem.

– Ach, tak. Margaret? Rozumiem. No, ale niech mi pan powie, panie

Dawson, czy jest pan republikaninem?

– Tam ma pan wszystko, co trzeba o mnie wiedzieć.

Fargo spojrział, jakbym go spoliczkował. Zastanawiał się przez moment, jak zareagować, po czym obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem, uśmiechnął się i wrócił do skanowania wzrokiem życiorysu.

– Wszystko, powiada pan? – zamruczał, przeglądając kolejną kartkę.

– Mniej więcej – odpowiedziałem. – Chociaż jest jedna rzecz.

– Doprawdy? – Carl uniósł nerwowo brew. – Czy zatem byłby pan łaskaw podzielić się tą informacją?

– Nie interesuje mnie polityka.

– Doprawdy? – Carl znów uśmiechnął się. – To zupełnie jak mnie. Zupełnie jak każdego z nas tutaj. Wszyscy chcemy tylko, żeby George wygrał. A pan?

– Ja?

– Tak, pan. Czego pan chce?

– Tego samego, co wszyscy.

– Doprawdy? I czego według pana chcą wszyscy? Bo chyba nie opisywania tajemnic wyborczych?

– Nie pracuję już w gazecie – odparłem. – Czy nie zaznaczyłem tego odpowiednią datą?

– Ależ tak, oczywiście, że pan zaznaczył. I pan Fisher z pewnością to potwierdzi, prawda?

– Jeśli będzie osiągalny – odparłem. Mój wzrok podniósł się wraz z podnoszoną przez Fargo słuchawką. Palce wolnej dłoni wykręciły numer, a on uśmiechnął się szelmowsko. Miałem nadzieję, że Jack zorientuje się, o co chodzi, i nie zrukuje wszystkiego.

– Dzień dobry. Carl Fargo, dzwonię z lokalnego biura wyborczego. Chciałbym rozmawiać z Samem Whitem – zakomunikował i kiwnął.

– Z Samem White'm? – powtórzyłem w myślach. Był cwańszy, niż myślałem.

Carl musiał poczekać chwilę, zanim osoba po drugiej stronie znalazła odpowiedź.

– Nie? A z Jerrym Dawsonem? – chwila ciszy. – Mówi pani, że też nie pracuje? Od jak dawna? – chwila ciszy. – Ach tak, rozumiem. A czy mógłbym w takim razie prosić o połączenie z Redaktorem Naczelnym?

Carl zakrył dłonią słuchawkę, nachylił się do przodu i szepnął:

– To potrwa tylko chwilę – wyszczerzył zęby. – O, witam, panie Fisher, mówi Carl Fargo z biura kampanii wyborczej Gubernatora Busha. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? To doskonale. Mam tutaj pańskiego asa, Jerrego Dawsona... Tak, mówi, że nie pracuje u pana i nie zamierza wrócić. Rozumiem, że to delikatna sprawa i nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków, ale czy mógłby pan

powiedzieć, dlaczego pan Dawson nie pisze już dla Financial Journal?

Jack najwidoczniej nie spodziewał się takiego telefonu. Nie wiem, czy krzyknął, przeklął, czy zaśmiał się skrzeszonym głosem, ale Fargo musiał oderwać słuchawkę od ucha i odczekać chwilę, zanim wrócił do rozmowy.

– Ach, tak. Rozumiem. W takim razie dziękuję bardzo... Nie, proszę się nie martwić. Zajmiemy się nim tutaj. Dziękuję za pański czas. Do widzenia.

– To naprawdę nie było konieczne – powiedziałem.

– Takie już mamy procedury. – Puścił oko. – Sam pan rozumie.

– Obawiam się, że...

– Nie potrzebujemy ludzi, którzy się obawiają. Potrzebujemy ludzi, którzy wierzą. Niech mi pan powie, panie Dawson, w co pan wierzy? – Miał szyderczą minę. Świetnie bawił się moim kosztem. Bez względu na to, co powiedział Fisher, Carl i tak podjął decyzję, jeszcze zanim wszedłem do biura. Miałem ochotę przyłożyć mu w wyszczerzoną twarz.

– Oczywiście – odparłem. – Wierzę, że ten kraj potrzebuje kogoś, kto wie, czego chcą Amerykanie. Na przykład kogoś takiego jak on. – Wskazałem na plakat G.W. wiszący za jego plecami. – On jest człowiekiem, który wie, czego chce plebs.

– A cóż oni mogą chcieć, jeśli wolno spytać? – wtrącił i znów podniósł CV.

– My – powiedziałem po dłuższej pauzie – chcemy usłyszeć, że jesteśmy niepowtarzalni, że jesteśmy dumni i że jesteśmy wyjątkowi.

– Tak naprawdę nie ma różnicy pomiędzy niepowtarzalni i wyjątkowi, prawda?

– Cóż, niepowtarzalni jesteśmy dlatego, że chcemy być wyjątkowi, jako wyjątek od reguł stosowanych wobec innych narodów. Myślimy... – Zatrzymałem się na moment, by uchwycić jego reakcję. Przez chwilę zdawało mi się, że naprawdę słucha. Robił wrażenie nienormalnego. – Wierzmy, że jest jakiś większy plan i cel w utrzymywaniu tych wszystkich baz wojskowych z naszymi dzielnymi młodymi chłopcami.

– A czymże ten cel miałby być? – zapytał zaintrygowany.

– Wprowadzenie demokracji, ma się rozumieć – powiedziałem, uśmiechając się.

Carl spojrział na mnie, próbując wyczuć, na ile mój sarkazm pokrywa się z jego wizją demokracji i kiedy w końcu uznał, że nie różnimy się tak bardzo, uśmiechnął się.

– I pan wierzy w ten cel, tak?

– A po cóż innego mielibyśmy to robić? To nasz Manifest Destiny.⁷ Jesteśmy wyjątkowi, więc i ja chcę być częścią wyjątkowości.

– Mówiąc szczerze... Nie wiem, do czego pana podpiąć – powiedział, drapiąc się po brodzie. – Niemniej jednak... – przerwał i spojrział mi w oczy, jakby szukał czegoś – myślę, że będziemy mogli w jakiś sposób skorzystać z pana usług.

Jest pan pisarzem, prawda?

– Dziennikarzem – poprawiłem. – Właściwie to byłym dziennikarzem.

– Mniejsza o szczegóły. Pisze pan? Czy może się mylę?

– Potrafię pisać, jeśli o to panu chodzi.

– W takim razie proszę pokazać mi próbkę swoich umiejętności.

– Co ma pan na myśli? – zapytałem.

– Mam na myśli broszurę. Coś chwytliwego. Kilka skromnych słów opisujących naszego przyszłego przywódcę. Brakuje nam człowieka z pewną dozą, jakby to powiedzieć, błyskotliwości w dziedzinie słowa pisanego. Być może mógłby pan być tym człowiekiem. To jak? Spróbuje pan?

Nasze spojrzenia spotkały się. To nie była propozycja. To było wyzwanie. Nie wiedziałem, czy robił sobie żarty, czy może naprawdę chciał mnie zatrudnić. Wiedziałem, że albo jest idiotą, albo dostrzegł we mnie coś, czego ja sam nie widziałem. Tak czy inaczej nie miałem wyjścia. Musiałem spróbować.

– Czy jest coś, na czym powinienem się skupić?

– Jedyne, co mogę zasugerować, to by nie zatracić się w wyobraźni. To wszystko. Może pan użyć tamtego laptopa. – Wskazał urządzenie leżące na niewielkim stoliku przy kanapie. – Na zewnątrz powinien pan znaleźć puste biurko przy którymś z okien. Jest tam odrobinę gwarnie, ale jeśli chce pan tutaj pracować, będzie pan musiał się przyzwyczaić.

– Będzie gotowe za kwadrans – powiedziałem, nie mając zielonego pojęcia, co napisać.

Podniosłem notebooka i wyszedłem na zewnątrz. Dopiero gdy zamknąłem drzwi, poczułem, jak ciśnienie uchodzi, a wraz z nim cała pewność siebie. Zapaśnicy sumo wciąż czekali na swoją kolej i obaj patrzyli na mnie z pogardą. Uśmiechnąłem się, spojrzałem znacząco na komputer i parsknąłem w twarz łysemu. Pomogło, poczułem się odrobinę lepiej.

Biuro przypominało centralę telefoniczną z armią przekrzykujących się i licytujących postaci. Tablice z tabelami nazw miast i stanów, nazw firm i organizacji, imion i nazwisk wisiały w różnych częściach biura niczym punkt kontrolny na giełdzie. Przy kilkunastu biurkach uwijali się wolontariusze, mężczyźni i kobiety w koszulach i garniturach, domorośli politycy aspirujący do miana pracownika miesiąca, kwartału, kampanii. Niektórzy przemieszczali się, krzyczeli coś i śmiali się. Większość jednak pracowała w ten sam sposób. Wykonywali połączenia, odkładali słuchawkę i zapisywali coś w notesie, przekazywali wieści dalej. Czasami wstawali, ruszali do kogoś na drugim końcu sali, wracali i ponownie sięgali po słuchawkę. Wybierali numery z list na ekranach monitorów, następnie prosili, zapraszali, nakłaniali lub negocjowali coś z ofiarą na drugim końcu linii.

Pod oknem w rogu sali dojrzałem pusty stół. Na jego powierzchni

spoczywała sterta zadrukowanych kartek i druga, zawierające jakieś dokumenty. Zanim zdążyłem do nich dojść, szczupły około osiemnastoletni chłopak zajął miejsce, które sobie upatrzyłem. Miał zszywacz, którym łączył foldery informacyjne po prawej z kartkami ze sterty po lewej stronie. Było tam jeszcze kilka krzeseł, ale wybrałem to na przeciwko. Podeszedłem, odsunąłem je i usiadłem. Kiedy otworzyłem laptopa, przerwał na chwilę zszywanie i podniósł wzrok. Nie zareagowałem. Wydawał się być poirytowany.

– Mogę? – zapytałem.

– Jasne – odparł, nie odrywając wzroku od zadrukowanych kartek. Zszywacz w jego rękach zdawał się być zabójczą bronią. Zamiast cichych kliknięć wydawał głośne stuknięcia za każdym razem, kiedy łączył komplet dokumentów.

– Jesteś felietonistą? – zapytał, kiedy czekałem, aż komputer raczy łaskawie ruszyć.

– Niektórzy tak twierdzą. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałem się, ile jeszcze tyłków będę musiał pocałować, zanim dostanę jakąś inną robotę – mówiąc to dołożył dodatkową siłę do uderzenia w zszywacz. – I oto pojawiaasz się ty nie wiadomo skąd.

Nie odpowiedziałem. Komputer wciąż zmagał się z upałem. Rzuciłem okiem za okno.

– I wiesz co? – ciągnął. – Tak sobie myślę i zastanawiam się, co trzeba zrobić, żeby zająć to honorowe miejsce? – wskazał na mnie.

– Sam nie wiem, zdobyć Nagrodę Pulitzera? – wymruczałem, próbując nie zwracać na niego uwagi.

Chłopak zatrzymał podniesioną do góry dłoń, przybił nią w zszywacz i zmierzył mnie wzrokiem.

– Wiesz... – podjął, wracając do zszywania. – Ta praca to coś więcej niż zwykła robota.

– Tak uważasz? – rzuciłem, nie odrywając wzroku od komputera.

– Tak, zajmuję się pocztą. Listy od sponsorów przychodzą bez przerwy.

– Od sponsorów? – powtórzyłem w myślach. Zaintrygował mnie. Musiałem się skupić, żeby nie dać po sobie znać, że go słucham.

– No i? – zapytałem, siląc się na obojętność.

– No i – odpowiedział tonem zbulwersowanej nastolatki – możesz wierzyć albo nie, ale załóż się, że mógłbyś napisać o tym niezły artykuł.

– No... – mruknąłem i wróciłem do pisania.

– Słyszałeś, co do ciebie mówię? – burknął.

– Tak, słyszałem.

Chłopak rozejrzał się wokół, pochylił do przodu i szepnął:

– Możesz napisać prawdziwy artykuł. Ale poza tym – powiedział, odchylając się – nie liczyłbym na wiele. Oprócz uścisku Carla i satysfakcjonującego

„dziękuję” nie czeka cię tu wiele.

Nie spojrzałem na niego. Nie mogłem dać mu tej satysfakcji. Zastanawiałem się jedynie, czy jest tu po to, by sprawdzić mój rozsądek czy tylko lojalność. Stukałem jeszcze chwilę w toporną klawiaturę, po czym podniosłem wzrok i najbardziej obojętnym głosem, na jaki było mnie stać, odpowiedziałem.

– Dlaczego niby miałyby mnie interesować, ilu sponsorów mamy? Sponsorzy są, byli i zawsze będą. I wiesz co, mały? Gdyby ich nie było, nie dostałbyś nawet złamanego centa za to twoje zszywanie. Więc lepiej zamknij gębę i rób to, w czym jesteś dobry. Bo podjudzanie nie wychodzi ci najlepiej.

– No. To powinno wystarczyć – pomyślałem. Jeśli nasłali go, żeby donosił, powinien mieć wystarczająco dużo informacji, żeby złożyć raport Carlowi.

Chłopak nie odezwał się słowem. Mogłem spokojnie robić to, o co mnie poproszono. Odetchnąłem, wziąłem głęboki oddech i zabrałem się do pracy.

O dziwo po kilkunastu minutach dzieło było gotowe. Gdyby nie Internet, nie udało by mi się zmieścić w obiecany czasie. Musiałem przyznać, że przyszedłem nieprzygotowany. A jednak, mimo wszystko, udało mi się sklecić krótką notę na temat czysto amerykańskich cnót Georga W. Busha. Dodałem dwa lub trzy słowa na temat jego oddania służbie zdrowia, edukacji i bezpieczeństwu narodowemu. Po niecałym kwadransie fałszywa charakterystyka szympansej twarzy była gotowa. Zaskoczyło mnie uczucie, które zrodziło się po zapisaniu ostatnich słów. To, co stworzyłem, co przetoczyło się przez mózg i przelało przez palce na klawiaturę, pozostawiło w gardle gorzki posmak zakłamania. Po raz kolejny napisałem coś wbrew sobie.

Gdy przesuwalem komputer przed oczy Carla w mojej głowie rozbrzmiewały dwa rezonujące głosy, bunt i szyderczy chichot.

– Proszę bardzo – powiedziałem, obracając ekran w stronę Fargo.

– Niech mnie diabli! – Był zaskoczony. – W takim razie rzućmy okiem na to dzieło.

– No tak – dodał zadowolony. Przypominał mi Jacka Fishera. Ocenianie innych ludzi sprawiało mu przyjemność. – Tak. To powinno wystarczyć. – Pokiwał głową. – W takim razie, Panie Dawson, wygląda na to, że Margaret nie myliła się co do pana.

– Miło to słyszeć – odparłem, choć tak naprawdę nie wiedziałem, czy cieszy mnie taki obrót spraw.

– Wygląda pan na przyzwoitego faceta i... – przerwał, przyglądając mi się przez chwilę. – I jest w panu coś, co mi się podoba. Myślę, że będziemy mogli się dogadać.

– Mam taką nadzieję – przyznałem.

Wciąż czułem niesmak pozostawiony przez tekst, który spłodziłem. Myśl, że mogą go wykorzystać do czegoś, irytowała mnie.

– Kiedy mam zacząć? – zapytałem.

– Przeczytałem pański artykuł sprzed dwóch tygodni. Był dość dobry. Zgrabny, rzekłbym nawet. Wygląda na to, że ma pan to, czego potrzeba, żeby tutaj pracować.

– Podziękuję więc Margaret za rekomendację.

– Jedyna osoba, której może być pan wdzięczny, to pan sam – rzucił jakby rozdrażniony.

Postanowiłem milczeć. Chciałem, żeby wyjaśnił. Carl chyba zorientował się, że burknął, bo gdy podjął na nowo, panował już nad głosem.

– Ona... nie jest typem osoby, której się dziękuje. Proszę mi wierzyć na słowo.

Bez względu na to, jak bardzo zagadkowo to zabrzmiało, Fargo zdawał się mnie akceptować.

Zacząłem od razu. Dostałem kawałek biurka, laptopa, kilka zleceń i święty spokój. Kilka godzin później, gdy pojawiła się Meg, podziękowałem:

– Coś ty mu zrobiła? – zapytałem.

– Co masz na myśli? – odparła nieufnie.

Wiedziała, że przeszedłem przez sito kadrowej, ale nie miała pojęcia, że rozmawiałem z Carlem. Tym bardziej więc nie mogła wiedzieć, jaka była jego reakcja, gdy wspomniałem jej imię.

– Rozmawiałem z Carlem – szepnąłem. – Z jakiegoś powodu jest cięty na ciebie. Co mu zrobiłaś?

– Co dokładnie powiedziałeś? – spytała poruszona.

– Nic konkretnego. Po prostu wspomniałem twoje imię, a on wpadł w szal.

– Tylko tyle?

– Powiedziałem, że muszę ci podziękować. To wszystko. Chciałem po prostu, być uprzejmy – dodałem, starając się dobrze dobierać słowa.

Przez ostatnie trzy godziny poznałem kilkanaście osób, z których każda kolejna irytowała bardziej niż poprzednia. Przynajmniej dwa razy udało mi się powiedzieć coś nieodpowiedniego, a wyraz twarzy Meg nie sugerował bynajmniej, że nic się nie stało.

– Chciałeś być uprzejmy? Co? – spytała pełna naglej złości.

– Tak – odparłem. Musiałem usiąść. Paranoja tego miejsca przygniatała mnie.

– Więc nie bądź! – syknęła i zacisnęła pięści. – Nikt nie każe ci być uprzejmy.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie miałem nic złego na myśli. Jeśli nie chcesz, nie będę już więcej o nim wspominał.

Spojrzałem na Meg, wyczekując reakcji. Wydawało mi się, że waha się, próbując odzyskać kruchą równowagę.

– A jeśli zdarzy mi się z nim rozmawiać – ciągnąłem dalej – ominę cię w tej rozmowie. Bez zbędnego zadawania pytań. W porządku?

Nie miałem siły na klótnie. Meg najwidoczniej to zauważyła. Jej twarz złagodniała. Mięśnie wokół jej szyi rozluźniły się i odetchnęła zrezygnowana.

– To ja powinnam przeprosić. Nie powinnam była tak reagować. Bez względu na to, jak bardzo różnimy się z Carlem, powinniśmy oboje panować nad emocjami. Przepraszam w swoim i jego imieniu.

– Dom wariatów – pomyślałem.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem krótko. – Ale... – zawahałem się. – Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

– Nie – przerwała. – Po prostu mam teraz za dużo na głowie. To wszystko.

– Rozumiem. Niemniej jednak gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała, jak towarzystwo, drink lub drink w towarzystwie to po prostu powiedz. OK?

– Dobrze, dzięki – odparła niepewnie, odwzajemniając uśmiech.

Przez ułamek sekundy dostrzegłem w jej oczach coś więcej niż tylko ślad uśmiechu. I wtedy w końcu dotarło do mnie, że się opłaciło, że po godzinie mordęgi była moja.

W przeciągu kolejnych kilku godzin zaznajamiałem się z metodami pracy urzędnika biurowego. Było to o tyle bolesne, że musiałem zadawać się z całą plejadą młodych gwiazd lokalnej polityki. Byli zarozumiali i zapatrzeni w siebie. Ich horyzont był wąski i ograniczał się do kariery. Awans oślepił ich blaskiem, a rozdeptywanie kogoś w triumfalnym marszu zdawało się być wpisane w ich kodeks honorowy. W normalnych okolicznościach nie tolerowałbym ich, ale tutaj reguły gry były inne: nie pozwól drugiemu poznać prawdziwych zamiarów, wyprzedź go lub zajdź od flanki, nie spuszczaaj gardy, choćby nie wiem co i przede wszystkim pamiętaj, by nikomu nie ufać. Wyścig szczurów w wielkiej korporacji wydawał się dziecięcą igraszka w porównaniu z tą sekciarską atmosferą radości i niepokojącego oczekiwania na finał.

Pojawiłem się pod koniec gonitwy. Dzień wyborów zbliżał się wielkimi krokami, a atmosfera wokół gęstniała od ekscytacji i kontrolowanego chaosu. Sam fakt, że w tym właśnie momencie trafiłem na Margaret, graniczył z cudem. Kiedy pomyśle sobie, że do tego wszystkiego wystarczyło przespać się z nią, żeby dostać to, czego potrzebowałem, cóż... Można by dojść do wniosku, że ktoś tym cudom pomagał.

Drugiego dnia pracy postanowiłem przekonać się, jak bardzo czujna jest Meg i jak naiwna.

– Tak sobie myślę... – rzuciłem obojętnie.

– Tak? – zapytała, obracając kartkę na szkle kserokopiarki.

– Carl musi mieć dużo na głowie?

– Jak każdy, kto ma pod sobą przynajmniej kilku ludzi. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Po prostu dzisiaj wydawał się być jakoś szczególnie zestresowany.

– Skąd możesz wiedzieć, jak bardzo zestresowany jest w inne dni?

– Nie mogę. I nie udaję, że wiem. Po prostu martwię się, to wszystko.

Meg przytaknęła i zabrała się za kolejne kopie.

– Czy nie ma kogoś, kto zdjąłby z niego trochę obowiązków? – zapytałem.

– No tak... – przyznała i zamilkła. Przez moment myślałem, że zaraz wybuchnie, ale odwróciła się do mnie i tylko pokręciła głową.

– Ty znów to samo – powiedziała. – Ta twoja troska kiedyś cię zgubi.

– Możliwe.

– Ale na szczęście to nie nasz problem – dodała i wróciła do skanowania.

– Tak, masz rację. To nie nasz problem. Jak zawsze to problem kogoś innego. Zauważyłaś, o ile prostsze jest życie podwładnych?

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się nad czymś.

– Z drugiej strony – powiedziałem – nie dziwię mu się. – Ma mnóstwo gości, a niektóre z tych wizyt wyglądają jak kontrole.

– To nie kontrole, to partnerzy.

– Więc czym się stresuje? Nie wyrabia jakiejś narzuconej normy? Przecież to biuro wyborcze nie firma.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedziała ciszej. – Carl radzi sobie całkiem nieźle. Z tego, co wiem, ostatnio coraz więcej ludzi deklaruje wpłaty. Tym bardziej więc nie powinien mieć powodów do stresu.

– A jednak ma.

– To jest polityka – odparła. – Zupełnie jak w wielkiej firmie. Wydajność to czynnik, który liczy się najbardziej. Myślisz, że dlaczego wszyscy tutaj zachowują się w ten sposób? – Zatoczyła wzrokiem szeroki łuk i westchnęła.

– Pewnie, masz rację – przyznałem obojętnym głosem.

– Oczywiście, że mam rację. Wiesz... – powiedziała, wahając się, czy kontynuować. – On wkrótce dostanie awans.

– Awans? – zapytałem. – Nie wygląda na kogoś, kto spodziewa się awansu.

– Dlaczego?

– Jak będzie wychodził, przypatrz się mu. Jest roztrzęsiony, jakby tracił nad czymś kontrolę.

– Uwierz mi. Kto jak kto, ale Carl ma wszystko pod kontrolą – odparła.

– Skoro tak mówisz – wzruszyłem ramionami.

– Tak. Zmobilizował już wielu ludzi i zebrał około dwadzieścia do trzydziestu deklaracji. Zapewni mu to status pioniera. Musi tylko utrzymać obecne tempo.

– Pioniera? – spytałem. – Zamierza być odkrywcą?

– Ty rzeczywiście nic nie wiesz? – spytała rozczerwona.

– Nie jestem zbyt dobry w tę grę – powiedziałem. – Nazwij to, jak chcesz, pionier czy nie wydaje się być na krawędzi. To wszystko, co chcę powiedzieć.

– Cóż... Jeśli chodzi o ścisłość, pionierzy są... – zaczęła, ale przerwała. Chłopak od spinaczy pojawił się w zasięgu wzroku. Szedł w naszym kierunku. Gdy nas minął, dostrzegłem pretensje w jego oczach. Meg zacisnęła wargi, jakby dławiąc złość, zupełnie jakby powiedziała coś, czego nie powinna i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Meg? Wszystko w porządku?

Zastanawiała się chwilę, jakby nie mogła zdecydować, czy zdradzić mi sekret, czy nie odzywać się do końca życia, a potem powoli zbliżyła się i niemal szeptem powiedziała:

– Pionierzy to ci, którym uda się zebrać więcej niż pozostałym. Jak się pewnie domyślasz, jest to elitarny klub.

– Jak bardzo elitarny? – zapytałem równie konspiracyjnym szeptem.

– Shell–elitarny, albo Citibank–elitarny. Czy to dla ciebie wystarczająco jasne?

Póki co było.

W końcu miałem potwierdzenie, że Meg wie coś o działaniu systemu. Byłem zadowolony. W końcu dostrzegłem promyk nadziei w mrocznym tunelu brudnej polityki. Pojawiła się mglista możliwość odnalezienia tego, czego szukałem.

– Skoro tak twierdzisz... – rzuciłem obojętnie. Zgniotłem pusty plastikowy kubek po kawie i wrzuciłem do kosza.

Wyglądała na niezadowoloną. Zupełnie jakbym nie docenił jakiegoś wyjątkowo ważnego sekretu. Miałem nadzieję, że następnego dnia wyciągnę od niej coś więcej. Choć proces ten musiał być powolny, wiedziałem, że jest niezbędny. Dopiero wtedy bowiem, po potwierdzeniu ilości deklaracji, zrozumiałem, jak mało wiem o tym, co dzieje się w biurze.

Nazajutrz rano Meg była dziwnie cicha. Był czwartek i pojawiłem się w pracy nieco później, bo około jedenastej. Po dwóch godzinach milczenia w końcu przełamała się i podeszła.

– Dziś rano był naprawdę wkurzony – powiedziała. – Ktoś zadzwonił do niego i przeprowadził krótką rozmowę.

– I?

– To nie była przyjemna rozmowa.

– Niewystarczająco hojna deklaracja? – rzuciłem nieostrożnie.

– Nie, nie wiem. Dlaczego tak sądzisz? – Zdziwiła się, ale nie czekała na odpowiedź. Wpatrywała się w coś za mną nieprzytomnym wzrokiem i po chwili znów podjęła wątek. – Zawołał Roba do biura.

– Masz na myśli tego chłopaka od zszywek? – spytałem, przeczuwając już, o co chodzi. Jeśli Rob usłyszał o naszej rozmowie, Carl mógł uznać, że nie jestem

tu po to, żeby wspierać Georga.

– Tak, właśnie jego.

– No i co?

– Nie wiem. Rob wszedł do biura, zasłonili żaluzje i rozmawiali tam około pięciu minut.

– I zwolnił go? – zapytałem, udając głupka

– Nie! Dlaczego? Przecież nie o niego chodziło.

– Nie? To o kogo?

Meg spojrzała na mnie i po raz pierwszy zrozumiałem, że nie była tak głupia i naiwna, jak sądziłem.

– Och, Jerry... – Pokręciła głową. Poczuję się jak głupek.

– Meg, dlaczego ty się tym właściwie przejmujesz?

– Bo ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Po prostu myślałam, że może chciałbyś wiedzieć.

Zauważyłem, że w jej zachowaniu coś się zmieniło. Była bardziej błyskotliwa, szybciej odpowiadała, pytała i myślała. Ton, którym mnie upominała, sugerował, że tak naprawdę w ogóle nie znam tej kobiety.

– Pomyślałaś, że chciałbym wiedzieć, ale dlaczego?

– Wiem, że jakiś czas temu byłeś dobrym dziennikarzem. A zawodowa ciekawość nie mija chyba tak łatwo, prawda? – Przyglądała mi się uważnie.

– To twoje słowa czy Roba?

Meg wzruszyła ramionami. Z jakiegoś powodu solidaryzowała się z chłopakiem. Być może nawet mnie przejrzała.

– Co jeszcze powiedział? – Próbowałem uspokoić głos.

– Cóż... Powiedział coś o artykule. Ale nie pamiętam, co to było. Aha, czekaj. Myślę że to było coś o jakimś radnym.

Zamarłem.

– Czyżby chodziło o Marsiano?

Chciałem zapytać, ale nie odważyłem się. Skąd Donny mógł wiedzieć? Przecież nie napisałem o tym draniu żadnego artykułu. No, może poza tym, który wręczyłem mu podczas prywatnej audiencji. Ale przecież nigdy go nie opublikowałem.

Usiadłem. Musiałem to przemyśleć. Meg przyglądała się zaciekawiona, ale nie odezwała się. Czekala, aż informacja dotrze do mnie i wsiąknie głębiej.

– To nie mogła być pomyłka ani żaden zbieg okoliczności – pomyślałem. – To musiała być wiadomość od Donny'ego.

Oczyma wyobraźni wdziałem Marsiano, siedzącego w fotelu i grożącego mi palcem:

– Pogrywaj ze mną tak dalej i cię załatwię – mówił.

Musiałem być naprawdę blisko. Tylko w jaki sposób Marsiano wiązał się

z kampanią prezydencką? Gdybym znalazł coś, co potwierdzałoby udział któregoś z nich w przekręcie przy budowie Proximity Centre, upiekłbym dwie pieczenie na jednym ogniu. Wiedziałem, że muszę drążyć dalej, jeśli chcę natrafić na cokolwiek.

VI. Sojusznik

Jeszcze tego samego wieczoru obrałem kierunek na bar. Po całym dniu przytakiwania, utrzymywania pozy i poklepywania po ramieniu nie mogłem powstrzymać się od wypicia podwójnej szkockiej lub dwóch. Nadużywanie mięśni odpowiedzialnych za uśmiech stawało się coraz trudniejsze i zaczynałem się zastanawiać, ile jeszcze wytrzymam. Był to ten sam lokal, w którym zaledwie kilka dni wcześniej złapałem pierwszy kontakt z Margaret. Staralem się przypomnieć sobie, co skusiło mnie tamtego dnia, by podejść i nawiązać rozmowę. Spoglądając w głąb wypełnionego bursztynem szkła, doszedłem do wniosku, że o wiele łatwiej byłoby po prostu się z nią przespać. Minęło już kilka dni, a ja wciąż tkwiłem w martwym punkcie, uwięziony gdzieś pośrodku między wyznawcami Busha, własną niemocą i brakiem właściwego kierunku. Zastanawiałem się, co jeszcze będę musiał zrobić i jak wiele stracić z siebie, żeby zdobyć coś, co pozwoli mi w końcu wynieść się z tego biura. Od samego początku podejrzewałem, że nie będzie łatwo, ale nigdy nie pomyślałbym, że samo przebywanie w ich towarzystwie będzie tak uciążliwe. Czułem się jak ślepiec na niezaplanowanym spacerze w rowie pełnym żmij, jedynie z kijem w rękę.

– Jest konkretnym facetem – powtarzali.

– Tak, jest facetem, który upewni się, że robota będzie zrobiona. – Odmawiali jak mantrę. Ich słowa i służalcze oddanie guru wgryzały się w świadomość jak wygłodniałe kleszcze. Czułem, że dłużej nie wytrzymam.

W barze było jeszcze bardziej duszno i parno niż ostatnim razem. Wołałem jednak to miejsce od jakiegokolwiek innego. Było tam cicho i panował półmrok. Lokal wyglądał na opuszczony.

Po lewej dostrzegłem dwóch ślęczących nad barem pijaków. Marudzili coś barmanowi, zawieszeni nad kuflami. Pomyślałem, że mógłbym być jak oni. Nie przejmować się niczym i dopłynąć do mety na którejś z mniejszych fal. Zamiast tego wołałem wziąć deskę i brodzić pod prąd w poszukiwaniu tej największej.

Sączyłem drugiego Bells'a z lodem, analizując oddanie, zaangażowanie i ogólny charakter nowego zespołu, gdy nagle za plecami rozbrzmiał znajomy głos.

– A więc tutaj pan się ukrywa! – Był chropowaty bardziej niż zwykle. Odwróciłem się. Carl wyglądał, jakby zdążył wypić w drodze od drzwi do baru.

– Możesz mi mówić po imieniu – rzuciłem. – Mam już dość uprzejmości.

– Cóż, Jerry. W takim razie ty też mów do mnie po imieniu.

Spojrzałem obojętnie. Nie miałem siły na kolejną próżną rozmowę. Czułem, że jeśli ktoś jeszcze raz zapyta mnie, kogo widziałbym w danym resorcie po wygranej Busha, nie wytrzymam i wybuchnę.

– Szczerze mówiąc – ciągnął dalej – nie wiem, czy pojawię się jeszcze w tym biurze, więc prawdopodobnie i tak nie miałbyś więcej okazji zwracać się do

mnie oficjalnie.

- Jak to? – spytałem, lekko zbity z tropu.
- Dobrze słyszałeś.
- Zwolniłeś się? – zapytałem.

Carl nie odpowiedział. Usiadł na jednym ze stołków rozstawionych wzdłuż baru, podniósł dłoń i odczekał, aż barman podejdzie i napełni dwie szklanki burbonem.

- Powiedzmy, że mogę zostać zdegradowany.
- Szkoda, szefie – powiedziałem i podniosłem do ust drinka.
- To. – Wskazał jedną ze szklanek przed nim. – Na mój rachunek.

Wychyliłem Bells'a i poczęstowałem Carla długim, przeciągłym spojrzeniem. Mój nowy kolega uśmiechnął się lekko, ale nie zareagował. Wstrzymał się chwilę, jakby chciał dać mi czas na oswojenie się. W jego uśmiechu było coś życzliwego. Odłożyłem szklankę, podniosłem świeżo napełnione szkło. Carl skinął i wlał w siebie bursztynową moc.

- A to wszystko dzięki tobie, Jerry – powiedział.
- Co dzięki mnie? – zapytałem, odkładając szklankę.
- Dzięki tobie – odparł nieco roztargniony. Jego wzrok zawisł gdzieś w odbiciu w lustrze przed nim.

– A z jakiej racji to moja wina? – przerwałem, wycierając usta. Ostry smak alkoholu wciąż rozchodził się w dół przełyku.

– Powinienem być wiedzieć, że zatrudnienie byłego reportera będzie złym posunięciem. Ale zaufałem instynktowi, Jerry. – Wyprostował się i wznosił dłoń z myślą o kolejnej kolejce. – I wciąż tak myślę. Wydaje mi się, że masz to, czego potrzeba.

- Do czego?
- Żeby być kimś w tym interesie.
- W polityce? – Byłem autentycznie zdziwiony.
- Tak. A myślałeś, że o czym mówię? O piłce nożnej? Powiedz mi, Jerry.

Czy cokolwiek z tego, co mówiłeś, jest prawdą?

- Co masz na myśli?

– Jak to co? Pytam, czy dalej pracujesz dla Financial Journal? – zmienił nieznacznie tembr głosu. Nieznacznie, ale wystarczająco, żebym wiedział, że coś nie gra. Była w nim nutka żalu. – Przeszedłeś, żeby szpiegować? – Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie – odparłem spokojnie. – Nie pracuję już tam. Wywalili mnie. Masz to w CV.

– Pieprzyć CV! – warknął. – Barman, jeszcze jedną kolejkę! – Jego palce odruchowo powędrowały w stronę pustej szklanki. Zanim barman podszedł i ją napełnił, Carl zdążył odegrać na blacie spektakl niecierpliwych dłoni.

– Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, po prostu powiedz – stwierdziłem, starając się ważyć każde słowo.

– Czy chcę coś powiedzieć? Jasne, że chcę coś powiedzieć – przerwał, patrząc, jak barman napełnia szkło.

– Widzisz, Jerry – jego głos złagodniał, jakby dotyk i zapach alkoholu miały moc uspokajania – większość ludzi z zasady nie lubi dziennikarzy, a musisz wiedzieć, że w naszym biurze są nawet ludzie, którzy w szczególności nie lubią dobrych dziennikarzy. Bo widzisz, dobry dziennikarz nigdy nie przestanie być dziennikarzem, choćby nie wiem, jak się starał, choćby nie wiem, jak się tego wypierał – mówiąc to, spoglądał mi prosto w oczy, wystukując palcem rytm na mojej piersi. – I nie ważne, czy pisze, czy przestał pisać, czy tylko robi przerwę na chłanie.

– Aż tak widać? – spytałem odruchowo.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – odparł.

– Nie – przyznałem. – Zresztą nigdy nie mówiłem, że przestałem pisać. – Spojrzałem w głąb brązowego płynu. Na środku unosiły się resztki kostek lodu. Szkło było brudne i klejące od zbyt wielu kolejek – zupełnie jak ja.

– Nie, nie mówiłeś, Jerry – przyznał ze smutkiem – Przynajmniej nie mi. Ale widzisz – spojrzał na dwie pełne szklanki, a potem na mnie, jakby zastanawiał się, czy dotrzymam mu kroku. – Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem i że w tym, co robisz, musi być jakiś dobry, naprawdę przyzwoity cel. Bo chyba nie chodzi tylko o kasę, prawda?

– A gdyby chodziło właśnie o to? Wiesz, ile zarabia reporter? – zapytałem z wyrzutem.

– Daruj sobie. Oboje wiemy, że nie na tym rzecz stoi. Wiem też, że nie chodzi o rozgłos. Gdyby tak było, nie przestałbyś pisać tych błyskotliwych reportaży.

– Skoro już wiesz o mnie wszystko, to powiedz, dlaczego tutaj siedzę?

– Bo utknąłeś. Wiesz, że w biurze niczego się nie dowiesz. Ci ludzie są jak owce pilnowane przez wilki. Wydaje im się, że są wolni, ale tak naprawdę ich kariery są zakładnikami lojalności. Nawet jeśli coś wiedzą, nikt nie piśnie ani słowa.

– Więc powiedz. – Nie odpuszczałem. – Dlaczego siedzę tutaj z tobą?

– Bo mnie potrzebujesz. Czekasz na kogoś, kto da ci to, czego potrzebujesz.

– Nawet jeśli to prawda, a nie mówię, że tak jest, to co takiego mógłbyś mi zaoferować? Jesteś tylko jednym z wielu ogniwi tej maszyny. Ilu ludzi jest nad tobą w całym Komitecie? Jak wysoko musiałbym się wspiąć ponad ciebie, żeby dowiedzieć się tego, czego potrzebuję?

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, co powiedziałem. Przesadziłem. Alkohol znów zrobił mi papkę z mózgu. Przestałem kontrolować sytuację. Nie

kontrolowałem już nawet tego, co mówię.

Carl nie odezwał się. Milczał. Obrzucił mnie długim, badawczym spojrzeniem. Odczekał, aż przetrę umęczone stresem czoło i zapytał:

– Skończyłeś?

– Tak.

– No to napijmy się – zaproponował, jakby wyczytał to w którejś z moich myśli.

Podniosłem szklankę. Wydawała się być nieco cięższa niż poprzednie. Powoli zbliżyłem ją do ust i wlałem w siebie zawartość.

– A teraz posłuchaj – powiedział.

– Słucham – odparłem spokojnie.

– Widzisz, oboje wiemy, że nie zrezygnowałeś z pracy w redakcji. Potwierdził to nie tylko przełożony, ale i kilku twoich znajomych – mówiąc to, wyjął z teczki grubą kopertę, odwrócił ją i wysypał na stół kilkanaście kolorowych zdjęć.

– Szpiegujesz mnie? – syknąłem rozjuszony.

– Skądże. Te zdjęcia przyniósł dzisiaj kurier. – Przebiegł palcem po fotografiach i zatrzymał się na zdjęciu Laurie.

– Kto to? – spytał.

– Laura Hackwell, pracowała ze mną tamtego dnia.

– A to? – Wskazał na Jemmę i Micka.

– Szefowa KWRU i jej współpracownik.

– O! I ta tutaj. – Uśmiechnął się, podnosząc zdjęcie Jasmine w stroju Miss Liberty.

– A co to ma za znaczenie? Po co w ogóle pokazujesz mi te zdjęcia?

– Nie powinieneś raczej zapytać, dlaczego je dostałem? Nie wydaje ci się to dziwne?

Nie odpowiedziałem. Przetarłem dłonią twarz, podniosłem zdjęcie Jass i spojrzałem na Carla.

– Barman, dwie kawy! – krzyknąłem. – Mocne!

Barman spojrzał zdziwiony. Stał dwa metry ode mnie, a ja mimo to krzyczałem. Uniósł lewą brew, pokręcił głową i odwrócił się w stronę ekspresu. Byłem pijany.

– Zastanawia mnie jedno – Carl ciągnął dalej. – Dlaczego ktoś posunął się do tego? Czy tylko po to, żeby pokazać cię w złym świetle?

– Nie wiem – skłamałem.

Wiedziałem doskonale, dlaczego Marsiano wysłał za mną swojego człowieka.

– Jeśli ktoś chciał mnie oczernić, najwyraźniej coś mu się pochrzaniło – powiedziałem. – Chyba widzisz, że to demonstracja, prawda? To było kilka dni

temu, zbierałem wtedy informacje do artykułu. To było moje ostatnie zlecenie.

– No właśnie. Więc po co ktoś miałby ostrzegać mnie przed tobą?

– Nie wiem.

– Myślę, że wiesz. Widzisz, wydaje mi się, że ta koperta adresowana była do ciebie.

Podniosłem kopertę, obróciłem, odwróciłem i obejrzałem dokładnie. Nigdzie nie było nadawcy, a w miejscu adresata widniał „Kierownik Finansowy Carl Fargo”.

– Dlaczego tak sądzisz? – odparłem, przeglądając resztę fotografii.

– Myślę, że to było ostrzeżenie. Ktoś chce, żebyś wiedział, że jesteś pod lupą.

– To dość naciągane, nie uważasz?

– Nie – odparł krótko. Podniósł w górę szklanę, czekając, aż zrobię to samo. – Gdyby chciał, żebym cię wywalił, podesłałby coś, co zdyskwalifikowałoby cię jako człowieka kampanii.

Przyjrzałem mu się uważnie i podniosłem szkło. Carl przemyślał coś w milczeniu, skinął sam do siebie i przechylił szklanę. Gdy przetarł dłonią usta i ponownie obrócił się w moją stronę, dostrzegłem, że w jego spojrzeniu coś się zmieniło.

– Może siądziemy gdzieś z boku? – zapytał.

Nie miałem czasu na zastanowienie. On czegoś chciał. Bez względu na to, czy próbował mnie zdemaskować, dowiedzieć się, co już wiem, czy rzeczywiście mi pomóc, musiałem zaryzykować. Skinąłem, rozejrzałem się po sali i wskazałem na stolik w odległym, ciemnym rogu.

Carl zamówił jeszcze jedną kolejkę i wskazał na stolik, który wybraliśmy. Zastanawiałem się, ile jeszcze musi wypić, zanim zacznie mówić.

Ruszyliśmy chwiejnym krokiem przez ciemny bar i zajęliśmy obskurny kąt z widokiem na drzwi.

– Słucham. Co proponujesz?

– Małą grę.

– Grę?

– Tak, grę. Przestań powtarzać jak papuga. Chyba mówię wyraźnie, nie?

– W porządku. Słucham. Mów.

Alkohol panoszył się we mnie. Czułem, że Carl dopiero zaczyna odkrywać karty.

Fargo uśmiechnął się, pokazując przyciemnioną biel zębów. Był to szelmowski uśmiech z rodzaju tych, jakimi starsi koledzy raczą nas przed wykręceniem ręki.

– Ustaliliśmy już, że szukasz informacji...

– Niczego nie ustaliliśmy – przerwałem.

– Pomogę ci. – Zignorował mnie. – Ale, jak zapewne wiesz, wszystko ma swoją cenę. Zanim odpowiem na pytania, będziesz musiał coś dla mnie zrobić.

– Skąd pewność, że w ogóle będę czegoś chciał?

– Bo wiem więcej niż którykolwiek z pracowników tego biura. I tylko ja jestem skłonny przekazać ci wszystko, co wiem.

– Myślę, że odpuszczę – powiedziałem i podniosłem się. Carl złapał mnie za rękę i pociągnął.

– Siadaj. Nie bądź głupi. Taka szansa może się drugi raz nie powtórzyć.

– Nie jestem zainteresowany. – Wyjąłem portfel i rzuciłem pieniądze na stół.

– Kserokopie oficjalnych dokumentów kampanii – rzucił. – Nazwiska i liczby. Dalej niezainteresowany?

Przyjrzałem się mu dokładnie. Jego uśmiech był wypełniony po brzegi satysfakcją. Niemal widziałem, jak przelewa się przez wyszczerzone zęby. Nie mógł kłamać. Mówił prawdę.

– W porządku, ale czego ty chcesz?

– Chcę, żebyś zadzwonił do Margaret i powiedział jej, że mąż ją zdradza.

– Słucham?

– Pozwól, że powtórzę. Chciałbym, żebyś zadzwonił...

– Słyszałem, co powiedziałeś! – przerwałem. – Tylko co to ma wspólnego ze mną?

– Nic, poza tym, że da mi jakieś pojęcie o tym, jak bardzo zależy ci na informacjach.

– Zależy, ale to nie powód, żeby wciągać w to Meg.

Testował mnie. Chciał wiedzieć, jak daleko się posunę.

– I dlatego właśnie powinniśmy ją w to wciągnąć. Poza tym to prawda. Jej mąż sypia z... – Przeciągnął palcem po fotografiach. – Z nią! – Nasz wzrok zatrzymał się na zdjęciu Jass.

Moje ciśnienie wystrzeliło w górę i ścisnąłem szklankę odrobinę za mocno. Pękła.

– Ojjoj! – lamentował. – Uważaj, przyjacielu, bo zrobisz sobie krzywdę.

Carl chwycił mnie za nadgarstek, żeby sprawdzić dłoń. Wyrwałem się. Nie skaleczyłem się, ale byłem wściekły.

– Skąd to wiesz? Podobno jej nie znasz? – syknąłem.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie znam tej. – Wysunął zdjęcie Laurie. Jasmine jest, jakby to powiedzieć, przyjaciółką Briana, a Brian jest mężem Margaret. Widzisz, zanim ja i Meg... Sam rozumiesz, to delikatna sprawa. Pomyślałem, że sprawdzę, jak sprawy się mają między nimi. Detektyw, którego wynająłem, sprawdził to i tak się akurat złożyło, że w czasie konwentu Jass nocowała u niego.

– To jeszcze nic nie znaczy – warknąłem, opatrując chusteczką skaleczony

jednak palec.

– Widzisz. Świat jest bardzo mały, a informacje bardzo szybko się rozchodzą.

– Coś sugerujesz? – spytałem niemal pewien, że sugerował szantaż. Miałem dość tej rozmowy.

– Nie, skądże. Chcę tylko sprawdzić, jak bardzo zależy ci na kserokopiach. – Wyciągnął pióro i na jednej z chusteczek napisał numer telefonu. Przysunął go do mnie i jeszcze raz wyszczerzył uzębienie.

– Proszę – powiedział. – Zadzwoń do niej i powiedz, że jej mąż jest niewierny.

– Jeśli tak bardzo chcesz do niej wrócić, dlaczego sam tego nie zrobisz? – syknąłem. Palec nie bolał, ale alkohol, który krążył w krwi, nie przytłumił prawdziwego bólu, tego który jątrzył się w brzmieniu imienia Jasmine. Jeśli Carl próbował wyprowadzić mnie z równowagi, był na dobrej drodze.

– Ależ, nie. Nie zrozumieliśmy się. Wcale nie chcę wracać. Wręcz przeciwnie. Chcę, żebyś to ty wziął ją w obroty.

– Zwariowałeś! – krzyknąłem.

Barman wychylił się, wykazując cię zainteresowania, podszedł, wymienił pęknięte szkło na nowe i wrócił do wycierania szklanek. Nie pamiętał o złożonym chwilę wcześniej zamówieniu albo nie chciał pamiętać, jakby wiedział, że dwie mocne kawy są już zupełnie niepotrzebne.

– No to jak? Dzwonisz? Pamiętaj, że musisz być przekonujący. Ona nie może wiedzieć, że wiesz to ode mnie.

– I wtedy powiesz mi wszystko? – spytałem zrezygowany.

– Wszystko, o co tylko zapytasz. No więc jak? Dzwonisz? Aha i jeszcze jedno.

– Co?

– Musisz się z nią przespać. Inaczej nici z umowy.

Spojrzałem na niego i jego szydrczy uśmiech. Świetnie się bawił moim kosztem. Chciał, żebym tańczył pod jego melodię, ale miałem już dość.

– Pierdol się! – rzuciłem i zerwałem się na nogi. – Może nie jestem święty, ale nie jestem też skończonym łajdakiem. Aha i zamierzam powiedzieć jej o tym twoim małym psikusie, więc nie licz na to, że będzie do ciebie przychylnie nastawiona.

– Świetna odpowiedź, kolego – krzyknął, jak to mają w zwyczaju pijani i uśmiechnął się do ucha do ucha. – Doprawdy lepiej bym tego nie ujął. Siadaj, siadaj, spokojnie. Przeszedłeś test pomyślnie.

– Powiedziałem, pierdol się! – warknąłem.

– Nie myślałeś chyba, że dam te dokumenty byle łajdakowi? Mówiłem ci, Jerry, że widzę w tobie uczciwość. Jesteś przyzwoitym facetem. Po prostu nie

wiedziałem, jak bardzo przyzwoitym. Teraz już wiem.

– Kolejny pieprzony manipulator – pomyślałem i usiadłem.

– Mów. Ale jeśli jeszcze raz zrobisz mnie w konia, pożałujesz. – Byłem gotów rozkwasić jego gładko ogoloną twarz. Liczyłem na to, że znów coś wypali.

– A teraz na poważnie. Mam taką małą grę. Ułatwi nam filtrowanie informacji.

– Kolejną grę? Spieprzaj – burknąłem.

– Spokojnie, to nie to, co myślisz. Chodzi tylko o ustalenie faktów.

Milczałem chwilę, przyglądając się jego niewinnej minie, a gdy się uspokoiłem, powiedziałem:

– No dobrze, słucham, mów.

– Najpierw odpowiesz na moje pytania, a kiedy ustalimy już, co wiemy, spróbuję odpowiedzieć na twoje. Pasuje ci taki układ?

– Po co ta dziecinada? Powiedz po prostu, czego chcesz.

– Chcę ci pomóc.

– A co z Meg i Jasmine?

– Mówiłem już. Nie ma potrzeby mieszać w to Meg. A jeśli chodzi o Jasmine, cóż, to prawda, nocowała u Briana, ale nie wiem, czy była to jednorazowa przyjemność czy... Sam rozumiesz.

– No dobra – burknąłem i zajrzałem do prawie pustej szklanki. – Nawijaj. Słucham.

– OK. Pytanie numer jeden: Co trzeba zrobić, żeby spotkać się z gubernatorem in persona?

– Z którym gubernatorem?

– Obojętnie. Niech to będzie na przykład gubernator Teksasu, G.W. Bush.

– Wypełnić formularz i czekać na potwierdzenie.

– Źle! – krzyknął. – Jeszcze raz.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy powinienem dać się ciągnąć za nos, czy dać po zębach. Był pijany – na tyle pijany, że nie mogłem odczytać niczego z jego twarzy. Panował na niej chaos bliski paranoi. Jeśli miałem wyciągnąć coś od niego, to jedynie czekając na jego błąd.

– Trzeba skontaktować się z nim przez klub golfowy, strzelecki albo którąś z organizacji, której jest członkiem.

– Znowu źle.

– W takim razie nie wiem. Poddaję się.

– Musisz mu po prostu zapłacić. No dobrze, spróbujmy z innej strony. W jaki sposób możesz zyskać posłuch u Gubernatora, kandydata na prezydenta.

– Wpłacając pieniądze na kampanię wyborczą? – rzuciłem tak, jakbym nie wiedział.

– To oczywiste, ale w jaki sposób, jaką sumę?

– Szczerze mówiąc? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że Bush pobił jakiś rekord podczas startu w obu wyścigach o stołek.

– Oj, Jerry... – jego głos niósł nutkę zniesmaczenia. – Nie przygotowałeś się. George W. Bush zebrał łącznie czterdzieści jeden milionów w obu wyścigach o fotel gubernatora. No, ale co z tego? Ile to jest czterdzieści jeden milionów? Jak duża to suma? Czy ta liczba mówi ci coś?

– Szczerze mówiąc nie.

– No właśnie. I nikomu ta suma nie będzie nic mówić. To świat polityki, a w wielkiej polityce pieniądze są jeszcze większe. Każdy bierze to za pewnik i nie kwestionuje. Tak się jednak składa, że dla nas, i nie tylko dla nas, o wiele ważniejsze od sumy jest źródło, sposób gromadzenia i cel, w jakim została zebrana.

– To oczywiste.

– Przestań przytakiwać. Nie obrażaj mojej inteligencji. Wiem, że orientujesz się w tych sprawach nie gorzej niż ja, więc przynajmniej udawaj, że nadążasz.

– Spokojnie – powiedziałem. – Pamiętasz? Ja już przyznałem, że chcę tych informacji. Nie musisz tego udowadniać.

Spojrzał zdziwionym, pijanym wzrokiem, a potem pokiwał głową w geście nagłego olśnienia.

– No tak, przepraszam. Poniosło mnie. Zawsze miałem ciągoty do tragizowania.

– Pytaj dalej.

– No dobrze. Gotowy? W takim razie drugie pytanie: kto i po co sponsorował Busha w wyborach na Gubernatora.

Znałem odpowiedź na to pytanie. Na to i na wszystkie pozostałe, które mógł zadać, gdyby chciał sprawdzić, po której stronie tak naprawdę stoję. Przez moment przeszło mi przez myśl, że Carl faktycznie próbował sprawdzić, ile wiem. Koniec końców nawet on mógł pracować dla Marsiano, a Keith mógł być autorem zdjęć z koperty. Gdyby faktycznie tak było, odpowiadając na kolejne pytania trafiłbym w końcu na takie, które pogrążyłyby mnie, nie dając nic w zamian.

– Halo? – Carl przesunął dłonią przed moimi oczami. – Kontaktujesz?

– Tak, tak, przepraszam zamyśliłem się. Jakie było pytanie?

– Kto i w jakim celu wpłacał pieniądze na dotychczasowe kampanie Busha?

– Przemysł naftowy? – rzuciłem obojętnie.

– Dobrze. O wiele lepiej. A w jakim celu?

– O to musiałbyś ich zapytać.

– Dobrze, dobrze, zaczynasz mówić jak oni. No, ale niech ci będzie. Trzecie pytanie. Jakie jest największe dokonanie G.W.? – zapytał, podniósł się i ruszył w stronę baru.

Śledziłem wzrokiem jego plecy w miarę, jak oddalał się w kierunku baru. Zastanawiając się nad odpowiedzią i nie miałem zielonego pojęcia, jaka była

właściwa.

– Co z tą kawą? – Carl ryknął w stronę barmana.

Kiedy wrócił z dwoma filiżankami czarnej mazi, wciąż nie znałem odpowiedzi.

– OK – rzuciłem. – Powiedzmy szczerze, potrzebuję informacji.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Do diabła! – zaczynał mnie irytować. – Przemysł naftowy. Zadowolony?

– Co z nim? Co z tym przemysłem naftowym? – Nie dawał za wygraną.

Zmrużyłem oczy, potarłem dłonią skroń. Próbowałem zebrać w całość te nieliczne strzępy informacji rozrzucone jak śmieci w mojej głowie. Alkohol sprawiał, że brnąłem przez umysł jak przez bagno.

– W przeciwieństwie do wyborów prezydenckich – zacząłem powoli – sponsoring w wyścigu o urząd gubernatora nie jest obwarowany tyloma przepisami. Bush zebrał dwa i pół miliona od zaledwie... – Musiałem się zastanowić. – Od zaledwie dwudziestu trzech gigantów, z których każdy podarował mi pomiędzy sto a sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Ponad połowa z... – Znów przerwa. – Z czterdziestu jeden milionów zebranych podczas obu kampanii o stołek gubernatora, pochodziła od darczyńców, którzy wpłacili po pięć tysięcy lub więcej. I to nie byli raczej przeciętni wyborcy!

Musiałem odetchnąć. Przywoływanie liczb okazało się ciężką próbą.

– I wszystko pochodziło od przemysłu naftowego? – spytał ironicznie.

– Wiesz dobrze, że nie. Daj spokój.

– Spokojnie. Spokojnie. Sprawdzam, jak bardzo ci zależy.

– Na czym?

– To też próbuję określić.

– Przecież wiesz, że mi zależy. Inaczej nie siedziałbym tu z tobą, znosząc obelgi i przytyki.

– Oj, tego nie byłbym taki pewien. Jak na moje oko, gdyby ci zależało, wiedziałbyś choć trochę na temat tego, jak finansuje się kampanię w tym kraju.

– OK, pomogę ci – zaczynałem tracić cierpliwość. – Wiem tyle, co każdy szanujący się dziennikarz.

– Były dziennikarz – wtrącił.

– Tak, były!

– Ależ po co te nerwy? Przecież nie musimy się tak denerwować, prawda? No, a teraz napijmy się!

Poderwał się i ruszył w stronę baru. Szum zaczął po cichu zakradać się do głowy. Nie wiedziałem, czy Carl próbuje mnie rozgryźć, pomóc, czy zdemaskować, ale tempo, jakie narzucił, z pewnością miało pomóc w osiągnięciu celu.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał, kładąc cztery kieliszki na stole.

Spojrzałem na szkło pozbawiony złudzeń. Wódka. Chciał się upić. Chciał nas upić.

– Pytałeś o dotychczasowych sponsorów Busha.

– Nie – odparł. – Pytałem o to, co Bush osiągnął w życiu, ale mniejsza o to. O sponsorów też nie muszę pytać. Wiem o nich wystarczająco dużo. – Uśmiechnął się, skupił, podniósł z podłogi skórzaną aktówkę i położył ją na stole.

– Wiesz, co to jest „Governor’s Gusher” 2 – zapytał, wyjmując ze środka papierową teczkę.

– Tak, przeglądałem raport. – Pokiwałem głową. – Bardzo interesująca lektura. – Poklepałem dłonią po teczce.

– Co spodobało ci się najbardziej?

Przyglądałem się mu przez chwilę w milczeniu. Czułem, jak za sprawą obecności owego raportu ulatnia się powoli reszta podejrzliwości, które miałem w stosunku do niego. Przez opary alkoholu i przytępione mechanizmy logiczne rozumiałem, że nie mógł być po ich stronie, nie z tym raportem w dłoni. To było po prostu niemożliwe. Otworzyłem dwudziestostronicowy dokument, przewróciłem kilka kartek, po czym zatrzymałem się na jednej ze znajomych stron, odwróciłem w jego stronę i wskazałem tabelę.

– Tak – potwierdził. – I to są dane ze stycznia tego roku. Jak myślisz, zaszkodziły mu w jakiś sposób?

– Nie wiem. Pewnie nie. Dlaczego pytasz?

– Jesteśmy na półmetku kampanii. Do grudnia zostało pięć miesięcy. Jak myślisz, czy raport może mu zaszkodzić?

– Powinien. Albo raczej powinien był. Sam wiesz, że nie było odzewu. Rewelacje tego typu nic nie zmieniają.

– No dobrze, ale dlaczego twoim zdaniem te dane powinny mu zaszkodzić? – spytał i opróżnił swój kieliszek. Nie zczekał na mnie. Widocznie potrzebował tego bardziej niż ja.

Odłożył szkło i przyglądał mi się. Czekał na odpowiedź. Przewróciłem kilka kartek i znalazłem ciekawy fragment.

– W ciągu jednej kadencji Busha w Teksasie wpływy na rzecz jego kampanii, pochodzące spoza tego stanu prawie się podwoiły² – powiedziałem. – Oznacza to, że wspierały go grube ryby nie tylko z Teksasu, ale z całych Stanów. A to z kolei oznacza, że szczyt z całego kraju finansują go podczas tegorocznych wyborów prezydenckich i że spora część zaplanowała wsparcie dużo, dużo wcześniej.

– Ale przecież tak właśnie działa system – odparł. – Co w tym złego?

– Teoretycznie nic – odparłem.

– Brednie! Nie ma czegoś takiego jak teoretycznie nic. Albo jest coś, albo tego nie ma.

– W takim razie te liczby są bez znaczenia.
– I nie widzisz w tym raporcie nic więcej?
– Tutaj. – Wskazałem, przeglądając tabele. – Według podziału na interes darczyńców.

– Słucham.

– Orędownicy rynku pracy wpłacili zaledwie dziewięćdziesiąt tysięcy, darczyńcy kierowani ideologią i orientacją polityczną nieco ponad dwieście osiemdziesiąt tysięcy, natomiast ludzie biznesu okrągle dwadzieścia sześć milionów siedemset tysięcy dolarów². To chyba mówi nam coś o tym, czym kandydatem jest G.W.?

– To prawda – przyznał – ale to jeszcze nic.

– No jasne, że nic – ciągnąłem. – Jeśli przyjrzesz się bliżej, zobaczysz dokładnie, która gałąź gospodarki wykupuje obecnie kandydata na prezydenta. Spójrz tutaj. Spośród czternastu podkategorii wpłaty ludzi związanych z Departamentem Energii i Surowców Naturalnych były największe.

– Ropa – skwitował.

– Tak, ropa to dwadzieścia procent puli. Dalej w kolejności mamy sektor finansowy z siedemnastoma procentami, przemysł różnych kategorii dorzucił czternaście procent i lobbyści osiem i pół procenta².

– I tu zaczyna się robić ciekawie.

– A to dlaczego? – Wyjąłem ołówek i notes, by móc notować. Carl popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

– Wiedziałem! – krzyknął rozradowany jak dziecko na strzelnicy. – Wiedziałem, że jesteś swój chłop!

– Carl? Dobrze się czujesz? Pamiętasz? Uzgodniliśmy już, że jestem po twojej stronie.

– Ach, no tak. Racja. Ale i tak się cieszę – odparł rozpromieniony.

– Nie masz nic przeciwko? – spytałem i uśmiechnąłem się, próbując odwzajemnić jego entuzjazm.

– Ależ skądże. Proszę.

Podniosłem szklankę, a on pokiwał głową z aprobatą. Na jego twarzy dało się wyczytać ulgę. Napięcie, które tkwiło do tej pory gdzieś między jego brwiami, zaczęło powoli zanikać.

– Spójrz na to. – Wyjął z trudem kolejną teczkę i otworzył ją na pierwszej stronie i nacisnął ślamazarnym palcem. – Według tego raportu, od osiemdziesiątego siódmego do dziewięćdziesiątego dziewiątego roku odnotowano sześciuset procentowy wzrost liczby kontraktów wśród lobbystów, a połowa tego okresu to lata urzędowania, uwaga – podniósł palec w górę – Gubernatora Busha. Co prawda od dziewięćdziesiątego siódmego do dziewięćdziesiątego dziewiątego roku przybyło tylko trzech lobbystów, czyli niewiele, ale za to ogólna wartość ich

kontraktów wzrosła aż o siedemnaście procent ze stu pięćdziesięciu jeden do stu osiemdziesięciu milionów dolarów. I to wszystko za rządów Georga. – Rozłożył dłonie, jakby prezentował jego osiągnięcia. – W zeszłym roku najwięcej kontraktów z lobbystami podpisały firmy z sektora finansowego bo warte trzydzieści cztery miliony i naturalnie te reprezentujące przemysł energetyczny i surowców naturalnych. Zainwestowały w lobbystów niewiele mniej, bo okrągłe trzydzieści jeden milionów dolarów³. Zbieg okoliczności? Nie wydaje mi się.

– A jednak dla ludzi to wciąż tylko liczby – odparłem. – W najlepszym przypadku można mu zarzucić, że ma powiązania ze światem biznesu. To wszystko.

– To prawda. Więc jak udowodnić, że George to zły kandydat na prezydenta? Czy nie wystarczy pokazać, jak lobbyści rozkwitli pod jego skrzydłami?

– Boże, to takie proste – powiedziałem. – Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

– Bo byłeś skupiony na kampanii tu i teraz. Spójrz. – Sięgnął dłonią po „Governor’s Gusher” i otworzył go na rozdziale VII zatytułowanym „Spekulanci”. – To tym trzeba się zająć na początek. Żeby pogrążyć Georga, trzeba skandalu. To prawda. Trzeba udowodnić, że siedzi w kieszeni lobbystów i spekulantów. To również prawda, ale przede wszystkim trzeba pokazać, skąd w ogóle wywodzi się i jakim cudem taki wieśniak jak on był w stanie nie tylko dostać się na stołek gubernatora, ale i utrzymać się na nim przez dwie kadencje.

– Co proponujesz?

– Prześpij się z tym. Weź do domu moją wersję raportu. Masz w nim listę paskarzy, na której trzema kolorami zaznaczyłem trucicieli środowiska, spekulantów i lobbystów. W sumie trzydzieści pięć nazwisk z setki. Przejrzyj ją. Może coś znajdziesz.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytałem.

– Dlaczego? Spójrz na tę litanie nazwisk. Ilu potencjalnych wrogów mógłbym sobie przysporzyć przez rozdmuchiwanie w mediach takiego raportu?

– Dość wielu.

– No właśnie. A i tak pewnie niewiele by to dało. Nie jestem typem wojownika pióra. Do tego trzeba mieć zacięcie. Ty z kolei to zupełnie inna historia. Wiem, że nie zrezygnowałeś z pracy w gazecie tylko po to, żeby napisać artykuł. To byłoby zbyt duże poświęcenie, nawet jak na ciebie. Ale film albo książka? To coś zupełnie innego. Przyznaj się, to po to robisz te notatki, prawda?

– Jakie to ma znaczenie? – spytałem.

– Żadne, masz rację. – Carl zamknął teczkę, wstał i podniósł w górę kieliszek. – Za demokrację!

– Za demokrację – potwierdziłem.

– I jej zmartwychwstanie! – dokończył.

VII. Książę George

To, co powiedział Carl, dało mi do myślenia. Kiedy następnego dnia walczyłem z porannym kacem, ślęcząc nad raportem Texans for Public Justice, uzmysłowiłem sobie, że być może naprawdę byłem kimś, na kogo Carl czekał od dłuższego czasu. Wiedziałem, czym groziło mieszanie kijem w mrowisku. Zdążyłem już przekonać się o tym na własnej skórze, gdy bandziory Marsiano przetrzasnęli mieszkanie, zakneblowali mnie i przykuli do krzesła. Carl z pewnością również zdawał sobie sprawę z ryzyka. Węszanie wokół wpływowych ludzi nigdy nie jest bezpieczne. Zwłaszcza jeśli mają coś na sumieniu. Zapewne dlatego zaczepił mnie w barze, starając się, jak tylko potrafił przetestować moją cierpliwość. Mimo wszystko wciąż nie mogłem zdecydować, kto potrzebował kogo bardziej, on mnie czy ja jego.

W jego zachowaniu było coś niepokojącego. Rozmawiając z nim, czułem, że jest coś, o czym mi nie mówi, coś, co trawi go od środka, coś co popchnęło go do tego radykalnego kroku. Mogło to być poczucie winy albo po prostu żal, którego nie potrafił prawidłowo ulokować. Żal do siebie o źle zainwestowaną lojalność lub żal do całej partii o to, że nie ma ludzkich uczuć. Dopiero gdy zacząłem przekopywać się przez listę, którą mi podał, dotarło do mnie, że dziwny ton jego głosu mógł być spowodowany również czymś innym, a mianowicie zwątpieniem.

Carl wątpił. Nie wierzył, że sobie poradzę. Wiedział, jak wiele pracy kosztuje wygenerowanie zestawu dowodów, jak wiele czasu potrzeba, by dojść do sedna problemu i dlatego wątpił we mnie i w możliwość sukcesu.

Zresztą miał ku temu dobre powody.

Okazało się, że o polityce nie miałem zbyt dużego pojęcia. Na dodatek przeceniałem siebie, sądząc, że jest inaczej. Im bardziej zagłębiałem się w listę firm, nazwisk, miejsc i transakcji tym większej nabierałem pewności, że o polityce przez duże P mam jedynie mgliste pojęcie. Tymczasem Carl, jakby wiedziony nieodpartą pokusą, pozostawił mnie z listą, która nie wyjaśniała niczego. Pod każdym nazwiskiem kryły się drzwi tajemnicy i niewidoczna sieć powiązań. Każde z nazwisk ukrywało część mozaiki, która miała być ostatecznym testem.

Nie było to przyjemne uczucie. Nagle z doświadczonego, cynicznego dziennikarza zmieniłem się w naiwnego żółtodzioba. Był to zupełnie nowy teren. Pomimo że już nieraz pisałem o skorumpowanych politykach, jeszcze nigdy nie stanąłem oko w oko z tak potężną hordą biznesowych wyjadaczy. Wiedziałem jednak, że muszę się przemóc. Carl był gotów podzielić się wiedzą, a ja musiałem udowodnić, że wiem, jak dobrze ją wykorzystać.

Postanowiłem zdać się na instynkt. W pierwszej kolejności zabrałem się do sprawdzenia przeszłości Busha. Czym tak naprawdę G.W. zasłużył się, by zyskać sobie tak zapalczywego wroga w Carlu? Przeglądając historię poczynań syna

byłego prezydenta, sklepiłem ze skrawków informacji sieć, którą George przez wiele lat snuł niczym czarna wdowa. Było to niesamowite uczucie. Czułem, jakbym na nowo odkrywał zaginiony ład, wraz z kośćmi zatopionych atlantów i relikdami minionych technologii. Uczucie to dodawało mi siły, której potrzebowałem, żeby podołać temu ogromnemu wyzwaniu.

Prześwietając strony organizacji obywatelskich, akcji społecznych i dzienników ogólnokrajowych nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oko wielkiego brata rzeczywiście czuwa. I nie mówię tu o wszechobecnej rządowej inwigilacji, o służbach bezpieczeństwa, CIA czy NSA. Mówię o młodszym wielkim bracie, o zbuntowanej Ameryce, o ludziach, którzy widzą, co się dzieje, którzy są tego świadomi i chcą o tym mówić. A jednak ich głos był zbyt słaby, zbyt wąty, by przebić się przez huk i jazgot mass mediów. Być może Fargo też to czuł, ten cichy, nieustający szum i być może jemu również dodawał on nadziei.

Chociaż Carl tkwił wciąż jedną nogą po przeciwnej stronie barykady, zdecydował się na ten gest i przekazał pałeczkę komuś, kto stał odrobinę bliżej środka. Carl wierzył, że przeniosę jego wiadomość na drugą stronę.

Była wciąż ósma rano. Potężny ból głowy rozwierał nasadę czaszki i pogodziłem się już z faktem, że tego dnia nie pojawię się w nowej pracy. Carl z pewnością miał podobny problem. Wziąłem aspirynę, prysznic i poranną dawkę kofeiny po czym podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer do biura.

– Nie pojawiłeś się w pracy – rozbrzmiał głos po drugiej stronie. – Czy coś się stało?

– Powiedz Fargo, żeby zapisał mi chorobowe do końca tygodnia – odparłem.

– Będzie wiedział, o co chodzi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Margaret.

– Tak. Powiedz, że jestem chory.

– Jerry? A może trzeba ci czegoś? Może lekarstwa?

– Nie, dzięki – odparłem sucho. – Mam aspirynę.

– Jesteś pewien? – zapytała.

Nie odpowiedziałem. Milczałem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie, dzięki – rzuciłem w końcu. – Coś jeszcze?

– Nie, w zasadzie... W zasadzie to nie. Na razie.

– Na razie.

– Dziwne uczucie – pomyślałem, kiedy odłożyła słuchawkę. Otaczały mnie sfory dzikich, nieznanych uczuć. Jedno wykluło się ze świadomości, że Meg właśnie przestała mi być potrzebna. Czy to sumienie próbowało przebić się na powierzchnię? Czy może zwykła irytacja na myśl o Jasmine dzielącej pościel z mężem Margaret? Wiedziałem, że nie mogę dopuścić, by cokolwiek mnie rozpraszało. Byłem zbyt zdeterminowany, by pozwolić sobie na uleganie słabościom.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do biurka. Lista Carla była koszmarnie długa. Ponad sto nazwisk zwiastowało żmudne i czasochłonne poszukiwania. Nagle nasza mnie nieodparta ochota odetchnięcia, odłączenia wtyczki i zresetowania zwojów. Czuję, że muszę się napić.

Pragnienie to rosło z każdą przeczytaną stroną, z każdym kliknięciem myszki. Zmieniało się w pałacę uczucie, jak gorączka, której dopiero zaczynałem być świadomy. Nie ugiąłem się jednak. Wczorajszy niedopity drink pozostał na miejscu, a ja oczami wyobraźni odepchnąłem go, a wraz z nim zakłęta w alkoholu ulgę.

– Jeśli się napiję, nie podołam – powtarzałem sobie. – Jeśli się napiję...

Kiedy kilka godzin później odszedłem od biurka, ze zdziwieniem zauważyłem, że opróżniłem szklankę, ale tylko do połowy. Był to niewielki sukces, a jednak sukces. Był o tyle budujący, że przyszedł zupełnie naturalnie, bez większej walki i szarpania się. Raport, który Fargo mi przekazał, wydał mi się o wiele ciekawszy niż moja skąpa w notatki wersja. Był na tyle wciągający, że po raz pierwszy od bardzo dawna nie musiałem sięgać po whisky, by obniżyć napięcie. Po raz pierwszy od dawna napięcie było odpowiednie, wręcz idealne: motywowało mnie do działania i budowało nowe myśli z gruzów wspomnień.

Sieć powiązań Busha była niesamowita. Im więcej nazwisk dopisywałem, tym bardziej wyłaniała się na powierzchnię ogromna liczba faktów i skandali. Podzieliłem nazwiska na trzy grupy, dokładnie tak, jak oznaczył je Carl. Na zielono trucielei na czerwono spekulantów i na szaro lobbystów. W niewielu przypadkach nazwiska te łączyły się bezpośrednio, ale wszystkie miały jedną wspólną cechę, ich właściciele robili interesy, które w dużym stopniu umożliwiała postać Georga. Nazwiska z listy Carla pojawiały się uparcie w każdym artykule, który czytałem, analizując życiorys G.W. – zupełnie, jakbym miał przed sobą fragmenty scenariusza czegoś, co chociaż było kampanią, nie było kampanią wyborczą. Była to kampania wojenna, dokładnie rozplanowana rozgrywka z wywiadem, wsparciem i atakiem na wszystkich frontach. Jego kariera była jak partia szachów, z tym że George, podobnie jak we wszystkich spółkach nie był rozgrywającym, a figurą – najważniejszą, a jednak jedynie figurą.

I w ten oto sposób nasuwało się pytanie: kto przesuwają Georgem i pozostałymi pionkami? Kto rozgrywa partię na ogromnej szachownicy Stanów? Odpowiedź zdawała się być na wyciągnięcie ręki, a jednak wciąż pozostawała zagadką. Żeby ją rozwikłać, potrzebowałem więcej informacji, a żeby zebrać więcej informacji, potrzebowałem kolejnych kilku dni pracy lub pomocy Carla.

Wybrałem łatwiejsze rozwiązanie i, jak się miałem wkrótce przekonać, był to zły wybór.

– Carl? Tu Jerry – zacząłem mówić, ale głos automatycznej sekretarki mi przerwał. Gdy skończyła, zostawiłem wiadomość:

– Carl? Mówi Jerry. Utknąłem. Jeśli możesz pomóc, odezwij się. Strasznie tego dużo, a chciałbym skończyć przed emeryturą. Jeśli możesz, zadzwoń pod numer 408730133.

Czekałem cały dzień, ale Carl się nie odezwał. Uznałem, że nie zamierzał ułatwiać mi pracy. Przez myśl przeszło mi nawet, że jego bezinteresowna pomoc mogła nie być tak bardzo bezinteresowna. Zastanawiałem się, czy mógł liczyć na coś zupełnie innego.

Od dnia wyborów dzieliły nas niespełna cztery miesiące i nic nie wskazywało na to, żeby „partia szachów” Georga została skrytykowana w głównych mediach. Pionki zostały rozstawione. Figury szykowały się do ataku, a Fargo siedział bezsilnie, wiedząc, że nic nie wskóra. Wiedział też, że sam nie opisze tajników rozgrywki. Potrzebował więc pomocy i z pewnością po to właśnie mnie zatrudnił. Postanowiłem przygotować skróconą listę pionków i posunąć tej wciąż nierozstrzygniętej rozgrywki.

Pisałem cały dzień, starając się niczego nie przeoczyć, ale dopiero gdy zamknąłem listę i przyjrzałem się jej jeszcze raz z dystansu, dotarło do mnie, jak ogromny kolos przede mną stoi i jak wiele jeszcze pracy mnie czeka, zanim połączę wszystkie wątki. Czuję, że temat ten przerasta mnie, że opis samej „partii szachów” może zająć więcej czasu niż jestem w stanie poświęcić. Dla potrzeb sytuacji postanowiłem więc ograniczyć się do skróconego opisu kampanii i kilkunastu najważniejszych posunięć.

Przytaczam je tutaj dla zainteresowanych, jako przedsmak tego, co znajdzie się we właściwym Imperium Głupców. Jeśli jednak nie jesteście zainteresowani pochodzeniem i drogą do władzy człowieka, który może stać się jednym z najbardziej wpływowych ludzi na ziemi, jeśli nie interesuje was, co mną kieruje, co mnie motywuje i dlaczego brnę uparcie pod prąd, a chcecie jedynie wiedzieć, czy ten prąd mnie porwał, pomińcie proszę poniższy fragment, tak jak omija się obszerne opisy pokoi w powieściach obyczajowych, zyskując coś lub tracąc w zależności od tego, kim jesteśmy i czego oczekujemy od książki, na którą się otwieramy i która odsłania przed nami swoją rzeczywistość.

* * *

Pierwsze z nazwisk na liście Fargo pojawiło się przy ruchu z 1982 r., kiedy to jego ojciec, George Herbert Walker Bush objął stanowisko wiceprezydenta. Wtedy to właśnie George junior, najlepiej ustawiony politycznie nafciarz USA, zmienił nazwę pierwszej firmy z „Arbusto” na „Bush Exploration” 8.

Kiedy Bush założył Arbusto miał zaledwie trzynaście tysięcy dolarów. Na szczęście była to pierwsza połowa lat osiemdziesiątych, a ten czas sprzyjał firmom naftowym. W przeciągu roku od założenia firmy cena ropy wzrosła z trzynastu do trzydziestu dolarów za baryłkę. Mało tego hojne ulgi podatkowe dla firm naftowych gwarantowały sporą rekompensatę w związku z naturalnym w tym biznesie ryzykiem pustych odwiertów⁴. Generalnie George zaczął interes w idealnym momencie.

Niemniej jednak źródłem sukcesu nie był wcale żaden odpowiedni moment, ani miejsce założenia firmy, ani też trafne decyzje, które mógł wtedy podejmować. Było bowiem coś, co wyróżniało go spośród dziesiątek podobnych nafciarzy, którzy w tamtym czasie jak on poszukiwali złóż ropośnych. Co takiego sprawiało, że G.W. był istnym magnesem dla inwestorów? Jedni pisali, że charyzma, inni, że pracowitość były jego atutami, ale czy były to jedyne powody tak wielkiego zainteresowania jego raczkującym interesem? Prawda jednak wygląda zupełnie inaczej. Wystarczy przyjrzeć się z bliska osiągnięciom genialnego Georga. Od momentu założenia Arbusto do 1984 roku, w firmę Busha wpompowano łącznie cztery miliony sześćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. To dość spora suma, nawet jak na biznes naftowy w tamtych czasach. Liczba ta jest tym bardziej imponująca, jeśli przyjrzymy się zyskom, które odnotowali inwestorzy: z wymienionych ponad czterech milionów zainwestowanych środków, inwestorzy odzyskali niespełna milion pięćset czterdzieści tysięcy, plus oczywiście dwa miliony dziewięćset tysięcy z odpisów podatkowych gwarantowanych przez państwo. Z kapitalistycznego, konserwatywnego, republikańsko-wolnorynkowego punktu widzenia inwestorzy stracili. Jeśli jednak doliczyć opiekę socjalną, jaką państwo rozacza wokół przemysłu naftowego, inwestycja okazała się trafiona. Natomiast jeśli chodzi o Arbusto, to firma zainwestowała w operacje wiertnicze około sto tysięcy dolarów, z czego do 1984 r. łącznie z pensjami i innymi naliczonymi wydatkami zarobiła sześćset siedemdziesiąt osiem tysięcy⁴. Kolejny cud wolnorynkowego socjalizmu. Cud, którego nikt nie próbował nawet kwestionować. Z ekonomicznego punktu widzenia rachunek wydawał się prosty. Z inwestycyjnego punktu widzenia był jednak niepokojąco przejrzysty. G.W. Bush podjął decyzję, zainwestował cudze pieniądze, a inwestor odnotował straty. Niemniej jednak pechowy prezes i tak otrzymał pensję, jego firma zarobiła, a wszystko puszczono w niepamięć. Można by zapytać, dlaczego? Który z inwestorów będzie zainteresowany kolejnym interesem z taką firmą? Na szczęście dla Busha chętnych nie brakowało.

Pierwszym wybawcą tonącego okrętu Georgea okazał się przyjaciel rodziny, menadżer kampanii G.W.B. z 1980 r., a zarazem szef sztabu Reagana w Białym Domu, James Baker III. Na liście Carla zajmował on pozycję nr 56. Jego kolega z Princeton, Philip A. Uzielli zdecydował się zainwestować milion dolarów

w przygniatany spadającymi cenami ropy Bush Exploration. Za milion Uzielli kupił dziesięć procent akcji Arbusto, firmy wartej w tamtym czasie mniej niż czterysta tysięcy (sic!). Naturalnie inwestor nigdy nie doczekał się zysków. Pieniądze poszły w błoto⁵.

Każda z kolejnych firm Busha odnotowywała straty i za każdym razem, kiedy sytuacja robiła się nieciekawa, pojawiała się nieoczekiwanie dobra wróżka, która wyciągała juniora z kłopotów.

Dwa lata po zmianie nazwy z Arbusto na Bush Exploration (w 1984 roku) firma została ponownie odratowana, tym razem przez Williama DeWitt, Juniora, bogatego inwestora z Ohio i zarazem kolegę G.W. z lat studenckich w Yale. Partnerował mu przy tym Mercer Reynolds III, notabene obecny szef kampanii prezydenckiej G.W. w Ohio. Firma obu dżentelmenów, Spectrum 7 Energy Corp, wykupiła Bush Exploration i zatrudniła Georga, by prowadził interesy firmy jako Prezes w Midland, z roczną pensją w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Kiedy dwa lata później ceny ropy spadły, a stopy procentowe poszły w górę, Spectrum 7 straciła inwestorów i niemal sięgnęła dna z trzema milionami dolarów długu. Był to rok 1986 i czarne widmo znów zawisło nad głową G.W. Na szczęście na horyzoncie pojawił się kolejny wybawca – Harken Energy. Firma wykupiła udziały Busha w Spectrum 7, odstępując mu jednocześnie udziały własnych akcji za ponad trzysta tysięcy dolarów. Jakby tego było mało, George otrzymał intratną posadę konsultanta za kolejne sto dwadzieścia tysięcy rocznie⁴. Całkiem nieźle jak na kogoś, kto utopił w błocie większość powierzonych mu do tej pory pieniędzy. Kto przy zdrowych zmysłach przyznaje podwyżkę i mianuje prezesem kogoś, kto nie potrafi utrzymać firmy powyżej mielizny bankructwa? Kto udzieli temu samemu człowiekowi kontraktu na stanowisko konsultanta? Ludźmi, którzy umożliwili mu ten awans, byli bracia Lee i Robert Bass, potentaci naftowi zajmujący na liście Carla pozycję numer osiemdziesiąt jeden. Harken Energy była chyba pierwszą firmą, która zyskała po wejściu we współpracę z pechowym Georgem. Mniej więcej rok po fuzji do zarządu wszedł zamożny saudyjski magnat nieruchomości wykupując siedemnaście procent akcji. Natomiast w 1988, kilka tygodni po tym jak Bush senior został prezydentem, Harken Energy otrzymała wyłączne prawa na wydobycie ropy z przybrzeżnych złóż Księstwa Bahrajn w Zatoce Perskiej¹. Zbieg okoliczności? Być może, a George ma po prostu szczęście.

Sytuacja ta była o tyle dziwna, że oto Harken, niewielka firma bez doświadczenia w odwiertach na morzu i za granicą, ubiegła starającego się o ten kontrakt prawdziwego potentata – firmę Amoco, której korzenie sięgają samego Rockefellera. Bracia Bass wyłożyli dwadzieścia pięć milionów dolarów na tę inwestycję i najwidoczniej zrozumieli, że w G.W. warto inwestować.

George Bush z kolei również nie pozostał dłużny. Gdy w 1995 roku objął

fotel Gubernatora Teksasu, wynagrodził jednego z braci, Lee Bassa stanowiskiem Szefa Departamentu Parków i Dzikiej Przyrody¹.

Warto też zauważyć inną ciekawostkę. Bush wystartował z Arbusto mając osiemdziesiąt procent akcji. Po Fuzji ze Spectrum 7 zostało mu szesnaście i trzy dziesiąte procent akcji. Gdy Harken wzięło go pod skrzydła, otrzymał jedną akcję Harken za każde pięć akcji Spectrum, co skurczyło jego portfel poniżej puli czterech procent⁴. Odzwierciedla to, jak w magiczny sposób, tracąc stopniowo udziały i realną kontrolę w firmach, Bush zyskiwał nowych inwestorów, którzy zdawali się nie wątpić w siłę jego charyzmy lub, jak kto woli, nazwiska.

Kiedy w 1990 roku Saddam Husajn najechał na Kuwejt, a notowania wszystkich firm działających w Zatoce Perskiej poszybowały w dół, George miał już niewiele do stracenia. Jego udziały w Harken były jedynie ułamkiem liczby akcji, które posiadał na początku. Na kilka tygodni przed pierwszą wojną w Zatoce Perskiej sprzedał dwie trzecie udziałów za ponad osiemset tysięcy dolarów.

To jednak nie wszystko. Niecałe dwa miesiące po tym, jak G.W. upłynął większą część udziałów, firma ogłosiła straty na ponad dwadzieścia milionów dolarów, a cena akcji spadła z uzyskanych przez Georga czterech dolarów za akcję do niespełna jeden i dwadzieścia pięć dolara⁴.

Skąd G.W. wiedział, kiedy sprzedać akcje? Dlaczego zrobił to, mimo że prawo amerykańskie zabrania tego rodzaju transakcji⁹? Odpowiedź na oba pytania jest prosta – jego ojciec był w owym czasie prezydentem. Jako były szef CIA i ówczesny prezydent USA, George Herbert Walker Bush z pewnością wiedział o wrogich zamiarach Saddama wobec Kuwejtu. A kiedy cała sprawa wyszła na jaw, a przeciwko Georgowi przeprowadzono śledztwo, wystarczyło, że powiedział: „Nie sprzedałbym tych akcji, gdybym wiedział, że odnotujemy straty”⁴ i po prostu, ot tak, sprawa została załatwiona. Śledztwo niczego nie wykazało. Nic dziwnego, nie wypada przecież zamęczać pytaniami syna prezydenta.

Co ciekawe G.W. twierdzi, że sprzedał akcje, by spłacić dług zaciągnięty pod inwestycję, w którą wszedł rok wcześniej. A tak się składa, że to również była inwestycja dość specyficzna. Na pierwszy rzut oka można by stwierdzić, że jako zapalony sympatyk futbolu amerykańskiego George zdecydował się zakupić Texas Rangers właśnie z miłości do tego męskiego sportu. Pozory jednak bywają mylące. Otóż Bush, który zapalał chęcią kupna zespołu, wniósł do spółki jedynie pięćset tysięcy dolarów. Aby kupić zespół, potrzebował nieco więcej, bo około osiemdziesiąt sześć milionów¹. Skąd wzięły się brakujące osiemdziesiąt pięć i pół miliona? Na jakiej zasadzie bierze się do spółki kogoś, kto wkłada w interes tak śladowy procent kwoty? Jakiego rodzaju to spółka?

Wiedziałem, że ekonomiści znaleźliby na to fachową nazwę. Mnie natomiast nazwy nie interesowały. Woląłem zająć się faktami, a te jak muchy krążyły wokół owych „wspólników” Georga.

Byli nimi między innymi dawny wybawca, William DeWitt Junior i Richard Rainwater, dawny zarządca fortuny rodziny Bass, tej samej, która wykupiła upadające Spectrum 7 Busha.

Rainwater zajmuje wysokie, bo dziesiąte miejsce na liście Carla i należy do czterystu najbogatszych ludzi w USA. Podczas obu kampanii na stołek gubernatora wzbogacił Busha o okrągłe sto tysięcy dolarów. Ponadto czterej menadżerowie firmy Rainwatera – Crescent Real Estate wpłacili łącznie trzydzieści siedem i pół tysiąca na konto Busha, który już jako Gubernator zezwolił na zakupienie przez Crescent Real Estate dwóch budynków użyteczności publicznej po niższej cenie, co odbyło się, rzecz jasna, kosztem podatników.

Jednym z menadżerów Crescent Real Estate, którzy zostali wynagrodzeni intratnym kontraktem, był prezes Gerald W. Haddock plasujący się na liście spekulantów na pozycji trzydziestej trzeciej².

Tak właśnie wyglądali wspólnicy Georga. Naturalnie, oprócz wspólników, do gry włączono również innych darczyńców ówczesnego gubernatora.

Rainwater na przykład nalegał, by jego przyjaciel, Edward Rose, objął stanowisko Dyrektora Naczelnego zespołu Texas Rangers. Rose wraz ze współnikiem wpłacili na kampanie gubernatora łącznie sześćdziesiąt tysięcy dolarów¹. No dobrze, ale po co? Po co wpłacać na kampanię wyborczą gubernatora? Co mogli zyskać prócz satysfakcji? Przecież gubernator to tylko urzędnik państwowy.

Otóż po zakupie drużyny nowi właściciele stwierdzili, że dotychczasowy stary już stadion w Arlington nie spełnia ich oczekiwań. Zagrozili więc, że jeśli miasto nie zrobi nic, by ich tu zatrzymać, przeniosą się z drużyną do Dallas. Aby tego uniknąć władze miasta wydały sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w celu przekonania mieszkańców do nowej inwestycji. W rezultacie podniesiono podatki i wybudowano nowy stadion za sto trzydzieści pięć milionów dolarów z pieniędzy podatników¹. Mało tego miasto zgodziło się na wynajem stadionu za śmieszne pięć milionów dolarów rocznie, podczas gdy zyski z biletów i reklam już po pierwszym roku sięgnęły rzędu stu milionów dolarów⁵. To jednak nie wszystko. Umowa o dzierżawę stadionu umożliwiła Rangersom wykupienie stadionu za sześćdziesiąt milionów lub mniej niż połowę sumy wyłożonej przez podatników. Kiedy w 1998, podczas drugiej kadencji, G.W. wraz z „partnerami” sprzedali drużynę była warta nie osiemdziesiąt sześć milionów jak na początku, a dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Ktoś mógłby zapytać, jak na tym wyszło cudowne dziecko? Otóż z jakiegoś dziwnego powodu wspólnicy postanowili hojnie wynagrodzić G.W., darując mu dodatkowe dziesięć procent udziałów¹.

Tak więc George, wchodząc w interes z sześćset sześcioma tysiącami, wyszedł z niego bogatszy o piętnaście milionów. Jeśli tak działa kapitalizm, to nie dziwię się, że wygrał z komunizmem. W końcu w USA pieniądze biorą się

„znikąd” niczym produkt uboczny amerykańskiego snu.

Na tym etapie zapewne wszyscy wiedzieli już, że warto trzymać się Georgea Busha. Trzysta procent zysku na tak potężnej inwestycji to nie lada kęsek dla każdego rekina finansjery. Tym bardziej, że to właśnie Gubernator Bush podpisał w 1997 ustawę, która dawała wszystkim teksańskim miastom prawo do nałożenia nowych podatków w celu finansowania obiektów sportowych¹.

I tutaj wracamy do człowieka, który odkupił zespół Rangersów od Busha i spółki za owe dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, czyli Toma Hicksa. Tom Hicks plasuje się na trzecim miejscu listy Carla, a z jego kieszeni popłynęło łącznie sto czterdzieści sześć tysięcy na kampanie wyborcze Gubernatora. Jednym z powodów, dla których Hicks w 1998 roku kupił Rangersów mógł być fakt, iż to właśnie dzięki decyzji Busha z 1997 roku, mieszkańcy Dallas zgodzili się wyłożyć dwieście trzydzieści milionów na nową halę dla drużyny koszykarskiej Hicksa, Dallas Mavericks, jak również drużyny hokejowej Dallas Stars, której akcje posiadał Rainwater¹.

Te piętnaście milionów, z których większość została po prostu podarowana Bushowi, były nie tylko inwestycją w kandydata, ale i polisą umożliwiającą start w wyborach prezydenckich. George natomiast, wiedząc, że długi należy spłacać, postarał się o to, aby i ten dług został choć częściowo spłacony.

Jako Gubernator stanu Teksas G.W. był w stanie mianować członków komisji i instytucji. Pośród tych najbardziej prestiżowych, dających największe możliwości wzbogacenia się, były dwie: Zarząd Teksańskiego Systemu Uczelni Wyższych i Komisja Parków i Dzikiej Przyrody. Prestiż tych instytucji wiązał się głównie z decyzjami, jakie ich członkowie mogli podejmować.

W ciągu całej kariery G.W. mianował czterystu trzynastu członków zarządów i komisji, którzy naturalnie nie pozostawiali mu dłużni⁶. Skoro prawo stanu Teksas nie narzuca limitu na wpłaty, które osoby prywatne dokonują na konta kandydatów na stanowiska publiczne, każdy z nominowanych przez G.W. zgodnie z panującym zwyczajem stanął na wysokości zadania i zebrał choćby symboliczną sumę dla nowego szefa.

W rezultacie na Georga zrzuciło się czterystu trzynastu mianowanych, powiększając tym samym budżet jego kampanii o kwotę równą milion czterysta tysięcy dolarów. Prawie połowa tej sumy, bo sześćset siedemdziesiąt dziewięć tysięcy napłynęła od nowo wybranych członków zarządów ośmiu stanowych uniwersytetów. Głównymi darczyńcami byli zaś ci, którzy tworzyli Zarząd Teksańskiego Systemu Uczelni Wyższych.

W skład owego zarządu wchodziło zaledwie dziesięciu członków, z czego ośmiu wpłaciło na Kampanię Busha łączną sumę czterystu trzydziestu dwóch tysięcy dolarów⁶.

Gdy tak czytałem i obserwowałem, jak sieć korupcji powoli rozwija się

przed moimi oczami, zacząłem zastanawiać się nad zuchwalstwem owych darczyńców. Jak mogli robić to tak jawnie? Po co w ogóle tak ryzykować? I dlaczego G.W. w ogóle zdecydował się przyjąć na stanowiska ludzi, którzy niekoniecznie nadawali się do tego? Weźmy na przykład takiego Richarda Heatha, prezesa BeautiControl Cosmetics, który wpłacił na konto Busha sto dwadzieścia cztery tysiące dolarów. Wydawał się być idealnym kandydatem do Teksasńskiej Komisji Kosmetologii. Dlaczego więc się nie dostał? Być może dlatego, że nikt nie chce być członkiem takiej komisji. Zamiast tego Richard Heath, który uplasował się na drugim miejscu wśród wszystkich nominowanych darczyńców Busha, dostał się do prestiżowej Komisji Parków i Dzikiej Przyrody pod przewodnictwem nikogo innego jak Lee Bassa⁶. I tak to właśnie działało. Im więcej wykładano na danego kandydata w tym bardziej prestiżowej i wpływowej komisji można było zasiąść.

Ale po co w ogóle zasiadać w komisji? Po co wpłacać ciężko zapracowane dolary na czyjeś konto? Czy nowa pensja członka zarządu była warta zachodu? Oczywiście, że tak.

Jednym z obowiązków Zarządu Teksasńskiego Systemu Uczelni Wyższych jest operowanie kapitałem nienaruszalnym wartym trzysta miliardów dolarów. Tak, miliardów!

Kiedy G.W. objął urząd Gubernatora, jego przyszły darczyńca, Tom Hicks, został mianowany członkiem Zarządu Teksasńskiego Systemu Uczelni Wyższych. Hicks zapewne od dawna czekał na taką okazję. Bo mimo że był już w zarządzie za kadencji poprzedniego gubernatora, dopiero teraz wynajął lobbystów, aby nakłonili zarząd do stworzenia Firmy Zarządzającej Inwestycjami Uniwersytetu Teksas. Naturalnie, to właśnie Hicks został pierwszym Prezesem nowo powstałej UTIMCO (The University of Texas Investment Management Company). UTIMCO rozpoczęła przydzielanie kontraktów inwestycyjnych firmom związanym nie tylko z samym Hicksem, ale i G.W.⁷. Pośród obdarowanych lukratywnymi kontraktami znaleźli się Bass Brothers Enterprises z kontraktem na inwestycję dwudziestu milionów z kapitału Uniwersytetu Teksas (UT) a także The Carlyle Group, firma prowadzona przez byłych najwyższych urzędników Białego Domu z gabinetu Busha Seniora. Stara ekipa ojca gubernatora dostała kontrakt na zarządzanie dziesięcioma milionami dolarów z publicznych pieniędzy Uniwersytetu Teksas⁶. Symboliczny gest w stronę ojca, musiał na razie wystarczyć. Bush senior z pewnością wiedział, że syn jest wdzięczny.

W grupie beneficjentów UTIMCO znaleźli się również inni opiekunowie kariery politycznej G.W., mianowicie Charles i Sam Wyly. Kiedy spojrzałem na listę Carla, nie zdziwiłem się zbyt. Bracia Charles i Sam Wyly zajęli honorowe pierwsze miejsce wśród beneficjentów z otoczenia Busha. Wyłożyli na kampanię gubernatora dokładnie tyle, co bracia Bass – dwieście dziesięć tysięcy dolarów. Co zatem różniło ich od braci Bass? Czym zasłużyli sobie na to pierwsze miejsce?

Jednym z powodów mógł być kontrakt na obsługę dziewięćdziesięciu ośmiu milionów kapitału UT, który w 1998 roku Tom Hicks podpisał z Mavericks Capital, spółką obu braci⁸. Była to największa suma, jaką UTIMCO powierzyło firmie zewnętrznej za czasów Gubernatora Busha. W mniej więcej w tym samym czasie, bo końca 1998 r. Mavericks Capital zainwestowała łącznie sześćdziesiąt milionów dolarów w odłączoną gałąź dostawcy energii Green Mountain Power¹¹. Wydawać by się mogło, że to zwykła inwestycja, gdyby nie fakt, że to właśnie firma Braci Wyly Green Mountain Energy lobbowała ekipę gubernatora o deregulację rynku energetycznego¹². Kiedy w 1999 roku Gubernator Bush w końcu podpisał ustawę, każda firma dostarczająca energię mogła mianować się dostawcą czystej energii pod warunkiem, że drobną część produkcji zaczerpnie ze źródeł odnawialnych. Problem w ustawie polegał na tym, że spalanie biomasy, gazu z wysypisk śmieci i gazu ziemnego również zakwalifikowano jako odnawialne źródła energii¹³.

Pomijając oczywiste zanieczyszczenie środowiska spalaniem drzewa, słomy i kurzych odchodów, w jaki sposób ustawodawca wpadł na pomysł, że gaz ziemny jest surowcem odnawialnym? Czy nakłonili go do tego hojni darczyńcy, inwestujący w rozwijającą się dopiero firmę energetyczną? Na pewno nie. Musiała kierować nimi jakaś mocno udokumentowana analiza.

Wiedziałem, że muszę powiedzieć o tym wszystkim Carlowi. Zastanawiałem się tylko, jak wiele z tych rewelacji jest dla niego oczywiste i w jaki sposób będzie w stanie pomóc pchnąć temat do przodu.

* * *

Byłem pewien, że to co znalazłem to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Sprawdzenie każdego darczyńcy i jego powiązań zajęłoby kilka miesięcy wytężonej pracy i wymagałoby zespołu badawczego o odpowiednim budżecie i zróżnicowanych umiejętnościach. Tymczasem musiałem liczyć na siebie i starannie wybierać te fragmenty układanki, które według mnie mogły być kluczowe.

Jedyne, co dawało nadzieję na przyspieszenie badań, to dobra wola Carla i informacje, które mógł trzymać w zanadrzu. Po wstępnej analizie raportu i spisaniu wszystkiego, zabezpieczyłem tekst hasłem i wysłałem na adres mailowy Fargo. W drugim e-mailu, oprócz ukrytego w treści wiadomości hasła, poinformowałem Carla, że liczę na dalszą pomoc i że czekam na szybki kontakt.

Liczyłem na to, że odezwie się jeszcze tego samego dnia, ale tego nie zrobił.

Kiedy nazajutrz pojawiłem się w biurze kampanii i zapukałem do drzwi

gabinetu Fargo, odpowiedziała mi głucha cisza. Zlokalizowałem Margaret przy jej biurku i zapytałem o Carla. Ona jednak nie śpieszyła się z odpowiedzią. Wklepywała coś do komputera, nie podnosząc wzroku znad klawiatury i ekranu monitora.

– Przepraszam za wczoraj – powiedziałem. – Miałem potworny ból głowy i nie byłem w stanie rozmawiać.

Meg podniosła wzrok i westchnęła. Na jej twarzy pojawił się ledwo zauważalny wyraz ulgi.

– Nie wiesz, gdzie jest szef?

– Nie, nie wiem. Nie pojawił się dziś w biurze. Znów zamierzacie wybrać się na męskie spotkanie? – zapytała.

Z początku nie skojarzyłem, o co chodzi. Moje myśli krążyły wokół zagadki Busha, a moje spotkanie z Carlem traktowałem jako rzecz nieporównanie niższej rangi. Dopiero po chwili do mnie dotarło, co powiedziała: Meg wiedziała o spotkaniu, a jeśli ona wiedziała, to prawdopodobnie również ktoś inny.

– Kto mógł widzieć nas razem? – pomyślałem.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Rob mówił, że widział was siedzących w barze naprzeciwko. Podobno dość dużo wypiliście.

– To było dwa dni temu. Rob, powiadasz? Znów ten goniec?

– No przecież mówię, że on – oburzyła się.

– I Fargo nie pojawił się od wczoraj?

– Nie. Ale zostawił ci coś. – Pociągnęła z środkową szufladę i sięgnęła do środka.

Biała wypchana koperta o formacie A4 mogła być tym, na co czekałem. Wyciągnąłem dłoń, ale Meg w ostatnim momencie cofnęła swoją.

– Chwileczkę – powiedziała, jakbym był jej synem czekającym na kieszonkowe.

– O co chodzi? To przecież dla mnie, tak?

– Co kombinujesz, Jerry? – zapytała, przyglądając mi się uważnie.

– To – powiedziałem, wskazując na kopertę w jej uniesionej dłoni – jest dla mnie.

Meg spojrzała z wyrzutem. Jej beznadziejne, szare oczy zdawały się być równie smutne jak w dniu, w którym ją poznałem.

Wiedziałem, że i tak musi oddać mi dokumenty, a cała ta zabawa w dobrego koleżę zaczynała mnie powoli męczyć. Jeśli papiery były na tyle wartościowe, by Carl zostawił je u niej, a nie u mnie, był cień szansy, że w końcu znalazłem coś, co pokieruje mnie we właściwą stronę. Nie mogłem pozwolić sobie na sentymenty. Nie teraz.

Stałem jeszcze kilka sekund z wyciągniętą, oczekującą dłonią, po czym Meg

poddała się i oddała przesyłkę. Otworzyłem zaklejona kopertę i zajrzałem do środka. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie, na którym razem z Fargo siedzimy w mrocznym barze z pustymi szklankami. Na odwrocie ktoś, prawdopodobnie Carl, napisał: „Musimy uważać”. Oprócz zdjęć przesyłka zawierała również artykuł z Newsweeka, formularz danych osobowych i kopię czyjś listu na oficjalnym papierze kampanii prezydenckiej.

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem do Carla.

– Dostałem przesyłkę – powiedziałem.

– To dobrze. Wiesz, co to za dokumenty?

– Tak, wiem. Ale musimy porozmawiać. Nie mam zamiaru znowu przekopywać się przez sterty artykułów. Oszczędź mi trochę czasu. Gdzie możemy się spotkać?

– Jest takie małe kino przy Walnut Street. Nazywa się Ritz Five.

– O której?

– Lubisz X–mena?

– Który seans?

– Ostatni.

– Dziś?

– Jutro.

– W porządku. Do zobaczenia.

Kino było małe, choć wystarczająco ciemne, bym nie mógł dostrzec ukrytego w ostatnim rzędzie mężczyzny. Oprócz nas na widowni siedziało kilka par, grupka nastolatków i starsze małżeństwo. Wyglądało na to, że jest bezpiecznie i uda mi się zamienić z nim kilka słów.

– Nie będzie tu zbyt głośno? – spytałem, nie ścisząc głosu. Krzyk napierającego Hugh Jackmana doskonale kamuflował moje słowa.

– Nie mamy wyjścia – odparł w przerwie między akrobacjami aktorów.

– Dostałeś mój tekst? – zapytałem.

– Tak. Jest w porządku, ale to tylko wstęp. Wciąż brakuje czegoś z pazurem, prawda?

– Myślałem o ustawie i o Green Energy...

– Spójrz. – Podniósł ogromny kubeł z popcornem i dużą colę i wyjął papierową teczkę.

– Co to? Kolejny raport? – zapytałem.

– Skądże. To twój tekst.

Otworzyłem teczkę i rzeczywiście, oprócz kilkudziesięciu kartek wypełnionych drukiem, był tam również mój tekst o G.W. W kilku miejscach nazwiska i nazwy firm zakreślono kolorowym flamastrem

– Co wspólnego mają ze sobą... – musiałem przerwać, czekając na koniec sceny walki. – Co wspólnego ma zamożny saudyjski magnat nieruchomości,

UTIMCO i Green Mountain Energy? – spytałem.

– Poza osobą Georga? Niewiele. – Carl uśmiechnął się, wpychając do ust pół garści popcornu. Był wpatrzony w ekran jak zahipnotyzowany, a jednak nie zająknął się nawet na moment.

– Zaznaczyłem to – kontynuował – żebyś wiedział, o czym warto napisać przy okazji pionierów. – Stuknął palcem w zakreślone kolorem kartki na moich kolanach.

– A propos co za list mi zostawiłeś?

– Wszystko w swoim czasie. Co zamierzasz napisać o gubernatorze?

– Gdybym wiedział, pisałbym teraz, a nie siedział tutaj.

Rozpoczęła się kolejna akcja. Dźwięki bębnow i okrzyki walki zagłuszyły moje myśli. Musieliśmy odczekać kilka minut, zanim znów mogliśmy wymienić kilka słów.

– Pisałbyś? A może kłąbyś nad setkami ustaw, które zatwierdził? – zapytał.

– No dobrze. Słucham, co proponujesz?

– Co wiesz o efedrynie?

– To jakiś lek?

– Tak. Składnik leku. Wielu leków. Spala tłuszcz, przyspiesza metabolizm i takie tam. Jest dostępny bez recepty.

– Co z tego?

– Od dziewięćdziesiątego czwartego w Teksasie odnotowano osiem przypadków śmiertelnych, które powiązano z ziołowymi lekami wspomagającymi dietę, które zawierały efedrynę... – przerwał, ale tylko na moment. – Kiedy pracownicy Teksasńskiego Ministerstwa Zdrowia zabrali się za tworzenie ustawy ograniczającej dostęp do tego środka, przemysł produkujący suplementy diety zaczął ostro lobbować swoją wersję ustawy. Jednym z lobbystów był Tom Loeffler⁶. Nie wiem, dlaczego o nim nie napisałeś.

– Ten lobbysta? Członek zarządu UTIMCO?

– Dokładnie ten.

– W porządku, przyjrzę mu się. I co z tą efedryną?

Carl przysunął się, żebym lepiej słyszał.

– Szefowie Metabolife wyłożyli dziesięć tysięcy na kampanię Gubernatora Busha i zatrudnili właśnie Loefflera, który, lobbując dla nich, był jednocześnie jednym z członków zarządu Uniwersytetu w Teksasie. W zeszłym roku członkowie zarządu departamentu zdrowia mianowani przez Busha i jego przewodniczący, Reyn Archer, odrzucili szkic zaproponowany przez pracowników ministerstwa i przyjęli bardziej łagodną wersję forsowaną przez przemysł farmaceutyczny⁶.

– Jakież konkrety? – zapytałem.

– Craig Keeland, który kieruje firmą sprzedającą produkty z efedryną, zebrał już co najmniej sto tysięcy dla Busha w tegorocznych wyborach prezydenckich⁶.

– Pionier?

– Po co pytasz? Przecież wiesz, że Pionier.

– Potrzebuję czegoś mocniejszego – powiedziałem zawiedziony.

– Czego się boisz? Myślisz, że osiem zgonów to za mało? Nieważne.

Przecież tutaj nie chodzi o statystyki, tylko o kasę. Masz tu Pioniera, który zyskał na lipnej ustawie podpisanej przez Gubernatora i odwdzieczył się.

– No dobrze. Co jeszcze?

Fargo pociągnął coli z kubelka i na moment straciłem z nim kontakt. Wolverine z prędkością pantery odwrócił się i rozciął shotgunem celującego w tył jego głowy. Znow hałas. Znow walka. Zastanawiałem się, czy aby nie specjalnie ściągnął mnie na ten film. Spojrzałem na niego. Wpatrywał się w ekran, ale nie reagował. Wykorzystałem przerwę na zastanowienie.

– Co jeszcze? – powtórzył, szukając odpowiedzi. – Mógłbyś wspomnieć o Texas Industries (TXI).

– Środowisko? – spytałem zaintrygowany.

– Zgadnij, czym zajmował się Ralph Marquez, zanim został członkiem komisji Ochrony Surowców Naturalnych w stanie Teksas?

– Był lobbystą?

– Bingo! – Carl przysunął kubek z białą kukurydzą pod mój nos. – Chcesz?

– Nie, dzięki – odparłem sucho. Zaczynało mnie to irytować. Czułem się jak dzieciak na przyuczaniu do zawodu.

– Wszystko masz w teczce. Nasz rzekomo prozielony urzędnik lobbował dla giganta produkującego cement, Texas Industries. Dzięki jego staraniom TXI zdławiło ustawę, która miała na celu ograniczyć emisję spalin z pieców cementowni. A spalano nieciekawe rzeczy.

– Niebezpieczne odpady.

– Tak... – Znow zrobił pauzę. – Tak, odpady. Ludzie zamieszkujący okolice cementowni TXI obwiniają zakład o zły stan zdrowia i wysoką śmiertelność zwierząt. Co ciekawe, już jako członek Komisji Surowców Naturalnych, Marquez był zmuszony zagłosować za przydzieleniem zezwoleń na tak zwane ograniczone zanieczyszczanie dla byłego cementowego klienta⁶.

– Ile wpłacili dla G.W.? – spytałem, wiedząc już, że do tego się to wszystko sprowadza.

– Niewiele. Zdrowie ludzi za jedyne trzy tysiące na rzecz kampanii. Nie licząc oczywiście kontraktu z firmą lobbującą.

– A to? – spytałem, przeglądając resztę dokumentów. Światło było słabe, ale nagłówek widoczny.

– A tu masz na przykład jego zeznania przed Kongresem z dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Czyje? Busha?

– Nie, skądże. Nie jest tak głupi. To zeznanie Marqueza. Bush mu je tylko zatwierdził. Ralphy powiedział, że ozon jest łagodny i wcale nie jest rakotwórczą substancją¹⁴.

– I George się pod tym podpisał?

– Dokładnie. Ciekawe, prawda?

– Przyznam, że dość sporo tego.

– Liczyłeś na taryfę ulgową? – odparł poirytowany. W zasadzie to nie wiedziałem, co zirykowało go bardziej, mój komentarz czy wielki blond jaskiniowiec o ślepiach wypełnionych czernią, który współzawodniczył ze mną o jego uwagę. Rzuciłem okiem na ekran, ale nie wytrzymałem długo. Zbliżenie na nagi tors Hugh Jackmana było wystarczająco sugestywne, by nie interesować się gustem filmowym Fargo. Carl wyłączył się na moment, wpychając popcorn do ust, a kiedy akcja ponownie zwolniła, mógł spokojnie wrócić do rozmowy.

– Też coś znalazłem – przyznałem, wyjmując najnowszą zdobycz. – Szef Departamentu Rozwoju Gospodarczego, Przewodniczący Mark Langdale, który wpłacił na obie kampanie Gubernatora Busha czterdzieści sześć tysięcy, miał pod sobą program wart sto osiem milionów dolarów. Stanowił on pięćdziesiąt siedem procent budżetu tego departamentu w latach dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć. Mark zmusił poprzednika, by zrezygnował z przewodnictwa, gdyż był zbyt szczery w kwestii raportowania problemów finansowych agencji¹⁶. W międzyczasie program wydawał dziesiątki, czasem setki tysięcy dolarów, udzielając dopłat na szkolenia kadry faworyzowanych firm. Przy doborze pracodawcy nie stosowano kryteriów minimalnych, a jednocześnie wiele z firm, które pobrały dopłaty, nie wyszkoliło nawet minimalnej liczby pracowników zapisanej w kontrakcie¹⁵.

– OK. Ale co z tego? Każdy zwali to na złe zarządzanie. Są jakieś dowody, nazwy firm?

– Nie.

– No to nie mamy nic. Popatrz tylko. – Wskazał na ekran. – Jakim cudem mutacja pozwala jej przechodzić przez ścianę?

– Nie wiem. I szczerze mówiąc nic mnie to nie obchodzi.

– Słuchaj, Jerry. – Przerwał podziwianie. – Nie musisz szukać daleko. Przecież wszystko jest tutaj. – Spojrzał na mnie i nacisnął znacząco palcem w teczkę na moich kolanach. Masz tutaj wszystko, czego potrzebujesz. Weźmy na przykład ochronę środowiska.

– Przemysł chemiczny? – spytałem zaintrygowany.

– Nie tylko. Spójrz na to. – Odłożył papierowy niezbędnik i przewrócił kilka kartek w dostarczonej tezcze. – Tutaj. Rzuć okiem.

Spojrzałem na krótką listę i z trudem odczytałem pozycje.

Pod przewodnictwem W. Busha Teksas zajął pierwsze miejsce w wielu

kategoriach zanieczyszczenia i degradacji środowiska. Na przykład:

1 miejsce w ilości emisji ozonu będącego substancją chemiczną zanieczyszczającą powietrze

1 miejsce w uwalnianiu do atmosfery toksycznych substancji chemicznych

1 miejsce w zastosowaniu wpompowywania toksycznych odpadów pod ziemię

1 miejsce na liście 20 hrabstw emitujących najwięcej rakotwórczych substancji

chemicznych

1 miejsce w całkowitej liczbie punktów spalania niebezpiecznych odpadów

1 miejsce w ilości pozwów w związku ze działalnością szkodliwą dla środowiska

1 miejsce w produkcji rakotwórczego benzenu i chlorku winylu

1 miejsce z największym wysypiskiem ścieków osadowych w kraju¹⁶.

– I to wszystko za jego kadencji? – spytałem zdziwiony.

– Taa. Większość.

– Skąd to masz? – Kartkowałem podekscytowany kilkunastostronicowy wydruk ze strony internetowej.

– To dość świeże informacje. Możesz sprawdzić, adres jest na górze strony. Powiedz mi, Jerry, czy wiesz, co zakładała Teksaska Ustawa o Czystym Powietrzu?

– Nie wiem, ale mam przeczucie, że zaraz się dowiem.

Carl uśmiechnął się lekko, ale nie odezwał się. Akcja znów przyspieszyła i musieliśmy poczekać na suspens. Po kilku minutach Fargo oderwał wzrok od ekranu i podjął na nowo:

– Gdy uchwalano ją prawie trzydzieści lat temu, ustawodawcy wyszli z założenia, że fabryki, które wybudowano przed rokiem siedemdziesiątym, to znaczy przed wprowadzeniem owych przepisów z czasem i tak przegrają w konkurencji z bardziej wydajnymi, nowoczesnymi i przez to ekologicznymi fabrykami. Postanowili więc wykluczyć spod kontroli wszystkie stare i funkcjonujące już obiekty przemysłowe¹⁷.

– Nie przewidzieli, że ten brak kontroli będzie ich atutem?

– Dokładnie tak, jak mówisz. Dziś na terenie Teksasu jest ponad osiemset takich wiekowych fabryk i odpowiedzialne są za dużą część całkowitej emisji zanieczyszczeń powietrza. Są tańsze w utrzymaniu, nie trzeba ich modernizować, a przy tym wszystkim produkują więcej toksycznych substancji niż jakiegokolwiek inne na terenie stanu.

– Ok, ale co George ma z tym wspólnego?

– Program CARE – powiedział i rzucił popcornem w podnoszącego się kilka metrów przed nim chłopaka – Siadaj! Zasłaniasz!

– Masz wszystko tutaj. – Stuknął kubkiem o plik kartek przede mną.

– Bush podpisał wprowadzenie norm emisji – powiedziałem, kiedy znalazłem to, co miał na myśli – ale wykluczył z obowiązku dostosowania się do nich wszystkich najstarszych trucicieli.

– Właśnie. Jaki jest sens ponownie obniżać poziomy emisji nowych fabryk, jeśli przymykamy oko na to, co wypuszczają stare? Przecież najgroźniejsze i najbardziej toksyczne spaliny są produkowane właśnie przez te wiekowe fabryki sprzed siedemdziesiątego roku.

– Rozumiem, że i tutaj są beneficjenci? Kto to? Chyba nie przemysł naftowy?

– No właśnie. I tu się możesz zdziwić. Okazuje się, że każdy, nie tylko nafciarz, może zarobić na dobrych relacjach z gubernatorem Bushem. Zaczniemy od wybranych przez niego członków... – Znów pauza. Widziałem, że Carla też to irytuje. Musiał odczekać kilka długich minut, zanim mógł mówić dalej. – O czym to mówiłem? A, tak Teksaska Komisja Ochrony Surowców Naturalnych. W pierwszej trójce mianowanych przez Busha członków komisji jest prawnik firm naftowych, agrobiznesmen i lobbysta Chemical Council, organizacji zrzeszającej firmy będące największymi trucicielami środowiska w Teksasie.

– Niezła ekipa – powiedziałem. Carl przytaknął, wznosił do góry palec wskazujący, sygnalizując, że zaraz powie coś bardzo ważnego.

– Nikt nie ochroni środowiska tak dobrze jak ten, kto wie, jak doprowadzić je do ruiny – powiedział.

– Wciąż nie wiem, jak mieliby zarobić na starych fabrykach?

– Nie chodzi o to, by zarobili. Chodzi o to, żeby w czasie kadencji Busha, pomimo licznych protestów wśród mieszkańców Teksasu, nikt nie przestał zarabiać. Te fabryki dalej hulają i dalej trują. Kiedy G.W. zaproponował swój program dla wiekowych fabryk (CARE), nie naprawił pomyłki popełnionej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Nie zlikwidował ulgi dla starych trucicieli. Zamiast tego CARE jedynie, cytuję, „zachęcał” firmy posiadające zakłady przemysłowe, które zostały wyłączone z kontroli w siedemdziesiątym roku do tego, aby dobrowolnie dostosowały je do obowiązujących norm. Rozumiesz? Zachęcał! I to dobrowolnie! – jego głos przybrał na sile, a oczy zdradzały głęboki żal tłący się gdzieś na dnie duszy.

– Tym sposobem – mówił dalej – Teksaska Komisja Ochrony Surowców Naturalnych mogła oficjalnie przyznać im wszystkim zezwolenia na działalność i skreślić z listy obiektów niepodlegających jej kontroli 18.

– Zamknęli usta własnym krytykom – powiedziałem.

– Czy zamknęli? Nie wiem. Ale na pewno próbowali. – Carl znów się przysunął, żebym lepiej słyszał. Nie było mowy o konspiracji, jeśli ktoś nas widział, wiedział, że nie spotkaliśmy się przypadkiem. – Sam problem oczywiście

nie zniknął – ciągnął. – To prawda, że tym jednym ruchem poddano kontroli wszystkie wyłączone do tej pory zakłady, ale tak naprawdę kontrola jest jedynie symboliczna i do niczego nie prowadzi. Podczas gdy firmy posiadające stare zakłady zobowiązane są do instalowania urządzeń redukujących emisję spalin, nie są zobowiązane do przestrzegania jakichkolwiek określonych ilościowo poziomów redukcji spalin ani też terminów zmniejszenia ich emisji¹⁸.

– Zaraz, zaraz, zaczekaj no chwilę. Niech to sobie wszystko poukładam. Jeśli dobrze rozumiem ogólne przesłanie wygląda tak: G.W. pozwala truć środowisko, trwonić i rozkradać pieniądze podatników, a wszystko to w ramach wyrównywania rachunków z sektorem korporacyjnym? Carl, to już jest coś. To już jest solidne oskarżenie.

– I doskonale pasuje pod przynajmniej kilka tematów, prawda? Wystarczy, że wybierzesz któryś i rozwiniesz. Twoja książka może mieć piękny początek.

– Lub zakończenie – pomyślałem.

Do tej pory nie myślałem o środowisku jako elemencie składowym oskarżenia. Kto dzisiaj myśli o środowisku? Być może to było właśnie spoiwo, którego potrzebowałem. Karl mógł mimowolnie podsunąć rozwiązanie problemu. W końcu jesteśmy jednym z największych trucicieli na Ziemi. Co jeśli George przeniesie politykę na skalę makro, co stanie się ze środowiskiem, jeśli podążymy ścieżką udeptaną przez teksańskie firmy? Tak czy inaczej temat ten wart był bliższego zbadania. Niestety nie był to jedyny trop, który pozostawiła po sobie korporacyjna ośmiornica Busha.

– W porządku – powiedziałem. – A co z dokumentami, które mi wysłałeś? Czy są wiarygodne? Czy to jest oficjalny papier kampanii G.W.?

– Jak najbardziej.

– Skąd masz ten list?

– Od znajomego. Pracuje w jednej z firm, do których je wysłano. Widziałeś nazwiska na górze?

– Nic mi nie mówią. Ale nazwisk mamy już dość.

– Oj, przyjacielu. Mylisz się. W tej batalii każde nazwisko jest na wagę złota. Z resztą zrozumiesz, gdy zaczniesz szukać wiarygodnych źródeł. Kiedy przychodzi do oskarżania ludzi, potrzebujesz tylu dowodów, ile jesteś w stanie zebrać.

– Czyli to wszystko prawda?

– Co?

– To, że obeszli przepis. Że zbierają po 100 tysięcy i więcej.

– Przecież to żadna tajemnica, prawda?

– Nie, ale teraz dopiero mam dowód.

– Ten list ukazał się już pół roku wcześniej Jerry i ktoś w Newsweeku już o tym napisał. Ale wiesz, że pojedynczy artykuł może zrobić co najwyżej trochę szumu. Tutaj trzeba przyłożyć mocniej, konkretnie, z grubego kalibru. Dlatego

chcę pomóc, chcę, żebyś napisał mocną rzecz.

Carl miał rację. Miałem w ręku wystarczająco dużo faktów, by obsmarować Busha i zmienić zupełnie punkt skupienia wątków książki. Ale czy to naprawdę o tym chciałem pisać? Sprawa Marsiano była wciąż aktualna, a ja pakowałem się w coś o wiele cięższego, w coś sięgającego o wiele dalej niż wpływy lokalnego polityka. Fargo zdawał się nie zwracać uwagi na moje wątpliwości. Wpatrywał się w ekran, na którym Magneto strzelał z zawieszzonego w powietrzu półautomatu do klęczącego przed nim policjanta. Dr Charles Xavier zatrzymał pocisk tuż przed skronią ofiary, by uratować ją przed niechybną śmiercią.

– I ludzie myślą, że tak właśnie wygląda walka dobra ze złem. Pff – parsknął, wstał i strzepał z siebie okruchy popcornu.

– Wrócisz do biura? – zapytałem.

– Póki co nie, wyrzucili mnie. Ale miałem już kilka telefonów w twojej sprawie – powiedział. – Poza tym ktoś włamał się do mojego mieszkania. Przewrócili wszystko do góry nogami i nie omieszkali zabrać automatycznej sekretarki. Nie zostawiłeś na niej czegoś, Jerry?

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

Jak mogłem być tak nieostrożny? Zaledwie kilka godzin wcześniej podekscytowany zawartością listu zadzwoniłem do niego. Gdyby tylko był wtedy w pobliżu. Gdyby odebrał ten pieprzony telefon. A ja, rozentuzjasmowany, pełen energii podziękowałem za rewelacje, uwieczniając głos w pamięci automatu. Chciałem coś powiedzieć, wyjaśnić, przeprosić, pocieszyć, ale głos zamarł mi w gardle.

– Wykorzystaj ten list, Jerry – powiedział, nie czekając na odpowiedź. Jego wzrok mówił, że zrozumiał treść milczenia. – Wykorzystaj go, bo druga taka okazja może się już nie trafić – podał mi dłoń na pożegnanie i wyszedł.

Tej nocy pracowałem do późna. Nie wypilem ani kropli. Mogłem ukryć się, zaszyć gdzieś i nie wychodzić na zewnątrz, dopóki paranoja nie pożarłaby mnie w całości. Mogłem też po prostu iść pod prąd i robić to, na co się zdecydowałem. Nie miałem zamiaru się poddawać. Wiedziałem, że bez względu na to, co się stanie, droga, którą obrałem jest słuszna. No dobrze, wierzyłem w to. Naprawdę wierzyłem, że jest słuszna.

Kierowany logiczną konsekwencją postanowiłem, że zanim wgrzęzę się głębiej w temat powiązań z Teksasu, dobrze byłoby przyjrzeć się klubowi Pionierów. Z tego, co wiedziałem do tej pory, system Pionierów funkcjonował jedynie wokół G.W. i żaden z kontrkandydatów nie miał w arsenale wyborczym niczego równie skutecznego. Gromadzenie funduszy na kampanię było regulowane prawnie i zdawać by się mogło, że limit tysiąca dolarów od osoby był wystarczającym zabezpieczeniem przed jawnym wykupywaniem polityków. A jednak George znalazł sposób, by dotrzeć do tych najbardziej zainteresowanych.

Zbyt wiele czasu i energii poświęcił na snucie sieci wpływów, by nie wykorzystać tego doświadczenia teraz, w kluczowym momencie kariery.

Luka w systemie była prosta i nikt nawet nie próbował ukrywać, że wbrew przepisom stanowym i ogólnokrajowym wpływowi ludzie z wszystkich dziedzin biznesu inicjują i kierują lawiną tłustych sum płynącą do skarbcza kampanii. Setki czeków opiewające nierzadko na kilkaset lub tysiąc dolarów podpisywane były przez rodziny, znajomych, współpracowników lub podwładnych owych Pionierów, a następnie przesyłane wraz z danymi nadawcy i tajemniczym numerem pod adres kampanii. Ów tajemniczy numer okazał się źródłem problemu. Dzięki niemu bowiem odpowiedzialni za to ludzie kampanii mogli zidentyfikować sektor przemysłu, firmę lub osobę prywatną, dzięki której na konto kandydata wpłynęło sto lub więcej tysięcy dolarów. I tak oto, pomimo że prawo zabrania osobom prywatnym przekazywania na rzecz kandydata więcej niż tysiąc dolarów, setki tysięcy płynęły nierzadko od, de facto, jednej osoby. Mało tego, prowadzący kampanię prezydencką nie są zobowiązani do ujawniania nazwisk osób, które przyczyniły się do wysłania czeków. Można by zapytać: bo i po co? Skąd szefowie kampanii będą wiedzieć, kto nakłonił przeciętnego Johna Smitha do dorzucenia dolara?

Otóż dopóki osoba zbierająca fundusze nie miała bezpośredniego kontaktu z przesyłanym czekiem, nie była prawnie zobligowana do ujawniania Krajowej Komisji Wyborczej ani swoich danych, ani sumy jaką zebrała. Tak więc teoretycznie każdy czek był przekazywany przez zupełnie inną osobę. W rzeczywistości jednak jedna tylko osoba spijała śmietankę. Działo się tak, gdyż, na szczęście dla Busha, według prawa federalnego każda wpłata powyżej dwustu dolarów, której dokonywano, musiała być przesłana wraz z „blankietem zwrotnym”, który darczyńca może otrzymać wcześniej, uzupełniony, na przykład od kogoś, kto aspiruje do rangi Pioniera. Co może znajdować się na takim blankiecie? Być może informacja, kod lub hasło mówiące: „wysyłam na konto Johna” albo „to idzie na konto Bena”?

W miarę jak czytałem kolejne niepokojące szczegóły, zrozumiałem, że nikt do tej pory o tym nie mówił. Nikt nie miał dowodu na to, że чеки rzeczywiście przypisywane są osobom fizycznym.

Ja natomiast dowód miałem przed sobą. Znajdował się w kopercie, którą Carl zostawił u Meg dzień wcześniej. Były to dwie kserokopie dokumentów sporządzonych przez przedstawicieli kampanii Georga Busha. Pierwszą był list Thomasa Kuhna, prezesa Edison Electric Institute, stowarzyszenia amerykańskich spółek akcyjnych dostarczających energię elektryczną na teren całych Stanów. Treść listu brzmiała następująco:

„Jak zapewne wiecie, bardzo ważną częścią procesu docierania przez kampanię do społeczności biznesowej jest wykorzystanie numerów namierzających

przy każdej wpłacie. Zarówno Don Evans jak i Jack Oliver podkreślili, jak ważne jest, aby nasz sektor przemysłu użył numeru 1178 w trakcie wysiłków związanych ze zbieraniem funduszy. WPISANIE KODU WASZEGO SEKTORA PRZEMYSŁU NIE POZBAWI ANI WAS, ANI WASZYCH INDYWIDUALNYCH AKWIZYTORÓW, ANI WASZEGO STANU PRZYPISANYCH IM ZASŁUG ZA DOKONANE WPLĄTY. NUMER GWARANTUJE, ŻE NASZEMU SEKTOROWI PRZEMYSŁU ZOSTANIE PRZYPISANA ZASŁUGA I ŻE TO WASZ WKŁAD BĘDZIE WYMIENIONY POŚRÓD INNYCH PRZEDSIĘBIORSTW/SEKTORÓW PRZEMYSŁU”19.

Wybór czcionki nie mógł być przypadkowy. List był zaproszeniem na jedno z przyjęć, w trakcie których zbierano fundusze na kampanię prezydencką. Informował również, że sam G.W. pojawi się tego wieczoru. Ważniejsze jednak było coś innego, coś, co doskonale oddawał format tekstu. Jeśli powoływać się na to, co napisał T. Kuhn, to zarówno według Dona Evansa, bliskiego przyjaciela G.W. i szefa jego kampanii prezydenckiej, jak i Jacka Olivera, dyrektora finansowego kampanii, sprawą najwyższej wagi było umieszczenie numeru seryjnego, czterech cyfr, które mówiły, kto i za jaką sumę zostanie wynagrodzony.


W ten oto sposób prezesi firm, szefowie związków zawodowych, członkowie organizacji i inni wpływowi ludzie zostali wyposażeni w mechanizm zbierania i kodowania ogromnych sum od bliskich, znajomych i podwładnych, a następnie kierowania ich do komitetów wyborczych z tą kluczową informacją, mówiącą o tym, kto przyczynił się do danej wpłaty. Ludzie, którzy w ten sposób zdołali wygenerować ponad sto tysięcy dolarów, otrzymywali miano Pionierów i zajmowali miejsce w gronie wyróżnionych, w klubie ludzi mających dostęp do G.W. Busha – przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Oprócz listu Carl podał mi również dwa dokumenty. Była to czysta, niezapisana kopia oryginalnego formularza wysłanego przez Prezydencką Komisję Wyborczą G.W. i druga, skrupulatnie wypełniona deklaracja. Ludzie odpowiedzialni za postępy w kampanii wyborczej wysyłali tego typu dokumenty zarówno firmom, organizacjom, jak i osobom prywatnym. Oficjalna nazwa tego dokumentu brzmiała, jak następuje: „Formularz Danych Osobowych Komisji Finansowej Prezydenckiej Komisji Wyborczej”. W rzeczywistości jednak było to coś więcej niż zwykły formularz informacyjny. W jego prawym górnym rogu widniała nazwa „numer namierzający akwizytora”, a po nim następowały cztery cyfry identyfikujące darczyńcę²⁰.

To było to. Dowód na to, że wyścig do koryta trwał, że każdy z oczekujących na przywileje miał numer i mógł się wykazać. Serce mocniej mi zabiło, gdy przeczytałem te cztery cyfry. Od tego momentu uwierzyłem, że uda mi się to opublikować, że naprawdę jest sens pisać dalej.

George W. Bush
PRESIDENTIAL EXPLORATORY COMMITTEE, INC.
MEMORANDUM

TO: ROBBIE AIKEN
BUD ALBRIGHT
DAVID BROWN
HALEY FISACKERLY
KERRILL SCRIVNER
PATSY THOMPSON
JEANNE WOLAK
JOHN MAXSON

FROM: TOM KUHN 

RE: JUNE 22 RECEPTION WITH GOV. GEORGE W. BUSH

DATE: MAY 27, 1999

My personal thanks to all of you for taking a leadership role in gathering support for the June 22 reception honoring Governor George W. Bush. I believe that it will be a great evening, and I know that the electric utility industry will show their continued support and enthusiasm for the Governor's exploratory campaign committee.

Enclosed is a copy of the June 22 invitation, along with a list of cities and dates for upcoming fundraising events. We can give you as many invitations as you need to mail out to friends and colleagues. Please let Joanne Igoe know how many invitations you will need and we'll get them over to you as soon as possible. The Bush Exploratory Committee has also produced a very impressive video profiling the Governor's career and his campaign platforms. I'd be happy to make this video available to you if you believe that it can be helpful to your efforts.

As you know, a very important part of the campaign's outreach to the business community is the use of tracking numbers for contributions. Both Don Evans and Jack Oliver have stressed the importance of having our industry incorporate the #1178 tracking number in your fundraising efforts. **LISTING YOUR INDUSTRY'S CODE DOES NOT PREVENT YOU, ANY OF YOUR INDIVIDUAL SOLICITORS OR YOUR STATE FROM RECEIVING CREDIT FOR SOLICITING A CONTRIBUTION. IT DOES ENSURE THAT OUR INDUSTRY IS CREDITED, AND THAT YOUR PROGRESS IS LISTED AMONG THE OTHER BUSINESS/INDUSTRY SECTORS.** If you have any questions about your industry's tracking information, please do not hesitate to let me know.

I look forward to working with you and will help in any way that I can to support your efforts on behalf of our industry. Please don't hesitate to let me know if there's any other information that you need, or if you have any questions. Once again, thank you for your ongoing efforts!

Post Office Box 1902, Austin Texas 78767-1902
OFFICE: 512-637-2000 FAX: 512-637-8800 www.georgewbush.com
Filed for by Governor George W. Bush Presidential Exploratory Committee, Inc.

Confidential
Counsel Only

BFP 000301

Pierwsze zdanie dokumentu brzmiało:

„Prosimy o dokładne wypełnienie. Pamiętaj, że twój Namierzający Numer Akwizytora jest twoim osobistym numerem namierzającym dla pieniędzy, które zbierasz. Prosimy o umieszczenie tego numeru na każdym czeku, o który zabiegasz”

Poniżej, oprócz miejsc na imię i nazwisko, znajdowały się trzy o wiele ważniejsze punkty: pracodawca, przemysł i suma, którą „akwizytor” zobowiązywał się zebrać. Kandydat na Pioniera miał do wyboru cztery puste pola: dwieście pięćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy i dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Jedyne, co musiał zrobić, to postawić krzyżyk po zdaniu „Zobowiązuję się zebrać:”. Kiedy chętny zdecydował się już na określoną sumę, jedyne co musiał jeszcze zrobić, to podać datę realizacji zadania²⁰.

Całość robiła dość nieprzyjemne wrażenie. Poczulem się jak ktoś, komu pokazuje się nieuregulowany rachunek ojca po wizycie w domu publicznym. Wiedziałem, że korupcja istnieje i jest nieodłącznym dodatkiem, który dostajemy wraz z demokracją. Jej piękne opakowanie wolności i patriotyzmu powinno być wystarczającą rekompensatą za niespodziankę w środku. A jednak kiedy wewnątrz znajdujemy jedynie pleśń pożerającą ciało instytucji, ludzi i pojęć, nie zadowala nas już złudna wolność, służalczy patriotyzm i równouprawnienie wyzysku na zewnątrz. To, co przedstawiciele kampanii wyborczej uczynili z procesu wyborczego, nadało pojęciu korupcji zupełnie nową, niezdefiniowaną jakość. W świetle prawa wybory nie były nawet skorumpowane. Z kolei według wszelkich norm moralnych były po prostu sprzedane.

Solicitor Tracking No. 08961

Governor George W. Bush Presidential Exploratory Committee, Inc.
Finance Committee
Personal Information Form

Please fill out completely. Remember, your Solicitor Tracking Number is your personal tracking number for money that you raise. Please place this number on any check that you solicit.

I agree to help raise money for the presidential exploratory committee of Governor George W. Bush.

Name Sanford P. Brass

REDACTED

Employer Trifinery Petroleum Services Occupation Managing General Partner

REDACTED

E

Person in my office to contact

REDACTED

Preferred name or salutation

My industry is Refining and distribution of asphalt products.

I pledge to raise: \$250,000 \$100,000 \$50,000 \$25,000

I am working to complete my goal by this date: 4 - 6 weeks months

Signature

INSTRUCTIONS

The law prohibits corporate contributions of any kind or contributions from foreign nationals. Contributions are not deductible for federal income tax purposes.

1. A person may give a total of \$1,000 to the committee.
2. A couple may give a total of \$2,000 to the committee.
3. If a checking account has two names on the account, both people must sign the check.
4. PAC's with multi-candidate committee status may give a total of \$5,000 to the committee. All other PAC's may give a total of \$1,000.
5. All checks should be made payable to "Governor George W. Bush Presidential Exploratory Committee, Inc."
6. A response card which includes the following information is required by the Federal Election Commission: name, address, occupation, employer.
7. Retain the **WHITE COPY** for your records.
Send the **YELLOW COPY** to your state finance chairman.
Send the **PINK COPY** to the Governor George W. Bush Exploratory Committee, Inc.

Confidential
Counsel Only

Filed for by the Governor George W. Bush Presidential Exploratory Committee, Inc.
Contributions are not tax deductible for federal income tax purposes

BFP 000055

Gdy po raz pierwszy przeczytałem oba dokumenty, nie mogłem uwierzyć, że coś tak prostego i nikczemnego zarazem mogło utrzymać się tak długo w tajemnicy. Każdy, kto dotarłby do nich przede mną, mógłby zanieść je do którejkolwiek gazety lub stacji telewizyjnej. Wystarczyło napisać artykuł, znaleźć odpowiednią redakcję i z pewnością prawda ujrzałaby światło dzienne. Jak to więc możliwe, że przez ostatnie kilka miesięcy nikt nie wpadł nawet na trop owego listu? Jak to się stało, że żaden z dziennikarzy nie dotarł do choć jednego formularza osobowego?

Problem mógł leżeć albo po stronie redakcji, które nie chciały publikować

niewygodnych artykułów obciążających ich korporacyjnych właścicieli albo po stronie wszystkich wtajemniczonych, zbyt skrzętnie ukrywających dokumenty kampanii.

Pewna część mnie liczyła na tę drugą opcję. Miałem nadzieję, że The Times, Newsweek i Washington Post, wszystkie miesięczniki, tygodniki i dzienniki były tak obiektywne, jak obiecywały być. Gdyby rzeczywiście uprawiały obiektywizm, mógłbym z czystym sumieniem oddać się w szpony któregoś z nich. Perspektywa napisania artykułu i powrotu na dziennikarskie tory kusiła i dręczyła, gdyż wciąż żyłem złudzeniem, że są takie media, którym zależy na prawdzie. Z drugiej strony doraźna interwencja w przebieg kampanii, przesłanie dokumentów nie do prasy, a do którejś z organizacji walczących o zmianę finansowania wyborów mogła mieć o wiele większe możliwości wpłynięcia na zmianę sytuacji tu i teraz, a nie za miesiąc, rok lub później, jak to miałyby miejsce, gdybym wysłał materiały mediom.

Niemniej jednak argumenty za prasą przemawiały do tej złęcznionej i zmęczonej części mnie. Gdybym ujawnił te materiały prasie, mógłbym powrócić do dawnego życia, mógłbym odpuścić Marsiano jego drobny przekręt i znaleźć sobie jakiś kącik, a potem produkować felietony w wyważonym tonie do samej emerytury.

I wtedy dopiero dotarło do mnie, że media tak czy inaczej rozpuszczą całą tę aferę w fali reklam, doniesień o celebrytach lub w jakiejś nowej aferze rozporkowej. Tak przecież działała ówczesna propaganda. Tak przecież działa ta propaganda do dziś. Zamiast zamykać usta, zagłusza jazgotem bzdur. Zamiast filtrować obrazy oślepia kalejdoskopem medialnego syfu. Media zawsze znajdą sposób, by przyćmić blask wyłaniającej się z odmętu prawdy. Książka z kolei to zupełnie inne medium. W książce mogłem upchnąć o wiele więcej informacji niż w prasie. Za pomocą książki mogłem skierować ostrze w dowolnym kierunku, otoczyć je palisadą faktów i cisnąć w twarz przeciwnikowi. Nie musiałbym obawiać się, że jakiś wplątany w korporacyjną strukturę redaktor zablokuje mnie lub ograbi tekst z najważniejszej treści. Książka dałaby mi nie tylko dowolność formy, ale i środków, którymi mógłbym dotrzeć do rzeszy ludzi. Innymi słowy dawała większą szansę na zrealizowanie celu.

Gdy przeczytałem pustą deklarację po raz drugi, zauważyłem, że było tam coś, co przeoczyłem za pierwszym razem. Pod podpisem darczyńcy znajdowała się instrukcja, gdzie w punkcie siódmym zalecano, by z trzech kopii powyższego dokumentu białą kopię zachować dla siebie, żółtą przesłać Stanowemu Szefowi do Spraw Finansów, a różową Prezydenckiej Komisji Wyborczej G.W. Busha²⁰.

Zastanawiałem się przez chwilę, po co wysyłać kopie listów z numerem identyfikacyjnym w dwa miejsca? Jedyнным logicznym uzasadnieniem, jakie przychodziło do głowy, było sporządzenie i uzupełnianie dokładnej bazy danych.

Nie chciano przecież, aby beneficjenci przyszłego prezydenta przepychali się na chodniku przed białym domem, kłócąc się o to, kto zebrał więcej lub kto szybciej. W bazie takiej mogłyby znajdować się wszystkie dowody na to, że firma A po wpłaceniu X dolarów, otrzymała to lub owo stanowisko w komisji, ten lub tamten kontrakt lub ustawę.

Zastanawiałem się, jak taką informację wykorzystałby Sąd Najwyższy. Czy zmusiłby przedstawiciele kampanii do ujawnienia listy wszystkich pionierów z przyporządkowanymi im danymi? Póki co Sąd Najwyższy był dla mnie ostoją prawa i sprawiedliwości. Gdyby trzeba było, to właśnie ta instytucja podjęłaby walkę z rządową korupcją.

Wiedziałem, że znów muszę skontaktować się z Jasmine. Potrzebowałem kogoś, kto wie, jak wykorzystywać tego typu informacje. Poza tym Jass była chyba jedyną osobą, nie wliczając Fargo, której byłem skłonny zaufać.

Spojrzałem na cyfrowy zegar na ekranie monitora. Była trzecia rano.

Mimo wszystko liczyłem na to, że odbierze. Tęskniłem do jej głosu, uśmiechu i oczu tak skupionych, gdy egzekwowała lenno od poddanych samców. Gdy podniosłem słuchawkę, serce zabiło mi nieco mocniej a przed oczami stanął jej obraz, taki, który utkwił mi w pamięci najmocniej: w czarnych kabaretkach, czerwonej bieliźnie i w złotej koronie, wymachującej pochodnią Miss Liberty. Wykręciłem numer, ale głos po drugiej stronie oznajmił, że jest niedostępna.

– Niedostępna – pomyślałem. Słowo to zabrzmiało jak jakiś okrutny żart. Dla mnie Jass nie była już niedostępna. Była jak najbardziej dostępna, z tym że dla wszystkich poza mną. Odkąd Carl powiedział mi o jej romansie z mężem Margaret, ta myśl nie dawała mi spokoju, ale dopiero teraz zacząłem dostrzegać skutki mojego zaangażowania.

Naturalnie nie był to dobry moment na tego rodzaju rozmyślania. W zasadzie chyba nigdy nie jest. Poczułem, że myśl o niej z innym mężczyzną obezwładnia mnie, odbiera z sił i zamienia w pustą skorupę bez sił do życia. Brakowało mi woli, by zrobić cokolwiek tej nocy. Podniosłem się, odsunąłem od biurka i przeszedłem powoli do kuchni. Wyjąłem z dolnej półki butelkę Jacka Daniela i napełniłem do połowy szklankę. A potem nadszedł długi, niespokojny sen.

Dzwony St. Mary's Church zbudziły mnie przed południem. Dzwoniły uparcie przez ponad minutę i chyba tylko dlatego udało mi się podnieść. Była niedziela, kolejny dzień w całości dedykowany książce. Przetarłem oczy i ruszyłem do łazienki, do kuchni, do garderoby i z powrotem do biurka. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po odpaleniu komputera, było sprawdzenie poczty. Ku mojemu zdziwieniu jedna z moich ulubionych organizacji, Texans For Public Justice (TJP), opublikowała właśnie raport opisujący większość z dwustu dwudziestu sześciu Pionierów wymienionych przez kampanię wyborczą Busha. Najwidoczniej specjaliści od Public Relations uznali, że lepiej będzie ujawnić część prawdy niż

zostać oskarżonym o ukrywanie tego wielkiego przekrętu.

Nie była to bynajmniej dobra wiadomość. Po pierwsze jeśli opublikowali to na nieznanym portalu lokalnej organizacji, Republikanie musieli na to pozwolić. A jeśli pozwolili, musieli być pewni, że mają nad tym kontrolę. Po drugie poczułem się tak, jakby ktoś okradł mnie z życiowego odkrycia. Ograbili mnie z tych wszystkich godzin spędzonych przed komputerem. Straciłem wyłączność na odkrycie prawdy i pozbawiono mnie poczucia wyjątkowości. Nagle zrozumiałem, jak niewiele wiedziałem, jak wiele musiałem jeszcze zrozumieć, jak wielu rzeczy nawet nie podejrzewałem.

Zmusiło mnie to do wyciągnięcia innych, o wiele bardziej krytycznych wniosków. Zrozumiałem, że wszystko co do tej pory robiłem, było po prostu niewystarczające. Nawet gdybym pracował dzień i noc od momentu odejścia z redakcji, nigdy nie udałoby mi się napisać książki oddającej w pełni prawdę. Choćby nie wiem jak rewelacyjne materiały wpadły mi w ręce, zawsze pozostawało coś, czego nie wiedziałem, coś, co poddawało w wątpliwość wartość mojej pracy.

Z drugiej strony wciąż miałem te dwa dokumenty. Były na tyle istotne, bym mógł oprzeć na nich część argumentacji i kontynuować pracę nad książką. A jednak, gdy siadałem przy klawiaturze wątpliwości wkradały się między myśli. Zastanawiałem się, czy wobec wagi faktów miałem jakiegokolwiek prawo zachować je dla siebie? Czy nie powinienem był przesłać ich właśnie na adres TJP? W końcu pracowali tam ludzie, którzy potrzebowali tych informacji bardziej niż ktokolwiek inny. Z pewnością wiedzieli lepiej niż ja, jak skutecznie i szybko je wykorzystać. Tylko czy doprowadziłoby to do czegokolwiek? Wmawiałem sobie, że z czasem zapewne sami dotrą do któregoś z formularzy kampanii i postawią konkretne zarzuty pod adresem ekipy Georga. Jedynym problemem, przed jakim stało moje sumienie, był czas. Czy TJP zdążą? Czy będą w stanie zmienić coś do czasu wyborów? Czy ktokolwiek jest w stanie odebrać Georgowi kapitał i czas antenowy, który już teraz daje mu kontrolę nad wyborcami?

Nie musiałem się nad tym długo zastanawiać. Odpowiedź była oczywista: nic, nawet najtwardszy dowód przekupstwa nie był w stanie powstrzymać uruchomionej już maszyny medialnej. Finansowo–telewizyjna chimera pełzła powoli w stronę Kapitolu i nikt nie mógł nic na to poradzić.

Miałem ochotę cisnąć laptopem o ścianę.

Zawiesiłem wzrok na puste krysztalowej szklance. Próżno było prosić ją o pomoc. Pomóc sobie mogłem tylko ja. Ruszyłem w stronę lodówki po dolewkę ukojenia. Starłem się oszacować prawdopodobieństwo napisania książki w dwa miesiące. Napełniłem szklankę, wróciłem do salonu i usiadłem w fotelu z drinkiem w dłoni. Choćby nie wiem, jak się głowił wypuszczenie solidnego materiału przed końcem wyborów prezydenckich było po prostu nierealne. Niemniej jednak

nie był to powód, by się poddawać. Każda nowa informacja mogła przybliżyć mnie do odkrycia ukrytych powiązań, każdy kolejny raport łączył ze sobą coraz większą ilość postaci, a ja nie potrafiłem już odmówić sobie odkrywania nowych wątków tej historii. Ze zdumieniem zauważyłem, że powoli stawałem się uzależniony. Ich logika i przewidywalność wprowadzały bowiem pewien porządek w moim chaotycznym, prowizorycznym i pełnym niedopowiedzeń życiu.

Wychyliłem złotą zawartość szkła, zaniósłem je do kuchni i zaparzyłem czarną, mocną kawę. Zapowiadała się długa, pracowita niedziela i nic nie wskazywało na to, że dzięki nowym informacjom pójdzie łatwiej niż dzień wcześniej. Usiadłem przed monitorem, przejrzałem raport TJP, po czym zabrałem się za zgłębianie zjawiska Pionierów.

Musiałem dowiedzieć się o nich więcej. Byli w końcu kluczowym elementem maszyny finansowej Juniora. Z tego, co wyczytałem, dowiedziałem się, że z rekordowych dziewięćdziesięciu milionów legalnych wpływów, które George zebrał do lipca 2000 roku, przynajmniej dwadzieścia cztery procent pochodziło od tej niewielkiej grupki wpływowych postaci. Fascynujące, że tak ogromne sumy płynęły na konto kampanii prezydenckiej bez większego sprzeciwu ze strony społeczeństwa i mediów. Z dziewięćdziesięciu milionów dolarów zebranych do lipca, dwadzieścia jeden milionów zostało zgromadzone przez zaledwie dwustu dwudziestu sześciu „bezinteresownych filantropów”²¹. Czy był ktoś, kto się tym przejmował? Czy oprócz aktywistów z TJP ktokolwiek wiedział coś o finansowaniu kampanii i roli tych pieniędzy w kampanii? Czy kogokolwiek to obchodziło?

Gdy przeglądałem listę nazwisk, zastanawiałem się, co się stało z pozostałymi czterystoma, którzy podpisali „Formularz Danych Osobowych”. Co z tymi, którzy byli blisko stu tysięcy lub choćby połowy tej kwoty? Ile tak naprawdę z tych dziewięćdziesięciu milionów będzie musiało być zwrócone w postaci przysług i preferencyjnego traktowania ze strony przyszłej głowy państwa? Myśli i pytania tego typu nachodziły mnie już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz zaczynały pojawiać się za całym bagażem potencjalnych konsekwencji. Budowały moją świadomość na fundamencie wyrzutów sumienia. Mając za sobą kilkanaście lat kariery dziennikarskiej, profesji, której podstawą powinno być dochodzenie do prawdy, zaczynałem uświadamiać sobie, jak daleko od tej prawdy odszedłem i jak bardzo ograniczyłem pole widzenia. Moje kamienne dotąd sumienie, zakurzone i nieruchome, zaczęło drżeć i pękać w miarę, jak brnąłem przez opis ponad dwustu życiorysów. Gdy dotarłem do ostatniej strony raportu, było mi wstyd, że i ja zaliczałem się do owych dwustu osiemdziesięciu milionów głupców w kraju.

Opierając się na informacjach TPJ, mogłem stwierdzić, że z dwustu dwunastu zidentyfikowanych na początku Pionierów, czterdziestu czterech to

prawnicy i lobbyści, trzydziestu ośmiu reprezentuje sektor finansowy, dwudziestu ośmiu pochodziło z sektora Energii i Surowców Naturalnych, a dwudziestu czterech z rynku nieruchomości. Reasumując, ponad połowa Pionierów pochodziła z dokładnie tych samych branż, co największa grupa dotychczasowych beneficjentów Gubernatora Busha. Nie zdziwiłem się zbytnio, kiedy zobaczyłem, że najwięcej, bo sześćdziesięciu sześciu pionierów pochodzi z Teksasu, a dwudziestu jeden z Florydy, gdzie gubernatorem jest Jeb Bush, brat kandydata na prezydenta. Jedynie Kalifornia i Michigan wyprodukowały dwucyfrową liczbę Pionierów. Wszyscy pozostali darczyńcy pochodzili z mniej „pionierskich” stanów. Do tej pory mogłem jedynie zastanawiać się, kim byli ci ludzie. Jednakże dopiero po przeczytaniu raportu mogłem jasno stwierdzić, że nie należeli do osób bezinteresownych. Stu trzydziestu trzech z nich to członkowie zarządów firm, z czego szesnastu zostało już obdarzonych przez G.W. stanowiskami rządowymi w Teksasie. Czternastu spędziło już noc w rezydencji gubernatora w Austin, a trzynastu wciąż reprezentowało interesy największych trucicieli. Dwudziestu sześciu było uwikłanych w przynajmniej jeden skandal związany z finansowaniem kampanii, a dwudziestu przeniosło się z rządowego stanowiska na korporacyjne lub odwrotnie²¹.

Dawało mi to pewne pojęcie o tym, w którą stronę zmierza kampania, kraj i my razem z nim. Jeśli George wygra, z pewnością pozwoli kumplom na to wszystko, co do tej pory wyprawiali w Teksasie. A kto wie, być może pozwoli im na jeszcze więcej. Pytanie tylko: o ile więcej? Jak wiadomo apetyt rośnie w miarę jedzenia, a wkroczenie do Białego Domu będzie wiązać się zasiadaniem przy obszernym, suto zastawionym stole. Gospodarz tej rezydencji z pewnością miał do zaoferowania znacznie więcej niż gubernator Teksasu.

Oczywiście wyobraźni widziałem, jak George z Dickiem kroją tort w kształcie Stanów Zjednoczonych i podają jego kawałki ustawionym w kolejce dwustu dwudziestu sześciu garniturom. Każdy podchodzi, do owej dwójki, otwiera aktówkę, po czym Cheney wrzuca do niej przydzieloną mu porcję wraz z talerzem. Na samym końcu kolejki stoją: czarny, około dwudziestoletni chłopak, zaniedbane dziecko i inwalida lub starzec wsparty o chwiejącą się w jego dłoniach laskę. Ich puste, choć różne od siebie spojrzenia wyrażają to samo zdziwienie i żal. Gdy podchodzą do stołu, na blacie są tylko okruchy, a George i Dick rozkładają ręce w geście bezsilności maskującej wyrachowanie.

Wkrótce to widzenie zaczęło pojawiać się również w snach. Nawiedzało mnie napędzane wyobraźnią i sumieniem. Wszystkie sny były niemal identyczne. Różniły się jedynie postacią na końcu kolejki, twarzą przegranego w tej wielkiej imprezie odbywającej się naszym kosztem. Myślę, że na swój sposób lubiłem te sny. Być może dlatego, że przypominały mi, dlaczego wciąż robię to, czego się podjąłem. Być może dlatego, że powstrzymywały mnie przed zbyt częstym

sięganiem po butelkę. A może po prostu katowanie się nimi było jakąś formą odkupienia za wszystkie przewinienia.

Tak czy inaczej pierwszy ze snów miałem jeszcze tej samej nocy, której dotarł do mnie raport TJP. Poniedziałek skradał się za linią horyzontu, a ja wciąż ślęczałem nad zmęczoną klawiaturą. Byłem ledwo żywy. Oczy kleiły się, ale chciałem dotrzeć do końca historii kolejnego z Pionierów. Kiedy w końcu zasnąłem z głową na biurku, na końcu kolejki pojawił się Carl. Stał nieruchomo, wsparty o kule, chwiejąc się jedynie wtedy, gdy kolejka posuwała się do przodu. Przed nim długi rząd pleców ciągnął się niczym tasiemiec, którego na przemian ciemne i jasne segmenty obwieszono skórzanymi walizkami. Za każdym razem, gdy plecy przed nim oddalały się, Carl pochylał się do przodu, przesuwając prawą stopę, a po niej powoli drugą, zardzewiałą, metalową protezę sterczącą w miejscu obciętej nogi. Jego oczy były przekrwione, a włosy brudne i tłuste. Nie przypominał menadżera z firmy z Broad Street. Miał na sobie wypłowiałą sportową marynarkę, znoszoną granatową koszulę, szare džinsy i przetarte skórzane buty. Nie wiem dokładnie, jak długo trwał sen, bo jedynie jego migająca postać dawała pewne poczucie czasu. W miarę, jak kolejka przed nim się skracała, stół z rozdzielającym tort Georgem powiększał się, a Fargo chwiał się coraz bardziej, wisząc na zbyt krótkich kulach. Gdy w końcu dotarł do ostatniej stacji, Cheney wziął głęboki zamach i kopnął z całej siły we wbitą pod jego ramię kulę. Kaleka zachwiał się, stracił równowagę i runął na plecy. George spojrział z góry, uśmiechnął się, rozłożył ramiona i powiedział:

– Przykro mi, ale nie zebrałeś obiecanych stu tysięcy. Nie mamy dla ciebie nic więcej.

VIII. Roszada

Szum poniedziałkowych taksówek otoczył mnie i przedarł się w głąb snu o Fargo. Zanim przekuł go jak bańkę mydlaną, sprowadzając mnie do rzeczywistości, zdążyło wypełnić mnie dziwne uczucie, niepokojąca myśl, że muszę koniecznie z nim porozmawiać. Blask dnia i monotonne tętno ulic za oknem wyłowiły mnie ze snu, pozostawiając w tyle wspomnienie niczym zbędny balast, po który musiałem zgłosić się sam. O śnie i przeczuciu przypomniałem sobie dopiero kilka godzin później, gdy wracałem z biura, wspominając ostatnie słowa Carla:

– Wykorzystaj ten list, Jerry. Wykorzystaj go, bo druga taka okazja może się już nie trafić.

Jadąc do biura byłem autentycznie podekscytowany spotkaniem z Carlem. Miałem głowę pełną pomysłów i wiele rzeczy do omówienia. Wśród faktów rodziły się dziesiątki pytań, na które miałem nadzieję uzyskać odpowiedź. Jedyne nikłe ślady niepokoju przesączały się przez atmosferę egzaltacji. Choć znów byłem spóźniony do „pracy”, Margaret nie zebrała w sobie dość determinacji, żeby zadzwonić. Byłem przekonany, że Carl jest już w biurze i że całe to celowe milczenie jest wynikiem nowego rodzaju relacji między moim szefem a mną. Dopiero gdy dotarłem na miejsce, przekonałem się, że chodziło o coś więcej.

Kiedy wszedłem do biura, ludzie dziwnie mi się przyglądali: jedni z wyrzutem, inni z pogardą, jeszcze inni z mieszaniną współczucia i zażenowania, zupełnie jakby dowiedzieli się o mnie czegoś wybitnie kompromitującego. Podszedłem do biurka, włączyłem komputer i usiadłem, próbując znaleźć w szufladzie coś do pisania.

– Cześć, Jerry – usłyszałem cichy głos za plecami. Odwróciłem się i dostrzegłem ponurą twarz Margaret.

Jej czoło wyźłobiły grube poziome i pionowe zmarszczki, jakby przez całą noc ćwiczyła gniewną minę i jej skóra nie była w stanie wrócić do stanu równowagi.

– Cześć. Co się stało? Dlaczego wszyscy są dzisiaj naburmuszeni?

– To ty nic nie wiesz?

– Nie, nie wiem. Co się stało?

– Była tu dziś policja. Carl nie pojawił się w biurze.

– To chyba nie pierwszy raz, jak nie przyszedł do pracy, prawda?

– Tak to prawda, ale...

– I to dlatego pojawiła się tutaj policja? – przerwałem. – Co ty opowiadasz?

Meg milczała przez chwilę, jakby chciała się upewnić, że słucham, a potem westchnęła ciężko.

– Przyjęli zgłoszenie od sąsiadki Carla – powiedziała. – Zadzwoniła, bo bała

się wchodzić do środka. Drzwi jego mieszkania były otwarte na oścież, a wszystko w środku zdemolowane.

Zastygłem na moment, próbując połączyć fakty. Pamiętałem dokładnie, co Fargo powiedział, wychodząc tamtego dnia z kina. Jego słowa odbijały się echem w mojej pamięci.

– Włamanie? – zapytałem nieśmiało.

– Tak, ale z tego co mówili detektywi, złodzieje niczego nie wynieśli.

– Detektywi? – spytałem zdziwiony.

– Tak. Po tylu dniach nie pojawiania się w pracy kwalifikuje się do śledztwa jako zaginiony.

– Rozumiem. Ale co z nim? Naprawdę się nie odzywał?

– Nie i nie wiadomo, gdzie jest. Ma wyłączoną komórkę. Nie pojawił się w pracy od zeszłej środy.

– I nie zadzwonił?

– Powiedziałaś im... – Meg zawahała się i spuściła wzrok. – Powiedziałaś, że ty widziałeś go po raz ostatni.

– To mało prawdopodobne – odparłem.

Nagle dotarło do mnie, że stałem się głównym świadkiem, a nasze spotkanie w kinie mogło w jakiś sposób łączyć się z jego zniknięciem.

– Nie widziałem go od czwartku – dodałem.

– Ale dzwoniłeś w piątek. No i zostawił ci przecież kopertę.

– O tym też mówiłaś policji? – zapytałem.

Meg skinęła głową w milczeniu.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie, każde z nas katalogując fakty, a potem Margaret zapytała głosem pełnym nagłej determinacji:

– Jerry? Masz jakieś kłopoty? Wiesz, gdzie jest Carl?

– Tak – pomyślałem. – Pewnie chowa się gdzieś przed Bóg wie kim.

– Nie dzwonił do biura? – zapytałem. – Nie zostawił żadnej wiadomości?

– Jerry? – zapytała powoli, ścisząc swój matowy głos. – Coś ty mu zrobił?

I wtedy dopiero do mnie dotarło. Jej słowa były bezbłędne, a ich prawda bezwzględna. Przykuły moją pamięć do tych kilku minut, które mogły przejąć kontrolę nad losem Fargo, w których ja, przez własną głupotę, mogłem przypieczętować ostatni Wechsel jego klęski.

Przez cały ten czas myślałem tylko o sobie, podczas gdy to Carl mógł płacić cenę za moją lekkomyślność. Pomyślałem o jego automatycznej sekretarce i o słowach, które zostawiłem dla włamywacza. Zastanawiałem się, które z nich mogło wydać na niego wyrok. Zastanawiałem się, między którymi słowami może leżeć granica życia i śmierci.

– Robert mówił, że było tu dwóch dziwnych typów – głos Meg wyrwał mnie z zamyślenia. – Pytali o ciebie, Jerry.

– Pytali o ciebie, Jerry – powtórzyłem w myślach. – Pytali o mnie! – Obraz mężczyzny bez twarzy wszął się w końcu w moją świadomość.

Dreszcz otrzeźwienia przebiegł mi po łądźwiach, na kręgosłup i kark.

– Chcieli czegoś konkretnego? – zapytałem.

– Nie wiem. Nie powiedzieli. Mówili, że szukają Jerry’ego pismaka.

– Meg? – zapytałem, próbując zebrać myśli.

– Słucham.

– Wiesz, że nie miałem nic wspólnego ze zniknięciem Fargo?

– Sama już nie wiem, w co mam wierzyć – odparła. – Jesteś tutaj niespełna dwa tygodnie, a Fargo zostawia ci koperty, pijecie razem w knajpie, przychodzi skacowany do pracy, a potem znika. Zanim się tutaj pojawiłeś, zachowywał się zupełnie normalnie.

– Carl jest dorosły i sam odpowiada, za to, co robi. To prawda. Polubiłem go. Zamieniliśmy nawet kilka słów w zeszłym tygodniu, ale to wcale nie znaczy, że wiem coś o jego zniknięciu.

– Skoro tak twierdzisz. – Westchnęła zrezygnowana.

– Czy policjanci mówili coś jeszcze?

– Mówili, że chcą z tobą porozmawiać. Tylko tyle. Aha, jeden z nich zostawił wizytówkę.

Sięgnęła do kieszeni i podała mi biały prostokąt.

– Myślę, że dobrze będzie, jeśli pojedę na komisariat i dowiem się, o co chodzi.

– Skoro tak twierdzisz... – powtórzyła tym samym nieobecny głosem.

Otworzyłem szufladę, udając, że czegoś szukam. Następnie włączyłem komputer i sprawdziłem adres komisariatu z wizytówki. Meg stała przy mnie jeszcze chwilę, a kiedy zrozumiała, że nie zamierzam z nią dłużej rozmawiać, westchnęła i odeszła bez słowa.

Oczywiście nie zamierzałem jechać na komisariat. Potrzebowałem jedynie pretekstu, żeby wyjść z biura. Jeśli ludzie Marsiano mieli na tyle tupetu, żeby pojawić się u mnie w pracy, z pewnością przetrząsnęli już moje mieszkanie. Musiałem sprawdzić, czy laptop jest wciąż na miejscu.

Wyszedłem z biura, zjechałem na parter i ruszyłem w kierunku samochodu.

Mniej więcej w połowie drogi do mieszkania nabrałem pewności, że ktoś mnie śledzi. Potężny czarny SUV o szerokich, masywnych kołach, ciągnął się za mną spod biura. Co prawda trzymał się w odległości trzech aut za mną, ale jego rozmiar i lśniąca czerń lakieru sprawiały, że trudno było go nie zauważyć. Przy moim starym, niskim fordzie SUV wydawał się być agresywnym monstrem, czającym na mnie jak nieświadomy swoich rozmiarów wielki kot. Gdyby chciał, mógłby wyminąć jadące przed nim samochody, ustawić się za mną, przyspieszyć i rozjechać mnie jak karalucha.

Gdy dojechałem przed kamienicę, wszystkie miejsca postojowe były zajęte. Minąłem pierwszą przecznicę i zaparkowałem wóz na poboczu po prawej stronie. Czarny SUV wyminął mnie powoli i skręcił w prawo, znikając za rogiem. Pomyślałem, że może wydawało mi się, że nasza wspólna trasa była jedynie przypadkiem, ale zanim dotarłem do pod klatkę, czarny Mercedes zdążył okrążyć kamienicę i zaparkował po drugiej stronie jezdni. Gdy stanąłem przed wąską pionową szybą drzwi, przyjrzałem się dokładniej pojazdowi w odbiciu. Wyglądał na nowy i luksusowy model. Miał przyciemniane szyby i lakier metalik. Zanim znalazłem klucze i wszedłem na korytarz, nabrałem pewności, że to nie mogli być ludzie Donny'ego. Ludzie dysponujący takim sprzętem znajdowali się daleko poza możliwościami jego budżetu.

Wbiegłem na górę, odcinając się od potencjalnego zagrożenia na ulicy. Priorytetem było zabezpieczenie laptopa. Wszedłem do mieszkania, włączyłem automatyczną sekretarkę i wyjrzałem na ulicę zza zakrytego zasłonami okna. Głos sekretarki przebił się przez cichy warkot samochodowych silników na zewnątrz.

– Masz jedną nową wiadomość – zakomunikował automat. – Pierwsza wiadomość:

– Tu Jerry Dawson. Nie ma mnie w tej chwili, ale jeśli chcesz, możesz zostawić wiadomość. Mów po sygnale.

– Cześć, Jerry, tu Carl. Jak to miło z twojej strony, że uprzedziłeś mnie o niefortunnym, sobotnim telefonie – mówił z wyrzutem. – Przez twoją ignorancję muszę się teraz tłuc po motelach. Szczerze mówiąc nie tak wyobrażałem sobie naszą... – Przerwał. W tle rozległo się pukanie. – Zaczekaj chwilę... – Usłyszałem dźwięk odkładanej na bok słuchawki.

– Czego? – Fargo nie silił się na uprzejmość.

– Wiadomość dla pana Fargo – usłyszałem cichy stłumiony głos zza motelowych drzwi.

– Zaraz, chwilę, tylko coś na siebie wrzucę – krzyknął, przechodząc obok słuchawki.

Minęła chwila ciszy. Po czym w pokoju rozległ się hałas. Brzmiał, jak głucho tupnięcie i trzask pękającego drewna. Ktoś wyważył drzwi i wszedł do środka.

– Charlie, sprawdź łazienkę! – zabrzmiał stary ochryply głos.

– Zwiął, szefie – powiedział Charlie, wychodząc. Echo tłukące się po kaflach sugerowało, że niski głos należał do masywnego, wypełnionego testosteronem mężczyzny.

– Rzuć okiem na zewnątrz – powiedział szef.

Ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo? Jerry? To ty? – spokojny chropowaty głos zawibrował głośnikiem sekretarki.

– Nie martw się, Jerry. Już niedługo... – Nie skończył. Minuta na nagranie wiadomości minęła.

Stałem przez chwilę, wpatrując się w automat, ocknąłem się i podszedłem do okna.

Wyrząłem jeszcze raz na ulicę. Miałem nadzieję, że ciemne szyby mercedesa w cudowny sposób rozjaśni się i dojrzę w środku dwie kobiety zamiast dwóch bandziorów, którzy być może dopadli już Carla.

Samochód tkwił w tym samym miejscu. Jeśli nie był pusty, musiał stać z zapalonym silnikiem. Było zbyt gorąco, żeby siedzieć w środku bez klimatyzacji. Chyba, że... Nagle dotarło do mnie: ci dwaj mogli wyjść zaraz za mną. Mogli stać przed moimi drzwiami. Ruszyłem do kuchni, by sprawdzić, czy nie ma ich w bocznej uliczce. Otworzyłem okno i wyrząłem na zewnątrz. Metalowy zygzak schodów przeciwpożarowych prowadził na dół, kończąc się kilka metrów od kontenera na śmieci. Wciąż miałem szansę ucieczki.

Wróciłem pod okno wychodzące na ulicę i wyrząłem za firankę. Czarny samochód zniknął, odjechał, jakby nigdy go tam nie było.

Nagle z przedpokoju dobiegło pukanie.

– Za późno – pomyślałem. – Już po mnie...

Przebiegłem z powrotem do kuchni i wyrząłem na zewnątrz. Boczna uliczka wciąż była pusta. Przebiegłem dokładnie wzrokiem po zaułku w poszukiwaniu kogoś podejrzanego. Nie dostrzegłem nigdzie ani czarnego dachu SUV-a ani żadnych ludzi poza jakimś bezdomnym leżącym na starej, rozprutej sofie.

– To nie mogą być oni – pomyślałem. – Co jest, do diabła?

– Panie Dawson? – rozbrzmiał głośny metaliczny głos.

– Jerry Dawson? – powtórzył niższy, gardłowy. – Policja.

– Chwileczkę – odparłem, czując niewielką, chwilową ulgę i od razu pożałowałem, że się odezwałem. Za policję mógł przecież podawać się każdy, zwłaszcza jeśli nie miał zamiaru rozmawiać.

– Czego chcecie? – rzuciłem, wciskając laptopa pod lodówkę.

– Chcemy zadać kilka pytań o Carla Fargo – odpowiedział. – Proszę otworzyć, albo wrócimy z nakazem sądowym.

– Idę, już idę – burknąłem, próbując mimo nerwów udawać obojętność.

Podszedłem do okna w salonie i wyrząłem na zewnątrz. Nie przyjechali radiowozem, a jeśli nie przyjechali radiowozem to albo byli tajniakami, albo tylko podawali się za policjantów. Wszedłem do przedpokoju i stanąłem przy ścianie po prawej. Na wszelki wypadek, gdyby chcieli zastrzelić mnie przez drzwi. Wahałem się chwilę, zanim zdecydowałem się odezwać. Istniała niewielka szansa, że w rzeczywistości byli z policji. Gdyby tak było, tłumaczyłoby to zniknięcie SUV-a spod budynku naprzeciwno. Jeśli jednak byli tajniakami, bandziory w SUV-ie nie mogli wiedzieć, że są z policji, a więc zniknięcie mercedesa mogło znaczyć, że

jego kierowca wcale mnie nie śledził. Wszystko to zaczynało zakrawać na paranoję.

– Chwileczkę – odezwałem się w końcu, wciąż nie odrywając pleców od ściany. To był ostateczny test. Naturalnie nikt nie strzelił.

Otworzyłem drzwi jedynie na tyle, na ile pozwalały na to dwa zabezpieczające je łańcuchy. Za drzwiami stało dwóch białych facetów. Jeden młodszy, koło trzydziestki i drugi grubszy, niższy, przed czterdziestką.

– Pokażcie dokumenty – powiedziałem.

Mężczyźni spojrzeli zdziwieni, wzruszyli ramionami i wyjęli sfatygowane odznaki.

– Będziemy rozmawiać przez drzwi, czy wpuści nas pan do środka?

Otworzyłem drzwi, ale zanim ich wpuściłem, jeszcze raz zmierzyłem ich wzrokiem. Niższy, łysy o okrągłej twarzy miał na sobie ciemnozieloną, sportową kurtkę, czarny T-shirt i dżinsy. Wyglądał na glinę w wieku przedemerytalnym. Kwaśny, poirytowany wyraz jego twarzy potwierdzał tę hipotezę. Młodszy był przystojnym blondynem o szaro-niebieskich oczach. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i niebieską rozpiętą koszulę. Był uśmiechniętą wersją tego grubszego sprzed kilku lub kilkunastu lat. Weszli do salonu, rozglądając się po pokoju jak śledczy na miejscu zbrodni.

– Napijcie się czegoś? – spytałem, odsłaniając zamknięte okna. Nagłe uderzenie światła ożywiło przyciemnioną przestrzeń.

– Nie piję na służbie – burknął gruby.

– Szkocka z wodą byłaby mile widziana – odparł młodszy.

– Irlandczyk? – spytałem, rozpoznając akcent.

– Mój ojciec był Holendrem, ale widzę, że pan też ma w żyłach trochę irlandzkiej krwi – uśmiechnął się, wskazując butelki stojące pod parapetem.

Nie skomentowałem. Zostawiłem ich w salonie i przeszedłem do kuchni po alkohol.

– O co chodzi? – spytałem, podając mu wypełnioną na dwa palce szklanekę.

– Dzięki – odparł, przyglądając się jej z czułością.

– Nazywam się Richard Erkens, a to mój partner, detektyw Jake Brasher – dodał.

Nie odpowiedziałem. Im mniej o mnie wiedzieli tym lepiej. Zdecydowałem, że nie będę błyskotliwy. W końcu widzieli już butelki, a rola alkoholika nie była trudna do odegrania.

– No to mamy uprzejmości za sobą – powiedziałem. – Czego chcecie?

– Wracamy z siedziby komitetu wyborczego republikanów. Dowiedzieliśmy się, że pracuje pan na stanowisku redaktora technicznego.

– Więc tak to nazwali? – powiedziałem, przechylając wypełnioną lodem szklanekę.

– Pani Margaret Mitchell powiedziała, że byliście z Carlem Fargo w zażyłych stosunkach?

– W czym? – Prawie się zakrztusiłem, słysząc te słowa.

– Przyjaźniliście się. Czy to prawda?

– Nie nawiązuję przyjaźni z kierownictwem. Zresztą pracuję tam niespełna dwa tygodnie. Raz przypadkowo wpadliśmy na siebie w barze i wypiliśmy kilka drinków.

– Z własnym szefem?

– Nalegał. Miałem odmówić? Zresztą o co chodzi? Po co te pytania?

– Kilku pracowników biura zeznało, że Carl zaczął się dziwnie zachowywać mniej więcej tydzień temu. Czyli niedługo po tym, jak pojawił się tam nowy redaktor techniczny.

– Niech mi pan powie... – rzuciłem, udając irytację – jeśli pański szef zacznie się dziwnie zachowywać zaraz po pańskim ślubie, czy będzie to znaczyło, że mieliście romans?

– Próbuję tylko ustalić fakty – odparł młody.

– A pan lepiej niech uważa na język – wtrącił gruby. – Za takie gadanie ktoś panu kiedyś da po mordzie.

– Spokojnie, Jake. – Richard starał się uspokoić kolegę.

– Jestem spokojny. Przecież wiesz, że jestem – zapewnił go i znów wyłączył się z rozmowy.

– Kiedy po raz ostatni widział pan Carla Fargo?

– W sobotę wieczorem.

– W jakim celu się spotkaliście?

– Nie umawialiśmy się. Dwieście metrów stąd jest kino. Czasami tam chodzę. Wybrałem się na film, a on tam był. To wszystko.

– Rozmawiał pan wtedy z nim?

– Tak. Dosiadłem się. Zamieniliśmy kilka słów. Nie był zbyt rozmowny.

– Dobrze. Rozumiem. W takim razie proszę mi powiedzieć, co było w kopercie, którą przekazał panu Carl tego samego dnia, kiedy pojawił się po raz ostatni w pracy.

– Nie wiem, nie przejrzałem jej.

– Nie otworzył jej pan?

– Otworzyłem. Ale nie przeglądałem dokładnie. Jakieś dokumenty.

Richard spojrział na partnera, unosząc teatralnie lewą brew, a potem wrócił wzrokiem do mnie.

– Jakie dokumenty?

– Nie wiem, nie zdążyłem przeczytać. W drodze do domu zatrzymałem się po zakupy. Ktoś włamał się do samochodu i go opróżnił.

– Zgłaszał pan to włamanie?

– Nie, nie zgłaszałem.

– I nie zaniepokoił pana fakt, że ktoś okradł pana i zniszczył samochód?

– Nie. Po prostu zapomniałem zamknąć tylne drzwi. W drodze do domu stanąłem przy Wall Mart i poszedłem kupić baterie. Kopertę rzuciłem na tylne siedzenie. Ktoś ją gwizdnął, kiedy robiłem zakupy, więc nie mam pojęcia, co dokładnie było w środku.

– I nie zajrzał pan?

Dokończyłem drinka i przypatrywałem się im w milczeniu. Celowo nie odpowiedziałem na pytanie.

– Wiadomo już coś o jego zaginięciu? – zapytałem po chwili. – Podejrzewacie kogoś?

– Nie mamy jeszcze nic konkretnego. Ale złapiemy go – zapewnił młody.

Jego spojrzenie mówiło, że jestem głównym podejrzanym. Sięgnąłem po butelkę i dolałem sobie.

– Skąd wiecie, że to on? Może porwała go kobieta? – zapytałem.

– Nie powiedziałem nic o porwaniu. – Detektywi spojrzeli na siebie z dławionym poczuciem satysfakcji.

– Carl Fargo jest złodziejem i oszustem – wtrącił Brasher.

Zatrzymałem szklankę w połowie drogi do ust

Zastanawiałem się, czy dobrze usłyszałem.

– Słucham? – rzuciłem. – Może pan powtórzyć?

– Jest poszukiwany w czterech stanach za wyłudzenia i defraudacje – rzucił łysy.

– Wyłudzał ogromne sumy pieniędzy i wpłacał je na konta fikcyjnych firm za granicą – dodał blondyn.

– Zaraz – przerwałem. – Przecież Meg... To znaczy Margaret Mitchell, jego sekretarka, mówiła, że jego mieszkanie było przekopane, że sąsiadka musiała po was dzwonić.

– To prawda – przyznał młody.

– Więc o co właściwie chodzi? – zapytałem skołowany. – Chyba nie jesteście tu przez bałagan, który zostawił, uciekając z miasta?

– Na tym etapie śledztwa nie ujawniamy żadnych informacji. Póki co wiemy jeszcze za mało, żeby wyeliminować jakąkolwiek opcję.

– Czyli jednak ujawniacie jakieś informacje. – Uśmiechnąłem się i dolałem sobie.

Richard Erkens zignorował mój ostatni komentarz i wyciągnął z kieszeni notatnik.

– Czy podczas waszego spotkania, Carl sprawiał wrażenie, że czegoś się boi?

– Nie. Był za bardzo zainteresowany filmem, żeby móc robić jakiegokolwiek wrażenie.

– Czyli siedzieliście razem – stwierdził Jake.
– Tak. Przecież mówiłem. Dosiadłem się.
– Czy dał panu jakąś inną kopertę?
– Nie – skłamałem i od razu pożałowałem.
– Wiedzą – pomyślałem. – Gratulacje, Jerry. Właśnie stałeś się podejrzanym numer jeden.

– Jest pan pewien? – Jake nachylił się do przodu, próbując dojrzeć kłamstwo w moich oczach.

– Tak, jestem pewien. Co on właściwie zrobił?

– Zdefraudował część funduszy, które powinny wpłynąć do dyrektora finansowego kampanii.

– Dlaczego odpowiedziałeś? – zastanawiałem się. – Sprawdzasz mnie, detektywie? Czy o to ci chodzi?

– Jak to zdefraudował? – rzuciłem.

– Zamiast kierować przepływem funduszy zbieranych przez biuro, gromadził czeki w sejfie, po czym realizował je i zawłaszczal gotówkę.

– Jak dużo? – zapytałem.

– Wystarczająco dużo, żeby przymknąć go na kilkanaście lat – burknął Brasher.

– Jeśli przypomni się panu coś jeszcze, proszę zadzwonić – Richard położył wizytówkę na szklanej ławie, dopił drinka, a potem obaj wstali i odprowadziłem ich do drzwi.

Gdy opuścili mieszkanie, przeszedłem do kuchni i stanąłem przy oknie wychodzącym na ulicę. Chciałem sprawdzić, czym przyjechali. Detektywi przeszli przez jezdnię i wsiedli do bordowego pontiaca, zaparkowanego dwa samochody za miejscem, w którym kilkanaście minut wcześniej stał czarny SUV. Brasher odpalił silnik, nacisnął na pedał gazu i bez wrzucania kierunkowskazu zawrócił, przecinając łukiem całą szerokość jezdni. Pisk hamulców i ryk klaksonów rozbrzmiały na obu pasach, ale bordowy Firebird mknął już w kierunku centrum.

Robiło się niebezpiecznie. Wiedziałem, że muszę bardziej uważać. Wszedłem do kuchni, wyjąłem laptopa spod lodówki, rozłożyłem go na blacie zgrałem całość zgromadzonych dotąd materiałów na dwa pendrivy. Jeden ukryłem w salonie. Drugi zatrzymałem przy sobie i postanowiłem nie rozstawać się z nim aż do momentu publikacji. Ukrycie nośnika okazało się trudniejsze, niż podejrzewałem. Już raz włamano się do mojego mieszkania, a ja nie mogłem pozwolić sobie na ryzyko utraty rezultatów wielogodzinnej pracy. Rozważyłem kilka opcji, ale ostatecznie zdecydowałem się na tylko jedną. Odsunąłem ławę w salonie, zerwałem dywan i podważyłem cztery zespolone ze sobą płytki. W jednej wydrążyłem niewielkich rozmiarów otwór i wsunąłem zabezpieczonego folią pendriva. Gdy w końcu ułożyłem wszystko na miejscu, mogłem usiąść na

moment, uspokoić oddech i zastanowić się, co robić dalej.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na ten nowy, kryminalny wątek w historii Carla. Nie dość, że człowiek wydzielał mi informacje i wodził za nos, to jeszcze ukrył przede mną ten niezbyt dyskretny szczegół swojej kariery. Erkens i Brasher zapewne wieszali właśnie moje zdjęcie na tablicy podejrzanych w komisariacie, a nieznajomi z czarnego SUV-a rozważali, co należałoby ze mną zrobić. Zastanawiałem się, czy byli to ci sami, którzy włamali się do pokoju motelowego Carla. Czy to jeden z nich nagrał się na mojej sekretarce? Czy w ogóle mogłem mieć pewność, że to ludzie Marsiano? Żadna z ewentualności nie brzmiała bardziej wiarygodnie niż pozostałe. Na dobrą sprawę mogli to być również jedni z wielu oszukanych do tej pory przez Carla darczyńców. Ile tysięcy tak naprawdę zagarnął? Komu naraził się przekrętami?

Usiadłem przed biurkiem wpatrzony w okna budynku po prawej. Przez barierki balkonu dostrzegłem mężczyznę wspartego o kule. Przechodził właśnie z salonu do sypialni, gdzie usiadł na łóżku i powoli zdjął spodnie. Po chwili przypomniał sobie o czymś, przesunął się w stronę okna i zasłonił je. Kiedy wykuśtykał na balkon, w krótkich spodenkach i podkoszulku, nikły błysk aluminiowej nogi przebił się przez brudną szybę i wylądował na mojej twarzy. W jednej chwili przypomniałem sobie sen, który dręczył mnie tego samego ranka. Być może Carl faktycznie stał w kolejce po swoją dolę. Być może Cheney i Bush już na starcie dali mu do zrozumienia, że niczego nie dostanie. Co jeśli ktoś faktycznie zdrwił z niego, pomimo wszystkiego, co zrobił dla partii? Co jeśli jego zamiary nie były tak szlachetne, jak sugerował? Jaki był prawdziwy Carl? Walczący o demokrację, czy oszukany i sfrustrowany? Czy to dlatego podzielił się ze mną materiałami? Czy powinienem w ogóle się nad tym zastanawiać?

Przyglądając się kalece na przeciwległym balkonie przepaści, dotarło do mnie, że bez względu na powód, dla którego Carl ich okradł, metalowa noga, którą we śnie nadało mu moje sumienie, może stać się rzeczywistością właśnie z mojej winy. Jeśli właściciel chropowatego głosu rzeczywiście go dopadł, to z pewnością nie przez jego a, przez moją głupotę.

Nazajutrz rano ruszyłem po raz kolejny do biura. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Gdybym nie pojawił się w pracy, śledzący mnie nabraliby pewności, że coś ukrywam, a praca jest jedynie przykrywką. Póki co nie miałem lepszego pomysłu na uzasadnienie całodniowego przesiadywania przed komputerem.

Na miejscu przywitał mnie leżący na biurku wydruk z wezwaniem do stawienia się gabinecie Carla.

– Przynajmniej się pojawił – pomyślałem i odetchnąłem z ulgą.

Zaraz potem jednak zacząłem się zastanawiać. Dlaczego wystosował oficjalny komunikat? Mógł przecież przekazać komuś, że chce mnie widzieć. Czy

zamierzał mnie zwolnić i chciał mieć wszystko na piśmie? Czy zamierzał ciągnąć ten cyrk pomimo policji? Nie. To nie mógł być on. Fargo nie wróciłby nawet dla reszty czeków ukrytych w sejfie. Był na to zbyt inteligentny.

Zostawiłem torbę na krześle i ruszyłem w kierunku zakrytego żaluzjami biura.

– Proszę. Proszę, niech pan wejdzie – powiedział ciemnoskóry mężczyzna z siwą, krótko przyszywoną brodą.

– Kim pan jest? – zapytałem zbity z tropu. Jego ciężka, masywna postać była żywym przeciwieństwem szczupłego, szpakowatego Carla.

– Gdyby pojawiał się pan częściej w pracy, znalazłby pan w skrzynce mailowej komunikat o objęciu przeze mnie stanowiska zajmowanego do tej pory przez pana Fargo.

– Rozumiem. Czy wiadomo już co z nim? Odezwał się?

– Panie Dawson – powiedział donośnym, pewnym siebie głosem – nie wezwałem pana tutaj, żeby roztrząsać sprawę Carla Fargo. Pozostawił po sobie wystarczający bałagan i nie mam czasu zaprzętać sobie głowy zastanawianiem się nad tym, gdzie się zaszły. Niech mi pan uwierzy, poszukiwanie go jest ostatnią rzeczą, jaka mnie w tej chwili interesuje.

– Więc po co pan mnie wezwał?

– Żeby powiedzieć panu, że jest pan zwolniony. Nie będziemy już potrzebowali pańskich usług.

– Słucham? – zapytałem zdziwiony.

– Której części zdania pan nie zrozumiał?

– Tej o usługach – odparłem nieco rozbawiony.

– Pracuje pan tutaj drugi tydzień. W pracy pojawił się pan siedem razy.

Byłem pewien, że byłem przynajmniej dziewięć, chociaż ostatniego piątku i poniedziałku prawdopodobnie nie powinienem wliczać do rachunku.

– Nie znam powodu – ciągnął dalej – który usprawiedliwiłby pańską nieobecność i nie widzę powodu, żeby zatrzymywać pana dłużej. Nie muszę chyba wspominać o rozmowie kwalifikacyjnej, której formularz nie został prawidłowo wypełniony, ani też o pańskiej dziennikarskiej przeszłości, która okazała się nie być tak do końca przeszłością.

– Jack Fisher...

– Jack Fisher to łgarz i kłamca – powiedział spokojnie – Zaprzeczył, że pracuje pan u nich, a jednocześnie przyznał, że zatrudniłby pana, gdyby chciał pan wrócić.

– Co w tym złego?

– Z tego, co pan mówił naszym pracownikom, zwolnił się pan na własne życzenie.

– To prawda.

– Gdyż chciano pana zwolnić dyscyplinarnie?
– To również prawda. – Uśmiechnąłem się. Miał rację.
– Więc nie mamy o czym dyskutować. Proszę zabrać rzeczy. Kadrowa wypisze panu czek za ostatnie dwa tygodnie pracy minus trzy dni nieobecności.

Odwróciłem się, odetchnąłem z ulgą i ruszyłem w kierunku drzwi.

Gdy wychodziłem z gabinetu nowy, niepoważny pomysł zaświtał mi w głowie.

Być może dobrze, że tak się stało. Bez Carla, z policją na karku i gangsterami pod domem nie mogłem liczyć na nic lepszego, jak zwolnienie z pracy. Nic tak nie uwiarygadnia kamuflażu nieudacznika, jak utrata pracy po raz drugi w przeciągu dwóch tygodni. Gdyby tylko udało mi się wmówić wszystkim, że jestem nieszkodliwym pijakiem, mógłbym pracować w spokoju nad książką, a może nawet zniknąć bez wzbudzania podejrzeń. Oszczędności, które zebrałem, mogły wystarczyć na ponad rok skromnej egzystencji. W razie czego mogłem poprosić Jacka o pożyczkę w zamian za ujawnienie części materiałów. Jednym słowem następca Fargo wyświadczył mi wielką przysługę.

– Co się stało? – Meg wydawała się być przejęta.

– Zwolnił mnie – odparłem sucho, opróżniając skromną zawartość biurka.

– Jak to zwolnił?

– Ot, tak. Nie wierzy, że przestałem pisać. Myśli, że dalej węszę dla Financial Journal. Zresztą czy to ważne? Najważniejsze, że nie potrafiłem utrzymać tej roboty nawet przez dwa tygodnie. Może rzeczywiście powinienem wrócić do pisania, najlepiej horoskopów.

– Przestań bredzić. Może da się to jakoś odkręcić. Kiedy Carl się pojawi...

– Carl się nie pojawi! – warknąłem. Spojrzałem na nią poirytowany i o dziwo udało się. Doskonale wstrzeliłem się w moment.

– Jak to nie pojawi się? Jerry? Czy ty wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Była u mnie wczoraj policja. Mówili, że jest poszukiwany w trzech stanach za malwersacje. Myślisz, że pojawi się ot tak i wróci do pracy?

Margaret zamilkła. Dostrzegłem w jej oczach zmianę. Coś w niej pękło. Być może aż do tamtego momentu nie przypuszczała, że wciąż żywi do niego jakieś uczucia.

– Meg? – Ścisnąłem jej dłoń. – Wszystko w porządku?

– Nie. Nie, Jerry. Nie w porządku. Do diabła! Nic już nie jest w porządku!

– Przepraszam – powiedziałem. Musiałem być ostrożny. Chciałem, żeby pozostała moim człowiekiem w biurze. Musiałem rozegrać to rozsądnie.

– Byłem pewien, że masz to już za sobą – wyznałem.

– Co? Co, Jerry? Powiedz mi, co mam za sobą? – Jej gniew zaczynał wymykać się spod kontroli.

– Nic. – Uwolniłem jej dłoń z uścisku i spuściłem wzrok na biurko.

Wpatrywałem się w nie przez chwilę, po czym podniosłem wzrok, zamknąłem torbę i wstałem.

– Jeśli będziesz chciała kiedyś pogadać, po prostu zadzwoń.

Meg zacisnęła pięści, wzięła głęboki oddech i zanim zdążyłem się odwrócić, wzięła mnie z zaskoczenia. Przez ułamek sekundy byłem zupełnie dezorientowany. Nie wiedziałem, czy odskoczyć, potrząsnąć nią, czy rzucić o ścianę. Zanim zorientowałem się, co się dzieje, jej usta wpiły się w moje w nieoczekiwanym, suchym pocałunku.

– Boże, nie pozwól mi zadrzeć – pomyślałem.

Myślę, że nie zadrzałem zbyt mocno. A jeśli nawet to nie odebrała tego jako wzdrygnięcia z obrzydzenia. Kiedy skończyła i odkleiła się ode mnie, cała drżąca i rozpalona, część ludzi pracujących wokół zaczęła bić brawo. Pozostali jedynie kręcili głowami z dezaprobatą. Od tamtego momentu Meg była moja. Wiedziałem o tym i szczerze żałowałem. Jasmine miała rację. To było o wiele łatwiejsze, niż przypuszczałem.

– Przepraszam – wyrzuciła speszona. – Nie wiem, co mnie napadło.

– Meg, ja... – Nie musiałem nawet udawać. Byłem tak samo zaskoczony jak reszta biura. – Nigdy nie przypuszczałem, że ty... Że w ogóle spojrzysz na mnie – skłamałem.

Kątem oka dojrzałem zaciekawionych gapiów. Słuchali łapczywie, sącząc słowa z przestrzeni między nami. Nie było to przyjemne uczucie. Czuję się jak gwiazdor zmuszony do kiepskiej roli. Scena była gotowa, aktorka również, jedynie publiczność dopiero się dostrajała. Dźwięki telefonów wciąż roznosiły się w powietrzu, rozcinane powolnym ruchem wentylatorów. Widzowie siedzący najbliżej przestali stukać w klawiatury, dopasowując swój wewnętrzny rytm do napięcia, które między nami zaszło. Wiedziałem to skupienie na ich twarzach i brzydziłem się nim. Brzydziłem się nie mniej niż pocałunkiem Margaret, którego za nic nie mogłem wymazać z pamięci. Byłem statystą emocjonalnego porno, którego podstępem wciągnięto na plan.

– Jerry? – szepnęła.

– Tak? – spytałem potulnie.

– Zamknij się – rzuciła, uśmiechnęła się i jeszcze raz złapała mnie za szyję.

Wiedziałem, że nie wytrzymam. Tym razem zauważyłem w jej oczach dzikość. Musiałem coś zrobić.

– Meg?

– Słucham. – Chwyciła klapy mojej marynarki.

– Jestem żonaty – wyrzuciłem z siebie te słowa niczym haust zgniłego powietrza.

– Byłeś żonaty – rzuciła okiem dokoła. Coraz więcej osób się gapiło. Meg wyprostowała się i poprawiła moją marynarkę. Wygładziła pogniecione klapy,

przejechała dłonią po mojej piersi, przyklepała na niej jakąś myśl lub postanowienie i cofnęła się o krok do tyłu.

– No dobrze – powiedziała. – Uciekaj. – Zupełnie jakby wyczuła dyskomfort, który mi zaserwowała.

– Zadzwoń – odparłem, odwróciłem się i ruszyłem w stronę windy. Napięcie zaczęło opadać, ale wraz z nim znikła również zbawienna adrenalina. Musiałem się śpieszyć, zmęczenie wkradło się kuchennymi drzwiami i czułem, że staję się zupełnie bezbronny. Odgrywanie roli chaotycznego kochanka kosztowało mnie zbyt wiele energii.

Podły smak ust Margaret towarzyszył mi dopóki nie dojechałem do mieszkania. Gdy wyjechałem z podziemnego parkingu, miałem ochotę wypluć go na maskę czarnego Mercedesa stojącego na poboczu. Choć nie widziałem, kto siedzi za szybą, byłem gotów wyjść na ulicę, wyciągnąć ich na chodnik i zabić gołymi rękami.

Czułem się tani, jak uliczna prostytutka, którą klient wysadza na rogu w środku nocy, w biednej dzielnicy. Nie wytrzymałem. Zwolniłem, zatrzymałem samochód i wyskoczyłem na jezdnię dokładnie na wysokości zaparkowanego SUV-a. Przeszedłem między pędzącymi, trąbiącymi pojazdami, stanąłem przed drzwiami kierowcy i zastukałem w czarną lustrzaną szybę. Silnik Mercedesa zawył.

– Powiedzcie szefowi, że mam dość jego mieszania się w moje życie – warknąłem. – Niech się trzyma z daleka. Bo Bóg mi świadkiem, jeśli stracę przez niego kolejną robotę, podjadę w nocy pod jego dom i uduszę gołymi rękami.

Kierowca nacisnął kilkakrotnie na pedał gazu, jakby w odpowiedzi na moją groźbę.

– Powiedzcie Marsiano, że nie mam zamiaru dłużej znosić jego paranoi! – krzyknąłem.

Zrobiłem to tak głośno, że kilku przechodniów zatrzymało się, żeby przyjrzeć się widowisku. Czekałem na obniżenie się bocznej przyciemnionej szyby. Było mi obojętne, co stanie się za chwilę. Podałem się chwili i wybranej roli. Samochody zablokowane za moim fordem zaczęły wycić salwami klaksonów. W międzyczasie zielona toyota zaparkowana przed SUV-em ruszyła, więc kierowca czarnego mercedesa nacisnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon.

Upojony adrenaliną patrzyłem, jak wyprzedza toyotę, wskakuje z powrotem na prawy pas ignorując jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, a potem ścina zakręt w lewo i znika z zasięgu wzroku. Nagle uświadomiłem sobie, co właściwie osiągnąłem.

Nic.

To, co zrobiłem, było niebezpieczne i głupie. Z całej subtelnej gry w śledzącego i śledzonego pozostało jedynie wspomnienie. Wyłożyłem wszystkie

karty na stół, nie otrzymując nic w zamian. Nie dość, że nie doczekałem się żadnej reakcji ze strony stręczycieli, to w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, kim tak naprawdę byli. Mogłem jedynie insynuować, stawiając na jedną z kilku postaci, których nieprzychylność zaskarbiłem sobie w przeciągu ostatnich kilku miesięcy.

Z drugiej strony ich milczenie mogło znaczyć, że faktycznie pracowali dla Marsiano. W zasadzie chciałem w to uwierzyć. Potrzebowałem jakiegoś pewnika, a Donny świetnie się nadawał. Być może przez to, że był namacalny, że znałem jego twarz i wiedziałem, czego mogę się spodziewać. Być może przez to, że wolałem nie dopuszczać do świadomości, że ktoś inny o wiele bardziej niebezpieczny zainteresował się moją osobą. Paranoja zaczynała po cichu wkradać się między moje myśli, a ja nie miałem o tym zielonego pojęcia.

Ostatecznie pocieszałem się nadzieją, że ów wybuch emocji i scena na ulicy przynajmniej dodadzą wiarygodności postaci, którą postanowiłem wykreować. Bez względu na to, kto siedział w tamtym SUV-ie, musiał wiedzieć, że nie pracuję już dla biura wyborczego. Dla nich byłem bezrobotnym byłym dziennikarzem szukającym tematu. Wiedziałem, że jeśli śledzili mnie na zlecenie Marsiano, na pewno będą przyglądać się od tamtej chwili uważniej. Tymczasem chciałem utrzymać pracę nad książką w tajemnicy. Musiałem więc uczynić moją wersję zdarzeń bardziej wiarygodną.

Dla postronnego obserwatora byłem skończony. Wyrzucono mnie dwukrotnie z pracy, nie miałem perspektyw ani motywacji. Wierzyłem, że jeśli dodać do tego alkoholizm, praktycznie każdy uwierzyłby w mój upadek. Gdyby tak się stało, mógłbym bez obaw zaszyć się gdzieś i w spokoju pracować nad tekstem. Rozsądek i instynkt samozachowawczy podpowiadały, że w tym momencie to najważniejsze.

Głos mężczyzny wyrwał mnie zamyślenia. Jakiś taksówkarz wyszedł z samochodu i podszedł wykrzykując coś, gestykułując i wskazując na rozkraczony na środku jezdni ford. Jego otwarte szeroko drzwi utrudniały ruch pojazdów, uniemożliwiając wyminięcie nas lewym pasem jezdni. Z początku nie docierało do mnie nic z tego, co mówił. Jego usta otwierały się i zamykały, a twarz stawała się coraz bardziej irytująca. Minąłem go, idąc do samochodu i zatrzymałem się przy drzwiach. Ruszył za mną, krzycząc coś, jeszcze bardziej pobudzony moją ignorancją. Kiedy zbliżył się na odległość pięści, nie wytrzymałem.

Zanim zorientowałem się, co się dzieje, moje ramię wystrzeliło do przodu. Pięć sekund później łysiejący Grek o sokolim nosie klęczał na asfalcie z zakrwawioną twarzą w dłoniach i krztusił się krwią. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek kogoś uderzył, ale samo uczucie, które ogarnęło mnie w tamtym momencie, zapamiętałem doskonale. Była to czysta przyjemność. Energia podobna do tej, którą czuje się podczas pisania. Skumulowała się w postaci kilku ciosów i magicznej ulgi, gdy złość uwolniła się z zaciśniętych pięści.

Wsiadłem do samochodu, pozostawiając go klęczącego na asfalcie i ruszyłem do przodu. Dłoń zaciśnięta na kierownicy miała na sobie ciemne plamy krzepnącej krwi.

Otworzyłem okno, wpuszczając do środka gwałtowny podmuch wiatru. Był chłodniejszy i bardziej orzeźwiający niż inne gwałtowne podmuchy tamtego lata. Zbliżała się jesień. Na niebie od zachodu rozciągały się gęste, burzowe chmury. Zakrywały ołowianym puchem większość widocznego między wieżowcami nieba. Po chwili na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu, a gdy przejechałem jeszcze kilkaset metrów, ściana wody runęła w dół, zmiatając wszystkich zabłąkanych przechodniów z chodników.

Nagle w bocznym lusterku dostrzegłem dość niecodzienny widok. Mniej więcej dwa samochody za mną na obszernej dwupasmowej ulicy sunął powoli motocyklista na czarnym ścigaczu. Zastanawiałem się, czy czarna szyba jego kasku miała coś wspólnego z przyciemnianymi szybami SUV-a. Jeśli był jednym z ludzi Marsiano, dlaczego nie odjechał tak jak pozostali? Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, która zapewne była już przemoknięta, a jednak uparcie stał w korku, zwracając na siebie uwagę kierowców.

Adrenalina powoli uchodziła i wiedziałem, że drugi raz nie podejmę się tak ryzykownej akcji jak przy mercedesie. Kusilo mnie jednak, by sprowokować go i zepchnąć z drogi przy pierwszej nadarżającej się okazji. Wystarczyłby najmniejszy objaw agresji, tylko tyle.

Na szczęście motocyklista okazał się być bardziej ostrożny niż jego poprzednicy. Do samego mieszkania trzymał się niezmiennie dwa samochody w tyle, a kiedy zaparkowałem w szalejącej burzy, minął mnie i skręcił w pierwszą przecznicę po lewej.

Wszedłem na górę, starając się zdecydować, co dalej. Kiedy otworzyłem drzwi do mieszkania, wszystko było na miejscu. Przynajmniej tutaj nie czekały żadne niespodzianki. Otworzyłem drzwi balkonowe i wyszedłem na zewnątrz, na skapaną w deszczu posadzkę. Wiatr ciskał w twarz krople wielkości grochu, a błyski piorunów rozświetlały niebo. Oparłem się o barierkę i spojrzałem w dół. Poniżej biegnący wzdłuż muru ludzie kryli się w bramach lub biegli z teczkami uniesionymi nad przemoczonymi głowami, ramionami, garniturami i skórzanymi butami za kilka tysięcy dolarów. Przesunąłem łokciami po barierce, zwracając twarz w prawą stronę. Spojrzałem w dół długiej ulicy, a potem przed siebie i na okna po lewej. Przebiegając wzrokiem po budynku naprzeciwko dostrzegłem ruch zasuwanej firanki. Odczekałem chwilę i jeszcze raz wykonałem tę samą sekwencję ruchów: ulica po prawej, po lewej, okna po lewej i na wprost.

Obserwował mnie. Firanka nie poruszyła się po raz drugi, ale i tak dostrzegłem to, czego szukałem. Poniżej, jakieś dwieście metrów ode mojego bloku, stał zaparkowany czarny ścigacz. Naturalnie bez motocyklisty.

Wróciłem do mieszkania, nalałem pełną szklanę whisky i wychyliłem do połowy, wchodząc teatralnie na balkon. Oparłem się ponownie o barierkę, zanurzając wzrok w kwadratowym szkłe. Potem wyprostowałem się i znów kątem oka uchwyciłem ruch naprzeciwko. Tym razem dostrzegłem coś więcej. Wielkie, czarne oko obiektywu.

To mógł być ten sam typ, który śledził mnie i Carla, który zrobił zdjęcie mnie i Laurie, mnie i Jasmine. Wiedziałem, że i teraz dostanie to, czego będzie chciał, albo... Albo to, co mu pokażę.

Opróżniłem szklanę i spojrzałem jeszcze raz w dół, a kiedy upewniłem się, że nikogo pode mną nie ma, przechyliłem się bardziej do przodu i wypuściłem szkło z rąk. Ktoś na dole przeklął i podniósł pięść w górę, ale to akurat nie miało znaczenia. Najważniejsze, że fotograf uchwycił moje długie pełne tęsknoty spojrzenie. Smagany deszczem przechodzień odgrażał się jeszcze chwilę, po czym dał za wygraną i poszedł dalej.

Wpatrywałem się jeszcze chwilę w przestrzeń poniżej, po czym wyprostowałem się powoli i niezgrabnie, choć bardzo pewnie przełożyłem nogi na drugą stronę barierki. Ktoś na dole zauważył to chyba, bo krzyknął i wskazał w moim kierunku. Oczywiście nikt więcej się nie zatrzymał. Niektórzy ludzie spoglądali do góry, ale wiatr i deszcz zmuszały ich do ucieczki. Priorytetem było odnalezienie schronienia, a instynkt brał górę nad ciekawością. Burza rozszalała się na dobre i nie zapowiadało się na to, by szybko ucichła. Grom, który zatrzęsł szybami, zaskoczył mnie i musiałem mocniej chwycić barierkę, by się nie poślizgnąć. Kiedy byłem już pewien, że alkohol we krwi osiągnął maksymalny poziom, usiadłem na rogu poręczy i spojrzałem w dół. Musiałem dać mu kilka minut, by uwierzył, że naprawdę zamierzam skoczyć. W pewnym momencie nie wytrzymał i wysunął zza firanki obiektyw. Najwidoczniej zależało mu na idealnym ujęciu. Nie każdy może pochwalić się uwiecznieniem wyrazu twarzy człowieka, który popełnia samobójstwo. Siedziałem tam z półtora, może dwie minuty, ale każda sekunda wydawała się dłuższa od poprzedniej. Twarz zmarzła mi od wiatru i wody, nogi zdrętwiały od wgniecionej w pośladki poręczy i chłodu, głowa tętniła krwią, alkoholem i adrenaliną. Kiedy uznałem, że fotograf jest już podekscytowany, wygramoliłem się powoli zza poręczy, przechyliłem w stronę mieszkania i stanąłem na kaflach balkonu. Czarne oko obiektywu zniknęło bez śladu. Mogło by się zdawać, że w ogóle go tam nie było, że byłem tam tylko ja i mój mały, żalorny dramat, ale był tam i wszystko widział, i uwiecznił, dokładnie tak, jak chciałem.

Miałem nadzieję, że to wystarczy. Serce biło mi jak oszalałe i nie miałem zamiaru już nigdy więcej tak ryzykować. Wiedziałem, że jeśli wszystko dobrze poszło, Marsiano uwierzy nie tylko, że jestem skończony, ale i że jestem nieszkodliwym tchórzem. Oczywiście gdyby okazało się, że to nie wystarczyło,

byłem gotów pociągnąć tę grę o krok dalej. Dla potrzeb roli mógłbym naprawdę stać się skończonym durniem, którego grałem. Wystarczyło pokazać, że piję, że śmierdzę, że nie wychodzę całymi dniami z mieszkania, nie licząc wypraw po alkohol. Tak. To mogłem zrobić. Wszystko tylko po to, by uwierzył, że jestem nieszkodliwy.

Wszedłem do mieszkania i zamknąłem ociekające wodą drzwi balkonowe i okna. Zaciągnąłem firany i zasłony, a gdy w pokoju zapanowała ciemność, stanąłem na przesiąkniętym wodą dywanie i wyjrzałem zza jednej z zasłon. Wpatrywałem się w klatkę dość długo i dopiero po kilku minutach dostrzegłem wychodzącego z niej mężczyznę. Niewysoki, ubrany na czarno brunet przedarł się przez ścianę deszczu, wsiadł na motocykl, założył kask i odjechał.

Mogłem odetchnąć.

IX. Spektakl

W przeciągu kolejnych kilku dni motocyklista pojawił się przynajmniej dwukrotnie. Być może kręcił się w pobliżu części, ale tylko te dwa razy udało mi się go zauważyć.

Pierwszy raz zauważyłem go w środę, gdy robiłem zakupy w samoobsługowym na rogu. Widok nieruchomej, obserwującej postaci zmusił mnie do zaopatrzenia się w dość spory, choć zbędny zapas alkoholu. Gdy zażyczyłem sobie, by jedną z butelek zapakowano osobno, Linda, sprzedawczyni pracująca tam od kilku lat, spojrzała z wyrzutem. Wsadziła whisky w brązową, papierową torbę i powoli przesunęła ją w moim kierunku. Nie wiedziałem, czy jest bardziej zakłopotana czy rozczarowana. Kiedy wyszedłem ze sklepu i stanąłem na chodniku, położyłem reklamówkę z zakupami na skrzynce z gazetami, odkręciłem zakrętkę i wychyliłem część złotego płynu. Miałem nadzieję, że Linda tego nie widziała. Przedstawienie było dla zamaskowanego. Kiedy się odwróciłem, dostrzegłem jedynie jej smutny wzrok wbity w moją trzęsącą się dłoń. Nie tracąc poczucia roli, uśmiechnąłem się głupio i odwróciłem w stronę głównego widza. Wsadziłem szkło w papierowej torebce do torby, zamarłem na moment, rozejrzałem się i wyjąłem je, by wziąć jeszcze jeden łyk. Kiedy otarłem usta, kask na ramionach mężczyzny przechylił się lekko w lewo i w prawo, jakby nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zacisnąłem brązowy papier wokół szyjki butelki i umieściłem ją ostrożnie między nabiałem a pieczywem. Motocyklista stał na poboczu przy przeciwległym rogu skrzyżowania. Obserwował mnie jeszcze chwilę, a kiedy uznał, że nic ciekawego już nie zobaczy, przekręcił rączkę, dodając gazu i odjechał.

Drugi raz wypatrzyłem go w piątek. Szedłem do pralni z torbą pełną brudnych ubrań, gdy zza czarnej furgonetki wyłoniła się sylwetka motocykla. Stał zaparkowany, bez właściciela. Musiałem mocno się hamować, by nie przyjrzeć się bliżej. Nie mogłem mieć pewności, że to ten sam pojazd, ale gdy zmierzyłem odległość do pralni i ką, jaki uzyskałbym, fotografując ją z tamtego miejsca, uznałem, że z powodzeniem mogę sklasyfikować go jako pojazd wroga. Tylko przypadek sprawił, że tamtędy przechodziłem. Zmotoryzowany fotograf wiedział doskonale, co robi. Dopiero kiedy usiadłem przed ogromnym bębniem automatu do prania, dostrzegłem baner reklamowy stojący kilka metrów przed motocyklem. Z miejsca, w którym siedziałem, motoru nie było widać. Cadillac, który zaparkował obok całkowicie zasłonił maszynę. Ponadto, około pięć do sześciu metrów przed nim stała spora tablica reklamowa, przedzielona metalowym słupem latarni. Gdybym kogoś szpiegował, szpara między lampą, a płaszczyzną billboardu byłaby idealna do zrobienia zbliżenia.

Na szczęście wtedy także miałem ze sobą niezbędnik. Po kilku minutach

prania do lokalu wszedł młody chłopak w naciągniętej na głowę czapce i jasnoniebieskim dresie. Na uszach miał słuchawki, więc kiedy wkładał bieliznę do automatu, robił to kołysząc się w rytm jakiegoś przeboju. Gdy usiadł, wyciągnąłem spod marynarki piersiówkę i wziąłem wielki łyk. Chłopak spojrzał obojętnie, ale w jego oczach dostrzegłem pogardę. Gdyby wiedział, że w metalowej menażce jest woda, być może nie patrzyłby takim wzrokiem. Wyciągnąłem ramię w jego kierunku, pozując do kolejnego zdjęcia. Chłopak naturalnie nie przyjął poczęstunku, a zamiast tego wstał i stanął przed wielką szybą. Stojąc tak z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wpatrywał się w zapadający za oknem zmrok. W zasadzie nie dziwiłem się. Gdybym był na jego miejscu, zareagowałbym podobnie.

Obie sytuacje uświadomiły mi dwie rzeczy. Po pierwsze byłem wiarygodny. Po drugie tak długo, jak grałem tę rolę, mogłem liczyć na niczym niezmaconą prywatność. Wykluczając się poza margines społeczny, wykluczałem z życia również ciekawskie spojrzenia innych.

Kolejne dwa tygodnie minęły na pracy i grze aktorskiej. Choć nie natrafiłem nigdzie na fotografa, od czasu do czasu miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Być może to był on, bardziej powściągliwy i ostrożny niż kiedykolwiek wcześniej. Dla potrzeb charakteryzacji zapuściłem brodę, w mieszkaniu przechadzałem się w samej bieliźnie i starałem się przy tym utrzymywać względny barłóg. Gdyby ktoś wszedł do mieszkania, zaskoczyłby go nie tyle chaos przedmiotów i ubrań, co porozrzucone butelki przy całkowitym braku zapachu alkoholu i smrodu. Mieszkanie przypominało dobrze zaprojektowaną scenografię. Bałagan mogłem znieść, ale do brudu nie potrafiłbym się przyzwyczaić. Wieczorami, lub gdy zaciągałem zasłony na okna, projektowałem na nowo wnętrze, odświeżając je detergentami i wodą. Gdy robiłem przerwy w pisaniu, odsłaniałem zasłony i prezentowałem sąsiadom z naprzeciwka zaprojektowany własnoręcznie obraz ruiny i rozpacz.

Przez cały ten okres piłem bardzo mało. Sporadyczne drinki, na które sobie pozwalałem, pojawiały się w dłoniach tylko wtedy, gdy zabrakło mi herbaty lub soku jabłkowego. Gdy wychodziłem na zakupy, dzieciaki siedzące na schodach klatki zaczepiały mnie, próbując wyśmiewać. Czasami im się udawało, czasami nie.

Przed każdym wyjściem brałem mały łyk whisky. Uznałem, że nic tak nie uwiarygodni upadku w oczach sklepowej, jak alkoholowy oddech.

Któregoś wieczora, gdy było już zupełnie ciemno pod klatką, oprócz dzieci sąsiadów, pojawiło się trzech nastoletnich gangsterów. Mieli na sobie obwisłe jeansy, bluzy z kapturami i biżuterię dodającą odwagi. Patrząc na nich z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Nie próbowałem nawet zgadnąć, czy werbują przedszkolaków, czy po prostu szukają chłopców do bicia. Jednemu najwyraźniej

nie spodobało się moje spojrzenie, bo krzyknął coś , próbując zwrócić na siebie uwagę. Z tego, co zrozumiałem, chciał chyba pozbawić mnie gotówki. Zirytowany warknąłem na niego, jak to miałem w zwyczaju, gdy któryś z dzieciaków zaczynał cwaniakować. Oczywiście nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Problem polegał na tym, że musiałem wciąż udawać pijanego. Młodzi wymachiwali rękami, zginali paluchy, przywołując imię mojej matki, a ja zignorowałem ich i ruszyłem w górę schodów ku frontowym drzwiom i skrywającemu się za nimi mrokowi korytarza.

– Ty stary menelu! – krzyknął piętnastolatek. Jego aroganckie spojrzenie i jaskrawa czapka z zadartym do góry kartonowo szmacianym daszkiem dosłownie prosiły się o pięść.

– Gdzie idziesz, łachudro? – pisnął łysy czarny grubas. Jego nastoletnia tłusta szyja obwieszona była srebrnymi łańcuchami.

Wyciągnąłem klucze, chwiejąc się i trzymając barierki, ale musiałem jeszcze chwilę się pomęczyć, zanim znalazłem ten odpowiedni. Jerry alkoholik nie znalazłby od razu właściwego klucza, nawet gdyby adrenalina rozszerzyła mu nagle źrenice. Jerry alkoholik musiał się chwilę pomęczyć, zanim wejdzie.

– Patrzcie chłopaki, menel spierdala! – krzyknął Latynos z chustą na głowie.

– Dawaj kasę, łachudro – warknął gruby.

– Jak jesteś taki cwany, to sam sobie węz – syknąłem, nie odwracając się i uchyliłem lekko drzwi.

– Sam się prosiłeś – oznajmił pulpet. Przebił się z trudem przez grupkę gapiących się dzieci i zrobił krok do przodu. Oczekałem chwilę, a kiedy poczułem, że jest tuż za mną, pchnąłem drzwi i wpadłem do środka. Gruby, sapiąc, wspiął się za mną i rzucił w ciemność korytarza. Był powolny. Zbyt powolny.

Nagle, znów poczułem tę niesamowitą energię, tę ogromną radość niszczenia. Ostatnie dwa tygodnie poniżania się wydały owoc w postaci skumulowanej agresji. W ciemności korytarza dojrzałem okrągły zarys twarzy chłopaka. Wypuściłem dwa prawe proste i poczułem, jak coś miękkiego łamie się pod moją pięścią. Gruby zachwiał się i zawył. Lewy hak dołączył do poprzednich ciosów. Chłopak nie zorientował się, co się dzieje. Zanim pozostała dwójka wtoczyła się za nim, wykonałem solidny zamach i mój but wylądował miękko w fałdach nastoletniego tłuszczu. Grubas złapał się za brzuch i opadł na kolana, kwicząc. Dwóch aspirujących gangsterów wbiegło za nim niemal jednocześnie.

– Zapal światło, Max – krzyknął jeden, ale tylko tyle zdążył z siebie wydobyć.

Podbiegłem, nim dotarli do przełącznika. Max wyciągnął komórkę i tylko na moment zobaczyłem jego twarz i zdziwienie na widok mojej podeszwy kierującej się wprost w jego brodę. Wypadł na zewnątrz, wyhamowując częściowo na drzwiach, częściowo na tłumie dzieciaków poniżej. Latynos dostrzegł grubego,

klęczącego za mną. Chłopak sapał, szlochał i wołał o pomoc jednocześnie.

– Złamał mi nos! Kurwa, złamał mi nos!

Odwrociłem się i ruszyłem do mieszkania. Kiedy dotarłem do połowy schodów, najniższy z bandytów zlokalizował przełącznik i klęczącego pod nim towarzysza. Spojrzałem do tyłu. Jego oczy były rozgorączkowane, ale kłębił się w nich strach.

– Jesteś pojebany! Pojebany, człowieku! – wrzasnął, po czym dodał coś po hiszpańsku od siebie i wyprowadził kolegę na zewnątrz.

Oprócz młodzieży zainteresowała się mną również inna grupa wiekowa. Kiedy dotarłem do półpiętra, napotkałem uśmiech ostrzyżonego na krótko mężczyzny. Z początku myślałem, że to Tom, właściciel szukający kolejnego pretekstu, żeby podnieść mi czynsz, ale gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że mężczyzna jest dużo młodszy od właściciela i w przeciwieństwie do niego w niezłej formie.

– Pięknie, naprawdę pięknie – powiedział. – Może przynajmniej przez jakiś czas przestaną rozbijać się pod oknami. Nazywam się Rory Scott.

– Jerry Dawson – odparłem, ściskając jego wyciągniętą dłoń.

Rory uśmiechnął się szeroko i potrząsnął energicznie moim ramieniem. Miał stalowy uścisk. Jeśli w przeszłości nie był kulturystą, to wołałem nie wiedzieć, kim naprawdę był.

– Długo pan tu mieszka, panie Dawson?

– Jakies dwa lata. Dlaczego pan pyta?

– A tak bez powodu. Dopiero co się wprowadziłem i pomyślałem, że dobrze byłoby poznać sąsiadów. Gdyby pan chciał kiedyś pogadać o starych karabinach, proszę zajrzeć. Jestem na emeryturze i przeważnie nie ruszam się z domu.

– Dziękuję – odparłem sucho i ruszyłem w górę schodów.

– Na emeryturze w tym wieku? Pewnie glina albo wojskowy – pomyślałem.

Jak się później okazało, niewiele się pomyliłem.

Było to nasze pierwsze spotkanie. Wiem, że fakt, iż to on zaczął mnie, powinien był wzbudzić moją czujność, ale tak się nie stało. Być może przez adrenalinę, być może przez arogancję, być może przez fakt, że wyglądał na twardziela, ale nie zastanowiło mnie, dlaczego ten człowiek tak chętnie zaczął kogoś, kto chwilę wcześniej pobił trójkę nastolatków.

Dopiero teraz, gdy wracam pamięcią do tamtego dnia, widzę wyraźnie, jak spokojny i opanowany był Scott w tamtym momencie, jak jego słowa i ton stwarzały jedynie pozory ekscytacji, podczas gdy wzrok opowiadał zupełnie inną historię. Był to wzrok zimny jak stal, szare metaliczne spojrzenie, surowe i lekko drwiące, oddzielone, oderwane, niemające nic wspólnego z uśmiechem poniżej. Kamuflował to surowe spojrzenie głosem i gestami, przyjaznym językiem ciała i pozorną otwartością. A jednak i tak w pamięci pozostały mi przede wszystkim

oczy. Szary, zimny błękit.

Dwa dni po tym incydencie odebrałem telefon od byłej żony. Zdziwił mnie i zaintrygował, gdyż od dawna nie utrzymywałem z nią kontaktu. W zasadzie, kiedy o tym pomyślę, to nigdy tak naprawdę nie mieliśmy prawdziwego kontaktu.

Odkąd sięgam pamięcią ani nie drżeliśmy na swój widok, ani nie udało się nam połączyć na tym głębszym, emocjonalnym poziomie. Jeszcze na długo przed ślubem i potem, gdy zamieszkaliśmy razem o wiele częściej mijaliśmy się między pracą i snem, niż chadzaliśmy pod rękę parkowymi alejkami. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się w codziennym biegu, robiąc krótką przerwę na seks i czułość, ale nawet one były w pewnym sensie udawane, nawet one były gonitwą i wyścigiem z czasem. Zupełnie jakbyśmy przeczuwali, jak niewiele czasu nam pozostało.

Gdy urodziła się Pat przez krótki, ulotny okres było całkiem znośnie. Dogadywaliśmy się i przypominaliśmy rodzinę, ale gdy z upływem czasu bufor jej dzieciństwa wyparował, a wraz z nim ulotniły się złudzenia i dobra wola, pozostawiając po sobie pustkę, która trwała niczym wyrok od młodszych lat córki, poprzez rozwód i późniejsze, całkowite usunięcie mnie z życiorysu.

Dlatego teraz telefon Elizabeth sprawił mnie w zdumienie. Była żona zadzwoniła i jakby nigdy nic zaprosiła mnie na obiad.

– Nie mogę – odpowiedziałem. – Jestem w trakcie otwartego projektu i gonią mnie terminy.

– Tracisz kontakt z córką, Jeremy. – Jej nienaganny brytyjski akcent przypomniał mi, jak nienawidzę jej poczucia wyższości.

– Ma już siedemnaście lat. Na miłość boską, Liz, Pat nie jest już dzieckiem.

– Osiemnaście – odparła. – Twoja córka ma osiemnaście lat i niedługo wyprowadzi się z domu. Chcesz stracić z nią kontakt? Mówiła, że od ponad miesiąca się nie odzywałaś.

Miała rację. Od czasu zjazdu republikanów nie pofatygowałem się nawet, by sprawdzić, czy żyje. Z drugiej strony ona również nie przejawiała zainteresowania moim zdrowiem. Pozostawało mi więc zadać sobie jedno pytanie: komu zależy bardziej na utrzymaniu naszych relacji w niezmięnionej formie?

– W porządku. – Zdecydowałem. – Przyjdę, ale nie jutro.

– No dobrze. – Westchnęła pełna irytacji. – W takim razie kiedy?

– Nie wiem. – Zaczynałem tracić przekonanie. Jedną z niewielu rzeczy, jakich nie znosiłem w moich bliskich, była ich niesamowita potrzeba manipulowania moim czasem.

– Przyjdź w niedzielę po południu. Odpalimy grill. Franka nie będzie. Wyjeżdża w delegację. Jeśli Pat nie będzie chciała z tobą rozmawiać, postoisz przy stekach.

Zgodziłem się. Sam nie wiem dlaczego. Gdybym tylko tam nie poszedł, cała

ta historia mogłaby potoczyć się zupełnie inaczej. Może i okazałbym się skończonym idiotą z wyczerpanym kredytem zaufania u córki, ale wciąż byłbym sobą. A tak? Zmieniłem się w super detektywa, któremu zachciało się ratować ludzkość.

Prace nad książką posuwały się do przodu w iście ślimaczym tempie. Każdą stronę maszynopisu musiałem opłacić kilkoma godzinami przekopywania materiałów. W dodatku nie mogłem pracować przy odsłoniętych oknach, gdyż wciąż musiałem liczyć się z obecnością fotografa. Mój salon przedzielała niezdefiniowana linia mroku. Biurko stojące przy drzwiach balkonowych było celowo odsłonięte, wystawione na wzrok widzów z zewnątrz, nieprzerwanie zalewane na zmianę ostrym dziennym światłem i bladą nocną poświatą lamp zewnątrz. Rozłożyłem na nim zamówionego przez Internet uszkodzonego laptopa, kilka brudnych szklanek po whisky i dwie puste butelki. Po kilku dniach z pewnością każdy z sąsiadów doszedł do wniosku, że korzystam z komputera tylko wtedy, gdy opróżniam rozstawione na biurku butelki. Miałem nadzieję, że fotograf również w to uwierzył. Po lewej stronie biurka stał wielki telewizor, a za nim ścianka działowa kuchni, na której rozstawiłem kilka brudnych naczyń. Telewizor włączałem często, zwłaszcza wieczorem, gdy pracowałem nad tekstem. Zamykałem wtedy szczelnie okna, wyłączałem głoś i przechodziłem do ukrytej w ciemności części salonu.

Drugie okno pokoju zasłonięte było na stałe. Gdyby nie kotara, można byłoby dostrzec tapczan, dwa fotele i ławę, na której stał laptop, drukarka i wysoka sterta książek. Jedynym minusem tego przymusowego stanowiska pracy był ból kręgosłupa, o który przyparowała mnie stara wysłużona kanapa. Poza tym wszystko szło zgodnie z planem. Raz na dwa dni wychodziłem z domu po alkohol. Urządzałem jednoosobowe korowody do spożywczego. Wygotowywałem ubrania w pralni przy rzece i warczałem na dzieciaki rozłożone na schodach przed frontowymi drzwiami.

Rory Scott zaczynał mnie za każdym razem, gdy wychodziłem. Czasami wydawało mi się, że nasze spotkania są przypadkowe, innym razem, że jest zupełnie odwrotnie. Zawsze jednak kładłem to na karb jego przesyconej monotonią ciekawości, nadmiar wolnego czasu na emeryturze i stopniowe przekraczanie tej subtelnej granicy między wiekiem dojrzałym a sędziwym. Wszystko to tworzyło iluzję naturalnego zainteresowania. Dziś wiem, że nie powinienem był niczego zakładać. Jego siwe włosy i nieliczne zmarszczki pod oczami nie mogły być bardziej mylące. Używał ich jak kamuflażu, pod którym mógł skryć spryt, przebiegłość i wrodzony talent do manipulacji.

- Witam sąsiada. – Zaczepił mnie któregoś popołudnia.
- Witam – odparłem.
- Znów po papierosy? Nie powinien pan tyle palić.

– Ma pan rację – przyznałem, próbując zbyć go i zejść mu z drogi. – Płuca zgadzają się z panem w stu procentach. Tyle, że serce już nie koniecznie.

– Wiem, wiem doskonale, przez co pan przechodzi. Kiedy zacząłem palić, byłem gówniarzem. Wszyscy palili i nikt nie przejmował się takimi bzdurami jak rak czy choroby serca.

– Rzeczywiście tak było. Ale niech pan powie, kto teraz się tym przejmuje?

– No wie pan? To nie do końca tak, jak pan mówi. Ludzie teraz bardziej uważają, nawet nałogowcy.

– Nie sądzę – odparłem.

– No to niech pan weźmie papierosa, stanie przed piękną kobietą i wyobrazi sobie, że jest zupełnie nieszkodliwy. Co pan robi?

– Nie rozumiem.

– Gdyby pan nie wiedział, że papieros, który pan pali, jest szkodliwy, gdyby pan był pewien, że jest nieszkodliwy, gdyby pan stał twarzą w twarz z piękną kobietą, rozmawiał z nią i palił, by się uspokoić, co by pan zrobił?

– Jak to co? Pewnie wypaliłbym całą paczkę, jeden za drugim, dopóki nie przestałbym się denerwować.

– Dokładnie. Więc jednak bariera psychologiczna istnieje. Być może nie dla wszystkich, ale ewidentnie istnieje. Kiedyś tak nie było, kiedyś człowiek nie wiedział i nie miał przez to tego naturalnego zdroworozsądkowego odruchu. Każdy palił, ile fabryka dała. To tak jak z wodą. Gdyby nie wiedział pan, że powoduje kaca, pozbawia pieniędzy, kariery, przyjaciół i rodziny, czy nie piłby pan na umór?

Spojrzałem na niego z lekkim wyrzutem. Zastanawiałem się, czy był to przytyk do mojego nałogu, czy luźny komentarz rzucony od niechcienia. Choć przed każdym wyjściem przepłukiwałem usta Bourbonem, nie byłem alkoholikiem. Powtarzałem to sobie codziennie, gdy wstawałem, wpatrując się w porostawiane po całym mieszkaniu butelki. A jednak jego komentarz w jakiś sposób mnie dotknął. Czasami wydawało mi się, że zaczynam wierzyć w ten przysposobiony nałóg.

– Woda to woda. Kto ma pić, będzie pił – powiedziałem.

– Tak, ale gdyby pan wiedział, że ten papieros zamieni pana płuca w czarną papkę, siedlisko obcego ciała, które rozrośnie się, pożerając pana płuca, nerki, żołądek, jelita? Wtedy nie byłoby panu do śmiechu, prawda?

– Przecież wiem o tym. Każdy o tym wie.

– No tak. Ale przyzna pan, że jednocześnie wszyscy przyzwyczajeni jesteśmy do złożeń pod adresem raka? Wszyscy jesteśmy przy-zwy-cza-je-ni. A siła przyzwyczajenia zabija.

– A pan? – zapytałem, mając dość tych dywagacji. Chciałem uciąć rozmowę, ale nie potrafiłem. To, co mówił, nie miało sensu, a nic mnie tak nie irytuje jak przemądrzanie się kogoś, kto nie ma nic na poparcie argumentów.

- Skoro pan wie, dlaczego nie przestanie pan palić? – rzuciłem.
- Kiedy zacząłem palić, miałem szesnaście lat. Co prawda Centrum Kontroli Chorób zaczęło już zbierać dane, ale dopiero w sześćdziesiątym czwartym ministerstwo oficjalnie uznało palenie za szkodliwe.
- No tak. Nawet do nas zawitało średniowiecze – przyznałem.
- Tak. Ale widzi pan do początku lat siedemdziesiątych palenie normalnie reklamowano i nikt nie raczył ostrzec, że jest to niezbyt zdrowy sport. A wie pan, że nawet Fred i Wilma reklamowali fajki w swoim show?
- Kto? – spytałem zdziwiony.
- Fred i Wilma, ci z bajki dla dzieci. No wie pan, Flinstonowie. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego palili regularnie Winstony pod koniec każdego odcinka.
- To jakby dodawać amfetaminę do pudełek z płatkami śniadaniowymi.
- No, coś w tym stylu – powiedział, wyciągając opróżnioną do połowy paczkę. Poczęstował mnie papierosem, zapalił i wypuścił kłąb szarego dymu.
- Pamiętam taki jeden poranek – ciągnął. – To było w jednej z przydrożnych knajp. Jechałem wtedy zaciągnąć się do służby.
- Wietnam? – spytałem, podejrzewając, że i tak znam odpowiedź.
- Tak. Zawsze mi się marzyło być pilotem. Albo przynajmniej pracować przy siłach powietrznych.
- I udało się?
- Po części, ale mniejsza z tym. Siedziałem wtedy w takim jednym barze śniadaniowym. Zamówiłem tosty, ciasto i popielniczkę. Otworzyłem poranne wydanie jakiegoś miejscowego szmatławca, a tam, niech pan zgadnie, co?
- Niech pan mówi.
- O widzi pan. Pan lubi słuchać. Podoba mi się to – powiedział i znów się zaciągnął. – Na czwartej stronie znalazłem „Komunikat dla palaczy”.
- Komunikat? – zapytałem. Spojrzałem zniecierpliwiony. Chyba wyczuł moją irytację.
- Widzi pan, według autora tamtego komunikatu palenie nie było szkodliwe dla zdrowia.
- W gazetach często piszą bzdury. Co w tym dziwnego?
- No, wtedy nie było to tak intrygujące.
- To było przed czy po ogłoszeniu oficjalnego stanowiska rządu? – zapytałem.
- Zaraz po. Ten sam rok.
- Zastanowiłem się i szybko przeliczyłem lata. W 1964 miał osiemnaście lat. W takim razie nie mógł mieć teraz więcej niż sześćdziesiąt. Wyglądał na pięćdziesiąt z hakiem.
- No dobrze. Skoro rząd... Zaraz, to była reklama, tak?

– A kto inny mógłby sprzedać nam taki stek bzdur?
– Niech zgadnę. Czy to nie był czasami producent Winstonów?
– E tam, panie. To była ogólnokrajowa akcja. Cały przemysł tytoniowy wystosował apel do konsumentów. Nazwali to „Uczciwym komunikatem dla palaczy”. Napisali, że badania, na które powołuje się rząd, nie są wiarygodne, że nie ma dowodów, że w zasadzie nie można jasno stwierdzić, co spowodowało raka u przebadanych kilku tysięcy palaczy.

– To naprawdę fascynujące, ale muszę iść – rzuciłem, spoglądając na zegarek. Moje zniecierpliwienie dojrzało właśnie do krytycznego punktu. Scott nie tylko tracił mój czas, ale i narażał kamuflaż na zdemaskowanie. Wiedziałem, że im mniej osób zobaczy mnie w trzeźwym stanie, tym lepiej. Poza tym zbyt długo pracowałem nad rolą, żeby zaprzepaścić teraz wszystko przez pogawędkę z sąsiadem.

– Tak, tak – powiedział, spoglądając na torbę wypełnioną zakupami. – Wszyscy mamy nałogi. – Proszę zajrzeć do mnie wieczorem, to może razem powalczymy z naszym.

– Może tak zrobię, ale na pewno nie dzisiaj. Dzisiaj nie mogę. Może innym razem. Do widzenia.

– Do jutra – krzyknął, szczerząc lśniące, naturalne zęby.

Nie miałem czasu na pogaduchy. Śpieszyłem się. Nie widziałem Liz od ponad miesiąca, a ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, to zmuszać Pat do czekania. Wypakowałem z toreb połędwicę i warzywa. Wino wsadziłem do lodówki. Wykąpałem się i przebrałem. Zgoliłem kilkudniowy zarost. Wypłukałem zakurzony grzebień i ułożyłem włosy. Wyglądałem zdecydowanie lepiej. Ciężki zapuszczony grzywy znikł z twarzy, odsłaniając podkrążone oczy i rząd jasnych zębów. Zawiesiłem na szyi metalowy pendrive. Wyglądał jak zapalniczka, dowód koronny porażki w walce z nałogiem. Koszula była trochę pognieciona, ale czysta. Musiałem zapiąć kołnierz niewygodnie wysoko. Wolałem, by niecodzienny naszyjnik nie przykuwał uwagi. Ostatnie, czego chciałem, to tłumaczyć się z naglej fascynacji gadżetami.

Droga na przedmieścia była wyjątkowo pusta. Oszczędziło mi to pół godziny w nieklimatyzowanej puszczy ford. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę musiał jeździć tym wehikułem czasu. Od kilku miesięcy nie dostałem premii, od ponad miesiąca nie dostawałem nawet pensji. Kiedy zaczynałem pracę, wiedziałem, że nie mam co liczyć na luksus, ale nigdy nie przypuszczałem, że za kilkanaście lat będę w tym właśnie punkcie. Co prawda miałem jakieś oszczędności, ale czy można je nazwać solidnym zabezpieczeniem? Siedząc całymi dniami w mieszkaniu, zamawiając najtańsze, najpaskudniejsze posiłki, odcinając się od znajomych i ich zaproszeń, nie chodząc do kina, kawiarni, restauracji, omijając kręgielnie, bary i sklepy byłem w stanie utrzymać się jakoś, nie

wpływając na mierzny bankructwa. Daleko mi jednak było do satysfakcji, jaką jeszcze kilka lat wcześniej gwarantował mój fundusz emerytalny. Musiałem ukończyć książkę i to szybko. Gdyby okazało się, że z jakichś powodów się nie uda, musiałbym wrócić do pisania albo znaleźć coś, czym mógłbym się zająć. Wprawdzie Fisher obiecał, że przyjmie mnie za rok, ale wiedziałem, że moje szanse na dotychczasowe stanowisko są znikome. Jack zapewne bardziej życzył mi sukcesu literackiego i powodzenia na nowej ścieżce kariery niż powrotu do redakcji. Niepowodzenie nie wchodziło w grę. Porażka pogroziłaby mnie bardziej niż wszystko, co mnie do tej pory spotkało.

Było gorąco. Upalnie. Lato wciąż przechadzało się po centrum, sunąc leniwie ku przedmieściom. Jesień dobijała się do drzwi, ale gorące sierpniowe powietrze zagradzało jej drogę. Kotłowało się w zakamarkach ulic, skwerach, skąpanych w słońcu chodnikach. Wypełniało sobą duszne kawiarnie, przypominało o efekcie cieplarnianym. Sunałem powoli w dół Broad Road, zastanawiając się, co powiem żonie i córce. Czasami ciężko było mi zaakceptować, że nie jesteśmy już małżeństwem, a one żyją pod jednym dachem z obcym mężczyzną. Patricia była dla mnie wciąż małą dziewczynką, tą samą, którą uczyłem rozbić namiot z krzesel i prześcieradeł, gdy wiatr szalał za oknem i nie mogliśmy wznieść zamku w ogrodzie. Za każdym razem, kiedy ją widziałem, obraz dziecka pękał, rozpryskując się na miliony kawałków. Pat była już młodą kobietą, istotą obcą, której transformacja dokonała się podczas kilku krótkich chwil mojej nieobecności. Jej oczy były zawsze czujne i wartościujące. Wiedziałem, że cokolwiek bym nie zrobił i tak znajdzie coś, co zechce skrytykować, wadę, która w razie potrzeby pozwoli jej zamknąć się w sobie i odgrodzić się wysokim murem.

Zatrzymałem się na światłach. Poprawiłem lusterko w poszukiwaniu motocyklisty. Na szczęście nie dopatrzyłem się go nigdzie. Spojrzałem na własne odbicie w szklanym prostokącie. Wyglądałem beznadziejnie. Byłem chudym smutnym psem o martwym spojrzeniu. Gdybym był własną córką, zastanowiłbym się dwa razy, zanim otworzyłbym sobie drzwi. Twarz, którą zastanie za progiem, nie będzie tą samą, którą znała do tej pory. Dopiero teraz w świetle dnia dostrzegłem to wyraźnie. Błysk w oczach zanikł, czujność zastąpiło zmęczenie. Byłem złamanym człowiekiem.

Światło czerwone zgasło. Ruszyłem.

W miarę, jak opuszczałem najbogatsze dzielnice miasta, budynki wyrastające z betonowych podjazdów kurczyły się i szarzały, zmieniając w parterowe baraki z minionych epok. Już kilkaset metrów od ostatnich dużych światel metal i szkło ustąpiły miejsca betonowi. Domy handlowe i banki znikły, zastąpione parterowymi pawilonami i opustoszałymi fabrykami. Miasto starzało się z każdym metrem. Po obu stronach pojawiały się jedynie relikty przeszłości, surowe twory architektów sprzed połowy wieku. Czułem, jak starzeję się razem

z nimi, jakbym zmierzał do miejsca przeznaczenia, przytułku dla niechcianych i opuszczonych tworów. Zastanawiałem się, w jakim stopniu upodobiłem się do tych budynków i jak wiele czasu mi jeszcze zostało. Okolice, które mijałem, były oszpecone sprayem, oznaczone moczem i usiane gruzem. Na chodnikach i jezdni walały się skupiska śmieci. Zastanawiałem się, czy takim postrzegają mnie ludzie, którzy znali mnie kiedyś, czy takim widzą ci, do których zmierzam.

Dojechałem do końca drogi, skręciłem ostro w lewo i wjechałem na krótki odcinek międzystanowej. Mogłem złapać oddech. Nowy, betonowy mur wzdłuż przelotówki ukoił zszargane niepokojem nerwy. Musiałem wziąć się w garść. Gdy po kilku minutach zboczyłem, wybierając pierwszy zjazd po prawej, przypomniałem sobie dlaczego tak bardzo nienawidziłem tej krainy przedmieść. Wszystkie posesje były schludne i zadbane, estetyczne, symetryczne, niemal syntetyczne. Pielęgnowane rękoma ogrodników i sprzątaczek, dozorców i strażników, opiekunek dzieci i opiekunek starców. Były podtrzymywane przy życiu nielegalną imigracją taniej siły roboczej z Meksyku, transfuzją dolarów w erze wszechobecnego zbytku i nadchodzącego kryzysu. Były iluzją.

Dzielnica, w której mieszkaliśmy, była jedną z tych, w której trudno było o kolorowych i biednych po godzinach pracy. Jeśli któryś z sąsiadów miał inny kolor skóry niż mój, musiał być prawnikiem, lekarzem lub psychiatrą. W tej dzielnicy nie było miejsca na półśrodki. Tutaj można było trwać tylko w jednym z dwóch przeciwległych biegunów z góry określonego porządku: u szczytu lub u stóp piramidy. I tak jak w większości stanów, tak i tu kolorowi trwali dzielnie u stóp monumentu, dźwigając na plecach dobrobyt białych panów.

Nienawidziłem przedmieść. Wzbudzały we mnie obrzydzenie próżnością i bezcelowością. Były to domy chirurgów plastycznych, maklerów, agentów nieruchomości, speców od reklamy, managerów średniego stopnia, właścicieli komisów samochodowych, handlarzy dzieł sztuki i innych zbędnych specjalistów naszej ery. Jednym z moich sąsiadów był nawet producent filmowy, kolejny daremny twór sieci ludzkich namiętności. Było to zbiorowisko najbardziej bezużytecznych i bezproduktywnych istot, jakie znałem. Nie wytwarzali żadnych dóbr, nie generowali dobrobytu ani bogactwa, a jedynie gromadzili je, byli nie tyle ludźmi usług, co sługami ludzi, sługami własnej konsumpcji, kolejnym produktem stworzonym spełniania sztucznie stworzonego lunatycznego społeczeństwa. Ich istnienie na ziemi tłumaczył jedynie nieprzerwany, niepoahamowany konsumpcyjny trans. Czasami zastanawiałem się, gdzie w tym wszystkim znajdowałem się ja. Jaka maskę codziennie nakładałem, by uzasadnić swoje istnienie? Przecież tak niewiele się od nich różniłem. Czy to dlatego wyniosłem się z tego przeklętego miejsca, pozostawiając cały dom Elizabeth i dziecku? Wmawiałem sobie, że zrobiłem to, by odnaleźć siebie, zdefiniować to, kim jestem, pomimo wszystkich napierających na mnie sądów moralnych i norm właściwego postępowania. Ale czy ta ucieczka

uratowała mnie przed czymkolwiek? Czy pomogła zmienić się choćby trochę? Czy udało mi się wyzwolić z tego zaklętego kręgu? Ilekroć się nad tym zastanawiałem, zwątpienie ogarniało mnie lepkiemi mackami. Może i nie gromadziłem w gorączce bogactw, jakbym to zapewne tutaj czynił, ale nie nadałem też życiu żadnego konkretnego kierunku czy głębszego sensu. Co prawda nie poddałem się kultowi konsumpcji, ale i nie wyzbyłem się rytuałów do końca. I chyba jedyne, co tak naprawdę udało mi się osiągnąć, to podjęcie decyzji o napisaniu książki, podjęcie próby zdefiniowania wartości nie poprzez potomstwo, a poprzez to, co dla potomności zostawię.

Gdy przemierzałem tę samą ulicę, po której Pat uczyła się jeździć pierwszym rowerem, dostrzegłem, że tak naprawdę w ciągu ostatnich dziesięciu lat niewiele się zmieniło. Jedyne modele zaparkowanych wzdłuż chodników samochodów nabrały bardziej opływowych kształtów. Ich piękne smukłe linie rysowały wzdłuż drogi falę, sinusoidalną barierę własności i prywatności. Gdybym tylko posiadał samochód podobny do tych tutaj, mógłbym zaparkować go w dowolnym miejscu i wejść do któregoś z domów. Usiąść przy stole, zjeść z gospodarzem, skosztować wina, zasmakować jego żony. Byłbym nieodróżniająca się niczym kopia każdego z nich. Rozumieliby mój język, a ja rozumiałbym ich rytuały. Spoglądałbym w lustro, widząc tę samą twarz, którą każdy widzi codziennie rano, twarz sukcesu, pracy i zaangażowania w cały ten precyzyjny mechanizm społeczny. Naturalnie nie pasowałem do ich schematu pod żadnym względem. Nie posiadałem książeczki czekowej, instruktora tenisa, ogrodnika, pokojówki, a mój samochód był tworem z innej epoki, wspomnieniem odległej już rzeczywistości. Snuł się jak zjawy wśród swoich następców i za nic nie potrafiłem znaleźć dla niego miejsca.

Ostatecznie zatrzymałem się przy samym podjeździe, tuż za srebrnym aston martinem. Samochód należał zapewne do któregoś z sąsiadów Elizabeth. Rozejrzałem się, oceniając wartość nieruchomości wokół. Wyglądało na to, że któraś z nich wzięła w swoim wnętrzu czterdziestolatka z kryzysem wieku średniego. Pomimo wszechobecnej demonstracji luksusu, niewielu mogło sobie pozwolić na tak drogą zabawę.

Przez chwilę przeszło mi przez myśl, że mógł to być przecież wóz Franka. Tego samego, który powinien być tego dnia w delegacji, tego samego, który nie wyjechał zatrzymany jakimś błahym powodem. Oczyma wyobraźni widziałem go siedzącego w ogrodzie, sączącego piwo, rozmyślającego o jakimś odległym barze w Azji, gdzie anonimowość i alkohol dopomagają niewierności.

Stałem na jezdni, przez dłuższą chwilę próbując odpędzić tę myśl, po czym przekroczyłem magiczną barierę wozów za sto tysięcy i wszedłem na wyłożoną kostką ścieżkę. Świeżo skoszony, gęsty trawnik rozciągał się po prawej niczym miniaturowe pole golfowe. Po lewej, równoległe do ścieżki, piał się w górę

wyłożony kamieniem podjazd. Gdy podszedłem do drzwi, spod na wpół opuszczonych rolet garażu dojrzałem tył granatowego forda. Mógł być błękitny, ale w mroku za pancerną żaluzją dojrzałem jedynie smukłe linie połyskującej karoserii. Był to najnowszy model Mustanga GT. O wiele za drogi, nawet jak na gusta Elizabeth.

Myśl o mężu byłej żony powróciła jak bumerang. Czyżby ten ford należał do niego? Czyżby naprawdę nie wyjechał? Ciężko było uwierzyć w to, że Liz mogła nie uprzedzić mnie o tym. Wiedziała doskonale, że nie zgodziłbym się na spotkanie, gdybym wiedział, że Frank będzie w domu. Z drugiej strony nawet jeśli to jego mustang stał w garażu, nie musiało to znaczyć, że i on jest gdzieś w pobliżu. Mógł przecież zostawić samochód w domu, pojechać taksówką na lotnisko i być teraz setki, tysiące kilometrów stąd. Mógł uwodzić którąś z kelnerek w hotelowej restauracji. Mógł prowadzić prezentację ogromnego projektu. Mógł... W zasadzie mógł być również i tutaj.

Stałem przed drzwiami dłużej chwilę, próbując ochłonać.

Zanim zdążyłem przemyśleć plan działania, drzwi frontowe się otworzyły.

– Cześć, Jeremy – powiedziała niemal czule. Przez chwilę zdawało mi się, że jej twarz w ogóle się nie zmieniła, że była tą samą dziewczyną, w której zakochałem się dziewiętnaście lat temu. Ale to było złudzenie. Elizabeth się zmieniła. Była piękniejsza i naprawdę dojrzała. Jej proste, krótko ścięte brązowe włosy tworzyły równoległe linie ze szlachetną linią delikatnie zaokrąglonych kości policzkowych. Głębokie czarne oczy, długie rzęsy i drobne, pozbawione szminki usta były jak zawsze naturalnie piękne i pozbawione fałszu. Jedynie długie wiszące kolczyki i naszyjnik zdobiły to, co kiedyś kochałem i czego nigdy nie trzeba było zdobić.

– Cześć – powtórzyła z tym samym angielskim akcentem, który przywiozła tu dwadzieścia lat temu.

– Cześć, Elizabeth. Dobrze znów cię widzieć. – Uśmiechnąłem się i wszedłem do środka.

– Chodź do kuchni, pomożesz mi. Nie jestem jeszcze gotowa – dodała beztroskim, protekcyjnym tonem.

Ruszyłem za nią, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłem, zgadzając się na to spotkanie.

Przytłaczał mnie nie tylko widok Liz, ale i tego co zastałem wokół. Nie byłem w tym domu od kilku lat. Już w progu dostrzegłem kolosalną różnicę w porównaniu z tym, co zostawiłem za sobą, odchodząc. Co prawda w latach osiemdziesiątych standard był o wiele niższy, ale to co zobaczyłem w salonie, było żywym dowodem mojej sromotnej porażki i triumfu Elizabeth. Prawda sama cisnęła się przed oczy. Wiedziałem, że nigdy nie byłbym w stanie zapewnić im obojgu takiego poziomu.

Stwierdzenie, że wewnątrz było gustowne, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Na obu gładkich ścianach korytarza wisały reprodukcje Dalego oraz inne oleje, zapewne uznanego artysty. W jadalni dominował kamień, drewno i metal. Przepiękny ręcznie rzeźbiony żyrandol wisiał nisko rozpościerając szeroko srebrne ramiona nad marmurowo–drewnianym stołem. W miejscu, gdzie powinny stać krzesła, cztery profilowane dzieła sztuki wyprężyły finezyjne ciała, wyginając się delikatnym łukiem w kierunku stołu. Rzeźbione motywy roślinne pięły się po drewnianych nogach od marmurowej podłogi aż po wyszywane złotą nicią, satynowe oparcia. Kuchnię stanowiła długa, szeroka płyta z szarego granitu, wsparta na nowoczesnych nieco jaśniejszych szafkach o tym samym wzorze. Na ścianie pomiędzy blatem, a w kolumną mebli wisały płytki w kolorze mięty. Na ich błyszczącej powierzchni widniały najpiękniejsze ceramiczne wzory, jakie kiedykolwiek widziałem. Zastanawiałem się, ile kosztuje każda z nich, ile kosztować może ceramiczne dzieło sztuki. Ich elementy, rozłożone na trzymetrowej przestrzeni, tworzyły abstrakcyjną historię kręgu życia i energii. Wyglądały po części jak zdobienia majów, po części jak egipskie hieroglify.

– Pięknie się urządziliście – powiedziałem.

– No tak – odparła, wracając do krojenia warzyw. – Ostatnio kiedy tutaj byłeś, było nieco mniej...

– Sterylnie? – zapytałem.

– Można to i tak ująć – przyznała. – Ale nie dziwię się, że tak mówisz. Mi też z początku wydawało się to wszystko pretensjonalne, może nawet próżne. No, ale cóż. Najłatwiej przyzwyczaić się do luksusu. Odkąd mamy pomoc domową, życie stało się niemal... – Podniosła nóż i podrapała się po policzku. – Przyjemne.

– Chcesz powiedzieć odkąd Trish wydorowała?

– Oj, tego nie byłabym taka pewna. – Otworzyła lodówkę i podała mi miskę umytych warzyw.

– Myślałem, że zaprosiłaś mnie na barbecue?

– Czy coś ci się stanie, jeśli trochę pomożesz? Poza tym... Musimy porozmawiać.

– Liczyłem na to, że porozmawiamy w ogrodzie, siedząc nad, powiedzmy, przygotowaną przez ciebie sałatką.

Liz westchnęła.

– Jerry, daj spokój. Znowu szukasz powodu do kłótni? Dopiero co wszedłeś.

– No dobrze. O czym chciałaś porozmawiać?

Liz podała mi deskę, pomidory i nóż, którym podkreślała swą nieobliczalność. Patrzyła przez chwilę, zastanawiając się, którą część historii najlepiej zrozumieć, ale odezwała się dopiero, gdy zabrałem się do krojenia.

– Chcę porozmawiać o Trish. I o tobie też.

– Czuję, że nie spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Przyjechałeś tutaj po pochlebstwa?
– Mówię o Patricii – skłamałem. – Co z nią? Coś się stało?
– Sama nie wiem. Nie mam już sił. Frank w ogóle nie ma z nią kontaktu, a ja też nie jestem tak tolerancyjna, jak kiedyś.
– Przestałaś być tolerancyjna tego samego dnia, w którym kazałaś mi się wynosić.
– Jerry, proszę cię, daj spokój. – Spojrzała z wyrzutem. Jej oczy prosiły o ratunek. Wyglądało na to, że naprawdę coś działo się z Trish.
– No dobrze, rozumiem. Ale co mogę zrobić?
– Sama nie wiem. Myślałam... Pomyślałam, że może jakoś do niej dotrzesz. W końcu jesteś bardziej zorientowany w tym całym eko–cyrku.
– Zaraz, chwileczkę, jeszcze raz. Powoli. Po kolei. O co chodzi?
– To przez tego jej nowego chłopaka. Odkąd kręci się wokół niej, Trish zachowuje się jak fanatyczka. Segreguje śmieci, krąży po domu, odłączając sprzęt z sieci i prawie w ogóle nie jeździ samochodem.
– I to jest coś złego?
– Boże, Jerry. Ona ma faceta. Nie martwi cię to w ogóle?
– A powinno?
Liz nie odpowiedziała. Stała przez chwilę nieruchomo, ze wzrokiem spuszczonego na dłoń.
– Przestałem decydować o jej życiu w momencie, w którym wykreśliłaś mnie ze swojego. Już dawno nie mam wpływu na to, co się z nią dzieje. Jak możesz oczekiwać, że będę naprawiał twoje błędy?
– Jerry. Proszę cię... – Smutek w jej głosie zdawał się być szczery i chyba jakaś część mnie otworzyła się na niego.
– No dobrze. Powiedz, co to za jeden?
– Nie wiem. Wiem jedynie, że jest starszy i że robi jej papkę z mózgu.
– Rozumiem, ale czego oczekujesz? Że przepędzę go, jak na dobrego ojca przystało? Przecież już dawno straciłem te przywileje. Nie będę udawał, że jestem dobrym tatusiem. Ona tego nie potrzebuje.
– Boże, Jerry. – Spuściła głowę zrezygnowana. – Chcę po prostu, żebyś z nią porozmawiał.
– Niby jak? Mam zrobić wykład? Może wziąć do siebie na weekend? Przecież ma osiemnaście lat! Najwyższy czas, żeby zaczęła uczyć się na własnych błędach.
– To nie fair, Jerry. Nie po tym, co z niej zrobiłeś.
– Zrobiłem to, co każdy rodzic powinien zrobić dla dziecka. Pokazałem możliwości.
– Tak. Możliwości. Jasne. Gdyby nie nasłuchiwała się tych wszystkich mądrości o świecie, być może byłaby teraz w drodze na studia medyczne. Ale nie,

musiałeś zakwestionować porządek świata, oświecić ją, negując wszystko, czego uczyli jej w szkole, co znała i w co wierzyła. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak nieodpowiedzialne to było z twojej strony?

– Zapomniałaś o telewizji – odparłem.

– Jerry. Na miłość boską. Proszę cię.

– Przecież każdy zasługuje na to, by znać prawdę, czyż nie?

– Oczywiście, ale niekoniecznie kilkunastoletnie dziecko!

– Mamo, wszystko w porządku? – Trish zbiegła po schodach i stanęła jak wryta.

– Tato!?! Co tu robisz?

– Nie powiedziałaś jej? – zapytałem.

– Czasami lepiej niektóre rzeczy przemilczeć.

– Cześć, Pat. Jak widzisz twojej matce nic nie grozi. Jest cała i zdrowa.

– Cześć. Nie spodziewałam się ciebie. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, przyprowadziłabym koleżanki. Jakie teraz wolisz? Brunetki czy dalej blondynki?

– Patricia, na miłość boską! – Liz krzyknęła. – Przestań.

– Dlaczego? Przecież tamta lala miała niewiele więcej lat niż ja teraz?

Prawda, tatusiu?

– Nieźle to wymyśliłaś – rzuciłem do Liz. – Następnym razem spróbuj uprzedzić ofiarę, zanim wciągniesz ją do gniazda. – Odłożyłem nóż, wytarłem ręce w ścierkę i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Daj spokój, Jerry. Nie dramatyzuj – krzyknęła Trisha. – Nie mów, że ci się nie należało.

– Jeremy, proszę cię, zostań. – Elizabeth westchnęła zrezygnowana.

Gdy stanąłem przed frontowymi drzwiami, szepty w jadalni zmieniły się w dyskusję. Pertraktacje trwały tylko kilka sekund. Zanim chwyciłem za klamkę, w korytarzu pojawiła się Trish.

– No dobra. Przepraszam – powiedziała. – Daj spokój, tato. Przecież wiesz, że nie mówiłam serio.

– A gdybym chciał, żebyś przyprowadziła koleżanki?

Pat popatrzyła uważnie, zmrużyła oczy i uśmiechnęła się jak żmija.

– Powiedziałabym, że jesteś starym pierdzielem i nie masz u nich szans. – Podeszła i gruchnęła mi piąchą w ramię, jakbyśmy mieli po pięć lat mniej, a wszystkie minione grzechy były rzeczywiście tylko odległym wspomnieniem.

– No chodź. – Pociągnęła mnie w stronę kuchni.

– Dobrze, już dobrze. Przecież idę. Po co ten pośpiech? – Uśmiechnąłem się.

Napięcie opadło, mogliśmy znów przebywać w jednym pomieszczeniu.

Po kilkunastu minutach przygotowaliśmy sałatkę, sosy i szaszłyki. Zauważyłem, że przebywanie z nimi znów sprawia mi przyjemność. Przez moment czułem się tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali, jakby kłótnie i bitwy nie miały

miejsca. To było miłe złudzenie. Czas zwolnił, a ich uśmiechy rozciągnęły się w pięknej, niezmaconej niczym chwili. Przez ułamek sekundy zdawało się, że naprawdę jestem w domu. Że jesteśmy prawdziwą rodziną, że jesteśmy szczęśliwi. Oczywiście nie trwało to długo. Taśma czasu znów przyspieszyła, a ja zostałem sprowadzony na ziemię.

– Jak ci się podoba mój ford? – zapytała Trish.

– Twój?

– Tak. Frank próbuje wkupić się w moje łaski – powiedziała niemal szeptem.

– Z tego, co pamiętam, Frank to wcale nie taki zły facet – odparłem.

– No nie. W sumie jest OK., ale nie wszystko można kupić za pieniądze, prawda?

– Dlaczego szepczesz? – zapytałem.

Trish spojrzała na uchylone balkonowe drzwi. Z początku nie dostrzegłem nic, ale coś mnie tknęło i do nich podszedłem. Dopiero gdy stanąłem przy szybie i wytyżyłem wzrok, dostrzegłem go. Leżał na leżaku, w krótkich spodenkach, w koszulce bez rękawków i przeciwsłonecznych okularach pozwalających na sen w środku dnia. Piękny i wysportowany. Nawet z tej odległości byłem w stanie rozróżnić kilka grup mięśni na jego ramieniu. Nagle wielka gorąca fala przetoczyła się po mnie od żołądka w górę.

– O niech mnie! – Pat parsknęła rozbawiona. – O nim też mu nie powiedziałaś?

– Jeremy – Liz zwróciła się głosem guwernantki. – Tylko się nie denerwuj. Myślę, że nadszedł czas, żebyście się lepiej poznali. No i zaakceptowali. To znaczy, żebyś ty zaakceptował jego.

– Akceptuję muchy pod wentylatorem. I na tym zasoby mojej tolerancji się kończą. Po co mnie tutaj zwabiłaś?

– Mówiłam ci już – powiedziała, spoglądając ukradkiem na Trish.

Myślała, że jej dyskretna uwaga dotarła tylko do mnie, ale Trish również zrozumiała ten gest

– Zaraz, zaraz... – Pat zaczynała rozumieć. – No, nieźle. Więc teraz to on ma mnie wychowywać? Mamo, mówiłam ci już tyle razy. Na wychowanie jest już trochę za późno. Ja swoje wiem. Jeśli chcesz porozmawiać, proszę bardzo, jestem do dyspozycji, ale nie wysługuj się tatą. Przecież wiesz, że to nic nie da.

– No widzisz, Jeremy. Przemów jej do rozumu.

– W sumie to ma rację. – Próbowałem się bronić. – Elizabeth, musisz jej trochę zaufać.

– Zaufać? – prawie krzyknęła. – Czy ty siebie słyszysz? Co z ciebie za ojciec?!

Zaczynałem mieć tego wszystkiego dość. Bez względu na to, jak bardzo chciałem być dobrym ojcem, wiedziałem, że nie będę w stanie. A już na pewno

nie w tamtym momencie. W obecnej sytuacji nie mogłem poświęcić Pat więcej czasu niż to jedno niedzielne popołudnie.

– Muszę się napić – pomyślałem. – Nie wytrzymam.

– Uspokójcie się! – przerwałem. – Może choć raz wzięłybyście pod uwagę moją osobę, zamiast spychać na mnie swoje problemy?

Na moment zamilkły. Spojrzały tak, jakby zastanawiały się, czy wolno im mnie znokautować. Na szczęście zmęczenie na mojej twarzy było wiarygodnie. Potrzebowałem drinka, i to zaraz.

– No tak. Przepraszam – podjęła Elizabeth. – Przez to wszystko zapomniałam o tobie.

– Podobno chciałaś porozmawiać też o czymś innym? – rzuciłem sucho.

– No tak – odparła, szukając odpowiedniego słowa. Wyglądało na to, że nie zamierzała rozmawiać o mnie. Wyglądało na to, że miała mnie głęboko w gdzieś.

– Wyglądasz jak kupa gówna. – Trish rzuciła bezceremonialnie. – Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Spojrzałem na nią, zastanawiając się, czy kpi, czy mówi serio. Jej oczy były skupione i poważne. Czyżby naprawdę chciała mnie wysłuchać? Czyżby wierzyła, że może mi pomóc? Kochana Trish. Była rzeczywiście naiwnym dzieckiem.

– No dobrze – westchnąłem.

– Mów – ponagliła Trish.

– Nie będę mógł zaprosić cię do siebie, Pat. Ani teraz ani w najbliższym czasie.

– Skąd pomysł, że się do ciebie wybieram?

Spojrzałem wymownie w stronę Liz. Pat błyskawicznie zrozumiała aluzję.

– Mogłam się tego spodziewać – rzuciła. – Ale to nieważne. Powiedz, co się stało? Wyrzucili cię z mieszkania?

– Nie... – powiedziałem. – Nie o to chodzi.

Jej pewność siebie była krzepiąca. W pewnym sensie się nie myliła.

– Liz, proszę cię, podaj nam coś do picia – powiedziałem.

Elizabeth spojrzała na nas, oceniając zasadność prośby, westchnęła i odeszła w stronę barku.

– Pijesz? – Pat szepnęła, odprowadzając matkę wzrokiem.

– Nie, już nie. Nie tak dużo jak kiedyś.

Kiedy Liz oddaliła się wystarczająco daleko, Patricia zapytała.

– Tato? Co się dzieje? – W jej głosie usłyszałem troskę i serce mojej małej Pat.

– Pracuję nad czymś. I robi się dość niebezpiecznie. Być może będę musiał przycząić się gdzieś na jakiś czas, dopóki nie skończę.

– Przecież tutaj nie możesz zostać – szepnęła, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Wiem, ale chciałem was jeszcze raz zobaczyć. Ciebie przede wszystkim.

Nie możesz przestać dawać matce w kość?

– Jest strasznie irytująca. Wiesz przecież.

– Tak, wiem. Ale to twoja matka. A Frank? Traktuje cię dobrze?

Trish obróciła się w stronę ogrodu, jakby bała się, że usłyszy.

– To palant, ale nieszkodliwy.

– To dobrze.

– Chodzi o ten wywiad z Marsiano? – spytała.

– Tak. Myślę, że ktoś mnie śledzi. Dostałem już dwie sesje zdjęciowe z... –

Nie zdążyłem dokończyć.

– Mam tylko brandy – ogłosiła Elizabeth, wchodząc powoli do jadalni.

– Może być – odparłem, przyjmując kieliszek.

– No, a teraz mów. O co chodzi? – podjęła Liz.

Musiałem się chwilę zastanowić. Przyjrzałem się ociekającym ściankom lampki na wino, przechyliłem ją i odstawiłem na stół.

– Chodzi o redakcję.

– O redakcję? – Liz zdawała się nie wierzyć.

– Zrezygnowałem z pracy w redakcji.

– Tato?

– Tak, to prawda. – Spojrzałem im w oczy tak szczerze, jak tylko potrafiłem.

– Dlaczego? Jak masz zamiar się utrzymać?

– Pracowałem w biurze wyborczym, wywalili mnie. Podobno kierownictwu nie spodobało się, że zatrudnili dziennikarza.

– Nie dziwię się – odparła Trish. – Ale co ty robiłeś w biurze wyborczym?

– I co teraz zamierzasz? – Liz zignorowała pytanie Pat. Miałem nadzieję, że nie będzie drążyć.

– Póki co jestem wolnym strzelcem. Udało mi się sprzedać kilka artykułów, ale wciąż szukam czegoś na stałe.

– No dobrze, ale dlaczego właściwie zrezygnowałeś z pracy w redakcji?

– Czytałyście ostatnio Financial Journal?

– Wiesz doskonale, że nie czytujemy takich gazet – Elizabeth odparła z pretensją w głosie.

– Tak, czytałam. – wtrąciła Pat. – Niezle ich wszystkich obsmarowałeś. Za takie coś powinni dać ci awans. – W jej głosie dało się słyszeć nutkę żalu. Zupełnie jakbym opisał ją i jej przyjaciół.

– Zmusili mnie do tego artykułu. Poprawiałem go tyle razy, że w końcu w niczym nie przypominał oryginału.

– A może Frank mógłby ci jakoś pomóc?

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz, Liz? Chcesz, żebym przyjął pomoc od faceta, który sypia z moją żoną?

– Nie jesteśmy już małżeństwem, Jerry. Już od ponad dziesięciu lat, nie

pamiętasz?

Pat wyczuła moment i przejęła inicjatywę.

– W porządku. Nie będziemy się mieszać. Jak będziesz czegoś potrzebował, zawsze możesz na nas liczyć. Wiesz o tym. A teraz, może zaczniemy to przekłete barbecue?

Na zewnątrz było wciąż upalnie. Komary cięły niemiłosiernie, a zapach dymu unosił się powoli i leniwie tuż nad linią wzroku. Frank zdążył wstać, zbudzony zamieszaniem w kuchni. Zanim weszliśmy do ogrodu, nałożył słomkowy kapelusz i stanął nad metalowym grillem.

– Cześć, Jerry! – krzyknął, wymachując metalowymi szczypcami.

Był przystojnym blondynem, prawie o głowę wyższym ode mnie. Jego twarz była wyrzeźbiona wprawniejszą ręką niż moja, bo nawet zlany potem i skąpany w dymie wyglądał lepiej niż ja. Miał silne, masywne ramiona i śnieżnobiałe zęby. W ogóle cały był idealny, przez co jeszcze bardziej działał mi na nerwy.

– Cześć. To miło z twojej strony, że mnie zaprosiłeś – powiedziałem, starając się nie okazywać emocji.

– Daj spokój, nie ma o czym mówić. – Uśmiechnął się szeroko, wyciągając dłoń do uścisku.

– Potrzebujesz pomocy? – Skinąłem na ledwo tłący się żar.

– Jasne. Dzięki. Nigdy nie byłem dobry w te harcerskie sztuczki.

– Ja też nie, ale mogę spróbować – odparłem poirytowany samym faktem, iż nie potrafił wykonać nawet tak prostej czynności. Byłem pewny, że wszystko w tym domu robili emigranci, od drobnych napraw po strzyżenie trawnika.

– I to ten facet zastąpił mnie u boku Elizabeth? – pomyślałem.

– Patsy mówiła kiedyś, że kiedy była mała, byliście razem w Yellowstone – powiedział, zupełnie jakby tamta część jej życia była nieistotnym epizodem. Moja pięść mimowolnie zacisnęła się na metalowych szczypcach. Wygięły się odrobinę, ale chyba tego nie zauważył, bo ciągnął dalej.

– Zawsze mówiła, że byłeś świetnym ojcem.

Moja ręka drgnęła, dotykając rozgrzanego już nieco rusztu. Nie usłyszałem syknięcia, ale moja skóra je poczuła.

– Cholera! – krzyknąłem. – Niech to szlag! Masz lód? Poparzyłem się.

– Jasne, zaraz przyniosę.

– Przyniesie – pomyślałem. – Nie zawoła Liz, tylko przyniesie. Boże, Frank, jesteś tak słodki, że zbiera mi się na mdłości.

– Musisz uważać, tatko – powiedziała Trish, przykładając puszkę zimnego piwa do miejsca, w którym kremowa kreska ozdobiła skórę.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. To może teraz powiesz, po co masz pendrive'a zawieszzonego na szyi?

– Cicho – szepnąłem, zerkając, czy Liz nie patrzy. Była zajęta rozkładaniem sztuców.

– No więc? – podniosła puszkę, jakby chciała wynegocjować coś moim bólem. Dłoń momentalnie zaczęła piec.

– No dobra, już dobra – powiedziałem, a ona wydzieliła mi znów trochę ulgi w puszcze.

– Pamiętasz, jak przetrząsnęli moje mieszkanie po rozmowie z Marsiano?

– No pamiętam.

– To już wiesz, dlaczego nie chcę, żeby coś znaleźli w moim mieszkaniu.

– A czego mieliby tam szukać? – spytała.

– Zdecydowałem się opisać tę aferę.

– Zwariowałeś? – podniosła na moment głos.

– Cicho! – syknąłem. – Lepiej, żeby matka nie wiedziała.

– No dobra, ale po co ci to na szyi? Masz tam jakąś listę łapówkarzy?

– Niezupełnie – przyznałem i wróciłem do przewracania węgla.

– Jerry? – Trish wróciła do oskarżycielskiego tonu.

– Piszę książkę – odparłem niby mimochodem.

– Słucham? Książkę? Jaką?

– O korupcji. Pierwszy rozdział jest o Marsiano.

– Znów prosisz się o kłopoty. Więc to dlatego cię śledzą?

– Tak. Mam w domu zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Wysłali mi... – powiedziałem i zamarłem.

W tle, za krawędzią dachu, kilkaset metrów od nas dostrzegłem błysk soczewki. Nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie to, że mignęła z okna, które w połowie było zacienione. Ktoś wychylił się z lornetką, lunetą lub obiektywem, przechwytyjąc przypadkiem przebiegający promień światła.

– Wysłali ci... Co? Co ci wysłali? – Pat niecierpliwiła się.

– Zdjęcia z pochodu podczas zjazdu Republikanów – odparłem, próbując ją zbyć.

Nagle dotarła do mnie powaga sytuacji. Jak mogłem do tego doprowadzić? Ludzie Marsiano wciąż deptali mi po piętach, a ja doprowadziłem ich pod dom mojej rodziny.

– Jerry? Halo? Co ci się stało? – głos Pats wyrwał mnie z odrętwienia.

– Przepraszam, zamyśliłem się. O co pytałaś?

– O nic. To ty zamarłeś wpół zdania. Co to za zdjęcia?

– Zdjęcia z pochodu, kiedy zbierałem materiał do artykułu. No i kilka fotek ze mną w towarzystwie jednego z pracowników biura wyborczego.

– W towarzystwie? Mów po ludzku! Chlałeś z nim, tak?

– No tak. To też.

– No i co z tego? Przecież nie sprzedawał ci żadnych tajemnic wyborczych, prawda?

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na nią i wróciłem do przewracania brykietu.

– Jerry?

– Słucham.

– Co dokładnie robiłeś z tym człowiekiem?

– Mówiłem ci. Piszę książkę – odparłem. Pats zbladła.

– O wyborach? Tych wyborach? Prezydenckich?

– Tak.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Frank wyłonił się z salonu z wiaderkiem pełnym lodu w lewej ręce i workiem na opatrunek w prawej. Musiałem zastanowić się przez chwilę, pomyśleć o Marsiano, o szpiegu i o tym, co powiedzieć Trish, ale wyglądało na to, że tego dnia nie wszystko pójdzie po mojej myśli.

– Przepraszam, że tak długo, ale Elizabeth mnie zatrzymała.

Spojrzałem na ogród. Faktycznie. Liz nie było. Z pewnością zdążyła już powiedzieć mu, dlaczego wyglądałam, jak wyglądałam.

– Tego tylko brakowało, współczucia od Męża Doskonałego.

– Już w porządku – odparłem i oddałem córce zimną puszkę. – Trish mnie poratowała – dodałem.

Pat stała jeszcze chwilę nieruchomo, jakby zastanawiała się nad ważną życiową decyzją.

– Idę po mięso – powiedziała w końcu i odeszła.

– Słyszałem, że jeździsz ostatnio w delegacje – zapytałem, żeby wypełnić ciszę.

– Tak, mamy dużo otwartych projektów i wciąż nie mogą się zdecydować, który jest ważniejszy.

– Elizabeth mówiła, że miałaś być dziś na wyjeździe.

– Tak, ale go odwołali.

– Coś się stało?

– To zależy co masz na myśli?

– Nie mam na myśli nic konkretnego. – Tak naprawdę nie obchodziło mnie, gdzie i po co Frank wyjeżdżał. Chciałem po prostu dotrzeć do końca tej niefortunnej imprezy.

– Mamy problemy z drugą fazą projektu. Kontrahent skarży się na cenę energii.

Ostatnie słowo rozbrzmiało złowrogim dźwiękiem.

– Energii? – pomyślałem. – Czy on powiedział energii?

– Hmm... To musi być większa firma, skoro odpuszczacie projekt z tak błahego powodu.

Frank nie odpowiedział. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupio.

– Dużo macie tych kontraktów? – zapytałem.

– Tak, dość sporo. Na dzień dzisiejszy jesteśmy największym zagranicznym inwestorem w sektorze energetycznym Indii.

– To ciekawe – przyznałem, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie zainteresowałem się, skąd facet mojej byłej żony bierze cały ten szmal.

– W sumie to nigdy nie pytałem, ale powiedz mi, Frank, dla kogo pracujesz?

– Nie mówiłem? – spytał zdziwiony. – Enron, Jeremy. Enron! – Duma w jego głosie była irytująca.

Był to przecież ten sam Enron, którego prezes przewijał się zarówno w liście Carla, jak i w raporcie TJP. Była to ta sama korporacja, która według Center for Public Integrity była największym darczyńcą kariery Busha1. Zastanawiałem się, czego jeszcze nie wiem o mężu mojej żony i czego mógłbym się dowiedzieć. W jednej chwili wszystkie jego zalety i cała miażdżąca przewaga przestały się liczyć. Był dzieckiem systemu, jednym z tych, przeciwko którym postanowiłem wnieść chorągiew. Przedemną stał drapieznik, jedna z wielu hien pastwiących się nad ciałem konającej demokracji.

– No tak, to dość prężna firma – powiedziałem. – Pozwól, że zapytam cię o coś. Nad czym teraz pracujecie?

– Mamy kilka otwartych projektów.

– Na przykład?

– Poza realizacją drugiego etapu projektu elektrowni w Dabhol mamy też dwa mniejsze przedsięwzięcia. Budujemy terminal gazu płynnego przy nowej elektrowni i tankowiec pod płynny gaz z Omanu i Emiratów Arabskich.

– To brzmi dość ciekawie – powiedziałem.

– Tak, przyznam, że to naprawdę ekscytujące.

– Pewnie dużo podróżujesz.

– Tak, ale niestety głównie do Indii.

– Do Dabhol?

– Tak, mój oddział nadzoruje budowę elektrowni.

Przewrócił ostatnią parówkę, odwrócił się i spojrzał na dziewczyny rozkładające nakrycia.

– Możesz nałożyć? – zapytał.

– Jasne.

– Dobrze, tylko pójde po piwo.

Zanim oddalił się na odległość kilku metrów, Trish znów stała obok.

– Widzę, że się dogadujecie – spytała bezceremonialnie. Wzięła szczypcę i zaczęła nakładać befsztyki na pustą kratownicę między kiełbaskami.

– Tak... Frank wydaje się być w porządku – wydusiłem.

– Tak... – potwierdziła, kiwając głową.

- Coś w jej głosie nie spodobało mi się.
- Coś przede mną ukrywasz, Trish.
 - A znasz kobietę, która nie ukrywa czegoś przed mężczyznami, a tym bardziej przed ojcem?
 - Przestań się zgrywać, wiesz, o czym mówię.
 - Nie, nie wiem – odparła, wydłużając strategicznie ciszę.
 - A ten twój facet? Co to za jeden?
 - Nick?
 - Jeśli tak się nazywa.
 - Zwykły chłopak. Jest cztery lata starszy i według matki stanowi wielkie zagrożenie.
 - Nie jest czasami aktywistą?
 - Może jest, może nie jest. Co ci do tego? Od kiedy to interesujesz się moim życiem miłosnym?
 - Od czasu, kiedy posmakowałem, czym grozi aktywizowanie się – odparłem. Podrapałem się po piersi, wskazując dyskretnie wypukłość poniżej rozpiętego kołnierza.
 - No dobra. Co chcesz wiedzieć?
 - Chciałbym wiedzieć, czy ten twój Nick bawi się w coś więcej niż tylko przypinanie łańcuchem do barierek.
- Trish spojrzała na mnie, potem na idącego w naszym kierunku Franka. W ręce miał przenośną lodówkę zapewne pełną piwa. Naturalnie wiedziałem już, że nie będę pił ani tego dnia, ani następnego.
- Powiem tak – rzuciła Pat. – Jeśli szukasz materiałów do książki, to dobrze trafiłeś. Nick z pewnością pomoże.
 - Obawiałem się, że to powiesz – przyznałem.

Napełniliśmy półmisek mięsem, siedliśmy przy stole i oboje do późnego wieczora udawaliśmy, że się świetnie bawimy, że nic się nie stało, a wszystko to jest spektaklem, grą, w którą ich dyskretnie wciągnąłem. Liz i Frank również postanowili zagrać i twardo trzymali się ról, nie wykraczając poza wąski margines typowych dla nich zachowań. Byliśmy jak grupka znajomych o specyficznym rodzaju relacji. Nasze problemy były jedynie wybojami na drodze do celu. Przeszłość jedynie epizodem. I tylko czasami, gdy nasz wzrok spotykał się między słowami, dało się odczuć, że wszystko to jest jedynie spektaklem i grą, a to, co im powiedziałem to zaledwie początek wielkiej sceny, której nie chciałem, póki co, odsłonić.

Wracając do pustego mieszkania poprzez mroczne ulice przedmieść nie mogłem pozbyć się obrazu wycelowanego we mnie obiektywu. Człowiek Marsiano nie celował jedynie w moją stronę. Jego obecność stanowiła zagrożenie nie tylko dla mnie, ale i dla mojej rodziny. Obiecałem Patricii, że odezwę się, kiedy tylko

szum wokół przycichnie, ale wszystko wskazywało na to, że nie nastąpi to zbyt szybko. Musiałem zająć się sprawą Marsiano, zanim on zechce zająć się mną, zanim wydarzy się coś, co skrzywdzi Liz i Pat.

Wiedziałem, że bez względu na to, co postanowię, wciąż będę trzymał się roli. Najmniejsza zmiana w zachowaniu mogłaby wywołać podejrzliwość i zagrozić bezpieczeństwu dziewczyn. Choć mój kamuflaż nie zdał egzaminu, musiałem trwać w tej roli, dopóki nie wymyślę bardziej aktywnego rozwiązania.

X. Atak

W drodze do mieszkania zahaczyłem o monopol i zaopatrzyłem się w butelkę czystej wódki. Po wejściu do mieszkania przelałem jej zawartość do innej, równie jednoznacznej szklanej formy, po czym wypełniłem ją wodą z kranu i postawiłem na biurku. Symulowanie picia wódki było nieco ciekawsze, niż pochłanianie soku jabłkowego z colą. Przy każdym łyku z szerokiego, wypełnionego do połowy szkła, robiłem kwaśną minę lub spoglądałem tępo w ścianę. W zasadzie szło mi całkiem nieźle. Od kiedy zacząłem skutecznie ten zwyczaj, minęło już kilka dni i z dziwną satysfakcją odnotowałem, że obramowanie rozświetlonych lampą drzwi balkonowych przyjęło ostatecznie funkcję kinowego ekranu. Dla kilkorga znudzonych sąsiadów z naprzeciwka stałem się alternatywną formą rozrywki, przewidywalną, a jednak nieporównywalnie bardziej realistyczną niż telewizja. Nie wiem, czy mój szpieg również dokumentował ten wieczór, ale nie miałem wyboru. Byłem uwięziony w roli, którą sam stworzyłem. Poza tym zauważyłem, że z czasem zaczynałem się w tym wszystkim gubić, więc jeśli ja byłem w stanie uwierzyć we własną kreację, to dlaczego on nie miałby?

Następnego dnia pracowałem od rana do późnego popołudnia. Nieogolony, lekko śmierzący ruszyłem w kierunku pralni samoobsługowej na rogu. Byłem zadowolony z kilkugodzinnej pracy i niemal zapomniałem o incydencie z obiektywem. Kiedy siedziałem naprzeciw dygoczącej maszyny, czekając cierpliwie na swoją kolej, przez zapadający zmrok i szklaną szybę dostrzegłem znajomą postać po drugiej stronie. Mężczyzna przyodziany był w czarny, skórzany kombinezon motocyklisty i wychodził właśnie z mojej klatki schodowej. Gdy wyteżyłem wzrok i przyjrzałem się bliżej jego ciemnej, opalonej twarzy, dostrzegłem rysy człowieka z aparatem. To nie mógł być nikt inny.

Fotograf podszedł do zaparkowanego przy chodniku motoru, zatrzymał się, rozejrzał na lewo i prawo, spojrzął na komórkę, po czym wsiadł na jednoślad, założył kask i odjechał.

W zasadzie powinienem był być spokojny. Nawet jeżeli mnie obserwował, to z pewnością nie wiedział, że mam dobry podgląd na wejście do budynku, a co za tym idzie nie podejrzewał, że i ja go obserwuję. Z drugiej strony po co miałby zbliżać się do mojego mieszkania? Czy po to, by szukać dowodów? Czy miał już dość śledzenia i chciał znaleźć coś, co zakończy ten cyrk? A może sądził, że jestem w środku?

Nagle dotarła do mnie najbardziej oczywista możliwość: Marsiano zlecił mu wyeliminowanie mnie. Na samą myśl o tym zimny dreszcz przebiegł mi po skórze. Oczyma wyobraźni dostrzegłem zmyślny mechanizm i iskrę w nim. Widziałem, jak odpala ulatniający się z kuchenki gaz i wysadza pół piętra w powietrze. Czułem,

jak zimny pot wykwita na czole, karku i plecach. Wyobraziłem sobie samotny wieczór i posiłek, w trakcie którego dławię się rozpaczliwie własną śliną, uderzam pięścią w stół i spoglądam na szklankę soku z rozpuszczonym arsenikiem na dnie.

Chwyciłem odruchowo zawieszony na szyi pendrive'a i wziąłem długi, głęboki oddech. Po chwili dotarło do mnie, że tak naprawdę pytanie, które powtarzało się jak echo w tych wizjach brzmiało: co z książką? Co z tekstem? Ściskając kurczowo zawieszony na szyi metal, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę liczyła się tylko książka, jedynie ona miała rację bytu w świecie tak ulotnym jak ten.

– Pierze pan czy nie? – zapytała paskudna, otyła kobieta z szarpiącym ją za nogawkę dzieckiem.

Zignorowałem ją. Wstałem i podszedłem do okna. Bez względu na wszystko musiałem sprawdzić mieszkanie. Nie mogłem po prostu stać tam i czekać. Nawet jeśli nie zaaranżował dla mnie żadnej niespodzianki, szansa na to, że wszedł do środka, była zbyt duża.

– A co jeśli znalazł alkohol? – pomyślałem.

W szafkach, w różnorodnych pojemnikach tkwił skład whisky gromadzony od przeszło trzech tygodni. Jeśli go znalazł, byłem skończony. Co prawda pijaństwo różne ma oblicza, ale nikt chyba nie widział jeszcze alkoholika z tak potężnym zapasem alkoholu. Jeśli go znalazł, byłem spalony.

Poderwałem się z miejsca, chwyciłem za torbę i wyszedłem na zewnątrz, zostawiając ubrania w pralce ich własnemu losowi. Przechodząc przez jezdnię miałem jeszcze nadzieję, że nie wszedł do środka, że po prostu wsunął kolejne zdjęcia pod drzwi i odszedł. Jakiś samochód zatrąbił i minął mnie, a kierowca wysunął zaciśniętą pięść za szybę i krzyknął coś. Stałem na środku jezdni, czekając, aż dwa kolejne wozy przejadą, po czym dotarłem do chodnika, wszedłem po schodach i przekręciłem klucz w drzwiach.

W długim korytarzu panował mrok. Sięgnąłem po przełącznik, ale światło znów nie działało. Najwyraźniej ktoś ukradł żarówkę. Gdy podszedłem do schodów prowadzących do góry, dostrzegłem wątłe światło palące się na wysokości pierwszego piętra. Zatrzymałem się. W ciszy pustego korytarza usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Stałem pod ścianą i wspiąłem się na kilka stopni. Spojrzałem w kierunku moich drzwi. Były uchylone. Ktoś plądrował mieszkanie. Nagle drugi, tym razem głuchy odgłos oznajmił, że półka z książkami runęła. Nie było wątpliwości, ktoś próbował na nowo zaaranżować mój salon. Po chwili drzwi poniżej uchyliły się, a z mroku za nimi wyłoniła się skupiona twarz mężczyzny. Scott nie wyglądał na przestraszonego. Jego milczące, poważne oblicze mówiło jedynie o czujności i opanowaniu.

– Daj pan spokój – szepnął. Jego twarz zmieniła wyraz na bardziej łagodny i mógłbym przysiąc, że pojawił się przede mną inny człowiek. – Niech pan nawet

nie próbuje tam iść – dodał. – Zrobią swoje i wyjdą.

– Widział ich pan? – spytałem, starając się nie spuszczać wzroku z drzwi.

– To te gnojki, którym utarł pan ostatnio nosa. Mieli nałożone kominiarki, ale wszędzie poznałbym te paskudne gęby. To na pewno oni.

Siłą rzeczy nie mógł wiedzieć, kto jest w środku. Mógł to być każdy, nawet uliczny menel, którego ktoś wpuścił na klatkę.

– Jest pan pewien, że to te szczeniaki? – szepnąłem, stawiając stopę na kolejnym stopniu.

– No tak, przecież panu mówię. Niech pan się nie wygłupia – powiedział, zwracając się do moich butów. Stałem już dość wysoko i nie zamierzałem zostawić tego bez komentarza.

– Dajże pan spokój – powiedział. – Żaden z pana wojownik.

Zatrzymałem się. Przecież miał zupełną rację. Spojrzałem na zdziwioną, niemal uśmiechniętą twarz i zrobiłem krok w dół. Przeliczyłem szybko, co mogą ukraść złodzieje. Książki były raczej bezpieczne, a laptop nie był już wiele wart. Pomyślałem, że może rzeczywiście lepiej byłoby pozostawić sprawę policji. Ale z drugiej strony przecież to było moje mieszkanie. Myśl o tym, że jacyś gówniarze plądrują moje mieszkanie, wydała mi się potwornie upokarzająca.

– Gra pan w bejsbol? – szepnąłem, na co Scott skinął. – Potrzebuję kija na kilka minut. – Cofnąłem się o kilka stopni w dół i stanąłem przed nim. Był wyraźnie rozbawiony.

– A pan myśli, że oni przyszli bez broni? – zapytał. – No chodź pan do środka. Przecież nie będziesz pan stał i czekał tutaj. – Poklepał mnie po ramieniu i otworzył szeroko drzwi do swojego mieszkania.

– Co za idiota ze mnie! – pomyślałem. Przecież miał rację. Poprzednim razem po prostu mi się udało. Wystarczyłoby, żeby którykolwiek z nich miał nóż. Wystarczyłoby ich dwóch. Czy warto było ryzykować? Przecież to co najważniejsze miałem przy sobie.

Położyłem dłoń na klatce piersiowej, sprawdzając, czy pendrive wciąż spoczywa na miejscu. Scott bezbłędnie wychwycił ten gest. Przymrużył oczy tylko na moment. Nie chciał epatować spostrzegawczością, ale i tak zauważyłem, że coś podejrzewa.

Nagle drzwi do mojego mieszkania uchyliły się, a ciepłe światło rozlało się po obu piętach. Twarz Scotta rozjaśniła się nieco i jedynie kątem oka dostrzegłem jego szelmowski uśmiech. W ostatnim momencie, zanim czwórka mężczyzn wytoczyła się z progu, wpadłem przez próg do mieszkania przede mną. Rory zamknął drzwi. Zrobił to szybko i bezszelestnie. Stał plecami do drewnianej powierzchni, oparł się o nią i skrzyżował ramiona na piersi. W środku panował półmrok. Nikłe światło dobiegające z głębi mieszkania oświetliło uśmiechniętą, lekko drwiącą twarz sąsiada. Stałem oparty o ścianę, próbując nie wydawać

z siebie głosu, ale nagły skok adrenaliny bezlitośnie podniósł mi tętno i zacząłem sapać. Rory przyglądał mi się z zainteresowaniem, gdy zza progu dobiegło nas głuchoe odgłosy stąpania zbiegających w dół intruzów. Po chwili tupot ucichł i rozległo się ostateczne trzaśnięcie drzwiami. Wyglądało na to, że włamywacze przebiegli przez korytarz i zniknęli na zewnątrz.

– Czego pan się napije? – spytał, zapalił światło i ruszył w kierunku kuchni. Najwyraźniej nie widział potrzeby, by wracać na górę ani też sprawdzać, jakie były skutki włamania. Przyłożyłem ucho do drzwi, ale po drugiej stronie panowała cisza. Rzuciłem jeszcze raz na nie okiem i wszedłem powoli do salonu.

– Jestem Jerry – powiedziałem. – Proszę mówić mi po imieniu.

– Jerry. Tak, tak. Jerry Dawson – krzyknął z kuchni. – Słynny dziennikarz.

Jego komentarz poruszył coś we mnie, uruchamiając nikły, ledwo słyszalny alarm gdzieś na dnie. Odwykłem od rozpoznawania mnie przez obcych ludzi, a on nie wyglądał na człowieka, który czytałby Financial Journal. Poza tym zauważyłem coś jeszcze. Jego głos na moment zniekształcił się, a akcent stał się twardszy, odsłaniając pozostałości jakiegoś wschodniosłowiańskiego dziedzictwa. Rory Scott zdecydowanie nie pochodził stąd.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zdziwiony – powiedział, stojąc w drzwiach. – Przecież zamieszczacie przy artykułach zdjęcia autorów, tak?

– Kto powiedział, że jestem zdziwiony.

– Nie musisz mówić, widzę to po twojej twarzy.

– No tak, ale już tam nie pracuję.

– A to szkoda. Wielka szkoda, nie pisałeś wcale tak źle, Jerry.

– Muszę zadzwonić na policję – powiedziałem, podchodząc. – Masz telefon?

W moim padła bateria.

– Chcesz zadzwonić na policję? I czekać godzinę, zanim przyjadą? Lepiej odpuść. Słuchaj. Jak tak bardzo chcesz tam iść, pójdziemy razem. Ale może najpierw coś dla kurażu, co? – Wyjął z szafki ciemną, litrową butelkę i dwie szklanki.

– No to jak? Napijemy się? – zapytał, nalewając po setce.

– Na miłość boską, właśnie włamali mi się do mieszkania... – powiedziałem.

Scott zignorował to i podał mi literatkę. Chciałem zaprotestować, powiedzieć coś, ale byłem zbyt zestresowany i potrzebowałem czegoś, by ukoić nerwy.

– Swojska? – spytałem, wiedziony znajomym zapachem.

– Wiem, wiem. Też taką lubię. Nie ma to jak swój wyrób. To nie to samo, co te firmowe szczynty – Podał mi szklankę i uśmiechnął się. Po raz pierwszy od kiedy kilkanaście dni wcześniej przestałem pić, moja ręka zadrżała. Podniosłem szklankę i wychyliłem ją jednym haustem. Scott obserwował mnie czujnym wzrokiem.

– Dobrze, prawda?

– Dobrze – skłamałem i przetarłem dłonią spalone usta.

– No dobrze. A teraz... – Rory otworzył szufladę, wyciągnął półautomatyczny pistolet, sprawdził magazynek i przeładował. – No to jak? Idziemy?

– Czy to na pewno potrzebne? – Wskazałem na broń. Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, wchodząc do jego mieszkania. Wschodni akcent znikł, wydając się tylko złudzeniem, ale pistolet, naprawdę wielki pistolet, znów uruchomił alarm w mojej głowie.

– Nigdzie się bez niej nie ruszam. W końcu po to dopisano dwunastą poprawkę, żebym mógł postrzelać sobie do włamywaczy, prawda?

Pokręciłem głową, spoglądając na pistolet w jego dłoni. Zastanawiałem się, czym mnie jeszcze zaskoczy. Rory wskazał lufą drzwi. Dopiero gdy ruszyłem w stronę wyjścia, podążył za mną.

Moje mieszkanie wyglądało, jakby przebiegło przez nie stado bydła. Na podłodze, kanapie i meblach wały się ubrania, książki i kilka wypełnionych alkoholem butelek. Wyglądało na to, że kolekcja whisky była ich najcenniejszym łupem. Zniknęła również większość nielicznych wartościowych przedmiotów. Po komputerach pozostały jedynie puste ślady na zakurzonych blatach biurka i ławy. Cały sprzęt grający i większość płyt również zniknęły. Jedynie kilka książek pozostało na miejscu. Notatki na setkach stron warte były więcej niż wszystkie komputery, które kiedykolwiek znajdowały się w tym mieszkaniu. Kiedy podniosłem biblioteczkę i ustawiłem ją z powrotem pod ścianą, poczułem ulgę. Wszystkie najważniejsze źródła mojej książki były bezpieczne. Wyglądało na to, że było to zwykłe włamanie. Możliwe, że Rory miał rację.

– Niezły burdel – przyznał lakonicznie.

– I tak zamierzałem tu posprzątać – skłamałem.

– Z tego, co widzę, długo się do tego zabierałeś – mówiąc to uśmiechnął się, odkrywając rząd równych zębów. Podniósł z podłogi książkę i na moment zastygł zaintrygowany. Najwidoczniej dostrzegł zapisaną ołówkiem stronę, bo obrócił ją w moim kierunku i zapytał:

– Widzę, że dużo czytasz.

– Czytałem. Jak widzisz to dość stare książki.

– Ano widzę, widzę. Przynajmniej z tego cię nie okradną – podniósł kciuk i wskazał swój łysiejący skalp.

– Tak. To prawda – odparłem, tracąc na moment zainteresowanie. Mój wzrok przykuło coś innego. W sypialni, na wysokości łóżka, do lustra przyklejone były trzy fotografie. Podeszedłem i oderwałem je. Fala gorąca przeszła po ciele. Na zdjęciach zobaczyłem siebie przy niedzielnym stole w ogrodzie Elizabeth, z sosem sałatkowym na koszuli, spodniach i połowie ogolonej twarzy. Scenka ta rozegrała się tuż przed powrotem do domu, podczas mojej wizyty na przedmieściach. Fotograf obserwował mnie przez okrągłe dwie godziny mojego pobytu tam.

Marsiano ponownie udowodnił to, czego nie chciałem przyznać – nie odpuścił i nie zamierzał odpuścić. W dodatku po raz pierwszy wydał się na tyle zagrożony, że posunął się o krok dalej. Nie chciałem nawet myśleć, co stanie się, jeśli zdecyduje się posunąć o kolejny krok.

Odkleiłem zdjęcia i przejrzałem je dokładnie. Scott przerwał zwiedzanie pobjowiska i bezszelestnie się zbliżył. Zanim wsunąłem je do kieszeni, spojrzałem na rewers jednego. Scott stanął tuż obok. Na odwrocie fotografii widniał komentarz.

– „Twój ruch” – Rory przeczytał na głos. – O niech mnie, Jerry? Czyżby jakaś mała vendetta?

– Słucham? – spytałem, wyrwany z zamyślenia.

– Wygląda na to, że masz wielbiciela.

– No, tak. Na to wygląda – odparłem poirytowany. Byłem zły na siebie, że zobaczył te zdjęcia i że zdołał mnie podejść. Byłem zdecydowanie zbyt nieostrożny.

Sąsiad podrapał się łufą po czole i westchnął. Nie był tak zdziwiony, jak powinien być. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby wiadomość na fotografii pokrzyżowała jego plany.

– No cóż, nic tu po mnie – stwierdził. – Jakbyś czegoś potrzebował, daj znać.

– Potrzebuję kogoś do posprzątania tego burdelu – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Rory, ominął rozsypane na podłodze graty i zniknął za progiem.

Minęło trochę czasu, zanim zdecydowałem się zadzwonić na policję. Nie chciałem, żeby ktokolwiek więcej węszył w moim mieszkaniu. Z drugiej strony wiedziałem, że jeżeli nie zgłoszę włamania, ktoś mógłby zacząć zastanawiać się, dlaczego nie zadzwoniłem. Kusiło mnie, by skorzystać z wizytówki, którą zostawili u mnie Erkens i Brasher. Na szczęście obyło się bez tego.

Gdy zadzwoniłem i przekierowali mnie do wydziału włamań, oficer dyżurny poinformował mnie, że tego wieczoru nie mają już wolnych ludzi. Obiecał wysłać kogoś następnego dnia z rana. Kiedy nazajutrz pojawiło się dwóch mundurowych, odetchnąłem z ulgą. Żaden mnie nie znał i najwidoczniej nie chciał znać. Byłem bezpieczny i mogłem rozpocząć realizację nowego planu. A plan ten był prosty: musiałem zniszczyć Donny’ego Marsiano.

Gdy mundurowi wyszli, zamówiłem ślusarza celem wymiany wątpliwej jakości zamków. Po udanej konserwacji domowych zabezpieczeń zamknąłem sprofanowaną przestrzeń i wyruszyłem po nowy sprzęt do pisania. W sklepie komputerowym kupiłem nowego, tym razem taniego laptopa, a przez Internet zamówiłem wysokiej jakości lustrzankę. Obiektów przypominający bardziej teleskop niż aparat nie był może zbyt zgrabny, ale wiedziałem, że zmieści się w plecaku i dzięki temu będę mógł zawsze wynieść go z domu bez wzbudzania

podejrzeń.

Aparat przyszedł już po dwóch dniach, więc nie zdążyłem nawet dostosować odgrywanej przez siebie roli do zmian, które musiałem wprowadzić. Od czasu włamania wyszedłem na zewnątrz zaledwie dwa razy, a musiałem przecież wprowadzić ten zwyczaj na stałe do harmonogramu zajęć. Mój plan zakładał bowiem wycieczki krajoznawcze z aparatem tak częste, jak to możliwe, najlepiej uskuteczniane co wieczór.

Włamanie okazało się punktem przełomowym. Zmusiło mnie do podjęcia działań, a z punktu widzenia obserwatora usprawiedliwiało nawet nowe, niezwykle zachowanie.

Jak każdy kreujący swą postać aktor chciałem, by była żywa i reagowała na wszelkie zmiany sytuacji. Musiałem więc pokazać, że rytm mojej egzystencji został zaburzony, że zagrożenie, o którym się właśnie dowiedziałem, wpędziło mnie na drogę prowadzącą do paranoi.

Z drugiej strony zaczynało mi również brakować ludzi. Czerpałem z pisania wiele satysfakcji, ale brakowało mi kojącego szumu nocnego życia w zagłębieniu barów, knajp i klubów. Brakowało mi pulsu miasta. Gdy siadałem na ławce, patrząc na wszystkich mknących gdzieś dorobkiewiczów płynących w tłumie, przedzierających się przed siebie, próbowałem zdefiniować siebie i znaleźć miejsce w roju. Patrząc na nich widziałem siebie i wszystko, czym się od nich różniłem. Nie potrafiłem wyobrazić sobie ich bez drogich garniturów z Włoch, szwajcarskich zegarków, tanich taksówek i pobudzających koktajli kofeinowo–nikotynowych. Zastanawiałem się, jak będą wyglądać ci beztroscy imprezowicze epoki post–neokolonialnej, jak będą bawić się bez afrykańskiej i bliskowschodniej ropy i gazu, skąd będą czerpać radość i natchnienie. Być może czeka nas nowy rozkwit sztuki malarskiej na kamiennych ścianach jaskiń lub betonowych ruinach blokowisk. Być może wrócimy do natury i zajmiemy się zbieractwem na skalę masową. Będziemy zbierali idee i wspomnienia z czasów minionego dobrobytu.

Myśli tego rodzaju nawiedzały mnie co kilka dni, podobnie jak tęsknota do całego tego mknącego ku zagładzie świata. Kiedy tęsknota mijała, powracałem do tego, co naprawdę ważne: do pisania, śledzenia i dokumentowania.

Od kiedy odebrałem przesyłkę z aparatem w środku, codziennie, pod pretekstem roznoszenia podań o pracę, wylaniałem się ze swej nory i ruszałem w teren. Starłem się nie przyciągać uwagi i zawsze sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi, a gdy w końcu nabrałem pewności, że nie jestem obserwowany, zacząłem podjeżdżać w okolice domu Marsiano.

Robiłem to zazwyczaj wieczorem, ale zdarzały się też nocne obserwacje. Zazwyczaj parkowałem w dyskretnej odległości i rejestrowałem na kliszy wszystko, co mogło w choć niewielkim stopniu oczernić polityka.

Przez długi czas nie uchwyciłem ani jednego wartościowego ujęcia. Dopiero

pod koniec września nadarzyła się pierwsza okazja. Któregoś wieczoru po spektakularnej kłótni jego żona wymaszerowała z domu z wielką walizką, wsiadła do zaparkowanej przed domem taksówki i odjechała. Niespełna godzinę później pod dom Donny'ego podjechał ciemny mercedes klasy S, z którego wyłoniła się elegancko ubrana kobieta. Miała na sobie obcisłą, krótką sukienkę, a jej kruczo-czarne, lśniące włosy opadały na odkryte zmysłowe plecy. Mężczyzna, który jej otworzył, był nieco mniej elegancko przyodziany. Donny miał na sobie tylko satynowy szlafrok. Kobieta przeszła powolnym, kocim krokiem pod drzwi Donny'ego, przejechała dłonią po jego twarzy, minęła go i weszła do środka. Gdy drzwi się zamknęły, czarna limuzyna odjechała. Była to moja pierwsza długa noc z obiektywem i przyznam szczerze, że dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego mój zmotoryzowany prześladowca trudnił się tym właśnie zajęciem. Dreszcz emocji był niesamowity. Nawet kilkugodzinne wyczekiwanie nie odebrało satysfakcji, jaką dał moment, gdy pociągnąłem za spust migawki. Kierowca czarnego mercedesa wrócił po mniej więcej trzech godzinach. Wychodząca z willi długowłosa brunetka miała na piersiach srebrny naszyjnik i wyglądała nie mniej szykownie niż wcześniej. Była seksowną, piękną kobietą w wieku między dwadzieścia a trzydzieści lat. Nawet gdyby brukowce obsmarowały Donny'ego podczas rozvodu po przeszło trzydziestu latach małżeństwa, to chyba nie przejąłby się tym zbytnio. Tamtego wieczoru sprawiał wrażenie szczęśliwego. Gdy tak patrzyłem na jego rozmarzony wzrok, śledzący pośladki prostytutki, zrozumiałem, że ten spuszczonej ze smyczy samiec jeszcze nie raz skorzysta z usług call girls. Jeśli miałem mieć jakąkolwiek szansę na pogrążenie go, to właśnie na tym musiałem się skupić.

Przez kilka pierwszych dni października zjawiałem się pod domem Marsiano co wieczór. Czasami pojawiali się tam podobni mu krawaciarze, panowie po czterdziestce w okularach i drogich garniturach. Czasami podjeżdżali motocykliści, w dżinsach, mokasynach i skórach. Na oko wyglądali na członków któregoś z okolicznych gangów handlujących bronią lub narkotykami. Zdarzały się też imprezy, podczas których zjawiali się ci pierwsi lub drudzy w towarzystwie azjatyckich przyjaciół o dość liczebnej eskorcie. Wyglądało na to, że Donny nie próżnował i w dodatku czuł się niezagrożony. Ze zdumieniem obserwowałem, jak sięga coraz głębiej w świadek przestępczy i otacza się ludźmi o wątpliwej reputacji.

Trudno było uwierzyć, że robi to tak niedyskretnie. Niezwracanie uwagi na sąsiadów to jedno, ale paradowanie na ulicy z podejrzanymi typami to zupełnie inna sprawa. W dodatku wyglądało na to, że wykluczył również ewentualność zagrożenia z mojej strony. Motocyklista nie pojawił się od ostatniej akcji z włamaniem, pomimo że wychodziłem o wiele częściej i wybierałem się w zupełnie nowe miejsca.

Jednocześnie byłem świadom, że im bardziej zażyłe kontakty łączyły go z jego gośćmi tym bardziej podnosiła się stawka i ryzyko wiążące z moją nową,

szpiegowską pasją. Każde ujęcie z Donnym w towarzystwie przestępców mogło być gwoździem do trumny jego politycznej kariery, tyle że mi groziło równocześnie czymś o wiele gorszym.

Musiałem być ostrożny podczas każdej obserwacji. Musiałem też dobrze wybrać moment i redakcję, w której zdecyduję się opublikować materiały. Przekupstwo i uległość mediów groziła przeciekami, który dotarłby do Donny'ego, zanim zdjęcia trafiłyby do czytelników.

Musiałem więc znaleźć coś, co niszcząc jego karierę, odseparuje go od świata przestępczego jednym czystym cięciem. To było jedyne wyjście, jako polityk pozbawiony wpływów Donny byłby dla nich bezużyteczny.

Był szósty października. Chłodny wieczór. Zapakowałem na poboczu i obserwowałem drzwi wejściowe. Pod rezydencję Donny'ego podjechał wielki, grafitowy land rover. Kierowca nie nadjechał tak, jak poprzedni goście Marsiano, od strony głównej ulicy łączącej się z międzymiastową, a od tyłu, z głębi przedmieść, jakby przewoził zupełnie nowy rodzaj dyskretnej rozrywki dla niezaspokojonego polityka. Tak się złożyło, że tego samego wieczoru część lamp ulicznych przestała działać, więc gdy ten mroczny potwór wyłonił się z ciemności za mną, niemal nie przypłaciłem tego atakiem serca. W ostatnim momencie zdążyłem osunąć się na podłogę i chyba tylko mrok pomógł mi uniknąć wzroku siedzącego przy otwartej szybie gangstera.

Był to ostatni raz, kiedy pokusiłem się o śledzenie nowych współników Marsiano. Od tamtego dnia skupiłem się jedynie na prostytutkach. Kiedy widziałem, że szef któregoś z gangów pojawia się pod domem, związałem sprzęt i oddalałem się, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Już nie raz odczułem na własnej skórze, co oznacza zdrzeć z niewłaściwymi ludźmi i nie zamierzałem powtarzać tego w tym przypadku.

Oczywiście nie oznacza to, że poddałem się zupełnie. Wciąż dość regularnie pojawiałem się w tym samym miejscu. Za każdym razem, gdy któryś z luksusowych wozów wypuszczał z wnętrza płatną piękność, mogłem śmiało zabierać się do pracy. Muszę przyznać, że nie było to tak łatwe, jak wcześniej sądziłem. Czasami zdołałem uchwycić półnagiego Donny'ego w oknie. Innym razem rozbierającą się ekskluzywną towarzyszkę, ale nigdy nie udało mi się sfotografować niczego obciążającego. Dopiero kiedy w domu pojawiła się drobna Azjatka, rozwodnik stracił głowę, zapominając zasłonić żaluzje. Tamtego wieczoru wszedłem na mur znajdującego się kilkadziesiąt metrów dalej domu i z wygodnej pozycji wykonałem w pełni profesjonalną sesję porno z dystansu. Byłem pewien, że to wystarczy, ale gdy dwa dni później odebrałem wywołaną kliszę, zrozumiałem, że dobry aparat to nie wszystko. Wyglądało na to, że aby zrobić profesjonalne zdjęcie potrzebowałem czegoś więcej niż sprzętu, potrzebowałem słońca. Twarz Donny'ego i kobiety były zamazane. Jak dla mnie na tych zdjęciach

mógł być każdy.

To była druzgocąca porażka. Nie dość, że wydałem kilkaset dolarów na sprzęt, to, co ważniejsze, straciłem ponad miesiąc cennego czasu. Dzień wyborów na prezydenta zbliżał się, a ja wciąż tkwiłem w tej wlekącej się za mną aferze. Nie miałem wyjścia. Musiałem spróbować jeszcze raz.

Na szczęście po kilku dniach los okazał się łaskawy. Była połowa października i noce zrobiły się nieprzyjemnie chłodne. Siedziałem więc zmarznięty i podłamany w samochodzie, popijając kawę z termosu, gdy nagle, zza zakrętu wyłonił się wóz, którego nigdy wcześniej tam nie widziałem. Było to sportowe porsche, najgłośniejsze z wszystkich wozów pojawiających się tam do tej pory. Kiedy drzwi samochodu otworzyły się, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Z wnętrza wyłoniła się kilkunastoletnia ciemnoskóra dziewczyna, która za nic w świecie nie mogła mieć skończonych osiemnastu lat. Poczulem się okropnie. Wyrzuty sumienia, które niegdyś tak skutecznie korygowały mój profesjonalizm powróciły niczym nostalgiczna melodia. Próbowałem zracjonalizować problem. Zastanawiałem się dlaczego miałbym przejmować się losem tej dziewczyny. Przecież z pewnością tak właśnie zarabiała na życie. Czy pomógłbym jej, gdybym zadzwonił na policję? Czy może narobiłbym tylko kłopotów. Zamiast w eleganckie pościele jej alfons lub chłopak zacząłby sprzedawać ją w ciemnych uliczkach lub obskurnych motelach byle pijakom za kilka dolarów. Z drugiej strony gdybym zrobił choć jedno zdjęcie nagiemu Marsiano w towarzystwie nieletniej... Cóż... Co więcej było mi potrzebne?

Zrobiłem kilka zdjęć otwierającemu drzwi gospodarzowi, witającemu nowo przybyłą jak zawsze w granatowym, aksamitnym szlafroku. Ku mojej rozpaczy porsche nie odjechało. Miałem nadzieję, że zniknie, a ja będę mógł zbliżyć się do okna, zanim przyjedzie policja. Kierowca jedynie uchylił szybę, zapalił papierosa i wypuścił na zewnątrz chmurę siwego dymu.

Zastanawiałem się, co zrobić. Nie mogłem przecież stracić takiej okazji.

Wyjąłem komórkę i wykręciłem numer na policję. Ciepły głos dyspozytorki przekierował mnie do działu interwencji, gdzie przedstawiłem się jako zaniepokojony sąsiad i streściłem ogólnie zaistniałą sytuację. Miałem jakieś pięć minut, zanim policja pojawi się, by skuć Donny'ego i uratować nieletnią kurtyzanę.

Nałożyłem kaptur na głowę, otworzyłem drzwi i przykucnięty wyszedłem z samochodu. Cofnąłem się o kilka metrów, a gdy drzewa osłoniły mnie przed wzrokiem kierowcy w porsche, przebiegłem na drugą stronę jezdni. Dopiero gdy stanąłem na trawniku jednej z posesji, dostrzegłem coś, co zmusiło mnie do przetarcia oczu dłonią. Nie mogłem uwierzyć. W odległości dwóch domów od posiadłości Donny'ego, na jednym z trawników stały dwa wysokie drzewa. W koronie jednego, tego skrytego w głębi ogrodu, spoczywała drewniana, solidna platforma – coś, co dzieci nazywają domkiem na drzewie. Przebiegłem wzdłuż

ciągnącego się przy chodniku żywopłotu, przeskoczyłem przez niski, dzielący parcele płotek i stanąłem przed murem otaczającym posesję z domkiem na drzewie. Światła w budynku były zgaszone. Wyglądało na to, że właściciele nie ma w domu. Wspiąłem się na mur, przeszedłem na drugą stronę i biegiem ruszyłem w kierunku drabiny. Na szczęście była to solidna, drewniana konstrukcja. Chwyciłem za dwie pionowe listwy i zacząłem się wspinać. Dopiero na samej górze zauważyłem, że kłapa wejściowa była zamknięta. Wychyliłem się zza pnia, który mnie osłaniał, a i zasłaniał mi widok na dom. Z miejsca, w którym stałem, widać było kuchnię, salon i cały front rezydencji Donny'ego. Policji wciąż nie było w pobliżu. Wyjąłem aparat, rozejrzałem się wokół i stanąłem stopień wyżej. Między konarem a podłogą platformy znalazłem łuk, przez który dojrzeć można było wszystko jak na dłoni. Zgięty w pół, trzymając się kurczowo drabiny, wycelowałem kilkunastocentymetrowym obiektywem w salon Donny'ego. Światło w kuchni i sypialni wypełniło obiektyw. Wiedziałem, że mam niewiele czasu. Radiowóz mógł nadjechać lada moment. Zrobiłem kilka fotek pustego mieszkania, a po chwili właściciel pojawił się przy lodówce. Wyciągnął jakąś butelkę, nasypał do szklanek lodu i przeszedł do salonu. Jego szlafrok był rozpięty, odsłaniając zwiotczałą, zapadniętą klatkę piersiową upstrzoną rzadkimi, siwymi włosami. Po chwili do pokoju weszła dziewczyna. Próbowwała się uśmiechać, ale jej twarz była pusta i nieruchoma. Stała w świetle okna na wprost siedzącego w fotelu mężczyzny i zdjęła bluzkę. Aparat wypuścił serię cichych cyknień. Donny wstał i podszedł do niej. Miałem nadzieję, że policja się pojawi, zanim stanę się świadkiem tej nieprzyjemnej sceny. Donny przejechał dłonią po jej twarzy, szyi i piersiach. Dziewczyna obróciła głowę w moją stronę, jakby chciała uwolnić duszę z ciała i wzbić się do góry przez uchylone okno. Kolejna seria cyknień rozbrzmiała wśród szumiącego wiatru. Odgłos syren wyłonił się z ciszy w oddali. Kierowca porsche uruchomił silnik.

Donny całował szyję dziewczyny, ściskając na przemian jej piersi i pośladki.

– Ostatnia seria – pomyślałem i nacisnąłem spust aparatu.

Syreny rozbrzmiały nieco głośniejsze. Przewiesiłem aparat przez ramię i zszedłem na dół. Ruszyłem w kierunku kosza na śmieci przy murze. Wspiąłem się na okalającą go barierkę, potem na mur i przeskoczyłem na drugą stronę. Ruszyłem w stronę samochodu. Kiedy wsiadłem do forda, radiowóz był już na właściwej ulicy. Problem w tym, że nie przyjechali po Donny'ego, a po mnie.

Zanim właściwy radiowóz pojawił się przed rezydencją Marsiano, ten, po którego nie dzwoniłem, przejechał obok uruchomionego porsche, skręcił w lewo i zwolnił, by zatrzymać się przed domem z platformą widokową. Dwaj umundurowani funkcjonariusze podeszli do bramy, po czym jeden nacisnął guzik domofonu. Po chwili brama otworzyła się i oboje weszli do środka. Niemal w tej samej chwili drugi radiowóz pojawił się na końcu drogi, tym razem bez sygnału,

minął mnie i stanął na chodniku przed domem Donny'ego. Po porsche nie było ani śladu. Ulotnił się tak szybko, że nie widziałem nawet, w którą stronę odjechał. Niemal w tym samym momencie z wnętrza nory Marsiano wybiegła przestraszona, owinięta frotowym szlafrokiem dziewczyna. Kobieta w mundurze przechwyciła ją w połowie drogi do jezdni. Nie mogłem się powstrzymać. Wysiadłem z samochodu, wycelowałem aparat i zrobiłem jeszcze kilka niewyraźnych zdjęć. Kiedy drugi policjant dołączył do kobiety, wsiadłem do wozu i odpaliłem silnik. Zanim Donny otworzył drzwi, zdążyłem zaparkować kilkanaście metrów za jego domem. Zrobiłem jeszcze kilka ujęć przez boczną szybę. Marsiano gestykulował coś, wskazując drogę, porsche, którego nie było i dziewczynę, która przyniesie mu zgubę. Nie zauważył mnie. Widział tylko koniec swojej kariery.

Odczekałem chwilę, odpaliłem silnik i odjechałem. Donny był mój. Mogłem wrócić do pracy nad książką.

* * *

Następnego dnia zrobiłem dokładnie to samo, co dnia poprzedniego. Wstałem koło południa. Nieco brudny i nieogolony włożyłem stare jeansy i ruszyłem trasą lokali gastronomicznych, by roznieść kilka CV. Już po kilku minutach jazdy, zanim dotarłem do pierwszej knajpy, czarny motocykl mojego prywatnego fotografa pojawił się w tylnym lusterku. Nie było wątpliwości. Po wczorajszym epizodzie z nieletnią Donny zrobił się nie tylko podejrzliwy, ale i nieostrożny. Mroczny rycerz nie starał się nawet ukryć swojej obecności. Sunął za mną powoli, trzymając bezpieczną odległość zaledwie trzech samochodów. Jego czarna honda rzucała się w oczy jeszcze bardziej niż owe sportowe porsche w cichy sobotni wieczór. Po wyjściu z knajpy hondy nie było w zasięgu wzroku i dopiero gdy dojeżdżałem do domu pojawiła się ponownie. Jeśli do tej pory fotograf dorabiał sobie jedynie na śledzeniu mnie, teraz z pewnością pracował na pełen etat.

Gdybym zmienił choć jeden z dotychczasowych zwyczajów, moto–szpieg z pewnością od razu doniósłby o tym Marsiano, a ten mógłby wpaść na niemądry pomysł pozbycia się mnie, jako oficjalnego źródła swej niedoli. Na moje szczęście obecny tryb pracy, przeplatany z popołudniowymi wyjazdami, zakupami i symulacją alkoholizmu wciąż sprawdzał się bez zarzutu. Nie miałem więc zamiaru niczego w nim zmieniać.

Po kolejnych kilku dniach motocyklista zaczął pojawiać się nieco rzadziej, aż w końcu któregoś pięknego popołudnia stwierdziłem, że po prostu przestał mnie śledzić. Odczekałem jeszcze kilka dni, po czym w piątek, dwudziestego października, wysłałem wszystkie sex zdjęcia do trzech największych brukowców w mieście. Byłem dumny z siebie i w końcu spokojny. Poniedziałkowe wydanie tabloidów zgniotło dobre imię i karierę Marsiano na miazgę, a ciemnoskóry właściciel hondy nie pojawił się przy mnie już nigdy więcej.

XI. Mroczne Przymierze

Wiedziałem, że muszę się spieszyć. Rękopis był wciąż w powijakach, a ja grzązłem coraz głębiej w stertach artykułów i doniesień. Pograżenie Marsiano zajęło mi ponad miesiąc. Były to tygodnie cennego czasu, który wykorzystałem tylko częściowo. Co prawda uwolniłem się od doraźnego problemu, ale przypłaciłem to ogromną stratą czasu, setkami godzin, które powinienem był poświęcić na pisanie. Na szczęście większa część materiałów była gotowa i posegregowana.

Rozdziały zaplanowałem tak, by czytelnik nie miał wątpliwości, o czym jest książka. Postanowiłem rozłożyć fikcję demokracji na części składowe, wyłuskiwać stopniowo z każdego z rozdziałów to, co najważniejsze, by na końcu nie było wątpliwości, gdzie leży problem. Chciałem ukazać nie tylko karierę G.W., ale i cały mechanizm podejmowania decyzji w naszym demokratycznym państwie.

Byłem przekonany, że jeśli uda mi się zebrać wszystko do końca października, a potem jakimś cudem sięść i w dwa lub trzy wieczory spisać całość bez zbędnych ozdobników, zdążę przed wyborami i być może uda mi się zrobić trochę zamieszania w mediach.

Jakże naiwny byłem...

Odkąd pamiętam, zawsze wydawało mi się, że literatura faktu zazębia się łatwiej niż prawda ubrana w fikcję. Tymczasem każda kolejna przeczytana strona odsłaniała ślad nowych machinacji i powiązań. Każdy nowy trop pograżał mnie w gąszczu źródeł i sprzecznych doniesień. Jeszcze dwa miesiące wcześniej, kiedy walczyłem z listą Carla, wszystko wydawało się proste i przejrzyste. Dziś stałem w krzyżowym ogniu prawicy, liberałów i całej rzeszy internetowych anarchistów, pacyfistów i wyznawców teorii spiskowych – teorii, których nie mogłem ani obalić, ani zignorować. A jednak, mimo wszystko, wciąż miałem nadzieję. Wciąż wierzyłem, że zdążę. Wiedziałem, że jedyne co muszę zrobić, by osiągnąć cel, to nakreślić korupcję i układy na tyle wyraźnie, by wyborca jeszcze przed wyborami wiedział, na którego z kandydatów nie oddawać głosu. Dwaj główni reprezentanci, zarówno demokrata, jak i republikanin byli silnie wspierani przez korporacje z wielu gałęzi gospodarki. Byłem przekonany, że jestem w stanie uświadomić wyborcom, że ich decyzja niesie ze sobą ogromną odpowiedzialność. W końcu wybierając kandydata korporacji, wybiorą przywileje tych, którzy niszczą związki zawodowe, wydłużają godziny pracy, podnoszą normy wydajności tylko po to, by na koniec porzucić pracowników, przenosząc biznes na drugi koniec świata, tam, gdzie znajdą tańszą siłę roboczą.

Wierzyłem, że uda mi się i może nawet udałoby się, gdyby nie moja wrodzona ciekawość, gdyby nie ludzie, którzy zewsząd pojawiali się, dorzucając swoje dwa grosze do mojej skarbonki. Być może w którymś momencie ocknąłbym

się, zatrzymał i powiedział stop. Ale nie potrafiłem, to było silniejsze. To był przecież motor, który popychał mnie do przodu, przez całe życie napędzał i kierował jedynie przed siebie, nigdy wstecz. Gdyby nie wrodzona dociekliwość, nigdy nie zostałem dziennikarzem, nigdy nie poczułem emocji, które daje rozprawianie się z czyjąś głupotą. Niestety nie zawsze warto słuchać wewnętrznych głosów. Czasami prawda jest zbyt śliska, by ją uchwycić i utrzymać w rękach.

Zamiast obiecać sobie, że to lub tamto zdążę jeszcze opisać, brnąłem w kolejne wątki, gubiąc się w płątaninie tropów. Gdybym tylko potrafił się powstrzymać i skoncentrować na jednej rzeczy, z pewnością nie dotarłbym do tego bagna, nie zadzwoniłbym do Franka i nie wpłynął na nieznane wody. Przede wszystkim zaś nie poznałbym bliżej Scotta.

Był wtorek, dwudziestego pierwszego października dwutysięcznego roku. Od naszego pierwszego kontaktu podczas włamania minął ponad miesiąc. Byłem w końcowej części projektu i zabierałem się za szlifowanie czwartego rozdziału. Przez cały ten czas pracowałem jak opętany. Coraz mniej czasu poświęcałem na utrzymywanie kamuflażu, a kiedy uznałem, że nikt mnie już nie śledzi, mogłem ograniczyć wyjścia na zewnątrz jedynie do tych naprawdę koniecznych. Podczas jednej z takich właśnie wypraw, Rory zaczął mnie na korytarzu.

– Dobrze, że cię widzę, Jerry – powiedział cichym, niskim głosem.

Spojrzałem z wyrzutem. Zarówno jego widok, jak i wspomnienie naszego ostatniego spotkania nie wróżyły dobrze. Był nieogolony i miał podkrążone oczy. Jego surowa, kwadratowa twarz nosiła znamiona ciągu alkoholowego. Miał na sobie luźne, sztruksowe, spodnie, bawełnianą koszulę w kratę i brązowe, skórzane klapki. Spod szeroko rozpiętego kołnierza wystawały pęki siwych, kręconych włosów, wspomnienie po bujnej niegdyś czuprynie na łysej już głowie. Jego twarz nie wzbudzała zaufania. Co więcej, nie wywoływała jakichkolwiek pozytywnych odczuć. Najgorsze było jednak to, że ten nieprzyjemny widok przywoływał równie nieprzyjemny obraz z przeszłości. Rory, w całej swojej krasie i wdzięku, z uśmiechem chodnikowego pijaka stał się w tamtej chwili prosty i jednowymiarowy, był ikoną mojego własnego upodlenia sprzed kilku lat.

Jednocześnie odniosłem wrażenie, że czekał tam na mnie już dość długo, bo gdy wyłoniłem się zza linii sufitu, Scott stał cierpliwie przy drzwiach, nie spuszczać ze mnie wzroku. Gdy zszedłem na tyle nisko, by nasze spojrzenia spotkały się, sąsiad emeryt uśmiechnął się, a z jego twarzy powoli odpłynęło napięcie. Zdziwiłem się nieco, bo przez ułamek sekundy zdawało mi się, że to skupienie ustępuje miejsca jakiemuś innemu wyrazowi, który trudno sprecyzować.

– Cześć – rzuciłem na odczepnego. – Wybacz, ale się śpieszę.

Pamiętam, że tamtego dnia chciałem jedynie wyjść na zakupy. Obsesja na punkcie uciekającego czasu sprawiała, że byłem bardziej impulsywny i niecierpliwy niż zwykle.

– To zajmie tylko chwilę, naprawdę – powiedział. – Potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzał z nadzieją niepozabawioną tego nieokreślonego wyrazu twarzy, jakby dławiona satysfakcja wymieszana ze skrywaną ulgą. Nie odezwałem się.

– No to jak, partnerze? – nie odpuszczał. – Mogę na ciebie liczyć?

Zmierzyłem go beznamiętnym wzrokiem. Jego determinacja sączyła się przez maskę niecierpliwości, próbując wbrew jego woli wydostać się na zewnątrz. Z sekundy na sekundę coraz bardziej tracił panowanie nad tą wyćwiczoną obojętnością.

– No dobrze, tylko szybko, bo śpieszę się – rzuciłem nerwowo.

– Wiem, wiem – odparł, odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania. – Ty i te twoje książki – dodał rozbawiony.

Wszedłem za nim do środka i nagle coś mnie tknęło. Nasze mieszkania miały identyczny rozkład, mieszkanie Rory’ego znajdowało się bezpośrednio pod moim. Jeśli kiedykolwiek słuchałem głośniejszej muzyki, on słuchał jej razem ze mną. Jeśli kiedykolwiek rozbijałem się w nocy, tłukąc butelki rozstawione po podłodze, on był tego niemym świadkiem. Chociaż odgrywałem wtedy rolę cichego alkoholika, a z dźwięków znad sufitu nie można było wywnioskować zbyt wiele, odniosłem wrażenie, że Scott przekroczył jakąś intymną granicę i oczekiwał teraz czegoś więcej niż tylko zwykłej sąsiedzkiej pomocy.

– Nie piję – powiedziałem, zatrzymując się w połowie przedpokoju. Na myśl o alkoholu poczułem dziwne mrowienie w żołądku, zupełnie jakby przypomniał sobie o ciepłe, które do niedawna rozgrzewało mnie w samotne wieczory.

– Miałeś na myśli, że nie pijesz w pojedynkę? – Głos z salonu nie zdradzał zdziwienia.

Rory trafił w sedno. Stałem jak wmurowany. Prawda jego słów była jak kubał zimnej wody. Szybko przeliczyłem szanse na ewakuację i konsekwencje ewentualnego niepowodzenia. Jeden wieczór z drinkiem oznaczał dwa dni straty. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem pić tamtego dnia.

Rory nie odezwał się więcej. Ruszyłem w głąb holu, zatrzymałem się na końcu i zajrzałem do salonu. Był pusty. Mój wzrok przykuły fotografie rozwieszane na ścianie przedpokoju po lewej.

Na pierwszej zobaczyłem trzech mężczyzn w mundurach opierających się o maskę jeepa. Jednym z nich był Scott sprzed dziesięciu lub piętnastu lat. Miał krótkie, ciemnobrązowe włosy, cygaro w ustach i ten sam charakterystyczny uśmiech. Skrzyżowane na piersi ramiona sugerowały brak entuzjazmu co do wyprawy, towarzysztwa, pogody lub faktu, że ktoś go fotografuje. Pojazd, który tkwił po osie w gęstym, ceglany błocie wyglądał na transport wojskowy uwięziony po środku nieprzejezdnej, górskiej drogi. Na fotografii nie widać było nikogo więcej. Wokół czwórki mężczyzn i samochodu rozpościerała się panorama

masywnego, skąpanego w tropikalnej zieleni zbocza, które pięło się w górę po lewej i opadało w dół z prawej strony drogi. Poniżej rozciągała się rozległa, pokryta dżunglą równina. W jej najniższym punkcie pomiędzy drzew wyłaniała się zakamuflowana linia brunatnej rzeki. Tuż przy samochodzie na prawo od mężczyzn błotnisty pas drogi urywał się nagle ostrą skarpą. Na lewo od jeepa zbocze przechodziło w ścianę bujnej, tropikalnej roślinności. Skarpa wyglądała na świeże osuwisko, gałęzie sięgały niemal do maski samochodu, a woda płynąca strumyczkami ze zbocza przedzierała się przez podziurawioną kałużami drogę, drażyła w strumyki w błocie i znikwała za krawędzią urwanej ziemi jak zapowiedź zbliżającej się tragedii, zupełnie jakby las, ziemia i woda zmówiły się w tym miejscu, żeby zepchnąć w dół każdego, kto odważy się tędy przejechać. Zastanawiałem się, gdzie zrobiono to zdjęcie. Przychodziła mi na myśl Afryka, któraś z Ameryk lub południowa Azja.

– Jesteś tam? – Głos Rory’ego wrywał mnie z zamyślenia.

– Idę, idę – rzuciłem i wszedłem do salonu. – Ciekawe zdjęcia.

Scott przesunął niewielką szklaną ławę i zabrał się za masywny skórzany fotel. Za jego plecami, na środku drewnianego parkietu tkwiła ogromna, otwarta na oścież drewniana gablota.

– Potrzebuję przesunąć tego grata pod tamtą ścianę. – Wskazał na pustą przestrzeń między oknami.

– Tam? – spytałem.

– Tak – odparł.

– Nie może być aż tak ciężka.

Podszedłem do niej i przyjrzałem się z bliska. Wnętrze dębowego obicia stanowiła metalowa obudowa zamykana pancernym zamkiem niczym sejf z czasów drugiej wojny światowej. W środku znajdowały się dziesiątki haków, na których zapewne jeszcze niedawno wisiało kilkanaście podłużnych przedmiotów.

– Zbierasz eksponaty muzealne? – zapytałem.

Rory spojrział zdziwiony. W jego oczach mignęło rozczarowanie.

– To prawda. Niektóre nadają się już tylko do muzeum. Ale nie, nie nazwałbym ich eksponatami.

– Broń biała czy palna? – spytałem.

– Palna. Po cholere miałbym trzymać inną?

– Sam nie wiem. Ludzie trzymają w domach różne dziwne rzeczy. Na przykład gabloty pełne karabinów snajperskich.

– Coś sugerujesz? – Uśmiechnął się.

– Nie, skądże – odparłem, oglądając szafę z wszystkich stron. – Ciężka?

– Gdyby nie była ciężka, nie wołałbym cię tutaj prawda?

– No raczej nie.

– Jeszcze jakieś pytania, zanim zabierzemy się za to bydle?

- Tak, jeszcze jedno.
- Wal.
- Po co ci to?
- Co takiego? Ach, mówisz o niej? – Wskazał na puste wnętrze gabloty. – Mam do niej sentyment. Zresztą do broni też. Pomimo że prawie nie były używane.
- Ciekawe.
- Co? – Chwycił za dolną półkę na wysokości pasa. – Co cię tak ciekawi?
- Nie, nic – odparłem.
- To jak? Próbujemy? – zapytał.
- Spróbujmy – powiedziałem i szarpnąłem razem z nim.

Szafa była potwornie ciężka. Poczulem, jak strzyka mi coś w kolanach, a potem usłyszałem ten sam dźwięk w stawach Rorego. Gdy przesunęliśmy ją zaledwie kilkadziesiąt centymetrów w stronę okien, wiedziałem już, że nie powinienem był pozwolić mu się na to namówić.

- Przerwa? – wysapał, łapiąc się za kręgosłup.
- Tak – odparłem, dysząc.
- No, to teraz powiedz. Co cię tak ciekawi?
- Ciekawe... Ciekawe jest to, że prawie nie była używana – rzuciłem. Tak naprawdę ciekawiło mnie, czy używał tej broni. – Poza tym po co ci w ogóle taka szafa? Nie możesz trzymać tego wszystkiego w jakiejś bardziej ergonomicznej gablocie? Ile to ma lat? Wygląda jak relikw z czasów zimnej wojny.

Scott uśmiechnął się niemal niezauważalnie, opadł na oparcie fotela i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

- To prawda, że to rupieć – powiedział, proponując mi jednego. – Ale kiedy kupiłem to mieszkanie, ona już tu była i jakoś nie mogłem zmusić się, żeby ją rozmontować i wymienić na nową.

– To dlaczego właśnie teraz? – spytałem.

Rory zamilkł na moment, jakbym zaskoczył go jakimś niesamowicie trudnym pytaniem. Zapalił papierosa i zaciągnął się, zyskując trochę czasu. Chmura siwego dymu zawisła pod sufitem.

- Sam nie wiem – powiedział. – Stała na wprost okna, o tam. – Wskazał kciukiem wysoki prostokąt jaśniejszej farby na ścianie za moimi plecami. Miałem dość wścibskich sąsiadów, którzy gapili się, gdy otwierałem ją i czyściłem sprzęt.

– Tak czy inaczej to wciąż zabytek – stwierdziłem. – I co ty w niej właściwie trzymasz?

Rory wskazał na zamknięte drzwi po mojej prawej i wstał.

– Chodź, pokażę ci.

W sypialni na rozłożonej na łóżku folii leżały trzy karabiny maszynowe, strzelba myśliwska, szturmowy szotgun i kilka rodzajów pistoletów.

– Wiem, że regał jest stary – powiedział, przeciągając palcem kolejno po

kolbie, spuście i lufie ręcznie zdobionego Winchestera – ale nie mogę się ich ot tak po prostu pozbyć. Każda ma w sobie kawał historii.

Widok był imponujący. Wiedziałem, że Rory trzymał w domu broń, ale nie spodziewałem się, że w takiej ilości. Sprzęt był idealnie zachowany i zakonserwowany. Lśnił w popołudniowym słońcu niczym srebra na witrynie sklepowej. A jednak, eksponaty te były czymś więcej niż rekwizytami. Dwa karabiny i strzelba były wielokrotnie używane, a i te nowsze półautomatyczne pistolety nosiły ślady eksploatacji. Nagle dotarło do mnie, to co powinno być oczywiste od samego początku. Co, jeśli nie były tylko eksponatami? Co, jeśli to właśnie Rory ozdobił je rysami i wgnieceniami? Jeśli to on mierzył z nich do ludzi i naciskał na spust? Przyglądając się każdej sztuce, wyobrażałem sobie Scotta kolejno z każdą z nich. Z MPK wspartym o ramię, wycelowanym w coś w oddali, z Desert Eagle w obu dłoniach, gdy przysłuchuje się głosom zza drzwi tuż przed szturmem.

Stałem przez kilka sekund, wpatrując się w broń jak zahipnotyzowany. Rory przyglądał mi się z rozbawieniem, ale nie skomentował. Wiedziałem, że ocenia mnie i analizuje reakcję.

– Strzelałeś do kogoś z tej broni? – zapytałem.

– Myślisz, że trzymałbym ją tutaj dla szpanu?

– Nie wiem. Dlatego właśnie pytam.

– Gdybym chciał się z nią obnosić, nie usuwałbym jej z widoku – stwierdził, wskazując na okno wychodzące na budynek po drugiej stronie, dokładnie ten sam, z którego kilka tygodni wcześniej obserwowano mnie przez oko obiektywu.

– Masz rację – przyznałem. – Nie chciałem nic sugerować.

– Nie ma sprawy – odparł. Skinął na mnie i wrócił do salonu.

Zostałem w sypialni jeszcze przez moment, głaszcząc wzrokiem zimny metal, którym Rory prawdopodobnie odebrał kiedyś komuś życie. Ocknąłem się na dźwięk jego głosu.

– Idziesz czy nie? – odezwał się zza ściany.

– Idę, idę – krzyknąłem i wróciłem do salonu.

Rory stał oparty plecami o witrynę, z dłońmi wsuniętymi w kieszenie jeansów. W jego zachowaniu nastąpiła subtelna zmiana. Obserwował mnie teraz z nieskrywanym zaciekawieniem, jakby chciał sprowokować mnie do nienaturalnego zachowania.

Przyjaliśmy pozycje i wróciliśmy do katowania kręgosłupów. Kiedy szarpnąłem dolną półkę, Scott jęknął i pchnął szafę do przodu.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytał, gdy dosunęliśmy ją do ściany.

– Niekoniecznie – wycharczałem. – Chyba... Chyba znam odpowiedź.

– Tak sądzisz? – wysapał – To... ciekawe.

– Sposób... Sposób, w jaki przeładowałeś broń... – mówiłem z trudem. –

Podczas mojej ostatniej wizyty tutaj... Sugeruje, że wiesz, jak się z nią obchodzić.

– To prawda. A co? Przeszkadza ci to?

– Nie, skądże. – Wzięłem głęboki oddech. – Wszyscy mamy prawo do posiadania broni.

– I do obrony – dodał Rory.

– Tak, oczywiście. Do obrony – potwierdziłem i wyciągnąłem komórkę.

Chciałem, by zobaczył, że sprawdzam godzinę. Nie zamierzałem tracić ani chwili dłużej w towarzystwie tego świra.

– Późno już. Muszę lecieć – powiedziałem. – Obiecuj, że kiedyś opowiesz mi o tym, jak... – Chciałem dokończyć, ale coś przykuło moją uwagę. W wąskiej, szklanej komodzie stojącej w rogu pokoju tuż obok wejścia do kuchni dostrzegłem dziwnie znajomy kształt. Symbol, który w przeciągu kilku lat studiów odcisnął się w mojej pamięci. Podszedłem do gabloty i położyłem dłoń na uchwycie.

– Mogę? – zapytałem.

– Proszę. Jest trochę zniszczona, ale czasami ją noszę.

– No tak, to tylko... – stwierdziłem rozczarowany. Przez refleks szyby wydawało mi się, że widzę kask pilota, ale ciemne wnętrze za szkłem mnie zmyliło. W środku znajdowała się jedynie bejsbolówka z naszytymi na niej skrzydłami i srebrną tarczą w środku.

– Myślałem, że... – podjąłem, ale rozmyśliłem się. – Coś mi się przewidziało.

– Tak, wiem. Myślałeś, że służyłem w wojsku?

– Nie. To znaczy... Myślałem, że byłeś pilotem. Wydawało mi się, że to kask pilota myśliwca.

– Skłamałbym, gdybym zaprzeczył – odparł.

Rory minął mnie, wszedł do kuchni i wyjął coś z szafki.

– Czyli służyłeś w lotnictwie? – zapytałem.

– Zajrzyj do środka – powiedział, sięgając po lód do zamrażalnika.

Wewnątrz bejsbolówki wyszyty był napis „Sokół Południa – Air America”.

– W porządku, widzę to, ale pytam, czy wcześniej służyłeś w siłach?

– Skoro przeczytałeś, chyba nie muszę odpowiadać prawdą?

Rory podszedł i podał wypełnioną do połowy szklanę. Spojrzałem na dno poprzez kryształowe kostki w bursztynowym płynie. Ostatnio piłem dokładnie czterdzieści sześć dni temu, dokładnie w tym samym miejscu. Podniosłem drinka i zamoczyłem wargi. Smak rozlał się ciepłem w ustach i przełyku.

– To ta sama Air America, która przemycała opium w Laosie? – zapytałem.

Rory spojrzał do swojej szklanki i wykonał kilka okrężnych ruchów szkłem, jakby chciał ożywić ukrytą w nim moc. Wskazał na jeden z foteli i zaczął, aż usiądę. Dopiero wtedy odpowiedział.

– Nie. Nie ta sama. – Jego głos był i zimny i pozbawiony emocji.

Nagle poczułem, że muszę się napić, że potrzebowałem tego od bardzo, bardzo dawna, a mój mózg dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Patrzyłem, jak Scott opada powoli na fotel ustawiony naprzeciwko mojego, a potem przechyliła szkło.

– Mówisz o filmie z Gibsonem? – zapytał.

– I Downey Juniorem – uśmiechnąłem się lekko.

Wyglądało na to, że w końcu odbędę z kimś rozmowę, na którą czekałem od premiery filmu.

– Nieważne, kto w nim grał. Ten film to farsa, fikcja – mówił, starając się nie unosić głosu. – Nawet jeśli ta historia miała miejsce, to jest zupełnie oderwana od całości i zdecydowanie przekombinowana. Jeśli nawet ktoś z naszych przewoził tam opium, to z pewnością nie miał o tym pojęcia.

– Jak to nie miał pojęcia? Nie w mówisz mi chyba, że przewoziliście zamknięte hermetycznie i zaplombowane przesyłki FedEx?

Rory pokiwał głową, łyknął drinka i podniósł szklankę na wysokość oczu.

– Czy wam się wszystkim wydaje, że nie mieliśmy wtedy nic lepszego do roboty? Że każdy dzień zaczynaliśmy od otwierania wszystkich skrzynek i przetrząsania ich zawartości? Jerry, za kogo ty mnie masz?

– Nic takiego nie mówiłem.

– Ale pomyślałeś.

– Przecież jesteśmy tylko ludźmi. Nie wierzę, że nikt z waszych nie trafił w końcu na heroinową żyłę złota.

– Jerry, wiesz ile lotów w grafiku miałem na tydzień?

– Na pewno sporo. Ale czy to ma jakieś znaczenie? – odparłem.

– Podobno się gdzieś spieszyłeś? – Rory uśmiechnął się, wychylając drinka.

Spojrzałem na dno szklanki. W środku tłukły się wesoło już tylko kostki lodu. Rory wstał, przeszedł do kuchni i wrócił z napoczętą butelką Cabin Still.

– Myślałem, że nie pijesz firmowej? – spytałem, odwzajemniając jego uśmiech.

– Dla tej robię wyjątek. To dobry tradycyjny burbon.

– Nie wiedziałem, że są jeszcze weterani, którzy hołdują tradycji.

– O tradycji to ja nic nie wiem, ale whisky? Whisky to zupełnie inna historia.

Poza tym kto powiedział, że jestem weteranem?

– Służyłeś w Air America, tak?

– No, tak. Służyłem.

– Więc latałeś w Wietnamie i Laosie?

– E tam, od razu latałeś. Po prostu stacjonowałem tam. Skąd pomysł, że latałem?

Podniosłem czapkę do góry i przyjrzałem się dokładniej.

– To nie jest czapka mechanika – stwierdziłem.

– Nawet jeśli tak, to jeszcze niczego nie dowodzi. – Scott nachylił się do przodu, by dopełnić moją szklanę. Zastanawiałem się nad tym chwilę, wlepiając wzrok w puste dno. Przez moment przeszło mi przez myśl, że mogę odmówić, ale Rory mówił prawdę, dawno nie piłem tak dobrej, tradycyjnej Tennessee.

– No tak, ale służyłeś w Wietnamie?

– No służyłem.

– Wiesz, zawsze zastanawiało mnie jedno.

– Co?

– Kiedy byłem na studiach, jako pierwszy temat pracy wybrałem sobie właśnie rolę mediów w rozwoju wojny w Wietnamie. I jakoś nigdy nie udało mi się dotrzeć do nikogo, kto pomógłby mi rozbić pewną tajemnicę.

– Ja tam nie wiem nic o mediach, Jerry.

– Spokojnie, tu nie chodzi o nic z tych rzeczy.

– Nie? A o co chodzi?

– O was, pilotów i żołnierzy.

– W takim razie wal śmiało. – Uśmiechnął się.

Zatopiłem wzrok w tańczącym lodzie i ciągnąłem dalej.

– Zastanawiałem się nad czymś i nie obraż się, że zapytam, bo to osobista rzecz...

– No mówże. O co chodzi?

– Czy wy piloci i reszta służących tam naprawdę wierzyliście, że jesteście po właściwej stronie? Czy rzeczywiście sądziliście, że walczyacie ze złem zagrażającym ustalonemu porządkowi rzeczy?

– Bo ja wiem? – Podrapał się po potylicy. – Mnie takie sprawy nigdy nie interesowały. Generalnie wszyscy mieli to w dupie.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem, choć zapewne powinienem był. Z jakiegoś powodu, być może za sprawą reakcji podczas włamania, być może przez okazały arsenał, Rory zdawał się być kimś więcej niż tylko zwykłym żołnierzem. Z drugiej strony jego słowa jasno temu zaprzeczały.

– W takim razie powiedz mi, co cię interesowało? – odparłem odrobinę rozczarowany.

– A ty co się nagle taki ciekawski zrobiłeś? – zapytał podejrzliwie. – Chciałem po prostu latać, ot co.

– Tak tylko pytam. Bo jeśli wszyscy mieli wszystko gdzieś, to po co w ogóle zaciągali się do wojska?

– Nie po co tylko przez co. Przez nabór. Nikt nie pytał, czy chcesz przeżyć fascynującą przygodę w środku południowoazjatyckiej dżungli. Dostawałeś bilet i nie było gadania, musiałeś lecieć.

– Ale tobie to odpowiadało? – spytałem wiedziony instynktem.

– No tak. Rzeczywiście. Mi to odpowiadało, ale ja, w przeciwieństwie do

nich, chciałem po prostu latać.

– I udało ci się – stwierdziłem, podając mu czapkę.

– Można tak powiedzieć.

Nagle dziwna myśl zaświtała mi w głowie. Skoro już tam byłem i rozmawialiśmy, to być może warto było dowiedzieć się kilku rzeczy o nim. Mało tego, pojawiła się szansa, że podzieli się ze mną czymś, czego nie opublikowano jeszcze w żadnej książce. Obraz karabinu M16 z wgnieceniem po kuli, wciąż tkwił w mojej pamięci, a ja, choć próbowałem, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że Rory wiedział więcej niż przeciętny szeregowiec z Sajgonu.

– Powiedz, trafiłeś w końcu tam, gdzie chciałeś, czy przerzucili cię prosto na front?

– Nie mówiłem, że byłem w Wietnamie.

– Ale latałeś w Air America?

– No tak, latałem. – Zawahał się, zastanowił chwilę i w końcu westchnął. – No dobra, byłem w Wietnamie. I co z tego? Połowa gości po sześćdziesiątce, których mijasz na ulicy, była w Wietnamie.

– Masz na myśli tych bezdomnych czy tylko biednych i kolorowych?

– A jaka to różnica?

– Najwidoczniej żadna. – Puściłem jego komentarz mimo uszu. – Powiedz. Sam się zaciągnąłeś, czy dostałeś bilet?

– Zaciągnąłem się, ale tylko po to, żeby dostać się do lotnictwa. Zresztą to był jeden ze sposobów ominięcia frontu.

– Chwileczkę. Bo się pogubiłem. O ile pamiętam, prowadziliśmy wtedy wojnę. Jak zamierzałeś ominąć front, zaciągając się? I to do lotnictwa? Przecież na tym głównie polegaliśmy, na bombardowaniach.

– Sam nie wiem. Może myślałem, że jak zobaczą, że jestem pilotem, to przydzielą mnie do którejś eskadry? Już zapomniałeś, Jerry? Podpisaliśmy taki dokument w Genewie, który mówił, że nie możemy się wtrącać w sprawy Wietnamu. Pamiętam, że nad tym akurat się zastanawiałem i tak to sobie właśnie wykombinowałem. Wiem, byłem naiwny, ale naprawdę nie spodziewałem się, że wyślą mnie właśnie tam.

– Nie mów, że nie mogłeś się jakoś wykręcić. Nawet gdy miałeś już w ręku bilet. Przecież mogłeś się ożenić. Mało tego mogłeś zostać nawet jednym z „Mężów Kennedy’ego”¹⁰.

– Tak, jasne. Mogłem też zapuścić włosy i pieprzyć się w narkotykowych orgiach razem z tymi wszystkimi pieprzonymi hippisami. Nie, dzięki, to nie moja bajka.

– No dobrze. W takim razie powiedz, jak to się stało, że wylądowałeś w Air America? Dlaczego w ogóle rzucili cię do Wietnamu?

– A co? Skąd ta cała ciekawość? Chcesz napisać o mnie w swojej książce?

– Słucham? W jakiej książce? – Zawahałem się. – Jestem po prostu ciekawy. Próbowałem, jak tylko mogłem zignorować jego uwagę, ale nie udało mi się. Rory zauważył, że się zawahałem i teraz wiedział już na pewno, że piszę.

– Dlaczego robisz taką minę? – zapytał. – Ach, tak? Teraz rozumiem. Więc naprawdę piszesz. – Uśmiechnął się. – No śmiało, powiedz, co to jest? Co tam skrobiesz?

– Gadasz bzdury! – Parsknąłem i sięgnąłem po szklankę.

– Skądże znowu? Przecież widać to po tobie na pierwszy rzut oka. O, tutaj. Tutaj to widać – wskazał na moją twarz – pod tym grymasem konspiratora.

Pokręciłem głową. Nie miałem mu do zaoferowania nic więcej.

– Proszę, proszę – ciągnął. – Nie mówiłeś, że jesteś pisarzem, Jerry. Czy mam teraz odnosić się do ciebie jakoś inaczej? Bardziej elokwentnie? No powiedz, śmiało, mam uważać na słowa?

Zaczynał mnie coraz bardziej irytować. Znaliśmy się jedynie z widzenia, a on mówił do mnie, jakbyśmy byli starymi kumplami. Co gorsza nie mogłem go za to winić. Sam na to pozwoliłem. A teraz przyczepił się do mnie, czy może powinienem powiedzieć do postaci alkoholika, którą grałem.

– No dobra. Piszę. Ale nie jestem pisarzem, więc daruj sobie sarkazm.

– W porządku, tylko po co od razu te nerwy?

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Niech to pozostanie między nami.

– Co? – zapytał.

– To, że piszę. Tak na wypadek, gdyby nie udało mi się skończyć. Ty chyba też nie chciałbyś, żeby wspomniano twoje porażki, prawda?

– Nie ma sprawy. Nikomu nie powiem, że nie jesteś pisarzem.

– Rory, daj spokój. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Dobrze, już dobrze. Nie spinaj się tak.

– Skąd wiesz, że piszę? – zapytałem. Było mi już wszystko jedno. Pchnąłem szklankę w jego kierunku, a on natychmiast dopełnił ją alkoholem.

– Nie wiem. To znaczy nie wiedziałem. A przynajmniej nie do tej pory. Poza tym, Jerry, pomyśl, kto robi notatki w książkach? Kto robi notatki w każdej jednej książce, która mu wpadnie w ręce? Tylko ten, kto chce z nich później skorzystać, a ty, wybac mi, ale na studenta już nie wyglądasz.

– No, dobrze. Skoro to ustaliliśmy, może podzielisz się czymś ze mną?

– Ale, ale, Jerry! Przecież ty jeszcze niczym się nie podzieliłeś. To ja odgadłem, że piszesz. Ty tylko potwierdziłeś, prawda?

– Pomogłem ci przesunąć tego grata. – Wskazałem na mebel stojący po mojej lewej.

– No dobrze, już dobrze. Nie będziemy się przecież licytować. Co chcesz

wiedzieć? Wal śmiało.

– Pytałem wcześniej, jak to się stało, że rzucili cię do Wietnamu, ale bardziej interesuje mnie, co robiłeś w Air America. Mówisz, że film kłamie? Udowodnij.

– Nie mogę tego udowodnić.

– Ale jednocześnie zaprzeczasz, że handlowali heroiną?

– No jasne, że zaprzeczę. No przecież bądźmy rozsądni. To tak, jakbyś zażądał, żebym udowodnił ci, że heroina powoduje halucynacje. Jak mam to zrobić, nie częstując cię działką?

– Dobra, rozumiem. Nieważne. Tak czy inaczej...

– Tak?

Podniosłem szklankę, przyglądając się jej przez chwilę. Rory nie nalegał. Czekał. Wiedział, że nigdzie się już nie wybieram.

– Chciałbym usłyszeć twoją wersję tej wojny. Powiedz mi, co tam robiłeś?

– Moją wersję wojny? Czy dobrze słyszałem?

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi – powiedziałem, spoglądając mimochodem na butelkę.

Rory rozpoznał sygnał bezbłędnie. Uśmiechnął się szeroko, sięgnął po swoją szklankę i zapadł się głęboko w fotel. Potem wznosił szkło do niemego toastu i napił się.

– No dobrze. Od czego mam zacząć? – zapytał.

– Od początku.

– Od samego początku?

– Od momentu, gdy tam trafiłeś.

Rory podrapał się po twarzy, spoglądając w sufit.

– Hmm... To by było chyba koło... Tak, jeśli mnie pamięć nie myli, to był rok sześćdziesiąty trzeci. Tak, w marcu sześćdziesiątego trzeciego roku skończyłem osiemnaście lat. Z tego, co pamiętam, to był czas, kiedy oficjalnie wycofywaliśmy się z Laosu.

Zamilkł się na moment, jakby niepewny czy mówić dalej, a kiedy tylko dałem mu sygnał, żeby kontynuował, podjął na nowo.

– No tak. To był sześćdziesiąty trzeci. Rok wcześniej podpisaliśmy z komuchami układ o neutralności Laosu. Kennedy wyciągnął stamtąd wtedy większość naszych, kilkuset doradców wojskowych i innych figurantów. No a Air America przestała wtedy zrzucać broń dla Hmongów 11.

– Ale wtedy jeszcze u nich nie pracowałeś? – przerwałem.

– Nie, to był początek służby. Musiałem przesiedzieć rok w bazie, zanim zacząłem moją barwną karierę. Mam mówić dalej czy nie?

– Przepraszam. Mów.

– OK. Więc na czym to ja skończyłem? A, tak. Po Genewie kontrakty firmy spadły do minimum. Okrojono je do tego stopnia, że Air zrzucała już tylko

żywność. Do maja tego samego roku chłopaki oblatywali zamiast dwóch tysięcy, marne sześćset kursów¹. A jeśli chodzi o Wietnam to co tu dużo gadać. Jak pewnie wiesz, nasza kampania nie ograniczała się jedynie do piechoty, więc dla prywatnej firmy takiej jak Air America zawsze było tam coś do roboty.

– Więc wysłali cię do Sajgonu?

– Nie. Nie dokładnie tam, ale co to za różnica?

– Nie wiem. Pewnie żadna. Ale chciałem zapytać o coś innego.

– O co?

– Air była prywatną firmą. Nie mogłeś przecież przejść do nich ot tak. Nawet jeśli byli tam z ramienia CIA. Jak się do nich dostałeś?

– To prawda. Niejeden chciał się do nich przenieść. Ale widzisz, mnie wysłali tam nie jako pilota, a mechanika – odparł, wychylił zawartość szklanki i odkręcił butelkę. – A byłem całkiem niezłym mechanikiem. Co prawda miałem za sobą kilkadziesiąt godzin lotów śmigłowcem, ale skończony kurs i umiejętność latania to jeszcze za mało, żeby pozwolić komuś latać wojskowym sprzętem. Z drugiej strony prywatna firma mogła teoretycznie robić wszystko. A ja, jak już mówiłem, byłem piekielnie dobrym mechanikiem.

– Zdawało mi się, że powiedziałeś „dość” dobrym? – wtrąciłem.

– To na jedno wychodzi. Tam na froncie nawet kiepski mechanik był na wagę złota. No, ale przejdźmy dalej. W trakcie mojego pierwszego roku Hanoi zamiast wycofać się z Laosu, wprowadziło tam dodatkowe siły. No, a Kennedy nie był przecież typem, który siedzi na tyłku, czekając z atakiem aż miną święta. Do końca sześćdziesiątego trzeciego roku zwiększył zaopatrzenie dla wieśniaków Hmong, tak że okrągłe dwadzieścia tysięcy partyzantów miało swoje pukawki i naboje. Zrzucaliśmy im wtedy twardy ryż na okrągło².

– Czyli latałeś? – zapytałem.

– Nie, nie latałem. Byłem naprawdę wkurwiony. Obsługiwałem załadunek i konserwowałem sprzęt, i to było wszystko. Na szczęście dla mnie to był właśnie taki czas, że w firmie potrzebowali na gwałt pilotów. Może niekoniecznie w Wietnamie, bo przecież tam było ich na pęczki, ale gdzie indziej? No, także rozumiesz, musiałem cierpliwie czekać do końca służby.

– I wtedy dopiero zacząłeś brać udział w misjach?

Byłem coraz bardziej zainteresowany. Zaczynało docierać do mnie, dlaczego tak bardzo chciałem z nim rozmawiać. Jeśli był choć cień szansy, że latał w Air America, mógł widzieć nie tylko zniszczenia spowodowane bombardowaniami, ale i znać faktyczne daty rozpoczęcia działań w tej tajnej wojnie.

– Czy brałem udział? Oj, Jerry. Myślisz, że takie czapki trzyma się, żeby wspominać warsztat mechanika?

– W takim razie słucham – powiedziałem, odkładając do połowy opróżnioną szklankę. Rory przyjrzał mi się uważnie, jakby oceniał moje zamiary i uśmiechnął

się.

– Dokładnie rok po moim przylocie, w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku komuniści przeszli do ofensywy. Znajomy pilot wkręcił mnie do firmy i wylądowałem w bazie wojskowej w Udorn w Tajlandii.

– W Tajlandii?

– Tak, to była główna siedziba Air America. Poza tym szkoliliśmy tam pilotów z Laosu na naszych T-282.

– Kto szkolił? Air America?

– Jasne, że nie, Jerry. Nasze Siły Powietrzne.

– I tam zacząłeś latać?

– Tak. Byłem w swoim żywiole. Byliśmy jedyną prywatną firmą, która wykonywała bojowe misje na najróżniejszym sprzęcie. Przez jakiś miesiąc latałem jedynie Bell'em dwieście piątą...

– Słucham?

– Helikopterem – odparł. – Ale potem dorzucili nam roboty i zacząłem przesiadać się na transportery C-123 B. Oprócz dostaw broni i amunicji dla partyzantów robiliśmy też masę innej dobrej roboty.

– Mianowicie?

– Od listopada zaczęły się misje ratunkowe. Nasi piloci złapani przez czerwonych rzadko trafiali sami do bazy. Rozumiesz, węże, robaki, żółtki. No, a kiedy chłopaki z lotnictwa zaczęli im mocniej dosrywać...

– Mówisz o bombardowaniach?

– No przecież mówię. Kiedy w sześćdziesiątym piątym nasi dokręcili żółtkom śrubę, w firmie zaczęło brakować rąk do roboty. Sam kilka razy ryzykowałem własnym tyłkiem, żeby wyciągnąć naszych chłopaków z dżungli.

– Ale to nie były jedyne misje? – Spojrzałem na szklanekę. Była piękna, kusząca i na wyciągnięcie ręki.

– To było właśnie piękne w tej robocie. W armii musiałem tkwić w jednym miejscu, a w Air America miałem niemal wolną rękę. Wylatywałem nie tylko z Udorn, ale i z Laosu, Kambodży, Wietnamu. Wysyłali nas tam, gdzie była robota. Nie można było narzekać na rutynę.

– Nie wątpię. – Parsknąłem. – Przecież nikt nie lubi rutyny na froncie, prawda?

– Sarkazm nie jest tu wskazany, Jerry. Nie wiesz, o czym mówisz, więc nie krytykuj.

Spojrzałem na niego z lekkim wyrzutem. Być może nie widziałem tej wojny na własne oczy, ale z tego, co mówił, on również nie grzeszył szerszym polem widzenia w tej kwestii.

– No dobrze. Mów dalej – powiedziałem.

– Hmm... Co jeszcze? Oprócz ratowania naszych chłopaków

transportowaliśmy też uchodźców, wykonywaliśmy rekonesans i dostarczaliśmy informacje o posunięciach czerwonych...

– Zaczyna się – pomyślałem.

Usta Rory'ego niemal się nie otwierały. Mówił tak płynnie, że po chwili jego słowa zaczęły się zlewać w przytłaczającym szumie alkoholu. Ciśnienie przytknęło mi jedno ucho i czułem, że zaczyna docierać do mnie fala ciepła. Spojrzałem na dno pustej szklanki i na mówiącego mężczyznę. Zauważyłem, że zwolnił i z jakiegoś powodu znów przyglądał mi się uważnie.

Rozejrzałem się po pokoju, podniosłem się i podeszedłem do okna, żeby złapać trochę świeżego powietrza. Pomyślałem, że spróbuję pociągnąć go za język. Sprawdzę, jak dużo skłonny jest powiedzieć.

– No dobrze – rzuciłem, wypełniając rosnącą ciszę. – Ale jednego nie rozumiem. Mówiłeś, że zrzucaliście im ryż. Zastanawiam się w ogóle po co? – skłamałem. – Po co karmiliście tę partyzancką armię?

– Słyszałeś kiedyś o „Mieszance Pomarańczowej?” – Scott spuścił wzrok, udając, że skupia się na nalewaniu. Był dobrym aktorem. To jedno trzeba mu przyznać.

– To środek toksyczny, który armia zrzuciła na Wietkong.

– No tak. Taki ogrodowy Roundup, tyle że podrasowany. Zrzucaliśmy to na las, żeby liście opadły.

– Liście w których czaił się Wietkong?

– Dokładnie. Problem w tym, że wiatr rozpylał to gównem na cztery strony świata i trzeba było dorzucać po kilka razy. No i wszystko im zdychało: świny, kury, kaczki, wszystko, co tam trzymali. Zresztą to, co rosło też, a to, co wyrosło, i tak nie nadawało się do jedzenia. Dlatego zrzucaliśmy im te wszystkie kury, świny, bawoły i resztę bydła. Także jak widzisz to nie był tylko ryż.

Spojrzałem z niesmakiem. Dopiero teraz zaczęło docierać do mnie, że Rory tak naprawdę niewiele wiedział ponad to, co zobaczył na własne oczy.

Tęczowe herbicydy, o których mówił, zrucane były na Wietnam, Laos i Kambodżę już od 1961 roku. I nie były to tylko defolianty pustoszące dżunglę. Już na samym początku używano głównie mieszanki niebieskiej, a w 1965 r., niemal połowa oprysków nakierowana była na zniszczenie plodów rolnych³. Pomijając oczywiste skutki rozpylenia 75 milionów litrów chemii, Rory ominął w swojej relacji również inny istotny szczegół. Według niego opryski pomagały naszym walczyć z komunistami, podczas gdy w rzeczywistości cała operacja „Ranch Hand” zakładała nie walkę z Wietkongiem, a zagłodzenie i wypędzenie z terenów rolnych milionów bezbronnych ludzi i wtłoczenie ich w absurdalnie krótkim czasie do nieprzystosowanych do tego miast. Przed opryskami i bombardowaniem w południowo wietnamskich miastach mieszkało dwa miliardy osiemset milionów ludzi. Kiedy w 1971 ostatni samolot opryskujący wrócił do

bazy, było ich już osiem milionów⁴. W przeciągu dziesięciu lat setki bomb i miliony litrów trucizny zmieniły oblicze kraju dokładnie tak, jak obrońcy komunizmu sobie tego życzyli. Przymusowa urbanizacja, zrujnowane rolnictwo, wojskowy reżim i brak wolności słowa, a także towarzyszące im represje wobec ruchów nacjonalistycznych to dokładnie ten klimat, który amerykańskim korporacjom odpowiadał najbardziej. To dokładnie ten sam klimat, który odpowiada im teraz. Zastanawiałem się, czy Rory spojrział kiedykolwiek w dół, lecąc nad półtoramilionową populacją slumsów w Sajgonie. Bo przecież to był właśnie bezpośredni skutek naszych działań w Wietnamie: stworzenie klimatu inwestycyjnego, taniej siły roboczej i gruntu pod model azjatyckiego rozwoju.

Scott nie mówił jak człowiek, który przejmowałby się losem innych i byłem przekonany, że wręcz przeciwnie, nieraz korzystał z luksusu skierowanego do elit i amerykańskiego personelu wyższego szczebla.

– Nasze pierwsze ludobójstwo po Hiroszimie – powiedziałem. – Jak się z tym czujesz?

– Ludobójstwo? Byłem na miejscu kolego i żadnego ludobójstwa nie widziałem.

– Nie? Widocznie zbyt wysoko latałeś. – Zaczynał mnie naprawdę irytować.

– Być może. Ale czy mam się czuć przez to winny?

– Nie musisz. O ile nie spuszczałeś któregoś z tych Herbicydów.

– A nawet jeśli spuszczałem? Co to za różnica?

– Zapytaj o to czterysta tysięcy zabitych lub okaleczonych Wietnamczyków. Albo, jeśli wolisz, możesz zapytać o to któreś z pięciuset tysięcy dzieci z wrodzonymi deformacjami ciała. Zapytaj o to dzieci, które do dziś rodzą się okaleczone i te, które się nie narodziły lub urodziły martwe.

– Przestań dramatyzować. Upośledzone dzieci rodzą się wszędzie. Kto wie, może i ty będziesz miał kiedyś jedno. – Rząd białych zębów zaśmiał się w szyderczym uśmiechu.

Zacisnąłem pięść, ale opanowałem język. Jego beztroskie podejście do tematu i ekshibicjonistyczna wręcz nikczemność zaskoczyły mnie. Przez moment przeszło mi przez myśl, że może próbował mnie prowokować.

– I naprawdę nie czujesz się ani trochę odpowiedzialny? – zapytałem.

– A niby dlaczego? Wykonywałem tylko rozkazy.

– Przecież w Air America byłeś cywilem. – Nie odpuszczałem.

– Mówisz tak, jakbym uknuł spisek, wyprodukował to świństwo i osobiście spryskał nim tych wszystkich ludzi.

Zdawał się wierzyć we własne słowa, a ja nie mogłem zrozumieć dlaczego. Nie chodziło nawet o to, żeby przyznał się do winy. Chciałem wiedzieć, jak będąc tam i widząc to wszystko, nie był w stanie przyznać, że użycie broni chemicznej było złe z moralnego punktu widzenia.

– Rozumiem, że nie uczestniczyłeś w opryskach? Loty wykonywało wojsko i piloci z południowego Wietnamu. Czy może się myłę?

– Zgadza się. Nawet nie zbliżyłem się do tego świństwa.

– I nie wydaje ci się, żeby te opryski były czymś złym?

– Jasne, że były złe. Cała ta pieprzona wojna była zła. Ale dzięki opryskom nasi mogli ładować w żółtków bez obaw, że tamci zajdą ich od tyłu. Więc jeśli ktoś teraz pyta mnie o opryski, mówię tylko to, co wiem, że były cholernie skuteczne.

– Jasne, że skuteczne. Prawie pięć milionów Wietnamczyków zostało wystawionych na działanie rakotwórczych dioksyn w stężeniu setki razy większym niż te dozwolone przy spryskiwaniu ogródków. Czy wiesz, że wystarczy jedna milionowa grama dioksyny na każdy kilogram ciała żeby zrujnować twoje zdrowie?

– No, no, no. Widzę, że się przygotowałeś.

– A wiesz, ile zrzucono w tych latach czystej dioksyny? Trzysta sześćdziesiąt sześć kilogramów. Trzysta sześćdziesiąt sześć kilogramów, które do dziś krążą w glebie, wodzie i żywności, niszcząc życie nie tylko weteranów tej wojny, ale i ich dzieci i wnuków. A wiesz, jaki los czeka rolnika, którego jedynym zabezpieczeniem jest grupka niezdrowych, a zdeformowanych i okaleczonych dzieci? Są takie miejsca, gdzie poziom dioksyn we krwi ludzi jest trzysta, do czterystu razy wyższy niż międzynarodowy limit^{5,6}. Myślisz, że ci ludzie mają kolorowe sny?

Rory patrzył na mnie z wyrazem zaskoczenia i kpiny na twarzy. Nie wiem, co zdziwiło go bardziej, to, że znam dokładne dane, czy to, że problemy ludzi żyjących na drugiej półkuli wciąż kogoś obchodzą.

– Widzę, że to ty mógłbyś mi opowiedzieć coś o Wietnamie – skwitował. – Ba, widzę, że masz na to wielką ochotę.

– Po prostu dziwi mnie twoje nastawienie.

– No to o czym chcesz jeszcze opowiedzieć, Jerry? Czego jeszcze nie wiem o wojnie, w której tkwiłem przez prawie dziesięć lat mojego życia?

Nachylił się i sięgnął po butelkę. Odkręcił ją powoli, obserwując mnie bez cienia życzliwości. Odwzajemniłem się podobnym spojrzeniem.

– Powiedzmy, że chcę zrewidować swoje utarte poglądy – powiedziałem.

– Chyba raczej moje – odparł.

– Tylko jeśli na to pozwolisz.

– Wał się! – burknął i pociągnął ze szklanki.

Nie odezwałem się. Nie wiedziałem, co go tak poruszyło. Być może i na niego alkohol zaczynał już działać. Rozejrzałem się po pokoju, próbując zignorować jego ostatnie słowa. Oboje potrzebowaliśmy przerwy.

– Co chcesz wiedzieć? – odezwał się po chwili spokojniejszym głosem. Widziałem, że próbował nad sobą panować.

– Powiedziałeś... – zacząłem. – Powiedziałeś, że zniszczenie ziemi rolnej, flory i fauny, zatrucie wody i okaleczenie setek tysięcy ludzi bronią chemiczną było „skuteczne”. Czy dobrze zrozumiałem?

– Boże, Jerry, czuję się jak w sądzie – powiedział, wykonując teatralny gest szklanką.

– Odpowiedz na pytanie.

– Tak, dobrze zrozumiałeś. A teraz do rzeczy, Jerry. O co ci chodzi?

Musiałem się chwilę zastanowić. Jak wydobyć informacje od człowieka, który wyzuty był z poczucia moralności?

– Czyli według ciebie skuteczność działań wojennych była najważniejsza w tamtym czasie? Była tym, czego dowództwo powinno się trzymać?

– A nie było tak? Z tego, co pamiętam, nikt nie bawił się wtedy w moralne wyliczanki. Każdy pułkownik, kapitan i sierżant robił to, co trzeba było, żeby wykonać robotę jak należy, czyli zrobić swoje i wynieść się, zanim Charlie pokaże swoją paskudną żółtą gębę, rzucając się na nas z ukrycia¹³. Trzeba było przeżyć. To było najważniejsze. Nie zostać zaskoczonym na środku pola ryżowego, nie dostać granatem od przyczajonej w chacie staruchy. To był priorytet. Jeśli chcesz nazywać to skutecznością, możesz tak mówić, śmiało, nikt ci nie zabroni. Ale ja wiem swoje. Gdybyśmy nie spuścili im tej trutki na głowy, wielu przyzwoitych chłopaków wróciłoby do domu w plastikowych workach.

Powoli zaczynałem rozumieć jego sposób myślenia. Zastanawiałem się, czy aby na pewno chcę burzyć jego poczucie obowiązku i lojalności.

– A co powiesz na bombardowania? Co z ludnością cywilną? Przecież większość ofiar to cywile?

– Bzdury! – rzucił. – Tam nikt nie był cywilem. To, że nie mieli na sobie mundurów, nie znaczyło, że nie potrafili zabijać. A prawda jest taka, że oni wszyscy bez wyjątku tylko czekali na okazję. Nawet jeśli nie widziałeś tego w ich oczach, to prędzej czy później odczuwałeś na własnej skórze.

– To byli prości ludzie, rolnicy, najpierw skolonizowani przez Francuzów, potem w Genewie rozdysponowani między czerwonych i błękitnych. Jak myślisz, ilu z nich było tak naprawdę komunistami?

– Wszyscy, którzy pomagali Wietkongowi zabijać naszych – odparł.

– Myślisz, że tym wszystkim niepiśmiennym rolnikom robiło różnicę, w której części Wietnamu żyją? Dla takiego chłopca ważna jest ziemia, rodzina, kultura i tradycja. Myślisz, że obchodził ich komunizm? Myślisz, że mieli wielki wybór, kiedy Diem, samozwańczy prezydent–dyktator, mieszczanin i do tego katolik postanowił zrobić z ich buddyjskiego kraju centrum kultu Maryi? Może mieli mu przyklaskiwać?

– Diem nie był wcale taki zły. – Rory machnął ręką i pociągnął kolejny raz, opróżniając szklankę.

Spojrzałem zdziwiony. Czy mógł być aż takim ignorantem? Czy naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, o co chodziło w tej wojnie? Czy nie zadał sobie nigdy tego jednego prostego pytania: dlaczego ta wojna w ogóle miała miejsce?

Wyglądał na kogoś, dla kogo teoria domina w zupełności wystarczała, a jednak nie potrafiłem wyobrazić sobie, że ktoś, kto tam był i widział potworności tej wojny mógł bronić tej samej, powtarzanej na okrągło teorii.

Kiedy prezydent Jimmy Carter stwierdził w ogólnokrajowej stacji telewizyjnej, że „nie jesteśmy nic dłużni” Wietnamczykom, ponieważ „szkoda była obopólna” z pewnością liczył na to, że ludzie tacy jak Scott kupią teorię domina bez zbędnych dodatków⁷. Jak się okazuje miał rację. Zastanawiałem się, jak bardzo trzeba być ograniczonym, by nie dostrzec obłudy tamtego stwierdzenia. Czy fakty nie rażą w oczy inną, bardziej czytelną prawdą? Przecież sama nasza obecność w tym rejonie i wpływ na sprawy tego suwerennego kraju były koronnym dowodem kolonialnych zapędów. Eisenhower doskonale wiedział, jak kiepskim kandydatem na lidera kapitalistycznego południa będzie Ngo Dinh Diem. Nie dość, że był katolickim bogaczem w biednym buddyjskim społeczeństwie, to na dodatek był po prostu wrzodem, pozostałością po kolonialnym rządzie. Czy taki lider może wróżyć dobrze na przyszłość? Kiedy Rory powiedział, że Diem nie był taki zły, włosy zjeżyły mi się na karku. Przecież niecałe pół roku po Konwencji Genewskiej, która zapewniała demokratyczne wybory, wolność słowa i autonomię, Diem publicznie wyparł się jej ustaleń. Wprowadził programy pacyfikacji, które realizował poprzez aresztowania i egzekucje ogromnych ilości ludzi. Podejrzani o przynależność do Viet-Minh byli zatrzymywani lub mordowani bez jakiegokolwiek formy procesu czy udowodnienia winy. Armia prezydenta wyruszała w masowe ekspedycje w spokojne regiony „komunistyczne”, aresztując dziesiątki tysięcy i zabijając setki, być może tysiące chłopów i niszcząc przy tym całe wioski za pomocą ostrzałów artyleryjskich. A wszystko to odbywało się za cichym przyzwoleniem i pomocą Amerykanów, przeświadczonego o słuszności antykomunistycznych, pro-demokratycznych starań. Armia Diema była nie tylko szkolona, ale i wyposażana przez nasz kraj, podobnie zresztą jak i tajna policja, którą dowodził brat prezydenta znany ze swojego okrucieństwa i fascynacji postacią Hitlera⁸. Podczas kampanii noszącej śmiałą nazwę „Potępij Komunistów” Diem wprowadził prawo nakładające karę śmierci na każdego podejrzanego o działalność komunistyczną. Nic więc dziwnego, że w tym młodym „demokratycznym” kraju nie wyłonił się żaden polityczny przeciwnik prezydenta. W wyniku prześladowań w latach 1955–57 zostało zabitych około dwunastu tysięcy podejrzanym dysydentów, a do końca 1958 roku zamknięto 40 tysięcy więźniów politycznych. I na koniec: pomimo że ostatecznie Diem nie zdał egzaminu, a CIA przyzwoliła tamtejszym generałom na jego zabójstwo i przewrót⁹, prezydent do końca reprezentował to samo lekceważenie uzgodnień

genewskich co USA.

Dla nas był to jedynie świstek papieru. Inni mogli się jeszcze wtedy łudzić, ceniąc sobie nasze słowo dane w Genewie, ale my jak zawsze chępliśmy się jedynie własnym honorem, podczas gdy ostatecznie wszystko sprowadzało się tego do jednego, prostego pytania: kto zyska przewagę? Ergo, kto złamie dane słowo i zaatakuje pierwszy?

Do kwietnia 1965 r., zanim Pierwszy Północno Wietnamski batalion został wykryty na południu, ponad sto sześćdziesiąt tysięcy „członków Wietkongu” w Południowym Wietnamie poległo pod „miażdżącym ciężarem amerykańskiej broni, napalmu, bombowców odrzutowych i gazu”¹⁰. A wszystko to wbrew ustaleniom międzynarodowym, wbrew danemu przez nas słowu i z aroganckim lekceważeniem prawa.

Podobnie zresztą traktowano ludność cywilną w Wietnamie Północnym. Podczas gdy nasza administracja zarzeka się, że atakowano jedynie cele militarne, a szkody wśród ludności cywilnej były minimalne, prawda naocznych świadków jak zawsze odbiegała od wersji oficjalnej. Ogromne obszary Północnego Wietnamu zostały całkowicie zdewastowane. Po ciężkim bombardowaniu ziemia w wielu miejscach przypominała krajobraz księżycowy, usiany kraterami, pozbawiony jakichkolwiek śladów życia. W 1965 r. miasto Vinh zostało dosłownie zrównane z ziemią. Po budynkach nie pozostały nawet fundamenty. Nikt nie zastanawiał się nad humanitaryzmem takiej strategii. Miasto Than Hoa zostało zbombardowane, pomimo że między mostem, jedynym możliwym celem strategicznym, a szpitalem, który został doszczętnie zrujnowany, rozpościerał się kilkumilowy odcinek w zasadzie oszczędzony. Most zniszczono zmasowanym, skoncentrowanym bombardowaniem, a zniszczenia w mieście określono jako „wojskową konieczność”^{11,12}. Czy ta sama konieczność kazała ostrzelać sanitariuszy, próbujących ratować ludzi z walącego się szpitala? Zastanawiałem się, co powiedziałyby na to Scott.

Rory przyglądał się mi jeszcze chwilę, potem wstał i poszedł do kuchni. Chwiał się odrobinę, ale widziałem, że wciąż jest w stanie wypić jeszcze przynajmniej dwa drinki. Po chwili wrócił z kartonem do połowy zjedzonej pizzy.

– I jak? Przeszło ci trochę? – zapytał, znów uśmiechając się beztrudnie, jakby nic się nie stało.

Nie zgadł. Nie przeszło mi. Byłem wściekły. Jego swobodne spojrzenie wwierało się gdzieś głęboko w moje nerwy. Nie mogłem uwierzyć, że był aż takim ignorantem. Kortyzol w żyłach rozpędzał krwiobieg, przyprowadzając o rytmiczny ból okolice skroni. Potarłem dłonią czoło, sięgając drugą po szkło.

– Tak, już w porządku – powiedziałem. – Czasami mnie ponosi. Jestem wyczulony na punkcie Wietnamu. Sam nie wiem dlaczego – zrobiłem trzy głębokie wdechy, starając się uspokoić.

- Cóż. Każdy ma jakieś hobby.
- Tak jak ty.
- Tak jak ja.
- Mówisz, że Diem był ok? – zapytałem.
- Tak – powiedział, odrywając wielki kawał pizzy. – Często się.
- A jak oceniasz naszą kampanię? Na przykład te wszystkie bombardowania? Myślisz, że były konieczne? – W głowie powtarzałem sobie: spokojnie, on po prostu nie wie.
- Bo ja wiem? – powiedział i zamilkł, zastanawiając się przez chwilę.
- Ja to widzę tak – podjął – albo my albo oni. Gdybyśmy nie zrzucili na Wietkong tych wszystkich bomb i napalmu, mielibyśmy o wiele więcej roboty w terenie. Musielibyśmy przedzierać się przez busz, a pewnie wiesz, że te skurczybyki były przebiegłe jak diabli.
- No tak, ale bombardowanie?
- To była wojna, Jerry. A wojna tak właśnie wygląda. Zaraz, zaraz... – Spojrzał na mnie, zastanawiając się nad czymś. – Coś ty się tak czepił tego bombardowania? Chyba nie będziesz mi tu majaczył teraz o Laosie i Kambodży?
- A nawet jeśli to co?
- Boże, kogo dzisiaj obchodzi Laos i Kambodża?
- Mnie – odparłem.
- Przestań chrzanić, Jerry. Bardziej zależy ci na tym, żebym przyznał ci rację. Szukasz pretekstu, żebym zaczął się kajać i pluć na mój kraj. Tak naprawdę masz w dupie tych wszystkich żółtków. Jesteś dokładnie taki sam, jak reszta klaunów pacyfistów.
- Co w tym złego? – próbowałem powstrzymać się i panować nad głosem. – Co w tym złego, że chcę cię przekonać? Gdyby ktoś wmawiał ci, że jesteś niedorozwinięty, czy nie chciałbyś mu udowodnić, że jest inaczej?
- Ja ci niczego nie wmawiam – powiedział. – Za to ty gadasz od rzeczy.
- Dlatego, że nie chcesz mnie wysłuchać.
- No dobra, załóżmy, że cię wysłucham. Tylko po co? Co to zmieni? Poczujesz się lepiej? Połechtam twoje zaspane sumienie? Może o to właśnie chodzi? Żebyś poczuł się lepiej, edukując weterana, wyjaśniając mu, co robił, bo sam jest za głupi, żeby to wiedzieć?
- Nie rób z siebie ofiary – odparłem. – Zresztą nawet jeśli chcę ci coś wyjaśnić to co z tego? Przecież tobie i tak jest to obojętne.
- Rory spojrział na mnie, pokręcił głową, a potem westchnął. Wyglądało na to, że nie miał już ochoty na spory i zaczynał się poddawać.
- No dobrze. Załóżmy, że masz rację... – powiedział, odczekał chwilę, przemyślał coś i powiedział:
- W porządku, dawaj. Zobaczymy, co masz mi do powiedzenia.

- No to może zaczniemy od „operacji menu”?
- Pierwsze słyszę.
- No to słuchaj.
- Słucham przecież.
- Wiesz, że główny szlak Vietcongu i armii Północnej wiódł przez Laos i Kambodzę, prawda?
- No tak, chyba widzę, do czego zmierzasz.
- Daj mi skończyć.
- W porządku, w porządku. Mów.
- To były głównie tereny wiejskie, a Laos był krajem neutralnym.

Pamiętasz?

– Tak – przyznał. – Z tym, że szlakiem Ho Chi Minh dostarczano żywność i broń dla baz wojskowych, więc nie próbuj wciskać mi kitu o terenach wiejskich.

– Masz rację, ale tylko częściowo. Ale powiedz mi teraz, co było wokół tych baz? Dżungla? Nieskazitelna przyroda nienaruszona ludzką stopą? Byłeś tam? Przechadzałeś się między nimi? Przecież większość ludności Laosu i Kambodży mieszkała właśnie w takich rejonach. Nasze oficjalne źródła to te, które mówią o udanych misjach, a nie te, które przyznają się do pacyfikacji wiosek gdzieś pomiędzy nimi. W samym sześćdziesiątym piątym zrzuciliśmy prawie trzy tysiące ton bomb w ponad stu tysiącach miejsc w Laosie¹³.

– I dzięki temu nie zaatakowali nas w Wietnamie od zachodu.

– Tak, być może to prawda, ale i tak nie powstrzymało to Północnego Wietnamu, prawda? Zamiast wycofać się z tej wojny, jak należało to zrobić już na samym początku, zrzucaliśmy tony bomb na rolników, którzy często nie wiedzieli nawet, że mieszkają w miejscu o nazwie Kambodża. W lutym siedemdziesiątego trzeciego spuściliśmy tam siedemdziesiąt tysięcy ton bomb. I to nie były działania przeciw Północnemu Wietnamowi, zrzucaliśmy śmierć na rebeliantów walczących z kambodżańskim reżimem, tym samym reżimem, który wspieraliśmy. W samej prowincji Phnom Pehn ponad trzy tysiące cywili zostało zabitych w przeciągu trzech ostatnich tygodni marca tamtego roku¹⁴.

– Dla mnie to byli czerwoni – stwierdził beznamiętnie.

– Rory, przecież nawet rząd Kambodży był innego zdania. Właśnie pod koniec marca na konferencji prasowej Sihanouk zaapelował do prasy, by opublikowała jego oficjalny sprzeciw wobec bombardowaniom pokojowo nastawionej ludności. Mówił, że na terenach graniczących z Wietnamem ginie coraz więcej kobiet i dzieci. A my? Co z tym zrobiliśmy? Zatuszowaliśmy sprawę. W styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku rząd Kambodży opublikował raport wymieniający szczegółowo ponad pięć tysięcy nalotów przeprowadzonych do sześćdziesiątego dziewiątego roku wraz z datami, lokalizacją, ofiarami i fotografiami¹⁵. I co z tego? Nasze media i tak siedziały cicho. Tajne

bombardowania Laosu i Kambodży pozostały „tajne” dlatego, że New York Times, Washington Post i pozostali zdecydowali, że w dalszym ciągu powinny być tajne. No, przynajmniej do momentu, gdy znaleziono kozła ofiarnego.

– Nixon? – Rory w końcu przejawiał zainteresowanie.

– Tak, Nixon. Pamiętasz coś ciekawego z tamtego okresu?

– Niewiele, nie interesowałem się tym aż tak, jak ty teraz, ale pamiętam, że po Watergate jeździli po nim jak po worku z gnojem.

– To prawda. Problem w tym, że nie krytykowali go za przyzwolenie na pacyfikację kambodżańskich i laotańskich chłopów, ale za to, że nie poprosił najpierw Kongresu o pozwolenie.

– Jak już mówiłem, Jerry. To była wojna.

Przeczesałem dłonią przetłuszczone włosy i wziąłem głęboki wdech, żeby się opanować. Jego argumenty wyczerpywały moją cierpliwość. Wyglądało na to, że nic do niego nie dociera.

– Dobra, w porządku – powiedziałem. – Wojna równa się bombardowanie. Ale co z wszystkimi pozostałymi operacjami przeprowadzanymi kosztem bogu ducha winnych ludzi? Czy wyobrażasz sobie wysyłanie w tamtym czasie naszych komandosów do Czech czy Polski w celu odnalezienia i wyeliminowania elementów kapitalistycznego podziemia?

– Co ty znowu opowiadasz?

– Słyszałeś o Programie Feniks, prawda?

– No tak, słyszałem. Przyznaję, to było szambo.

– Jasne, że było. Jak mogło nie być? Ale co z tego? Ponad osiemdziesiąt tysięcy „podejrzanych” zwolenników Wietkongu zostało pojmanych, przetrzymywanych i przesłuchiowanych. Chyba wiesz, co mam na myśli mówiąc przesłuchiowanych, prawda?

– Nie obrażaj mojej inteligencji.

– Wiesz, ilu przeżyło?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Prawie jedną trzecią podejrzanych zamordowano.

– To prawda, cholernie wielu ludzi. Ale dlaczego od razu robisz z tego ludobójstwo? Wielu zginęło, stawiając opór, atakując naszych. Co zrobisz, kiedy chłopak, którego przepytujesz strzela ci w plecy, gdy się odwrócisz? To był Wietkong, tam nie było miejsca na sentymenty. Straciłem kilku dobrych kolegów przy zatrzymywaniu tych tak zwanych cywili.

– Wiesz, czytałem kiedyś zwierzenia jednego z tych dobrych kolegów, o których wspomniałeś. Wiesz, co napisał?

– Nie wiem. Ale pewnie zaraz się dowiem.

– Pisał, że zazwyczaj robili to w ten sposób. Łapali któregoś z mieszkańców wioski, zakładali mu na głowę szmaciany worek z otworami na oczy, zawiązywali

wokół szyi drut i urządzali sobie spacer po wiosce. Kiedy przechodzili obok domu sympatyka Wietkongu, więzień miał podrapać się w głowę. Następnie jeszcze tej samej nocy ktoś z oddziału pojawiał się przed takimi drzwiami, pukał i mówił „Prima Aprilis, skurwysynie!” Ktokolwiek otworzył drzwi lub się odezwał, był uznawany za komunistę. Czasami żołnierze wracali do obozu z uszami, żeby udowodnić, że kogoś zabili¹⁶.

– Tak. To były popieprzone misje, ale takie mieli rozkazy. A trzeba mieć ikrę, żeby nie wykonywać rozkazów. Myślisz, że ci chłopcy mieli jaja, żeby się sprzeciwić? Przecież to były dzieciaki, a nie żołnierze.

– No tak. Jesteśmy tylko ludźmi – powiedziałem. – Ale jest pewna różnica między decyzją na linii frontu, a decyzją, którą podejmujesz wchodząc do wioski pełnej kobiet i dzieci.

Rory nie odpowiedział. Przyglądał mi się uważnie, trawiąc powoli moje słowa.

– A zupełnie inną rzeczą jest – kontynuowałem – podejmowanie strategicznych decyzji, które prowadzą do takich sytuacji.

– Może i masz rację. Nie byłem nigdy na tyle blisko tego gówna, żebym mógł teraz zaprzeczyć. Z drugiej strony ciebie tam nie było.

– Nie, ale czytałem zeznania świadków i kilka książek na ten temat. Czy mówi ci coś nazwa Speedy Express? Albo Malheur?

Rory zaprzeczył.

– Podczas operacji Malheur w przeciągu czterech miesięcy zabito łącznie niemal dziewięciuset żołnierzy sił Wietnamu Północnego. Wiesz, ilu cywili zginęło podczas tych akcji?

Rory pokiwał głową zrezygnowany.

– Sześć tysięcy czterystu cywili¹⁷.

– I wszyscy zabici za pomocą...? – zapytał.

– Nieważne, czym ich zabili. Czy to naprawdę istotne, jak umierali? Bombardowanie, napalm czy pestycydy, jaka to różnica? Śmierć to śmierć.

– Dobra – powiedział. – Wydaje mi się, że mam dosyć na dzisiaj. – Przetarł dłońmi twarz i zmęczone, śpiące oczy.

Poczułem, że to właśnie ten moment. Po raz pierwszy od początku wieczoru spuścił gardę i zdawał się być niemal bezbronny.

– Masz rację. Męczę cię tymi oskarżeniami, a tak naprawdę chciałem wiedzieć coś o tobie. Powiedz, długo byłeś w Wietnamie?

Rory odczekał chwilę, jakby walczył ze sobą i z myślą o wyproszeniu mnie za drzwi i po chwili zdecydował.

– Do końca – powiedział bez emocji.

– Do siedemdziesiątego piątego?

– Tak – odparł teraz już smutnym głosem i sięgnął po butelkę. – Pamiętam

ewakuację ambasady w Sajgonie, jakby to było dziś.

– Byłeś tam?

– O tak. – Nalał sobie, a potem dopełnił moją szklankę. – To był widok, którego chyba nigdy nie zapomnę. Przyznam, że wtedy po raz pierwszy dopadły mnie wyrzuty sumienia.

– Wyrzuty sumienia? – zapytałem.

– Tak. Zostawiłem tam Diu i Tuyen. – Zajrzał do szklanki i zamilkł na moment.

– Nie rozumiem.

– Moją kobietę i moją córkę. Przecież mówię chyba jasno, nie?!

Nie podniósł wzroku. Lekki grymas irytacji pojawił się na twarzy, ale zaraz zgasł przytłumiony nostalgią lub smutkiem. Odczekałem chwilę, pozwalając mu zebrać myśli, a potem stało się coś dziwnego. Rory uśmiechnął się. I wydawało mi się, że to był pierwszy szczerzy, bo pełen nostalgii, uśmiech.

– Pamiętam jak trzymała ją w górze, nad głową stojąc na środku ulicy...

Spojrzał na mnie, a potem jego wzrok powędrował gdzieś w dal, do tamtego dnia i miejsca, w którym to się stało.

– Wszędzie tłoczyli się ludzie, próbujący przedostać się za bramę – powiedział. – A my... Właśnie odlatywaliśmy – dodał i zamilkł.

– To musiało być trudne – dodałem po chwili, ale Rory nie odpowiedział. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w ścianę za mną, a potem jego wzrok przesunął się na moją twarz.

– Chciała, żebym zapamiętał ją taką, jaka była w tamtym momencie – powiedział. – Milcząca i dumna. Ale mi wtedy tak naprawdę wisiało, czy poleci ze mną czy nie. I tak nie zamierzałem ciągnąć tego dalej.

– A teraz?

– Co teraz?

– Żałujesz? – zapytałem, podnosząc szklankę.

Scott podniósł swoją i przeszył owalne szkło wzrokiem. Wyglądał jakby przez zakrzywione szkło chciał przyjrzeć się jeszcze raz tamtej chwili. Potem pokręcił głową i wypił do dna.

Czekałem, aż odpowie, ale nie zamierzał tego robić. Przetarł tylko usta dłonią, otrząsnął się ze wspomnień i uderzył w stół.

– Żałuję, że nie mam więcej whisky – powiedział, uśmiechając się gorzko. – Mógłbym ci powiedzieć, dlaczego ją zostawiłem.

– Nie musisz, jeśli nie chcesz.

– No dobra, powiem. – Przechylił się do przodu, wsparł łokcie na kolanach, a jego głowa opadła na moment poniżej linii ramion. Był mocno wstawiony.

– Nie kochałeś jej – powiedziałem.

– Nie, to nie to – wymamrotał. – To była świetna kobieta. Diu miała

najpiękniejszy uśmiech na świecie, ale kiedy ktoś znalazł jej za skórę... Tak, lepiej było trzymać się z daleka.

– Nie mogłeś jej zabrać? Nie miała wizy? Czy to wojskowi robili problemy?

– To nie tak. Ona... – Zrobił krótką, kilkusekundową przerwę. – Latałem tak często, że czasami nie widywała mnie miesiącami.

– I w końcu ją odsunąłeś?

– Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Czasami kiedy mijał trzeci, czwarty tydzień zapominałem, jak wygląda.

– To chyba normalne, była wtedy wojna.

– Tak, ale wtedy... Wtedy zacząłem latać do Laosu.

– Po chłopaków? Zestrzelonych pilotów?

– Nie. To znaczy nie tylko po nich. – Czułem, że zbliżam się do sedna. Jego ostrożność stopniała.

– W takim razie latałeś z opryskami – stwierdziłem.

Wiedziałem doskonale, że to niemożliwe. Gdyby spryskiwał cokolwiek dioksynami, nie siedziałby tu, pijąc ze mną i gawędząc. Jedyne, co mógłby pić, to wody gruntowe cementarza.

– Chyba nie myślisz, że zbliżałbym się do tego świństwa?

– W takim razie ratowałeś cywili albo przewoziłeś dostawy dla Hmongów.

– Do kurwy nędzy, Jerry! – Stracił cierpliwość. – Dobrze, jeśli tak bardzo cię to interesuje, to kursowałem do Long Tieng.

– Czyli to prawda – powiedziałem nieco ciszej. Starłem się nie patrzeć mu w oczy. Dokładnie tak, jak nie patrzy się w oczy rannemu zwierzęciu.

– Tak. Przez dwa lata przewoziliśmy zbiory helikopterami wysoko w góry.

Wszystko się zgadzało. Według Christophera Robbins'a, autora Air America, zbiory opium z 1970 i 71 roku przewożone były helikopterami do bazy generała Vang Pao w północnym Laosie. Tam, w jego laboratorium, były przetwarzane na heroinę. A wszystko to pod czujnym i świadomym okiem CIA18.

– Jak udało ci się w to wplątać? – zapytałem.

– Przez kumpla. Któregoś razu poprosił mnie, żebym zastąpił go podczas jednej z misji. Chciałem wybrać urlop i lecieć do Diu, ale nalegał, żebym wziął za niego kurs. Potem w ramach wdzięczności zaproponował mi pomoc. Przyznał się, że tamtego dnia leciał do Laosu i że będzie potrzebował partnera do rozładunku. Kogoś, kto od czasu do czasu będzie mógł go zastąpić.

– Gdybyś dzisiaj miał wybrać między nimi, a Laosem, czy postąpiłbyś tak samo?

– Myślę, że tak. Nie miałem wtedy zbyt wielkiego wyboru. Wiedziałem, że żadna nie dostanie wizy. Oficjalnie Tuyen nie była moim dzieckiem. Poza tym musiałbym zrezygnować z latania. Jerry, ona chciała, żebym przestał latać! A ja nie mogłem przestać. Rozumiesz?

– Nie. Nie wiem, czy rozumiem. Ale wiem, że jeśli się czegoś bardzo chce tak, jak ty chciałeś, to łatwo można zapomnieć o tym, co jest naprawdę ważne.

– Tak czy inaczej masz to, co chciałeś. Air America ma w sobie trochę prawdy. Ale pamiętaj, że to tylko film. Odwaliliśmy tam kawał dobrej roboty. I pomogliśmy wielu ludziom, także...

Odniosłem dziwne wrażenie, że nie mówi tylko o swojej firmie. Ale czy ten ckliwy ton był szczery? Czy można uwierzyć w historię, która ładząco przypomina kadr z filmu?

– Rozumiem, nie zamierzałem nikogo oczerniać – powiedziałem. – Wiem, że Air zrobiła dużo dobrego bez względu na to, dla kogo pracowała – dodałem i powoli podniosłem się.

– No ale powiedz co potem? Co robiłeś po Laosie?

– To i owo. Sam wiesz, ludzie w moim fachu mogą pracować wszędzie.

– Dalej latasz?

– Nie. Już od jakiegoś czasu nie.

– Chyba nie powiesz, że jesteś ochroniarzem?

– Ochroniarzem? – spytał, zmieniając nieco tembr głosu. – Dlaczego miałbym być ochroniarzem?

– Taki dziwny stereotyp. Masz rację. W sumie to policjanci na emeryturze awansują na ochroniarzy, nie piloci. Ty pewnie wylądowałeś za biurkiem w jakiejś firmie, co?

– Czy wyglądam na kogoś, kto siedzi za biurkiem?

Spojrzałem na niego i rzeczywiście nie wyglądał źle. Pomimo swoich lat trzymał linię. Nie dopatrzyłem się zwałów tłuszczu. Sięgnąłem po szklankę, a wzrok mimowolnie zahaczył o mój brzuch. Widok nie był imponujący. Choć starałem się kontrolować, w przeciągu ostatnich kilku tygodni przybrałem na masie

– Nie – przyznałem. – Nie wyglądasz na biurwę. Za to ja... – Uśmiechnąłem się. – Sam widzisz.

– A podobno woda wyszczupla! – Roześmiał się.

– Nic na to nie poradzę. Taki zawód. – Poklepałem się po brzuchu.

– Wykładowca?

– Bezrobotny.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że jesteś pisarzem – przyznał.

– Pisałem dla Financial Journal, ale jakieś dwa miesiące temu mi podziękowali.

– Przykro mi, stary.

– A ty? Co teraz robisz?

Rory zastanowił się, spojrzał na mnie, jakby nie wiedział, czy zdradzić mi jakiś ważny sekret.

– Wiesz co? Wolałbym o tym nie mówić.

– W porządku. To w takim razie może mógłbyś opowiedzieć, co robiłeś po ewakuacji z Sajgonu? Tylko nie mów, że też nie możesz powiedzieć. – Uśmiechnąłem się.

Rory znów zarechotał, podrapał się po głowie i odparł.

– Niemal natychmiast po powrocie do domu dostałem propozycję pracy w Ameryce Łacińskiej.

– To brzmi ciekawie. Co tam robiłeś?

– Rutynowe loty transportowe, czasami pasażerskie. Nic ciekawego.

– Gdzie konkretnie latałeś?

– Różnie. Trochę lokalnie, kilka międzynarodowych kursów też było. Głównie Ameryka środkowa, tam gdzie robimy interesy.

– Kraj, Rory, pytałem o kraj. Czy tego też nie możesz powiedzieć?

– Aleś dociekliwy, Jerry. No to może zadowolili cię, jeśli powiem, że odbyłem kilka lotów liniami San Salwadoru? Czy może... Nie, pewnie chcesz znać szczegóły, co?

– Diabeł tkwi w szczegółach – przyznałem.

– W porządku. W takim razie dam ci wskazówkę. Podczas jednego z tamtych lotów zostaliśmy zestrzeleni.

– I to nie jest według ciebie ciekawe? Jeśli zestrzelenie nad Salwadorem nie jest warte wzmianki, to sam już nie wiem, co jest. Jaki to był samolot?

– C-123 Provider. Ale nic więcej ode mnie nie wyciągniesz. – Splótł dłonie za głową i uśmiechnął się szeroko. – A tak nawiasem mówiąc, zauważyłem, że lubisz czytać, a skoro lubisz czytać...

Rory wstał i podszedł do pudła stojącego pod ścianą. Był to dość duży karton i mógł mieścić w zasadzie wszystko, na przykład strzelbę, za pomocą której zestrzelono owego Providera. Przez moment zdawało mi się, że wyjmie pamiątnik zbrodniarza wojennego albo naszyjnik z uszu, pamiątkę po misjach Fenix. Z minuty na minutę coraz bardziej uświadamiałem sobie, jak bardzo niebezpiecznym człowiekiem mógł być Rory Scott. Tymczasem powoli otworzył pudło, zajrzał do środka, poszperał w nim chwilę, po czym poirytowany zaczął wyjmować sterty książek. Przebierał tak dość długo, zanim dokopał się do tego, czego szukał. Wyprostował się, przetarł rękawem okładkę książki i podał mi ją.

– Co to jest? – zapytałem.

– Jeśli tak bardzo interesuje cię babranie się w brudach rządu, myślę, że będziesz chciał rzucić okiem na to.

– „Gary Webb, Mroczny Sojusz – CIA, Contras, i Eksplozja Cracku” – odczytałem. Coś mi świtało. Wydawało mi się, że gdzieś już słyszałem to nazwisko.

– Masz tu wszystko, co chciałbyś wiedzieć o przemyśle narkotyków, CIA i o tym, jak kończy się węszenie wokół tego gówna.

Zaskoczył mnie. Podszedłem i przebiegłem wzrokiem po okładkach na podłodze. Na wierzchu pięciu książkowych stert widniały „Polityka Antysemityzmu”, „Akty Agresji: Kontrolowanie Krajów Zbójceckich”, „Trójkąt brzemienny w skutki: U.S.A, Izrael i Palestyńczycy”. Tytuły wyglądały na obowiązkowe pozycje w bibliotece anarchisty lub aktywisty. Z drugiej strony mogły być również lekturą fachowca na usługach rządu.

– Myślę, że ta może cię zainteresować. – Wskazał na książkę w moich rękach.

– Na pewno. Brzmi ciekawie. Tak właściwie to późno już. I tak za długo tu zalegam.

Rory spojrział na mnie, rzucił okiem na tytuły na podłodze, zastanowił się chwilę i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie ma sprawy. Lubię, kiedy ktoś mnie odwiedza.

– Dzięki za drinka. Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać.

– W to akurat nie wątpię – odparł.

Poklepał mnie po ramieniu jeszcze raz, uścisnął i odprowadził pod drzwi.

– Wpadnij, jak przeczytasz. Może dowiem się od ciebie czegoś więcej o Ameryce Środkowej. – Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i mrugnął, potwierdzając, że to sarkazm.

– Na pewno wpadnę. Możesz na to liczyć – zapewniłem i wyszedłem.

Sprzeczne emocje targały mną przez kolejne dwa dni. Z jednej strony wiedziałem, że muszę pracować nad tekstem. Z drugiej nie mogłem odmówić sobie przeczytania książki Webba. Na początku myślałem, że Rory wyświadczył mi wilczą przysługę. Wiedział, że piszę i wiedział też o moim pociągu do książek. Mógłbym przysiąc, że dał mi ją tylko po to, by odwieść mnie od pracy nad moją własną i że książka okaże się po prostu kolejną niemożliwą do rozwikłania i teorią spiskową. Nie mogłem się bardziej mylić. Jak się okazało historia Webba nie była jedynie zbieżna z moimi zainteresowaniami, ale co więcej niepokojąco przypominała moją. W trakcie czytania odniosłem wrażenie, że Scott dał mi ją w ramach ostrzeżenia. Okazała się sugestywną wskazówką co do kierunku, w którym zmierzałem, a niechybny koniec autora miał być ponurym morałem tej opowieści. Jeśli interesuje was jedynie moral, omińcie poniższy fragment, choć osobiście uważam, że Gary zasłużył na coś więcej, a przynajmniej na to, by o nim czytano.

* * *

Gary Webb, dziennikarz redakcji San Hose był tym, który jako pierwszy jawnie i głośno wskazał na związek między działalnością CIA w latach osiemdziesiątych, a przemytem kokainy i epidemią cracku¹⁴ na południowym i zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. W serii artykułów, a potem w książce poświęconej kokainowej epidemii, Webb zebrał materiały wskazujące na powiązania finansowe między południowoamerykańskimi kartelami narkotykowymi i członkami sił Contras.

Siły Demokratyczne Nikaragui, (FDN) znane również jako Contras, były pozostałościami armii Anastasio Somozy, dyktatora Nikaragui zastrzelonego w 1956 roku i jego spadkobierców wspieranych przez USA nieprzerwanie przez czterdzieści cztery lata do samego końca w 1979 roku, gdy trzeci syn Somozy został obalony i zmuszony do ucieczki z kraju. Według materiałów zawartych w artykułach i w książce Webba, CIA nie tylko wiedziało o finansowaniu sił Contras pieniędzmi pochodzącymi z handlu kokainą w Stanach, ale również, co istotne, ułatwiło ten proceder.

Głównymi bohaterami książki są ludzie, którzy znajdowali się w centrum tego handlu. Pierwszym był Danilo Blandon, były urzędnik w rządzie dyktatora Somozy i jednocześnie pośrednik w handlu narkotykami. Drugim Ricky Ross, ciemnoskóry handlarz narkotykami z ubogich dzielnic Los Angeles. Trzecią i najbardziej wpływową postacią był Norwin Meneses, nikaraguański biznesmen z kontaktami zarówno w obozie Somozy, jak i wśród kolumbijskich karteli narkotykowych.

Historia ich powiązań przeplata w sobie elementy kryminału, filmu szpiegowskiego i teorii spiskowych, a jednocześnie jest jak najbardziej prawdziwa.

Gary opisał w książce handel peruwiańską i kolumbijską kokainą przemycaną lądem, powietrzem i wodą. Opisał, jaki udział w tym handlu miała nasza agencja wywiadowcza i decyzje podejmowane najwyższych szczeblach władzy w naszym kraju. Wbrew oporowi wydawców i burzy w mediach, które krytykowały doniesienia autora, Gary opublikował zgromadzone przez siebie materiały, osiągając to, co udaje się tylko największym: dotarł do prawdy i ją ujawnił.

Webb dzięki książce odkrył rąbek tajemnicy, spowijającej wojnę rozgrywającą się w umierających dzielnicach i gettach wielkich miast, tajemnicy, która otacza złączy milczenia naszą rzeczywistość.

Opowieść Webba to nie dzieło przypadku, fikcji czy nadinterpretacji faktów. Wylicza on konsekwentnie następujące po sobie wydarzenia, pozostawiając czytelnikowi wolność i przestrzeń do wyciągania wniosków, które mimo wszystko nasuwają się same.

Historia ta rozpoczyna się w czerwcu 1981 roku, gdy jeden z członków

Contras, niejaki Julio Zavala uruchomił dystrybucję kokainy w San Francisco. W niecały miesiąc po rozpoczęciu działalności daleko za granicą Stanów, w Nikaragi, ogłoszono utworzenie Sił Demokratycznych Nikaragui (FDN).

W listopadzie tego samego roku, czyli około cztery miesiące później, DEA15 prowadząca w tamtym czasie śledztwo w San Francisco po raz pierwszy natrafiła na związek między przedstawicielami Contras, a interesami kokainowymi rodziny powiązanego z kartelami narkotykowymi Meneses.

Miesiąc po odkryciu przez DEA tych powiązań na drugim wybrzeżu, w Waszyngtonie, prezydent Ronald Reagan podpisał tajny rozkaz zezwalający CIA na rozpoczęcie paramilitarnych operacji przeciw nowemu rządowi Nikaragui. Mniej więcej w tym samym czasie dwaj „biznesmeni” Danilo Blandon i Norwin Meneses udali się do Hondurasu na spotkanie z Enrique Bermundezem, opłacanym przez CIA dowódcą armii Contras, aby omówić sposób zbierania funduszy w USA. Blandon przyznał później, że wkrótce po tym spotkaniu rozpoczął sprzedawanie kokainy dla Meneses.

Innymi słowy w przeciągu pół roku powołano do życia Contras, zezwolono na wsparcie ich przez CIA i cały narkotykowy interes ruszył niczym dobrze naoliwiona karuzela pod „czujnym” okiem CIA.

Na początku wyglądało na to, że wszystko gra jak w zegarku, ale po niedługim czasie sprawy zaczęły się komplikować. W czerwcu 1982 roku FBI16 aresztowało krewnego Meneses i oskarżyło go o wypranie (w przeciągu trzech miesięcy) jedenastu milionów dolarów pochodzących z handlu narkotykami. Dwa miesiące później Meneses założył firmę, której prowadzenie powierzył Blandonowi. Od tamtej pory biuro firmy służyło jako miejsce spotkań zwolenników Contras. W przeciągu kolejnych dwóch miesięcy goście z Nikaragui spotykali się przynajmniej dwukrotnie na zebraniach Contras zorganizowanych przez Meneses w Los Angeles i San Francisco. I wtedy właśnie, ku frustracji współników, kongres Stanów Zjednoczonych zakazał CIA udzielania wsparcia siłom Contras¹⁹.

Nagle kurek z pieniędzmi rządowymi dla Contras został zakręcony. Od tego momentu przywódcy organizacji musieli liczyć jedynie na nieformalne źródła finansowania, a najskuteczniejszym sposobem na finansowanie wojny, jaki znali, i jaki znało CIA, był handel narkotykami.

W listopadzie 1984 roku bratanek Meneses, Jairo Morales Meneses i przedstawiciel prasowy FDN w Kalifornii Renato Peria Cabrera zostali aresztowani w związku z handlem kokainą²⁰. Półtora roku później, w czerwcu 1986 roku inny powiązany z Menesesem handlarz narkotyków został aresztowany i skazany. I tu pojawiło się kolejne powiązanie, gdyż w skład dowodów przedstawionych w sądzie wchodziły między innymi nagrania rozmów dowódców sił Contras.

Same pojedyncze wyroki nie mogły oczywiście ukrócić procederu. Handel kwitł, a sytuacja nie zmieniła się, nawet gdy w sierpniu tego samego roku nasz Kongres poddał się kampanii propagandowej ekipy Reagana i zatwierdził sto milionów dolarów na pomoc dla sił Contras.

W listopadzie wybuchła afera Iran–Contras¹⁷, odcinając pomoc rebeliantom oficjalnymi kanałami, ale pieniądze i tak nie przestały płynąć.

Blandon kontynuował intratny handel kokainą przez kolejne trzy lata. Zyski tego procederu stanowiły największe źródło finansowania Contras. Do 1989 roku działalność Blandona obejmowała już obszar Zatoki Kalifornijskiej, Los Angeles i San Diego.

Tak więc handel kwitł, pieniądze płynęły do organizacji próbującej obalić demokratycznie wybrany rząd Nikaragui, a CIA pomimo ostatecznego zakazu pomocy Contras nie kiwnęło palcem, aby zatrzymać ten proceder.

Były szef CIA, prezydent Reagan, również nie zamierzał rezygnować ze wspierania oddziałów obalonego Nikaraguańskiego reżimu. Podobnie jak ekipa Busha, która przejęła po nim stery.

W lutym 1990 roku, gdy w Nikaragui przeprowadzano „demokratyczne” wybory, nasi przywódcy pochwalili ten postęp na drodze ku demokracji, zastrzegając jednocześnie, że nie przestaną wspierać sił Contras, jeśli Sandiniści wygrają wybory¹⁹. Dziś nikt nie wątpi, że Bushem kierowały szlachetne pobudki, nawet jeśli swoją deklaracją przykładał rewolwer do skroni nikaraguańskiego rządu. Z pewnością cel uświęcał środki. W końcu kraj był zdewastowany przez krwawy konflikt, w którym głównymi aktorami byli Sandiniści i Contras. Szansa na zakończenie walk i wprowadzenie demokracji musiały być tym, czego pragnęli obywatele Nikaragui. Tylko jakiej jakości była ta demokracja i czym interesom mogła służyć? Czy wybory przeprowadzone pod groźbą amerykańskiej zemsty można w ogóle nazwać wyborami? Jak mieli zachować się Sandiniści, którzy najpierw obalili dyktatora, wyzwolili kraj spod amerykańskiego imperializmu, a teraz mieli oddać rządy tym samym żołnierzom gwardii narodowej, którzy przez czterdzieści cztery lata terroryzowali obywateli, utrzymując dynastię Somozy przy władzy? Czy powinni kontynuować walkę do ostatniej kropli krwi, wykrwawiając kraj, gospodarkę, tracąc kolejne pokolenia młodych ludzi, czy może przystać na imitację demokracji zaprojektowanej na potrzeby amerykańskiego biznesu?

Sandiniści wybrali klęskę, przegrali wybory i oddali władzę w ręce wspieranej przez USA prawicowej formacji.

Tymczasem oficjalne stanowisko Busha, podobnie jak wcześniej jawne intencje Reagana przenikały dyskretnie przez struktury władzy, docierając nawet do wykonawczej i sądowniczej, co znalazło odzwierciedlenie w ich specyficznym podejściu do trzech bohaterów historii opisaney przez Webba.

W lutym 1989 roku sąd w San Francisco „dyskretnie” postawił Norwina

Menesesa w stan oskarżenia za handel narkotykami od 1984 roku. Mimo oficjalnych kroków sądu Meneses nie był jednak ani ścigany ani aresztowany, zupełnie jakby komuś zależało na tym, by nie przeszkadzać mu w interesach.

Podobnie sprawa miała się w przypadku handlarzy wspomagających Contras. W 1991 roku DEA przeprowadziła śledztwo w sprawie Blandona. Sam zainteresowany wraz ze współnikiem zostali zatrzymani na granicy z Meksykiem z ponad stu tysiącami dolarów w niezadeklarowanych czekach podróżnych. Naturalnie Blandon został zwolniony.

Z kolei Meneses został aresztowany dopiero w Nikaragui, gdzie postawiono mu zarzuty handlu narkotykami. Rok później ręka sprawiedliwości dosięgła również Blandona, a przynajmniej tak sądzili agenci DEA. Za udział w zakrojonym na szeroką skalę procederze Blandon powinien odsiedzieć kilkanaście lub kilkadziesiąt lat. On jednak okazał się zbyt cenny, by go po prostu skazać i zamknąć. Wkrótce po aresztowaniu władze zaproponowały mu układ nie do odrzucenia. W zamian za pomoc w pojmaniu Rickiego Rossa, ciemnoskórego handlarza, który rozprowadzał dla nich kokainę bezpośrednio w kontrolowanych przez siebie dzielnicach, Danillo otrzymał od rządu uścisk dłoni i czterdzieści tysięcy dolarów¹⁹.

Tak więc ciemnoskóry handlarz z najniższej warstwy społecznej zostaje wyznaczony jako główny winowajca, podczas gdy biznesmen i główny dystrybutor kokainy zostaje zwolniony z aresztu i do tego otrzymuje czterdzieści tysięcy, niczym zadośćuczynienie za czas stracony za kratkami.

I nie jest to bynajmniej żaden nowy model dyskryminacji. Jest to po prostu kolejna odsłona głęboko zakorzonego apartheidu w naszym społeczeństwie. Największymi przegranymi w tej grze bowiem są nie tylko ofiary wojny domowej w Nikaragui, ale również czarna mniejszość zepchnięta w nowy wymiar marginesu społecznego. Namacalnym skutkiem podjętych na najwyższym szczeblu decyzji w kwestii finansowania Contras jest pojawienie się nowej klasy społecznej: setki tysięcy ciemnoskórych więźniów, zatrzymanych i skazanych za posiadanie narkotyków.

Pojawienie się narkotyków w biednych dzielnicach skutkowało patologicznymi zmianami w sferze ścigania i walki z problemem. Zanim epidemia cracku rozprzestrzeniła się w zubożałych, kolorowych dzielnicach południowego i zachodniego wybrzeża, nasz system sądowniczy funkcjonował relatywnie normalnie i bez większych zakłóceń. Gdy jednak crack, tani i silnie uzależniający narkotyk stał się widocznym problemem w zubożałych dzielnicach zamieszkałych przez kolorowych, kongres podjął decyzję, która całkowicie zmieniła oblicze kraju.

Anti-Drug Abuse Act z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku wprowadzał dwie zasadnicze zmiany. Pierwszym krokiem w Wojnie z Narkotykami stało się nałożenie obowiązkowej minimalnej kary pięciu lat

pozbawienia wolności za posiadanie narkotyków takich jak crack i marihuana. Drugim krokiem było podniesienie wysokości kary za posiadanie cracku. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku posiadanie pięciu gramów cracku było równoznaczne z posiadaniem pół kilograma czystej kokainy. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że blisko osiemdziesiąt procent zatrzymanych za posiadanie cracku to czarni, nie trudno domyślić się, jakie skutki społeczne ma tego rodzaju ustawodawstwo²¹. Głównym i niezaprzeczalnym skutkiem ustawy były nieporównywalnie dłuższe wyroki dla biednych i czarnych, czyli palących crack, aniżeli dla białych i bogatych, których stać było na czystą kokainę. Więzienia zapełniły się młodymi ciemnoskórymi ludźmi, których w przeciwieństwie do ich białych odpowiedników nie było stać ani na kokainę, ani tym bardziej na adwokata.

Lektura książki Webba nie napawała optymizmem, ale poruszała kwestie zbyt ważne dla kraju, by pozostać obojętnym. Być może jego historia nie dowodziła świadomego współudziału CIA w handlu narkotykami, ale za to potwierdzała przynajmniej jedną z dwóch ewentualności: niedbalstwo i ignorancję Agencji w sprawie kontaktów, lub, co gorsza, ciche przyzwolenie na ich działalność.

Obraz uczestnictwa władz w całym procederze wyklarował się dopiero, gdy dotarłem do raportu komisji Kerry'ego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Dokument stwierdzał bowiem, iż powiązania narkotykowe sił Contras obejmowały spłaty handlarzy narkotyków za pomocą funduszy z Departamentu Stanu, które to zostały autoryzowane przez kongres – uwaga – jako „pomoc humanitarna” dla Contras. W niektórych przypadkach pieniądze trafiały do osób postawionych już w stan oskarżenia, w innych trafiały do tych, wobec których prowadzono śledztwo. Według raportu Departament Stanu wypłacił znanym w tamtym czasie handlarzom narkotyków łącznie ponad osiemset sześć tysięcy dolarów²². Komisja Kerry'ego nie była jedyną komisją zajmującą się tą sprawą. W 1999 roku podczas posiedzenia Komisji do Spraw Wywiadu główny inspektor CIA w tamtym czasie zdał szczegółową relację z przeprowadzonego przez CIA śledztwa na temat samej agencji i jej rzekomych powiązań narkotykowych. Frederick P. Hitz stwierdził, że po jednym z najbardziej szczegółowych śledztw, jakie kiedykolwiek przeprowadzono na ten temat, ustalono, że Ross, Meneses i Blandon handlowali narkotykami dla własnej korzyści i chociaż obaj przyznali się do wpłacenia po trzy i cztery tysiące dolarów na rzecz Contras, CIA nie była w stanie tego udowodnić. Co więcej Hitz dodał, że sześciu byłych pracowników CIA i jeden były agent DEA odmówili składania zeznań w tej sprawie. Zaznaczył przy tym, iż nie uważa, aby ich zeznania mogły wnieść cokolwiek interesującego do sprawy²³. Powtórzę: odmówili zeznań, a człowiek, którego zadaniem jest patrzeć CIA na ręce, stwierdził, że i tak niczego nie wniosłyby do sprawy.

* * *

Dla mnie osobiście „Mroczne Przymierze” było nie tylko kolejnym ogniwem łańcucha łączącego historię z teraźniejszością, ale również przedsmakiem tego, co mogło mnie czekać, gdyby książka nie wpasowała się w kanony odgórnie ustalonej poprawności politycznej. Los Gary’ego Webba, ambitnego i dociekliwego dziennikarza powinien być przestrożą. Pomimo że nie wystosował żadnych oskarżeń, a jedynie zaprezentował fakty poparte dowodami, większość krajowych dzienników przyłączyła się do zbiorowej nagonki zarówno na serię jego reportaży, jak i jego książkę. Zamiast skupić się na faktach i zbadać dokładniej sprawę, toczono debaty na temat dziennikarskiej rzetelności i odpowiedzialności mediów. Zamiast pociągnąć do odpowiedzialności winnych i stanąć po stronie kolegi po fachu, krytykowano go i posądzano o wysuwanie pustych oskarżeń. A robiły to dokładnie te same gazety, które milczały w sprawie naszych zbrodni w Laosie, Kambodży i Wietnamie. Były to te same wydawnictwa, które pastwiły się nad Nixonem za Watergate, zapominając jednocześnie o jego zbrodniach w Wietnamie i Kambodży, te same, które przymykały oko na przestępstwa ekipy rządzącej poprzednich trzech prezydentów. Były to dzienniki, które już na samym początku konfliktu Wietnamskiego pozwoliły zaprzęgnąć się w olbrzymią maszynę amerykańskiej propagandy wojennej, podobnie jak potem dały się ogłupiać podczas bezmyślnej i bezprawnej agresji na ludność Kolumbii nazwanej dumnie „wojną z narkotykami”.

Po przeczytaniu historii Gary’ego, zacząłem zastanawiać się nad moją sytuacją. Oczywiście pytania, również te o moje bezpieczeństwo zaczęły nasuwać się w miarę, jak znajdowałem podobieństwa między mną samym, a Garym: jaka była szansa na przychylną krytykę ze strony głównych mediów? Jak New York Times, The Washington Post i Wall Street Journal mogły odebrać tekst, który atakuje zarówno lewą, jak i prawą stronę sztafety prezydenckiej? Jak zareagują na treść, która zarzuci im korporacyjną prostytucję i brak obiektywizmu?

Im głębiej wczytywałem się w opowieść Webba, tym częściej zadawałem sobie tego rodzaju pytania. Były jak przepalony, migający neon wskazujący kierunek na końcu drogi. Szklany drogowskaz świecił słabo i niewyraźnie, migał i chwiał się na wietrze, łudząc nadzieją wskazania właściwego kierunku. Powinienem był od razu założyć, że czeka mnie ciężka batalia – najpierw z wydawcami, a potem z krytykami. Wiedziałem, że w ostateczności mogłem liczyć na Internet i opublikowanie tekstu w nowych mediach, które właśnie się rodziły, ale nie wierzyłem, że w ten sposób mój głos będzie miał szansę przedrzeć

się do świadomości elektoratu.

Inną rzeczą, która również nie dawała mi spokoju, był spreczny charakter reakcji Scotta podczas naszej rozmowy. Z jednej strony popierał oficjalne stanowisko rządu i mediów, z drugiej podsuwał treści cenione przez doświadczonych konspiratorów. Przez większość wieczoru reagował na moje argumenty obojętnością, a kiedy dotarliśmy do osobistych szczegółów, obrał skrajnie przeciwny kierunek. Zastanawiałem się, która część Rory'ego jest tą prawdziwą i czy w ogóle cokolwiek z tego, co mówił, było szczere. No i te zęby. Scott był chyba pierwszym weteranem pielęgnującym hollywoodzką biel zębów. Był chyba również jedynym, którego było stać na pełną opiekę dentystyczną. Emerytowani wojskowi nie cieszyli się kolosalnymi emeryturami, chyba że dorabiali na boku, a Scott zdawał się mieć wyjątkowo rozbudowany fundusz zdrowotny z pełnym pakietem dentystycznym. Tak więc jego uśmiech podpowiadał, że albo wciąż lata, albo robi coś równie dobrze płatnego.

Ewentualność ta również nie dawała mi spokoju. Zastanawiałem się, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś, kto przez dwanaście lat kursuje dla firmy będącej własnością CIA, przejdzie nagle do sektora prywatnego? Mało tego, jaka jest szansa, że Rory, który przez dwa lata przemyślał laotańskie opium i to pod okiem CIA, zechce zająć się czymś mniej ekscytującym? To był człowiek, który w szafie pancерnej w salonie trzymał wystarczająco dużo broni, żeby uzbroić oddział szturmowy. Czy książka oczerniająca CIA mogła być w jego pudle przez przypadek? Czy jeśli przeczytał ją, zrobił to z sympatii dla Webba, czy może z obowiązku wobec CIA?

Sama świadomość takiej ewentualności wywoływała nieprzyjemne wiercenie w żołądku. W zasadzie miałoby to sens. Sposób, w jaki mnie obserwował i to, że nie ucinął rozmowy, a jedynie milczał było odrobinę podejrzane. Rory wysłuchiwał mnie cierpliwie, nawet gdy przechodziłem w mesjański ton charakterystyczny dla apokaliptycznych kazań. Tylko raz podniósł głos, potwierdzając tym samym umiejętnie dławioną irytację. Wiem, że gdyby ktoś męczył mnie tak jak ja jego, z pewnością wybuchnąłbym szybciej niż on. Czy jego cierpliwość kierowana była czymś innym niż tylko powściągliwą naturą? Jaki miał interes w tym, by wysłuchiwać mnie do końca? No i książka. Wiedział o tym, że piszę. Myśl, że CIA wysyła agentów do wszystkich aktywistów próbujących zdemaskować pracę maszyny wyborczej wydawała mi się niedorzeczna, a jednak niepokój zaczynał powoli zagnieżdżać się gdzieś na dnie pochłoniętego pracą umysłu.

Kiedy po trzech dniach skończyłem „Mroczne Przymierze” i przeanalizowałem wszystkie możliwości, postanowiłem zajrzeć do Rory'ego z wizytą. Zapewne nie spieszyłbym się tak, gdyby nie pałaca ciekawość. Dwie rzeczy nie dawały mi bowiem spokoju. Po pierwsze chciałem wiedzieć, co Rory

ma do powiedzenia na temat Planu Kolumbia. Po drugie musiałem dowiedzieć się, czy to rzeczywiście on leciał owym C-123 Providerem, który jak się dowiedziałem, rozbił się w Nikaragui.

Plan Kolumbia był ogniwnem łączącym naszą politykę zagraniczną z przemysłem zbrojeniowym, chemicznym, więziennictwem, a także z wojną z narkotykami i konfliktami w obu Amerykach. Natomiast jedyna katastrofa C-123 Providera, o jakiej udało mi się dowiedzieć, miała miejsce w pobliżu Salvadoru podczas kursu transportującego nic innego jak broń dla sił Contras. Jediną osobą, która przeżyła wypadek, był niejaki Eugene Hasenfus. Jeśli Rory skłamał, mówiąc, że się rozbił... Cóż, nie musiał mieć ważnego powodu, by naginać prawdę. Każdy robi to z kuriozalnych powodów. Natomiast jeśli rzeczywiście nazywał się Eugene Hasenfus, a nie Rory Scott, jak utrzymywał, to z pewnością miał do opowiedzenia o wiele więcej niż tylko nudne relacje z kursów rozklekotanymi samolotami którejs z południowoamerykańskich linii lotniczych.

XII. Najemnik

Gdy po dwóch dniach ponownie zapukałem do drzwi mojego nowego towarzysza butelki, przywitał mnie z tym samym, niezmiennie obojętnym wyrazem twarzy.

– Dawson? – rzucił lekko zdziwionym tonem. Było to zdziwienie śladowe, symboliczne, wymuszone przez znak zapytania na końcu słowa i zdecydowanie niewystarczające, żeby zniekształcić kamienną maskę jego twarzy.

– Cześć – powiedziałem, przyglądając się mu uważnie.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Przyniosłem książkę – odparłem.

– Książkę? – powtórzył.

– Tak. Książkę.

Rory przebiegł po mnie wzrokiem, lokalizując torbę na moim ramieniu, napiął na chwilę brwi, nastroszył je i ściągnął razem, mrużąc przy tym oczy, jakby kartkował książkę telefoniczną moich myśli, po czym pokiwał głową, jakby w końcu zrozumiał i dał znak, żebym wszedł do środka.

– Wychodzisz gdzieś? – spytałem, idąc za nim w głąb przedpokoju. Nie odpowiedział. Wszedł do salonu, rozciągając za sobą w powietrzu smugę ciężkiej wody kolońskiej. Był świeżo ogolony, w samym szlafroku, skarpetkach i gumowych klapkach. Wyglądał jak wyrwany siłą z łazienki, oderwany od intymnego rytuału przygotowań do misterium randki w ciemno lub spotkania biznesowego w klubie pasjonatów broni. Rozejrzałem się do dookoła, poszukując rozwieszonego gdzieś smokingu lub garnituru. Wyglądał jak nikczemna postać z filmu akcji z lat osiemdziesiątych, arcywróg Jamesa Bonda, którego spotyka zawsze w pełnym kasynie. Brakowało mu jedynie sportowej marynarki, swetra z golfem i ciemnych okularów.

Wszedł do drugiego pokoju i zamknął drzwi.

– Nie, nie wychodzę – krzyknął z sypialni. Jego głos zdradzał irytację. Nie potrafił panować nad nim tak dobrze, jak panował nad twarzą.

– Skończyłem „Przymierze” – odparłem zaintrygowany.

Czekałem przez dłuższą chwilę na jakąś reakcję, ale Scott milczał.

– Myślisz, że to wszystko prawda? – Nie odpuszczałem.

– Co? – odparł niemal natychmiast.

– To, co napisał Webb?

– A jak myślisz? – zapytał, wchodząc do pokoju.

Miał na sobie grafitową koszulkę i ciemne jeansy. Jeśli planował wyjść, to z pewnością nie do kasyna.

– Ciężko powiedzieć – odparłem.

– Czyli nie wierzysz? – zapytał.

– Nie powiedziałem, że nie wierzę.

– Przecież masz tam wywiady i zeznania. Masz niezaprzeczalne fakty. Czego można chcieć więcej?

Powiedział to nienaturalnie: spokojnym i opanowanym głosem. Nie uniósł się i nie zawahał. Mówił pewnie i jednostajnie jak dobrze zaprogramowana maszyna.

I wtedy właśnie coś mnie tknęło: człowiek, który stał przede mną, nie był tym samym mężczyzną, z którym rozmawiałem kilka dni wcześniej. Był mocniejszą, młodszą wersją samego siebie sprzed kilkudziesięciu godzin. Jego brzuch wydawał się bardziej płaski, klatka piersiowa i barki szersze, a mięśnie ramion na styku skóry i popielatej bawełny wyrzeźbione jak u kulturysty. Być może było to tylko złudzenie, ale wydawało mi się, że gdy stał wyprostowany, a nie zbity w sobie jak wcześniej, był o kilka centymetrów wyższy. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że ten kilkudziesięcioletni mężczyzna dominował nade mną, emanując ukrytą do tej pory siłą i tężyzną fizyczną.

Po podkrążonych oczach sprzed kilku dni nie zostało ani śladu. Jego zdrowa, zadbana cera przypominała bardziej twarz aktora niż doświadczonego przez wojnę weterana. Jedynie długa zmarszczka przecinająca czoło i masywna łysiejąca głowa przypominały mi, że ten mężczyzna nie miał czterdziestu, a ponad pięćdziesiąt lat.

Scott rzucił ostentacyjnie skórzaną kurtkę na fotel. Nie miał zamiaru dłużej udawać, że nie planował nigdzie wyjść. Podszedł do wysokiego, pionowego lustra wiszącego vis-à-vis okien salonu i przeciągnął dłonią po gładko ogolonej twarzy.

– Dziwi mnie tylko jedno – powiedziałem, podchodząc do szklanej gabloty stojącej w kącie.

– Co takiego? – zapytał, przyglądając się, jak otwieram drzwiczki i wyjmuję ze środka czapkę Air America.

– Dziwi mnie, że nikt nie pchnął tego dalej, że nikt nie doprowadził tego do końca.

– Nie doprowadził do końca czego? – Rory odwrócił się i przeszył mnie zaintrygowanym spojrzeniem.

– Sprawy Webba – odparłem, przyglądając się czapce.

– Jakiej sprawy? – zapytał.

– Historii, którą opisał. Nie kojarzysz? Mroczne Przymierze? – Uniosłem książkę na wysokość twarzy i wskazałem na okładkę.

– No tak. Rzeczywiście – odparł i ruszył w stronę kuchni. – A tak na marginesie – krzyknął zza ściany – czy jest jakiś powód, dla którego mi o tym mówisz?

Drwił ze mnie. Byłem pewien. Najpierw dał mi książkę, a teraz udawał, że zrobił to bez powodu. Pokrzyżowałem jego plany na wieczór, a on w zamian postanowił urządzić sobie kolejną grę moim kosztem.

Nie mogłem na to pozwolić. Przyszedłem tam, żeby dowiedzieć się co przede mną ukrywa i musiałem podjąć wyzwanie. Jeśli chciał mnie przetestować, sprawdzić, jak bardzo zależało mi na tym temacie, byłem gotów sprostać wyzwaniu. Zresztą jego pozorowana ignorancja przestała być wiarygodna. Chciałem przekonać się, kim tak naprawdę jest Scott i dlaczego próbuje wodzić mnie za nos.

Rory zatrzymał się w połowie drogi z kuchni. W prawej dłoni trzymał dwie wypełnione lodem szklanki, a w lewej napoczętą butelkę. Jego wzrok mówił, że był zniecierpliwiony, skupiona twarz napinała się, próbując ukryć irytację pod fałdami obojętności.

– Wiesz dobrze, jaki jest powód – rzuciłem. – Nie dałeś mi tej książki przypadkiem. Myślę, że wiesz o tej sprawie więcej niż ja, może więcej niż dowiedział się Gary Webb, a teraz udajesz, że cię to nie interesuje i że nie wiesz, po co tu przyszedłem.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Podał mi szklankę, unikając mojego wzroku i usiadł na fotelu.

– Nie wiesz, o co mi chodzi? – odparłem. – O to, o co powinno chodzić każdemu, komu zależy na tym kraju. Chodzi o to, że nikt nie pociągnął do odpowiedzialności tych, którzy blokowali śledztwa FBI i DEA, tych którzy naprawdę – podkreśliłem ostatnie słowo – blokowali te śledztwa.

Celowo położyłem nacisk na tamto słowo. Zastanawiałem się co odpowie. Stąpałem po cienkim lodzie, ale wiedziałem, że dopóki nie wymienię z nazwy CIA, będę mógł wciąż poruszać się po taflii niedopowiedzeń. Liczyłem, że wypowie się na temat CIA, obroni zachowanie agencji lub skrytykuje je i się zdradzi.

– A spodziewałeś się czegoś innego? – Wskazał na fotel naprzeciwko niego, zachęcając, żebym usiadł.

– A czy można było spodziewać się czegoś innego? – odparłem. – Poza FBI i CIA nie ma nikogo, kto mógłby skontrolować ten proceder i pociągnąć winnych do odpowiedzialności. Obie agencje są jak święte krowy, które mają gdzieś, co robi ta druga.

– Jest jeszcze NSA – wtrącił.

– A tak, NSA – powtórzyłem. – Ale powiedzmy sobie szczerze, czarni narkomani nie należą do priorytetów na liście strażników bezpieczeństwa narodowego.

– To prawda – odparł, uśmiechając się drwiąco. – NSA woli te widowiskowe zagrożenia – pokiwał głową, jakby przypominał sobie jakiś zabawny epizod.

– Jasne, wolą terroryzować obywateli – rzuciłem.

– Jerry, jesteś niesprawiedliwy. – Uśmiechnął się. – W porównaniu z tamtymi dwoma NSA nie wypada wcale tak źle.

– No tak, wiesz o tym najlepiej. – Sprowokowałem go.

– Tak? – Zdziwił się. – A dlaczego to?

Zrobiłem krótką pauzę. Nie mogłem się powstrzymać, musiałem przyjrzeć się jego reakcji. Rory spojrział na mnie, momentalnie wychwytyjąc moje skupienie.

– Bo sam wiesz, jak działa CIA – powiedziałem. – Przecież latałeś dla nich z Air America.

Rory wzruszył ramionami. Musiałem ciągnąć dalej:

– Bez względu na to, czy pomagali w tym handlu czy nie faktem jest, że agencja jak zwykle przymknęła oko na to, co nie zagrażało bezpośrednio przeprowadzanej w tamtym czasie misji, czyli wspomaganie nikaraguańskich terrorystów. Mogli zrobić porządek z Menesesem i Blandonem, ale byli zbyt zajęci podsycaniem kolejnej wojny domowej.

Zrobiłem kolejną pauzę. Chciałem sprawdzić, jak przyjmie krytykę pod adresem agencji. Rory miał dość moich pauz i badawczego spojrzenia.

– Chodzi ci o coś konkretnego, czy po prostu zapomniałeś języka w gębie? – zapytał.

– Chodzi mi o to, że CIA umywa ręce za każdym razem, gdy sprawy nie obejmują zakresu przydzielonych im zadań. Kto jak kto, ale ty wiesz o tym najlepiej. Przecież heroina generała Vang Pao kursowała po Laosie, pomimo że agencja o tym wiedziała. A trwało to przecież prawie dwa lata.

– No tak. Dopóki nasi chłopcy nie zaczęli się masowo narkotyzować.

– I dopiero wtedy zabrali się za ten bajzel – dokończyłem. – Więc rozumiesz już, o co mi chodziło?

– Tak, rozumiem, Jerry.

Nie dał się sprowokować. Pozostał neutralny. Nie wysunął własnych opinii, ustępując miejsca moim. Był ostrożny. Zbyt ostrożny.

Zastanawiałem się jak to rozegrać, jak wyciągnąć więcej informacji niż poprzednim razem. Idąc do niego miałem cichą nadzieję, że skoro dał mi tę książkę, być może będzie chciał o niej porozmawiać. Tymczasem nie tylko formułował powściągliwe myśli, ale i unikał kwestii kluczowych: narkotyków, własnej przeszłości i kontaktów z CIA.

Rory podniósł jedną ze szklanek i zaczął przyglądać się jej w milczeniu. Musiałem przyjąć inną strategię.

– Z drugiej strony – podjąłem – cała ta afera i teorie spiskowe o tym, jak CIA organizowała przemyt narkotyków, to przecież przesadza. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby na takie ryzyko. Wyobrażasz sobie Busha, Turnera albo Casey'ego ryzykujących reputację agencji aż do tego stopnia?

– Wiesz, to akurat potrafię sobie wyobrazić. – Parsknął.

– O którym z nich mówisz?

– O wszystkich trzech. Jak ci się wydaje, dlaczego napadliśmy Panamę? – zapytał.

Spojrzałem na niego nieco zdziwiony. Albo mnie sprawdzał, albo naprawdę zdecydował się w końcu czymś ze mną podzielić.

– Dlaczego napadliśmy na Panamę? – powtórzyłem. – Żeby dopaść Noriegę.

– Tak, Noriegę. Bliskiego naszemu sercu handlarza narkotyków i dyktatora.

Kojarzysz?

– Kojarzę, ale przyznam się, że niewiele o nim wiem.

– Większe niewiele czy mniejsze?

– Wiem, że przemyt narkotyków z Ameryki Południowej kwitł pod jego osobistym nadzorem od początku lat sześćdziesiątych.

– W takim razie wiesz też, że wszystko to odbywało się pod czujnym okiem owych trzech dżentelmenów? – zapytał. – Przecież CIA już wtedy blokowało dochodzenie DEA w sprawie Noriegi.

– Nie. Tego akurat nie wiedziałem – przyznałem.

– Był naszym najlepszym kumplem, oczywiście dopóki nie zaczął się stawiać.

– Stawiać?

– Cóż – Rory rozłożył teatralnie ręce – nie mogliśmy przecież już dłużej wspierać takiego kryminalisty.

– Czytałem gdzieś, że organizował dostawy broni dla Contras – dodałem.

– A no tak, w tym też maczał palce. I to też jest dowód na to, że dyrekcja CIA ma w dupie, co kto sobie pomyśli. Liczy się wynik, a nie środki. Weź na przykład takiego Turnera. Przecież to za jego kadencji sprowokowaliśmy Rosjan w Afganistanie. Myślisz, że wygralibyśmy zimną wojnę, gdybyśmy nie wciągnęli ich w afgańską pułapkę? Stansfield Turner zrobił to, co było konieczne i nie zastanawiał się, czy cała sprawa się wyda. Gra toczy się o zbyt dużą stawkę, żeby przejmować się detalami. Także tak, potrafię sobie wyobrazić każdego z nich ryzykującego „dobrym imieniem” agencji.

– Masz rację – odparłem. – Ale i tak wciąż uważam, że cała ta teoria o współudziale CIA w handlu crackiem jest grubymi nićmi szyta. Zresztą Webb nie oskarżył agencji. To afroamerykańskie organizacje rozpętały burzę wokół książki.

– Dziwisz się? – zapytał.

– Nie – odparłem. – To prawda, że przez Rickiego Rossa mamy dziś epidemię cracku. To prawda, że wojna z narkotykami jest grzechem CIA. Ale nie można zwać na nich wszystkiego.

– Powiem ci, że jestem zaskoczony, Dawson. – Rory skrzyżował ręce na piersi i zatopił się głęboko w fotel. – Przecież ci z Contras układali się z Kolumbijskimi mafiosami, handlowali i prali kasę, a nasi przymykali na to wszystko oko. Naprawdę nie jesteś tym ani trochę poruszony?

– Jasne, że jestem, ale jest też coś, co o wiele bardziej mnie irytuje.

– Co takiego?

– To, że Danillo i Meneses wyszli z tego cało. Przecież powinni siedzieć tak samo jak Ross. Jak dla mnie głowy powinny polecieć. To, że nikt nie spróbował nawet dojść do sedna sprawy jest co najmniej podejrzane.

– Wiesz co, Jerry? Wiele rzeczy jest u nas co najmniej „podejrzanych”. I tak to już jest. Nic z tym nie zrobisz. – Nachylił się, uśmiechnął się i sięgnął po butelkę.

– Drinka? – zapytał.

– Dzięki, ale może otworzysz to? – Sięgnąłem do torby leżącej na podłodze i wyjąłem butelkę Jim Beama.

Rory spojrział rozczarowany, zupełnie jakbym podarował mu mętny samogon, a nie butelkę Burbona.

– Jeśli nie chcesz, nie ma sprawy – powiedziałem. – Zachowaj ją dla kogoś, kto taką lubi.

– Przestań pieprzyć. Wiesz dobrze, że się z tobą napiję. Tyle, że... – Przyjrzał mi się, kiwając głową – Tylko zastanawiam się, czy rzeczywiście powinienem.

– Mówiłeś, że nie wychodzisz – rzuciłem.

– Bo to prawda. – Rory przejechał dłonią po twarzy, jakby wyszukiwał na powierzchni brody wiadomości zapisanej brajlem.

– Więc o co chodzi? – zapytałem.

– Nie wiem, czy powinienem z tobą pić – odparł.

– Coś insynuujesz?

– Insynuuję, że ostatnio dość ostro sobie pociągasz – powiedział.

Spojrzałem na niego z wyćwiczonym wyrzutem. Wyobraziłem sobie, że zranił mnie tym oszczerstwem.

– Nawet jeśli tak jest, a nie twierdzę, że to prawda – powiedziałem – to naprawdę, Rory, z całym szacunkiem, ale chyba lepiej napić się w dwójkę, kulturalnie i przy wieczorze niż samemu o poranku albo wczesnym popołudniem, prawda?

– Może tak, może nie – skwitował, zastanawiając się nad czymś przez chwilę, a potem westchnął.

– Kto wie... – powiedział. – Chyba tylko czas pokaże. Póki co przyjmijmy, że po prostu martwię się o ciebie, dobrze?

– W porządku. Przyjąłem do wiadomości. A teraz pozwól, że podziękuję ci za tak bezpośredni wyraz troski i poproszę o kapkę tego Burbona – powiedziałem i przesunąłem szklankę na środek stołu.

– Skoro tak mówisz. – Podniósł butelkę i rozlał.

– A wiesz, chciałem cię o coś zapytać – powiedziałem.

– O co?

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju od naszej ostatniej rozmowy.

– Mianowicie?

– C-123 to bardzo ciekawa maszyna – stwierdziłem.

– To prawda – przyznał. Pociągnął mały łyk, odchylił głowę do tyłu i zamilkł. Byłem pewien, że nie zamierza ułatwiać mi sprawy.

– C-123 używano w Wietnamie do oprysków tęczowymi herbicydami – powiedziałem. – Wiem też, bo sam mówiłeś, że używano ich również w Air America. Loty rozpoznawcze wykonywane przez pilotów tajnego oddziału „Black Bats” były również przeprowadzane na C-sto dwudziestkach trójkach. I to właśnie ten oddział wspierał napad zbrojny na Kambodżę w 1970 roku. Co więcej przewożono nimi broń siłom Contras w Nikaragui, a obecnie opryskują defoliantami uprawy koki w Kolumbii.

– Widzę, że odrobiłeś zadanie domowe – powiedział. – No to pytaj, przecież widzę, że język cię świerzbi.

– W osiemdziesiątym szóstym w Nikaragui rozbił się C-123 Provider przewożący amunicję, karabiny AK47 i wyrzutnie rakiet dla FDN. Czy to ty byłeś jednym z pilotów tego samolotu?

– Jeśli czytałeś książkę, a wiem, że czytałeś, to na pewno wiesz, że obaj piloci zginęli. I nie, nie nazywam się Eugene Hasenfus.

– W takim razie mnie okłamałeś – powiedziałem.

– Tak. Przyznaję bez bicia. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Dlaczego co? Dlaczego kłamałem? Widzisz, Jerry, dorośli czasem tak robią.

– I pewnie nigdy też nie latałeś Providerem?

– Tego nie powiedziałem.

– Czyli latałeś? – Traciłem cierpliwość.

Rory jedynie wzruszył ramionami.

– Więc latałeś z dioksynami? – Nie dawałem za wygraną. – Boże, Rory, czy cokolwiek z tego, co opowiadałeś o Wietnamie, było prawdą?

Nie odezwał się. Tym razem uśmiechnął się głupio i rozłożył ręce.

– Czyli to prawda? Trułeś ich tym świństwem? – zapytałem.

– Pierwsze i drugie pytanie – tak, trzecie – nie. Wietnamczyków nie opryskiwałem.

– W takim razie... – Musiałem się zastanowić. – Jedyne miejsce, gdzie mogłeś kursować C sto dwudziestką trójką z defoliantami, była... Ameryka Łacińska.

– Czy to było aż tak trudne? – zapytał.

– Plan Kolumbia – odparłem.

– Bingo. – Uśmiechnął się i podniósł szklanke. – Zdrowie!

Przyglądałem mu się przez chwilę, zanim podniosłem swoją. Nie wiem, czy

wyczuł moją niechęć, ale w tamtej chwili nie miało to już znaczenia. Z minuty na minutę coraz bardziej irytowało mnie jego towarzystwo, a w dodatku wciąż nie wiedziałem, jak wyciągnąć od niego więcej informacji – prawdziwych informacji. Rory najwidoczniej wyczuł moje wahanie, bo nie odzywał się, dając mi czas na zebranie myśli.

– Musiałeś niezłe zarabiać – powiedziałem w końcu.

– Nie wiesz, że dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach? Ale rzeczywiście trzeba przyznać, że to były tłuste lata.

– Na rządowym wikcie – dodałem.

– Tak, budżetowe dolary mają w sobie coś ulotnego. – Uśmiechnął się.

– Z tego, co wiem, niewiele firm dostało od Departamentu Stanu kontrakt w Kolumbii.

– Powiem ci, że nie wiem. Oprócz nas na miejscu było jeszcze kilka wolnych miejsc dla innych, mniejszych wykonawców, ale nie wiem, kto się czym zajmował.

– A twoja?

– Wiesz doskonale, jak działa procedura przetargowa, Jerry. Najtłustszy kontrakt dostają najwięksi.

Miał rację. Z prywatnych firmy i korporacji tylko największe asymilowały się w pełni z rządowym budżetem. I tak się składało, że tylko jedna korporacja działająca na południe od granicy w ramach kontraktów rządowych mogła zatrudnić Rory'ego przy rozpylaniu herbicydów w Kolumbii. Nazywała się DynCorp.

Pamiętałem o niej, bo zaledwie dwa dni wcześniej pojawiła się w artykule o Wojnie z Narkotykami, wojnie rozgrywającej się nie u nas, a w Kolumbii. Według informacji zebranych przez autora dziewięćdziesiąt osiem procent interesów tej korporacji opierało się na kontraktach rządowych. Pieniądze podatników przepływały przez Departament Obrony, Departament Stanu i Departament Więziennictwa, FBI, DEA i wiele innych agencji rządowych, po czym trafiały na konta akcjonariuszy tego zmutowanego molocha. Mniej więcej połowa dochodów DynCorp pochodziła z Pentagonu, a wielu z jej pracowników było emerytowanymi wojskowymi. Według prognoz do końca dwutysięcznego roku zyski firmy miały wynieść miliard osiemset milionów dolarów, natomiast kontrakty oczekujące na realizację opiewały na sumę kolejnych czterech miliardów czterystu tysięcy. A wszystko to było spowodowane niepozornym, sześćsetmilionowym kontraktem z Departamentem Stanu, który DynCorp realizowało w Ameryce Łacińskiej od ponad trzech lat.

DynCorp uczestniczyła głównie w misjach eradykacji poprzez opryski, w szkoleniach personelu wojskowego i „szeroko pojętej walce z narkotykami”, jakkolwiek enigmatycznie by to nie brzmiało. Ponadto firma ta zajmowała się transportem lotniczym, rekonesansem, misjami ratunkowymi, ewakuacją lotniczą,

transportem sprzętu i personelu jak również konserwacją pojazdów lotniczych1. Profil ten łudząco przypominał działalność Air America, z tym że podczas gdy Air była ramieniem CIA, DynCorp stanowiła o wiele więcej – była ramieniem, dłońmi i palcami na spuście karabinu naszej bandyckiej polityki zagranicznej. Tu nie chodziło jedynie o CIA. DynCorp była rasowym buldogiem kompleksu przemysłowo–wojskowego.

Rory przyglądał się mi niewinnym wzrokiem, czekając, aż przejdę do kolejnego pytania, natomiast ja, wciąż nieświadomy dla kogo tak naprawdę pracuje ten najemnik, zacząłem zastanawiać się, kto oprócz CIA mógł przyjąć go do drużyny.

– Domyślam się, że Departament Stanu podpisuje umowy tylko z DynCorp i kilkoma innymi firmami zbrojeniowymi. Powiedz, w której z nich pracujesz?

– A co to za różnica? Interesowało cię tylko to, czy latam, prawda? Zresztą myślałem, że chcesz porozmawiać o książce. Nie spodobała ci się?

– To ciekawa rzecz. Ale wiesz co? Coś mi mówi, że sam mógłbyś mi opowiedzieć równie interesujące historie.

– Wiesz dobrze, Jerry, że nie wszystko da się po prostu opowiedzieć.

– A może wolałbyś przemilczeć to, co najciekawsze?

– Nie wydaje mi się, żebym musiał cokolwiek ukrywać – odparł.

– W takim razie powiedz, dla kogo latałeś w Salwadorze? Dla kogo lataasz w Kolumbii?

– Na pierwsze pytanie nie chcesz znać odpowiedzi. A jeśli chodzi o Kolumbię to znasz już odpowiedź.

– DynCorp?

– Zgadza się. A teraz powiedz, dlaczego tak bardzo się tym interesujesz? Jeśli szukasz materiałów do książki, możesz przecież napisać o czymś, co jest w zasięgu ręki, na przykład o cracku w tym mieście. – Nacisnął palcem wskazującym w stół, by podkreślić, że właśnie o Filadelfię chodzi.

– Zapomniałeś już? Przecież nie jestem już reporterem.

– Nie jesteś, a jednak wężysz i notujesz w pamięci wszystko, co powiem. Zupełnie jak rasowy dziennikarz.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że od razu zajmę się ratowaniem świata, prawda?

– Nikt nie mówi o ratowaniu świata. Mówię o naszym lokalnym problemie, a ty zamiast zająć się czymś istotnym, męczysz mnie o zamierzchłe czasy.

– Wiem, wiem. Rzeczywiście nic mi do tego. Twoja historia to twoja sprawa, ale nic nie poradzę, że interesują mnie ludzie z barwną przeszłością. Tym bardziej, że twoja łączy się w jakiś sposób z tym, co dzieje się teraz.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo, Jerry, nawet nie wiesz, jak bardzo... – Westchnął i zastygł w jakiejś odległej myśli.

– Myślę, że wiem. Dlatego właśnie tutaj siedzę. To, co robiłeś w Kolumbii, i twoje doświadczenia z Wietnamu łączą się. No, a to z kolei przypomina mi o jeszcze jednej rzeczy.

– Tak? – rzucił nieprzytomnym głosem. – Niby o czym?

– Pamiętasz, jak mówiłeś, że nie miałeś kontaktu z defoliantami? Zarzekałeś się, że nawet nie zbliżyłeś się do tego świństwa.

– Przecież to prawda. W Indochinach nie bawiłem się w rolnika. Dopiero w Kolumbii dostałem pierwszy kurs z Roundupem. Zresztą o co chodzi?

– Jak to o co? – Udałem urażonego.

– Chyba nie zamierzasz znów moralizować?

– A czy można w inny sposób rozmawiać na temat?

– Typowe – powiedział. – Wiesz co? Potrafię zrozumieć twoje oburzenie, jeśli idzie o Wietnam. W końcu tam rozpylaliśmy eksperymentalne mieszanki, w dodatku skażone dioksyną. No, ale w Kolumbii? Przecież tam używamy standardowych mieszanek. Rozpylamy tylko sprawdzone i opatentowane środki.

Olśniło mnie. Rory nie mówił jak typowy żołnierz, który widział na własne oczy efekty swojej służby. Mówił głosem przeciętnego Amerykanina, konsumenta zindoktrynowanego przez aparaty korporacji. Pomimo całego doświadczenia, pomimo książek, które leżały w pudle pod ścianą, pomimo tajemniczej przeszłości i wciąż niejasnej tożsamości Rory zachowywał się i mówił tym samym językiem, który od kilkadziesiąt lat wpajano kolejnym pokoleniom Amerykanów. Mówił językiem korpokracji. Dla niego dostępność herbicydów była jedynym i zarazem kluczowym argumentem usprawiedliwiającym zbrodnię przeciw ludzkości i naturze. Podejrzywałem, że nawet jeśli wiedział więcej niż przeciętny pilot, jeśli znał jakieś nieujawnione szczegóły, z pewnością nie uważał ich za szczególnie wstydlive. Czasami nawet największa wiedza skrywa się w umysłach głupców.

Jedynym sposobem na przekonanie się, czy to właśnie o to chodziło w przypadku Rory'ego, było wyciągnięcie z niego wszystkiego na temat tego, co robił w Kolumbii, a potem skonfrontowanie tych informacji z oficjalną, ogólnie dostępną wersją najnowszej historii.

Czyli według ciebie Roundup Ultra jest dopuszczalny w walce z uprawami koki?

– A dlaczego nie miałby być?

– Z tego, co wiem, nie różni się niczym od defoliantów używanych w Wietnamie i Laosie – powiedziałem. – I nie muszę chyba dodawać, że producent też się nie zmienił?

Rory wzruszył ramionami, ale się nie odezwał. Nie musiał. Jego obojętność mówiła sama za siebie.

– Przecież Monsanto wciąż zachęca do zatruwania ziemi i wody – ciągnąłem – tyle że w kraju zaleca kilkaset razy mniej skondensowane dawki i do tego odzież

ochronną. A wy? Co rekomendujecie indiańskim plemionom, zanim zrzucacie im na głowy toksyczny pył?

– Znów zaczynasz, Jerry. – Przetarł dłonią twarz, wyraźnie poirytowany moim zapalem. – Przecież to my jesteśmy tutaj dobrymi facetami. Pamiętasz? Oni uprawiają kokę. My ich tępimy. Oni produkują surowiec, kartele produkują narkotyki, a nasze dzieciaki go kupują. Czy coś w tym równaniu nie jest wystarczająco jasne? – powiedział to tak płynnie i z takim przekonaniem, że niemal uwierzyłem.

– Nastolatki nie palą koki – odparłem – tylko marihuanę. No i crack. Ten, który wpuściliśmy na przedmieścia w latach osiemdziesiątych. Czysta kokaina to sport dla bogatych, a ich mi akurat nie szkoda.

– Niech ci będzie – powiedział. – Ale czy naprawdę myślisz, że walka z handlarzami jest czymś złym?

Spojrzałem zdziwiony. Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Pokolenie „Orange” w Wietnamie powiedziałyby „tak”, Rory. Indianie mieszkający w jednym z najbardziej wrażliwych i zróżnicowanych ekosystemów na ziemi również powiedzą „tak”. Za każdym razem, gdy ich zapytasz.

– Ci „Indianie” karczują twój delikatny ekosystem i tworzą nowe plantacje za każdym razem, gdy zniszczymy ich dotychczasowe.

– Pewnie dlatego, że nie mogą hodować żywności. Zapomniałeś już, dlaczego zrzuciłeś świnię i ryż w Indochinach?

– Nie zapomniałem, ale pamiętam też, że ci twoi rdzenni Indianie zasilają kolumbijskie kartele.

– To my zasilamy kolumbijskie kartele i wszystkie inne kartele na całym świecie. Wiesz doskonale, że to popyt jest głównym problemem, a nie podaż. Gdyby nasza wielomilionowa populacja palaczy, wciągaczy i nakłuwaczy miała dostęp do odwyku i profesjonalnej pomocy, nie wspominając już o powszechnej służbie zdrowia, której nie mamy, kartele uschłyby z braku dopływu gotówki. Gdyby w naszym kraju prewencja zastąpiła kraty, już dawno mielibyśmy problem z głową.

Przeholowałem. Czuję jego ciężki wzrok spoczywający na moich dłoniach.

Im bardziej ponosiły mnie emocje, tym intensywniej gestykułowałem. Nie mogłem nic na to poradzić. Jego ostatnie zdanie wyprowadziło mnie z równowagi. Ciśnienie podskoczyło, a słowa same popłynęły. Rory siedział nieruchomo, spoglądając na mnie z powagą. Nie miałem wyjścia. Musiałem mówić dalej.

– Czy ty w ogóle wiesz, ile wydajemy co roku na służby walczące w tej szlachetnej wojnie? – zapytałem. – Czterdzieści miliardów dolarów! Na policję, DEA, sądy i cały ten cyrk. A jaki jest skutek? Czteryście tysięcy ludzi w więzieniach za posiadanie. A gdzie odsiadują wyroki? W więzieniach monitorowanych i obsługiwanych właśnie przez DynCorp! No, a kokaina? Kokaina

i heroina są nadal tak samo dostępne i tanie jak przed laty, tyle że teraz są o wiele czystsze i lepszej jakości².

Rory czekał cierpliwie, aż skończę. W międzyczasie dolał zarówno sobie, jak i mnie po dwa palce whisky. Nie był zdziwiony tym, co mówię, i nie poruszył go nawet oskarżycielski ton, jakim podsumowałem jego pracodawcę. Kiedy skończyłem, pociągnął mały łyk i odstawił szklankę na stół.

– Widzę, że znasz już odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Daj spokój – powiedziałem. – Wiem, że dla ciebie to, co mówię, jest jak bełkot nawiedzonego. Wiem też, że niektóre z rzeczy, o których wspomniałem, są dla ciebie oczywiste.

– Wcale nie – przerwał. – Mówisz prawdę. Ta wojna to główniana sprawa. Wiem o tym doskonale. Myślisz, że dlaczego dałem ci tę książkę?

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Oświeć mnie.

– Chciałem się dowiedzieć, czy się orientujesz.

– Po co?

– Widzisz, mi też nie podoba się to, co nasz rząd robi w Kolumbii. Nie wspomnę nawet o tym, co w przeszłości robił w pozostałych krajach Ameryki Łacińskiej.

– Zaraz, chwileczkę. Przecież dla nich pracujesz. Robisz dokładnie to, co robiłbyś w Indochinach, gdybyś dostał rozkaz.

– Oj, Jerry. Jeśli mówisz jedynie o spryskiwaniu, to rzeczywiście niewielkie masz pojęcie o tej wojnie.

– W takim razie oświeć mnie. Co takiego robisz, co jest gorsze od zrzucania broni biologicznej na niczego nieświadomych Indian?

– Myślę... Myślę, że niepotrzebnie dałem ci tę książkę – powiedział.

To było jak policzek w twarz. Nagle coś we mnie pękło.

Od kilku tygodni bezustannie pracowałem nad tekstem. Wertowałem opasłe tomy, pochłaniałem artykuły i publikacje i gromadziłem setki internetowych doniesień. Stwierdzenie, iż nie byłem wart podzielenia się ze mną jakąś informacją była najbardziej jadowitym komentarzem, jaki mógł mi zaserwować.

Było to tym bardziej bolesne, że Rory okazał się nie być ignorantem i że przeczuwałem, że może mieć rację. Wciąż wiedziałem zbyt mało, a on najwidoczniej spodziewał się po mnie czegoś więcej. Przeszło mi nawet przez myśl, że być może już od dłuższego czasu oczekiwał tej rozmowy, dialogu z kimś, kto orientuje się w mrocznej historii obu Ameryk, z kimś, kto uzna jego doświadczenie, kto będzie w stanie wykorzystać powierzoną mu wiedzę, a zamiast tego dostał zarozumiałego, niedoinformowanego i wyszczerzanego pozera, który jedynie żąda, nie dając nic w zamian. Mogło to być jedynie złudzenie, ale wolałem się nie pocieszać. Zdażyłem się już przekonać, że jeśli chodzi o Rory'ego, lepiej niczego z góry nie zakładać.

– A jednak pokazałeś mi „Mroczne Przymierze” – powiedziałem. – I mimo wszystko jestem tutaj. W takim razie powiedz, dlaczego wciąż rozmawiamy?

– Jesteś tutaj, boś jest kurewsko ciekawski. Może nawet wydaje ci się, że opowiem ci coś, czego jeszcze nie czytałeś w tych swoich publikacjach. A „Przymierze” – wskazał na leżącą na ławie książkę – dałem ci, ponieważ potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty, wścibskiego pismaka, który połknie temat, zabierze się do roboty i będzie szukał, węszył i pisał, dopóki nie wpadnie na trop, który mnie interesuje.

– O czym ty mówisz?

– Powiem ci, Jerry, ale jeszcze nie teraz. – Rory przemknął wzrokiem po pokoju.

– Późno już? – zapytałem, widząc, że zatrzymał wzrok na zegarku. Była dwudziesta. Zapomniałem zupełnie, że byłem niezapowiedzianym gościem.

– Tak, dość późno. Poza tym są ważniejsze sprawy, Jerry. Ale tobie się chyba nie spieszy, prawda?

Zawahałem się. Rory czegoś chciał, a ja nie byłem pewny, czy aby na pewno chcę wiedzieć, o co chodzi.

– No dobra – rzucił Rory. – Słuchaj. Widzę, że chcesz pomóc. Widzę też, że chcesz wiedzieć więcej o DynCorp, zgadza się?

– W zasadzie... No powiedzmy, że chcę.

– Muszę teraz jechać coś załatwić. Jeśli chcesz, możesz zabrać się ze mną, będziemy mogli pogadać po drodze.

– Możesz prowadzić? – zapytałem, wskazując na pustą szklankę.

– Jasne, że nie. Ale czy kiedykolwiek mi to przeszkadzało? – Roześmiał się.

– No dalej, Dawson, idziemy.

– W porządku, ale nie licz na mnie, jeśli planujesz użyć którejś ze swoich zabawek. – Wskazałem na pancerną gablotę między oknami.

– Spokojnie. Nie będzie takiej potrzeby. No to jak? Jedziemy?

– W porządku. – Zgodziłem się i dokończyłem whisky.

– Samochód jest w garażu – powiedział, gdy wyszliśmy przed dom.

W pierwszej chwili pomyślałem, że mówi o piętrowym parkingu za rogiem. Scott jednak szybko wyprowadził mnie z błędu. Po wyjściu z budynku ruszyliśmy w lewo, minęliśmy wielopoziomowy parking i skręcili w małą, boczną uliczkę między niskimi ekskluzywnymi kamienicami. Na parterze zamiast witryn sklepowych znajdowały się czarne bramy pojedynczych garaży. Rory wsunął dłoń do kieszeni i wyjął pilota. Kiedy czarna metalowa brama podniosła się, wszedł do środka i fotokomórka wewnątrz włączyła światło. Okazało się, że był nie tylko posiadaczem prywatnego garażu, ale i nowiutkiego czarnego luksusowego SUV-a.

– Widzę, że ci się powodzi – stwierdziłem.

– Lexus LX czterysta siedziedziesiąt – powiedział. – Napęd na cztery koła,

pięciolitrowy silnik, czterobiegowy automat. Tylko zabójcy przyrody mogą sobie na taki pozwolić – dodał z uśmiechem.

Otworzyłem drzwi, zająłem miejsce obok kierowcy i poczułem się nieswojo. Drewniana tapicerka otoczona skórą siedzeń, lśniącem lakierem i trzema tonami wzmocnionej konstrukcji wywołały dziwny niepokój.

Przed oczami wyobraźni niczym upiorne widmo, pojawił się mój zdezelowany ford: jego tanie plastikowo-welurowe wnętrze, wytarte siedzenia, łyse dywaniki i cienkie wsporniki dachu między szybami. Porównanie go z czarną, masywną bryłą lexusa, w którym siedziałem, uświadomiło mi, że mój pojazd jest jedynie lichą zardzewiałą skorupą na czterech deklach, która nie zapewnia żadnej ochrony przed zagrożeniami z zewnątrz. Gdyby ktoś jadący masywnym SUV-em postanowił zepchnąć mnie z szosy lub na przeciwny pas, nie miałbym najmniejszych szans na ucieczkę. Z kolei lexus Scotta, niczym mobilna forteca wydawał się stworzony wręcz do takich zadań. Siedząc w wygodnym, klimatyzowanym wnętrzu i patrząc na wszystko odrobinę z góry, czułem się jak pasażer opancerzonej maszyny, która wyrusza na wieczorne polowanie poza bezpieczne obrzeża miasta.

Rory spojrział na mnie rozbawiony, uruchomił silnik i ruszył w rozświetloną noc po pajęczynie ulic Filadelfii.

Jechaliśmy w dół 2nd South Street. Po obu stronach wznosiły się odremontowane, secesyjne kamienice. Ich dzielone białą kratą okna przywodziły na myśl czasy niewolników, wielkich, czarnych uciekinierów i ich nastoletnich zbuntowanych towarzyszy. Lexus sunął niemal bezszelestnie po bruku pomimo zabytkowych szyn wkomponowanych w jezdnię.

Po kilku minutach skręciliśmy w prawo, gdzie na całej długości Pine Street kolejne eleganckie i białe apartamenty zasłonięte były przez rozłożony nad nami baldachim z rosnących po obu stronach jezdni dębów. Był to ostatni przyjemny widok tego wieczoru. Gdy dotarliśmy do końca ulicy i skierowaliśmy się na północ wzdłuż Bulwaru Kolumba, pozostawiliśmy za sobą sielankową krainę dobrze zarabiających białych, by zagłębić się w nieznaną otchłań przemysłowo mieszkalnego getta.

Jadąc wzdłuż Delaware, nie sposób było dostrzec mrocznej powierzchni, ale zapach wody towarzyszył nam na całej długości. Od czasu do czasu na tle majaczących na horyzoncie budowli, wraz z połyskującymi refleksami światła na powierzchni wody przemykał obraz nieruchomego nurtu i przystani dla motorówek z uśpionymi kadłubami.

Mijając most Franklina, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę wciąż nie wiem, dokąd jedziemy.

Rory opowiadał z pasją o zaletach SUV-ów i ich przewadze nad miejskimi autami, ale gdy zbliżyliśmy się do pierwszych budynków z cegły jego twarz

zastygła i zamilkł. Przez moment wydawało mi się, że wjechaliśmy w inny wymiar, gdzie metal żaluzji sklepowych miał w sobie moc gaszenia próżności. Być może miały ją również symbole wymalowane na powierzchni zdewastowanych witryn sklepowych. Tak czy inaczej Rory milczał skupiony na drodze.

Nagle wjechaliśmy w zupełnie inną przestrzeń miasta. Po obu stronach drogi wznosiły się dwupiętrowe budynki opuszczonych fabryk i magazynów. Od czasu do czasu pojawiał się też warsztat samochodowy, ale mimo wszystko dominowały domy mieszkalne. Te archaiczne elementy szeregowej zabudowy były jak eksponaty w muzeum architektury, nieco podniszczone, stojące w sporych odstępach, ostatnie w swoim rodzaju zabytki pamiętające czasy apartheidu, drugiej wojny światowej, a nawet wielkiego kryzysu. Na ich fasadach widniały szyldy barów, pralni chemicznych i małych knajp z jedzeniem na wynos. Kilkaset metrów dalej nawet iluzoryczny czar zabytkowych domów zniknął, ustępując miejsca pustym i zarośniętym trawą parcelom. Poprzetykane jedynie sterczącymi skorupami domów, opuszczonych i rozpadających się stanowiły pola ziemi niczyjej, gdzie mogły rozgrywać się sceny bitew między rywalizującymi ze sobą gangami. Zdarzały się też długie odcinki ziejących pustką szeregowców, z powybijanymi szybami i starymi, skorodowanymi bramami naznaczonymi sprayem lub ogniem.

Dopiero po mniej więcej pięciu minutach ilość śmieci na jezdni zmniejszyła się, a wybite szyby i puste parcele ustąpiły miejsca skromnym, odremontowanym kamienicom. Pomimo to widok za oknem wciąż niezmiennie rozciągał się w niepokojący pejzaż. Żadna ilość farby i tynku nie była w stanie wymazać nieodpartego wrażenia, że bieda i beznadzieja są stałą jakością życia w tej części miasta.

Każdy budynek stał samotnie, niczym martwy pień pośrodku gruzowiska. Każdy pochodził z innej dekady, każdy pamiętał inną historię upadku, a wszystkie otoczone piórami wyburzonych ścian, wyrwanymi skrzydłami murów, strzępami sąsiadujących pokoi, w których nikt już nie mieszka. Cała dzielnica przypominała prowizoryczne miasteczko, utrzymywane przy życiu siłą woli mieszkańców, latających bezustannie domy tym, co w danej chwili znajdą pod ręką.

Po kilkuset metrach Rory skręcił w lewo i wjechał w wąską uliczkę ciągnącą się wzdłuż zaniedbanego boiska.

– Przejdziemy skrótem – powiedział Scott.

Przytaknąłem. Już dawno straciłem orientację. Nie znałem tej części miasta i wcale tego nie żałowałem.

W bladym świetle latarni dostrzegłem ubite, zakurzone klepisko boiska i strzępy trawy przykurczone przy brzegach ogrodzonego siatką trójkątnego pola.

Po naszej prawej ciągnęły się oszpecone sprayem mury z czerwonej cegły. Gdy zostawiliśmy w tyle boisko-widmo, mury pociemniały i wjechaliśmy

w ciemną, ciasną uliczkę.

Szeroki lexus Rory'ego ledwo przecisnął się obok wystającego zderzaka samochodu zaparkowanego w zaułku po prawej. Gdy minęliśmy przeszkodę i dojechali do połowy uliczki, na jej końcu pojawiły się dwa szeroko rozstawione prostokątne światła. Był to niski, stary cadillac. Wypełnił sobą całą szerokość jezdni, blokując wyjazd na ulicę. Na jego widok pomyślałem, że oto jest właśnie miejsce, do którego nie powinno się zapuszczać w luksusowym lexusie za kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Cadillac błysnął długimi światłami i zawył silnikiem. Zastanawiałem się, czy Rory podejmie wyzwanie kierowcy z naprzeciwka. Krążownik był nisko zawieszony nad ziemią i aż prosił się, żeby po nim przejechać, ale kierowcą z drugiej strony mógł być praktycznie każdy: ojciec wracający z pracy, sprzedawca zajeżdżający na tyły sklepu, złodziej samochodów, bandyta lub psychopata. Mógł czekać tam na nas cierpliwie gotów do oddania pierwszego strzału. Odruchowo odwróciłem się i spojrzałem na uliczkę z tyłu. Nikt nie nadjechał. Odetchnąłem z ulgą.

Scott nawet nie drgnął. Zacisnął dłonie na kierownicy i nacisnął pedał gazu. Niski pomruk lexusa wzbił się w górę wzdłuż ciemnych murów. Rory uśmiechnął się. W przeciwieństwie do mnie świetnie się bawił. Kto wie, być może wjechał tam specjalnie?

– Myślisz, że czekają na twój autograf? – zapytałem.

– Nie wiem, ale wiem, czego nie dostaną. – Włączył „długie” światła i nacisnął na pedał gazu.

Kierowca w wozie przed nami najwidoczniej usłyszał pisk naszych opon, bo wbił wsteczny i również nacisnął na gaz. Rory przyśpieszył. Cadillac zaczął się cofać, zataczając się z lewej na prawą. Rory nacisnął dłonią na klakson. Krążownik odbił ostro w prawo, wjeżdżając przy tym tyłem w zaparkowaną na parkingu furgonetkę. Rozległ się głuchy huk stłuczki.

Rory minął wściekłego, wyklinającego kierowcę, ściął ostry zakręt w lewo i wbił się w wąską asfaltową ulicę. Po kilku sekundach znów skręcił, wykonując długi, niekontrolowany poślizg w prawo. Mokry bruk lśnił pod kołami, gdy siła odśrodkowa przeciągnęła nami po łuku z prawej na lewą stronę jezdni, wbiła nas na chodnik i rzuciła w pustą parcelę po lewej. Przeoraliśmy kilkanaście metrów trawy i chaszczki, a gdy Rory odzyskał panowanie nad autem, odbił w kierunku ulicy, wcisnął się między dwa zaparkowane przy poboczu samochody i wskoczył z powrotem na jezdnię. Zapiąłem w pośpiechu pas. Rory poprawił lusterko, sprawdził, czy ktoś jedzie za nami, nacisnął pedał gazu i znów przyśpieszył. Minął pierwsze skrzyżowanie, ignorując pisk hamulców autobusu po prawej, po czym spojrzał jeszcze raz w lusterko i w końcu zwolnił, skupiając się znów na drodze. Po chwili zgasił światła mijania i skręcił powoli w lewo. Droga była tu węższa

i wylana asfaltem, więc sunęliśmy po cichu, roznosząc za sobą jedynie miarowy pomruk silnika. Minęliśmy kamienny kościół, a potem stację benzynową i zatrzymaliśmy się przed światłami.

– Jak ci się podoba Filadelfia? – zapytał.

– Serio? Tylko to masz do powiedzenia?

– A co? Może mam przytulić cię i uspokoić? – odparł rozbawiony.

– Po co mnie tu w ogóle przywiozłeś? Nie potrzebuje przewodnika po slumsach – rzuciłem.

– Spokojnie, mówiłem ci, że muszę coś załatwić. Ale najpierw chcę ci coś pokazać – powiedział i ruszył.

Przejechaliśmy pod wiaduktem i skręcili w obskurną ulicę po lewej. Długi rząd dwupiętrowych domów obfitował w grupki młodych zakapturzonych chłopaków na chodnikach. Gdy przejeżdżaliśmy obok, obserwowali nas z uwagą. Mniej więcej w połowie drogi do kolejnej przecznicy dwaj ciemnoskórzy, którzy złapali przed chwilą jakiegoś przechodnia, przerwali przeszukiwanie jego kieszeni, żeby przyjrzeć się pasażerom lexusa. Scott nie przyśpieszył, przejechał jeszcze kilkaset metrów, zwolnił przed skrzyżowaniem i zaparkował po prawej.

Kilka metrów przed nami przebiegał wiadukt kolejowy, pod którym łączyły się trzy ulice: Kensington Avenue, East Somerset i D Street. Natężenie ruchu w tym miejscu było dość duże. Powietrze wypełnione było spalinami. Po chwili hałas wzmógł się jeszcze bardziej, gdy na tory prowadzące nad skrzyżowaniem wtoczył się pociąg kolei podmiejskiej. Po kilkunastu sekundach musiałem przymknąć okno. Huk był nie do wytrzymania.

Spoglądając na to kowadło huku i spalin rozchodzącego się drżenia pociągu i mknących ciężarówek zastanawiałem się, jak można żyć i pracować w tym miejscu. Zastanawiałem się, jak właściciele małych sklepów otaczających ten mroczny węzeł funkcjonowali w nim i niezmiennie trwali. Czy zasymilowali się z otoczeniem, czy może cierpieli w milczeniu, znosząc z uporem każdy kolejny dzień? Tak czy inaczej musieli znaleźć sposób. Albo wypełniali spękane, kruche umysły alkoholem, albo radzili sobie bez niego i byli twardsi niż ja.

– Spójrz. – Rory wskazał na mężczyzn stojących na rogu po przeciwległej stronie skrzyżowania. Gdy któryś z przejeżdżających samochodów zwalniał, jeden z nich podnosił białe pudełko po czym trząsał nim niczym grzechotką nad uchem. Prawdopodobnie właśnie na ten sygnał, szara mazda zjechała na pobocze i zatrzymała się. Drugi z dilerów, podszedł do samochodu i dokonał transakcji.

– Crack? – zapytałem.

– Nie, Jerry. Widzisz, to jest centrum handlu heroiną. Już od przeszło dwudziestu lat. Założę się, że nie wiedziałeś.

– Nie.

Rory zapalił światła i ruszyliśmy.

Po kolejnych pięciu minutach jazdy dotarliśmy do dzielnicy, w której na każdym rogu stała grupka młodych ludzi. Żaden nie krył się ze swoimi foliowymi woreczkami. Wyglądali jak uliczni handlarze, tyle że bez rozłożonych straganów. Rory skręcił w lewo, a potem w prawo w drogę równoległą do tej, na której stali dilerzy.

– Dlaczego, do diabła, tędy jedziesz? – zapytałem.

– Nie chcę ryzykować lakieru – odparł.

Sunęliśmy powoli przez krajobraz przypominający bardziej powojenne miasto niż wewnętrzne podwórka skrywane za główną drogą. Chodniki i wąska jezdnia usiane były śmieciami. Farba i tynk odchodziły od ścian całymi płatami i jedyne co zdobiło ten koszmarny zakątek to wszechobecne ordynarne jaskrawokolorowe graffiti. W oknach zamiast szyb wstawiono płyty wiórowe, blachę lub deski. Było zbyt ciemno, by móc je rozróżnić. Pod jednym z wejść, na którego drzwiach wymalowano sprayem numer mieszkania, zamiast trzech murowanych stopni ułożono trzy worki z piaskiem, jakby przewidziano, że mogą się przydać podczas nadciągającej katastrofy.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to tu właśnie wszyscy hollywoodzcy reżyserzy czerpią natchnienie dla apokaliptycznych filmów. Obraz nędzy i ludzkiej pomysłowości pobudził moją wyobraźnię w niepokojącym kierunku. Wyobraziłem sobie, że jeden z tubylców dostrzega nas, zagradza drogę, a pozostali otaczają samochód, wyciągają nas, wyszarpują na chodnik, obdzierają z ubrań i tratują w szamotaninie o strzępy ciuchów. Lexus umiera rozpruty i rozczłonkowany, rozebrany z wszystkiego, co da się oderwać, odłamać lub odkręcić. Czarne skórzane fotele wędrują na półpiętra nieoświetlonych salonów, koła kończą jako stopnie poniżej drzwi wzmocnionych frontowych, lusterka jako elementy wystroju upiększają łazienki, a tapicerka odżywa jako schowki i kieszenie miejscowych.

– Ocknij się. – Rory mnie szturchnął.

– Pilnuj drogi – odparłem.

Gdy wjechaliśmy z powrotem na główną ulicę wypełnioną tłumem dilerów, poczułem niemal ulgę. Tutaj przynajmniej długość i szerokość jezdni dawały szansę na ucieczkę.

– Masz tutaj swój przeklęty crack. Jerry – powiedział. – Tak. Tak właśnie wygląda spuścizna Rickiego Rossa.

– Widzę, że policja nie zagląda tu zbyt często.

– A jak myślisz? Spójrz na nich. Interes kwitnie. Ruch jak w targowy dzień przed południem. To są właśnie nowi rolnicy Ameryki. Uprawiają marihuanę i rozprowadzają crack.

– To smutne.

– Jasne, że smutne. Pytanie tylko co zamierzasz z tym zrobić? – spojrzał na mnie z szeroko otwartymi oczyma, jakby złapał oddech i nie chciał wypuścić

powietrza. Tylko przez kilka sekund udało mu się zachować powagę. Potem nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Długo jeszcze będziemy tak krążyć? – zapytałem. – Czy może chcesz się zatrzymać tu na zakupy? – Wskazałem na przywołującego nas gestem dłoni chłopaka na brzegu chodnika.

Rory tylko spojrział na mnie, prychnął i przyśpieszył.

Dwie minuty później mój kierowca znów zwolnił, wtaczając się w kolejną obskurną dzielnicę. Wrzucił kierunkowskaz, zatrzymał samochód naprzeciw sklepu na rogu po lewej i wyłączył silnik.

– Potrzebuję fajek – powiedział. – Idziesz czy zostajesz?

– W sumie żadna różnica. Jeśli coś ma się stać, stanie się tak czy inaczej – odparłem.

– Nie wiedziałem, że jesteś fatalistą – powiedział i wyszedł z samochodu.

Nie chciałem zostawać w wozie za kilkadziesiąt tysięcy dolarów, otoczony całym pokoleniem aspirujących bandytów i złodziei samochodów. Ostatecznie uznałem, że wolę zaryzykować i ruszyłem za Rorem do sklepu po drugiej stronie ulicy.

Wewnątrz lokalu, wzdłuż przejścia stały dwa wysokie regały wypełnione słodyczami, napojami i konserwami. Za ladą stał niski, krępy Latynos o krzaczastych brwiach i gęstych kręconych włosach. Z zaplecza wyłoniła się brunetka z długim plecionym warkoczem, prawdopodobnie żona. W dłoniach trzymała karton z papierosami, z którego wystawały trzy szklane butelki. Oprócz nich po sklepie kręciła się jeszcze klientka, około czterdziestoletnia atrakcyjna kobieta o kruczoczarnych, kręconych włosach.

– Cześć – powiedział Scott.

– O, dzień dobry – powiedział właściciel. – Co pana do nas sprowadza?

– Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że zobaczę co u was. Butelkę szkockiej i Marlboro, jeśli można. Co słyhać Raul? Jak noga?

– Ach dziękuję, trochę lepiej – odparł, sięgając do pudła przyniesionego przez żonę.

– A pani? Jak się czuje córka?

– Chyba dobrze.

– Rozmawiała pani z nią o tych chłopakach?

– Tak, ale wie pan, dzisiaj dzieci są trudne. Z pierwszym synem nie miałam takich problemów. Ciężko do niej dotrzeć.

– No tak. – Rory zabębnił palcami dłoni o ladę i pokiwał głową. – Aha, zapomniałbym. – Ocknął się – To jest mój przyjaciel, Jerry Dawson. Jerry, chodź na chwilę – zawołał lekceważącym tonem.

– Dobry wieczór – powiedziałem, spoglądając na niego z wyrzutem.

– Jerry pisze książkę o narkotykach i chciał, żebym pokazał mu tę część

miasta. Macie tu chyba problemy z narkotykami, prawda?

– Przecież pan wie najlepiej – odparł Raul. – Zresztą wystarczy wyjrzeć na zewnątrz.

– Policja przejeżdża tędy raz, może dwa razy w miesiącu – dodała kobieta. – Przeważnie w niedzielę po południu. Nikt nie kiwnie nawet palcem, żeby coś z tym zrobić.

– Dzień dobry – odezwała się kobieta za nami. – Jest dokładnie tak, jak pani mówi. Mieszkam dwie przecznice dalej i jest tam taki właśnie sklep jak ten. Kiedyś zaparkowałam przed nim furgonetkę i zostawiłam ją tam przez weekend. Kiedy rano jechałam do pracy chłopak, który kręcił się przy wejściu, podszedł i zapytał, co robię. Powiedziałam, że to nie jego sprawa. A on, że to nie jest wcale mój samochód, tylko jego skrytka i że mam go nie ruszać. Otworzył drzwi, sięgnął pod siedzenie i wyjął spod niego metalowe pudełko Bóg wie z czym w środku.

– Tak, tak to właśnie tutaj wygląda – odezwała się żona sklepikarza. – Dziwię się, że odważyła się pani dojść aż tutaj po zmroku.

– Nie mam wyjścia, mój syn jest chory i nie mam kiedy zrobić zakupów.

Nagle w powietrzu rozniósł się dźwięk wystrzału. Zaraz po nim dwa kolejne. Były stłumione, jakby oddano je z dużej odległości. Wszyscy zwrócili wzrok w stronę wyjścia, po czym wrócili do tematu. Tylko ja zdawałem się przejmować tym sygnałem. Rory obrzucił mnie czujnym spojrzeniem, ale wciąż uprzejmie słuchał opowieści miejscowych.

– Pamiętam, że kiedyś tak nie było – powiedziała kobieta.

– My przyjechaliśmy tu z Meksyku. Myśleliśmy, że tu będzie inaczej...

Huk wystrzału przetoczył przez ulicę. Zaraz po nim padły kolejne dwa. Tym razem o wiele głośniejsze, prawdziwe. Potem pojawił się odgłos silnika. Jakiś samochód przemknął obok sklepu z ogromną prędkością. Rory spojrzał na mnie wyraźnie zaintrygowany. Kobieta z koszykiem przecisnęła się między nami, rzuciła dwudziestodolarowy banknot na ladę, podziękowała i wyszła w pośpiechu. W tym samym momencie przed sklep podjechał szary ford kabriolet. Kobieta obejrzała się i ruszyła w lewo. Zaraz po niej do drzwi podszedł młody, kilkunastoletni chłopak. Nacisnął na klamkę i wtoczył się do środka. Powolnym, chwiejnym krokiem ruszył w kierunku kasy. Był szczupły i wysoki. Miał na sobie białą koszulkę, rozpinaną bluzę i szerokie dżinsy. Na jego szyi wisiał gruby srebrny łańcuch z krzyżykiem, a zza pasa wystawał półautomatyczny pistolet. Krzyżyk przesuwiał się z lewej na prawą stronę z każdym krokiem. Lewe ramię chłopaka wsiądo beładnie, a prawa ręka uciskała miejsce, w którym najwidoczniej utknęła kula. Biała koszulka zalana była krwią, prawdopodobnie jego, choć mogła być też cudza. Podobnie bluza na barku nasiąknęła krwią z rany, ale czerwone plamy na klatce piersiowej i brzuchu mogły należeć do kogoś innego.

Rory zareagował najszybciej. Zanim młodzieniec go zauważył, Scott cofnął

się o krok, skrywając się za wypełnionym regałem. Chłopak podszedł do kasy, zmierzył nas rozdrażnionym wzrokiem, wyciągnął z kieszeni garść zmiętych banknotów i rzucił na ladę.

– Tequilę, aspirynę i jakieś opatrunki – powiedział.

Raul spojrział na leżące przed nim studolarówki, sięgnął po dużą butelkę z górnej półki i tabletki, podczas gdy jego kobieta przeszła na zaplecze i przyniosła apteczkę.

– Weź tę – powiedziała i zapakowała wszystko do papierowej torby.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się z wyrazem bólu na twarzy, chwycił zakupy pod pachę i wyszedł.

Rory wyłonił się zza regału, gdy tylko ranny zniknął z zasięgu wzroku.

– I co wy na to? – powiedział Scott. – Zapłacił! Kto by pomyślał?

– I dobrze – powiedziała kobieta. – Szkoda by było chłopaka.

– Myślałem, że będę musiał przestrzelić mu drugie ramię – wyznał Raul.

Wyciągnął spod lady ukrytą strzelbę i przeładował, próbując zrobić na mnie wrażenie. Udało mu się.

– No dobrze – powiedział Scott. – Na nas już chyba pora. Nie mam ochoty wracać dziś do domu piechotą.

Pożegnaliśmy się i ruszyli w stronę samochodu. Koło wozu kręciło się już dwóch zainteresowanych. Mieli na głowach chusty i kiwali się z boku na bok jak mały oznaczające terytorium. Jeden z nich przechylił głowę na bok i spojrział na nas, jakbyśmy byli co najmniej o połowę niżsi od niego. Wydał wargi, przymrużył oczy i wsunął ręce w kieszenie obluźwanych dzinsów.

– Niezła fura, białasie – powiedział, gdy Rory nacisnął przycisk w pilocie centralnego zamka.

Drugi, wysoki i dość chudy był łagodniejszego usposobienia. Spojrział na Rory'ego i chyba przypomniał sobie coś, bo zaczął natarczywie szturchać tego pierwszego, próbując mu coś powiedzieć.

– Przestań Cruz, spadajmy stąd – szepnął.

Obszedłem wóz i siadłem na miejscu pasażera, podczas gdy Scott postanowił obejrzeć karoserię z bliska. Dopiero teraz dostrzegłem ślad po kuli i pęknięcie w dolnej części tylnej szyby za mną. Okrąży punkt na wysokości mojego splotu słonecznego podpowiadał, że szyby były kuloodporne. Szkło zamiast rozprysnąć się w drobny mak, zatrzymało pocisk i jedynie pękło wzdłuż dwóch prostych linii. Rory stanął przy tylnym zderzaku, oceniając szkody, podczas gdy ten z krzywą głową stanął nad nim ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Właściciel kuloodpornego SUV-a kucnął, by przyjrzeć się prawdopodobnie drugiej dziurze po kuli, podczas gdy Cruz stał nad nim, próbując zwrócić na siebie uwagę. Scott ponownie go zignorował, podnosząc jego irytację do poziomu agresji.

– Zamknij się! – krzyknął na tego drugiego. – Nie jesteś moją matką,

czarnuchu.

– Daj spokój – powiedział chudszy. – Nie podoba mi się to. Chodźmy lepiej coś skrócić.

– Powiedziałem zamknij się! – krzyknął. – A ty! Tak, do ciebie mówię, dziadku! Dawaj kluczyki, zabieraj kochasia i spierdalajcie stąd, jeśli nie chcecie skończyć jak ten frajer tam. – Cruz wyciągnął rewolwer i wskazał nim na rozbitego kilkadziesiąt metrów dalej mustanga. Chłopak z raną postrzałową w barku nie dojechał do miejsca przeznaczenia.

Rory podniósł się powoli, spojrzął Cruzowi w oczy, a potem jednym szybkim ruchem uderzył go czołem w nos. Zanim Cruz zdążył przesunąć lufę w jego stronę, Rory błyskawicznie chwycił jego dłoń, wyrwał pistolet i przyłożył mu kolbą, rozwalając lewe ucho. Chłopak odbił się w prawo, przewracając się na chodnik. Z nosa wypłynęły dwie czerwone strugi krwi. Trzecia, wypływająca z ucha, dołączyła do pozostałych. Stojący przed Scottem towarzysz Cruza cofnął się o krok, rozkładając ręce w geście kapitulacji.

– Spokojnie, człowieku, tylko spokojnie – powiedział.

Rory nie próbował nawet udawać, że słucha. Przetarł pistolet rękawem i przyjrzał się bliżej napisowi pod lufą. Odbezpieczył magazynek i wysunął go, sprawdzając ilość naboji. Potem uśmiechnął się, wsunął go z powrotem i podrzucił pistolet, jakby sprawdzał jego wagę.

– Spieprzaj stąd – powiedział do chłopaka, nawet na niego nie patrząc. W jego głosie nie było cienia emocji.

– Ja... Jasne – wydukał chudy, podszedł do kolegi, dźwignął go z wysiłkiem, wziął pod ramię i powoli, chwiejnym krokiem ruszyli w kierunku, z którego przyjechaliśmy.

Scott odwrócił się, obszedł samochód z przodu i usiadł za kierownicą.

– Przepraszam cię za to – powiedział. – Nie myślałem, że będziemy w tym sklepie tak długo. To jak? Jedziemy dalej?

Nie odezwałem się.

– Po co ci szyby kuloodporne? – zapytałem, gdy ruszył. – Wiem, że w tej chwili może to brzmieć idiotycznie, ale po cholere ci wóz z kuloodporną karoserią?

– Po co kuloodporne szyby? – powtórzył. – Powiedzmy, że lubię czuć się bezpiecznie.

Nacisnął pedał gazu i przyspieszyliśmy.

– Chcesz nas zabić? – zapytałem. – Po co ta scena z bronią? Nie mogłeś po prostu wyrwać mu tego gnata? A co byś zrobił, gdyby za rogiem stali jego kumple?

– Wsiadłbym do mojego bezpiecznego, kuloodpornego lexusa.

– Dobra, mniejsza z tym. Powiedz lepiej, dlaczego mnie tutaj przywiozłeś? Czy wyglądam jak ktoś, kto lubi takie atrakcje?

– Chcesz pisać o narkotykach, a nie masz o nich pojęcia.

– To ty nie masz pojęcia o mnie i o tym, co piszę – burknąłem.

– Więc mi powiedz – odparł.

– Niby dlaczego? Okłamujesz mnie od samego początku, ukrywasz informacje, traktujesz jak przygodnego turystę i oczekujesz, że ot tak wszystko będzie w porządku? Nie mam zamiaru ci się spowiadać. Załatwiał tę swoją sprawę i wracamy. Mam dość atrakcji jak na jeden wieczór.

Rory patrzył na mnie jakieś dziesięć sekund. Nie wiem, czy chciał sprawdzić, jak szybko wpadnę w panikę, czy może podejmę wyzwanie i również oderwę wzrok od jezdni. Tak czy inaczej droga była pusta, przynajmniej do granicy światła. Pomyślałem, że ten jeden raz nie dam mu satysfakcji.

– Ten sklepikarz cię znał – powiedziałem, spoglądając ostatni raz przed siebie. – Mieszkałeś tutaj, pracowałeś, czy handlowałeś? – zapytałem.

Rory nie odpowiedział.

– Kim naprawdę jesteś, Rory? Jak zarabiasz na życie?

Scott wrócił wzrokiem na jezdnię, minął skrzyżowanie i zmrużył oczy. Wpatrywał się w drogę w milczeniu. Wyglądał, jakby koncentrował się jedynie na niej, na wyrzuszeniach pobocza, fakturze farby na asfalcie i niewielkich dziurach.

– Jestem zwykłym facetem z zamiłowaniem do gadżetów – powiedział po dłuższej chwili. – To wszystko. – Spojrzał na mnie i znów utkwił wzrok na drodze. – A Raula znam już od jakiegoś czasu. Pracowaliśmy razem.

– W DynCorp? – spytałem, próbując uciszyć ciśnienie tłukące się pod czaszką.

– Och, Jerry. Przecież ci powiedziałem, że wszystkiego się dowiesz. Muszę tylko załatwić jedną sprawę.

– W takim razie na co, do diabła, czekasz? – krzyknąłem.

– Jesteśmy już blisko – odparł.

Spojrzałem na przesuwający się za szybą pejzaż. Kierowaliśmy się w stronę centrum. Z jezdni zniknęły śmieci, a budynki zaczęły przypominać zamieszkałe. Nawet samochody zaparkowane przy chodnikach wyglądały na młodsze. Gdy dojechaliśmy do większego skrzyżowania, Rory odbił w lewo. Po raz pierwszy odkąd zatrzymaliśmy się przy heroinowym węźle, mogłem spokojnie odetchnąć. To było dziwne uczucie. Kontakt ze schludną rzeczywistością był nagły, niemal nieoczekiwany, zupełnie jakbym teleportował się z trzeciego świata w tę czystą, graniczącą z dziczą dzielnicę. Uczucie to trwało zaledwie kilka sekund, ale w miarę, jak przyzwyczajałem się na nowo do widoku cywilizacji, uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego. Oddalaliśmy się od czarnej dziury czasoprzestrzeni, pozostawiając za sobą uwięzionych w niej mieszkańców. Jeśli ekonomiczna ruina i przestępczość były rzeczywiście spowodowane handlem crackiem, być może rzeczywiście warto było przyjrzeć się temu wszystkiemu bliżej. Póki co jednak musiałem wyciągnąć od Rory'ego to, co tylko mógł mi zaoferować: relację

z pierwszej ręki i prawdę o firmie będącej w epicentrum narkotykowego problemu, czyli DynCorp.

Rory zwolnił i jechał spokojnie. Szeroka, sześciopasmowa droga dawała nie tylko możliwość rozwinięcia prędkości, ale i obniżenia. Rory zjechał na prawy pas i sunął powoli, nie przekraczając trzydziestu mil na godzinę. Zastanawiałem się, czy chciał o czymś porozmawiać.

– Daleko jeszcze? – zapytałem.

Scott rzucił okiem na zegarek. Potem na prędkościomierz.

– Jakies pół godziny.

– Powiedz mi jedno. Jaki masz w tym interes? Dlaczego chcesz, żebym pisał o narkotykach?

Nie odpowiedział. Podrapał się po brodzie, potem spojrzał na mnie i wrócił do obserwacji jezdni.

– Przyznaj, że chodzi o coś innego – powiedziałem.

– Nie, Jerry – odparł. – To nie to, naprawdę chcę, żebyś napisał o Kolumbii.

– Tylko po co? – zapytałem.

Rory westchnął teatralnie, jakby zbierał się do wyznania, potem spojrzał na przemykające za szybą wystawy sklepowe i bez odrywania wzroku od drogi powiedział:

– Byłem tam i widziałem, co robimy z tym krajem. Wiesz, w Wietnamie było mi to obojętne, ale teraz... Sam nie wiem. Chyba mięknę na stare lata.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

– Mówisz poważnie? – zapytałem. – Wybacz, ale naprawdę trudno mi w to uwierzyć.

– No dobra – rzucił bardziej zdecydowanym głosem. – Powiedzmy, że po prostu wkurwili mnie.

– Niech zgadnę, twoja firma, tak?

– Powiedziałem, że wszystkiego się dowiesz – odparł. – Wszystko w swoim czasie.

Nie odpowiedziałem. Dopiero w tym momencie zaczęło docierać do mnie, że nie mogę mu wierzyć. Jego wiarygodność topniała z każdym kolejnym słowem, ale dopiero teraz widziałem to jasno i wyraźnie. Rory nie zamierzał powiedzieć mi niczego konkretnego. Z jakiegoś powodu znosił moje towarzystwo, ale w gruncie rzeczy mną gardził. Obiecywał odpowiedzieć na wszystkie pytania, a ja łudziłem się, że tym razem dotrzyma słowa. Nie wiedziałem o nim nic poza tym, że był niebezpieczny i że coś ukrywał.

– A na razie... – powiedział zniecierpliwiony ciszą. – Może powiesz mi, co wiesz o Planie Kolumbia?

– Co wiem o Planie Kolumbia? – zapytałem.

Wydawało mi się, że się przesłyszałem. Jeszcze kilka godzin wcześniej wiele

bym dał, żeby wyciągnąć od niego wszystko, co wie o operacjach w Kolumbii. Teraz jednak mój priorytet się zmienił. Rory prowadził kolejną niejasną grę ze mną w roli głównej, a ja nie zamierzałem poddać się bez walki. Musiałem dowiedzieć się, czego chce i dlaczego próbuje mnie zmanipulować.

– Co wiem o Planie Kolumbia? – powtórzyłem. – Poza tym, że nasza pomoc wojskowa w tym kraju ludzako przypomina misję w Wietnamie?

– Gówno prawda, ale niech ci będzie – rzucił bez zastanowienia. Był tak pewny swego, że sam ton jego głosu przekonywał.

– Mów dalej, słucham – dodał.

– Rozumiem, że według ciebie nie ma podobieństwa między tym, co robimy Kolumbijczykom, a tym co zafundowaliśmy Wietnamczykom?

– Nawet jeśli to jeszcze nie uzasadnia porównywania ich.

– W takim razie powiedz mi coś. Gdzie są szkoleni kolumbijscy wojskowi?

– Nie mam pojęcia. – Uśmiechnął się.

Kłamał. Oboje wiedzieliśmy, że kłamie.

– Wiesz przecież, że większość ludzi, którzy przechodzą trening w walce z partyzantami szkoli się School of Americas w Fort Bening – powiedziałem. – Wiesz też pewnie, że ta placówka wydała na świat wielu dyktatorów i morderców.

– No tak. Obiło mi się coś o uszy, ale jak na moje oko to są zwykłe oszczerstwa – powiedział, nie odrywając wzroku z jezdni. Zbliżaliśmy się do centrum. Zbliżaliśmy się do finału jego manipulacji. Musiałem się śpieszyć.

– Od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku School of Americas wyszkoliła ponad sześćdziesiąt tysięcy latynoamerykańskich żołnierzy i policjantów – powiedziałem. – Wielu wróciło do swoich krajów, wprowadzając w życie najgorsze i najsukuteczniejsze metody walki z opozycją, buntownikami i partyzantami.

– Co w tym złego, że walczyli z partyzantami?

– To, że ci ludzie to nie są partyzanci. Nie mają żadnej politycznej ideologii. Nie interesuje ich państwo, chcą jedynie godnie żyć. Indiańskie wioski potomków Majów nie prowadzą ewidencji członków tego czy innego ugrupowania politycznego. Dla nich nie jest ważne jak nazwą ich władze, dla nich ważne jest to, że walczą o to, co należy do nich, co należało do nich od niezliczonych pokoleń. Niestety do tego samego roszczą sobie prawa członkowie tajnej policji i szwadronów śmierci zajmujących się eliminacją oporu wśród ludności cywilnej.

– Dowody, Jerry. Dowody – powiedział. – Kogo chcesz przekonać kupą wyspanych z palca opowieści?

– Proszę bardzo. W dziewięćdziesiątym ósmym roku w Gwatemali został zamordowany biskup Juan Gerardi. Został zamordowany po tym, jak współpracował przy tworzeniu raportu opisującego zbrodnie popełnione przez D-2, wojskowo-wywiadowczą agencję Gwatemali. D-2 prowadzona była przez Lima

Estrada i dwóch innych absolwentów School of Americas. D-2 koordynowała antypowstańczą kampanię, w trakcie której starto z powierzchni ziemi czterysta czterdzieści osiem wiosek Majów i zamordowano dziesiątki tysięcy ludzi.

– To jeszcze niczego nie dowodzi. To, że trzech psychopatów urządziło sobie rzeź na swoim podwórku nie znaczy, że pozostali zrobią tak samo.

– Teoretycznie nie. Ale fakty mówią inaczej – odparłem.

– Jakie fakty? Co ty możesz wiedzieć o Ameryce Łacińskiej? – rzucił.

Alkohol wciąż szumiał mi w głowie, pamiętałem dokładnie wszystkie nazwiska ludzi zmieniających bieg historii naszych południowych sąsiadów. Od czasu protestu przeciwników SOAs w sierpniu zdążyłem przyjrzeć się bliżej temu tematowi i nie zamierzałem odpuścić mu jego ignorancji.

– Chcesz faktów? Proszę bardzo. Tylko nie próbuj zaprzeczać, bo to co powiem jest jedyną prawdą o tej placówce.

– W porządku – powiedział. – Postaram się nie przerywać. Mów.

Zmierzyłem długim spojrzeniem płynący leniwie krajobraz za szybą. Światła wystaw sklepowych i restauracji, stoliki kawiarni i pubów, życie towarzyskie kwitło, ale mi wydawało się płytkie i bezsensowne. Były ważniejsze rzeczy od luksusu, trudniejsze tematy niż rozgrywki sportowe. Był Rory i jego gra. On i tajemnica jego przeszłości.

– Gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku komisja ONZ w sprawie Salwadoru podała nazwiska oficerów, którzy popełnili najgorsze okrucieństwa podczas wojny domowej w tym kraju, okazało się, że dwie trzecie z wymienionych zbrodniarzy było szkolonych właśnie w SOAs – powiedziałem. – Był tam Roberto D'Aubuisson, dowódca jednego z szwadronów śmierci i zarazem założyciel wielu innych, które w latach osiemdziesiątych szerzyły strach w Salwadorze. Byli tam mężczyźni, którzy zabili Arcybiskupa Romero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, a także dziewiętnastu z dwudziestu sześciu żołnierzy, którzy zamordowali jezuickich księży w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. W Chile absolwenci SOAs prowadzili zarówno tajną policję Augusto Pinocheta, jak i jego trzy główne obozy koncentracyjne.

– No dobra, ale ilu absolwentów wypuściła ta szkoła? Dobrze usłyszałem? Czterdzieści tysięcy?

– Sześćdziesiąt – odparłem. Wiedziałem, do czego zmierza.

– No właśnie. Więc jaki odsetek prawdziwych zbrodniarzy opuścił tę szkołę?

– Nie spodziewasz się chyba, że będę pamiętał wszystkie liczby i wszystkich absolwentów?

– W porządku, rozumiem. A ci dyktatorzy, o których mówiłeś?

– Tych akurat pamiętam – odparłem. – Roberto Viola i Leopoldo Galtieri z Argentyny, Manuel Noriega z Panamy, Juan Velasco Alvarado z Peru, Guillermo Rodriguez z Ekwadoru. Czy pięciu wystarczy?

– No dobra. Załóżmy, że to prawda. Nie mówię, że tak jest, ale załóżmy na chwilę, że masz rację. Co to wszystko ma wspólnego z Kolumbią? A! I jeszcze jedno. Skąd wiadomo, że ci wszyscy szaleńcy szlifowali talenty właśnie w SOAs?

– Słyszałeś o Ustawie o Dostępie do Informacji¹⁹? Po co w ogóle pytam? Na pewno słyszałeś. Więc wyobraź sobie, że w dziewięćdziesiątym siódmym, powołując się właśnie na prawo do dostępu do informacji, redakcja Baltimore Sun uzyskała od armii dwa podręczniki szkoleniowe wykorzystywane w SOAs. Używano ich najpierw w Panamie, a potem, gdy w siedemdziesiątym czwartym przeniesiono placówkę do Stanów, korzystano z nich również w Fort Benning w Georgii.

– I? Co takiego straszego znaleźli w tych podręcznikach?

– W tym pierwszym, napisanym w sześćdziesiątym trzecim roku, znajdziesz wszystko, czego dopuszczali się nasi zbrodniarze w Ameryce Łacińskiej. Ów raport nazywał się „KUBARK, Przesłuchania Kontrwywiadu”.

– No i co? Co takiego znaleźli? – Rory wydawał się być zainteresowany.

– Generalnie raport opisywał techniki służące do łamania psychiki więźniów. W niektórych fragmentach jest to opisane dość dokładnie. Autorzy sugerowali na przykład, aby przy doborze miejsca przesłuchania upewnić się wcześniej, czy aby na pewno jest w tam stały dopływ prądu niezbędny na wypadek... Na wypadek, gdyby urządzenia, które oczywiście powinniśmy mieć pod ręką, okazały się potrzebne. W części zatytułowanej „Przymusowe Przesłuchiwanie Kontrwywiadowcze Jednostek Stawiających Opór” znalazłem podrozdział o nazwie „Groźby i strach”, gdzie autor sugeruje między innymi, że groźba wyrządzenia bólu może wywołać strach skuteczniejszy niż samo cierpienie. Pamiętam też, że w podrozdziale „Ból” charakteryzowali progi bólu, twierdząc, iż „opór jednostki” zmniejszy się znacznie pod wpływem bólu, który w przekonaniu więźnia sprowadził sam na siebie^{4,5}.

– Ciekawe. Choć dość nieprawdopodobne – skwitował.

– Jasne, że nieprawdopodobne. Przecież znamy to jedynie z filmów o Wietnamie, gdzie zły porucznik Wietkongu torturuje dzielnego amerykańskiego żołnierza zanurzonego po szyję w szambie pełnym pijawek.

– A tak naprawdę?

– A tak naprawdę to my jesteśmy specami od tego rodzaju przesłuchań. I to właśnie my przesłuchiwaliliśmy w ten sposób więźniów w Wietnamie. Zresztą KUBARK nie był jedyną taką instrukcją.

– Słucham, mów dalej – zachęcał.

– Druga instrukcja nosiła nazwę „Wykorzystanie Zasobów Ludzkich” i nie chodziło tu bynajmniej o zarządzanie kadrami w średniej wielkości firmie. Ten podręcznik z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku był kompilacją wytycznych zawartych w KUBARK i podręczników amerykańskiego wywiadu

wojskowego, napisanych zresztą jeszcze w latach sześćdziesiątych jako część „Projektu X”, czyli naszego „Programu Pomocy Obcym Wywiadom”. Nie muszę chyba dodawać, że jest to okres Wojny w Wietnamie? Tak więc podręcznik ten był wykorzystywany między osiemdziesiątym trzecim i osiemdziesiątym siódmym w wielu krajach Ameryki Łacińskiej jako narzędzie instruktażowe CIA i Zielonych Beretów. Poświęca wiele miejsca „Przymusowemu Przesłuchiowaniu”, a także wykorzystywaniu w trakcie tego przesłuchania fizycznych i psychologicznych technik. Oprócz gróźb, zastraszania i zadawania bólu najciekawsze wydają się fragmenty, które zostały później wykreślone. Autorzy podają między innymi przykłady pozbawienia więźnia snu albo bodźców zewnętrznych poprzez umieszczenie go w zbiorniku z wodą sięgającą po szyję, z workiem zasłaniającym głowę, umożliwiającym jedynie oddychanie. W innym miejscu znalazłem również interesujący wykreślony fragment. Stwierdzono w nim, iż w sytuacji, gdy więzień nie zastosuje się do polecenia lub nie odpowie na pytanie, po uprzednim wystosowaniu groźby należy zawsze niezwłocznie wykonać to, czym grożono, gdyż w przeciwnym razie kolejne groźby będą nieskuteczne⁶.

– To chyba logiczne, prawda?

– Oczywiście. Ale wyobraź sobie żołnierza służącego w armii któregoś z biednych latynoamerykańskich krajów, człowieka bez badań psychologicznych, bez szkoły oficerskiej, który stosuje się do instrukcji zawartych w takim fascynującym podręczniku. Podczas przesłuchania puszczają mu nerwy i obiecuje więźniowi obciąć mu uszy, jeśli ten nie wyjawia mu informacji. Więzień odmawia współpracy. Żołnierz pamięta najważniejszą lekcję, wyjmuje z pochwy nóż i obcina uszy przesłuchiwanemu.

– W dalszym ciągu nie widzę związku z Planem Kolumbia – powiedział nieco mniej pogodnym głosem.

– W tym roku administracja Clintona przydzieliła jeden i trzy dziesiąte miliarda dolarów na pomoc zagraniczną czyniąc z Kolumbii największego odbiorcę pomocy wojskowej w tej części świata. Ten kraj otrzymuje więcej amerykańskiej pomocy wojskowej niż reszta Ameryki Łacińskiej i Karaibów razem wzięta. W zeszłym roku suma sięgnęła trzystu milionów wraz z sześćdziesięcioma milionami na zakup broni, co stanowi trzykrotny wzrost w porównaniu z dziewięćdziesiątym ósmym rokiem. Teoretycznie Plan Kolumbia to dwuletni plan rządu kolumbijskiego zakładający siedmiu i pół miliardową pomoc zagraniczną w celu wprowadzenia reform i poprawienia warunków życia. Pieniądze miały płynąć z Europy, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego⁷.

– Tak, wiem o tym. – Rory mi przerwał. – Prezydent Pastrana chciał negocjować z FARC²⁰. No i oczywiście chciał też wyluskać trochę gotówki na reformy społeczne. A ty myślisz, że ktoś z Europy chciał dorzucić się do tego

„amerykańskiego” planu? Jak przyszło co do czego, tylko my wyłożyliśmy kasę. Taka jest prawda.

Spojrzałem na niego zaintrygowany. Przez jedną krótką chwilę mógłbym przysiąc, że poruszyło go to, co powiedział. Zupełnie jakby wierzył w to, co mówił. Wyglądało na to, że orientuje się w temacie. Przez myśl przeszło mi nawet, że być może naprawdę chciał, żebym napisał właśnie o tym.

– Po pierwsze – zacząłem. – Jak można oczekiwać od Europejczyków, że poprą pomoc wojskową dla kraju, którego armia i politycy mają powiązania z grupami paramilitarnymi, którego siły bezpieczeństwa ignorują morderstwa i samosądy, a generałowie wykorzystują oddziały paramilitarne do wykonywania brudnej roboty? Po drugie Amerykanie mieli plan napisany już w zeszłym roku, a Pastrana do tej pory nie przedstawił konkretnego planu reform. Po trzecie Plan Kolumbia jest amerykańskim sposobem na walkę z narkotykami na terenie obcego kraju bez konieczności angażowania w to własnego wojska. Nie musimy starać się o zgodę kongresu, nie musimy tłumaczyć się z liczby ciał w workach wracających do nas jak to było w czasie Wietnamu. Wystarczy, że przelejemy odpowiednią sumę i problem z głowy.

– Całe to gadanie o łamaniu praw człowieka – powiedział powoli Scott. – Wierzysz w to wszystko?

– A dlaczego miałbym nie wierzyć? W lutym tego roku w ONZ potwierdziła, że kolumbijskie siły bezpieczeństwa, które mają zostać wzmocnione przez środki z Planu Kolumbia, utrzymują bliskie kontakty ze szwadronami śmierci, organizują siły paramilitarne i ignorują, a czasami nawet uczestniczą w przeprowadzanych przez nie masakrach. Zresztą ONZ nie jest osamotnione w tej krytyce. Nawet Departament Stanu wydał w zeszłym roku raport dotyczący nierespektowania przez nich praw człowieka.

– I chciało ci się to wszystko czytać? – zapytał, znając doskonale odpowiedź.

– Nie muszę czytać całych dokumentów, wystarczy, że trafię na odpowiedni artykuł.

– Ale dla pewności przeczytałeś?

– Jasne. Według raportu kolumbijskie siły bezpieczeństwa aktywnie kolaborowały z członkami grup paramilitarnych, podczas gdy siły rządowe kontynuowały popełnianie licznych nadużyć włącznie z samozwańcymi morderstwami. Dodatkowo stwierdzono, że osiemdziesiąt procent wszystkich okrucieństw popełnionych zostało właśnie przez wojsko i grupy paramilitarne. Mało tego Kolumbijska Komisja Sędziów doniosła w zeszłym roku, że liczba zabitych wzrosła o dwadzieścia procent w stosunku do roku poprzedniego. Urząd Ochrony Praw Człowieka przy Rządzie Kolumbii odnotował sześćdziesięć ośmio procentowy wzrost liczby masakr w pierwszej połowie dziewięćdziesiątego dziewiątego roku w porównaniu z tym samym okresem rok wcześniej, co oznacza,

że w Kolumbii przynajmniej raz dziennie dochodzi do morderstwa. Przytłaczającą większość dokonują grupy paramilitarne⁸. Także jeśli pytasz, czy wierzę oficjalnym raportom...

– Dobrze, już dobrze, Jerry – przerwał. – Wierzę ci. Wierzę. Swoją drogą, jak na kogoś, kto tyle pije, masz niezłą głowę do liczb.

– Nie mam dobrej głowy do liczb. Po prostu niedawno czytałem na ten temat. Te raporty pojawiają się w każdym artykule. Nie sposób nie zapamiętać tych danych.

– Pozwól, że zapytam o coś innego – powiedział. – Jak myślisz, jakie są nasze szanse na wygraną w Wojnie z Narkotykami?

– Znasz doskonale odpowiedź – odparłem.

– Oczywiście, że znam. Ale zastanawia mnie twoja. Bo jeśli ja znam odpowiedź, ty ją znasz i oni ją znają, jeżeli wiedzą, że na dłuższą metę nie da się zdusić produkcji bez wyeliminowania popytu, to dlaczego wciąż upierają się przy Planie Kolumbia?

Spojrzałem na niego nieco zbity z tropu. Nie mógł przecież mówić serio. Z początku jego szczerzy ton prawie mnie zmylił, ale to pytanie było zbyt naiwne, żebym odpowiedział na nie bez wahania. Jeżeli chciał, żebym grał w jego grę, musiał się trochę bardziej postarać.

– Jeśli nie wiesz, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze – stwierdziłem.

– Dokładnie. Powiedz w takim razie, Jerry, czy wiesz, na co wydawane są te setki milionów dolarów?

– Na broń i szkolenia.

– To oczywiste. Ale na jaką broń dokładnie? Kto wygrywa przetargi Departamentu Obrony? Kto zarabia na tej wojnie?

– Szczerze mówiąc nie mam pojęcia – skłamałem. Wiedziałem, że muszę skłamać. Pozwolić obcemu człowiekowi dywagować na temat konfliktów zbrojnych to jedna rzecz, a utwierdzić go w przekonaniu, że badam wyborczych sponsorów Busha to zupełnie inna sprawa²¹.

– Nie masz pojęcia? – zapytał, przyglądając mi się podejrzliwie.

Patrzył tak przez chwilę, po czym pokręcił głową i skierował wzrok na drogę.

– Nigdy nie interesowały mnie takie szczegóły – powiedziałem.

– Ale o DynCorp chciałbyś wiedzieć, tak?

– Tak.

– Po co?

– Bo chcę pokazać ludziom, jak wydawane są ich pieniądze. W czasie wojny w Wietnamie byliśmy w stanie zmobilizować się i przemówić jednym głosem. Myślę, że teraz też możemy. Wierzę, że można wygrać z narkotykami, że można uzdrowić kraj, ale nie poprzez wojnę z narkotykami i nie w ramach pomocy

wojskowej. Dlatego chcę o tym napisać. Sam dobrze wiesz, co dzieje się tam na miejscu, wiesz też, kogo szkoli twoja firma. Nigdy w życiu nie zrobiłem nic naprawdę dobrego, naprawdę znaczącego. A to może być ku temu naprawdę dobra okazja.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział chłodnym głosem.

Rzeczywiście. Dojechaliśmy niemal do samego centrum. Spojrzałem przed siebie. Nad szczytami budynków rysowały się rozświetlone dwudziestopiętrowe biurowce północnej Filadelfii, a pośród nich dwie górujące wieże kompleksu Two Liberty Places.

W tej dzielnicy białych, sąsiadującej z biedą strefie biznesu, czterokołowy krążownik Rory'ego płynnie wtopił się w otoczenie, uzupełniając swoim profilem wężyk podobnych mu luksusowych pojazdów. Połysk lakieru nowych Rolls-royce'ów, bentleyów i maserati uzupełniały kształty najnowszych modeli audi i BMW. Jedyne pęknięta tylna szyba lexusa zdradzała, że Rory nie był jednym z nich, kolejnym szeregowcem korporacyjnych armii pnącym się dzielnie po szczeblach kariery. Zastanawiałem się, co może mieć do załatwienia w tej części miasta.

Przejechaliśmy kilkaset metrów, skręciliśmy w prawo w kierunku Two Liberty Places i minęliśmy je. Dwieście metrów dalej Rory zwolnił, rozejrzał się i zawrócił, wbijając się na przeciwny pas. Odpowiedział mu dźwięk klaksonów, urwany nagle, gdy zjechał na pobocze i zaparkował tuż przy wejściu do BNY Mellon Centre.

– Idziesz czy zostajesz? – zapytał, wyłączając silnik.

– Długo ci to zajmie?

– Maksymalnie pół godziny. Na dole jest bar, jeśli chcesz, możesz poczekać tam.

Surowy wzrok Rory'ego sugerował, że powinienem zostać. Tembr głosu mówił to samo. Jednak nie mogłem pozwolić sobie na uległość. Chciałem dowiedzieć się o nim więcej.

– Wolę iść z tobą – odparłem.

Rory prychnął i pochylił się w moją stronę i sięgnął do schowka.

– Zresztą jeśli nie chcesz, żebym szedł, to po co pytasz? – zapytałem.

– Z grzeczności – rzucił, wyjmując gazetę i wypchaną czymś grubą kopertę w rozmiarze A4.

– No, ale dobra – powiedział. – Niech ci będzie.

Gdy stanęliśmy na chodniku, zauważyłem, że z jakiegoś powodu nie wyjął koperty ze skrywającej ją złożonej gazety. Rozmiar i grubość pakunku nie mówiły mi niczego konkretnego. W środku mogły być pieniądze, zdjęcia lub kilkanaście stron dokumentów. Rory ruszył w kierunku budynku.

Przy wejściu nie przywitał nas ani portier ani attaché dyplomatyczny CIA,

ale gdy tylko przekroczyliśmy próg hotelu, zrozumiałem, że Scott, mimo wszystko kontaktuje się z ludźmi reprezentującymi kręgi władzy. Mogli to być senatorzy lub kongresmeni, biznesmeni lub nawet ktoś z agencji wywiadowczej. W zasadzie to był właśnie największy problem, jaki miałem ze Scottem: nie wiedziałem, czego mogę się po nim spodziewać.

BNY Mellon Centre był rzeczywiście gmachem elit. Tuż za progiem rozpościerał się widok na zatopioną w karmelowym marmurze przestrzeń. Na całej długości posadzki pod stopami wiły się ciemne smugi kamiennych żył. Na obu ścianach długiego, przedzielonego greckimi kolumnami holu rozwieszono bajecznie kolorowe akwarele. Niepokojące, sugestywne pejzaże między złotymi ramami przywodziły mi na myśl wizje zatopione w oparach alkoholu i narkotyków. Pod każdym z obrazów ustawiono czarną, marmurową ławę o miękkim obiciu ze skóry koloru kości słoniowej – kolejne eksponaty jedynie do podziwiania.

Na wprost korytarza tkwiła masywna bryła ciemnobrązowego marmuru wkomponowana między dwie wyrastające ze ściany kolumny tego samego koloru. Była to fasada biurka recepcji, z białymi żyłami przypominającymi błyskawice, lub pęknięcia uwalniające ukryte wewnątrz światło. Drobną postać recepcjonistki po drugiej stronie podniosła wzrok znad ukrytego monitora. Weszliśmy do lobby, Rory skinął, witając się z kobietą za biurkiem, minęliśmy recepcję i przeszliśmy w stronę wind po lewej.

Idąc za Rorym zauważyłem kątem oka ochroniarza skrywającego się za jedną z kolumn. Czarny garnitur i dyskretna słuchawka również dowodziły, że nie ochrania tu byle kogo. Przyglądał się nam przez krótką chwilę, gdy czekaliśmy na sunącą w dół windę, po czym odwrócił wzrok, dał znak recepcjonistce, która odwzajemniła gest i wróciła do zajęć. Nie wiedziałem, co oznaczał ten sygnał, ale uznałem, że najwidoczniej znali Rory'ego. Wątpiłem, by ktokolwiek przypadkowy mógł wsiąść do tej windy i wjechać na którekolwiek piętro.

Gdy metalowe drzwi rozsunęły się, weszliśmy do środka. Rory nacisnął szklany przycisk i popłynęliśmy w górę. Po wejściu do lobby na pięćdziesiątym drugim piętrze, sekretarka siedząca za wysokim drewnianym biurkiem, poinformowała nas, iż oto znaleźliśmy się na piętrze prywatnego klubu. Nie rozpoznając w nas stałych bywalców bez zastanowienia poinformowała o konieczności członkostwa. Rory zignorował ją, minął mnie i ruszył w głąb korytarza po prawej. Sekretarka spojrzała z wyrzutem, po czym podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Rory zniknął za zakrętem. Ruszyłem za nim.

Korytarz odbijał w prawo i prowadził przez chwilę wzdłuż oszklonej ściany budynku. Za szybą, oprócz spektakularnej panoramy Filadelfii nocą, dostrzegłem dość dobrze oświetlony Most Franklina i kilka budynków po drugiej stronie rzeki. Przystanąłem na moment przy szklanej ścianie, pozwalając sobie na odrobinę luksusu. Nie był to mój luksus, ale cudzy, pożyczony na tych kilka sekund

z otwartą przestrzenią nocnego nieba na zewnątrz. Na tak ekscytujący widok mogli pozwolić sobie jedynie najbogatsi. Zastanawiałem się, dlaczego upatryli sobie akurat te wnętrza. Fatalnie dobrane meble i dekoracje nie zachwyciły klasą. W porównaniu z lobby na parterze sprawiały wrażenie żenującej imitacji wykonanej przez architekta wnętrz o wyjątkowo kiepskim guście. Wzdłuż korytarza umieszczono rustykalne meble, a na ścianach kiczowate pejzaże. Całe piętro przypominało nieco dom publiczny z czasów wojny secesyjnej. Brakowało jedynie wybiegających zewsząd kobiet w bieliźnie, uciekających przed goniącymi je dumnymi konfederatami przyodzianymi w kalesony i szare kapelusze.

Błękitny, wzorzysty dywan pod nogami prowadził nas kilkanaście metrów wzdłuż korytarza, który na końcu odbił w prawo, kończąc się wielką szklaną ścianą z widokiem na Hudson. Idąc powoli przez ten dziewiętnastowieczny burdel mijalem dziesiątki drzwi z prawej i lewej. Niektóre wykonano z litej dębiny, inne przeszklono kolorowymi witrażami. Te, które były otwarte, odkrywały ukryte za nimi niewielkie biura, pokoje spotkań i większe sale konferencyjne, jakby wyrwane z filmów o Rockefellerze. Gdy dotarłem do Rory'ego, stał przed jednymi z tych filmowych drzwi. Spojrzał na mnie i zapukał. Przyglądał się mi przez kilka sekund nieobecny wzrokiem, a potem nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Wewnątrz, oprócz wyłożonych wiśniowym drewnem ścian i mebli, dominował długi bordowy stół konferencyjny i dwa rzędy grafitowych, skórzanych foteli. Przy stole siedziało pięciu mężczyzn. Mieli przed sobą szklanki, kilka rozdanych kart i żetony. Tylko dwóch paliło cygara, ale pokój był spowity gęstym dymem.

– Można? – zapytał Scott.

Jeden z mężczyzn, około pięćdziesięcioletni, wąsaty brunet w przyciemnianych okularach odwrócił się i odezwał z wyraźnie wschodnim akcentem:

– O, jesteś – powiedział. – I jak tam? Wszystko w porządku? Miałeś być godzinę temu? Czy coś się stało?

– Nic takiego – odparł Scott. – Musiałem zrobić jeszcze jedną rzecz dla pewności.

Podszedł do stolika, pochylił się nad mężczyzną siedzącym obok, szepnął mu coś do ucha.

– Może dołączycie? – zapytał inny, nieco starszy, łysy gracz po lewej.

– Przykro mi, ale nie mogę – odparł, położył gazetę przy drinku mężczyzny, do którego szeptał i uścisnął mu dłoń. Wąsaty obrócił się nieco, kładąc łokieć na oparcie fotela.

– To on? – zapytał, odsłaniając pół twarzy. Miał wielki, niemal bulwiasty nos, krzaczaste brwi i zaczesane na lewo gęste proste włosy.

Rory wzruszył ramionami, zastanawiając się, co powiedzieć. Mężczyzna

zmrzął oko, jakby próbował wyostrzyć obraz, po czym przejechał dłonią po nieogolonej twarzy.

– Nie – odparł Rory. – To nie on.

– Ach, tak... – Wąsaty zamyślił się. – Rozumiem. W takim razie do następnego razu, przyjacielu.

Rory wyciągnął dłoń na pożegnanie, a szef ją uściśnął. Potem Scott odwrócił się, minął mnie i skierował się do drzwi. Brunet przyglądał się mi jeszcze przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy zamierzam się odezwać. Potem odwrócił się i pociągnął długi łyk z wypełnionej przezroczystym płynem szklanki. Podniósł karty, sprawdzając ostatnie rozdane. Pozostali również milczeli. Przez moment poczułem się jak ktoś niewidzialny, ktoś, kogo każdy unika wzrokiem, choć jest centrum uwagi, a potem namierza wzrokiem, jakby zdecydowany na atak. Byłem w pokoju pełnym ludzi, którzy woleliby, żeby mnie tam nie było. Starłem się zarejestrować ich twarze. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przynajmniej jednego gdzieś już kiedyś widziałem.

Głos Rory'ego wyrwał mnie z zawieszenia.

– Idziesz? – rzucił poirytowany.

– Idę, idę. Po co te nerwy? – odparłem. Skinąłem na siedzących przy owalnym stole. Nie odwzajemnili gestu. Kilku podniosło karty, by sprawdzić swoje szanse, ale i tak ich wzrok oderwał się ode mnie tylko na chwilę. Poczułem się jak zwierzę stojące przed stadem wilków. Nie poruszali się, nie odzywali, ale wiedziałem, że nie mają dobrych zamiarów.

– Późno już – powiedział, gdy wyszedłem z sali.

– O co tam chodziło? – Wskazałem pokój oddalający się za plecami.

– Nie wiesz, że nie powinno się wścibiać nosa w nie swoje sprawy? – odparł, gdy minęliśmy czwarte z kolei drzwi.

– Z tego, co widziałem, twój szef był przekonany, że to również moja sprawa.

– Dobrze zauważyłeś. Był przekonany. Co oznacza, że to jednak nie twoja sprawa.

Weszliśmy do windy i zjechali na parter. Scott wydawał się być dziwnie spięty. Był to nienaturalny widok. Przez ostatnie kilka dni zdążyłem przyzwycząić się do jego opanowanej twarzy.

– Powiesz mi, o co chodziło? – zapytałem, gdy wsiedliśmy do samochodu.

– Nie, nie powiem – odparł.

Było to ostatnie słowo, jakie padło z jego ust przez następne pół godziny. Odpalił silnik i ruszyliśmy w kierunku domu. Przez całą drogę wpatrywałem się w ulice za oknem, nie wiedząc, czy drążyć temat DynCorp, czy może odpuścić. Z tego, co do tej pory ustaliłem, Rory był wmieszany w coś poważnego i niekoniecznie związanego z Planem Kolumbia. Pyramid Club nie był zwykłym

klubem pokerowym. Wychodząc zabrałem ze sobą jedną z broszur stojących na biurku recepcjonistki. Przeglądając ją, zrozumiałem, dlaczego wezwała ochronę. Miesięczna opłata za członkostwo w klubie wynosiła więcej niż mój półroczny budżet na rozrywki i to w czasach świetności. Nawet jako pilot DynCorp Rory musiałby być szaleńcem, żeby płacić takie składki. Według broszury ten usytuowany na wysokości ponad pięćset stóp klub oferował spektakularne widoki, marmur i złoto, a także – choć trudno w to uwierzyć – dyskrecję. Z tego, co zauważyłem, był to typowy Country Club dla grubych ryb, chcących poczuć się swojsko bez towarzystwa osób postronnych. Wśród złotych ornamentów, obrazów i kamienia unosił się zapach pieniędzy i atmosfera władzy.

Rory odezwał się dopiero, gdy dojeżdżaliśmy do garażu.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedział powoli.

– Zamieniam się w słuch.

– To, co mówiłeś o Kolumbii i naszych planach tam...

– Tak? Słucham. O co chodzi? – zapytałem.

– To wszystko lipa. Wiesz o tym, prawda?

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Co masz na myśli?

– Boże, Dawson, przecież wiesz. – Obrzucił mnie zniecierpliwionym spojrzeniem.

– Co wiem? – odparłem.

– Na litość boską. – Westchnął. – Przecież nie jestem twoją niańką.

– Niańką? – warknąłem.

– Chyba nie myślisz, że będę cię prowadził za nos? – Jęknął zrezygnowany.

Zwolnił i zatrzymał samochód przed bramą do garażu. Unosiła się powoli, uwalniając falę światła na ulicę.

– Dzięki za przejazdzkę. Było uroczo. – Wysiadłem, odrobinę za mocno trzaskając drzwiami.

Obszedłem samochód od tyłu i ruszyłem w kierunku naszego budynku, wściekły na siebie za nieudaną próbę przebicia się przez stalowy chłód Rory'ego.

– Czekaaj, Jerry! – krzyknął, zanim oddaliłem się zbyt daleko. – Nie musisz tak dramatyzować! – dodał.

Odwróciłem się. Rory odczekał chwilę, upewniając się, że słucham i powiedział:

– Halliburton i Carlyle Group. Sprawdź ich, a dalej będziesz już wiedział, czego szukać.

Stałem przez moment, nie odwracając się w jego kierunku. Czuję się tak, jakby rzucił w moim kierunku garścią monet, których nie mogłem podnieść.

Odwróciłem się, zastanawiając się, co się właściwie stało. Rory uśmiechnął się, skinął głową na pożegnanie, wrzucił bieg i wtoczył czarną bestię powoli w wąską przestrzeń garażu.

Stałem tam jeszcze kilka sekund, zanim wyrwałem się z odrętwienia. Tembr jego głosu podpowiadał, że miał szczerze zamiary. Po raz pierwszy od początku wieczoru jego twarz przybrała ludzki wyraz. Zastanawiałem się, co nim kierowało i skąd wzięła się ta nagła życzliwość. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że miało to jakiś związek z wizytą w Pyramid Club.

Uśmiechnąłem się sam do siebie i ruszyłem w kierunku mieszkania. Miałem dość Rory'ego, jego zagadek i gry, której zasad nie znałem, a jednocześnie wypełniło mnie jakieś dziwne poczucie ekscytacji. Choć nie wiedziałem tego jeszcze, to podświadomie, na głębszym poziomie byłem zadowolony z rezultatu tego spotkania. Rory zasiał we mnie ziarno ciekawości, które zaczęło kiełkować. Gdy szedłem do domu, wciąż z szumiącą głową, wyklarowała się we mnie potrzeba włączenia komputera i sprawdzenia tego, co powiedział. Nazwy firm, które podał, mogły być kolejnym tropem, a kto wie może nawet kluczem do rozwiązania zagadki Rorego i Kolumbii.

Nie zastanawiałem się nawet, czy chcę rozwijać kolejny wątek książki. Dla mnie Halliburton już w tej książce była. Związana nierozłącznie z nazwiskiem Cheney, który był jednym z prezesów. Fakt, że nazwa „Carlyle Group” nie mówiła mi zupełnie nic, jeszcze bardziej pobudzał moją ciekawość. Jeżeli rozwiązanie było rzeczywiście w zasięgu ręki, jak sugerował Scott, jeśli Plan Kolumbia i cała wojna z narkotykami leżały w interesie dwóch wystarczająco wpływowych spółek, to musiałem to sprawdzić.

Zapowiadał się zatem kolejny tydzień żmudnej pracy. Skrupulatnie zbadanie obu tych firm i powiązań każdej z nich mogło oznaczać poszerzenie tekstu o kolejnych kilkanaście stron, kolejny wątek i kolejną serię oskarżeń, a co za tym idzie niebezpieczne zmniejszenie prawdopodobieństwa zamknięcia tekstu przed wyborami w listopadzie.

XIII. Głupiec

Wszedłem do salonu, rzuciłem kurtkę na tapczan i podszedłem do kalendarza wiszącego przy oknie. Czarne liczby na białym tle rozmywały się przy każdym ruchu głowy. Byłem zmęczony jazdą i alkoholem, a lekki ból głowy w okolicach skroni zapowiadał zbliżającego się kaca. Mimo wszystko chciałem zabrać się za sprawdzanie wskazówek Scotta. Musiałem jedynie ustalić, ile dni mogę na to poświęcić. Do wyborów pozostało niewiele czasu, a każdy dzień zwłoki mógł przesądzić o tym, czy uda się ukończyć książkę przed czasem.

Spojrzałem na nazwę bieżącego miesiąca i przetarłem oczy z niedowierzania. Zdjąłem ze ściany kalendarz, zajrzałem na rewers i przyjrzałem się dokładnie poprzednim stronom. To nie było *déjà vu*. To było coś o wiele gorszego.

Mój umysł wysyłał dwa sprzeczne sygnały. Jeden mówił, że wciąż jest wrzesień, drugi upierał się że to już połowa października. Zastanawiałem się, jak mogłem do tego dopuścić. Jak mogłem doprowadzić się do tego stanu?

Gdy kilka minut wcześniej kroczyłem powoli z garażu Scotta, wspinałem się po schodach na górę i przekręcałem klucz w drzwiach, wciąż wmawiałem sobie, że miałem jeszcze wystarczająco dużo czasu, że zdążę przed wyborami, że w najgorszym wypadku opublikuję książkę zaraz po wyborach.

Spojrzałem jeszcze raz na kalendarz, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Gdzieś po drodze między polowaniem na Marsiano, a zamknięciem pierwszej wersji tekstu, pogubiłem się w czasie, wypierając ze świadomości przeszło trzydzieści dni z historii mojego życia. Ulotniły się z pamięci w oparach alkoholu, w codziennej rutynie i chłopięcej ekscytacji nad śledztwem, które stopniowo nabierało tempa. Z cyfr na kalendarzu wywnioskowałem, że już na początku września przestałem odliczać czas do wyborów. Czas stał się płynny i jednostajny, pozbawiony jednostek, z jednym tylko punktem na horyzoncie, z datą wyborów. Potem, również sam punkt umknął mi z pola widzenia. Być może to przez Marsiano, być może przez zbyt sumiennie odgrywaną rolę, być może przez to, że nie pracowałem, a moje dni i noce rozmyły się, czyniąc ze mnie stworzenie światła i mroku. Tak czy inaczej nie liczyłem się z czasem i czas przestał liczyć się ze mną. Porzucił mnie, a ja żyłem poza nim jak bezdomny terażniejszości. Przed oczami miałem tylko jeden cel, który stał się obsesją.

Do tej pory spoglądając na kalendarz widziałem jedynie to, co chciałem widzieć. Rząd przekreślonych na nim dat kończył się wraz z dziesiątym września. Potem ciągnęła się długa przerwa i dopiero dwudziestego cyfry znów zmieniały kształt wraz z pociągnięciami flamastra. Dziesiąty września był dniem, w którym miało miejsce włamanie. Był dniem, w którym Scott ściągnął mnie z korytarza i ukrył u siebie, prawdopodobnie ratując życie. Był to również czas, gdy piłem

nico więcej niż zwykle. Był efemerycznym okresem fikcyjnego ciągu alkoholowego, który nie zawsze był fikcyjny. Był czasem pustych butelek, które zdarzały się pełne. Był czasem pijackiego kamuflażu i scen balkonowych, tych zaplanowanych i tych przypadkowych. Był to czas, który kosztował mnie wiele i który przypłaciłem niemal miesięcznym zaćmieniem.

Usiadłem na kanapie z kalendarzem w dłoniach. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że przepuściłem między palcami świadomości trzy tygodnie życia. Pamiętałem, że zacząłem zakreślać daty na nowo dopiero kilka dni wcześniej po rozesłaniu do gazet fotografii z Marsiano. Problem w tym, że siedząc na kanapie z kalendarzem przed oczami, wydawało mi się, że jest dwudziesty drugi września, a w rzeczywistości był dwudziesty październik.

Zawiesiłem kalendarz i spojrzałem w przygnębieniu na zagubiony w pamięci wrzesień. Sięgnąłem trzęsącą się dłonią po leżący w szufladzie marker i zaznaczyłem aktualną datę, dwudziesty czwarty październik.

Do siódmego listopada, dnia wyborów prezydenckich, zostały dokładnie dwa tygodnie. Dopiero teraz mogłem stwierdzić z całą pewnością, że poniosłem klęskę. Wiedziałem, że nie zdążę na czas. Nie było takiej możliwości.

Przeszedłem do kuchni, wyciągnąłem z lodówki butelkę i odkręciłem. Kac zbliżał się coraz szybciej. Pełził do głowy przez uszy wraz z dźwiękami płynącymi zza okna, wdzierał się do środka przez źrenice wraz z migoczącym światłem przejeżdżających ulicą samochodów, przedzierał się leniwie między myślami poprzez zmęczone, otępiałe sumienie. Nagle w kuchni zrobiło się potwornie duszno. Poczulem odór własnego ciała i zapach niewyniesionych od tygodnia śmieci. Zrobiłem krok w tył i oparłem się plecami o ścianę. Opadłem powoli na podłogę, przesuwając plecami po kaflach. Usiadłem i zatopiłem skroń między kolanami. Byłem skonany, nie miałem nawet siły przechylić butelki trzymanej w dłoni.

To była druzgocząca porażka. Wtedy nie myślałem o tym w tych kategoriach, ale teraz już wiem – poniosłem ją przede wszystkim w walce z samym sobą. Okazałem się słabym, chaotycznym duchem, którego ślepy pęd do celu nie stanowił żadnej wartości.

Zrozumiałem za to coś innego: niezaprzeczalny stan uzależnienia. Miałem problem z alkoholem.

Niestety sama świadomość tego niewiele dała. Musiałem założyć, że nie napiszę książki, dopóki nie opanuję nałogu choćby częściowo. Odstawienie whisky wydawało się niezbędnym minimum. Tak przynajmniej podpowiadała moja racjonalna połowa. Tymczasem druga, ta bardziej arogancka, mówiła, że bez paliwa daleko nie zajdę, że tak naprawdę nie mogę pozbyć się whisky, że tylko ona daje mi ukojenie, że tylko ona jest ze mną od samego początku i zna moje najmroczniejsze tajemnice. Pozbycie się jej byłoby jak pozbycie się

najwierniejszego przyjaciela, jak rozstanie z kochanką, jak opuszczenie rodzinnego domu. Czuję to całym sobą, pomimo że rozsądek podpowiadał co innego.

Ostatecznie będąc pod jej urokiem, uwierzyłem, że mimo wszystko jest mi potrzebna i świadomość tego mnie przybiła.

Jakby tego było mało oprócz przyznania się do własnego nałogu, musiałem uznać również porażkę w starciu z Rorym. Nie dość, że nie wydobyłem od niego żadnych informacji, to jeszcze wmanewrował mnie w ten dziwny test polowy z udziałem młodocianych przestępców, handlarzy narkotyków i bossów narkotykowych rozpościerających swój wzrok nad całym miastem. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła się moja sympatia do tego surowego i wyrachowanego faceta. Jaki wspólny mianownik kazał mi zapukać do jego drzwi, odrywając mnie od właściwej pracy?

Rozejrzałem się. Była prawie północ i kuchnię spowijały cisza i mrok. Butelka była lżejsza i ból głowy minął. Przez ścianę dochodziły tłumione meblami jęki sąsiadów. Na ulicy ktoś wracał z baru krzycząc lub śpiewając. Nagle poczułem się potwornie samotny. Jakby izolacja, którą sobie narzuciłem, rozpuściła się w ciszy, zalewając pokój kłębiącym się we mnie żalem. I wtedy właśnie dotarło do mnie: nie byłem po prostu samotny, byłem samotny i słaby. Od ponad miesiąca nie licząc rodzinnego barbecue, Scott był jedyną osobą, z którą utrzymywałem jakikolwiek kontakt. Obsesja na punkcie książki, godziny wytężonej pracy i całkowita społeczna alienacja sprawiły, że stałem się nie tylko złakniony kontaktu, ale i podatny na manipulacje.

Myśl ta przygnębiła mnie jeszcze bardziej. Oznaczało to bowiem, że nie można poświęcić się bezgranicznie jednej rzeczy, unikając wiążących się z tym konsekwencji. Natura ludzka prędzej czy później uruchomia w człowieku najprymitywniejsze instynkty i zmusza do poszukiwania lub stworzenia choćby imitacji stada.

Przechyliłem butelkę i wypilem kilka łyków wody mineralnej. Nie miałem siły zastanawiać się nad tym wszystkim dłużej. Byłem potwornie zmęczony. W innych okolicznościach siedziałbym przed monitorem, badając ślady Carlyle Group i kontrakty Halliburton i Cheney'a. Wertowałbym zdjęcia prezesów firm i szefów resortów w poszukiwaniu twarzy z Pyramid Club, ale tamtego wieczoru... Tamtego wieczoru nie. Tamtego wieczoru byłem pewien, że wystarczy tylko jeden artykuł na temat Busha, Cheney'a lub któregoś z pionierów, abym chwycił klawiaturę i w furii roztrzaskał nią wszystko wokół. Miałem dość. Zmęczenie materiału doszło do punktu krytycznego. Potrzebowałem przerwy, potrzebowałem zająć umysł czymś innym.

Podniosłem się z trudem, przeszedłem do salonu i usiadłem w fotelu naprzeciw okna. Nieco bardziej na lewo, na biurku przy drzwiach balkonowych stała prawie pusta butelka burbona. Nawet nie próbowałem poderwać się w jej

kierunku. Mój mózg nie pozwoliłby na tak skomplikowaną sekwencję ruchów. Pracował teraz w zupełnie innym trybie, na biegu uszkodzonym, pełnym zardzewiałych trybów i sprężyn. Zrozumiałem, że nie mogę już nigdy pozwolić, by paliwo stojące na blacie napędzało tę maszynę złudzeń. Nie potrzebowałem jej. Potrzebowałem za to antidotum. Potrzebowałem lekarstwa, spokoju i ukojenia.

W pierwszym momencie pomyślałem o rodzinie. Nie mogłem jednak liczyć ani na Pat ani na Liz. Gdybym teraz zwrócił się do nich, już nigdy nie spojrzałyby na mnie z szacunkiem. Pozostałbym facetem, który bez końca oscyluje między dnem, a przeciętnością, a przecież nie taki obraz siebie chciałem pozostawić po sobie, nie o to chodzi w życiu, by obciążać ludzi wokół jedynie przykrymi wspomnieniami i żenującym obrazem nieudolności.

Pomyślałem też o czymś prostszym, o znalezieniu ukojenia w ramionach którejkolwiek z kobiet, najlepiej którejś z tych ostatnio poznanych. Przesunąłem w pamięci taśmę z fotografiami, wyszukując choć jedną odpowiednią twarz. Meg wydawała się być idealna, ale nie miałem sumienia dzwonić do niej, znów ją wykorzystywać i narażać na depresję. Laurie nie wchodziła w grę. Od incydentu z komputerem nie odzywała się, a ja wolałem nie otwierać tej puszkii Pandory. Przewinąłem kadr filmu nieco dalej wstecz, do momentu w którym pojawiła się Maria, brązowooka meksykanka, którą poznałem kilka miesięcy wcześniej. Była namiętna i władcza, ale nie interesowały ją moje problemy, dokładnie tak jak w łóżku, gdy brała to, co chciała, a potem znikwała bez śladu.

Uświadomiłem sobie, że w zasadzie żadna z kobiet, z którymi miałem do czynienia, nie interesowała się mną w równym stopniu co ja nimi. Być może w tym właśnie tkwił problem, byłem zbyt chętny, zbyt wytrwały i zbyt ofiarny, by musiały odwzajemniać mój zapal i odwdzięczać się czymś więcej niż ciałem. Choćbym nie wiem jak daleko sięgał pamięcią, nie mogłem znaleźć żadnej kobiety, która mieszkałaby w pobliżu, żadnej, na której mógłbym skupić się choć chwilę, nie porzucając całkowicie pracy, która mnie definiowała.

Zabawne, że jedyna osoba, która przejawiała zainteresowanie mną takim, jakim byłem, jedyna, która okazała troskę o mnie, a nie o własne potrzeby, była zapewne daleko stąd. Poruszała gdzieś inne męskie serca, używając ich jako narzędzia do rozkruszania sumienia.

Sięgnąłem po telefon, spojrzałem na godzinę, przetarłem oczy i wykręciłem numer Jasmine. Było już po północy, czyli dość wcześnie jak na jej aktywny tryb życia. Miałem nadzieję, że odbierze. Naprawdę tego chciałem.

- Cześć, Jerry! – Usłyszałem krzyk i muzykę z drugiej strony.
- Cześć, Jass, możesz rozmawiać?
- Tak, mogę, ale strasznie tu głośno – krzyknęła. – Skąd wiedziałeś, że jestem w mieście?
- Nie wiedziałem – odparłem. – W którym mieście?

– Jestem w Filly. Strasznie słabo cię słyszę.
– Ja ciebie też – odparłem.
– Jeśli chcesz złożyć mi życzenia to trochę się spóźniłeś, dokładnie sześć minut.

– No tak – odparłem próbując ogarnąć myśli – Tak czy inaczej wszystkiego najlepszego.

– Dzięki, Jerry. To miło, że dzwonisz.

– Gdzie jesteś?

– A co, chcesz dołączyć?

Spojrzałem na butelkę na stole, przetarłem dłonią zmęczone oczy i powiedziałem:

– Może innym razem, Jass. Ale muszę z tobą porozmawiać. Jak długo będziesz w mieście?

– Niecały tydzień. Potem lecę do rodziców na kilka dni.

Odchyliłem głowę do tyłu i wyciągnąłem nogi na ławę. Nie było takiej siły, która ruszyłaby mnie z fotela. Potrzebowałem Jasmine, ale w tamtej chwili bardziej potrzebowałem snu, najlepiej poprzedzonego końską dawką witamin i masażem.

– Jestem w Brasil's – dodała po chwili ciszy. – Wpadnij, jeśli chcesz pogadać.

Brasil's było niecałe dziesięć minut drogi ode mnie. Przejeżdżałem tamtędy kilka godzin wcześniej pędząc wzdłuż Delaware na spotkanie kokainowych gangsterów. Ale nie to było najważniejsze. W jej głosie dosłyszałem pewną miękkość, dźwięk, który obiecywał coś więcej niż rozmowę. Była odrobinę wstawiona i mówiła tym samym ciepłym, tonem, którym raczyła mnie podczas ostatniego spotkania. Przez krótki moment byłem gotów wstać i choćby piechotą pójść po nią, wejść do klubu, wziąć w ramiona i zatopić się w jej cudownych ustach. Myśl ta przemknęła szybko i zniknęła zasłonięta barykadami rozumu. Gdybym wyszedł, miałbym szansę na jeden z dwóch scenariuszy: pierwszy, ten, w którym Jass jest rzeczywiście pijana, a ja wykorzystuję ją i zaciągam do siebie, po czym rano oboje żegnamy się bez słowa źli na siebie samych lub drugi, w którym moja porażka napędzana jest tym samym mechanizmem, który pograżył mnie w rozgrywce z Rorym.

– Mam jeszcze trochę pracy – powiedziałem. – Ale baw się dobrze. Tak czy inaczej jutro zadzwonię – dodałem.

– Jak chcesz, Jerry. Miło było cię znów usłyszeć – odparła i odłożyła słuchawkę.

– To była dobra decyzja. – Powtarzałem sobie. – Cierpliwość popłaca. – Pocieszałem się.

Wziąłem gorący prysznic, kilka tabletek na awitaminozę, ogarnąłem się i wyszedłem na balkon. Musiałem odetchnąć i poukładać myśli. Zbyt wiele kłębiło

się w labiryncie zdarzeń. Postacie, nazwy i miejsca gryzły się ze sobą, walcząc o uwagę. Wszystkie rozmyte, nieistotne i najważniejsze zarazem. Nie wiedziałem już kto i co jest moim wymysłem, a co prawdą. Byłem na najlepszej drodze do szaleństwa. Musiałem zmienić coś, dopóki jeszcze był na to czas.

Spojrzałem przed siebie. Noc była cicha i wyjątkowo spokojna. Niebo, choć nie tak piękne i gwiazdzone jak z dala od miasta, i tak zachwycało milczącą przestrzenią. Nawet światła nad Hudson na drugim brzegu rzeki zdawały się mieć swój urok. Ulice powoli pustoszały. Ludzie wracający z klubów rodzaju Brasil's przemykali zmęczonym krokiem po obu stronach jezdni, pojawiali się między budynkami, by po chwili zniknąć pod osłoną drzew. Co kilka sekund w jedną lub drugą stronę mknął samotny, pędzący gdzieś samochód, autobus lub taksówka. Wszyscy ci ludzie podążali gdzieś, wolni od wielkich dylematów, nikczemnych spisków i demaskujących misji. Dlaczego grzązłem w tym bagnie? Jak to się stało, że sam od środka wznoszę ściany własnej celi? Nagle ogarnęło mnie zaskakujące uczucie. Przyszło tak niespodziewanie, że nie byłem w stanie stwierdzić, czy przybyło z wiatrem, czy z czyjąś myślą przechwyconą w locie przez moją spragnioną uwagi świadomość. Poczulem niewyobrażalną ulgę, poczułem, jak ogromny ciężar odrywa się od duszy i opada w dół niczym skorupa zniewolenia. Patrzyłem w dół, obserwując, jak opada, jak znika w odmęcie spraw poniżej, pozostawiając po sobie uczucie ukojenia i spokój. I wtedy w końcu dotarło do mnie, że tak naprawdę nie muszę nic, że mogę wiele, a jednocześnie nie muszę się zmuszać już do niczego więcej. Bo przecież najważniejsze dla nas, istot rozumnych, uwięzionych w labiryncie myśli i uczuć jest to, co chroni nas od szaleństwa, co pozwala nam budzić się co dnia i nie rzucać z balkonu pod koła irracjonalnego świata, to ta jedna prosta potrzeba, którą należy spełnić w naszym krótkim, egoistycznym życiu – czuć się szczęśliwym. I tak oto nagle zaczęło liczyć się dla mnie tylko to, by znów doznać szczęścia, by na nowo, choćby na chwilę, stać się jednym z milionów głupców nieświadomych niczego, nieprzejmujących się niczym, by założyć maskę ignorancji i udawać, że wszystko jest tak, jak powinno być.

Położyłem się na łóżku ze świadomością, że nazajutrz zadzwonię do Jass i spotkam się z nią, dając sobie szansę na odrobinę szczęścia. Zanim zasnąłem nawet ból głowy wydawał się mniej dokuczliwy niż kilka minut wcześniej, a twarze wszystkich, których spotkałem przez ostatnich kilka tygodni ulotniły się pod naporem obrazu twarzy Jasmine. Było to najlepsze z możliwych zakończeń tego fatalnego wieczoru. A przynajmniej tak mi się wydawało. Bo noc okazała się być wciąż młoda.

Niespełna dwie godziny później ze snu wyrwał mnie telefon. Podniosłem się na wpół żywy, rozglądając się za brzęczącą komórką. Sięgnąłem po nią i spojrzałem na godzinę. Była druga w nocy.

– Słucham – powiedziałem zaspanym, ochrypłym głosem.
– Cześć, słuchaj, wiem, że jest późno, ale mam problem, a nie znam nikogo, kto mógłby mi pomóc o tej porze.
– Co się stało? – zapytałem, próbując rozpoznać głos po drugiej stronie.
– Sama nie wiem – powiedziała. – To jakiś pech. Ktoś obrobił mi torebkę i kurtkę. Nie mam dokumentów ani kluczy.

Dopiero teraz dotarło do mnie. To była Jass.

– Myślałem że zatrzymałaś się w hotelu? – odparłem wciąż półprzytomny.
– Jerry, czy to ważne?
– No dobra, wyjadę po ciebie – powiedziałem. – Gdzie jesteś?
– Dzięki. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś u siebie? – zapytała.
– A gdzie miałbym być? – odparłem, starając się dobudzić.
– Jestem pod twoją klatką. Otworzysz?
– Otworzysz? – Rozbrzmiało w mojej głowie. Otworzyłem szeroko oczy. Poczułem, jak moja krew przyspiesza. Mój otępiony umysł ożył nagle pod wpływem adrenaliny. Moje ciało wciąż się broniło, ale mózg rozpoczął mobilizację.

Jaka była szansa na tego rodzaju spotkanie? Dlaczego Jasmine miałyby kłamać?

– Jasne, już otwieram – odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Poderwałem się z łóżka, założyłem jeansy i chwyciłem wiszącą na fotelu bluzę. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Zgarnąłem z szafki klucze i boso wybiegłem na korytarz. Było mi wszystko jedno, musiałem dostać się na dół, zanim ktoś porwie ją sprzed drzwi. Zbiegłem po schodach, pokonałem korytarz i wyhamowałem na ostatnim metrze przed drzwiami.

Jass stała na chodniku, rozmawiając z kimś w żółtej taksówce. Nachyliła się do otwartego okna kierowcy, odsłaniając idealną linię pleców, bioder i ud. Długie, blond włosy opadały delikatnie na nagie ramiona, których matowa, opalona skóra sugerowała kilkudniowy pobyt na południu. Miała na sobie czarne szpilki i dopasowaną, błękitną sukienkę kończącą się tuż za linią bioder. Nagie ramiona lśniły drobinkami brokatu, podobnie jak czarne cekiny zdobiące profil piersi. Nie mogłem oderwać wzroku. Była o wiele piękniejsza od Jasmin, którą poznałem.

– Szkoda, że odłożyłeś telefon – powiedziała. – Chciałam cię jeszcze prosić o drobne na taksówkę.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni, licząc na gotówkę. Odetchnąłem z ulgą. Portfel był na miejscu. Wyjąłem dwudziestodolarowy banknot i podałem go kierowcy. Mężczyzna spojrzął, wrzucił do kasetki i odjechał.

Jass spojrzała na moje gołe stopy i uśmiechnęła się. Pokiwała głową rozbawiona, po czym podeszła, położyła dłoń na mojej piersi, a drugą dotknęła twarzy i pocałowała w policzek.

– Dziękuję, Jerry. – Uśmiechnęła się lekko. – Wiedziałam, że jesteś przyzwoitym facetem.

– Przyzwoitym facetem?

– A nie jesteś? – odparła, udając zdziwienie.

Podszedłem bliżej, na odległość oddechu, objąłem ją w talii, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem tak namiętnie, jak tylko można. Poczułem, jak drży i odwzajemnia pocałunek. To było dobre uczucie. Uczucie, którego mi brakowało.

Nazajutrz zbudziłem się dopiero koło jedenastej. Był pochmurny deszczowy dzień i wyglądało na to, że jesień na dobre zagościła w Filadelfii. Przebiegłem wzrokiem po mieszkaniu. Wyglądało, jakby przeszło po nim tornado. Jeszcze nigdy nie kochałem się w tylu miejscach naraz. Byłem obolały i zmęczony, ale szczęśliwy. Jass leżała zakopana w pościeli. Lśniące blond włosy rozlewały się złotem we wszystkich kierunkach, jak źródło bijące z pofałdowanej skały. Miałem ochotę pochłonąć ją i zamknąć w sobie na zawsze.

– Koszmarnie wyglądasz – powiedziała, przewracając się na bok.

– Wczoraj ci to nie przeszkadzało – odparłem.

– Wczoraj byłem pijana. – Uśmiechnęła się. – Co niekoniecznie znaczy, że dziś przeszkadza mi mniej.

– Mi też nie przeszkadza to, że nie jesteś pijana – odparłem i pocałowałem ją.

Podniosłem się i poszedłem do kuchni zaparzyć kawę.

– Czyli to prawda? – krzyknęła z sypialni.

– Co? – spytałem, próbując nie odwracać się. Nagle parzenie kawy stało się niezwykle trudną czynnością.

– To, że nie pracujesz? – dodała.

– To zależy co masz myśli mówiąc „praca”?

Jass weszła do kuchni, stanęła za mną i zawiesiła ręce na mojej szyi.

– Pisziesz?

– Tak – przyznałem. – Ale...

– Ale to trudne? – Zaśmiała się. – Daj spokój, Jerry, wiedziałeś, że to nie będzie łatwe.

– Nie chodzi o pisanie.

– Więc o co? – spytała beztrąsko.

Gdy nie odpowiedziałem przez dłuższą chwilę, rozluźniła uścisk, stanęła obok, oparta pośladkami o szafki i osadziła wzrok na mojej twarzy.

Nie wiedziałem, jak to powiedzieć. Nie chciałem, żeby wzięła mnie za wariata. Jass doskonale wychwyciła moje wahanie.

– Masz kłopoty? – zapytała.

– Nie wiem. Ale wiem, że muszę uważać.

– Co się stało?

– Jeszcze nic, ale wydaje mi się, że ktoś chce mi utrudnić życie.

– Kto?

– Wydaje mi się, że to ktoś wysoko postawiony.

– Ktoś z rządu?

– Trudno powiedzieć. Nie mogę go rozgryźć. Z tego co wiem, równie dobrze, może być po prostu kolejnym świrem.

– To nie może być nikt z rządu – stwierdziła. – Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy teraz. Jeśli rzeczywiście masz coś mocnego na któregoś z kandydatów, to rzeczywiście powinieneś uważać. Z drugiej strony wybory są już tuż tuż. Jeśli nie skończyłeś książki w zeszłym tygodniu, to i tak bez różnicy. Tam – powiedziała, wskazując na okno, a jej głos zmienił się na bardziej posępny. – Toczy się wojna. Szczują nas psami jak zwierzęta. Agencje podsłuchują nasze rozmowy, blokują strony internetowe i zamykają za najdrobniejsze wykroczenia. Robią wszystko, żeby powstrzymać nasz sprzeciw.

Jass mówiła, a ja przytakiwałem. Nie było sensu jej przerywać. W chwilach takich jak ta zachwycała mnie jeszcze bardziej. Poza tym w ogóle mi to nie przeszkadzało.

– Wiedzą, że jesteśmy głosem i sumieniem ludzi – mówiła. – I zaczynają pojmować coś jeszcze. Zaczynają rozumieć, że to my kontrolujemy podziemie. Ameryka się budzi, Jerry, a ty jesteś częścią tej historycznej chwili.

– To świetnie się składa – powiedziałem. – Bo potrzebuję twojej pomocy.

Zalałem kawę wrzątkiem, odwróciłem się i podałem jej wielki czarny kubek. Spojrzała zalotnie, a ja nie mogłem się powstrzymać i przebiegłem po niej wzrokiem. Miała na sobie grubą bluzę sportową i bawełniane spodnie dresowe. Jej bosa stopy dotykały moich. Wyglądała zjawiskowo.

– Mojej pomocy? Ty? – zapytała, idąc do salonu. Usiadła na kanapie i zakryła dłońmi gorący kubek.

– Chodzi o jednego faceta – odparłem. – Nie wiem, jak dużo wie, ale na pewno wie, że piszę książkę.

– No cóż... Trzeba było się nie chwalić. – Upiła ostrożnie łyk kawy.

– Był tu po ostatnim włamaniu. Widział notatki i, jak twierdzi, po prostu się domyślił.

– Po włamaniu? – powtórzyła zdziwiona.

– Tak, ale to zupełnie inna historia. Książka była zabezpieczona, ukradli tylko trochę sprzętu, nic ponadto.

– Jesteś pewien? – zapytała. W jej głosie usłyszałem troskę.

– Tak. Słuchaj, chodzi o tego faceta. Nazywa się Scott, Rory Scott, a przynajmniej tak twierdzi. To jest gość z rodzaju tych, którzy trzymają w domu broń automatyczną. Twierdzi, że jest byłym pilotem, ale gdy próbuję wypytać go o szczegóły, zaczyna kręcić. Wczoraj zabrał mnie na przejażdżkę po najgorszych

osiedlach północnej Filadelfii, a potem pokazał Pyramid Club, gdzie miał jakiś interes z miejscowymi szychami.

– To nie brzmi zbyt ciekawie – powiedziała.

– To prawda – przyznałem. – Facet jeździ czarnym lexusem z pancernymi szybami, a o Ameryce Środkowej opowiada, jakby jadał tam śniadania.

– I twierdzi, że jest pilotem?

– Byłem.

Jass zamilkła na moment, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą. Łyknęła trochę kawy i powiedziała:

– Mam takiego jednego znajomego, prawdziwy magik. Być może uda mu się znaleźć w sieci coś na temat twojego przyjaciela. Ale musisz dać mu coś, od czego mógłby zacząć.

– Spiszę wszystko, co uda mi się przypomnieć na jego temat i prześlę ci na skrzynkę, OK?

– Dobrze. Ale powiedz mi, czy poza tym wszystko w porządku?

– Sam nie wiem – odparłem, spoglądając na odbicie w kubku.

– Jerry? – Pochyliła się i położyła dłoń na moim kolanie. – Możesz mi powiedzieć.

Spojrzałem na nią pełen nadziei. Pomyślałem, że życie nie jest takie złe, że czasami się udaje.

– Nie – powiedziałem. – Nie wszystko jest w porządku.

– Mów, o co chodzi?

– Nie zdążę z książką przed wyborami – przyznałem.

– A zamierzałeś? – spytała zdziwiona. – Po co?

– Sam nie wiem. Chyba chciałem coś zmienić. Może nawet za bardzo chciałem.

– Trochę rozumiem – powiedziała. – Nie przejmuj się. Wiesz przecież dobrze, że wybory odbywają się i tak bez naszego udziału.

– Przecież potrzebują głosów – zaprotestowałem. Jasmine poczęstowała mnie pobłażliwym uśmiechem.

– Przynajmniej z technicznego punktu widzenia – dodałem.

– To prawda, ale to, co myślimy i to, w co wierzymy, tak naprawdę jest nieistotne. Machina propagandy i tak robi swoje.

– Powiedz mi, Jass, czy to, co robię, ma w ogóle sens?

Jasmine przyjrzała mi się zdziwiona, odrobinę zawiedziona moim brakiem pewności siebie.

– Nie sądzisz, że sam powinieneś odpowiedzieć na to pytanie?

Miała rację. Jedyne moja własna determinacja mogła pchnąć mnie do przodu. Słuchanie komplementów, nawet jeśli były szczere, bez odzyskania pewności siebie byłoby jak oszukiwanie samego siebie.

– Powiedz mi, myślisz, że wynik wyborów ma jakiegokolwiek znaczenie? – zapytałem. – Przecież wielki biznes i tak dostanie to, za co zapłacił. Jediną zmienną w tym algorytmie będzie nazwa firmy, która wyjdzie na tym najlepiej.

Jass pociągnęła łyk kawy i szturchnęła mnie nogą.

– Ej, no nie bądź aż takim pesymistą. Najważniejsze, że możesz stanąć przed lustrem i spojrzeć sobie prosto w oczy, że możesz powiedzieć uczciwie, że zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy.

– Tak. Ale czy to jest na pewno wszystko? – odparłem.

Ostatnie słowa ledwo przeszły mi przez gardło. Wiedziałem doskonale, że nie dałem z siebie wszystkiego i było mi wstyd, nie tylko przed nią, ale i przed sobą. Książka była wciąż nie skończona a ja przepiłem ponad miesiąc czasu, uganiając się za Marsiano.

– No dobra – powiedziała. – W takim razie powiedz, na czym stanąłeś? Bo z tego, co widzę, to po prostu utknąłeś gdzieś i nie wiesz, jak ruszyć do przodu.

– Gdyby to było takie proste... – pomyślałem.

– Może i masz rację – przyznałem. Spojrzałem na nią, na wielkie niebieskie oczy i piękne morelowe usta. Zastanawiałem się, jak ktokolwiek mógłby oprzeć się temu spojrzeniu.

– No więc?

– Chodzi o Rory’ego. Nalega, żebym opisał wojnę z narkotykami. No i oczywiście nasze interesy w Kolumbii.

– Coś takiego? – Uniosła brwi. – No dobrze. W takim razie masz nowy wątek. Co w tym złego? Może rzeczywiście warto by go posłuchać?

– Wiem. Właśnie zamierzam zabrać się za ten rozdział.

– Więc w czym problem? Nie wiesz, jak się za to zabrać?

– Nie ma żadnego problemu – odparłem.

Poczułem nagły napływ determinacji. Jej słowa były jak nowe źródło energii. Jej bliskość była jak nowy sposób wydobycia. Czułem, że przy niej mogłem wszystko.

– Wiem doskonale, jak zacząć – powiedziałem, odłożyłem kawę, przysunąłem się do niej i pocałowałem.

Nie broniła się. Chwyciła mój kark i wessała się w moje usta, dokładnie tak jak poprzedniej nocy. Oderwała się na moment, odstawiła kubek na ławę i chyba rozlała trochę, bo przez moment poczułem intensywny aromat kawy między nami.

Musnąłem wargami jej szyję, potem delikatnie zębami, a potem wbiłem się w aksamit jej skóry, jakbym znów po raz pierwszy smakował jej ciała. Zdjąłem z niej bluzę i przyparłem do poduszki. Złapała moją szyję, wsunęła dłonie w moje włosy, przyciągnęła mnie do siebie i objęła nogami w pasie. Zamknęła usta na moim ramieniu i wydała cichy, stłumiony jęk. Była muzyką w ciszy salonu, jedynym smakiem, zapachem i kształtem. Powietrze wokół zastygło i zgęstniało.

Tętniliśmy tym samym jednostajnym rytmem. Stworzyliśmy jedno pulsujące ciało, drżącą hybrydę żaru i rozkoszy.

Zapach Jasmine unosił się jeszcze długo po tym, jak wyszła, zostawiając mnie sam na sam z myślami. Wspomnienie tamtego poranka jeszcze na długo pozostało w mojej pamięci, stając się amuletem i ochroną przed pokusami osamotnionej duszy.

– Mam takiego jednego znajomego – powiedziała, gdy stanęła w drzwiach. Wie dość dużo o Kolumbii i Ameryce Łacińskiej. Myślę, że mógłby ci pomóc przy tym rozdziale.

– Dzięki, ale raczej sobie poradzę.

– Jerry, mówię to, żeby ci pomóc, więc nie zbywaj mnie, jakbym sugerowała ci coś niedorzecznego. On naprawdę ma dostęp do informacji.

– Wybacz. Nie miałem zamiaru cię urazić. Jeśli chcesz, żebym się z nim spotkał, zrobię to. Oczywiście, jeśli tylko znajdę czas.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – To dobrze. Bo to naprawdę ciekawy facet.

– W porządku, ale powiedz najpierw, kim jest ten ciekawy facet?

– Ma na imię Nick. Jest studentem na tutejszym wydziale geopolityki.

– Nick... – powtórzyłem głucho, zastanawiając się, gdzie wcześniej słyszałem to imię. – Anarchista? – spytałem, próbując oszacować przydatność jego wiedzy.

– Daj spokój. Anarchiści to dzieciaki. On jest w porządku. Myślę, że się dogadacie.

– Student? – zapytałem nie do końca przekonany, czy mówi serio.

– Naprawdę myślisz, że polecałabym ci byle kogo? – zapytała z wyrzutem.

– No dobrze. Spotkam się z nim. Ale pod warunkiem, że nie będzie starał się przekonać mnie do którejś z teorii spiskowych.

– O to możesz być spokojny – powiedziała. – On nie bawi się w teorie. Jego interesują tylko fakty. Zadzwoń do ciebie. Trzymaj się.

Uśmiechnęła się, pocałowała mnie i wyszła.

XIV. Agenci Imperium

To był niezwykle dzień. Rozpoczął się kojącą melodią głosu Jass, zapachem jej ciała, jej energią i ciepłem. Zrobiła coś niesamowitego. Wypędziła ze mnie strach, zmęczenie i smutek. Była tak skuteczna, że przez pierwsze kilkanaście minut po jej wyjściu nawet przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, by usiąść za biurkiem. Jak za dotknięciem magicznej różdżki większość obaw związanych z Rorym się ulotniła. Większość, ale oczywiście nie wszystkie. Koniec końców byłem bezrobotnym dziennikarzem, a jedynym zajęciem, jakie przychodziło mi dość naturalnie, było snucie hipotez.

Zastanawiałem się, czy Rory rzeczywiście zamierzał mi pomóc i czy cokolwiek z tego, co powiedział, miało w sobie choć ziarno prawdy. Jeśli rzeczywiście chciał, żebym napisał o wojnie z narkotykami, dlaczego dał mi namiar na dwie nie mające ze sobą nic wspólnego firmy? Halliburton Cheney'a nie operowała w Kolumbii, a Carlyle, choć była grupą kapitałową i z powodzeniem mogła inwestować nawet na Księżycu, również nie inwestowała w Kolumbii. Na pierwszy rzut oka trop, który podsunął mi Rory, był fałszywy. A jednak coś podpowiadało mi, że powinienem się tym zainteresować.

Żeby sprawdzić, czy Scott mówił prawdę, wystarczyło zweryfikować związek Cheney'a, Halliburton i Carlyle Group z Kolumbią. Gdyby faktycznie były powiązane, oznaczałoby to, że przynajmniej w tamtym momencie Rory nie minął się z prawdą i być może nawet chciał pomóc.

Była trzynasta, miałem wystarczająco dużo czasu, żeby sprawdzić podsunęte mi pod nos informacje, zanim zdecyduję się zadzwonić do Rory'ego. Zjadłem śniadanie, zrobiłem sobie poranny zastrzyk kofeiny w kubku i zabrałem się do przeglądania wszystkiego, co mogłem znaleźć w sieci na temat owych dwóch firm.

Im głębiej zanurzałem się w gąszcz redakcyjnych doniesień, tym większego nabierałem przekonania, że Scott miał jakiś cel w skierowaniu mnie na ten potencjalnie fałszywy trop. Carlyle i Halliburton, jak się okazało, nie były wcale tak anonimowe, jak sądziłem. Obie nazwy pojawiały się w mediach z częstotliwością wprost proporcjonalną do ilości dolarów wydawanych na przedwyborcze spoty kampanii prezydenckiej G.W.. O ile Carlyle Group była do tej pory stosunkowo nieznaną lub raczej nie rzucającą się w oczy firmą, Halliburton zyskał sobie już dość spore grono krytyków skłonnych zmieszać Cheney'a z błotem przy każdej nadarzającej się okazji. Okazji ku temu w ostatnich latach było dość sporo, a co za tym idzie każda szanująca się redakcja demokratów korzystała z nich, jak tylko potrafiła. Im bliżej przyglądałem się historii Richarda i jego wkładu w Halliburton, tym lepiej rozumiałem lekki uśmiech w kąciu ust Rory'ego, gdy zniknął mi z oczu w czarnym lexusie. Firma była ucieleśnieniem

niekończącego się romansu rządu z korporacyjnym interesem.

Aby zrozumieć sukces Halliburton, musiałem najpierw poznać historię Cheney'a, a była ona, podobnie jak historia tej firmy, dość prosta, bo zamykała się w ogólnie przyjętym schemacie.

W najprostszych słowach można przedstawić ją tak: Konserwatywny, wywodzący się z ludu polityk wspina się po szczeblach kariery w cieniu swego przyjaciela, w tym wypadku Donalda Rumsfelta. Będąc u szczytu kariery obejmuje stanowisko szefa Departamentu Obrony w gabinecie prezydenta Busha seniora. Jak przystało na lojalnego urzędnika i patriotę, który obejmując resort w erze pozbawionej nieustającego zagrożenia ze strony ZSRR, Cheney nie kwestionuje wytycznych zwierzchnika i robi swoje. Jego największym kapitałem jest solidność i fachowość. Z pewną niechęcią i pełen obaw Dick redukuje liczebność armii o prawie jedną czwartą. Kiedy odchodzi wraz z Bushem po zakończonej kadencji, USA, tak jak obiecano obywatelom, ma mniejszą, tańszą i bardziej wyspecjalizowaną armię. Wszystko wydaje się piękne jak z obrazka. Ale to tylko pozory.

W pozory obfituje również wizerunek firmy Dicka Cheney'a. Halliburton bowiem wkomponowuje się idealnie w pejzaż korporacyjnej Ameryki, a przynajmniej tej, którą przedstawiają główne media. Firma już od kilku dekad zajmuje się budową infrastruktury dla największych firm naftowych, takich jak Chevron, Texaco czy Shell i wydaje się być klasycznym zjawiskiem na gospodarczej mapie USA. Nie jest jednak tym, na co się kreuje.

Od momentu, gdy jej ścieżki krzyżują się z drogą Cheney'a, następuje coś, co dla korporacyjnej Ameryki staje się sygnałem do natarcia, zaproszeniem do żłobu federalnego skarbcza, a sama Halliburton staje się dla pozostałych obiektem zazdrości i niedoścignionym wzorem do naśladowania.

* * *

Dick Cheney i Halliburton

Przepis na sukces firmy był prosty: wykorzystać dostęp do Sekretarza Obrony.

Richard Cheney, pełniący tę funkcję od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, był chyba najlepiej nadającym się do tej roli człowiekiem. Można śmiało powiedzieć, że spełnił pokładane w nim nadzieje i okazał się

trafioną inwestycją.

Jedną z ważniejszych decyzji, jakie Dick podjął na stanowisku, było przydzielenie jednej z większych firm budowlanych w Stanach zadanie sporządzenia raportu określającego sensowność i możliwość przeprowadzenia sprywatyzowania pewnych funkcji armii. Chodziło między innymi o budowę baz wojskowych, dostawy żywności dla żołnierzy i inne zadania logistyczne, na których Pentagon mógłby oszczędzić. Firmą, której zlecono tę analizę była, rzecz jasna, Halliburton.

Za sporządzenie raportu Halliburton otrzymała osiem milionów dolarów. Dzieło to uargumentowało plany Dicka, uzasadniając zmniejszenie i wyspecjalizowanie naszych sił zbrojnych. Raport zalecał prywatyzację i przeniesienie wielu zadań należących do tej pory do armii na barki prywatnych firm w ramach jednego, przyznawanego raz na pięć lat kontraktu rządowego o nazwie LOGCAP1.

I tu oto pojawia się pierwsza ciekawostka, bowiem proces, który nastąpił zgodnie z zaleceniami Halliburton nie był prywatyzacją w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Brown & Root, spółka należąca do Halliburton, choć w ogóle nie powinna była brać udziału w przetargu na LOGCAP, wygrała ten gigantyczny rządowy kontrakt, pokonując wszystkich konkurentów: cztery największe amerykańskie firmy budowlane chcące zagarnąć wielomilionowe zyski². Zastanawiałem się, co czuli członkowie zarządu tych korporacji, gdy dowiedzieli się, że to właśnie architekt dokumentu zgarnął całą pulę.

Zastanawiające było nie tylko to, że w miarę zbliżania się do wyborów portfolio firmy Dicka wciąż nie zostało przeanalizowane z właściwą dziennikarzom wnikliwością – bo to było do przewidzenia. O wiele bardziej niepokojący był fakt, że żadna z redakcji nie pokusiła się nawet o symulację skutków jego potencjalnego urzędowania na stanowisku zastępcy głównodowodzącego sił zbrojnych kraju. Z wiceprezydentem pokroju Cheneya Amerykę czekałyby co najmniej cztery lata wzmożonego, korporacyjnego pasożytnictwa na budżecie sił zbrojnych, o ile nie wymyśliłby czegoś o wiele gorszego.

Im więcej faktów pojawiało się przed moimi oczami, tym ciemniejsze chmury zbierały się nad Waszyngtonem mojej wyobraźni. Nowa era wyścigu zbrojeń, interwencji wojskowych i cięć na wydatki społeczne czekała wszystkich. Co więcej wszystko to pasowało i zazębiało się z przeciągającą się wojną z narkotykami. Dlatego właśnie, chociaż nie mogłem jeszcze powiązać Halliburton i Cheney'a z wojną w Kolumbii, jak to zasugerował Scott, wiedziałem, że nie mogę pominąć ich w książce. Historia jego romansu z biznesem była zbyt intrygująca, by przejść obok obojętnie.

Musiałem rozwinąć opowieść o firmie, która ziściła amerykański sen, zmieniając się z przeciętnego tworu w sektorze budowlanym w giganta

przyssanego do pleców armii i budżetu Pentagonu.

Kolejną rzeczą, która rzuciła mi się w oczy i która powinna była podnieść alarm wśród mediów, był jednoznaczny kierunek kariery w sektorze prywatnym byłego szefa Departamentu Obrony. Bez jakiegokolwiek doświadczenia w zarządzaniu biznesem, Dick Cheney po odejściu z ministerstwa objął stanowisko prezesa wielkiej międzynarodowej korporacji, firmy, której spora część dochodów pochodziła właśnie od Brown & Root, tej samej Brown & Root, którą Cheney wyniósł na wyżyny rządowych kontrahentów.

Jakby tego było mało oprócz licznych kontaktów otwierających zamknięte drzwi Pentagonu, Cheney przyciągnął za sobą również zastępcę, Davida Gribben'a, który w Halliburton objął stanowisko Dyrektora do Spraw Współpracy z Departamentem Obrony, lub jeśli ktoś woli, głównego lobbystę. Skutki tych posunięć były łatwe do przewidzenia. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego do dwutysięcznego roku, w przeciągu pięciu lat Cheney'a w Halliburton, zyski firmy z kontraktów rządowych wzrosły o sto procent¹.

A jednak sukces Halliburton i Cheney'a nie opierał się wyłącznie na kontraktach rządowych. Choć pieniądze podatników do dziś stanowią kluczowy kapitał firmy, Dick Cheney dowiódł, że zna więcej sposobów niż tylko kontrakty rządowe, by dostać się do pieniędzy podatników.

Pod kierownictwem Dicka Halliburton skorzystała z ponad trzech miliardów ośmiuset milionów dolarów w postaci nie tylko kontraktów rządowych, ale i specjalnych kredytów³. Ostatni z nich, udzielony przez Export-Import Bank, był nisko oprocentowaną, przedłużoną i ubezpieczoną przez państwo pożyczką dla partnera Halliburton, rosyjskiej firmy naftowej Tuymen Oil Co., firmy, która według raportu BP Amoco, największego konkurenta Halliburton, ma powiązania z mafią i nie pozostaje bez wpływu na korupcję w rosyjskim rządzie. Raport BP Amoco został przesłany do CIA, zweryfikowany przez agencję, następnie utajniony i przesłany dalej, do Export-Import Banku. Jakby nie dość było kontrowersji wokół kredytobiorcy, Departament Stanu również miał zastrzeżenia wobec tej zagranicznej pożyczki. Odrzucił podanie o udzielenie kredytu Tuymen Oil, motywując, iż byłby on wbrew „interesowi państwa”. Halliburton natomiast nie poddawała się, lobbowała i w końcu wywalczyła kredyt dla swojego rosyjskiego partnera. Z czterystu osiemdziesięciu dziewięciu milionów dolarów Halliburton otrzyma dwieście dziewięćdziesiąt dwa miliony na modernizację ogromnych złóż syberyjskiej ropy³.

Chociaż w czasie przyznawania kredytu to Clinton urzędował w Białym Domu, obie agencje rządowe, zarówno Export-Import Bank jak i Overseas Private Investment Corp., kontrolowane były przez Republikanów. Nic więc dziwnego, że za kierownictwa Cheney'a Halliburton otrzymał łącznie półtora miliarda dolarów kredytu w porównaniu ze stu milionami w okresie pięciu lat poprzedzających jego

pojawienie się w firmie³.

Same układy to jednak nie wszystko i Dick wiedział o tym doskonale. Podczas pięciu lat urzędowania prezesa, firma podarowała łącznie milion dwieście dwanaście tysięcy dolarów dla kandydatów i samych partii politycznych. Stanowiło to spory wzrost w porównaniu z pięćset trzydziestoma czterema tysiącami przed pojawieniem się Cheney¹.

Richard wiedział też, że wpłaty na konto partii to nie wszystko. W końcu konkretne projekty wymagają kontaktu z odpowiednimi ludźmi, a to z kolei wymaga dodatkowych nakładów finansowych. Pod kierownictwem Dicka wydatki firmy na lobbystów rosły z roku na rok. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku wydano dwieście osiemdziesiąt tysięcy, a w dziewięćdziesiątym siódmym – trzysta sześćdziesiąt tysięcy. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku wydatki wzrosły do pięciuset czterdziestu tysięcy, a w dziewięćdziesiątym dziewiątym do sześciuset tysięcy dolarów. Wzrost ten doskonale odzwierciedlał tendencję wzrostową w liczbie zdobywanych przez firmę kredytów i kontraktów rządowych³.

Kolejną rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był brak informacji w mediach o praktykach firmy w sferze fiskalnej. W miarę, jak Halliburton bogaciła się i rozwijała kosztem amerykańskich podatników, firma unikała płacenia podatków w kraju, w którym tak chętnie z nich korzystała. Podczas kadencji Dicka na stanowisku prezesa liczba filii założonych w tak zwanych „rajach podatkowych”, czyli krajach zwalniających korporacje z podatków lub obniżających je wzrosła z dziewięciu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku do czterdziestu czterech w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku^{4,5}.

W zasadzie obraz ten powinien był mi wystarczyć i zapewne poprzestałbym na nim, gdyby nie podejrzany brak publikowanych informacji na temat głównych źródeł sukcesu Halliburton. Wszystko, co mówiły na ten temat media i pracownicy firmy, sprowadzało się do eufemizmu określającego Cheney¹ jako cennego nabytku firmy. Według mnie należało zadać jedno kluczowe pytanie: co tak naprawdę czyniło z niego tak wyjątkowego menadżera?

Po kilku godzinach wyszukiwania materiałów udało mi się potwierdzić, że Brown & Root, najrentowniejsza spółka w pakiecie Halliburton, była głównym motorem sukcesu Dicka. Wiedziałem też, że miało to związek z armią, a to bynajmniej nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Lektura i odkopywanie nieujawnionych dotąd sekretów firmy były równie ekscytujące co zatrważające. Podobnie, jak przy zgłębianiu historii G.W., doznałem kłopotliwego uczucia, że jako obywatel i dziennikarz zawiodłem. Nie spodziewałem się, że powiązania Dicka mogą być aż tak istotne dla przyszłości nas wszystkich. Wiedziałem, jak mniej więcej działa system, ale to, co odkryłem, i łatwość, z jaką do tych informacji dotarłem zatrwożyły mnie. Okazało się, że

byłem równie naiwny jak większość społeczeństwa.

Mój początkowy entuzjazm topniał coraz bardziej każdą kolejną godziną poszukiwań. Wszystko bowiem wskazywało na to, że bez względu na to, czy Dick zostanie wiceprezydentem czy nie, status quo się nie zmieni. Wojna pozostanie najbardziej opłacalnym interesem na Ziemi, a my – zwykli obywatele będziemy dalej płacić cenę tej ogromnej maszyny wojennej siejącej strach, śmierć i zniszczenie. A wszystko to w imię interesów ponadnarodowych korporacji.

Pomimo że Halliburton była jedynie małym ogniwem w tym długim i zawitym łańcuchu zależności, okazała się być również ogniwem kluczowym.

Pod przewodnictwem Cheney'a, a za pośrednictwem Brown & Root, Halliburton zgarnęła kontrakty warte setki milionów dolarów. W porównaniu z pięcioma latami poprzedzającymi przybycie Dicka, wartość tych kontraktów niemal podwoiła się z miliarda dwustu milionów do dwóch miliardów trzystu milionów dolarów. Większość z nich podpisano z armią USA i dotyczyły prac budowlanych lub obsługi obiektów wojskowych w różnych punktach zapalnych na świecie, takich jak na przykład Bośnia, Albania, Kosowo czy Haiti³. Wyglądało na to, że wszędzie, gdzie konflikt wymagał obecności naszej armii, obecność Brown & Root była również konieczna. I tak oto wszędzie, gdzie przelewała się krew, szalała wojna lub konflikty etniczne, Brown & Root znajdowało dla siebie ciepły kącik. Działo się tak z dość naturalnych na pierwszy rzut oka powodów. Wsparcie logistyczne fachowej firmy budowlanej jest nieocenione dla komfortu żołnierzy, dla ich morale, a co za tym idzie i skuteczności. Cały problem w tym, że punkty zapalne, do których wysyłano naszą armię były miejscami, gdzie łączą się ze sobą: interesy amerykańskich firm, zasoby surowców naturalnych i towarzyszące im konflikty zbrojne. Oprócz Bośni, Kosowa i Albanii, Brown & Root działała również w Czeczenii, Birmie, Laosie, Wietnamie, Indonezji, Iranie, Libii i Meksyku⁶. Dawało to pewne pojęcie o tym, jak ściśle powiązani ze sobą są prywatni kontrahenci zapewniający wsparcie logistyczne armii, pokroju Halliburton, przemysł zbrojeniowy sprzedający sprzęt i uzbrojenie, a także firmy energetyczne poszukujące nowych miejsc na mapie świata usianej złożami ropy i gazu.

Doskonałym tego przykładem była właśnie obecność B&R na Bałkanach. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, była natura współpracy Kellogg Brown&Root z wojskiem. Drugą sprawą było milczenie mediów w kwestii ukrytej przyczyny naszej obecności w Kosowie.

Jeśli chodzi o współpracę Kellogg Brown & Root z Departamentem Obrony, to nie można tu już mówić nawet o współpracy. Jest tylko jedno słowo, które należycie odda specyfikę relacji między tą korporacją, a naszą armią – i jest nim symbioza.

Żaden żołnierz decydujący się na udział w misji w obcym kraju nie podejmie

się jej bez obecnych na każdym kroku prywatnych kontrahentów wykonujących setki niezbędnych zadań, którymi on nie musi sobie zawracać głowy. Pranie, sprzątanie, żywienie, służby sanitarne i medyczne, poczta, a nawet straż pożarna – wszystko, czego potrzebuje małe miasteczko, jakimi stają się bazy wojskowe na całym świecie jest zapewniana właśnie przez prywatne firmy, stojące zawsze w pogotowiu, tak, by żołnierze nie mieli powodu do rozmyślań nad tym, po co właściwie stacjonują w danym kraju.

Zastanawiałem się, ilu odrażonych przez społeczeństwo, oszukanych przez system edukacyjny i pozbawionych perspektyw młodych ludzi wybiera służbę właśnie po to, by poczuć się potrzebnym, ważnym i należycie obsłużonym. Dla ilu z nich wojsko stało się biletem ku lepszej przyszłości, a dla ilu po prostu awansem społecznym, zmianą statusu i miejscówką w trzygwiazdkowym hotelu zwanym bazą wojskową? Oczyma wyobraźni widziałem mężczyzn wychowanych na grach wideo, agresywnych i zarozumiałych, dumnych nie dlatego, że walczą o czyjąś wolność lub dla kraju, a dlatego, że nagle stali się elitą, członkami zwycięskiej drużyny, nad których wygodą czuwa zupełnie inna armia – piechota sprzątaczy, kucharzy i elektryków, oddziały budowlanców, lekarzy, psychoterapeutów i całe bataliony najróżniejszych usługodawców.

Kiedy trawiłem te dane, kolejne pytania nasuwały się na myśl. Jak daleko takiemu dumnemu żołnierzowi do owych oddziałów z Projektu Feniks w Wietnamie? Jak niewiele trzeba, by podsycana młodzieńcza pycha doprowadziła do tragedii?

Oczywiście największa tragedia rozgrywała się nie w obozach wojskowych, a za kulisami interwencji zbrojnych. Ucieleśnieniem tej tragedii był zmutowany system, w którym powoli zachodziło stopniowe przesunięcie władzy z rąk do rąk. Podobnie jak w obrębie wyborów prezydenckich i podejmowanych później decyzji, tak i w departamencie obrony i firmach go otaczających obrotowe drzwi między rządem, a biznesem wirowały jak szalone. Jeśli wierzyć doświadczeniu zdobytemu podczas obserwacji mechanizmów rządzenia Teksasem przez G.W. Busha, mogłem założyć, że to właśnie kontrahenci stojący w cieniu armii przejmują władzę i wskazują kierunek armii. Są jak woźnica na grzbiecie bezmyślnego, agresywnego dinozaura, którego niewiele obchodzi sprawy tak obce jak litość, sumienie czy moralność.

Niestety nie miałem na to żadnych bezpośrednich dowodów. Gdybym miał nagranie, zeznanie, korespondencję lub jakikolwiek dokument świadczący o podejmowaniu strategicznych decyzji w zgodzie z wytycznymi firm logistycznych, mógłbym od razu przejść do wysuwania oskarżeń. Jedyne, czym dysponowałem, były ogólnodostępne fakty, których na moje szczęście nie brakowało.

Jednym z pierwszych symptomów tych niebezpiecznych zmian był

niekontrolowany przepływ gotówki do sektora prywatnego i to wbrew zapewnieniom Cheney'a o oszczędnościach zapowiadanym przy prywatyzacji armii w latach dziewięćdziesiątych.

Okazało się, że koszt usług świadczonych przez prywatne firmy był nie tylko wyższy niż zakładano na przykład przy projektowaniu kontraktu LOGCAP, ale co gorsza był całkowicie nieprzewidywalny. Nieprzewidywalność w tym konkretnym przypadku oznaczała brak jakiejkolwiek kontroli, a brak kontroli z kolei oznaczał Eldorado dla prywatnych firm. Na to, na szczęście, miałem dowód: dodatkowy kontrakt przyznany Kellogg Brown & Root w ramach obsługi misji na Bałkanach.

Okazało się bowiem, że ten niewielki, bo opiewający na cztery miliony kontrakt z armią przerodził się w wielomiliardowy interes. Kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Kellogg Brown & Root podpisała przedłużenie umowy na kolejne pięć lat, jego wartość wzrosła z czterech milionów do – uwaga – okrągłych siedmiuset trzydziestu jeden milionów dolarów. Było to możliwe między innymi dzięki temu, że kontrakt ten nie ma narzuconego górnego limitu kosztów. Oznacza to, że KB&R może wydawać pieniądze podatników bez skrupułów¹. Im więcej wyda, tym więcej zarobi, a jednocześnie im więcej zarobi, tym bardziej będzie zabiegała o podobne kontrakty w przyszłości.

Niecodzienny charakter przywilejów KB&R na tle innych kontrahentów wojskowych doskonale oddają liczby. Podczas gdy większość firm na rynku amerykańskim może pochwalić się średnio trzyprocentowym poziomem zysku, KB&R w owym okresie osiągał zyski rzędu nawet ośmiu procent. Zapewne nie jeden prezes głowił się, jak podążyć ścieżką wydeptaną przez Cheney'a i niejedna firma prowadziła symulacje szacujące zyski w zależności od miejsca konfliktu, długości trwania, intensywności i innych sprzyjających zmiennych. Oczywiście KB&R wie dokładnie, na co może sobie pozwolić i nie odstąpi nikomu miejsca u koryta. Przecież nie po to stworzyli warunki kontraktu i wymagania, by teraz ustępować innym pasożytom. Sami najlepiej wiedzą, jak wyciągnąć maksymalny zysk i to bez ryzyka oskarżeń o korupcję.

Oczywiście czasami nawet ostrożność nie pomaga, gdy chciwość bierze górę nad rozsądkiem. Znalazłem na to dowód, gdy natknąłem się na artykuł, z którego wynikało, że kilka miesięcy wcześniej Halliburton została postawiona w stan oskarżenia w związku z wielomilionowym zawyżaniem kosztów usług wykonanych w ramach rządowego kontraktu¹. W zasadzie dziwić może fakt, że firmę w ogóle postawiono w stan oskarżenia. Dziwić może też fakt, że oskarżono ją tak późno.

Pieniądze, które trwoni się i rozkrada w ramach tych niebagatelnych kontraktów są jak drogowskaz dla reszty inkasentów, którzy tylko czekają na podobną okazję. Armia wydaje obecnie niemal miliard dolarów rocznie na usługi wykonywane przez B&R na Bałkanach. Ale, jak można się domyślić, suma nie jest

tu najważniejsza. Oprócz potencjalnego zagrożenia przejęcia kontroli nad polityką zagraniczną państwa istnieje również drugi, bardziej namacalny i dostrzegalny gołym okiem problem, a mianowicie rosnące i nieuchronne uzależnienie armii od tego niezastąpionego kontrahenta. Okazuje się bowiem, że żyjemy w świecie, w którym nie można już wyruszyć na wojnę, przeprowadzić misji pokojowej ani humanitarnej bez wypełnienia po brzegi kieszeni właścicieli wielkich korporacji. Zastanawiałem się, jak daleki dystans dzieli nas od zmiany biegunów i przejęcia sterów przez tych, w których żywotnym interesie leży rozsyłanie naszych żołnierzy po wszystkich krańcach świata. Czy w ogóle można zmierzyć ten dystans? Ile konfliktów dzieli nas od zupełnego zaprzędania się? Ile lat? Ile miliardów dolarów?

Jakby tego było mało okazało się, że nawet idea samego LOGCAP przestała się już liczyć. Jak to się stało, że pomimo iż w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku Halliburton przegrał przetarg na monopol i tak pozostał przy korycie?

Odpowiedź była prosta. Okazało się, że Departament Obrony, odchodząc od pierwotnej idei pojedynczego kontrahenta, wygenerował dodatkowy kontrakt specjalnie dla prezesa Cheney'a i jego firmy. Nie muszę chyba dodawać, że Brown&Root nie powinna była w ogóle brać udziału w pierwszym przetargu z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku? Kodeks Regulacji Federalnych jasno określa przynajmniej dwa nielegalne scenariusze, w które B&R wpasował się idealnie podczas procedury przetargowej². Natomiast jeśli chodzi o misję w Kosowie, to sam udział w niej wystarczył, by stwierdzić, że interesy KB&R sięgają wysoko ponad czapki generałów dowodzących wojskiem na miejscu.

Poszukiwania każdego strzępu informacji na ten temat były żmudne i czasochłonne. Wiele artykułów poświęconych Halliburton opisywało głównie związek Cheney'a z byłym prezydentem, ale niewiele skupiało się na istocie rzeczy, a mianowicie na jego roli w powstawaniu trwałego kompleksu przemysłowo-zbrojnego. W miarę natrafiania na nowe wątki w mojej świadomości zaczął tlić się pominięty przez nieuwagę koncept, coś, co powinno interesować mnie zwłaszcza ze względu na osobistą sytuację. Rozkodowanie zaszyfrowanej między doniesieniami informacji zajęło mi trochę czasu, ale w końcu natknąłem się na to, czego tak naprawdę szukałem. Otóż firmą, która wygryzła Cheney'a z miejsca przy rządowym korycie wygrywając przetarg na LOGCAP w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, był nikt inny jak DynCorp², ta sama korporacja, do której Rory nie chciał się przyznać.

To nie była teoria spiskowa. To nie mógł być żaden spisek. Tak po prostu działał ten system. I to chyba właśnie to próbował powiedzieć mi Rory. Myślę, że chciał dać mi do zrozumienia, że wszystko było powiązane. DynCorp w Kolumbii kasowała nasze dolary w ramach pomocy wojskowej dla kraju walczącego

z ludnością cywilną. Zarabiała krocie w ramach pomocy wojskowej pochłaniającej miliony wyssane poprzez LOGCAP. I jeśli popatrzeć na to z perspektywy kraju, kumulowała pieniądze dzięki bezsensownej, niekończącej się, napędzanej przez aparat ścigania i napędzającej system penitencjarny wojnie z narkotykami, tej samej wojnie, która zapędza społeczeństwo w cichy apartheid edukacji, pracy, prawa i sprawiedliwości. To było właśnie to. To musiało być to. A jednak wciąż czułem, że czegoś mi w tym wszystkim brakuje, jakiegoś kluczowego elementu, którego nie było widać gołym okiem. Przyjrzałem się jeszcze raz miejscom, w których Halliburton działała za pomocą spółek.

AMBO. To było słowo klucz. Pojawiło się w dwóch artykułach. Pierwszy mówił o Trans-Bałkańskim rurociągu budowanym przez Albańsko-Macedońsko-Bułgarskie konsorcjum. Drugi z kolei mówił o Bondsteel – największej od czasu Wietnamu amerykańskiej bazie wojskowej na terytorium innego kraju. Włączyłem mapę Kosowa i znalazłem lokalizację obu obiektów. Baza, która w założeniu miała jedynie zapewnić powrót i bezpieczeństwo uchodźców z Kosowa nie tylko pozostała na miejscu po zakończeniu konfliktu, bo jest tam do dnia dzisiejszego, ale, jak się okazało, znajduje się w pobliżu rurociągu, który zaczyna się na wybrzeżu Morza Czarnego, biegnie przez Bułgarię, Serbię i dalej na północ na Węgry. Nagle cały konflikt w Kosowie i interwencja NATO, pierwsza agresywna interwencja tego paktu obronnego w historii jego istnienia, nabrały zupełnie nowego wymiaru. Sprawdziłem wszystko jeszcze raz i, o dziwo, zgadzało się. Jakby nie dość było, że Brown & Root wybudował, obsługiwał i rósł w siłę dzięki bazie wojskowej Bondsteel, okazało się również, że przeprowadził wstępną analizę opłacalności projektu rurociągu dla AMBO2. A to z kolei zbliżało mnie niebezpiecznie w rejony teorii spiskowej.

Jak inaczej wytłumaczyć obecność jednego z głównych amerykańskich kontrahentów wojskowych, robiącego interesy w newralgicznym punkcie między Rosją, Bliskim Wschodem a Europą, w rejonie, przez który biegnie korytarz energetyczny łączący Europę z producentami ropy i gazu w rejonie Morza Kaspijskiego, jeśli nie zamierzonym z góry biznes planem?

Musiałem odetchnąć. Wstałem, poszedłem po wodę do kuchni i zaparzyłem nowy kubek kawy. Teoria tego rodzaju była zbyt grubymi nićmi szyta, żeby popadać w paranoję. W innych okolicznościach wciąż tkwiłbym przed monitorem, szukając uparcie dziur w tej historii, ale nie teraz. Dotarłem do punktu, w którym wiedziałem już, że żadna teoria spiskowa nie ma racji bytu w naszej rzeczywistości. Jedyne, co liczy się, to fakty. I choćby nie wiem, jak niesamowite zbiegi okoliczności kierowały interesami firm i decyzjami rządów i tak wszystko zostanie zgniecione pod ciężarem kpiącej nazwy „teoria spiskowa”.

Jednocześnie jednak wciąż czułem, że nie powinno tak być, że nawet jeśli nie uda mi się niczego zmienić, powinienem chociaż spróbować. Bo jeśli

rzeczywiście na Bałkanach toczyła się gra o ropę, a nie, jak oficjalnie twierdzono, o ochronę ludności cywilnej, to w jakim kierunku zmierzała nasza zachodnia cywilizacja? Jeśli zarząd Halliburton był świadomy nadchodzących konfliktów, jeśli firma zawsze działa w ten sposób, to jak bezwzględni muszą być jej prezesi w prowadzeniu interesów wokół innych, mniej uzasadnionych konfliktów na świecie?

Musiałem to sprawdzić. Nie chodziło już o zwykłą ciekawość, ale o rosnące poczucie niesprawiedliwości i bezsilności wobec urastającego do kolosalnych rozmiarów spisku. Do czasu, kiedy słońce zaszło, a ja obolały wstałem od biurka, wiedziałem już wystarczająco dużo, by zamknąć wątek podsunięty mi przez Rory'ego.

Sprawdziłem wszystkie możliwe miejsca, w których podwykonawcy, filie i spółki Halliburton robiły interesy w przeciągu ostatnich dziesięciu lat. Tym razem zaskoczenie było nieco mniejsze.

Gdy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku Reagan nałożył sankcje na Libię za wspieranie terrorystów, Halliburton nie przestała prowadzić interesów w tym kraju. Przeniosła jedynie całą działalność do siedziby w Londynie². I nie chodzi o to, czy projekt największego na świecie podziemnego akweduktu, który budowali, był pożyteczny czy nie. Chodzi o to, że gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku ONZ wprowadziło sankcje, Halliburton wciąż kontynuowało interesy z reżimem. Co prawda zyski zmniejszyły się z czterdziestu czterech milionów w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku do dwunastu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, ale i tak ta kwota była wystarczająco kusząca, by nawet pod kierownictwem Cheney'a ignorować sankcje⁷.

Podobnie zresztą było w przypadku Iranu. Halliburton miała biuro w Teheranie od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, kiedy to podpisała kontrakt o wartości ośmiuset milionów dolarów na budowę bazy dla irańskiej marynarki wojennej². Gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku Kongres zatwierdził uchwałę o sankcjach przeciw Iranowi, Halliburton wciąż działała w ramach podpisanych wcześniej kontraktów. Jediną konsekwencją poniesioną przez firmę była ugoda podczas procesu wytoczonego jej przez Departament Handlu. Halliburton zgodziła się na piętnaście tysięcy dolarów kary, nie przyznając się jednocześnie do popełnienia jakiegokolwiek wykroczenia².

Kolejnym punktem orientacyjnym na kursie arogancji Halliburton był Irak. Gdy w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku Saddam Husajn najechał na Kuwejt, ówczesny szef Departamentu Obrony Dick Cheney odbył krótką podróż do Arabii Saudyjskiej, by omówić z Królem Fahdem kwestię pomocy wojskowej i obrony przed potencjalną agresją północnego sąsiada. Niespełna pół roku później Irak został pokonany przez wojska koalicyjne – czyli

nasze – a jego przemysł naftowy doszczętnie zniszczony. Wbrew oficjalnemu stanowisku rządu i sankcjom ONZ nałożonym na Irak jeszcze na początku konfliktu w Zatoce Perskiej, Halliburton kontynuował pracę dla Saddama, pomagając przy odbudowie Iraku. Dwie filie firmy, które sprzedano dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku pomagały przy rekonstrukcji przemysłu naftowego Iraku. Były to Dresser–Rand i Ingersoll–Dresser Pump⁷. Dodam tylko, że Dresser była firmą, w której G.H.W. Bush, ówczesny prezydent, otrzymał pierwszą pracę. Ale to też jedynie kolejny zbieg okoliczności.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że obie firmy zarabiała krocie całkowicie legalnie i to właśnie dzięki ONZ, sankcjom i programowi „Ropa za Żywność” wprowadzonym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku⁷. Program pozwalał na importowanie ropy z Iraku w zamian za pomoc humanitarną, którą mogło stanowić wszystko poza towarami, które choćby w niewielkim stopniu mogły mieć zastosowanie wojskowe. Problem w tym, że program był słabo kontrolowany i w zasadzie, podobnie jak sankcje, nie pomógł ludności cywilnej uciskanej przez morderczego tyrana, a wręcz przeciwnie – pogorszył los Irakijczyków, wzmacniając ich dyktatora. Na każde sześć miliardów, które Irak zarobił rocznie w ramach programu, Saddam Hussein przywłaszczył dodatkowo dwa miliardy. Co więcej z pięćdziesięciu siedmiu miliardów, które kraj zarobił na wymianie ropy, jedynie dwadzieścia trzy miliardy zostały wydane na towary, które można sklasyfikować jako pomoc humanitarną². Gdzie się podziła reszta? Spośród firm, które zarobiły na programie, znalazły się właśnie dwie spółki w pakiecie Cheney’a: Dresser–Rand i Ingersoll Dresser Pump Co. Podpisały kontrakty na łączną sumę siedemdziesięciu trzech milionów dolarów⁷.

Saddam Hussein nie był jedynym tyranem, na którym Halliburton zarabiała krocie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku Brown&Root wygrała stu osiemdziesięcio milionowy kontrakt w Azerbejdżanie. Projekt otrzymał dwieście milionów kredytu od Banku Światowego po tym, jak Cheney zabiegał o względy innego dyktatora, prezydenta Azerbejdżanu Heydara Aliyeva. Aliyev, który objął władzę po zamachu stanu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, był również szefem lokalnej komórki KGB,⁷ a co również ciekawe posądzano go o kontakty i bogacenie się dzięki interesom z azerbejdżańską mafią. Gdy dwóch moskiewskich prokuratorów zajęło się badaniem mafii, jednego z nich sąd skazał i usunął z partii, podczas gdy drugiego skazano i zastrzelono. Podobnie działo się w kraju, gdzie azerski prokurator Gamboi Mamedov badał korupcję i powiązania mafijne Aliyeva. Wkrótce po tym, jak został zwolniony, wśród byłych pułkowników Aliyeva wzrosła liczba tajemniczych zgonów, podobnie jak liczba samobójstw wśród członków Azerskiej mafii⁸. Właśnie z tego rodzaju człowiekiem układał się Cheney, a wszystko to

w imię dostępu do ogromnych, nieodkrytych złóż ropy w basenie Morza Kaspijskiego⁷.

Z podobnym brakiem skrupułów interesy przeprowadzano również w Indonezji, gdzie po trzydziestu dwóch latach urzędowania, w maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku prezydent Suharto pozostawił po sobie spuściznę kontraktów przyznanych w warunkach powszechnej korupcji. W tym samym roku indonezyjska organizacja monitorująca korupcję – Indonesia Corruption Watch wymieniła należąca do Halliburton, Kellogg Overseas Corp. jako jedną z pięćdziesięciu dziewięciu międzynarodowych korporacji, które podpisując kontrakty z rodziną Suharto stosowały nepotyczne i korupcyjne praktyki. Co więcej, idąc dalej tym tropem, rząd Indonezji anulował kontrakt z KB&R na budowę elektrowni gazowej w Tangguh. Wspólnikiem KB&R był partner w interesach prezydenta, Muhamad „Bob” Hasan⁷.

Lista występów firmy Cheney wydłużała się. Nabierałem powoli przekonania, że nie ma takiego interesu, z którego kierownictwo Halliburton zrezygnowałoby z błahych, moralnych powodów. Znalazłem potwierdzenie na to między innymi w raporcie EarthRights International, pozarządowej organizacji non-profit pomagającej ludziom w walce o poszanowanie praw człowieka i środowiska naturalnego. Raport poświęcił cały rozdział interesom Halliburton w Birnie w latach, gdy firmie przewodził Dick Cheney.

Birma, która po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku otworzyła rynek na inwestycje zagraniczne, jest rządzona przez jeden z najbardziej morderczych reżimów wojskowych na świecie. W przeciągu dwunastu lat od otwarcia rynku nie odnotowano choćby minimalnej poprawy w poziomie życia mieszkańców. Jedyne, co przyniosły inwestycje, to podwojenie rozmiarów armii i zakup broni, co z kolei zwiększyło represje.

Inwestycje zagraniczne należą do tych najbardziej drapieżnych i nakierowanych na zysk. Jak można się domyślić, Birma nie była tu żadnym wyjątkiem. Pieniądze wpompowano w przemysł wydobywczy, zwiększając wycinkę lasów, wydobywanie kamieni i kruszców, ale przede wszystkim inwestując w eksploatację złóż gazu ziemnego⁷. Głównymi aktorami skandalu związanego właśnie z budową rurociągu gazu ziemnego była amerykańska firma UNOCAL i francuski TOTAL. Wraz z tajlandzką i birmańską firmą państwową utworzyły Konsorcjum Yadana⁹. Odcinek rurociągu Yadana biegnący po dnie morza z platformy wydobywczej u wybrzeży Birmy został zbudowany z pomocą European Marine Contractors (EMC), będącej własnością Halliburton. W trakcie realizacji projektu wojsko Birmy zapewniało „ochronę”, mordując, gwałcąc i torturując setki ludzi. Tysiące mieszkańców birmańskich wiosek zostało przesiedlonych, środowisko naturalne zniszczone, a ci, których zatrudniono przy budowie rurociągu, pracowali w niewolniczych warunkach. W tym samym czasie

zachodnie firmy, jak EMC Cheneya zacierały ręce, licząc krociowe zyski^{7,9,10}.

Według Earth Rights było to dowodem na powstanie nowego i bardzo niepokojącego trendu. Jego koronnym przykładem są działania Rady Handlu Zagranicznego (NFTC) – stowarzyszenia amerykańskich firm, którego odnoga, USA–Engage, stanowi główną przeszkodę dla ruchów demokratycznych w Birmy. Firmy należące do tej grupy, a wśród nich i Halliburton skutecznie sprzeciwiały się i nadal sprzeciwiają wprowadzeniu sankcji wobec reżimu Birmy. W lipcu dwutysięcznego roku NFTC pozwała do sądu sekretarza administracji i finansów stanu Massachusetts, z powodu ustawy „Massachusetts Burma” z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Uchwałę wprowadzono w celu powtórzenia udanego modelu handlowego użytego podczas sankcji wobec RPA w czasach apartheidu¹¹. Naturalnie NFTC wygrała proces i od tego roku może bez przeszkód prowadzić interesy z reżimem.

Sąd wydawał się szczególnie bezwzględny wobec ustawodawcy z Massachusetts i obywateli Birmy głównie dlatego, że lider demokratycznie wybranej partii rządzącej Birma, Aung San Suu Kyi, nawoływał do nakładania sankcji na jego kraj w celu odizolowania i osłabienia brutalnej dyktatury. Jakby wynik rozprawy nie wystarczył, okazuje się, że Halliburton, będąc w centrum koalicji firm naftowych, dodatkowo zażarcie lobbowała przeciw wprowadzeniu sankcji. Nic dziwnego, w końcu w jej najlepszym interesie leżało utrzymanie kontraktu, zachowanie dobrego imienia firmy i uniknięcie kolejnego skandalu na płaszczyźnie kapitał–ucisk–zysk.

Fakt, że do tej pory nie wprowadzono sankcji, jest kolejnym dowodem na to, kto w naszej demokracji podejmuje wiążące decyzje.

Pomyślałem, że to właśnie mogło być to, czego szukałem. Być może nie był to bezpośredni, ale przynajmniej pośredni dowód na to, że amerykańskie firmy przejęły ostatecznie kontrolę nad polityką zagraniczną kraju. Mało tego zrobiły to w całkowicie legalny i niewzbudzający protestu sposób. No, może nie do końca niewzbudzający protestu. Byli przecież ludzie tacy jak Jasmine, Carl i cała armia demonstrantów pod First Union Centre. Byłem też i ja, zagubiony w gmatwaniu powiązań potężnych i wpływowych ludzi sterujących naszą rzeczywistością zza kurtyny korpokracji.

Zastanawiałem się, ilu z moich rodaków zdaje sobie sprawę z tego, w którą stronę zmierza model naszych świątłych i demokratycznych rządów. Jedni zapewne snuli teorie na temat rządu totalitarnego, z inwigilacją, państwem policyjnym i obywatelami zastraszonymi zarówno przez władzę, aparat ścigania jak i media. Niektórzy mogli przepowiadać model korporacyjnego rządu, zakorzenionej w demokracji korpokracji, w której firmy włączają się w system podejmowania decyzji niczym obywatele. Byłaby to korpokracja, w której reprezentowanie grup nacisku będzie mieć miejsce na tych samych zasadach, na

jakich dzisiaj reprezentuje się wyborców z całego kraju. Dla mnie jednak wszystko wskazywało na inny, bardziej nieprawdopodobny scenariusz – nieprawdopodobny lub pełen paranoi, bo nieuchronnie zmierzający w stronę którejś z teorii spiskowych.

* * *

Teorie Spiskowe Gniewu i Obojętności

Czytałem o Halliburton dwie, może trzy godziny. Z tego, co udało mi się potwierdzić, wynikało, że Ameryką rządziła ukryta klika kilkudziesięciu osób powiązanych ze sobą na najwyższych szczeblach polityki i biznesu. Była to sieć obszerna i zawiła. Znajomości, zależności, przysługi i oczekiwania pojawiające się sporadycznie na radarze mediów obserwujących pozory rozgrywek na Kapitolu, dawały jedynie zarys ogólnego problemu, przebłyski mrocznej przyszłości czekającej nas wszystkich. Biały Dom i kongres były jak majestatyczna góra lodowa, sunąca powoli w kierunku Titanica z dwustu osiemdziesięcioma milionami Amerykanów na pokładzie, góra, która pod powierzchnią politycznej rzeczywistości rozciągała się aż do gospodarczego dna zepsutego, skorumpowanego państwa.

Zgłębiając historię Halliburton, zauważyłem, że ogarnia mnie przygnębienie. Fakty zaczynały mnie przytłaczać. Penetrowały bezlitośnie utarty sposób myślenia, moją dziewiczą wizję rzeczywistości, w której część władz jest skorumpowanych, podczas gdy reszta wykonuje pracę względnie uczciwie. Zauważyłem też coś innego. Im dłużej wystawiony byłem na ostrzał informacjami, tym mniej wydawały się prawdopodobne. Zupełnie jakbym czytał powieść szpiegowską z fikcyjnymi bohaterami, a nie prawdziwymi władcami naszego losu. Większość ludzi ma naturalny odruch odcinania się od prawdy, która nie współgra z ich aktualnym stanem wiedzy, światopoglądem lub przekonaniami. Gdybym wystawił kogoś na podobny ostrzał, gdybym w rozmowie zaczął wymieniać wszystko, co odkryłem na temat Cheney'a, atakowałbym nie tylko tkankę miękką czyjejś dumy, wskazując, jak mało wie na ten temat, ale również istotę ich osobowości: zamgloną wizję świata z umownie rozdzielonymi rolami dobrych i złych, agresorów i ofiar. Burząc kruchą równowagę czyichś słabo zakorzenionych przekonań najprawdopodobniej wzbudziłbym jedynie jakiś rodzaj odruchu obronnego. Mówiąc komuś o Cheney'u jako zgubie nas wszystkich, mógłbym wywołać jedyny niewymagający wysiłku,

tani i nie poparty niczym kontrargument: szyderstwo z użyciem słów „teoria spiskowa”.

Nawet gdyby ktoś nie czuł się na tyle pewnie, żeby zasłonić się tą ulubioną obelgą ignorantów, zasłoniłby się naturalnym mechanizmem regulującym ludzkie reakcje: obojętnością. Czytając ten tekst ponownie czuję dwa zachodzące równoległe procesy: gniew i obojętność walczące o umysł i uwagę. Im więcej faktów pojawia się, atakując nasz zespół przekonań, tym łatwiej się im poddajemy i tym bardziej tracą na sile. Tak jak nabywamy odporność na widok krzywdy drugiego człowieka, tak samo stajemy się obojętni wobec chorej rzeczywistości.

Myśl ta zbiegła się z inną: z obawą, że moje zmęczenie w połączeniu z toksycznym naporem prawdy może zabić we mnie wolę walki, motywację niezbędną do przekonania innych. Jak mógłbym pisać o korpokracji, nie wierząc, że można ją zmienić? Jak mogłem być wiarygodny, skoro zaczynałem poddawać się tej niszczyielskiej sile ukrytej w datach, liczbach, nazwach i dziesiątkach nazwisk? Musiałem odciąć się od tego, odprężyć, porozmawiać z kimś o czymś i nabrać dystansu. Potrzebowałem wytchnienia.

Była siedemnasta. Podniosłem się z trudem od biurka, wyszedłem na balkon i wyjąłem komórkę. Przeglądając listę numerów z zażenowaniem odkryłem, że nie ma na niej zbyt wielu osób, do których mógłbym zadzwonić. Mogłem wykręcić numer Jass, ale nie chciałem rozmawiać z nią o Cheneyu. Pytając ją o politykę, mógłbym jedynie stracić w jej oczach, a po naszej ostatniej nocy nie chciałem pogarszać w żaden sposób naszych relacji. Pytając o Cheney'a wyszedłbym na niekompetentnego dziennikarza i najprawdopodobniej straciłaby resztę szacunku, który jeszcze do mnie miała. Z drugiej strony nie chciałem zawracać jej głowy błahymi rozmowami. Telefon po kilku godzinach od jej wyjścia sugerowałaby jedynie moją słabość i uzależnienie, co nie byłoby dobrą informacją.

Zadzwoniłem do Carla, ale nie odebrał. Miał własny krzyż i nie potrzebował słuchać o moim. Była więc tylko jedna osoba, z którą mógłbym pomówić bez obawy, że mnie nie zrozumie. Jako ojciec miałem niepisane prawo zadzwonić do córki, nawet jeśli nie robiłem tego od bardzo dawna.

Gdy tylko usłyszałem głos Pat, zrozumiałem, że potrzebuję również jej, że jest tą częścią mojego życia, która mogłaby dać ukojenie po wszystkich porażkach, jakie poniosłem w życiu. Niestety tym razem, nie zamierzała być tym, kim chciałem.

- Cześć, to ja – powiedziałam.
- Wiem, że to ty. Przecież mam twój numer – fuknęła, jakby ktoś przed chwilą oblał ją winem.
- Coś się stało? – zapytałem.
- Może to ja powinnam zapytać? Czy coś się stało, że tak nagle dzwonisz? Przypomniałeś sobie o córeczce, co?

Jej głos ociekał jadem. Nic dziwnego, nie zadzwoniłem od czasu barbecue. Przez ponad sześć tygodni nie dałem nawet znaku życia, zupełnie jakbym porzucił ją po raz drugi.

– Wiem, że jesteś zła. Masz prawo – powiedziałem.

Jej gniew mnie zaskoczył. Przez moment zapomniałem, po co dzwoniłem. Z pewnością nie chodziło o to, by dowiedzieć się co u niej. Byłem przecież okropnym ojcem.

– Jasne, że mam prawo. Przez moment wydawało mi się, że coś się zmieniło – powiedziała – ale okazałeś się znów przewidywalny. Zawsze można liczyć na to, że nawalisz.

– W porządku, jestem okropny. A teraz powiedz, czy u ciebie wszystko OK? Chwila ciszy wzbudziła moją czujność. Być może nie chodziło tylko o mnie.

– Nie, nie jest OK. Twoja była żona i jej fagas sądzą, że mam wciąż dwanaście lat.

– Dalej się kłóćcie? Myślałem, że już z tego wyrosłaś.

– A ty wyrosłeś z picia? – syknęła. – Pewne rzeczy się nie zmieniają, Jerry. Nie wyrasta się z tego, kim się jest.

Dreszcz przebiegł mi po całym ciele i coś ukłuło mnie w środku. Mimo wszystko byłem jej ojcem. Nie sądziłem, że usłyszę od niej coś takiego. Nagle przestało mi przeszkadzać, że nie odzywałem się przez cały ten czas. Zrozumiałem, że muszę pozwolić jej się wygadać i że muszę odczekać, aż skończy albo się rozłączy.

– Sorry – powiedziała po dłuższej chwili ciszy. – To nie było fair z mojej strony. Przepraszam – westchnęła.

– Ja też przepraszam – odparłem. – Powinienem był postarać się bardziej. Albo wcześniej.

– Daj spokój. To nawet nie twoja wina.

– Więc czyja? Liz? Franka? O co znowu poszło?

– Wiesz, jak to jest. Dzieci opuszczają gniazdo, a rodzice chcą, żeby bez końca latały ze sznurkiem przywiązany do nogi.

– Chcesz się wyprowadzić? – zapytałem. – Matka jest do ciebie bardzo przywiązana, przecież wiesz.

– Nie o to chodzi. Jedziemy ze znajomymi do Ekwadoru. Mają tam zalać kilkanaście wiosek i potrzebują pomocy.

– Dokąd? – rzuciłem, pewien, że się przesłyszałem.

– Do Ekwadoru. Wiesz, to takie państwo w Ameryce Południowej.

Zanim zdążyłem pomyśleć i zastanowić się nad tym, słowa same wypłynęły z moich ust.

– Pat, oni mają rację – powiedziałem. – Też uważam, że nie powinnaś jechać. To zbyt niebezpieczne.

– Boże, Jerry, ty też? – Westchnęła. – Kogo jak kogo, ale ciebie o to nie podejrzewałam. Brzmisz jak matka.

– Mówię serio – to niebezpieczny kraj. Wiesz, co konkretny robią tam z aktywistami w terenie?

– Pewnie to samo co z tubylcami. Ale czy to znaczy, że mam im na to pozwolić?

– Wierz dobrze, że to nie o to chodzi.

– A o co, Jerry? O co chodzi? Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jakie?

– Czy mam pozwolić, żeby robiły to, co im się podoba? Te korporacje mordują ludzi.

Miałem dość tej rozmowy. W przeciągu minuty zmieniła mnie z beznadziejnego ojca w bezdusznego dupka. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rzuciła:

– Tak myślałam. Wiesz co? Może zajmij się tym, czym się tam zajmujesz i zostaw mnie w spokoju, OK? Muszę kończyć. Na razie.

– Na razie, Pat – odparłem i rozłączyła się.

Zostałem pogrążony, a raczej sam się pogrążyłem. Odeszła mi ochota na cokolwiek. Przeszedłem do kuchni, zrobiłem drinka i wróciłem na balkon. Nie musiałem już przed nikim udawać. Czarne oko obiektywu, które jeszcze miesiąc wcześniej śledziło mnie, nie pojawiło się w żadnym z okien. To, co robiłem ze sobą przy pomocy butelki whisky, było naturalne, o wiele bardziej naturalne niż wszystkie wyreżyserowane spektakle na tym balkonie. Opróżniłem szklanekę, wróciłem do kuchni i opróżniłem butelkę. Pamiętam tylko, że później tonąłem w oceanie prześcieradeł.

Nazajutrz rano zbudziłem się z lekkim bólem głowy i potężnym kacem moralnym. Towarzyszyło mu silne przeświadczenie o konieczności udowodnienia sobie własnej wartości, a jedyną wartością, jaką w byłem w stanie w sobie znaleźć, było pisanie. Gdy dotarło to do mnie, poczułem obezwładniające déjà vu, w którym przerabiałem już ten etap zbyt wiele razy. Zaraz potem jednak złudzenie to ustąpiło innej świadomości: spoglądając w głąb siebie dostrzegłem kolejny problem, zrozumiałem, że samo pisanie zniewala mnie, że z każdą zainwestowaną chwilą, godziną i dniem moja psychika domaga się zapłaty, moje ego żąda nagrody w postaci sukcesu lub chociaż odkrycia, które załata na krótką chwilę rozsypujące się poczucie własnej wartości i pewność siebie. Musiałem pisać, bo nie miałem wyboru. Bez pisania stałbym się nikim, zapadłbym się pod gruzami niewłaściwych życiowych wyborów.

Był to więc kolejny dzień tego samego cyklu, z tym że tym razem dodatkowo motywowany świadomym strachem. Zjadłem śniadanie i wróciłem do pracy nad tekstem, do przekopywania źródeł w poszukiwaniu informacji, powiązań

i być może materiałów do kolejnych rozdziałów książki.

Szukanie śladów działalności Cheney'a i Carlyle zajęło mi cały dzień. O Dicku wiedziałem już wiele, był dla mnie uosobieniem mrocznej przyszłości Ameryki. Jego niesłychana umiejętność odnalezienia się w świecie biznesu, naginania prawa i omijania niewygodnych kwestii moralnych były tym, co zabijało Amerykę, którą znałem. Niestety Dick nie był tu wyjątkiem i Rory doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Carlyle Group, o której do tej pory nie wiedziałem prawie nic, okazała się być klasą samą w sobie. Umiejętność funkcjonowania za kulisami, z dala od dziennikarskich fleszy była bez wątpienia cenną umiejętnością i kapitałem zarządu, ale skala i zasięg działania firmy, a także prestiż, jaki na przełomie lat zdobyła, pozwoliły mi dojrzeć spod powierzchni rozmiar i groźbę tego ukrytego Behemota.

Firma była wyjątkowa z kilku względów. Przede wszystkim jako pierwsza firma inwestycyjna wybrała na siedzibę nie Nowy Jork jak większość konkurentów, a Waszyngton, dosłownie rzut kamieniem od Białego Domu i Kongresu. Gdy wszyscy pozostali gracze tłoczą się wokół Wall Street, Carlyle sięga mackami z gniazda wprost do serca demokracji.

O ile Halliburton był pasożytem wojny, przyssanym do budżetu wojskowego jak pijawka, o tyle Carlyle stała się pasożytem całej gospodarki przejmującym kontrolę nad ludźmi podejmującymi kluczowe decyzje w kraju i na arenie międzynarodowej. W przypadku Carlyle więc stawka, o jaką toczyła się gra, okazała się o wiele wyższa.

Ta prywatna firma inwestycyjna była głęboko zakotwiczona w przemyśle zbrojeniowym, przez co stała się dokładnie tym, przed czym prezydent Dwight D. Eisenhower przestrzegał przyszłe pokolenia – ucieleśnieniem kompleksu przemysłowo-wojskowego. Carlyle stanowiła ikonę „Żelaznego Trójkąta” – ścisłej zależności między armią, polityką i wielkim biznesem.

Podczas gdy Cheney był jednoosobowym filarem sukcesu Halliburton, bezcennym nabytkiem i gwiazdą zdolną pozyskiwać wpływowych ludzi, Carlyle była tworem zupełnie wyjątkowym. Rodząc się z niczego, rosła w siłę dzięki układom, koneksjom i kapitałowi politycznemu zwiększającemu się z każdym nowym członkiem zarządu, z każdym doradcą, z każdym reprezentantem pozyskującym nowych inwestorów. Była centrum recydingu zużytych mężów stanu, przygasłych gwiazd polityki, które wchodząc w szeregi firmy nie musiały już ukrywać, gdzie leży ich lojalność.

Uczynili oni z Carlyle twór nietykalny, gdyż do dziś media nie interesują się nimi, choć powinny. Co więcej od początku powstania firmy żadna komisja nie poddała w wątpliwość sposobu w jaki Carlyle prowadzi interesy. Nic dziwnego, nie krytykuje się przecież drużyny, do której chciałoby się należeć.

* * *

Carlyle Group

Żeby zrozumieć naturę Carlyle Group, musiałem poznać okoliczności jej powstania, dowiedzieć się, jak zdobyła pierwszy milion i jak stawiała pierwsze kroki. A trzeba przyznać, nie były to kroki w przejrzyste wody legalnego biznesu.

Carlyle założyli były Menadżer działu fuzji i zakupów w firmie Mariott – Stephen Norris oraz prawnik, były zastępca Szefa Departamentu Spraw Wewnętrznych w gabinecie Jimmy’ego Cartera – David Rubenstein. Pierwszy milion zarobili dzięki systemie ulg podatkowych, które kosztowały skarb państwa prawie miliard dolarów. Kiedy w latach siedemdziesiątych rdzenni mieszkańcy Alaski, nauczeni przykładem Indian z południa, zażądali za zagarniętą przez nas ziemię nie rezerwatów, a pieniężnego ekwiwalentu rząd amerykański zaoferował im dziewięćset sześćdziesiąt dwa miliony dolarów z zastrzeżeniem, że są przeznaczone wyłącznie na inwestycje. Gdy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku okazało się, że niemal wszystkie z inwestycji zbankrutowały, podjęto próbę uratowania pechowych Eskimosów. Ustawodawcy stworzyli ulgę podatkową dla firm, które zechcą wykupić straty eskimoskich firm, odnotowując je jako własne. Za każde siedem milionów przejętych strat amerykańskie korporacje mogły odpisać dziesięć milionów od podatku. Czysty interes. Norris i Rubenstein zarobili w ten sposób pierwsze dziesięć milionów dolarów.

Oczywiście chętnych bankrutów nie brakowało i z czasem pojawiała się ich coraz więcej. Nic dziwnego, zdobycie korporacyjnego wybawcy chętnego zarobić krocie za pomocą kilku podpisów musiało być prostsze niż prowadzenie dochodowego interesu. Chociaż ustawodawca szybko zdecydował się ukrócić ten proceder, Carlyle zdążyła zdobyć początkowy kapitał. Oczywiście była to zaledwie pierwsza pozycja na liście wielu etycznie wątpliwych transakcji dokonanych przez tę grupę kapitałową¹².

Dalsza droga Carlyle Group – firmy nazwanej na cześć luksusowego hotelu dla najbogatszych – jest historią nieustannego budowania marki i zdobywania kolejnych kontaktów, dzięki którym drzwi rządowych gabinetów stawały otworem.

Pierwszym nabytkiem grupy był Frank Carlucci, nazywany również „Czystym Frankiem”, z powodu naturalnej umiejętności załatwienia wszystkiego, czego się od niego oczekiwało. Znany był również z rozwiązywania problemów i niewygodnych sytuacji bez zadawania zbędnych pytań, co również było niezaprzeczną zaletą. Nazywano go także „Spooky Frank Carlucci”²², zapewne

ze względu na barwną przeszłość w kręgach administracji państwowej. Według the London Times, Carlucciego oskarżano o zorganizowanie obalenia Joao Goulart'a w Brazylii (tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty), Abeida Karume w Zanzibarze (tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi) i Salvadora Allende w Chile (tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci). Pewien filmowiec z Kongo umieścił go nawet w filmie dokumentalnym, sugerując, że to właśnie on zorganizował zabójstwo obalonego przez Mobutu Sese Seko, demokratycznie wybranego lidera partii nacjonalistycznej Patrice'a Lumumbę.

Niemniej jednak jego wkład w Carlyle Group nie sprowadzał się jedynie do tworzenia mitu człowieka od „brudnej roboty”. Bez względu na zasadność oskarżeń o udział w owych przewrotach stanu, Carlucci rzeczywiście pełnił funkcję zastępcy szefa CIA od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Kolejnym stanowiskiem, które potem objął, było kierownictwo Departamentu Obrony w gabinecie Ronalda Reagana. Nietrudno się domyślić, że taką znajomością nie można pogardzić, że taka znajomość nie może zaszkodzić w interesach, a wręcz przeciwnie, jest bardzo poszukiwana. Tak więc jego największym kapitałem było dokładnie to, co Dick Cheney wniósł do Halliburton – decyzje, kontakty i wiedza wyniesiona z wielu lat służby w rządzie.

Jako Szef Departamentu Obrony Carlucci zrobił dokładnie to, co po nim Cheney – wprowadził zmiany, które później umiejętnie wykorzystał. Frank stworzył zaawansowany system nabywania sprzętu wojskowego, który faworyzował długoterminowe kontrakty – ergo, duże firmy. Widać tu początek trendu, który niespełna dwa miesiące później kontynuował Cheney. Gdy Frank opuścił Departament Obrony i wskoczył na stanowisko prezesa Carlyle Group, (podobnie jak Cheney w Halliburton) doskonale wiedział, jak wykorzystać stworzony przez siebie system¹².

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym Frank zasugerował partnerom kupno wojskowo–konsultingowej firmy BDM, która, nawiasem mówiąc, okazała się bardzo tania. Cena akcji BDM spadła po tym, jak mąż pewnej pracowniczki BDM, oficer marynarki Melvin Parsley został oskarżony o stronniczość przy przydzielaniu kontraktów wojskowych. Czyżby Frank czuł interes?

Tak czy inaczej BDM wprowadziła Carlyle Group na rynek kupna i przejęć zupełnie nowego rodzaju firm – firm zbrojeniowych. Dzięki decyzji kupna BDM dwa lata później spółka mogła zakupić Vinnel – firmę, która zmieniła wszystko¹².

Ale zanim do tego doszło Carlyle Group nawiązało kolejny ważny kontakt. Fred Malek, konsultant Carlyle, a jednocześnie były przewodniczący Krajowego Komitetu Republikanów i dobry przyjaciel G.H.W Busha przyjął do zarządu Caterair, firmy będącej w pakiecie nabytków Carlyle, nikogo innego jak syna ówczesnego prezydenta – G.W. Busha, przez co ranga firmy znów skoczyła w górę. Jak się wkrótce okazało Bush junior nie był ostatnim nabytkiem firmy¹².

Kolejną ważną zdobyczą Carlyle był syn Króla Arabii Saudyjskiej, Książę Alwaleed. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Carlyle umożliwiła mu zakup dziesięciu procent akcji upadającego CITICORP za sumę pięciuset siedemdziesięciu milionów dolarów, pośrednicząc w całej transakcji. Kongres początkowo nie chciał się zgodzić na sprzedaż, twierdząc, iż sprzedaż tak dużej części spółki obcokrajowcowi nie leży w interesie państwa.

Okazało się jednak, że odrobina starań ze strony Carlyle wystarczyła, by transakcja doszła do skutku. Niedługo po tym Książę Alweed okazał wdzięczność swym nowym pośrednikom, zwracając się do nich o pomoc po raz kolejny, tym razem przy zakupie Euro Disneylandu. Nagle ta nieznana dotąd firma zaczęła liczyć się na rynku. Co więcej Carlyle zdobyła dobrą opinię w Arabii Saudyjskiej, a to nie mogło pozostać bez echa¹².

Kontakt z księciem Alweedem i poważanie wśród rodziny królewskiej Arabii Saudyjskiej przydały się przede wszystkim po zakupie spółki Vinnel w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Firma, o której w tamtych latach tak naprawdę niewiele było wiadomo, była w rzeczywistości pionierem wśród amerykańskich najemników. Już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku Pentagon wynajął ją, by szkoliła wojska Saudyjskie w celu ochrony pól ropośnych przed potencjalną agresją z Bliskiego Wschodu. Tysiąc komandosów świeżo po powrocie z Wietnamu miało współpracować z dwudziestoma sześcioma tysiącami członków Gwardii Narodowej chroniącej rodzinę królewską. Kontrakt opiewał na siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. Nikt chyba nie zastanawiał się wtedy, jakie skutki dla przyszłości i charakteru Gwardii Narodowej może mieć ekspertyza tych najtwardszych, najbardziej skutecznych egzekutorów w armii USA¹².

Chociaż kontrakt podpisany między Pentagonem, a Vinnell miał być jednorazową misją treningową, firma pozostała w Arabii Saudyjskiej po dzień dzisiejszy. Chociaż Pentagon zarzekał się, że Vinnell nie będzie szkoliła Gwardii Saudyjskiej w taktyce naziemnej i manewrach wojskowych, najemnicy Vinnell byli widziani walczący ramię w ramię z żołnierzami Arabii Saudyjskiej przeciw siłom Saddama podczas wojny w Zatoce Perskiej.

I na koniec: chociaż Carlyle w końcu sprzedała Vinnel w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, firma nie tylko pozostała w Arabii, ale co gorsza przyciągnęła za sobą innych najemników. Za jej przykładem w stronę Saudów popłynął strumień prywatnych kontrahentów gotowych podjąć się każdego zadania za odpowiednie wynagrodzenie. Firmy te znajdują się całkowicie poza kontrolą naszego państwa, kierują się jedynie zyskiem i są w stanie zapewnić wszelkiego rodzaju usługi, w tym jednym z najbardziej autorytarnych islamskich reżimów na świecie^{23,12}.

Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy to BDM

kupiła Vinnell Gwardia Narodowa Arabii zdążyła rozrosnąć się z dwudziestu sześciu do siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Czy ktokolwiek zwracał na to uwagę? Zapewne niewielu ludzi zaprzętało sobie głowę konsekwencjami obecności amerykańskiej firmy gdzieś na drugim końcu świata. Nic dziwnego. Nawet gdy dwa lata po zakupie, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, samochód pułapka wybuchł w Rijadzie, niszcząc biura Vinnell i BDM, zabijając siedem osób, w tym pięciu Amerykanów, szum medialny wokół zamachu nie trwał zbyt długo¹².

Należało wtedy zadać sobie jedno proste pytanie: dlaczego podwładni obcego kraju mieliby nie przepadać za amerykańską firmą? Czy z tego samego powodu, dla którego nie przepadają za skąpaną w dolarach rodziną królewską?

Nie musiałem długo szukać analogii do sytuacji, w jakiej znaleźli się poddani króla Fadha. Była nią Kolumbia. To właśnie w Kolumbii DynCorp, podobnie jak Vinnell w Arabii szkolił lokalne wojsko, zasilając tym samym szeregi licznych grup paramilitarnych. Nasi doświadczeni komandosi tworzyli nowych, utalentowanych specjalistów od taktyki antypowstańczej, walki w terenie i zapewne wielu innych technik, o których w oficjalnych źródłach dowiadujemy się dopiero po wielu latach. Jedyna różnica polegała na tym, że w Kolumbii nazywamy to Wojną z Narkotykami, podczas gdy w Arabii ochroną amerykańskich interesów lub, jak kto woli, ochroną pól roponośnych.

Kolejnym nabytkiem w zespole Carlyle był gracz z pierwszej półki, Sekretarz Stanu w gabinecie G.W.H. Busha, sam James Baker III. Zanim w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku wszedł do zarządu spółki, przepracował dwanaście lat w rządzie, przeprowadził pięć kampanii prezydenckich, nie mówiąc o obecnym wsparciu podczas kampanii Busha juniora. Był najbardziej doświadczonym i wpływowym członkiem Carlyle od czasów Carlucciego i jak do tej pory zapewne najbardziej „dochodowym” nabytkiem. Jakby tego było mało wraz z nim do firmy dołączył Richard Darman, Szef Biura Zarządzania i Budżetu w gabinecie G.H.W. Busha. Carlyle nabrała więc blasku w świecie finansów. Z nazwiskiem takim jak Baker wszystko stawało się prostsze¹².

Niebawem, bo w tym samym roku, do grupy dołącza George Soros, multimilioner i międzynarodowej sławy inwestor, człowiek, który notabene rok wcześniej niemal doprowadził do klęski brytyjski system bankowy poprzez spekulacje ceny funta. Zainkasował na tej grze okrągły milion dolarów, stając się w Wielkiej Brytanii wrogiem publicznym numer jeden, a wśród giełdowych graczy bohaterem. Soros nie tylko zainwestował sto milionów w Fundusz Carlyle Partners, ale przede wszystkim podniósł prestiż firmy i jej wiarygodność wśród inwestorów¹².

Na tym etapie w elitarnym klubie Carlyle znajdowali się już byli Szef

Departamentu Obrony i zastępca CIA w jednej osobie, przyjaciel byłego prezydenta, Sekretarz Stanu, Spekulant Finansowy, Księżę Arabii Saudyjskiej i Gubernator Teksasu. Całkiem niezłe jak na firmę, która rozpoczęła żywot od przekreślenia sześć lat wcześniej. Problem jedynie w tym, że za przysługi trzeba płacić, a kto jak kto, ale G.W. wie o tym doskonale.

Rok po inwestycji Sorosa, a kilka tygodni po tym, jak Bush młodszy zostaje Gubernatorem Teksasu, jego „opiekun” Tom Hicks, mianowany przez G.W. do zarządu Uniwersytetu Teksas, tworzy UTIMCO, firmę zarządzającą funduszami Uniwersytetu Teksas. UTIMCO inwestuje dziesięć milionów w Carlyle Partners II, fundusz zarządzany przez Carlyle, tę samą firmę, która zatrudniała go w Caterair, zaledwie kilka miesięcy wcześniej¹².

Czy ktoś przejmował takimi szczegółami? Prasa milczała, telewizja również. Etyka w biznesie stała się pojęciem abstrakcyjnym. Nikt nie zwracał uwagi na takie drobiazgi, a z pewnością nie prawdziwi gracze w tej międzynarodowej rozgrywce. A trzeba powiedzieć, że właśnie od tego momentu Carlyle Group weszła na arenę międzynarodową.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku dotychczasowy wróg spekulanta Sorosa, odchodzący ze stanowiska premier Wielkiej Brytanii John Mayor, zostaje zatrudniony w Carlyle jako doradca. Stawka po raz kolejny podnosi się.

W maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku ni stąd ni zowąd dowiadujemy się z mediów, że sam G.W.H. Bush również pracuje dla Carlyle. Odwiedza w tym czasie Koreę Południową, czego wynikiem jest inwestycja miliarda dolarów w gospodarkę tego kraju. Bush, który nie figurował jako pracownik Carlyle na oficjalnej stronie firmy, oblatywał pół świata, dawał przemowy i spotykał się z głowami państw. Bez względu na to, jaką funkcję oficjalnie obejmował, dla mnie był kimś więcej niż twarzą grupy – był inkasentem. G.W.H. Bush pozyskiwał fundusze lub dobrą wolę osób decyzyjnych, wykorzystując do tego kontakty, a być może nawet obiecując coś w zamian, na przykład względy u przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych – swojego syna, Busha juniora.

Wydawać by się mogło, że to wszystko. Myślałem, że nic mnie już nie zaskoczy, ale okazało się, że to nie koniec. Albowiem nadgorliwość architektów Carlyle zaczęła w końcu odwracać się przeciw nim. Otóż w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, były Skarbnik Stanowy w Connecticut, Paul Silvester, rezygnował z intratnej pozycji w Park Strategies, firmie robiącej interesy z Carlyle po tym, jak FBI rozpoczęło śledztwo dotyczące inwestycji, które poczynił, pełniąc swój państwowy urząd. Jakich inwestycji dokonał? Silvester zainwestował w Carlyle Group pięćdziesiąt z ośmiuset milionów dolarów funduszy emerytalnych, którymi zarządzał jako Skarbnik

Stanowy.

Niespełna dwa miesiące po rezygnacji z etatu w Park Industries, Silvester przyznał się w sądzie do korupcji. Śledztwo wykazało, że dokonał inwestycji na dwa miesiące przed opuszczeniem biura i to właśnie za pośrednictwem Park Industries – partnera Carlyle Group. Szef Park Industries, który zatrudnił Silvestera zaraz po dokonanej przez niego inwestycji, otrzymał od Carlyle Group dziewięćset tysięcy dolarów zupełnie legalnej, niezobowiązującej premii. Co więcej w styczniu dwutysięcznego roku Amerykańska Agencja Prasowa doniosła, że biuro Skarbnika Stanowego w Connecticut oprócz wspomnianej inwestycji, wypłaciło Carlyle Europe Partners dwa miliony dziewięćset siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Za co Carlyle otrzymała tę premię? Do dnia dzisiejszego nie wiadomo¹².

I tak oto wygląda Carlyle Group, firma inwestycyjna, której głównym polem działania nie są banki, ubezpieczenia czy służba zdrowia, a kompleks przemysłowo–zbrojeniowy, arena, na której inwestuje po cichu, za plecami mediów lub z ich niemym przyzwoleniem. Domeną Carlyle jest więc przemysł, który jest ściśle związany z wydatkami na armię, który gromadzi kapitał i bogaci się najbardziej w czasach wojny i kryzysu, bez względu na to, jak nazwiemy ten kryzys. Możemy prowadzić akcję humanitarną, misję stabilizacyjną, wzmacniać bezpieczeństwo narodowe lub walczyć z narkotykami, nazwa jest obojętna. To, co jest najważniejsze to to, że za decyzjami sztabu kryje się zysk.

Co więcej jest to przemysł tak bardzo dotowany i tak mocno sprzężony z gospodarką, że jakakolwiek próba ograniczenia wydatków, a co za tym idzie zmniejszenia zapotrzebowania na sprzęt, wiązałyby się ze zwolnieniami dziesiątek, jeśli nie setek tysięcy pracowników i kryzysem gospodarczym w całym kraju. Jest to przemysł tak bardzo sprzężony z polityką, że trudno wyobrazić sobie jakakolwiek inną gałąź gospodarki, która mogłaby tak bardzo uzależniać od siebie bezpieczeństwo państwa, politykę zagraniczną i przede wszystkim beztroski pociąg do wojny. Lufy karabinów wojska muszą być naoliwione i sprawne. Jedynie wtedy biznes się kręci jak należy. Pozostaje więc tylko jedno pytanie: w którą stronę skierować lufy, by samemu zarobić i dać zarobić innym?

* * *

Teorie Spiskowe Nadziei i Złudzeń

Obraz, który wyłaniał się z historii Carlyle nie nappełniał optymizmem.

Gdyby nie Jass zapewne siedziałbym już w którymś z foteli przybity i zrezygnowany, sięgałbym po butelkę i rozważał te nieliczne opcje, które mi pozostały. Niewiedza jest błogosławieństwem, ignorancja wyrachowaniem, natomiast świadomość zbliżającego się kataklizmu może być tylko ciężarem. Gdyby nie Jass, gdyby nie ta iskra bożej mocy skrytej pod zwierciadłami jej oczu, gdyby nie jej wiara kłębiąca się na dnie duszy... Cóż. Gdyby Jass nie znalazłbym w sobie siły, by walczyć dalej, nie sięgnąłbym po telefon i nie wykręcił jej numeru.

– Słucham, kto mówi? – odezwał się męski głos po drugiej stronie.

– To ja pytam, kto mówi? – odparłem zdziwiony. – Chcę rozmawiać z Jasmine.

– Jassie, ktoś do ciebie! – Stłumiony głos mężczyzny wydawał się brzmieć beztrasko.

– Przykro mi, ale nie może teraz rozmawiać – dodał po chwili. – Bierz prysznic. Przekazać coś?

Zamarłem. Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Mężczyzna po drugiej stronie najwidoczniej wyczuł moje napięcie, bo powtórzył:

– Czy mam coś przekazać? Mogę powiedzieć, że pan dzwonił.

– Nie, dzięki – odparłem i rzuciłem słuchawkę.

Musiałem wziąć głęboki oddech. Rozejrzałem się po pokoju i niemal biegiem ruszyłem na balkon. Gdy stanąłem na zewnątrz, oparłem dłonie o balustradę i zacisnąłem mocno na metalowej rurce. Stal barierki była lodowata, podobnie jak kafle pod bosymi stopami, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Musiałem wyjść z klaustrofobii pustego mieszkania. Nabrałem powietrza, jakby od tego zależało moje życie. I chyba tak właśnie było. W tamtej chwili czułem, że wszystkie układy maszyny w moim ciele przechodzą na wyższy bieg, napędzany adrenaliną i testosteronem. Obraz przed moimi oczami zadrżał, a serce przyśpieszyło i biło jak oszalałe. Czułem, jak cały pulsuję, a rozpalone gniewem ramiona, dłonie i pierś, szyja, oczy i skroń słuchają jedynie owego głosu, dzikiej dyktatury serca.

– Kim, do diabła, był ten facet?! – pomyślałem.

– Przecież Jass nie jest aż taką szmatą!? – syknąłem. – Nie może być szmatą! – powtórzyłem – Nie może być!

Po kilkunastu sekundach lodowate kafle zaczęły parzyć stopy. Cofnąłem się o dwa kroki i stanąłem na drewnianej podłodze salonu. Tkwiałem tam dłuższą chwilę, wpatrując się tępo w blok naprzeciwko i nie mogłem się nadziwić, jak naiwnym idiotą byłem. Serce wciąż waliło jak oszalałe i za nic nie mogłem go uspokoić.

I wtedy zadzwonił telefon.

Odwróciłem się i rozejrzałem po pokoju zdezorientowany, szukając źródła dźwięku. Po trzecim sygnale ocknąłem się. Telefon świecił w rogu kanapy, drżąc

i wydając z siebie melodię „Riders of the Storm”.

Zacisnąłem pięści i podszedłem do kanapy. Sięgnąłem po porzuconą komórkę. Słowa Jima Morrisona zaczęły wwiercać się w świadomość, wypełniać ją i nasycać, dając dziwną, mroczną siłę.

– Słucham – powiedziałem, próbując zapanować nad głosem.

– Cześć, skarbie – rozbrzmiał dźwięczny głos po drugiej stronie. – Wybacz, że nie odebrałam, ale brałam prysznic.

Nie odezwałem się. Wolałem milczeć. Milczenie nie burzy rzeczywistości tak jak ciężkie, wypełnione furją słowa.

– Jerry? Jesteś tam? – zapytała zdziwiona.

– Cześć – wydusiłem w końcu.

– Cześć. Wszystko OK?

– Jass?

– Tak?

– Zrozumiem, jeśli nie odpowiesz, być może to nie moja sprawa, ale jednak chciałbym wiedzieć... – Urwałem, zastanawiając się, jak o to zapytać.

Czułem, jak furia przechodzi w złość, a ta momentalnie ustępuje obawie. Nagle uświadomiłem sobie, że nie mogę jej stracić, że bez niej stracę wszystko i pogrążę się w koszmarze myśli.

– Jerry? O co chodzi?

– Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale chciałbym wiedzieć. Po prostu chciałbym wiedzieć...

– Powtarzasz się, zdajesz sobie z tego sprawę? – W jej głosie słychać było rozbawienie.

– Kim był ten facet? – zapytałem.

– Kto? A ten? Ten tutaj, który siedzi przed komputerem? To mój kuzyn. James.

– Twój kuzyn?

– Tak. Głuchy jesteś? Przecież mówię. Mój kuzyn. – Zaśmiała się bezlitośnie. – Jest znajomym Nicka. Umówił nas na jutro.

– Przecież mówiłaś, że Nick to twój znajomy?

– Tak, ale tylko James wie, gdzie on teraz mieszka. Poza tym Jamie ma z nim lepszy kontakt. Ustawił nas na jutro po południu. Co ty na to?

Wydobyłem z siebie ciche westchnienie. Przetarłem zmarszczone brwi i czoło. Odczekałem chwilę i odparłem.

– Mam teraz dużo roboty i niezbyt wiele czasu – powiedziałem.

Mogłem uwierzyć w bajkę o kuzynie albo nie. Wybrałem to drugie i od razu, asekuracyjnie, zacząłem ją tłumaczyć. Pomyślałem, że to tylko jeden wyskok, że skłamała, bo jej zależy, że gdyby tak nie było, nie umawiałaby mnie z Nickiem.

Z drugiej strony cała perspektywa rozmowy o Kolumbii straciła nagle

jakikolwiek sens. Mógłbym to zrobić dla niej, ale właściwie dlaczego? Przecież była z innym facetem...

– Co ty opowiadasz? Przecież jesteś bezrobotny – powiedziała, wrywając mnie z szamotaniny myśli.

– Słucham?

– Jak to nie masz czasu? Co takiego ważnego robisz, że nie możesz poświęcić nam pół godziny?

– Mogę się z tobą spotkać, ale bez tego faceta.

– Zabawne. – Zaśmiała się. – To samo powiedział Nick. No dobrze, ale teraz mówię serio. Przecież jedno popołudnie cię nie zbawi, prawda?

– Naprawdę, Jass. Nie teraz, może później, ale nie teraz. – Próbowałem zbyć ją, zanim powiem coś, czego będę żałował.

– Daj spokój! Gdzie się podziała twoja dziennikarska dociekliwość?

– Moja dociekliwość... – Nie wytrzymałem. – Zakończyła się wraz z pierwszą sylabą wypowiedzianą przez twojego „kuzyna” – powiedziałem, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Boże... Jerry, jesteś jak dziecko. Chcesz się zobaczyć czy nie?

– Zastanowię się – odpowiedziałem. – Na razie – dodałem i się rozłączyłem.

Nie byłem pewny, czy to była dobra decyzja, ale życie nauczyło mnie, że kobietom takim jak Jasmine lepiej zbytnio nie ufać. Odłożyłem telefon, spojrzałem na roztrzęsione dłonie i sięgnąłem po papierosy. Nikotyna była zawsze idealnym panaceum. Prawie tak dobrym jak whisky.

W pokoju nie było whisky. A przynajmniej nie w zasięgu wzroku. Po raz pierwszy los oszczędził mnie w krytycznym momencie. Zamiast upijać się na umór zmieniłem spodnie, wsunąłem buty, narzuciłem na plecy kurtkę i wyszedłem. Wiedziałem, że cztery ściany nie pomogą, a jedynie spotęgują rosnący żal i gniew.

Zszedłem na dół. W połowie schodów na wysokości drzwi Rory'ego zatrzymał mnie niecodzienny widok. Drzwi do jego mieszkania były otwarte, a jakaś dwudziestoparoletnia dziewczyna wносиła do środka duży, zapieczętowany karton. Stałem przy drzwiach i zajrzałem do środka. Jej pośladki wyglądały pięknie w półmroku przedpokoju Scotta. Miała długie, rude włosy i zgrabną figurę. Położyła karton na podłodze, wyprostowała się i odwróciła w moją stronę. Jej wzrok był obojętny. Zupełnie jakby mnie tam nie było. Spojrzałem na przedpokój z nadzieją, że Rory pojawi się za jej plecami, przedstawi nas i wytłumaczy, skąd wziął tak piękną córkę, bratanicę lub kochankę, wszystko jedno.

Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Obrzuciła tylko podejrzliwym spojrzeniem, cofnęła się o krok i zanurzyła prawą dłoń w torebce.

– Czego chcesz? – warknęła i spojrzała na torebkę, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że trzyma w niej niebezpieczne narzędzie.

– Spokojnie, spokojnie. Nie ma powodu do stresu. Jestem kolegą Rory'ego.

Nazywam się Jerry Dawson. Mieszkam piętro wyżej.

– Że co? – odparła wyraźnie zdziwiona.

– Jerry Dawson, spod ósemki. Czy Rory jest w domu?

– Kto? – Jej głos zdradzał zniecierpliwienie.

– Rory Scott, mieszka tutaj. To numer 2, zgadza się?

– No zgadza się. Ale ten koleś już tutaj nie mieszka. Wyprowadził się dzisiaj rano.

– To niemożliwe – powiedziałem, opierając dłoń o futrynę.

– Ani kroku dalej – syknęła. Uniosła spray z gazem łzawiącym i wycelowała w moją stronę.

– W porządku. Tylko spokojnie. – Podniosłem dłonie w geście kapitulacji. – Powiedz mi tylko, gdzie jest Scott i znikam.

– Jesteś jakimś świrem czy jak? Powiedziałam ci przecież, że stary się wyniósł. Zapytaj drugiego starego – szepnęła, wskazując na wyłaniającego się zza drzwi właściciela budynku. Tom wychylił łysą chwiejącą się głowę i wyszedł na korytarz.

– Czy Scott się wyprowadził? – zapytałem.

– Kto?

– Scott, mężczyzna, który tutaj mieszkał.

– Tutaj nikt taki nie mieszkał. – Starzec mrugnął porozumiewawczo i uśmiechnął się. – Jego zachowanie było co najmniej dziwne. Sam brak przekleństw i uprzejmy ton podpowiadały, że coś było nie tak.

– Boże! To jakiś dom wariatów – powiedziałem. Zostawiłem w spokoju nową rudą sąsiadkę i ruszyłem w stronę wyjścia. Tom w ostatniej chwili podniósł laskę i zahaczył ją o moje ramię.

– Chwilunia – powiedział konspiracyjnym głosem. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę cichy chichot. Odwróciłem się. Tom uwolnił mnie z drewnianego uchwytu, opuścił laskę na podłogę i podszedł bliżej. Z trudem się nachylił, przywołując mnie gestem dłoni, rozejrzał się czujnie wokół i szepnął:

– Powiedział... Powiedział, żebyś... – Tom przerwał na moment i jeszcze raz sprawdził korytarz, omiatając go wzrokiem. – A niech to szlag! – burknął poirytowany. – Za stary jestem na to! – Wyjął z kieszeni zmięty kawałek papieru, rozwinął, podniósł na wysokość oczu i odczytał. – Powiedział, żebyś „trzymał się tej dziewczyny”, bo „ona pomoże ci przy ostatnim rozdziale”. Aha... i powiedział też, żebyś uważał na Nicka.

Spojrzałem na niego, nie wiedząc, czy żartuje, czy może po prostu jestem kolejną ofiarą telewizyjnego spisku. Starzec prychnął, zacharczał i odkrztusił coś. Po czym klepnął mnie po ramieniu i powiedział:

– No, zrobiłem swoje. A teraz idź już i nie pytaj więcej o nic. I tak za dużo czasu straciłem na te zabawy. I to wszystko za marne dwadzieścia dolców.

Barbarzyństwo. Po prostu barbarzyństwo! – powtórzył, odchodząc chwiejnym krokiem.

W międzyczasie rudowłosa zdążyła wyjść na korytarz, zamknęła drzwi i przyglądała się nam podejrzliwie przez krótką chwilę. Próbowałem pojąć, co się właśnie stało. Wpatrywałem się w plecy odchodzącego Toma, a kiedy zniknął za drzwiami, zrobiłem krok w tył, oparłem się plecami o ścianę i zamarłem, próbując ułożyć myśli w konkretną całość. Dziewczyna po mojej prawej zmierzyła mnie kocim wzrokiem z wyrazem politowania na twarzy i z nieskrywanym poczuciem wyższości minęła mnie, kierując się w stronę wyjścia. Chciałem się uśmiechnąć, ale nie mogłem. Pozostało mi jedynie patrzeć, jak odchodzi nieśpiesznym krokiem w stronę miejskiej dżungli.

Gdy tak siedziałem i patrzyłem na jej oddalające się, lekko kołyszące biodra odczułem ulgę. Nie miałem siły na rozmowę z kimkolwiek. Po uldze natychmiast nadeszło zmęczenie, które opadło powoli na rozdarty emocjami umysł i rozlało się po najgłębszych zakamarkach duszy. Zmęczenie było ciężkie i obezwładniające. Niosło ze sobą jakąś niepokojącą myśl – świadomość zawołowaną i ukrytą, która tylko momentami przeblyskiwała złowieszczym blaskiem między warstwami myśli.

I dopiero wtedy, wpatrując się w nicość, świadom kolejnego zachwiania świeżo wzniesionego muru faktów, zrozumiałem, że to nie mógł być przypadek, że zniknięcie Carla, wyprowadzka Rory'ego, włamanie do mieszkania i śledzący mnie motocyklista nie mogło być dziełem przypadku. Wszystko to w jakiś niejasny i jednocześnie logiczny sposób łączyło się. Nie miałem pojęcia dlaczego, ale czułem, że wszystko to ma ukryty wspólny mianownik. Dreszcz niepokoju przebiegł mi po plecach.

– Przecież Rory wiedział o Nicku. Skąd mógł wiedzieć o Nicku? – pomyślałem. – Jeśli założył mi podsłuch w telefonie, po co zdradzał się, wysyłając Toma z ostrzeżeniem? No i dlaczego wyniósł się tak nagle? Czyżby miało to jakiś związek z wieczorną wizytą w Pyramid Club? No i co miało znaczyć tanto ostrzeżenie? Powiedział, żebym „uważał na niego”!

Bez względu na to, jak bardzo mi się to nie podobało, wiedziałem, że w którymś momencie będę musiał spotkać się z tym znajomym Jass, poznać go i skonfrontować z rzeczywistością to, co przekazał mi Tom.

Dziś żałuję jedynie, że nie poświęciłem więcej uwagi zniknięciu Scotta. Gdybym wziął go pod uwagę i spróbował dowiedzieć się nieco więcej, być może uniknąłbym późniejszych nieprzyjemności. Ale tak się złożyło, że w tamtym czasie Jass była mi potrzebna bardziej niż kiedykolwiek i jeśli miałem rozwiązywać jakąkolwiek zagadkę, wołałem zająć się tą, która choć trochę przybliżała mnie do niej.

Podniosłem się i wróciłem do mieszkania. Odeszła mi ochota na jakikolwiek

spacer. Usiadłem na fotelu, wykręciłem numer do Jass i zatwierdziłem połączenie.

– No dobrze. Spotkam się z nim – powiedziałem. – Ale potrzebuję trochę czasu.

– Na co? – spytała bez chwili wahania.

– Mam teraz Carlyle i Halliburton pod lupą i nie chciałbym czegoś pominąć. Dlatego zanim przejdę do Kolumbii, chcę skończyć ten temat.

– Szczerze mówiąc radziłabym ci się w to nie mieszać. – Usłyszałem niepokój w jej głosie.

– Chyba żartujesz?! – odparłem rozbawiony. – Ty? Radziłabyś się nie mieszać?

– Nie. Nie, żartuję.

– Podaj choć jeden powód, dla którego miałbym nie opisywać portfolio Carlyle?

– Jeden z moich znajomych badał zlecenia dla United Defense i nie wyszło mu to na dobre.

– A co to ma wspólnego ze mną albo z Carlyle?

– Kiedy wziął na tapetę United Defense, sprawdzał ich dość dokładnie i myślę, że znalazł się ktoś, kto uznał, robił to zbyt dokładnie. Żaden z kongresmenów, z którymi rozmawiał, nie chciał pisnąć ani słowem na temat kontraktów.

– W takim razie wypytywał niewłaściwych ludzi. Zresztą Carlyle ma w pakiecie o wiele więcej firm niż tylko United Defense. No, ale jaki to ma związek ze mną?

– Słuchaj. Chodzi o to, że to był świetny chłopak. Bardzo ambitny. Zrobił dużo dobrego dla nas i dla ruchu. No, a teraz pracuje gdzieś na drugim końcu Stanów. Na jakiejś stacji benzynowej.

– No i?

– Jerry. On zupełnie spasował. To już nie ten sam człowiek. Kiedy pytam go, co się stało, nie chce rozmawiać.

– Nie mogę zrezygnować. Mam już trochę wątków i zamierzam je sprawdzić. Wszystko w końcu zaczyna się zazębiać.

– W takim razie musisz porozmawiać z Nickiem.

– Mówisz tak, jakby to było konieczne.

– Nie zmuszę cię do niczego, Jerry. To twój wybór na czyją pomoc wolisz liczyć, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegłam.

Odczekałem kilka sekund, żeby stworzyć złudzenie niezdecydowania i odparłem.

– No dobrze. Spotkam się z nim.

– Świetnie, Jerry. Cieszę się. To pewny chłopak. Ma mocne zaplecze i dużo informacji. Ale musisz wiedzieć, że jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Musi mieć pewność, że jesteś człowiekiem, za którego się podajesz. Jest trochę wyczulony na tym punkcie.

– A kim według niego jestem?

– Cóż... – Jass zawahała się. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Jass? – Naciskałem. – Co o mnie wie?

– Jeśli jego reputacja nie kłamie, to zapewne dość dużo.

– W takim razie po co miałby się upewniać? – zapytałem. W jej głosie było coś, co mi się nie spodobało.

– Cóż, jakby to powiedzieć... – Westchnęła i wzięła głęboki oddech. – Powiedział, że musi cię sprawdzić. Chce się upewnić, czy, cytuję, „nie jesteś wciąż korporacyjną dziwką”.

– Pięknie! – pomyślałem. – Jeszcze tego mi potrzeba.

– Z drugiej strony... Wiesz co, Jass? Chyba jednak nie mam ochoty się z nim spotkać.

– Daj spokój, Jerry. Zada ci tylko kilka pytań – zapewniała. – Gwarantuję, nie pożalujesz tej rozmowy. To naprawdę łebski facet.

– Podaj choć jeden powód. Choć jeden dobry powód, dla którego miałbym się z nim spotkać.

– Podam ci dwa: – odparła natychmiast – Carlyle i Halliburton.

Zapadła chwila ciszy.

– Co z nimi? – zapytałem.

– Cheney i ta cała klika to może i kiepska wizytówka dla naszej demokracji, ale zapewniam cię, że ich przekręty to zaledwie czubek góry lodowej. Zainteresowanych kontynuacją wojny, nie tylko tej z narkotykami, jest wielu innych. Znacznie więcej niż tylko te dwa zarządy.

– Skoro sami tyle wiecie, dlaczego nie powiedziałaś o tym wcześniej?

– To nie działa w ten sposób, Jerry.

– Nie? A w jaki sposób to działa? Może mi wyjaśnisz? – Zaczynałem tracić nerwy. – Do czego właściwie jestem wam potrzebny?

Jasmine westchnęła i odczekała chwilę.

– Nie my tylko on. Mnie w to nie mieszaj – odparła. – Mogę ci tylko powiedzieć, że potrzebują twarzy, jakiegoś znanego nazwiska.

– Raczej kozła ofiarnego.

– Jerry, widzisz sam, co się dzieje. Powstaje nowy front. Wiesz, jak bardzo ważny jest ten moment. Jesteśmy świadkami budzenia się społeczeństwa. Nie mów, że nie chcesz być częścią tego?

Z mojej strony wyglądało to nieco inaczej. Nieco mniej optymistycznie. Przebudzenie przebudzeniem, ale wszystko wskazywało na to, że łebski i dobrze poinformowany kolega Jass najzwyczajniej w świecie nie chciał nadstawić karku.

Szukał frajera, który pójdzie do prasy, zapuka do drzwi wydawnictw i z obrazoburczą książką w ręku ściągnie na siebie gniew najbardziej wpływowych ludzi w Stanach. Poczulem się jak przynęta na zawodach myśliwskich, a Jass chciała podawać amunicję.

– Kim w ogóle jest ten Nick? – zapytałem zniecierpliwiony.

– Mówiłam ci już. Studentem tutejszego wydziału geopolityki.

– Nie pytałem, co studiuje, tylko czym się zajmuje.

– Jest zwykłym facetem z wielką pasją. Ale ma też po swojej stronie kilku innych bystrych chłopaków. To głównie oni zbierają informacje. W zasadzie to jest trochę podobny do ciebie, tyle że kilka lat młodszy.

– Student? Kilka lat młodszy?

– Nie powiedziałaś, że jest aż tak młody.

Miałem dość tej rozmowy. Wszystko to śmierdziało podstępem. Dlaczego właściwie zależało jej na tym spotkaniu?

– Jerry? – zapytała.

– Tak?

– Chciałabym, żebyś się z nim spotkał. Proszę cię, zrób to dla mnie.

Jej głos zabrzmiał wyjątkowo fałszywie. Przed oczami mimowolnie stanął mi obraz nieznanego Jamesa, rzekomego kuzyna Jass, faceta, który był z nią, gdy brała prysznic. W mojej wyobraźni był wysoki, dobrze zbudowany o cwany spojrzeniu i przystojnej twarzy. Widziałem, jak częstuję go lewym prostym, potem kolejnym i poprawiam prawym hakiem.

Z mojej perspektywy spotkanie z Nickiem nie zapowiadało się wcale obiecująco.

– No dobrze – powiedziałem. – Czyli jutro po południu? Gdzie?

– Dzięki, Jerry. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. – Chwilowy fałsz zniknął bez śladu. Jej słowa znów zdawały się łagodzić moje myśli.

Rozluźniały zaciśnięte pięści.

– Zadzwoń koło jedenastej – powiedziała. – Dzięki, Jerry, to dla mnie dużo znaczy.

– Zapewne więcej niż noc ze mną – pomyślałem ze smutkiem.

– W takim razie do jutra – powiedziałem.

– Do jutra – odparła i odłożyła słuchawkę.

Wyjrzałem przez okno. Było już zupełnie ciemno. Niewidoczne deszczowe chmury zasnuły niebo, a wiatr targał gałęziami obdartymi z liści. Jesień w pełni.

Niepokój, który mieszał się ze złością, podobnie jak wiatr na zewnątrz rósł we mnie, szalejąc wśród półnagich drzew podejrzeń, żalu i niepewności. Nie wiedzieć czemu przywiódł skądś wspomnienie Elizabeth, tej samej Elizabeth, która zdradziła mnie, gdy zdradzałem ją z artykułami, politykami i skandalistami. Nie spodziewałbym się nigdy, że można zniszczyć miłość i złamać małżeńską

przysięgę z tak prozaicznego powodu jak kilka zarwanych nocy, niedotrzymana obietnica czy różnice pasji i temperamentu. Liz określała to jako rozczarowanie, zaniedbanie i samotność, co stanowiło chyba główny problem naszego związku. Problemem była bowiem odmienność języka, którym komunikowaliśmy się ze sobą i którym komunikowaliśmy nienawiść.

Wpatrując się w przestrzeń za oknem, czułem, jak moc i energia, które wypełniały mnie jeszcze tego samego poranka, zniknęły gdzieś, przepadły bezpowrotnie, wydostały się i wyciekły przez nieszczelne warstwy zmęczenia. Jeśli rzeczywiście było jeszcze coś, co mogłem dopisać do książki, powoli przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bush gromadził korporacyjną armię, Carlyle gromadziła kapitał, Cheney gromadził poparcie, a ja mogłem jedynie rozważać, kim jest Rory i co czeka mnie z jego strony. Na domiar złego Jass zamiast być przy mnie, wolała zatrzymać się u „kuzyna”, kimkolwiek by nie był. Rozejrzałem się za nieopróżnioną butelką. Znalazłem ją na dnie zamrażarki. Czekala. Była cierpliwa. Wziąłem ją do dłoni i przejechałem palcem po wypukłej, oszronionej etykiecie. Mówiła coś. Szeptala. Zastanawiałem się, dlaczego tak nalega. Czyżby wyczuwała, jak słaby jestem?

Zacisnąłem zęby i z trudem odłożyłem ją na miejsce. Zamknięcie lodówki okazało się jeszcze trudniejsze. Drzwi zdawały się ważyć tonę. Dopiero gdy je zamknąłem i wszedłem do sypialni, zmęczenie zlitowało się nade mną i stłumiło tę nagłą, destrukcyjną potrzebę. Usiadłem na łóżku, opadłem plecami na posłanie i pozwoliłem, by sen uchronił mnie przed kolejnym upadkiem.

XV. Poligony Imperium

Nazajutrz rano obudził mnie telefon. Spojrzałem na godzinę. Była jedenasta zero jeden. Jass najwyraźniej zależało na tej rozmowie. Komórka dzwoniła ponad minutę, zanim sięgnąłem po nią i odebrałem.

– I jak? Gotowy?

– Cześć, Jasmine. Ciebie również miło słyszeć – powiedziałem bez entuzjazmu.

– Cześć, Jerry. Cześć – rzuciła szybko. – Słuchaj, mam już ustaloną godzinę i miejsce. Irish Pub na Walnut Street, około dwunastej.

Spojrzałem na zegarek.

– Czyli za mniej niż godzinę – stwierdziłem. – Nie wiem, czy zdążę.

– To całkiem niedaleko. Możesz przejść się piechotą.

– Myślałem trochę nad tym, Jass – powiedziałem, przeciągając słowa. – I doszedłem do wniosku, że w zasadzie nie powinienem spotykać się z tym gościem.

– Coś się stało?

– W zasadzie nic – odparłem.

– Więc o co chodzi?

– Po prostu nie wydaje mi się, żeby to spotkanie było w moim interesie. W jego możliwe że tak. W twoim być może. Natomiast w moim? Niekoniecznie. Poza tym cała ta zabawa w sprawdzanie tożsamości pachnie mi antyglobalistyczną bojówką. A ja, jak zapewne wiesz, jestem dziennikarzem. Poza tym nie potrzebuję cudzych problemów. Swoich własnych mam wystarczająco dużo.

– Wiesz, Jerry, czasami bywasz niemożliwy. O co ci właściwie chodzi?

– Chcę tylko skończyć książkę.

– Jeśli wydaje ci się, że Carlyle ci wystarczy, to coś ci się pochrzaśniło. To za mało, żeby skompromitować Busha.

– Nie chcę nikogo kompromitować.

– To po co pisziesz?

– Sam już nie wiem. Może tylko po to, żeby ją skończyć?

Nie zareagowała. Przez chwilę słyszałem jedynie swój oddech i stukot klawiatury po drugiej stronie. Jass dzwoniła do mnie i pisała do kogoś jednocześnie. Przez chwilę zdawało mi się, że znam ją od bardzo dawna, że od bardzo dawna mnie irytuje.

– Dobra, Jerry, muszę kończyć – rzuciła nagle. – Jeśli chcesz się spotkać, wiesz, gdzie nas znaleźć. Myślę, że będziemy tam przez mniej więcej godzinę. Jeśli się zdecydujesz, po prostu przyjdź.

– Wiem, gdzie to jest.

– W porządku. To do zobaczenia na miejscu.

– Do zobaczenia.

Apatia. To chyba jedyne słowo, które najpełniej oddaje stan mojego umysłu w tamtym momencie. Piękna kobieta zaproponowała mi spotkanie, a ja nie byłem w stanie zdecydować, czy warto ruszyć się z miejsca czy nie. Leżąc pod cienką kołdrą, na wpół obudzony na wpół śpiący szukałem w pamięci jakiegoś faktu, uzasadnienia i powodu, dla którego mógłbym podnieść się i stanąć naprzeciw Jass.

– W najgorszym wypadku napiję się irlandzkiego piwa – pomyślałem.

Tak, ten powód wydawał się wystarczająco dobry.

Podniosłem się i wyjrzałem za okno. Myśl o zimnym chmielu i widok ulewy na zewnątrz nie pasowały do siebie w żaden sposób. Chłód za oknem pchnął mnie w stronę łazienki. Zapowiadał się paskudny dzień, a ja mimo wszystko nie chciałem po raz kolejny spędzić go w samotni. Zbyt wiele paskudnych dni przesiedziałem sam na sam z ekranem monitora. Czasami ludzka psychika bezlitośnie rozprawia się z rozumem. I tym razem racjonalny głos przegrał z tym, który zlakniony był ludzkiej, żywej obecności. Postanowiłem ruszyć na spotkanie kobiecych oczu, ust i dłoni.

W przeciągu pół godziny wziąłem prysznic i doprowadziłem się do porządku. Byłem zarośnięty. Wołałem taką twarz. Nie pozostawała złudzeń co do kierunku, w którym zmierzałem. Była przestrożą przed zapomnieniem, przed porzuceniem drogi dla jej atrakcji. Odgrzałem mrożoną lazanię i zjadłem. Znalazłem parę czystych, niewygniecionych jeansów, ubrałem się i ruszyłem w stronę centrum. Z nieba zaczął zimny deszcz, a przeszywający na wskroś wiatr skutecznie uniemożliwiał otwarcie parasola. Zanim taksówka w końcu się zatrzymała, mój niewyszukany strój był już w połowie przesiąknięty wodą. Na szczęście w Irish Pub było ciepło i sucho, choć unoszący się w powietrzu dym papierosowy zdawał się wyczekiwać przemoczonych ofiar.

Znałem i lubiłem to miejsce. W niczym nie przypominało zadbanych, symetrycznych przestrzeni większości miejscowych knajp. Dawniej, gdy przejeżdżałem tędy w drodze z pracy do domu, zatrzymywałem się i wchodziłem na jedno lub dwa piwa. Lubiłem zasiąść w głębi sali z kuflem wypełnionym Guinnessem i odprężyć się, słuchając starych Irlandczyków, narzekających na niczego niepojmujące żony.

W zasadzie lokal nie wyróżniał się niczym niezwykłym. Był to typowy irlandzki pub. Po lewej od samego wejścia rozciągał się długi ciemnobrązowy bar, wzdłuż którego stał rząd pustych drewnianych taboretów. Znudzony barman i barmanka siedzieli przy ostatnim dystrybutorze wpatrzony w wielki ekran wiszący naprzeciwko drzwi. Przeszedłem przez szary, wzorzysty dywan pozostawiając za sobą mokre ślady. Tuż za barem w drugiej części sali, gdzie drewniana podłoga skrzypiała pod nogami, minął mnie żylasty, brodaty mężczyzna o zoranej zmarszczkami twarzy. Jego kolega siedzący przy stoliku zmierzył mnie obojętnym

wzrokiem, z którego wyczytałem pogardę. Zignorowałem go i przeszedłem dalej.

Wzdłuż obwieszonych starymi fotografiami ściany rozciągała się długa ława, a przy niej mniej więcej tuzin stolików i kilka krzeseł. Na środku podłużnej sali stało kilka okrągłych czteroosobowych stolików, takich samych jak ten, przy którym siedzieli żyłasty i jego kolega. Po lewej ciągnął się rząd sześciuosobowych boksów. Ich wysokie dębowe ramy były wykończone mlecznym szkłem, zza którego widać było jedynie zamglone zarysy głów, siedzących naprzeciw siebie ludzi. Gdy doszedłem do połowy, dostrzegłem Jasmine. Była uśmiechnięta. Słuchała mężczyzny siedzącego naprzeciw niej.

– Cześć – powiedziałem, spoglądając na faceta po mojej prawej.

– O! Jednak jesteś? – odparła zdziwiona.

– Co pijecie? – zapytałem, siadając obok niej.

– Stellę – oznajmiła Jass.

– Sok żurawinowy – odparł Nick. – Podniósł wysoką szklanę, wypełnioną czerwonym płynem, potrząsnął nią i uśmiechnął się. Gdy włożył do ust długą, niebieską słomkę i pociągnął, ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Zachwył na jego twarzy, zamknięte oczy i spięte niby do pocałunku usta nadawały mu wyglądu pięciolatka pochłoniętego konsumpcją wymarzonego płynu. Zza szerokich prostokątnych okularów w cienkich metalowych oprawkach spoglądały szare, wylupiane oczy. Co prawda życzliwe i uśmiechnięte, ale wciąż komiczne w połączeniu z niepoważnie wielkim nosem i ogólnie pokracczną fizjonomią. Był wysoki, a przy tym potwornie chudy. Jego długa, żyrafia szyja, pociągnęła twarz i anorektyczne kończyny uzupełniały ten obraz idealnie. Jedynie lekki dwudniowy zarost podpowiadał, że nie jest to nastolatek lecz dwudziestokilkuletni mężczyzna.

Mimo wszystko jego uśmiech był przyjemny, a twarz poczciwa. I choć nie robił powalającego wrażenia, trzeba było przyznać, że miał pewien urok. Ubrany w jasnobrązowy kaszkiet, szarą kurtkę z klapami i czarną bawełnianą bluzę z kapturem przypominał odrobinę gazeciarza z czarno-białych filmów o latach dwudziestych.

– Dla mnie New Castle Anchor Steam – powiedziałem. Kelnerka okazała niewielkie zdziwienie, po czym zapisała coś w notesie i obrzuciła Jass spojrzeniem.

– Chcesz coś? – zapytałem.

– Nie, dzięki. Mam tutaj swoją truciznę. – Wskazała na opróżniony do połowy pokal, stukając paznokciem w szkło.

– Jestem Jerry – powiedziałem, wychylając się lekko do przodu.

– Nick – odparł i uściśnął moją dłoń.

– Miło cię poznać.

– Mam szczerą nadzieję, że to prawda – powiedział. W jego uśmiechu było coś dziwnego. Zachowywał się, jakby mnie dobrze znał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Cieszę się, że mogliście się w końcu poznać – wtrąciła Jass.

– My również – odparłem. Spojrzałem na Nicka, oczekując reakcji. – Prawda?

– O tak, oczywiście – potwierdził. – Również się cieszymy. A więc Jerry – przerwał, by pociągnąć ze szklanki. – Jasmine mówiła, że pracujesz nad książką?

– Jasmine jak zawsze mówi za dużo. – Spojrzałem wymownie w jej stronę.

– A ta twoja książka dobra jest? – zapytał.

– Książka? Oczywiście. To bestseller – odparłem.

– No, nie wątpię, nie wątpię. W końcu grunt to właściwe nastawienie, prawda?

– Dokładnie. A ty? Powiedz, czym się zajmujesz? Jass mówiła, że studiujesz.

– Poniekąd – powiedział i sięgnął po szklankę. Czekałem chwilę na dokończenie myśli, ale najwyraźniej nie zamierzał kontynuować. Ponownie zamknął usta wokół rurki, spojrzał na mnie wylupiastymi oczami, uśmiechnął się i powoli obniżył poziom żurawinowego płynu.

– Nick mógłby być najlepszy na roku – wtrąciła Jass.

– Daj spokój, Jassie – powiedział. – Równie dobrze, mogłabyś powiedzieć, że za tamten artykuł o zjeździe republikanów Jerry ma szansę na Pulitzera.

– Więc to o to chodzi? – zapytałem. Czułem, że nie jest zupełnie szczery, ale dopiero teraz dostrzegłem cień pogardy w jego wzroku.

– Dobrze, że o tym wspomniałeś – powiedziałem. – Wiesz? Długo zastanawiałem się, po co tak właściwie idę na to spotkanie, ale teraz już wiem.

– Nick? Czy to prawda? – wtrąciła się Jass. Wyglądała na zaskoczoną. – Czy po to chciałeś się z nim spotkać? Żeby mu nawtykać?

– Nie słuchaj jej, Jerry – powiedział. – Nie jestem najlepszy na roku. Jestem najlepszy na czterech kierunkach. Gdybym studiował wszystkie, dopiero wtedy mogłabyś powiedzieć, że jestem najlepszy. A co się tyczy, droga Jasmine, siedzącego tu z nami, „kolegi” to faktycznie, część moich znajomych z chęcią zamieniłaby z nim kilka słów po tym, jak obsmarował ich w sierpniowym Financial Journal. No, ale nie po to chciałem się z tobą spotkać, Jerry.

– Więc po co? Raczysz wyjaśnić?

Nick obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem i zamilkł na moment. Mógłbym przysiąc, że planował w tym czasie łgarstwo.

– A gdybym powiedział, że chcę ci pomóc, uwierzyłbyś?

– Z zasady nie wierzę nieznanym – odparłem.

– A gdybym powiedział, że chcę ci pomóc skończyć tę twoją książkę? Podzielić się z tobą czymś, co mógłbyś znaleźć, gdybyś tylko nie był tak niesamowicie leniwy? Czy wtedy byś uwierzył?

– Zaczynasz mówić rozsądnie. – Podniosłem kufel i wzięłem kilka łyków. – Ale wciąż nie widzę powodu, dla którego mógłbyś chcieć mi pomóc.

– A co gdybym również chciał na tym skorzystać? – kontynuował.

– Słucham. Mów.

Nick, westchnął. Jemu najwyraźniej też nie leżała ta rozmowa.

– To chyba oczywiste?

– Nie. Przynajmniej nie dla mnie.

– No dobrze. – Wzruszył ramionami, wyciągnął ze szklanki rurkę i wypił do dna. – Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią pisać – powiedział, ważąc każde słowo.

– Dokładnie tak samo, jak Fargo potrzebował kogoś, gdy zapukałeś do jego drzwi tamtego dnia. – Jego głos zmienił się pod koniec ostatniego zdania. Widocznie drink okazał się mocniejszy niż się tego spodziewał. Uderzył pięścią w pierś kilka razy, odkrztusił i teatralnie chuchnął.

– Skąd wiesz o Fargo? – zapytałem.

– Gdybym nie wiedział takich rzeczy, jaki sens miałoby spotkanie ze mną? – powiedział. Odwrócił głowę na moment, szukając wzrokiem barmanki, po czym podniósł dłoń, sygnalizując wielkość kolejnego zamówienia.

– Jass? Komu jeszcze mówiłaś? – zapytałem.

– Przykro mi, Jerry, ale nie wiedziałam, że to tajemnica. – Założyła ręce na piersi i wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Wracając do tematu – Nick ciągnął dalej. – Mam informacje, których żadne wpływowe wydawnictwo nie opublikuje pod swoim szyldem, a już na pewno nie z moim nazwiskiem. Natomiast ty... Ty to zupełnie inna historia. Jesteś rasowym dziennikarzem. Twoje nazwisko wciąż znaczy coś w niektórych kręgach. Poza tym, z tego co zdołałem wyciągnąć od Jass, masz już sporą część pracy za sobą. A chyba obaj zgodzimy się, że pewne sprawy nie powinny czekać zbyt długo na ujawnienie.

Barmanka podeszła z drugim, tym razem niebieskim drinkiem. Postawiła go na stole i odeszła.

– Nie muszę chyba dodawać, że uniknąłbym w ten sposób rozgłosu – powiedział.

– Ależ dlaczego? – zapytałem, rozkładając dłonie. – Nie chcesz być sławny?

– Powiedzmy, że cenię sobie prywatność.

– Proszę cię, przestań chrzanić – powiedziałem tak spokojnym głosem, na jaki było mnie stać. – Co przeskrobałeś? Ktoś ma na ciebie haka?

– Ja? Jestem czysty jak łąza. Natomiast ludzie, z którymi współpracuję... Cóż, powiedzmy, że zdobywają informacje w nie do końca legalny sposób.

– No dobrze, rozumiem. Potrzebujesz kozła ofiarnego, ale skąd pomysł, że zechcę zagrać tę rolę?

– Jass? – Nick spojrział na nią, jakby obiecała coś i zapomniała dotrzymać słowa. – O co chodzi? Mówiłaś, że chciał się spotkać?

– No właśnie, Jass – wtrąciłem poirytowany. – Powiedz mu. Powiedz, o co

chodzi.

Jass podniosła pokal, wypila kilka łyków i odstawiła go, uderzając denkiem jak młotkiem o blat stołu.

– Oboje wiecie, o co toczy się gra. Wiecie, jak ważna jest sprawa Kolumbii. Tu nie chodzi o męskie ego, ani o to kto kogo potrzebuje bardziej. Przestańcie zachowywać się jak gówniarze i po prostu zacznijcie słuchać!

Miała rację. Zachowywaliśmy się jak para samców w trzyosobowym stadzie.

– Jerry, czy możesz mnie przepuścić? – zapytała. Przesunąłem się, wstałem i poczekałem, aż Jass wygramoli się z miejsca.

– Nic tu po mnie, panowie – powiedziała. – Musicie się jakoś dogadać. Nie zamierzam bawić się w terapeutę i jednać was, skoro nie wymieniliście nawet kilku rozsądnych zdań. Mam nadzieję, że jesteście na tyle poważni, że nie spieprzycie tego – rzuciła, zdjęła płaszcz z haka, założyła go i wyszła.

Nick się nie odzywał. Spojrzał na mnie głupkowatymi oczami, zmrużył je i przyglądał się czemuś na mojej twarzy. Przez moment zdawało mi się, że coś z nim nie tak. Zdolność, z jaką wpadał w skrajne nastroje, była co najmniej niepokojąca.

– Ile już napisałeś? – zapytał, gdy dzwonek przy drzwiach obwieścił wyjście Jass.

– A ty co? Książkę piszesz? – syknąłem.

– Ja? Po co? Przecież mamy od tego ludzi takich jak ty.

– Którzy muszą najpierw zgodzić się, zanim zdecydują się choćby palcem ruszyć dla takich jak wy – odparłem.

– Zadałem pytanie. Możesz odpowiedzieć albo nie. Twoja sprawa.

– Około sto pięćdziesiąt stron maszynopisu. Dlaczego pytasz?

– Jass mówiła, że zebrałeś już sporą kartotekę kampanii Busha. Długo byłeś w Komitecie Wyborczym?

– Nie.

– Jass mówiła co innego.

– Nie wiem, co mówiła Jass i prawdę mówiąc nie obchodzi mnie to. Zresztą to i tak nie twoja sprawa.

– Wybacz, ale trudno mi uwierzyć, że siedziałeś tam prawie miesiąc i nie podjąłeś choćby jednego tropu.

– Biuro było czyste jak łąka.

– Chyba żartujesz? Przecież każde biuro wyborcze to sekta. Bushland musi mieć jakieś brudy do odkrycia, kości zakopane pod podłogą, ciała świadków sabatu czarownic. Nie chcesz mi chyba wmówić, że nie poczułeś tam smrodu palonych ofiar, że nie znalazłeś ołtarza zbrukanego krwią, nie doświadczyłeś orgii uwielbienia dla teksańskiego guru?

Zaskoczył mnie. To, co mówił, było chore. Bez wątplenia było z nim coś nie

tak, a jednak w tym, co mówił, było też sporo prawdy. Przebywając tam czułem się czasami, jakbym dołączał do sekty.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem, zbliżając kufel z piwem do ust. Staralem się robić wrażenie opanowanego.

– Tak. Wyśmienicie. Powiedz, znalazłeś tam coś?

– Nie.

– Nie wierzę ci.

– Masz prawo. Masz do tego święte prawo. A ja, na szczęście, nie muszę cię przekonywać.

Nie odezwał się. Nie śpieszyło mu się. Od momentu, gdy Jass wyszła, wydawał się być mniej spięty.

– Powiem szczerze – podjął. – Jestem tutaj tylko dlatego, że Jasmine poprosiła mnie o to.

– To zupełnie jak ja.

– Kolumbia jest ważna, ale nie aż tak bardzo, jak jej się wydaje – powiedział.

Przyjrzałem mu się uważnie. Próbowałem odgadnąć, czy wciąż prowadził grę, czy może mówił prawdę. Tak czy inaczej jeśli mnie sprawdzał, uderzył we właściwą strunę.

– Sądzisz, że nie jest ważna? – zapytałem.

– Dla niej na pewno. Jest jedną z tych osób, które poświęcą wszystko dla ratowania cudzych dzieci.

– Co w tym złego? – Uśmiechnąłem się.

– Bo kiedyś przyjdzie dzień, kiedy przy jej łóżku nie będzie nikogo, ani dzieci, ani dziennikarzy piszących książki i wtedy zostaną jej tylko myśli o Kolumbii.

– Skąd ten pesymizm? – zapytałem.

– Powiedzmy, że to przeczucie.

– To nie brzmiało jak przeczucie.

– Trudno. Chciałeś o coś jeszcze zapytać, czy możemy iść?

Spojrzałem na lewo w nadziei, że zobaczę Jass. Bar był niezmiennie pusty. Nie chciałem kończyć rozmowy w ten sposób. Jasmine prosiła, bym przynajmniej spróbował.

– Powiedziałaś, że Kolumbia nie jest ważna. Dlaczego?

– Oczywiście, że nie jest. Najważniejsze jest to, co dzieje się u nas tu i teraz, a nie na czyimś podwórku.

Pomyślałem, że nie może mówić serio. Nikt z chociażby minimalną wiedzą na ten temat nie powiedziałby czegoś takiego. Wiedziałem, że ktoś, kto bawi się w ratowanie świata nigdy nie argumentowałby swojej racji w ten sposób.

– Słuchaj, Nick. Jeśli chcesz przekonać się jak dużo wiem, po prostu zapytaj. Dla świętego spokoju odpowiem na wszystkie idiotyczne pytania. Ale, na miłość

boską, nie rób ze mnie idioty! Wiem dobrze, że wszyscy jesteście tacy sami, dacie sobie palce poobcinać za dzieci w Mongolii. Dlatego przestań chrzanić i pytaj, a potem mów, co masz do powiedzenia, żebyśmy mieli to w końcu za sobą.

Nick zamilkł nieco zdziwiony. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym wzruszył ramionami, osunął się leniwie do tyłu i powiedział:

– No dobrze. W takim razie powiedz, co robiłeś przez ostatnie kilka tygodni?
– Wiesz, że pisałem – odparłem po chwili.
– Pozwól więc, że zapytam inaczej. Jeśli nie znalazłeś nic nowego na Busha ani na Gora, co innego mogło być tak ważne, że zajęło niemal sto stron twojej książki.

– Jest wiele spraw, o których warto pisać.
– Takich jak?
– Takich jak na przykład wojna z narkotykami, żelazny trójkąt, Carlyle Group, no i Halliburton.

– To dość spory rozstrzał. Jesteś pewien, że niczego nie przeoczyłeś?
– Tego nigdy nie możesz być pewien. Czas pokaże.
– Chcesz napisać o LOGCAP? – zapytał.
– Tak – odparłem nieco zbity z tropu. – Co wiesz o tym kontrakcie?
– Monitorujemy wszystkie kontrakty rządowe. A przynajmniej te, do których rząd się oficjalnie przyznaje. Buszowanie w sieciach Pentagonu jest zabawą dla bardziej zaawansowanych graczy. My z kolei póki co staramy się nie pokazywać na radarze.

– Więc po co zawracacie mi głowę?
– Przede wszystkim chciałbym, żebyś wiedział, że szanuję cię jako dziennikarza.

– Co ty nie powiesz? – rzuciłem.
– Tak. To prawda, miałeś słabszy okres, ale pamiętam twoje artykuły sprzed kilku lat i muszę powiedzieć, że były naprawdę niezłe.

– Dzięki. Ale ty byłeś wtedy jeszcze w ogólniaku i pewnie wszystko, co czytałeś, wydawało ci się wiedzą objawioną.

– Czy ktoś mówił ci już, że masz niecodzienny talent do okazywania skromności przy jednoczesnym poniżaniu rozmówcy? – zapytał.

– Nie zamierzałem być skromny. Ale to prawda, czasami bywam wredny. Wybacz.

– Tak czy inaczej – kontynuował. – Jasmine chciała, żebym z tobą porozmawiał, więc jestem. Ale jakby to powiedzieć... – Podrapał się po brodzie, nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć. – Cóż, powiedzmy, że nie jestem upoważniony do udzielenia ci jakichkolwiek informacji bez zweryfikowania twojej przynależności ideologicznej.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało? – Zaśmiałem się.

– Wiem, ale takie są fakty. Są rzeczy, które musisz zrobić przed wyjściem z domu, na przykład napić się i są rzeczy, które ja muszę zrobić, zanim oddam w twoje ręce wyniki pracy i poszukiwań moich kolegów. Przyjmijmy więc, w wielkim uproszczeniu, że zobowiązano mnie do zweryfikowanie twojej przydatności.

– Słucham? – Nie dowierzałem. Był bezczelny. Nie wiedziałem, co mnie bardziej rozjuszyło, to, że wiedzieli o moim problemie alkoholowym, czy to, że mieli czelność oceniać moją wartość.

– Pracujemy w zespole – kontynuował, jakby nigdy nic – a ponieważ informacje, które gromadzimy, są cenne, uzgodniliśmy, że powinny być wykorzystane we właściwy sposób. Gdybyśmy chcieli wyjawić je lokalnej gazecie, wielkie konglomeraty prasowe zdławiłyby te doniesienia, zagłuszyły lub zbagatelizowały, zanim przedostałyby się do wszystkich mediów i opinii publicznej. Przecież wiesz, że tu nie chodzi tylko o dojścia. Dojścia to nie problem. Chodzi o wiarygodność. Widzisz, nam zależy nie tylko na opublikowaniu tematu, ale na opublikowaniu go we właściwym momencie. Wycucie czasu jest tu kluczem, podobnie zresztą jak użycie właściwego medium i odpowiedni odbiorca, słowem potencjał ewentualnego współpracownika.

– I właśnie dlatego zrezygnowałem z pracy w redakcji: żeby nie spełniać bez końca czyichś wymagań. Życie wolnego strzelca jest o wiele łatwiejsze.

– Z tego, co słyszałem, zrezygnowałeś tylko po to, by napisać książkę.

– Bo to prawda.

– No widzisz. A my możemy ci w tym pomóc. Popatrz, jak wszystko pięknie się zazębia.

– Z tym że najpierw musicie mnie sprawdzić, zgadza się?

– Dokładnie.

– Też mi coś! – Parsknąłem. Co prawda zgodziłem się na kilka pytań, ale nie miałem zamiaru poddawać się testom serwowanym mi przez o połowę młodszego faceta.

– No bo widzisz, to działa w ten sposób – kontynuował, ignorując moje zniesmaczenie. – Mam tutaj taką ankietę. – Wyjął z torby ołówkę, byle jaki notes i otworzył go na prawdopodobnie losowo wybranej stronie. – Zadam ci teraz kilka pytań, a ty spróbujesz na nie odpowiedzieć.

– Żarty sobie stroisz?

– Bynajmniej. Wiem, że to może wyglądać idiotycznie, ale taki mamy system. Ba, nawet głosowaliśmy nad tym idiotyzmem.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Zdawał się być śmiertelnie poważny. Był tak przekonujący, że prawie uwierzyłem w tę udawaną powagę. Na szczęście widok zeszytu szybko sprowadził mnie na ziemię.

Pamiętałem minę Jass, gdy wychodziła stąd pięć minut wcześniej. Myślałem, że opuściła nas, bo nie spodobało jej się coś, co powiedziałem. Nie wiedziałem dokładnie, co to było i mogłem się tylko domyślać, ale wzrok Jasmine mówił więcej niż jej ciało. W jej oczach dostrzegłem nie tyle irytację, co rozczarowanie. Dopiero teraz, gdy Nick wyciągnął idiotyczny notes, zrozumiałem, dlaczego wyszła. Nie chciała zostać z nami, bo bała się, że nie pozwolę mu na tę grę. Wiedziała, że przy niej nie zmuszę się do kompromisu, nawet jeśli chodziło o coś, o co prosiła.

– No dobra – powiedziałem. – Postaram się nie śmiać. Dawaj.

Nick spojrzał zdziwiony. Przez chwilę stukał ołówkiem w pustą powierzchnię kartki, jakby wywoływał z niej ukryte pytania, po czym przeniósł wzrok z blatu na mnie i rozpoczął ankietę.

– OK. No to zaczynamy. – Pociągnął przez słomkę odrobinę niebieskiej trucizny i chrząknął. – Z tego, co wiem, pracę magisterską pisałeś o Wietnamie...

Nie przerwałem mu. Chciałem, ale nie zrobiłem tego.

– Co wspólnego twoim zdaniem mają ze sobą konflikty w Azji Środkowo-Wschodniej i Ameryce Łacińskiej – powiedział.

– Wersja skrócona czy dłuższa? – zapytałem.

– Przykro mi, ale nie mogę podpowiadać.

– Żartujesz?

– Nie, nie żartuję – powiedział z powagą.

Wypiłem resztę piwa i podniosłem palec, sygnalizując liczbę barmance. Zanim przyniosła dwa pełne kufle, zdążyłem rozwinąć rozprawę na temat zalet środkowoamerykańskiego poligonu.

– ...I dokładnie te same faszystowskie techniki używane przez gestapo zostały skutecznie zaadoptowane dla potrzeb krajów Ameryki Łacińskiej. Byli oficerowie Trzeciej Rzeszy zatrudniani byli przy modernizacji i szkoleniach wewnątrz krajowych sieci wywiadowczych, tajnych policji państwowych i aparatów bezpieczeństwa. Były to państwa, na terenie których nasze firmy inwestowały miliony dolarów.

– Podaj chociaż dwóch – przerwał mi.

– Słucham?

– Podaj chociaż dwóch oficerów SS pracujących w Ameryce Łacińskiej.

Jego oczy lśniły w mętym świetle lampy nad nami. Podejrzywałem, że czekał na ten moment. Szukał okazji, by przyłapać mnie na niewiedzy.

– W tej chwili ciężko mi sobie przypomnieć – przyznałem. – Na pewno Klaus Barbie.

– Ktoś jeszcze?

Zastanowiłem się. Na dobrą sprawę nie miałem żadnych dowodów. Nigdy też nie zgłębiałem tego tematu wystarczająco dokładnie, żeby znać więcej nazwisk

nazistowskich uciekinierów w Ameryce Łacińskiej. Wszystko, co wiedziałem, stanowiły wyszperane z Internetu artykuły.

– Z tego, co wiem – podjąłem – to z na pewno Klaus Barbie. Szef gestapo z Lyonu podczas okupacji Francji. Urzędował po wojnie w Boliwii²⁴. Wiem, że maczał palce w tamtejszym przewrocie dokonanym zresztą z pomocą naszych...

– To wszystko? – przerwał. Próbował się powstrzymać, ale jego oczy zdradzały skrywany pod maską szyderczy uśmiech.

– Walter Rauff i Paul Schaefer – rzuciłem, sam nie wiedząc, skąd wykopałem te nazwiska.

– O! – powiedział. – To brzmi już całkiem ciekawie. Proszę kontynuuj. Zamieniam się w słuch.

Potarłem dłonią skroń i czoło. Musiałem wydobyć ukryte pod czaszką informacje. Moja głowa przyjęła na moment funkcję magicznej lampy, bo za trzecim potarciem coś zaświtało i życzenie się spełniło. Przypomniałem sobie jeden z niewielu artykułów, które znalazłem o nazistach w Amazonii.

– Schaefer... – powiedziałem. – Schaefer stworzył w Chile kolonię rolną, w obrębie której skrywali się niemieccy uciekinierzy. Wokół terenu rozciągnięto ogrodzenie z drutem kolczastym, zainstalowano reflektory i postawiono wieżę strażniczą. Mężczyzn i chłopców odseparowano od kobiet i dziewcząt, natomiast zarządca kolonii sprawował tam władzę żelazną ręką. Przywodzi to na myśl pewne skojarzenia, prawda?

– Słucham. Mów dalej.

– Schaefer był kimś więcej niż tylko zarządcą. Jako kaznodzieja–baptysta był również duszpasterzem. Jednak w przeciwieństwie do Mormonów czy Amiszów, którzy również wyrzekają się zdobyczy cywilizacji, niemieccy osadnicy musieli bezwarunkowo uginać się do woli guru, nazywanego przez dzieci „wujkiem”, a przez dorosłych „Führerem”¹. Podczas gdy Schaefer zmuszał ich do niewolniczej pracy, władze Chile wychwalały jego inicjatywę jako przykład sukcesu w dziedzinie działalności dobroczynnej. Problem w tym, że Paul Schaefer wraz z innym nazistą, Walterem Rauffem, urządzili sobie w podziemiach kolonii salę przesłuchań z torturami i muzyką klasyczną w tle.

– Walter Rauff... – powiedział zaintrygowany. – Kierownik Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy...

– Tak, ten sam. Człowiek, który wymyślił komory gazowe w ciężarówkach. Pinotchetowi naturalnie nie przeszkadzało to ani to, że zatrudnia człowieka odpowiedzialnego za śmierć niemal stu tysięcy ludzi²⁵. Myślę, że było mu to nawet na rękę. Skąd, jeśli nie z Trzeciej Rzeszy mógł pozyskać drugiego tak doświadczonego specjalistę w dziedzinie tortur i utylizacji niewygodnych świadków?

– Rozumiem, że Pinotchet przyjął go na etat?

– Tak. Zatrudniono go jako doradcę do spraw bezpieczeństwa w chilijskiej tajnej policji politycznej „DINA”².

– Ciekawe. I mówisz, że obaj panowie pracowali dla nas?

– Tego nie powiedziałem. Nikt nie może tego z całą pewnością stwierdzić. Niemniej jednak sądzę, że oboje korzystali z przychylności CIA. Schaefer mógł prowadzić w spokoju zyskowną sektę między innymi dlatego, że nikt go nie kontrolował. Nikomu nie przeszkadzała obecność ukrywających się tu i ówdzie byłych oficerów SS ani też niewolnicza kolonia rolnicza rządzona przez byłego nazistę. Co się tyczy Rauffa, to był naturalnym uzupełnieniem tego nazistowskiego obozu pracy. Gdy w siedemdziesiątym czwartym Pinotchet doszedł do władzy, talent Rauffa został odpowiednio dostrzeżony i doceniony. Tortury i przesłuchania zagościły w podziemiach Colonii Dignidad. Zamordowano tam ponad stu więźniów politycznych. Ci zaś, którzy przeżyli, mówili o podziemnych i tunelach, gdzie przy muzyce Wagnera i Mozarta za pomocą prądu elektrycznego testowano ich próg bólu³.

– Rozumiem. Ale wciąż nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Jakże?

– Byli na liście płac CIA czy nie?

– Nie wiem. Wiadomo tylko, że byli pod opieką Pinotcheta, naszego Latynoamerykańskiego Hitlera. Wiesz przecież, że Augusto był naszym człowiekiem na południe od Meksyku? Po co w ogóle pytasz?

– Ja to wiem i ty to wiesz, ale co to ma wspólnego z nazistami? – powiedział.

– Nawet jeśli ktoś w agencji pomagał gestapowcom, to na pewno nie w ramach wielkiego spisku.

– Nie mówiłem nic o żadnym spisku. Powiedziałem tylko, że byli tam i nikt nie wysiłał się specjalnie, żeby ich złapać.

Nick uśmiechnął się, zanotował coś w notesie i odłożył go na siedzenie.

– Mylisz się w kilku zasadniczych kwestiach – powiedział. – Po pierwsze Mosad²⁶ polował i zapewne wciąż poluje na tych wszystkich zbrodniarzy żyjących gdzieś tam w ukryciu. Po drugie ludzie emigrują wszędzie tam, gdzie tylko inni pozwolą im się osiedlić. A uwierz mi niemieccy emigranci byli witani z otwartymi ramionami w enklawach takich jak Colonia Dignidad na długo przed rozpoczęciem wojny.

– I Amerykanie nie mieli z tym nic wspólnego? – zapytałem.

– No widzisz, Jerry. Może mieli, może nie. Ale pozwól, że zapytam cię o coś innego...

Nie zareagowałem. Nie przeszkodziłem. Stało się coś niezwykłego. Po raz pierwszy od dawna ktoś mnie zainteresował. To niezwykle uczucie towarzyszące mi niegdyś przy zbieraniu materiałów do najlepszych artykułów powróciło.

Czułem, że ta rozmowa zmierzała w niewłaściwym kierunku, ale nie

przeszkadzało mi to. Wyglądało na to, że być może, jeśli tylko uda mi się zadać właściwe pytanie, też dowiem się czegoś, czego do tej pory nie wiedziałem. Mogłem zyskać interesujące informacje, nie tylko na temat ocenzurowanej historii naszych południowych sąsiadów, ale i na temat samego Nicka. Byłoby to nagrodą samą w sobie. Chłopak wiedział o mnie więcej niż ja o nim, co z kolei nie dawało mi zbyt dobrej pozycji w tej niekoniecznie szczerej rozmowie.

– Czy mówi ci coś nazwa „Światowa Liga Antykomunistyczna?” – zapytał.

– Niewiele – odparłem całkiem szczerze. Opróżniłem kufel do dna, licząc na to, że Nick dokończy myśl. Oczywiście przeliczyłem się. Chłopak czekał w milczeniu, dopóki nie rzuciłem mu czegoś do oceny.

– Wiem tylko – powiedziałem – że to sporych rodzajów organizacja deklarująca walkę z komunizmem. Mają filie na całym świecie.

– Dokładnie sto trzydzieści filii – dodał. – Nieźle, co?

– Tak. To dość duża liczba. Do czego zmierzasz?

– Do czego zmierzam? Posłuchaj, Światowa Liga Antykomunistyczna, w przeciwieństwie do wszystkich innych organizacji pozarządowych nie wydaje ani co rocznych raportów, ani żadnych innych dokumentów określających jej zadania. Nikt spoza wąskiego kręgu członków uczestniczących w corocznych zjazdach nie wie, czym organizacja zajmuje się ani też jakie są coroczne cele. Co więcej nikt z opinii publicznej nie wie, kim są członkowie4.

– Legendarni masoni? – spytałem rozbawiony. – Czy może podwórkowi prawnicy?

– Blisko – potwierdził z satysfakcją.

– Naziści? – spytałem niepewnie.

– Żeby tylko – odparł. – Pośród uczestników dotychczasowych konferencji Ligi są na przykład Carlos Barbieri Filho z Brazylii posądzany o koneksje z Brazylijskim szwadronem śmierci „AAA”, Mario Sandoval Alacon, nazywany „Ojcem Chrzestnym” szwadronów śmierci w Gwatemali, Adolfo Calero z Nikaragui, który dowodził siłami Contrás w Argentynie, Roberto D’Aubission, założyciel szwadronów śmierci z San Salwadoru, Benito Guanes, były szef Paragwajskiego wywiadu wojskowego i Rajmundo Guerrero, główny przywódca Los Tecos, antysemickiej pro-nazistowskiej organizacji w Meksyku, z czasów drugiej wojny światowej. Z Europy dołączyli do nich między innymi Berkelaar z Holandii, były oficer SS i prezes Sint Martinsfonds, organizacji zrzeszającej setki byłych holenderskich oficerów SS no i Alfred Gielen, pracownik w Ministerstwie Propagandy Goebbelsa w czasach Trzeciej Rzeszy4...

Nick wymieniał kolejne nazwiska, a ja powoli utwierdzałem się w przekonaniu, że jednak dobrze zrobiłem, spotykając się z nim. Pomijając fakt, iż miał doskonałą pamięć do nazwisk, posiadał również wiedzę, której mogłem tylko pozazdrościć.

– No i nie zapomnijmy o Dr. Antonie Bonifaciu z Chorwacji, poszukiwanym listem gończym w Jugosławii za zbrodnie wojenne. No i antropolog Roger Pearson, przewodniczący filii amerykańskiej, autor rozpraw o wyższości rasy białej...

– No dobrze, rozumiem – przerwałem. – Ale co oni mają wspólnego z naszymi Niemcami?

– Mówiłeś, że naziści byli zatrudniani przez USA w latynoamerykańskich służbach bezpieczeństwa, że szkolili i doradzali, zgadza się?

– No nie. Tego nie powiedziałem.

– Ale wymieniałeś dwóch, prawda?

– No tak.

– Tylko dwóch – dodał.

– Boże... Przecież nie jestem w stanie zapamiętać ani zweryfikować wszystkiego, co przeczytałem.

– No widzisz. A jednak mówisz o ich współpracy, zupełnie jakby USA uknuły jakiś wielki plan wykorzystania tych faszystowskich kryminalistów – powiedział.

– A nie było tak? Czy ich talenty nie były przydatne naszym decydentom podczas podporządkowywania sobie zbuntowanej, zdesperowanej ludności Ameryki Łacińskiej?

– No dobrze, pozwól, że przerwę w tym momencie – wtrącił – Do naszego wyzyskiwania i tłamszenia ich ludności wrócimy za chwilę, ale zanim to nastąpi wyjaśnij mi proszę, jak według ciebie wykorzystywaliśmy nazistów poza tymi dwoma wyodrębnionymi przypadkami?

– Żarty sobie stroisz? – spytałem.

– Nie – odparł. – Mówię jak najbardziej poważnie.

– Przecież wiesz o Programie Phoenix, o szkoleniach w School of Americas, o szwadronach śmierci w Salwadorze, Gwatemali i w innych krajach?

– Oczywiście, że wiem. Ale to jeszcze niczego nie udowadnia. A już na pewno nie dowodzi tego, że obecność nazistów w tych krajach była dziełem naszych polityków. Niemcy osiedlali się w Ameryce Łacińskiej o wiele wcześniej. I to właśnie Światowa Liga Antykomunistyczna jest tego dowodem. Myślisz, że jaki miał być kolejny krok Niemiec? Chcieli stworzyć IV Rzeszę w Ameryce Południowej.

– Teraz to ty spekulujesz – odparłem. – Czy są na to jakieś wiarygodne dowody?

– Mówi ci coś nazwisko Mengele?

– Załóżmy, że nie. Co w związku z nim? – zapytałem.

– Jak zapewne wiesz, Josef Mengele, znany również jako “Anioł Śmierci” był lekarzem przeprowadzającym eksperymenty medyczne w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Szacuje się, że z jego rąk podczas tych nieludzkich

testów zginęło niemal czterysta tysięcy ludzi.

– To prawda. Ale jaki to ma związek z ...?

– Posłuchaj – przerwał mi. – W Auschwitz Mengele przeprowadzał badania genetyczne w celu stworzenia nowej rasy dla Adolfa Hitlera. Próbował między innymi znaleźć klucz do wywoływania bliźniaczych ciąży. Faktem jest, że gdy w czterdziestym piątym roku Josef wylądował w Ameryce Południowej, nikt w Europie nie wiedział, co tak naprawdę się z nim stało. Mosad długo polował na „Anioła Śmierci”, ale dopiero Argentyński historyk, Jorge Camerasa, trafił na jego trop, a nawet opisał pobyt Josefa w swoim kraju. Otóż Mengele, pracując z hodowcami bydła w Argentynie, zajmował się powiększaniem ich stad, a także doglądaniem okolicznych zwierząt. Gdy w końcu łowcy nazistów wpadli na jego trop, Mengele znalazł schronienie w niemieckiej enklawie w Paragwaju. I to właśnie tam zajmował się szczepieniem zwierząt, odwiedzając przy tym znajdującą się po drugiej stronie granicy społeczność niemieckich imigrantów w Candido Godoi w Brazylii^{5,6}. Widzisz i tu zaczyna się robić ciekawie.

– Nie wątpię – wtrąciłem.

– Spokojnie, spokojnie. Daj mi dokończyć. – Uśmiechnął się, a ja dałem znak, żeby mówił dalej.

– Jak się pewnie domyślasz, społeczność w Candido Godoi nie wyróżniała się niczym spośród innych niemieckich wspólnot w tamtych latach. Tyle że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Josef pojawił się tam po raz pierwszy, coś się zmieniło. Oprócz usług weterynaryjnych i dentystycznych Josef zajmował się także kobietami w ciąży. Nic dziwnego, zważywszy na fakt, że w czasie pobytu w Buenos Aires specjalizował się w aborcjach. Tak czy inaczej burmistrz i lekarz miejski Anecia Flores da Silva, który zainteresował się fenomenem wioski, przeprowadził rozmowy z setkami ludzi w sprawie Josefa. Da Silva dowiedział się, że Josef odwiedzał każdy dom, rzekomo zajmując się kobietami z żylakami, po czym podawał im nieznanne lekarstwa, tabletki i pobierał krew. Mengele twierdził, że jest w stanie sztucznie zapłodnić nie tylko zwierzęta, ale i ludzi. I co ważniejsze twierdził, że jest w stanie przyczynić się do bliźniaczej ciąży – uwaga – u krów! Oczywiście nikt nie brał go na poważnie, traktując jak zwykłego wiejskiego doktora. A jednak wkrótce po jego pojawieniu się liczba bliźniaczych ciąży wystrzeliła w kosmos^{5,6}.

– Wiem, kim był Mengele, czytałem o Auschwitz – odparłem.

– Miło to słyszeć. Wiesz też zatem, że z trzech tysięcy par bliźniąt, które trafiły do obozu, tylko sto przetrwało eksperymenty?

– Wiem o tym. Jeśli masz coś powiedzieć, po prostu powiedz. Ale nie próbuj wmówić mi, że hodował rasę aryjską w brazylijskiej dżungli.

– Ale dlaczego by nie? W Candido Godoi jedna na pięć ciąży to ciąża bliźniacza. Według Da Silva od momentu, gdy Josef zaczął odwiedzać kobiety,

liczba bliźniąt skoczyła w górę. Dziś jest to miejsce z największym odsetkiem bliźniąt na Ziemi. Jedna na pięć ciąż w enklawie to ciąża bliźniacza, podczas gdy w normalnej społeczności ta liczba to jeden na osiemdziesiąt. A wszystko zaczęło się od momentu pojawienia się Josefa z jego mobilnym laboratorium. Mieszkańcy przypisują ten fenomen minerałom w wodzie, ale była też część ludzi, którzy nie chcieli rozmawiać z Da Silvą na temat Mengele.

– I to ma być dowód? – zapytałem.

– Niemcy próbowali stworzyć czystą aryjską rasę. To po to Josef wstrzykiwał dzieciom w Auschwitz błękitny pigment w źrenice, mordował je i przeprowadzał sekcje zwłok. Większość bliźniąt w Candido Godoi to dzieci o blond włosach i niebieskich oczach.

Nie wytrzymałem. To, co mówił, brzmiało jak urojenia szaleńca.

– Mengele wstrzykiwał im pigment, bo był sadystą! Z tego samego powodu dokonywał operacji bez znieczulenia, wycinał fragmenty organów i zabijał ludzi dokonując na nich sekcji jak na szczurach! Powiedz mi, Nick, czy według ciebie ktoś, kto próbuje dokonać przełomu w genetyce, zszywając dwójkę dzieci, by stworzyć bliźnięta syjamskie jest naukowcem? Nie. Nie uwierzę, że jego brutalne operacje, amputacje i inne bestialstwa na mężczyznach, kobietach i dzieciach miały cokolwiek wspólnego z nauką! Były pretekstem do egzekwowania władzy i ulegania sadystycznym popędom. Poza tym jak niby miałyby wpłynąć na ciężę tych niemieckich imigrantów? Przy użyciu laboratoryjnej ciężarówki i kilku próbek krwi?

– Do tego właśnie zmierzam. Nieważne, czy się mu udało czy nie, ważne jest to, że był tam i przeprowadzał badania zgodnie z kierunkiem, którym podążał jego chory, faszystowski umysł. Takie badania kosztują, wymagają laboratorium, sprzętu, odczynników i dyskrecji zapewnionej przez personel, głównie ochronę, ale wymagają również dużej grupy kontrolnej, dobrowolnej lub ubezwłasnowolnionej, wszystko jedno. Gdzie znajdziesz tak doskonałe obiekty do badań, jeśli nie w Candido Goi, czy Colonii Dignidad? Nawiasem mówiąc, jeśli wierzyć świadkom, Josef pojawiał również i tam. Kto sfinansuje lepiej takie badania niż międzynarodowa organizacja antykomunistyczna zrzeszająca faszystów z wszystkich krajów świata? Kto lepiej zrozumie starania szaleńca, jeśli nie rodacy, współwyznawcy szaleństwa, skrzywdzeni i rozczarowani naziści spragnieni zaprzepaszczonej chwały, złaknieni wskrzeszenia wielkiej Rzeszy?

– Zaraz, chwileczkę. Czy dobrze rozumiem? Sugerujesz, że WACL współfinansowała spisek w celu stworzenia ulepszonej rasy, utworzenia Czwartej Rzeszy i opanowania Ameryki Południowej?

– Nie. Nie o to mi chodzi. Jedyne, co chcę udowodnić, to fakt, że to nie Amerykanie sprowadzili Niemców do Ameryki Południowej, a Niemcy wybrali ją sobie na dom i nowe gniazdo nazizmu⁷. Skąd według ciebie wzięły się grupy

paramilitarne i szwadrony śmierci?

– Jak to skąd? Z decyzji naszych przywódców. Z owoców naszej polityki zagranicznej – odparłem.

– Brawo, Jerry, najłatwiej zrzucić wszystko na karby imperializmu. A jakaż była ta polityka, że zmusiła biednych Latynosów do przyjęcia tych wszystkich nazistów? Co takiego zrobiliśmy, że pchnęło ich to w te paramilitarne piekło?

– Wiesz doskonale, co zrobiliśmy, więc daruj sobie te idiotyczne pytania.

Zaczynało mi się to coraz bardziej nie podobać. Był inteligentny, podstępny i przewrotny, ale nie na tyle, by manipulować mną bez ograniczeń. Poza tym wciąż nie wiedziałem, po co chciał się spotkać, a to irytowało mnie tak niemal tak samo, jak jego podstępne pytania.

Nick uśmiechnął się. Podniósł notes i zapisał dwa słowa. Następnie splótł palce na blacie stołu i wysunął się nieco do przodu.

– Zaraz, zaraz – powiedziałem. – Chyba nie myślisz, że uda ci się podpuścić mnie do jakichś wyznań?

– Doprawdy nie wiem, o czym mówisz – odparł ze świętoszkowatą miną.

– Chcesz, żebym klócił się z tobą o rzeczy oczywiste? Co ci z tego przyjdzie? – zapytałem.

– Być może dla ciebie to są sprawy oczywiste, ale nie dla ludzi, dla których piszesz.

– Tak czy inaczej nie mam zamiaru dłużej grać w twoje gry.

– Więc znów zrobisz to samo.

– Co? Co takiego zrobię? – burknąłem.

– Powiedziałeś, że szwadrony śmierci są skutkiem polityki. A jednocześnie nie zamierzasz niczego wyjaśniać, nie zamierzasz udowodniać. Summa summarum oskarżasz bez poparcia faktami. Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jaki skutek mogą mieć tak puste słowa? Powiedz, czy to właśnie w ten sposób pracują dziennikarze? Wymyślają teorie do historii podłapanych gdzieś przypadkiem w barze?

– Jeśli próbujesz mnie obrazić, idzie ci całkiem nieźle.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu chcę ci uzmysłwić, że nie można już rzucać oskarżeń na lewo i prawo. Im głośniejsz krzyczysz, tym słabiej cię słychać. Im więcej słów wydusisz, tym mniejszy ich ciężar. Czasy się zmieniają, Jerry. Na świecie jest zbyt wiele zakłamania, a my coraz bardziej dławimy dezinformacją. Wiem. To zakrawa na ironię, ale w dobie ogólnodostępnej informacji to właśnie jej nadmiar jest zagładą prawdy. Poszukiwacze teorii spiskowych nie wiedzą już, w którą stronę spoglądać. Ludzie mówiący twoim sposobem nie poprawiają sytuacji. Masa emocji i zero faktów to kiepski przepis na zwycięstwo. A my toczyliśmy batalię, Jerry, i potrzebujemy strzelców wyborowych, a nie żółtodziobów z bronią maszynową przedłużającą ich ego. I to jest właśnie to, co robisz, Jerry, wzniecasz

burzę, pozostawiając masy sam na sam z pytaniami, z przytłaczającą liczbą pytań i faktów do zbadania. Dlatego kiedy tracą czas i energię na dochodzenie prawdy, przegrywamy, świat się rozpada, a grunt pęka nam pod nogami.

– Wiesz, co mawiał Nixon o Ameryce Łacińskiej? – zapytałem.

– Nie, nie wiem – powiedział. – Oświeć mnie.

– Powiedział kiedyś, że w przeciwieństwie do „krajów czarnych” przywódcy w Ameryce Łacińskiej przynajmniej wiedzą, jak utrzymać stabilność i że „przynajmniej robią to swoimi sposobami”, a sposoby te „przynajmniej w miarę dobrze się sprawdzają”. A potem, nie owijając w bawełnę dodał, że tamci przynajmniej „są w stanie rządzić tamtym cholernym miejscem”⁸.

– To, że pozwalamy im wyżynać się, więzić i torturować nie znaczy jeszcze, że bierzemy w tym udział – skwitował.

Obrzuciłem go długim oskarżycielskim spojrzeniem. Siedział cierpliwy i skupiony. Czekał, aż wybuchnę, otworzę się i wyśpiewam wszystko, co wiem. Czekał, aż zacznę przekonywać go do tego, z czego i tak zdawał sobie doskonale sprawę. Tylko po co ta farsa? Po co grać wariata i owijać w bawełnę?

Nie wierzyłem, że chce mnie po prostu sprawdzić. Do tego wystarczyłoby kilka prostych pytań. On chciał ciągnąć tę rozmowę o wiele dłużej. Chciał, żebym wydusił z siebie coś, co bardzo chciał usłyszeć. Tylko po co?

– No dalej, Jerry. Przecież wiem, że chcesz mnie przekonać. Widzę, jak ci nozdrza falują, gdy mówisz o Nixonie.

Czekał na moją reakcję. Nie mogłem zrozumieć, czego mógł chcieć. Czyżby nie ufał Jasmine? Paranoja wyjaśniałaby tę pilną potrzebę konfrontacji, a jednak jego zainteresowanie mną zdawało się mieć inną przyczynę.

– W takim razie powiedz, jak to było z tymi szwadronami śmierci? Niemcy czy Amerykanie? Kto był lepszym *amigos d'escudaras de la muerte*²⁷?

– Nie przekonasz mnie do niemieckiej opcji – powiedziałem. – To jakaś bzdura. Przecież to nasze agencje maczały palce we wszystkich najbardziej krwawych konfliktach na południe od Meksyku.

– Przed wojną czy dopiero po?

– Przed wojną też, ale przede wszystkim po.

Czułem, że tracę grunt pod nogami. Każde z pytań zmuszało mnie do sięgnięcia jeszcze dalej w głąb pamięci.

Błądząc po jej wnętrzach, jak po rekwizytorni opuszczonego teatru, czułem się jak widmo dawnego siebie nawiedzające świątynię minionej świetności. Rozpoznawałem przed sobą sterty rekwizytów, porzuconych, zakurzonych, piętrzących się po sufit. Przywodziły na myśl momenty dziennikarskiej chwały, studenckiej naiwności i młodzieńczych uniesień. Były świadectwem drogi, którą pokonałem, i wartości, które wyznawałem. Doszukanie się pośród nich konkretnej rzeczy, o którą pytał, było jak wejście do lodowatej wody, zmuszało od nagłego

przyznania, że było w moim życiu coś poza pracą i przypisaną sobie na stałe formą. Fakty, których szukałem, prześwitywały tu i ówdzie spomiędzy przygniatających je idei i wspomnień, były głęboko ukryte, a każda przeprawa po nie wiele mnie kosztowała.

Wiedziałem, że każde kolejne pytanie zmusi mnie do powrotu w przeszłość do czasów, gdy byłem jak on ambitnym elokwentnym i odczytanym idealistą. Wiedziałem też, że nie zostawi mnie w spokoju, jeśli nie włączę się do jego gry, nie podejmę wyzwania stawianego mi przez żadnego krwi ideowca.

Zamówiłem kolejne piwo. Nick, o dziwo, również. Spoglądał na mnie wymownie, dając do zrozumienia, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Oczekałem, aż barmanka zabierze puste kufle, a kiedy odeszła, zebrałem wszystkie siły i przeszedłem do wykładu z historii naszego południowoamerykańskiego poligonu.

– Nick, przecież już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku mieliśmy pierwszą okazję zniszczyć demokrację. Kennedy wspierał wtedy pucz wojskowy w Gwatemali. Podobnie było i w innych krajach. W Republice Dominikany w sześćdziesiątym trzecim i sześćdziesiątym piątym, w Brazylii w sześćdziesiątym czwartym, w Chile w siedemdziesiątym trzecim, a także wielu innych państwach. Salwador i Gwatemala nie zaznały wolności. Brutalne i represyjne rządy tych krajów od samego początku ustawiły się po właściwej stronie zimnowojennego konfliktu. Władze tych krajów pacyfikowały ludność cywilną, w tym głównie bezrolnych chłopów, a my w zamian wspieraliśmy ich siły bezpieczeństwa, z których to z kolei wywodzi się większość szwadronów śmierci.

– I cały ten zachód po to, by...?

– Nie rób tego. Proszę cię, nie traktuj mnie protekcjonalnie. Pisałem o Ameryce Łacińskiej, gdy ty robiłeś jeszcze w pieluchy. Niech ci się nie wydaje, że możesz mówić do mnie tym tonem.

– Przepraszam. Nie powinienem był. Kontynuuj. Proszę. – Pochylił głowę i pociągnął z kufła przez długą, niebieską rurkę, którą zostawił sobie chyba po to tylko, by mnie irytować.

– Pomagaliśmy im w przewrotach, by zabezpieczyć interesy naszych firm – powiedziałem. – To chyba oczywiste. Ale był też inny powód. Mianowicie utrzymanie naszej strefy wpływów.

– Co w tym złego, że bogaty kraj korzysta z siły roboczej państw mniej rozwiniętych? Każdy ekonomista powie ci, że wzrost PKB we wszystkich krajach prędzej czy później i tak podnosi jakość życia obywateli.

– Tak, wiem. Szczury pod stołem też mogą najeść się okruchami, ale to nie znaczy, że przestaną być szczurami, a już na pewno nie znaczy, że przestaniemy je tak traktować.

– Wybacz, ale śmiem sądzić inaczej.

– Mówisz poważnie? – Przez chwilę nie mogłem rozróżnić, która z jego pól jest rzeczywiście sztuczna, a która prawdziwa.

– Dlaczego nie? Przecież biedny, zatopiony w długach kraj nie podźwignie się bez zagranicznych inwestycji. Poza tym nawet jeśli nasze firmy oferują im okruchy i głodowe stawki to i tak jest to o wiele więcej niż skorumpowany rząd mógłby im kiedykolwiek zaoferować.

– Mógłby? Z którego podręcznika ekonomii cytujesz te kłamstwa?! – Nie wytrzymałem. To było silniejsze. Wiedziałem, że to manipulacja, ale jakaś część mnie mimowolnie przeciwstawiła się temu stwierdzeniu. – Według ciebie lepiej jest czekać sto lat, karmiąc się ochłapami z korporacyjnych stołów, niż wziąć sprawy w swoje ręce i zbudować własną przyszłość!?

– Ale kto im broni? W Europie jakoś potrafili podnieść się z komuny. Dlaczego nie potrafisz tutaj podnieść się z chaosu?

– Jest kilka powodów zaczynając od naszej pomocy gospodarczej, nacisków politycznych, a na morderstwach kończąc. Więc posłuchaj mnie lepiej, bo powiem to tylko raz, słuchaj, odznaczaj, co musisz w tym swoim notesie i nie przerywaj.

– Wal – powiedział, uśmiechnął się szeroko i otworzył notes.

– Nasza pomoc finansowa płynie nieproporcjonalnie częściej do tych rządów Ameryki Łacińskiej, które torturują obywateli. I nie ma to nic wspólnego z tym, ile pomocy dany kraj potrzebuje, tylko z tym, jak bardzo skłonny jest służyć interesom bogaczy i uprzywilejowanych. Mało tego istnieje bliska korelacja między torturami, a pomocą gospodarczą płynącą z USA. Im lepszy klimat dla operacji biznesowych tym większa szansa, że zachodzi stosowanie tortur i łamanie praw człowieka⁹.

– No dobrze. A co z argumentami ekonomistów? Co z podnoszeniem standardów życia?

– Mówi ci coś nazwa „Alliance for Progress”²⁸?

– Coś mi świta. – Potwierdził i zanotował coś. – No, ale mów, słucham.

– Kennedy wprowadził ten program między innymi po to, żeby podnieść wspomniany przez ciebie standard życia. Problem w tym, że rozwój gospodarczy stymulowany tą strategią nakierowany był jedynie na potrzeby amerykańskich inwestorów, a nie na potrzeby ludności. Przykładów takiej polityki jest wiele. Weźmy na przykład rolnictwo. Mieszkańcy Ameryki Łacińskiej zostali zmuszeni do produkcji płodów rolnych na eksport przy jednoczesnym obciążeniu dotacjami rządowych do zbóż hodowanych w ich krajach na potrzeby lokalnej konsumpcji. Kawa, kakao i kauczuk wypierają kukurydzę, podczas gdy rolnicy głodują, a plantatorzy się bogacą. Typowy kolonializm. Albo weźmy na przykład inny program – United Alliance²⁹, w ramach którego produkcja wołowiny wzrosła, a jej spożycie spadło^{8,9}. Rozwój tego rodzaju winduje PKB, tworząc jedynie sztuczny „cud ekonomiczny”, podczas gdy przytłaczająca większość ludności cierpi.

– I wtedy pojawia się opór.

– Tak, wtedy pojawiają się buntownicy, rebelianci albo terroryści, możesz ich nazywać, jak chcesz. Nasz rząd zmienia im etykiety w zależności od okazji. W czasach zimnej wojny byli komunistami, po murze berlińskim wywrotowcami lub terrorystami. Sprzeciw tych ludzi dławimy dokładnie tak, jak dławiliśmy wsparcie dla Wietkongu wśród chłopów w Wietnamie i Laosie – poprzez pacyfikację.

– No tak, tyle że w przeciwieństwie do Wietnamu o Ameryce Łacińskiej u nas się nie mówi.

– Media milczą, bo nie muszą podnosić alarmu. Dopóki nie wysyłamy tam żołnierzy, jak to bezmyślnie zrobiliśmy w Indochinach, nie ma potrzeby robić szumu wokół kilku tysięcy zabitych Indian. I to jest właśnie ten relatywizm moralny, którym tak bardzo gardzą cywilizacje Bliskiego Wschodu i Azji.

– Relatywizm moralny?

– Jeżeli zginie choć jeden amerykański żołnierz, sprawa nagle staje się ważna, pilna, skandaliczna wręcz. Poprzedniego dnia mogło zginąć sto tysięcy Panamczyków, ale u nas nikt nawet za nimi nie westchnie. Tak wychowują nas media. Taką moralność wpajamy dzieciom.

– Na razie dajmy spokój mediom. Powiedziałeś, że nie wysyłamy wojska, dobrze zrozumiałem?

– Wiesz dobrze, o co chodzi. Nie wysyłamy armii, ale nasi doradcy są zawsze obecni.

– By trzymać rękę na pulsie?

– Oczywiście. Zawsze należy trzymać rękę na pulsie. Tyle że robimy o wiele więcej niż podtrzymywanie status quo.

– Organizujemy szwadrony? To chciałeś powiedzieć?

– Chwileczkę, nie tak szybko. Wszystko po kolei. Przecież są pewne zasady. Nawet w administracji tak agresywnej jak nasza funkcjonują przyjęte normy. Najpierw używamy policji. Policja to podstawa. Drugim krokiem zazwyczaj jest użycie wojska. Tego typu rozwiązanie zastosowano podczas przewrotu wojskowego w Chile w siedemdziesiątym trzecim i w Indonezji w sześćdziesiątym piątym. Podobnie zresztą w Brazylii w sześćdziesiątym czwartym, gdzie administracja Kennedy'ego pomogła zniszczyć demokrację, przygotowując drogę dla przewrotu wojskowego. Podczas gdy my entuzjastycznie popieraliśmy przewrót w Brazylii, wojskowi przywódcy puczu stworzyli tam neonazistowskie państwo policyjne z represjami i torturami⁹.

– Dobrze. Ale wciąż nie dotarliśmy do sedna problemu – powiedział.

– Zgadza się. Po objęciu przez wojsko władzy zwykle następuje katastrofa i wybawienie.

– W postaci?

– W postaci gospodarki wolnorynkowej. Amerykańscy doradcy finansowi doradzają reżimowi wojskowemu „reformy”, które mają wyciągnąć kraj z kryzysu. Oczywiście program reform nakierowany jest na zyski amerykańskich firm, a nie na zreformowanie przedsiębiorstw i państwa. Reżim rozluźnia mechanizmy regulujące gospodarkę, pozwala zachodnim firmom czerpać nieograniczone zyski i eksploatować bez skrupułów zarówno ludność jak i surowce naturalne. Gospodarka naturalnie pada na kolana albo też rozwija się jeszcze przez kilka lat, oczywiście kosztem społeczeństwa, zanim ostatecznie nie padnie pod naporem korupcji, inflacji, zadłużenia i malwersacji finansowych. Niewolnicze warunki pracy i brutalna rzeczywistość kapitalistycznego wyzysku to jedyne udokumentowane źródło cudownego sukcesu gospodarczego jaki zafundowano krajom Ameryki Łacińskiej. Poza tym bez względu na to, czy gospodarka funkcjonuje jeszcze, czy już kona ludność zawsze zostaje doprowadzona na skraj nędzy i głodu. I wtedy właśnie do gry wkraczają Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy.

Jako lekarstwo na zderegulowaną gospodarkę, zachodni specjaliści, zalecają dalsze rozluźnienie przepisów i otwarcie rynku na penetrację zachodnich firm i ich inwestycje – inwestycje, które w klimacie korupcji prowadzą wprost do bankructwa. W obliczu tak nieuchronnej katastrofy MFW i Bank Światowy łaskawie udzielają tym krajom pożyczek, które rządy wojskowe zaciągają bez opamiętania, naturalnie za doradztwem tych samych specjalistów, którzy już raz doprowadzili system ekonomiczny do ruiny. Następnie kraj zadłuża się powyżej możliwości spłaty długu, a MFW uzależnia udzielenie kolejnych pożyczek od dalszej „liberalizacji” rynku. Bankierzy i politycy w imię tej cudownej liberalizacji zalecają ostre cięcia w budżecie przeznaczonym na służbę zdrowia, edukację i świadczenia socjalne, jeśli w ogóle jakiegokolwiek do tego czasu pozostały. Na tym etapie ulubionymi słowami używanymi przez bankierów i polityków to „stabilizacja” i „właściwy klimat inwestycyjny” – eufemizmy dla wyzysku, ucisku i kontroli zubożałych, zdesperowanych mas społecznych. A wszystko to w imię interesów garstki rządzących i oligarchii właścicieli ziemskich bogacących się z pokolenia na pokolenie. Naturalną konsekwencją tego rodzaju polityki jest niekończący się okres rządów MFW, który kontrolując gospodarkę kraju, skutecznie blokuje wszystkie popularne siły polityczne.

– Na pewno nie jest aż tak źle, jak mówisz.

– Jak bardzo źle musi być, by zacząć się martwić? Od końca lat siedemdziesiątych w samej Ameryce Środkowej, gdzie dziesiątkowane były popularne siły domagające się demokracji i reform społecznych, liczba zamordowanych z ręki popieranym przez USA sił sięgnęła około dwustu tysięcy.

– Wszystko to brzmi jak manifest, a nie argument. Podaj choć jeden przykład poparty faktami.

Jego oczy przybrały kształt mikroskopijnych, poziomych szczelinek, za którymi skrywał gadzi wzrok. Wsparł łokcie na stole, splótł dłonie na wysokości ust i wsłuchiwał się uważnie w każde słowo. Być może to właśnie przez to spojrzenie, być może przez arogancki ton, ale z jakiegoś powodu fakty zaczęły powracać, napływać uwolnione z zakamarków pamięci i skrywającej je warstwy czasu. Wszystko to, czym syciłem się niegdyś, ożyło nagle i uniosło się jakby złąknione tego czasu i tej rzeczywistości.

– Jacobo Arbenz, prezydent Gwatemali – powiedziałem – był chyba ostatnim, który łudził się zapewnieniami Roosevelta o nie interweniowaniu w cudze sprawy, o prowadzeniu „Polityki Dobrego Sąsiada”, którą się szczyciliśmy. Jego jedynym przewinieniem była chęć modernizacji i ucywilizowania brutalnej plantacyjnej gospodarki Gwatemali. Chcąc wprowadzić reformy na wzór „New Deal” Roosevelta³⁰ – te same, które wprowadziliśmy, by dźwignąć się po wielkim kryzysie – Arbenz zrobił coś, co okazało się tragiczną pomyłką: wywłaszczył część niezagospodarowanej ziemi United Fruit Company, największego amerykańskiego producenta owoców.

– I to wystarczyło? – spytał, uśmiechając się szelmowsko.

– Jasne, że wystarczyło. CIA zrobiła to, o co teraz oskarżają partyzantów w Kolumbii. Przez ponad rok agencja prowadziła program terrorystyczny. Współpracując z miejscowymi agentami wzbudzała lęk i niepewność. Stroną psychologiczną zajął się Edward Bernays, bratanek Sigmunda Freuda, i pionier w dziedzinie publicznej propagandy. Kampania dezinformacji opierała się na sianiu pogłosek oczerniających rząd, podrzucaniu amerykańskiej i gwatemalskiej prasie fałszywych informacji i rozsyłaniu pogróżek. Wkrótce po rozpoczęciu akcji, po kraju krążyły opinie, iż rząd planuje zakazać świąt, wygnać arcybiskupa, skonfiskować konta bankowe, a nawet wywłaszczyć całą prywatną własność¹⁰.

– Przecież tak właśnie robili komuniści.

– Komuniści? No to powiedz mi jedno. Czy komuniści przeprowadzali kampanie zamachów bombowych? Czy komuniści wysadzaliby mosty, drogi, obiekty wojskowe i posesje należące do zwolenników rządu? Czy komuniści rozdawaliby instrukcje opisujące jak krok po kroku skonstruować bomby różnego rodzaju? Czy to oni trenowaliby siły najemników w sąsiednim Hondurasie? Nie. To robiła nasza agencja, w imieniu naszych interesów³.

– OK. Powiedzmy, że masz rację. Ktoś pograżył kraj w chaosie. Skąd pewność, że to my?

– Przecież Arbenz zalegalizował partię komunistyczną. Po co czerwoni mieliby rzucać mu kłody pod nogi?

– Nie wiem.

– No właśnie. Poza tym, czy komuniści na miejscu mieli pod ręką eskadrę zrzucającą ulotki propagandowe nad stolicą?

- Co było na tych ulotkach?
- Czy to ważne? Samoloty, które przelatywały nad stolicą, były pierwszymi od czasu kampanii USA przeciw siłom Sandino w Nikaragui. Czy Gwatemalczycy mogli mieć jakąkolwiek wątpliwość co do tego, kto zainteresował się ich małym krajem? Przecież nadawaliśmy nawet fikcyjną audycję radiową z Nikaragui, by wmówić ludziom, że przeciw rządowi zbiera się i rośnie w siłę ruch zbrojny¹⁰.
- Skąd wiesz, czy to nie była prawda?
- Nick, te audycje były nagrywane u nas na Florydzie. Studio w Nikaragui jedynie odtwarzało zapisane taśmy.
- Co się stało z Arbenzem?
- Przeżył. Ustąpił. Wyemigrował. Czterystu-osobowa armia wyzwolenicza nie musiała się zbytnio wysilać, krocząc z Hondurasu do stolicy. Był tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty rok i po raz pierwszy pokazaliśmy, na czym nam zależy. Operacja PBSUCCESS okazała się rzeczywiście sukcesem. Gwatemala wpadła w ręce dyktatury, która nam odpowiadała¹⁰.
- Pięć lat później Castro przejął władzę na Kubie. – Nick zrobił sugestywną minę, jakby chciał podnieść wagę własnych słów. – W zasadzie, Eisenhower miał powody do obaw. Nic dziwnego, że posunął się do tego przewrotu.
- Próbujesz go usprawiedliwiać?
- Daj spokój, Jerry, przecież Dwait nie był taki zły.
- Zaraz mi powiesz, że Nixon nie był zły – burknąłem.
- A ty pewnie będziesz próbował mi wmówić, że wszyscy byli złoczyńcami.
- A nie byli? Na miłość boską! Przecież każdy z nich, począwszy od Eisenhowera, dobijał swój gwóźdź do trumny latynoamerykańskiej wolności.
- Nawet Kennedy?
- Kennedy był naiwny. – Parsknąłem. – Myślał, że porwie latynoamerykańskich przywódców ognistymi przemowami na temat wolności i równości.
- Wybacz, ale się nie zgodzę się z tobą.
- W tym samym momencie barmanka podeszła do stolika i podniosła puste szkło. Zamówiłem kawę, wypłem trochę piwa i odsunąłem swój kufel na bok.
- Dokończymy za moment – powiedziałem, na co Nick przystał z radością.
- Wracając z łazienki, Nick nie wytrzymał.
- Kennedy nie był naiwny – powiedział.
- Wiem, wiem. Kennedy to był dobry facet, wszyscy go kochaliśmy, zwłaszcza zaraz po tym, jak go zastrzelili, ale...
- Nie ma ale! – przerwał mi. – Przecież to on zapowiedział Sojusz dla Postępu. Planował przeznaczyć miliardy dolarów na pomoc w rozwijaniu tych krajów. Nie żądał przywilejów dla korporacji, ale oczekiwał głębokich reform rolnych, podatkowych, sądowniczych i wyborczych. Wszystko to po to, by rozbić

ogromną koncentrację bogactwa i politycznej władzy. Chciał, cytuję, „zbudować półkulę, gdzie wszyscy ludzie mogą mieć nadzieję na odpowiedni standard życia i żyć godnie i bez zniewolenia”.

– No tak, ale po co to wszystko? – odparłem. – Nim również kierował strach. Chciał ubiec Castro, odbić jego potencjalnych zwolenników. Niby dlaczego mówił o nowej „rewolucji”. Jestem pewien, że spece od opinii publicznej dobrze przygotowali go do tej roli.

– Nie przekonasz mnie. Kennedy był porządnym facetem.

– Zapewne, ale i tak nie będzie nam dane się tego dowiedzieć. Jedyne, co wiemy na pewno, to fakty. A one są nieubłagane.

– Słucham? – Wziął do ręki notes, wypił trochę piwa i zanotował coś.

– Kennedy wzmocnił i zintegrował regionalne agencje bezpieczeństwa w krajach, które rzekomo miał chronić przed działalnością wywrotową. W ramach jego planu, doradcy z Departamentu Stanu, Departamentu Obrony i CIA szkolili tamtejsze siły bezpieczeństwa w przesłuchaniach i technikach walki z partyzantką, zapewniali sprzęt i technologię, a nawet przeprowadzali przewroty tam, gdzie było to konieczne¹⁰.

– Tylko dlatego, że była taka potrzeba – odparł. – Gdy J.F.K. objął urząd, Castro rządził już dwa lata w swoim rewolucyjnym raju. W Wenezueli, Gwatemali i Kolumbii, na terenach wiejskich partyzanci byli już dobrze zorganizowani¹⁰. Ameryka Łacińska była spolaryzowana. Z jednej strony komuniści, z drugiej nasi sojusznicy.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Przesadzał. Zaczynał mówić tak, jakby naprawdę wierzył w każde swoje słowo.

– Ameryka była spolaryzowana dlatego, że ludzie widzieli, co się dzieje – odparłem. – W pięćdziesiątym czwartym widzieli rewolucję Arbenza, którą zgniotły imperialistyczne Stany. Widzieli też udaną rewolucję Castro pięć lat później. No powiedz szczerze, jak myślisz, która rewolucja z tamtego punktu widzenia była słuszną? Ta, którą deklarował Kennedy, czy ta której wbrew naszym interesom przewodził Castro?

– Ok, punkt dla ciebie – przyznał i uśmiechnął się.

– Przestań mi tu punktować! – warknąłem. – Tobie się wydaje, że to żarty? Tam ginęli ludzie, mordowani przez naszą politykę zagraniczną.

– Znów wracasz do tych nieszczęsnych szwadronów śmierci?

– Przecież to właśnie o nich rozmawiamy. Nie powiesz chyba, że Argentyna, Brazylia i Salwador posiadają aparat bezpieczeństwa dzięki Lidze albo tym nielicznym enklawom niemieckim? Nie. To my zorganizowaliśmy sobie nasze własne KGB na południe od Meksyku. To my szkoliliśmy naszych szpiegów na tym ogromnym doświadczalnym poligonie. Nie mogliśmy bawić się w gestapo u nas, ale za to tam? Tam, można było próbować wszystkiego.

– Fakty, Jerry! Fakty! – Nick trzymał się roli.

– Nie jestem pieprzoną encyklopedią! – warknąłem.

Nick odczekał chwilę, dając mi czas na autoanalizę i odpowiedział.

– Przepraszam. Wybacz, że naciskam, ale sam wiesz, że to, o czym mówisz, nie należy do historii powszechnej. Po prostu chciałbym mieć pewność, że jeśli powtórzę ludziom to, co mi zaraz powiesz, nie będę musiał się wstydzić, gdy mnie wyśmieją.

Jego poza zaczynała tracić na wiarygodności. Oboje wiedzieliśmy, że mówię prawdę, a on z wrodzoną lub wyuczoną lekkością wciąż zaprzeczał każdemu niezaprzeczalnemu faktowi.

Jakby tego było mało, według Nicka, zmuszanie mnie do wykładu na temat historii naszych południowych sąsiadów było czymś naturalnym i zupełnie dopuszczalnym. Zachowywał się tak, jakbym był jednym z profesorów wykładających na którymś z czterech kierunków, na których studiował. Słuchał mnie tylko po to, by odnotować i wytknąć mi moje błędy i niekompetencję. Zastanawiałem się, czy tak właśnie czuli się jego wykładowcy, gdy przychodził na ich zajęcia. W jego oczach musieli być ograniczeni i zasługiwali jedynie na strącenie z piedestału.

– Chcesz faktów? – zapytałem. – Dobrze. Wypchaj sobie nimi uszy i usta! Z tego, co widzę, i tak na nic ci się nie przydadzą, bo dialog to dla ciebie sztuka tajemna.

Nick nawet nie drgnął. Uśmiechnął się lekko, jakby moje uniesienie wydało mu się uroczym gestem. Niemal w tym samym momencie do stolika podeszła barmanka z kawą. Byłem jej wdzięczny. Potrzebowałem krótkiej pauzy, by uciszyć emocje. Poza tym, wiedziałem, że każdy kolejny gram alkoholu oddalał mnie od prowadzenia tej dyskusji na przyzwoitym poziomie. Mało tego, oddalał mnie od doprowadzenia jej do końca. Nick był zbyt dobrze zorientowany, bym mógł dyskutować z nim bez kofeinowego wsparcia.

– Ale po co te ostre słowa? – powiedział w końcu.

Patrzył przez chwilę, jak mieszam cukier w filiżance, a kiedy skończyłem, podjął na nowo.

– Czy nie możesz...?

– Słuchasz czy nie? – przerwałem mu.

– Słucham, słucham – powiedział. – Mówiłeś coś o faktach? Mów, proszę. Skąd wiemy, że szwadrony śmierci to nasz wkład?

– Grupy paramilitarne rodzą się tam, gdzie ginie demokracja, zarówno ta prawdziwa, jak i ta fałszywa. W tym samym roku, w którym Kennedy został zaprzysiężony, prezydent Republiki Dominikany, Rafael Trujillo, został zastrzelony przez dominikańskich dysydentów. Nasz rząd naturalnie wspierał tych dysydentów¹⁰. Trzy lata później armia Brazylii dokonała przewrotu, obalając

wybranego demokratycznie prezydenta Joao Goularta.

– Tak, tyle, że my nie mieliśmy z tym nic wspólnego, prawda?

– Ależ oczywiście, że nie. – Parsknąłem. – Jaki miałibyśmy pożytek z przewrotu wojskowego w jedynym kraju mogącym aspirować do roli naszego południowego rywala? Nick, chyba nie mówisz poważnie?

– Oczywiście, że mówię poważnie. Przecież Goulart nie był komunistą.

– Boże. – Przetarłem dłonią czoło.

Nick był jak pirania. Podpływał co chwilę, odgryzając kawałek mojej cierpliwości.

– Nie. Goulart nie był komunistą – potwierdziłem.

– Więc po co strącać go ze stołka, skoro nie stanowił zagrożenia?

– Po pierwsze, przepchnął referendum zwiększające kompetencje prezydenta.

– A po drugie?

– Po drugie, był politycznie niezależny. Z jednej strony, publicznie potępił nasz atak na Kubę, z drugiej, krytykował Castro za Kryzys Kubański¹¹. Ktoś, kto nie zamierza słuchać dyktatu amerykańskich firm, nie ma prawa być prezydentem.

– Mówimy o polityce, a nie o firmach – powiedział.

– Przecież wiesz, że jedno i drugie są ściśle związane. Zresztą jednymi z pierwszych rzeczy, jakie zapowiedział w swojej przemowie z sześćdziesiątego trzeciego roku, były planowane reformy i nacjonalizacja wszystkich firm naftowych¹¹. Czy to nie wystarczający powód, żeby ściąć głowę państwa?

– No dobrze, ale nie zmienia to faktu, że to wciąż jedynie spekulacje. Czy masz jakieś udokumentowane źródła? Coś, co dowodzi naszego udziału w brazylijskim przewrocie?

– Nie, nie mam. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Musimy poczekać kilka lat, zanim odtajnią tamte dokumenty³¹.

– Być może nie będziemy musieli czekać tak długo – powiedział, podniósł kufel i powoli go przechylił. Przyglądał mi się chwilę, testując moją cierpliwość, po czym odłożył szkło i opadł do tyłu.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, mów – rzuciłem.

– Cóż... Co prawda, nie ma jeszcze oficjalnych materiałów na ten temat, ale wiem z dobrego źródła, że Johnson³² kontaktował się ze swoim człowiekiem do spraw Ameryki Łacińskiej jeszcze na dzień przed przewrotem w Brazylii.

– Po co?

– Zastępca Sekretarza Stanu, George Ball i Asystent Sekretarza do Spraw Ameryki Łacińskiej Thomas Mann, dostali pozwolenie na wsparcie puczu, jeśli tylko będzie to konieczne¹².

– Powiedzmy, że to prawda. Słucham. Mów dalej – powiedziałem.

– Nasi doskonale wiedzieli, że Joao Goulart nie był komunistą. Dziesięć dni

przed przewrotem w Brazylii ambasador Gordon wysłał Johnsonowi telegram opisujący jego rozmowę z Goulartem, z której jasno wynikało, że brazylijski prezydent chce spotkać się z Johnsonem już w kwietniu.

– Jasno wynikało? – zapytałem. – To raczej mało konkretny fakt.

– No dobrze – odparł, przechylił się do przodu i zajrzał do kufła, jakby odpowiedź kryła się na jego dnie. Po chwili odetchnął, podniósł wzrok i wznowił wątek:

– Wiesz, jak Joao odpowiedział na uwagi o jawną akceptację komunistycznych wpływów w Brazylii?

– Wiesz dobrze, że nie wiem.

– Według niego, legalizacja Brazylijskiej Partii Komunistycznej powinna pokazać, jak niewielką realną siłą polityczną w kraju są komuniści. Dodał też, że komuniści w Brazylii są podzieleni między trzy radykalne obozy, a elita reakcyjna w kraju jedynie czeka na sygnał, taki jak na przykład zakaz legalizacji partii, którego my oczekiwaliśmy. Ponadto, powołując się na przykład ośmiu tysięcy protestujących chłopów, którzy domagali się ziemi w jednej z prowincji, Goulart stwierdził, że nawet jeśli połowa z nich była komunistami, to dowodziło to potrzeby reform, o które walczył. Przyznał, że poprzez te reformy, mógł zamknąć usta wszystkim lewicowym reakcjonistom domagającym się właśnie tego typu działań¹³.

– No, to rzeczywiście ciekawe, nie wiedziałem o tym, ale wciąż nie pasuje mi jeden szczegół.

– Mianowicie? – Nick zapytał, opróżnił kufel i otarł dłonią usta..

– Mianowicie, to, że te twoje „dobre” źródła nie stanowią żadnego materiału dowodowego – odparłem. – Powiedz, czy moi czytelnicy również mają wierzyć mi na słowo, gdy podam im fakty z tak nieoficjalnego źródła? Powiedz, jak chcesz mi pomóc w sprawie Kolumbii? Czy w taki właśnie sposób?

– Oboje dobrze wiemy, że odwołanie się do nieoficjalnego źródła to tylko wstęp. Przecież informacje zdobyte w ten sposób należy zawsze zweryfikować. A ty chyba potrafisz to robić Jerry, prawda? W końcu jesteś dziennikarzem. Czy może się mylę?

– No dobrze. Załóżmy, że będę w stanie zweryfikować twoje informacje, zanim opublikuję książkę. Ale jaki to ma związek z Kolumbią? Jak to ma wpłynąć na moją pracę? Przecież po to spotkaliśmy się tutaj. Może dla odmiany pomówimy o kraju, w którym obecnie zatapiają szpony?

– Kiedy to właśnie ma związek z Kolumbią – odparł. – Cała historia naszej obecności na południu jest punktem wyjścia dla historii Kolumbii. Myślisz, że operacja Brat Sam⁴ różniła się tak bardzo od tego, co robimy w krainie koki?

– Jaka znowu operacja? – zapytałem.

– W depeszy do ambasadora Gordona siedzącego w Buenos Aires, Johnson

zapewnił, że wysłał w pobliże Brazylii, w celach ćwiczebnych cztery lotniskowce, cztery niszczyciele z dwoma eskortami i tankowcami. Gdyby uzurpator zwrócił się do USA o pomoc i polityczne uznanie, nasz prezydent przewidywał dostarczenie dodatkowo tankowców z Aruby, a także wsparcie logistyczne dla sił lądowych, w postaci: stu dziesięciu ton amunicji, lekkiego sprzętu, gazu łzawiącego do kontrolowania tłumów, dziesięciu samolotów towarowych, sześciu cystern powietrznych i sześciu myśliwców¹⁴.

Dopiero wtedy do mnie dotarło.

Z nim nie mogłem wygrać.

Nick nie miał po prostu dobrej pamięci. Miał fotograficzną pamięć. Czy mogłem w ogóle polemizować z kimś takim?

Odkąd pamiętam, zawsze zazdrościłem ludziom obdarzonym tą wyjątkową cechą. Istniała jednak zasadnicza różnica między podziwianiem fenomenu, a rywalizowaniem z nim. Siedząc w zadymionym barze, po dwóch, a może trzech piwach i nieprzespanej nocy przywoływałem z pamięci resztki wiedzy, które wciąż kłębiły się gdzieś wczepione w ruiny wspomnień. Tymczasem naprzeciw mnie siedziała ludzka maszyna, analityczny komputer z pojemną pamięcią i nieskrywaną skłonnością do pastwienia się nad rozmówcą.

– Posłuchaj siebie – powiedziałem. – Nie słyszysz, że zaczynasz bredzić? – Bronilem się. – Plan Kolumbia to szkolenie wojska w walce z partyzantami i opryski pól uprawnych, a nie myśliwce i tankowce.

– Dokładnie! – powiedział, wznosząc palec do góry.

– Co znowu? – zapytałem.

– Szkolenie wojska w walce z partyzantami. Dokładnie tak samo, jak w San Salvadorze we wczesnych latach sześćdziesiątych.

– Boże! Naprawdę chcesz przerobić wszystkie te kraje?

– No dalej, Jerry, wiem, że dasz radę. Co wiesz o Salvadorze?

Spojrzałem na niego zniechęcony. Chociaż od początku wiedziałem, że nie chodziło mu o sprawdzenie mojej wiedzy, dopiero teraz dotarło do mnie, że Nick czerpał satysfakcję z dręczenia innych, a jeśli nie innych to mnie na pewno.

Miałem nadzieję, że Jass wkrótce pojawi się, wybawiając mnie z tego nierównego pojedynku. Niestety nic takiego nie nastąpiło. Musiałem radzić sobie sam, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że mój przeciwnik dopiero się rozgrzewał.

– Wiem, że za Cartera i Reagana oddziały paramilitarne mordowały tam ludzi – przyznałem.

– Klasyczna odpowiedź – odparł. – Wszyscy zwalają winę na Reagana, podczas gdy to za Kennedy'ego i Johnsona zintegrowano i wzmocniono ANSESAL – tajne Służby Specjalne Salwadoru i ORDEN – tajną policję państwową.

– Czy ja dobrze słyszę? Czy ty przed chwilą przyznałeś, że Kennedy nie koniecznie był dobrym facetem?

– Kennedy chciał dobrze – powiedział spokojnie. Niepostrzeżenie Nick przeszedł na drugą stronę.

– Jasne, tyle, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. I to właśnie to piekło rozpętał Reagan w Ameryce Środkowej.

– Mówiłem ci już, Jerry. On tego piekła nie rozpętał, on je odziedziczył. Po Johnsonie, Nixonie i Carterze.

– Niech ci będzie. – odparłem. – Johnson zniszczył demokrację w San Salvadorze, to już ustaliliśmy. A co z Nixonem?

– Johnson wcale nie zniszczył demokracji w San Salvadorze.

– Jak to nie? – Zaprotestowałem. – Sam mówiłeś, że wzmocnił aparat bezpieczeństwa. Jak inaczej to nazwiesz?

– Tak naprawdę, to demokracja nie miała nawet okazji tam zajrzeć. Co prawda liczba protestów przeciw wyzyskowi rosła, ale nie znaczy to jeszcze, że ludzie żyli w wolnym kraju. W rzeczywistości, właściciele ziemscy wciąż, niezmiennie uprawiali kawę tym samym niewolniczym sposobem, co ich ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie. Jedyne, co się zmieniło za kadencji Johnsona, to świadomość ludzi i bunt.

– A my oczywiście pomagaliśmy go tłumić ten bunt – stwierdziłem.

– Tłumić? Hmm... Można to tak nazwać – powiedział. – Widzisz, plan wzmocnienia aparatu bezpieczeństwa, który według Kennedy'ego miał uchronić ludność przed komunistycznym zagrożeniem, w rzeczy samej, stał się gwoździem do trumny narodu. Ale to dopiero za Johnsona agenci z Departamentu Stanu, Zielone Berety, CIA i USAID zaczęli pracować zgodnie założeniami idei aparatu bezpieczeństwa. Amerykańscy doradcy zaopatrywali wojsko w sprzęt do nasłuchu, aparaty fotograficzne, broń, amunicję i materiały wybuchowe. Szkolili personel ANSESAL i ORDEN w zakresie kontroli zamieszek, obserwacji i technik masowych aresztowań.

– Fakty, Nicky, fakty – powiedziałem, sącząc spokojnie kawę. Ku mojemu zaskoczeniu, niepostrzeżenie, role się odwróciły się. Zastanawiałem się, czy daje mi odpocząć, czy po prostu chce pochwalić się czymś, czego ja sam nie wiem.

– ANSESAL, który koordynował siły bezpieczeństwa w Salvadorze został stworzony przez prezydenta Carballo, który po opuszczeniu stanowiska został ambasadorem Salvadoru w USA i ONZ.

– A mówisz to dlatego że?

– Dlatego, że jego podwładnym i dowódcą ANSESAL, który dokonał tak wiele dobrego w interesie oligarchii, był Coronel Medrano, znany jako człowiek, który przy użyciu personelu wojskowego i wywiadowczego formował Szwadrony Śmierci.

– No dobrze. Johnson nie zniszczył demokracji. Uprawomocnił zabijanie.
A Nixon?

– Nie skończyłem – powiedział.

– Naturalnie, że nie skończyłeś. Jak mogłem sądzić, że skończyłeś?
Dokończ. Proszę. Spróbuję nie kwestionować twojej wiedzy objawionej.

Nick nawet się nie zająknął się, nie raczył też zareagować na mój ostatni komentarz. Od razu zaczął kolejny wątek. Był jak automat.

– Za czasów Johnsona, reformy ekonomiczne oznaczały nie uprzemysłowienie z właściwymi mu inwestycjami, ale niższe cła na amerykański eksport i niższe podatki dochodowe dla amerykańskich firm. To właśnie za Johnsona dysydenci polityczni w Gwatemali zaczęli znikać podczas pierwszej kampanii szwadronów śmierci w sześćdziesiątym szóstym roku⁸. Chyba nie muszę dodawać, że to nie komuniści szkolili członków tych oddziałów?

– W porządku, a Nixon?

– Nixon ma na koncie przewrót w Chile.

– Ford?

– Ford był dobrym facetem.

– Tylko dlatego, że nie zorganizował żadnego przewrotu? – zapytałem.

– Nie wiem, czy nie zorganizował. Ale wiem za to, że jego Sekretarz Stanu dał swoje błogosławieństwo represyjnemu rządowi w Argentynie w siedemdziesiątym szóstym roku⁸.

– Boże... – Chciałem powiedzieć, ale nie zdążyłem. Nick najwyraźniej nie uznawał pustych komentarzy.

– W zasadzie, to nie był z niego zły facet – powiedział. – Przecież w tym samym roku, gdy jego sekretarz stanu winał represjom w Argentynie, on sam podpisał rozporządzenie zakazujące mordowania przywódców obcych państw w czasie pokoju⁸.

– No tak, to bardzo szlachetne z jego strony – skwitowałem. – Miło, że o tym pomyślał.

– No, a Carter? – zapytałem.

– Carter miał niemal czyste konto.

– Jak to czyste konto?

– No, prawie czyste – odparł. – Co prawda zablokował starania prokuratora generalnego, który chciał oskarżyć Noriegę o handel narkotykami⁸, ale poza tym, obrał zasadniczo dobry kierunek.

– Noriega zmienił Panamę w kryminalne imperium. – Oburzyłem się. – Mechanizm do zbijania milionów na handlu narkotykami, bronią i na praniu brudnych pieniędzy^{16,17}. Nick, wszystko to działo się za Cartera. Podobnie zresztą jak i kontakt Noriegi z CIA, co zaczęło się na długo przed tym, zanim został prezydentem. Właściwie przez całą jego kadencję, bo od późnych lat

sześćdziesiątych płaciliśmy temu handlarzowi¹⁸, a Carter nie ruszył nawet palcem, żeby coś zmienić. Także nie próbuj mi wmówić, że Jimmy był OK. To, że dostał Pokojową Nagrodę Nobla, go nie usprawiedliwia go.

– Za Cartera szefem CIA był Bush – odparł. Jego oczy przymrużyły się, czekając na moją reakcję.

Nie musiał nic dodawać. Nazwisko Bush przebijało wszystko. Było jak Joker w talii pełnej błotek.

– W porządku. W takim razie co masz na Reagana?

– Nie, nie, nie, Jerry – odparł błyskawicznie. – To ty mi powiedz, co masz na Reagana. – Podniósł z siedzenia swój notes i otworzył go na nowej stronie.

– Myślałem, że dałeś już spokój z tym cyrkiem.

Nick rozprostował dłonią zgięte kartki, chuchnął teatralnie w rysik ołówka i zamaszystym gestem rozpoczął notowanie.

– Nick? – rzuciłem, na co on, nie podnosząc wzroku znad kartki odparł:

– Powiedziałeś wcześniej, że pisałeś już nie raz o Ameryce Łacińskiej. Udowodnij to.

– Nie muszę ci niczego udowadniać.

– Nie musisz, czy nie jesteś w stanie? – Podniósł wzrok i wyszczerzył rząd żółtawych zębów.

– Co chcesz wiedzieć?

– Chcę usłyszeć twoją szarżę na Reagana.

– Po co?

– Cóż... Powiedzmy, że chciałbym wiedzieć, czy będziesz w stanie obronić swoją rację. Potraktujmy to jako rozgrzewkę, na dobry początek, zanim przejdziemy do Kolumbii.

– Dobrze, ale uprzedzam, jeśli choć raz zasugerujesz, że Reagan był bohaterem, wychodzę.

– Spokojnie, spokojnie. Myślę, że nie będziemy musieli się do tego posuwać. Ale musisz przyznać, że Ronald nie miał zasadniczo wielkiego wyboru?

– W jakiej kwestii?

– W kwestii naszej agresji.

– Zawsze jest wybór, Nick – powiedziałem.

– Teoretycznie, Jerry, tylko teoretycznie. Z resztą, to, jak wyglądała południowa półkula, nie było wcale jego dziełem.

– Jak to nie?

– Ronald odziedziczył Amerykę Południową po swoich poprzednikach, spacyfikowaną i gotową do wyzysku.

– Tak, tyle, że to dodatkowo zaostrzyło jego apetyt na władzę – odparłem. – Przecież nie poprzestał na wykorzystaniu status quo. Piekło, które rozpętał, nie ma żadnego usprawiedliwienia.

– Jerry. Przecież do czasu, kiedy Reagan doszedł do władzy, każdy kraj na południe od Kostaryki był już pod władzą tego czy innego dyktatora. Zresztą, nieco bardziej na północ sytuacja nie wyglądała wcale inaczej. Gwatemala, Salwador i Nikaragua – wszystkie klęczały już pod jarzmem dyktatur wojskowych. Wszyscy siedzieli u nas w kieszeni. Po co Reagan miałby rozpętywać piekło? Czy nie jest tak, że zrzucamy na niego winę za cudzą robotę? Przecież on jedynie rozniecił ogień, który, jeśli nie szalał, to tlił się tam, czekając na kogoś, kto otworzy drzwi i uwolni cug.

Nick uniósł brwi z niewinną, pytającą, odrobinę zdziwioną miną, jakby święcie wierzył w każde swoje słowo i z głębi serca chciał przekonać mnie do swojej racji.

– Zaraz powiesz, że Nikaragua i Contras to też jakiś pozostawiony w spadku bałagan? – burknąłem.

– To, że CIA wspierało CONTRAS, nie podlega dyskusji. Ale powiedz szczerze, czy rewolucjoniści z Nikaragui nie zgotowali sobie sami tego losu? Przecież widzieli, co działo się wokół. Czy aż tak ciężko było domyślić się, że ich podwórko wykupił nowy, o wiele większy przedsiębiorca?

– Tak, masz rację. To wszystko tłumaczy i wszystko usprawiedliwia – prychnąłem.

– Nie usprawiedliwiam nikogo, Jerry. Chcę tylko, żebyś spojrzął na to z nieco innej, bardziej obiektywnej strony.

– Obiektywnej? Czy wiesz, co robili szkoleni przez CIA kontrrewolucjoniści z Gwardii Narodowej Somozy?

– Wiem, wiem. Gwałcili, palili, mordowali. Standardowe zachowania podczas rewolucji. I co z tego? Myślisz, że w Europie było inaczej? Taka jest cena rewolucji.

– Tak, Nicky, myślę, że mimo wszystko w Europie było inaczej. Może i Francuzi ścinali swoich ciemżycieli, ale przynajmniej nie kastrowali ich, nie wydlubowali im oczu łyżeczkami, nie obcinali im piersi, nie kroili ich ciał do kości. Jeśli naprawdę szukasz analogii i chcesz porównać z czymś nasz wpływ w Nikaragui, to poszukaj ich bardziej na wschód.

– Na wschód, powiadasz? – Uśmiechnął się.

– W kwestii Ameryki Środkowej Reaganowi zdecydowanie bliżej do Stalina niż do kogokolwiek innego. Przynajmniej jeśli chodzi o wartość, jaką dla niego miało ludzkie życie.

– Czy ty aby nie przesadzasz?

– Nie wiem – odparłem. – Ty mi to powiedz. Dlaczego Reagan tak mocno zacisnął pięść wokół Ameryki Środkowej?

– Bo mógł – odpowiedział beznamiętnie.

– Dokładnie. Nikogo nie obchodził mały, nic nie znaczący El Salvador, czy

Gwatemala. Reagan mógł bez przeszkód snuć wobec nich swe kowbojskie plany. A gdy w Nikaragui ludzie w końcu zmobilizowali się i obalili Somozę, Ronald dostał zielone światło. Mógł zemścić się za klęskę amerykańskiej machiny wojennej w Wietnamie i zrobił to – pastwiąc się na biednych chłopach i Indianach Nikaragui. Trudno o lepszy worek treningowy, niż bezbronny, zmaltrretowany przez dyktaturę naród małego, nieznanego kraju między dwoma kontynentami.

– Lepiej bym tego nie ujął – przyznał. – Ale wiesz? Zastanawia mnie co innego.

– Co takiego?

– Weźmy taki Salwador. W przeciągu dekady wpompowaliśmy tam ponad milion dolarów w kampanię przeciw rebeliantom. I nie chodziło nam przecież o stworzenie lokalnego gestapo. Chodziło nam o przemianę wojska Salwadoru w kompetentną antypartyzancką siłę. Jeśli wierzyć oficjalnemu stanowisku, a myślę, że w tym wypadku możemy, to tak naprawdę chcieliśmy odwieść wojsko od gwałtownej obrony swojej własnej pozycji w kraju. Chcieliśmy pchnąć tych wszystkich młodych kadetów SOAs w kierunku profesjonalnych metod zwalczania rebeliantów. Planowaliśmy wyszkolić nową elitę wojskową, która hołdowałaby naszym tradycyjnym wartościom, a nie mordowała cywili. Zastanawia mnie więc, jak to się stało, że ci młodzi oficerowie zawiedli?

– Ależ oni nie zawiedli – odparłem. – Zrobili dokładnie to, do czego zostali przygotowani. Sterroryzowali ludność i przelali morze krwi.

– A widzisz, to jest akurat jedynie twoja opinia. Ja natomiast pytam o wiarygodną teorię.

– Odpowiedź na to pytanie jest banalna.

– Zamieniam się w słuch – powiedział, zapisując coś w notesie.

– Wiesz pewnie, że młodzi ludzie, o wiele częściej niż starsi, idą na łatwiznę. I chyba przyznasz też, że łatwiej jest dokonywać szeroko zakrojonych operacji wojskowych, przeczesywać rozległe obszary przy pomocy dostarczonych przez nas helikopterów i samolotów niż wykonywać precyzyjne operacje wymagające dyscypliny, samokontroli i umiejętności?

– Powiedzmy, że póki co przyznam ci rację. Słucham, mów dalej.

– Co tu więcej mówić? To chyba jasne? – odparłem. – O wiele łatwiej jest przetoczyć się przez kraj hordą uzbrojonych po zęby żołnierzy, prowadzić nagonkę na partyzantów i siać strach niż wysyłać grupy komandosów w głąb dżungli. Sam wiesz, że tak właśnie dokonano masakry w El Mozote.

– Zgadza się. Tym bardziej więc dziwi taka taktyka, jeśli przyjrzesz się wydatkom naszej administracji w tamtym czasie.

– Jakim znowu wydatkom? – zapytałem.

– Ponad dwa miliardy dolarów między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym ósmym.

– Na co?

– No właśnie. Sęk w tym, że pieniądze te nie były przeznaczone jedynie na projekty wojskowe, ale również na wsparcie finansowe dla partii pro-reformowych, dla związków pracowniczych i organizacji opozycyjnych, które nie popierały powstańców. Z założenia środki te miały pomóc rozwojowi infrastruktury, reformie systemu sądowego, a także stworzeniu koalicji rządowej i odpowiedzialnej elity biznesowej będącej w stanie stworzyć przeciwwagę dla reakcyjnej prawicy.

– Innymi słowy klimat pro biznesowy? – dodałem.

– Dokładnie. Więc jak to się stało, że wszystko to szlag trafił? – zapytał.

– Korupcja, podatność młodych na prawicową ideologię, no i przede wszystkim świadomość prawdziwego celu naszej obecności w ich pięknym kraju. Myślę, że to dlatego właśnie młodzi, wytrenowani w SOAs oficerowie, byli tymi, którzy popełniali najwięcej okrucieństw. To przecież oni najsilniej sprzeciwiali się naszej ingerencji w sprawy wewnętrzne kraju. Poza tym, myślę, że po prostu robili to, co sprawiało im przyjemność.

– I to, czego nauczyli się od naszych instruktorów – dodał z drwiącym uśmiechem.

– Niezupełnie – odparłem. – Na pewno otrzymali od nas solidne podstawy. Logistyka, sprzęt, trening wojskowy i psychologiczny to narzędzia, które na pewno właściwie wykorzystywali. Z resztą podobnie jak techniki przesłuchań i tortur. Ale to, co robili z własnej inwencji, dla zaspokojenia własnych prymitywnych potrzeb, to już zupełnie inna sprawa. Wątpię, żeby którykolwiek z instruktorów sugerował im, by robili to wszystko, czego się dopuszczali. W czasie kampanii, ciała ich ofiar pojawiały się regularnie na ulicach. O wczesnych godzinach porannych można było natknąć się na zwłoki, noszące ślady powolnych nacięć, amputacji i oparzeń dokonanych na długo przed śmiercią.

– Nie zostawiali pocisków. – Pokiwał głową w zadumie.

– Tak, bo pociski pozostawiają ślady – potwierdziłem. – Ślady, które mogłyby prowadzić do nas. Jak myślisz, komu zależało najbardziej na tym, by nie znajdowano pocisków?

– Nam na pewno bardziej niż im – odparł.

– Dokładnie, tyle, że w El Mozote znaleźli naboje. W zbiorowym grobie znaleźli setki pocisków wyprodukowanych dla naszego rządu w Lake City.

– Cóż, nie zawsze udaje się wszystko ukryć. – Wzruszył ramionami.

– W Gwatemali nie starali się nawet tego ukrywać.

– To zależy od tego, co rozumiesz przez ukrywanie – dodał.

– Między osiemdziesiątym pierwszym a osiemdziesiątym trzecim rokiem armia zamordowała tam mniej więcej sto tysięcy Majów, którzy mieszkali w regionie zidentyfikowanym jako źródło lewicowej rebelii. W niektórych

miastach wojska mordowały dzieci, tłukąc je głowami o skały lub wrzucając do rzeki na oczach rodziców. Patroszyli żywe ofiary, amputowali genitalia, ręce i nogi, dokonywali zbiorowych gwałtów i palili ludzi żywcem.

– To dość spora lista dość niewiarygodnych oskarżeń. Jesteś pewien, że robili to wszystko dla zaspokojenia swoich, jak ty to powiedziałaś, „zwierzęcych instynktów”?

– Skąd mogę wiedzieć, dlaczego to robili? – odparłem. – Czy powód ma jakiegokolwiek znaczenie? Wiesz dobrze, że nic ich nie usprawiedliwia.

Nick uśmiechnął się, jakby moje oburzenie dawało mu osobistą satysfakcję.

– Czy wiesz, jak wyglądał podstawowy trening kadetów w gwatemalskim wojsku? – zapytał.

– Nie, nie wiem.

– Program był zaprojektowany tak, aby wykorzystać z nich wszystkie cywilizowane odruchy. Byli bici, poniżani, zmuszani do kąpieli w ściekach, po czym zabraniano im zmywać z siebie odchody. Niektórzy dostawali na wychowanie szczeniaki, tylko po to, by potem zmusić ich do zabicia tych zwierząt i wypicia ich krwi. Dalej uważasz, że nic ich nie usprawiedliwia?

– Chcesz się wdawać w filozoficzne dysputy? Jedyne, co jest ważne, to, że nic nie usprawiedliwia Reagana – powiedziałem.

– A ty znów swoje. Mówiłem ci już przecież, że Ronald nie rozpętał tamtego piekła.

– Nie? – zapytałem. – A czy wiesz, że dzień przed masakrą w Dos Erres, gdzie wojsko w przeciągu trzech dni zamordowało stu sześćdziesięciu ludzi, w tym sześćdziesięcioro pięcioro dzieci, Reagan spotkał się z prezydentem Gwatemali, Efrain'em Rios Montt'em – jednym z głównych inicjatorów tamtego ludobójstwa? Reagan narzekał prasie, że jego ewangelicki kolega jest niesprawiedliwie krytykowany. Zapewnił reporterów, że Rios Montt był „całkowicie oddany demokracji”⁸. Czy to według ciebie, jest jedynie podsycaniem ognia?

– Mówisz to tak, jakby sam Reagan pociągał za spust.

– Czy Hitler pociągał za spust? Podczas dwóch kadencji Reagana nasi sojusznicy w Ameryce Środkowej zabili ponad trzysta tysięcy ludzi, torturowali setki tysięcy i zmusili do emigracji miliony. To prawda, że dekady finansowania aparatu bezpieczeństwa zaowocowały najbrutalniejszym etapem wojny w Ameryce Łacińskiej właśnie wtedy, gdy Reagan doszedł do władzy. Ale to właśnie między osiemdziesiątym pierwszym a osiemdziesiątym trzecim rokiem wojsko przetoczyło się przez tubylcze społeczności, popełniając ponad sześćset masakr i zamieniając górskie wioski w rzeźnie. Reagan nie zrobił nic, by to zmienić. Pomimo że Carter odciął pomoc wojskową, za Reagana fundusze i instruktorzy wciąż napływali do Gwatemali. Działo się to zarówno w zgodzie z podpisanymi przed owym zakazem kontraktami, ale i również dzięki Agencji Rozwoju Międzynarodowego, której to

fundusze nakierowane były na wsparcie wysiłków wojska w celu przejęcia kontroli nad terenami wiejskimi⁸.

– No dobrze. Reagan nie popisał się w tej kwestii. Ale my w kraju też nie ruszyliśmy palcem. Ja, byłem wtedy jeszcze dzieckiem, więc nie mam sobie nic do zarzucenia, ale co zrobiło twoje pokolenie, żeby uniknąć tego przelewu krwi?

– Niewiele – przyznałem.

– No właśnie. Myślisz, że tego rodzaju hipokryzja pomoże ci w sprzedaży książki? Dlaczego sprzeciwialiśmy się wojnie w Wietnamie? Nie odpowiadaj. Sam ci powiem. Dlatego, że byliśmy bandą tchórzy, którzy wyznawali ideę miłości tylko wtedy, gdy sprzyjała ratowaniu własnego tyłka. Jeśli ktoś nie chciał się zaciągnąć do wojska, mógł śmiało powiedzieć, że jest pacyfistą. To o wiele wygodniejsze niż przyznać się do tchórzostwa, prawda?

– To prawda. Może gdyby Reagan z jakiegoś powodu wysłał do Gwatemali ze dwa pułki wojska, sytuacja w Ameryce Łacińskiej nie była by dziś tak oplakana. Ludzie dowiedzieliby się, co robimy z rolnikami w indiańskich wioskach pośrodku dżungli.

– Dlaczego, Jerry? Dlaczego nikt nie podniósł głosu? – Jego twarz spoważniała.

– W kraju prosperował już wtedy przemysł propagandowy. Dezinformacja rozsiewana przez Biuro Dyplomacji Publicznej zmusiła przeciwników Reagana, by tracili czas i energię na demaskowanie fikcyjnych twierdzeń i fałszywych oskarżeń. Zamiast skupiać się na walce z naszą obecnością na południowym kontynencie, dziennikarze i aktywiści musieli konfrontować się nie tylko z rozsiewaną fikcją i plotkami, ale też z przedstawicielami rządu i stronnictwymi „ekspertami”. Czytałem kiedyś wywiad z dziennikarką, która w osiemdziesiątym siódmym roku pracowała dla ABC News. Mówiła, że nakręcenie materiału krytykującego politykę Reagana w sprawie Ameryki Środkowej zajmowało całe miesiące. Poświęcenie tak wielkiej ilości czasu na przygotowanie historii, która zajęłaby zaledwie pięć minut czasu antenowego, nie była odbierana jako efektywny sposób wykorzystania zespołu i środków⁸.

– No dobrze. Myślę, że to wystarczy – powiedział.

Zamknął zeszyt, odłożył go i splótł dłonie na blacie. Wyglądał na odprężonego.

– Czy teraz możemy porozmawiać o Kolumbii? – zapytałem.

– Tak. Pewnie zastanawiasz się, dlaczego pytałem cię o te wszystkie rzeczy.

– Niespecjalnie – przyznałem. – Chcę po prostu skończyć tę rozmowę.

– No bo widzisz – podjął, nie zwracając uwagi na to, co powiedziałem – nasza obecność w Kolumbii jest przedłużeniem naszej polityki i planów, które rozpoczęły się jeszcze za Kennedy’ego. Żeby uzmysłwić to czytelnikowi, musisz wskazać wspólny mianownik, coś, co połączy przeszłość, teraźniejszość i wskaże

ewentualną przyszłość.

– Czyli?

– Mówi ci coś nazwisko Yarborough?

– Generał William Yarborough? – zapytałem.

– Ten sam.

– Zorganizował Zielone Berety w Wietnamie – powiedziałem. – Jego podopieczni wprowadzili do strategii antypartyzanckiej samosady i zabójstwa.

– Dokładnie. W latach sześćdziesiątych pomagał zorganizować działania antywywrotowe tutaj, w kraju. Koordynował pracę wywiadu wojskowego w COINTELPRO, programie FBI, którego zadaniem były między innymi obserwacja, oczernianie i nękanie zarówno organizacji politycznych, aktywistów antywojennych, jak i tych, którzy walczyli o prawa człowieka⁸.

– Pamiętam. Swego czasu było o tym głośno. I mówisz, że to właśnie Yarborough maczał w tym palce?

– Nie tylko w tym. W sześćdziesiątym drugim doradzał rządowi kolumbijskiemu, sugerując utworzenie nieregularnych jednostek wojskowych w celu „przeprowadzania paramilitarnych, sabotażowych i terrorystycznych akcji przeciw znanym orędownikom komunizmu”⁸.

– Szwadrony śmierci – skwitowałem.

– Dokładnie. – Nick uśmiechnął się. – Takich wspólnych elementów naszej polityki na południu i w Azji było więcej. Na przykład znak rozpoznawczy grup paramilitarnych.

– Znak rozpoznawczy? Jaki?

– W Wietnamie, rząd Sajgonu rozdawał wśród niektórych swoich oddziałów ulotki z symbolem oka. Ulotki te pozostawiano przy ciałach zabitych, lub na drzwiach domów należących do ludzi podejrzanych o pomaganie Wietkongowi. Mniej więcej w tym samym czasie, w Gwatemali zaczęto używać tej samej techniki wzbudzania terroru, z tym że tam zastąpiono ulotkę odciskiem białej dłoni⁸.

– A w Kolumbii?

– A w Kolumbii zastosowaliśmy na przykład program strategicznych wiosek, ten sam, który funkcjonował w Wietnamie. W sześćdziesiątym czwartym, podczas kampanii spalonej ziemi, użyliśmy tam przetestowanego wcześniej w Wietnamie napalmu. Buntownicze wioski w Kolumbii zostały zrównane z ziemią z tą samą bezwzględnością, jaką popisaliśmy się w Laosie, Kambodży i Wietnamie.

– W porządku. Ale ty mówisz o taktyce, a mi chodzi o konkrety.

– Spokojnie, wszystko w swoim czasie.

– Nie, Nick. Czas się skończył. Albo powiesz mi to, po co zwabiłeś mnie tutaj, albo wychodzę.

– Ok, w porządku. Nie spinaj się tak.

- Słucham. Mów – powiedziałem.
- Powiem ci, ale najpierw chciałbym wiedzieć, co wiesz o naszej obecności w Kolumbii. Po co w ogóle tam jesteśmy?
- Oficjalnie? Walczymy z narkotykami. Nieoficjalnie, walczymy w wojnie domowej, próbując wytepić rebeliantów walczących z rządem.
- No, dobrze, ale po co? Jaki mamy w tym interes?
- Nie znalazłem jeszcze niezbitych dowodów, ale myślę, że chodzi o kontrakty wojskowe dla DynCorp, Halliburton i wszystkich producentów z Żelaznego Trójkąta.
- Czyli według ciebie, ta polityka służy utrzymywaniu w dobrej kondycji naszego przemysłu zbrojeniowego?
- Nie wiem – przyznałem. – Nie znam surowych danych, więc nie będę się wypowiadał.
- Widzisz, Jerry, zbrojeniówka i kontrahenci Departamentu Obrony nie utrzymają się tylko dzięki Kolumbii. Ale za to nasza obecność w krajach poniżej mogłaby pociągnąć trochę miliardów z podatkowego koryta.
- Nie wierzę w to – powiedziałem. – Nikt nie będzie ryzykował kolejnego konfliktu tylko po to, żeby napchać kieszenie kilku firmom.
- Pracodawcom Jerry, pracodawcom – poprawił. – Ale masz rację, to raczej mało prawdopodobne, a przynajmniej jeszcze nie teraz.
- Tylko co wyznacza czas w tym przypadku? – zapytałem.
- A widzisz, myślałem, że ty mi to powiesz. No, ale dobrze. Powiedz, czy wiesz, ile razy podbijano Amerykę Łacińską?
- Cały czas ją podbijamy.
- No tak, ale pytam konkretnie, ile razy?
- Pierwszy podbój to kolonizacja. Drugi... – Zawahałem się. Nie miałem pojęcia, kiedy mógł być drugi etap naszego rabowania.
- Drugi podbój, mój kochany, to ekspansja naszych korporacji. United Fruit Company, Standard Oil czy Phelps Dodge eksploatowały region pod kątem surowców naturalnych i produkcji rolnej. Myślę, że czas ten dopełnił się, gdy w łapy naszych firm wpadła większość kolei, firm energetycznych, portów, kopalń i pól naftowych.
- Rzeczywiście. Chyba masz rację, ale do czego zmierzasz? Według ciebie to po to właśnie jesteśmy w Kolumbii? Żeby prywatyzować koleje i drogi?
- Po części. Widzisz, teraz mamy trzecią fazę naszego kolonialnego podboju. Cichą, ale najgorszą w skutkach.
- „Divide et impera”³³ – powiedziałem.
- Dokładnie. – Uśmiechnął się. – Wiedziałem, że jesteś logicznym facetem.
- Do rzeczy, Nick, proszę cię.
- Trzeci podbój, Jerry. Proszę cię, chociaż w skrócie. To moja ostatnia

prośba, obiecuję – złożył dłonie jak do modlitwy, robiąc przy tym błagalną minę. Jego wielkie, wylupiate oczy, zdawały się być do tego stworzone.

– Krótko – powiedziałem.

– Proszę – powoli prośbę.

– OK. Tylko nie przerywaj mi.

– Nie będę. – Uśmiechnął się, powiercił miejscu jak kura sadowiąca się na stercie jaj, pochylił się lekko do przodu, oparł łokcie na blacie i podparł dłońmi brodę na znak gotowości do przesłuchania.

– Po spotkaniu w Cancun w osiemdziesiątym pierwszym, zaczęto wprowadzać w życie ideę wolnego rynku – powiedziałem. – Kraje przyciśnięte kryzysem zadłużenia, jeden po drugim wprowadzały neoliberalne reformy.

– Dokładnie – powiedział zamyślony. – Reformy niweczące wszystko, co udało się do tamtej pory osiągnąć.

Miał rację. Po raz pierwszy dostrzegłem, że to, o czym mówiłem, naprawdę go zainteresowało. W zasadzie nie dziwiłem mu się. Jeżeli rzeczywiście był antyglobalistą z krwi i kości, jak podejrzewałem, tego typu fakty były dla niego jak przypowieści biblijne, stanowiły fundament wiedzy i wiary w walkę dobra ze złem na tym świecie. To, co działo się w krajach Ameryki Łacińskiej w ramach implementacji wolnego rynku, było w rzeczywistości nie tylko kursem wstecznym, ale przede wszystkim wyprzedają własności i wolności całych narodów. Każdy kolejny ruch wykonywany przez rządzących osłabiał i dzielił społeczeństwo na biednych i biedniejszych, bogatych i niepomiarne bogatszych. Zarządcy tych rodzących się na nowo kolonii obcinali firmom podatki, drastycznie dewaluowali swoje waluty, obniżali minimalne pensje, wyłączali zagraniczne firmy z regulacji chroniących pracowników i środowisko, obcinali wydatki na opiekę zdrowotną, edukację i świadczenia socjalne, pozbywali się większości regulacji, niszczyli związki zawodowe, uchwalali ustawy ubezpieczające zyski firm zagranicznych kosztem skarbu państwa, obcinali dopłaty do państwowego przemysłu, uwalniali stopy procentowe i przede wszystkim prywatyzowali większość państwowych przedsiębiorstw, czego przykładem mogą być chociażby media publiczne. Zamiast stworzyć wspólny front w celu ustalenia stałych cen na najważniejsze produkty eksportowe, kraje te oddaliły się od siebie i podzieliły pogrążając się w chaosie niekontrolowanego wyzysku. Zamiast walczyć wspólnie o uczciwe warunki handlu, rozpoczęły wyścig na dno, próbując za wszelką cenę uruchomić napływ zachodniego kapitału. Każdy kraj mógł liczyć tylko na siebie. Reagan podzielił Amerykę, by nasze firmy mogły ją ponownie podbić⁸. Dziel i rządź – Divide et impera.

Spojrzałem na Nicka. Zrobiło mi się go szkoda. Siedział zamyślony, z wzrokiem wlepionym gdzieś w przestrzeń nade mną. Nie wiem, gdzie był myślami, ale z pewnością nie było to przyjemne miejsce. Na jego twarzy pojawił

się dziwny grymas. Wielkie, wypełnione entuzjazmem oczy przygasły na moment. Wyteżały się w uporze, walcząc z jakimś odległym problemem. Zdziwienie na przemian z irytacją wpływały na jego oblicze, tworząc na nim kolarz zapowiadający nadchodzącą eksplozję. Instykt mi podpowiadał mi, że nie powinienem go prowokować, ale widziałem, że potrzebował kogoś, na kim mógłby rozładować emocje.

– W zasadzie... – powiedziałem i odczekałem kilka sekund, by wychwycił moje wahanie. – W zasadzie trzeci podbój nie okradł ich przecież ze wszystkiego, prawda?

Nick spojrzał na mnie zaskoczony, jakbym wyrwał go z nieprzyjemnego snu. Zmrużył oczy i przetarł dłonią swoje zmęczone czoło.

– Ależ oczywiście! – odparł, przeciągając powoli drugie słowo. – Zostawili im przecież całkiem sporo. Zagarnęli dla siebie tylko koleje, pocztę, drogi, fabryki, firmy telefoniczne, szkoły, szpitale, więzienia, firmy zbierające odpady, wodociągi, pasma radiowe i telewizyjne, fundusze emerytalne, firmy energetyczne i telewizję. To naprawdę niewiele.

Postanowiłem pójść krok dalej.

– Przecież sprywatyzowane, będą funkcjonować o wiele lepiej niż w państwowej pieczy – powiedziałem.

– Oczywiście, lepiej dla inwestorów i akcjonariuszy. Nie koniecznie lepiej dla obywateli. A to przecież obywatele byli faktycznymi właścicielami tych przedsiębiorstw, właścicielami, których okradziono.

Nie musiałem zadawać żadnych pytań. Przemilczałem chwilę, odczekałem, aż trochę ochłonie i rzuciłem:

– Naprawdę?

– Oczywiście. Sprzedano to wszystko nie tym najlepszym, ale tym najlepiej powiązanych⁸. To, co działo się w Europie Środkowo–Wschodniej podczas prywatyzacji, to niewinne uchybienia, w porównaniu ze złodziejstwem w Ameryce Łacińskiej. Tylko dlaczego? Powiedz mi, dlaczego ten największy w światowej historii transfer bogactwa doszedł do skutku? Czy to rozsądek kierował tymi wszystkimi dyktaturami? Nie. Takie złodziejstwo mogło trwać tylko dlatego, że MFW i Bank Światowy trzymały bat nad każdym z tych krajów.

– Prywatyzacja nie jest wcale złem wcielonym, jak to opisujesz – skłamałem. Przez ułamek sekundy bałem się, że przesadziłem.

– W Chile powiedzą ci inaczej, Jerry.

– W Chile? – spytałem, próbując nadać twarzy wyraz autentycznego niedowierzania.

– Czy wiesz, że w zasadzie wszystkie tamtejsze państwowe przedsiębiorstwa były sprzedawane mniej więcej trzydzieści procent poniżej ich realnej wartości? Czy wiesz, co się stało w przeciągu czterech lat od wprowadzenia przez Pinocheta

„terapii szokowej” zaleconej mu przez amerykańskich doradców?8

Pokręciłem głową. Naprawdę nie wiedziałem. On za to doskonale się orientował. Był tak nabuzowany, jakbym zanegował przed chwilą całe jego istnienie.

– Po wprowadzeniu owej „terapii szokowej” prawie trzydzieści procent własności odebranej podczas prospołecznej reformy rolnej wróciło do swoich dawnych, obrzydliwie bogatych, właścicieli – powiedział. – PKB spadło o trzysta procent, produkcja przemysłowa o dwadzieścia osiem procent, a siła nabywcza stopniała do zaledwie czterdziestu procent tej z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Firmy państwowe padały jedna po drugiej, a bezrobocie pięło się w górę. Chociaż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku gospodarka odbiła się od dna, deregulacja okazała się zbyt wysoką ceną za ten chwilowy „sukces”. Ogromne, niekontrolowane, zagraniczne inwestycje doprowadziły do spekulacji, monopolizacji systemu bankowego i ogromnego zadłużania kraju. W osiemdziesiątym drugim roku gospodarka załamała się. Prywatny system bankowy padł, a Pinochet zwrócił się do MFW o wykupienie długów na co oczywiście przystali ochoczo. Odbyło się to bowiem kosztem jeszcze większych gwarancji państwa wobec inwestorów zagranicznych, dopiero wtedy dyktator uzyskał w MFW zapewnienie spłaty zachodnich wierzycieli i banków8.

– Ale od dziesięciu lat gospodarka Chile radzi sobie całkiem dobrze, prawda? – Trzymałem się roli. – Czytałem gdzieś, że warunki życia poprawiły się, a stopień ubóstwa się zmniejszył się.

– Tak. Kosztem niewolniczych warunków pracy w wolnorynkowej gospodarce. Zamiast progresywnych podatków i opieki państwa, zamiast planowanego rozwoju nakierowanego na tworzenie miejsc pracy, cały ciężar poprawiania warunków życia spadł na najniższą warstwę społeczną. A kto czerpie zyski? Niezmiennie ta sama oligarchia powiązana ściśle z reżimem. Poza tym, prawda jest taka, że tylko dzięki powstrzymaniu całkowitej deregulacji udało im się jakoś nie paść na kolana.

– Nie wierzę, że w innych krajach było tak samo – skłamałem. – Co z Argentyną, Wenezuelą, Brazylią, Boliwią?

Nick wytrzeszczył oczy w zdziwieniu. Był w takim ferworze i mówił z taką pasją, że zdawał się nie dostrzegać fałszywej naiwności pytań.

– Boliwia? Powiem ci, co z Boliwią – powiedział. – Jeszcze kilka lat temu, między dziewięćdziesiątym piątym a dziewięćdziesiątym szóstym rokiem, rząd wystawił na aukcję państwową firmę naftową, system telefonii naziemnej, krajowe linie lotnicze i firmę energetyczną. Większość kolei państwowych została rozebrana i sprzedana na części. Rok później Bank Światowy powiadomił władze Boliwii, że umorzenie długu uzależnione będzie od sprywatyzowania wodociągów. I kto skorzystał na tej wymuszonej przez Bank sprzedaży? Oczywiście, że nasi.

Gdy Betchel wykupił wodociągi, niemal z dnia na dzień, rachunki za wodę skoczyły o dwieście procent. Dla przeciętnego Boliwijczyka zarabiającego ledwo sześćdziesiąt dolarów miesięcznie oznaczało to wzrost rachunku za wodę do piętnastu dolarów. Mało tego, obywatele zostali poinformowani, że zbieranie wody deszczowej na prywatny użytek jest przestępstwem⁸.

– A Meksyk? – spytałem zaintrygowany. Mówił o rzeczach, o których nie miałem pojęcia.

– Meksyk? – powtórzył. – W Meksyku było to samo. Podobnie zresztą w Argentynie i wielu innych krajach. Ale chyba nie po to tutaj jesteśmy, prawda? – Jego oddech uspokoił się nieco, a nozdrza przestały falować pod wpływem zbyt dużej dawki adrenaliny. Wyglądało na to, że wracał do stanu równowagi emocjonalnej.

Ja z kolei chciałem wiedzieć więcej. Naprawdę chciałem, żeby mówił. Chciałem, żeby wyciągnął ze swego skatalogowanego umysłu coś, co pomoże mi sprzedać czytelnikom temat Kolumbii. Oboje wiedzieliśmy, że to ważne i oboje na swój sposób chcieliśmy, aby ludzie się o tym dowiedzieli. Bez względu na przesłanki, staliśmy po tej samej stronie barykady.

– No dobrze, ale skąd możemy wiedzieć, że Ameryka Łacińska poradziłaby sobie lepiej bez naszych inwestycji? – zapytałem. – Przecież komunizm i socjalizm generalnie nie są receptą na rozwój.

Byłem ciekaw odpowiedzi. Co innego krytykować kogoś, co innego samemu podać rozwiązanie. Jak się jednak okazało, Nick nie musiał podawać alternatywy. Mieliśmy ją cały czas przed oczami. Była tam jeszcze na długo przed tym, jak nasze firmy rzuciły się do ataku.

– Wystarczy spojrzeć, jak od czterdziestego piątego funkcjonowała Ameryka Łacińska – powiedział.

– Cała Ameryka?

– Tak, cała. Od zakończenia wojny, do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku średni dochód na osobę na kontynencie wzrósł o siedemdziesiąt trzy procent. Czyli jednak potrafili rozwijać się bez naszych cudownych recept gospodarczych, prawda? Natomiast po spotkaniu w Cancunie i narzuconych reformach wolnorynkowych wzrost ten zamarł, zatrzymując się na poziomie zero procent. Albo spójrzmy na to z innej strony. Nie wiem, czy wiesz, ale do końca lat sześćdziesiątych w Ameryce Łacińskiej było jedenaście procent ubogich. Przyjmijmy, że to jest odsetek, który istniał bez naszego udziału. A teraz powiedz mi, czy wiesz, ilu ludzi żyło poniżej granicy ubóstwa cztery lata temu? Okrągłe trzydzieści trzy procent, Jerry. Jedna trzecia, całego kontynentu. Sto sześćdziesiąt pięć milionów ludzi płacących za decyzje podejmowane przez naszych polityków⁸.

– To przykre... – przyznałem.

– Przykre jest to, że w wyniku przekierowania kapitału ze świadczeń

socjalnych na spłatę długu, w krajach trzeciego świata co minutę ginie trzynaścioro dzieci⁸. To jest przykre, Jerry, i to jest coś, z czym musimy żyć. I ty, i ja, i każdy, kogo obchodzi coś więcej niż czubek własnego nosa.

– Wiesz dobrze, że nie jest mi to obojętne.

– Załóżmy, że to prawda. Ale powiedz mi, czy to wystarczy? Nie chcesz chyba powiedzieć, że same dobre chęci mogą coś zmienić?

– Nick, rzuciłem pracę, żeby napisać tę książkę. Gównu mnie obchodzi, czy zarobię na niej złamanego centa. Z chęcią oddam wszystkie zyski temu, kto sprawi, że przeczyta ją więcej ludzi.

– Więc jesteś próżny.

– Wiesz dobrze, że to nie prawda. Jedyne, na czym mi zależy, to żeby ludzie przejrżeli na oczy. Nie potrzeba nam więcej ropy, broni, większych samochodów, telewizorów i domów. Potrzeba nam pokory. Tylko to może nas uratować.

– I do tego naiwny – powiedział.

– Być może. Ale wolę naiwność od próżności.

– Czy to dlatego dzisiaj przyszedłeś? Żeby karmić złudzenia?

– Jestem tutaj, bo Jasmine poprosiła mnie o to, ale skoro już przyszedłem, mogę równie dobrze skorzystać i wysłuchać tego, co masz mi do powiedzenia.

– O Kolumbii? – zapytał.

– Tak, o Kolumbii.

– No dobrze – powiedział, przesuwając na bok kufel.

Rozejrzał się po sali, ściszył głos i wymierzył we mnie swe wylupiaste oczy.

– Jak pewnie wiesz, największym problemem Kolumbii nie są narkotyki, a nasza pomoc wojskowa w ramach „Planu Kolumbia”.

– Nie tylko w ramach tego planu – odparłem. – Sam mówiłeś o generale Yarborough.

– Tak, to prawda. Pierwszą misję wojskową wysłano do Kolumbii już w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku. I to właśnie Kennedy obarczył tym zadaniem Williama Yarborough¹⁹. Ale nie zmieniamy tematu. Czy wiesz, dlaczego narkotyki nie są głównym problemem Kolumbii?

– Każdy kraj, który od przeszło trzydziestu lat prowadzi wojnę domową ująłby taki konflikt na szczycie listy swoich priorytetów.

– No tak, ale dlaczego?

– Przecież mówiliśmy już o tym. Kolumbia to lustrzane odbicie przeszłości wszystkich krajów wokół. Tak, jak w pozostałych krajach, jej armię przekształcono w ramach Doktryny Bezpieczeństwa Narodowego. Podstawowa, obronna funkcja wojska została ograniczona do walki z zagrożeniem nie zewnętrznym, a wewnętrznym, czyli własną ludnością.

– Zgadza się, z tym, że siły bezpieczeństwa Kolumbii różnią się czymś od tych w sąsiednich krajach.

– Czym? – zapytałem.

– Teoretycznie Kolumbia jest demokratycznym krajem, a jednak protest społeczny w Kolumbii nie wydaje się być ani demokratyczny, ani bezpieczny. Ludzie, którzy wypowiadają się przeciw establishmentowi traktowani są przez władzę na równi z tymi, którzy solidaryzują się z rebeliantami lub im pomagają.

– W kraju, w którym panuje wojna domowa to raczej zrozumiałe – powiedziałem.

– Zrozumiałe? Czy wiesz, że od założenia Unii Patriotycznej, niezależnej partii reprezentującej FARC, jednej z dwóch grup rebeliantów walczących z siłami rządowymi, około trzech tysięcy członków Unii zostało zamordowanych? Mówię tu o aktywistach: parlamentarzystach, burmistrzach, a nawet o kandydacie na prezydenta¹⁹. Więc nie mów mi, że wojna domowa usprawiedliwia mordowanie aktywistów. To powiązania rządu, armii, grup paramilitarnych i karteli narkotykowych są największym problemem w tym kraju.

– A gdzie w tym wszystkim jesteśmy my? – zapytałem. – Wiem, że DynCorp zarabia dzięki LOGCAP, a Plan Kolumbia daje możliwość dodatkowych kontraktów nie tylko im, ale też innym korporacjom. Na przykład United Technologies dostała trzysta dziewięćdziesiąt milionów na helikoptery Blackhawk, a Textron sześćdziesiąt sześć milionów na helikoptery Huey II. Pozostaje jeszcze ponad osiemset milionów z miliarda trzystu milionów, które przyznano na Plan Kolumbia.

– No właśnie. Problem nie dotyczy tylko firm zbrojeniowych – powiedział. – Żelazny trójkąt ma się świetnie między innymi dzięki Planowi Kolumbia, ale beneficjentów naszej obecności w tym kraju jest o wiele więcej.

– Z pewnością. Niestety tak się złożyło, że nigdy nie zebrałem się w sobie, żeby to sprawdzić.

– To dość proste. Popatrz.

Rozłożył na środku stołu zeszyt, wziął do ręki pióro i narysował w nim okrągłe koło, a w centrum napis „Plan Kolumbia”. Od centralnego punktu rozrysował sześć ramion, zakończonych również elipsami. Prawą górną oznaczył jako „Żelazny Trójkąt”, pod którym wpisał wymienione przeze mnie firmy. Znalazła się tam DynCorp, United Technologies i Textron. Lewy górny róg oznaczył jako DynCorp, po którym widniał wielki znak zapytania. W lewym dolnym polu napisał SOAs, a poniżej trzy podpunkty: grupy paramilitarne, kartele i narkotyki. Pozostałe w ten sposób trzy puste pola stanowiły odzwierciedlenie mojej niewiedzy. Cokolwiek chciał mi pokazać, było bez wątpienia brakującą częścią układanki.

– Voilà! – powiedział. Tyle wiemy teraz. Obrócił kartkę w moją stronę, przyglądając się mi przez krótką chwilę, gdy analizowałem wykres. Rysunek przypominał budowę cząsteczki, w której poszczególne pierwiastki prosiły się, by

powiązać je z wszystkimi wokół.

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– No dalej, Jerry. To nie takie trudne. Spójrz – powiedział, rysując strzałkę łączącą DynCorp z SOAs poniżej. – DynCorp prowadzi szkolenia dla wojska, z których korzystają później członkowie grup paramilitarnych, powiązanych z kartelami narkotykowymi. Ci sami oficerowie często przechodzą szkolenia w SOAs, gdzie nabywają niezbędnych umiejętności do walki z tak zwanymi terrorystami.

– Co sugeruje nam, że szkolimy ich po to, by walczyć z partyzantami, a nie z handlarzami narkotyków – zauważyłem.

– Dokładnie. Tutaj mamy początek problemu. Szkolimy wojsko, by kontynuowało wojnę, zamiast inwestować w pokojowe rozwiązanie konfliktu.

– Z tego, co tutaj widać, jest raczej oczywiste, że w naszym interesie nie leży zakończenie konfliktu – powiedziałem.

– Na pierwszy rzut oka nie, ale do tego zaraz dojdziemy. Czy wiesz, dlaczego zakończenie konfliktu nie jest możliwe?

– Dlatego, że wpompowujemy miliony w ich armię, żeby zabijali swoich rodaków?

– Dokładnie. FARC ma znaczące wsparcie w regionach, w których są aktywni. Za każdym razem, gdy siły rządowe chcą uderzyć, wystarczy jedno ostrzeżenie kogoś z miejscowych, by udaremnić atak. Podobnie zresztą rzecz się ma, się jeśli chodzi o kolaborację. Przecież wystarczyłby jeden głos, by zaalarmować wojsko, informując o kryjących się w pobliżu partyzantach, a jednak jakoś nikt tego nie robi. Dlatego dopóki ludzie będą porywani, torturowani i zabijani przez grupy paramilitarne powiązane z rządem, dopóty FARC będą cieszyć się wsparciem ludności cywilnej. Partyzanci będą kontynuować walkę i żadna ilość amerykańskich helikopterów czy broni tego nie zmieni.

– A co z zapleczem finansowym? – zapytałem.

– No właśnie. Co z pieniędzmi? Skąd wziąć gotówkę na broń, amunicję, sprzęt i prowiant? Wiesz, co FARC zrobiła po ogłoszeniu Planu Kolumbia?

– Nie, nie wiem. Pewnie zabrali się za produkcję kokainy?

– Nie. Co prawda partyzanci wspierają hodowców koki, ale ich zyski stanowią jedynie procent ściągany od rolników hodujących kokę w górzystych terenach. Nie prowadzą samej produkcji, jak to ma miejsce w przypadku karteli powiązanych z grupami paramilitarnymi i rządem, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale za to zaraz po ogłoszeniu Planu Kolumbia zapowiadającego dozbrojenie kolumbijskiej armii, partyzanci zażądali od wszystkich, którzy posiadali majątek powyżej miliona dolarów tak zwanego podatku rewolucyjnego, którego nieuiszczenie skutkowało porwaniem¹⁹.

– Czyli po raz kolejny zaostrzyliśmy konflikt.

– Dokładnie – potwierdził.
– A FARC rozwiązało kwestię finansową niemal z dnia na dzień.
– W rzeczy samej – odparł. – Ale wspomniałeś przed chwilą o narkotykach?
– Tak. Z tego, co wiem, nasz rząd nazywa FARC narkoterrorystami.
– W rzeczy samej. I tutaj tkwi zasadniczy problem naszego podejścia do walki z narkotykami, a raczej do naszej pozorowanej walki z narkotykami.

– Mianowicie?

– Widzisz, w Kolumbii są dwa rodzaje hodowców. Ci, którzy mają w kieszeni rząd i ci, którzy przez ten rząd są ścigani. Grupy paramilitarne otwarcie przyznają, że są zależne od handlu kokainą. Carlos Castano, przywódca jednej z najbardziej brutalnych grup paramilitarnych, przyznał w wywiadzie telewizyjnym w tym roku, że jego grupa składająca się z ponad jedenastu tysięcy ludzi finansowana jest w siedemdziesięciu procentach z handlu narkotykami i haraczem ściąganego z ponad trzydziestu tysięcy hektarów pól koki w Północnym Santanderze. Problem jednak polega na czymś innym. Otóż cele ataków naszych sprzymierzeńców znajdują się z dala od obszarów kontrolowanych przez grupy paramilitarne. Podczas gdy rząd kolumbijski oficjalnie zarzeka się, że w ramach Planu Kolumbia walczy z narkotykami, tak naprawdę za cele ataków obiera jedynie lokalizacje sił partyzantów, którzy w dużej mierze opierają się na wsparciu ludności cywilnej¹⁹.

– To wiele wyjaśnia. Ale dalej nie wyjaśniłeś, mi po co są te trzy pola. – Wskazałem na otwarty zeszyt między nami.

– Są jeszcze dwa powody, dla których w takim stopniu interesujemy się Kolumbią.

– Słucham.

– Pierwszy z nich najłatwiej wyjaśnić, jeśli spojrzysz w przeszłość.

– Mam nadzieję, że niezbyt daleką – skwitowałem.

Byłem już dość zmęczony i nie miałem ochoty na dalsze wywody. Musiałem przyznać, że powoli zaczynałem tracić jasność myśli i chciałem mieć to już za sobą.

– Widzisz, Jerry, zasadnicze pytanie, jakie powinniśmy sobie zadać to: „dlaczego chłopci w Kolumbii uprawiają kokę, a nie inne plony?”

– Bo tylko to im się opłaca – odparłem.

– Zgadza się. Ale dlaczego? Dlaczego właśnie to im się opłaca, a nie co innego?

– Bo narkotyki są droższe od bananów? – zapytałem bez przekonania.

– No tak – powiedział i wzniosł w górę palec wskazujący. – Tylko dlaczego?

– Dzięki dobrodziejstwu wolnego rynku. W końcu, co jak co, ale silne rolnictwo południowych sąsiadów na pewno nie leży w interesie naszych rolników.

– W dużej mierze to prawda. Ale to nie wszystko.

– Mów – rzuciłem automatycznie.

Nick podrapał się po nosie, ignorując moją sugestię. Rozejrzał wokoło, podniósł dłoń, sygnalizując kelnerce kolejne zamówienie, i oparł się plecami o szerokie, oparcie z rzeźbionego drewna i mlecznego szkła. Pomyślałem wtedy, że ta rozmowa może nie skończyć się tak szybko, jakbym tego chciał.

– Cóż... – powiedział powoli, poszukując w pamięci odpowiednich słów. – Wszystko zaczęło się jeszcze w latach pięćdziesiątych, gdy właściciele ziemscy na kontynencie masowo wywłaszczali chłopów. Wyszędleni rolnicy, zmuszani byli do przeniesienia się z żyznych terenów, które dotąd uprawiali, w głąb Amazonii, gdzie koka stanowiła jedyną dochodową uprawę. Właściciele pastwisk i pól uprawnych, a także inwestorzy zainteresowani ceną ziemią, zaczęli organizować grupy paramilitarne, których główne zadanie sprowadzało się do wypędzenia rdzennych mieszkańców, chłopów i osadników...

Do stolika podeszła barmanka. Wyglądała na zmęczoną. W dłoniach trzymała dwa kufle wypełnione piwem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie dobić się tym ostatnim, ale coś mnie powstrzymało. Przejechałem jedynie palcem po jego zaparowanej ściance, wziąłem głęboki oddech i wróciłem do opowieści Nicka.

– W Kolumbii procesowi temu towarzyszył inny, być może jeszcze gorszy w skutkach trend. Nasz wdzięcznie brzmiący program pomocowy o nazwie „Żywność za Pokój” nie przyczynił się bynajmniej do zainicjowania pokoju w Kolumbii. Wręcz przeciwnie. Podczas gdy zapewniał dopłaty dla naszych firm rolnych, eksportujących subwencjonowane zboża, zwiększał jednocześnie zależność Kolumbii od eksportu naszych płodów rolnych pogłębiając kryzys w rolnictwie. Co więcej, rok przed rozpoczęciem przez Busha „wojny z narkotykami”, zawieszono międzynarodowe porozumienie w sprawie kawy, pod pretekstem łamania zasad wolnego handlu. W rezultacie tego, w przeciągu dwóch miesięcy Kolumbia zanotowała czterdziestoprocentowy spadek ceny swojego jedyne legalnego towaru eksportowego¹⁹.

– Ale oczywiście to nie wszystko, prawda?

– Zgadza się. To nie wszystko. Jakby mało było tej naszej dobroczynnej pomocy, wciąż uparcie trwamy w dławieniu kolumbijskiego rolnictwa. Do końca zeszłego roku wydaliśmy siedemset pięćdziesiąt tysięcy na programy alternatywnego rozwoju, z czego wszystkie w rejonach uprawy maku na heroinę z dala od południowych równin Kolumbii, które są celem Planu Kolumbia. Ponadto administracja Clintona nalega, wbrew sprzeciwom rządu Kolumbii, by jakiegokolwiek pokojowe porozumienie zawierało klauzulę o zniszczeniu zbiorów koki. Nikogo nie obchodzi, co po wszystkim zrobią ci, którym nie opłaca się już hodować niczego poza koką. Co więcej, programy MFW i Banku światowego żądają otwarcia granic na napływ mocno subwencjonowanych produktów rolnych

z bogatych krajów, z którymi lokalni rolnicy nie są w stanie konkurować¹⁹.

– No tak. A co z tymi, którzy tracą ziemię?

– Mają dwa wyjścia. Albo idą za głosem rozumu i przerzucają się na jedyny opłacalny produkt eksportowy czyli kokę, konopie lub opium, albo wędrują do wielkich miast, gdzie zaludniają slumsy, skutecznie obniżając płace w fabrykach należących do zagranicznych inwestorów.

– I wszyscy są szczęśliwi – dodałem. – Wszyscy po naszej stronie granicy rzecz jasna.

– Dokładnie – potwierdził. – Tak więc drugim beneficjentem naszej obecności w Kolumbii jest nasza gospodarka.

– Dokładnie w ten sam sposób, w jaki działaliśmy we wszystkich latynoamerykańskich krajach w przeszłości. – Spojrzałem na wciąż niezapisaną kartkę przed nami.

– A trzeci powód? – zapytałem.

Nick odwrócił ją i w kilku szybkich ruchach zapisał na dolnym środkowym polu jedno tylko słowo: „Surowce”.

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem pojąć, jak mogłem nie zauważyć tak prostej odpowiedzi. Uderzyłem otwartą dłońią w swoje czoło, a on tylko lekko się uśmiechnął. Odpowiedź była oczywista i miałem ją cały czas przed oczami.

Nick podkreślił podwójną linią „Surowce” i zapisał pod nimi w odpowiedniej kolejności: „Ropa”, „Gaz” i „Kokaina”.

– Jeśli w tym miejscu do równania do damy ropę, to tutaj... – Wskazał na puste pole z napisem DynCorp.

– DynCorp łączy wszystkie elementy układanki – powiedziałem. – Producentów broni z Żelaznego Trójkąta, potentata biochemicznego Monsanto, którego produkty używa do spryskiwania pól koki, a także nasze firmy budowlane i naftowe, które chroni przed atakami partyzantów.

– To nie wszystko – powiedział.

– W porządku. Słucham, mów.

– Wyobraźmy sobie wielki klub akcjonariuszy „firmy Kolumbia” – kontynuował, sygnalizując palcami cudzysłów.

– Czysto hipotetycznie? – zapytałem.

– Oczywiście.

Skinąłem, by mówić dalej.

– Otóż, w klubie tym mamy już United Technologies.

– No tak – wtrąciłem – z siedmiuset tysiącami zainwestowanymi w kampanię. – Wskazałem na pole z napisem „Żelazny trójkąt”. Nick przytaknął, a potem w środkowym górnym polu zapisał „1995–2000”.

– Między dziewięćdziesiątym piątym a dwutysięcznym rokiem, Occidental wydało półtora miliona dolarów na kampanie zarówno republikanów, jak

i demokratów. Oprócz tego wydali osiem milionów siedemset tysięcy na lobbowanie naszych urzędników od spraw polityki w rejonie Ameryki Łacińskiej, w dużym stopniu w sprawie Kolumbii. W tym samym okresie inne firmy naftowe, takie jak: – dopisał poniżej: – Exxon Mobil Corporation, BP Amoco, Unocal Corporation, Texaco i Phillips Petroleum, wydały łącznie około trzynaście milionów, podobnie jak Occidental, również na kwestie związane z Kolumbią²⁰. Dodam tylko, że BP, Exxon i Shell otrzymały już od rządu Kolumbii pozwolenia na odwierty²¹.

– Zaraz, chwileczkę – przerwałem mu. – W takim razie jaki my mamy w tym interes, by kontynuować ten konflikt? Powinno nam zależeć na tym, żeby wszystko wróciło do normy.

– No właśnie, powinno.

– Tyle, że politycy nie podejmują już decyzji – stwierdziłem głosem olśnionego proroka. – Decyduje klient z największym portfelem.

– Pytanie tylko kto? – Narysował wielki znak zapytania na środku kartki.

– Z jednej strony – powiedziałem, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyłem. – DynCorp, Monsanto, United Technologies, z drugiej firmy naftowe, którym bardziej zależy na stabilizacji. I w dodatku każdy chce wyrwać dla siebie jak najwięcej...

– Więc? – Nick domagał się odpowiedzi, jakby była oczywista.

– Myślę, że wszyscy będą zadowoleni, jeśli tylko utrzymamy status quo – powiedziałem.

– Nie mówisz tego z przekonaniem.

– Bez skorumpowanego, represyjnego rządu nie dostaniemy swojej taniej ropy. Będziemy mogli liczyć po prostu na jakąś część ropy, i to niekoniecznie w cenie, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni.

– Zdziwiająco proste, prawda?

– O ile to prawda.

– Jerry – powiedział ze sztucznym uśmiechem – między dziewięćdziesiątym szóstym a dwutysięcznym rokiem Kolumbia, Wenezuela i Ekwador eksportowały do nas średnio tyle samo ropy, co wszystkie kraje bliskiego wschodu łącznie. Te dwa i jedna dziesiąta miliona baryłek dziennie, stanowi dwadzieścia procent naszego importu ropy²³. Czy to nie wystarczający powód, żeby utrzymać rząd w niezmiennym składzie?

– Zapomniałeś dodać, że Kolumbia nie jest członkiem OPEC. Ergo, nie ma narzuconego limitu wydobycia, jak to ma miejsce w przypadku krajów zrzeszonych.

– Bingo. Już teraz ropa stanowi trzydzieści procent zysków Kolumbii z eksportu. Wiesz, co w lutym tego roku powiedział jeden z wiceprezesów Occidental Oil?

– Skąd mam wiedzieć, co powiedział?

– Nie tylko poprosił kongres o zatwierdzenie Planu Kolumbia, ale też nalegał, by oprócz południowych prowincji objęto nim również północno-wschodnią część kraju, gdzie Occidental prowadzi swoje interesy²³.

– Klasyczne posunięcie – przyznałem. – A mnie się wydawało, że wszystko kręci się wokół DynCorp.

– Nie rozminąłeś się daleko z prawdą – powiedział. – Co, jeśli... – Wziął do ręki ołówek i pociągnął długą strzałkę łącząc DynCorp z lewej kartki z firmami naftowymi w górnym okręgu po środku. – Co, jeśli DynCorp zajmie się ochroną rurociągu przed Rebeliantami, ochroną pracowników tych firm przed rdzennymi mieszkańcami kolumbijskich dżungli?

– Jeśli to prawda, równanie się zamyka.

– Dokładnie. Tyle, że DynCorp nie jest tu żadnym wyjątkiem. I w tym właśnie problem.

– Kto jeszcze?

– Na przykład British Petroleum. BP wynajęła brytyjską firmę Defense Systems Limited i izraelską Silver Shadow do ochrony swojego rurociągu w prowincji Antioquia dokładnie w tym samym czasie, gdy liczba zabójstw z rąk oddziałów paramilitarnych w tym rejonie wzrosła. Z kolei w dziewięćdziesiątym siódmym roku, Occidental wynajął AirScan, prywatną amerykańską firmę należącą do byłych komandosów. W przeciągu sześciu miesięcy kolumbijscy urzędnicy poprosili o pomoc AirScan w operacjach wykraczających poza teren rurociągu. W grudniu dziewięćdziesiątego ósmego roku w miejscowości Santo Domingo oddalonej o trzydzieści kilometrów od najbliższej instalacji naftowej, helikopter AirScan zrzucił bombę, która zabiła siedemnaście osób i poważnie raniła dwudziestu pięciu. Nie muszę chyba dodawać, że wszystkie ofiary to cywile? Pośród nich było piętnaścioro dzieci²².

– I oczywiście nikt ich za to nie rozliczył – dodałem.

Nie oczekiwałem odpowiedzi, a on chyba dobrze odczytał moją reakcję. Wiedział, że nie mówiłem do niego, a do siebie. Zupełnie jakbym chciał przekonać samego siebie i upewnić się, że to, co działo się tam, działo się naprawdę. Oczywiście nie miałem co do tego wątpliwości. Sytuacja zbyt dobrze przypominała Vinnel w Arabii Saudyjskiej i pewnie setki innych prywatnych firm, o których nie miałem jeszcze pojęcia. I chyba do tego się to wszystko sprowadzało – firmy, które mordują ludzi pod parasolem ochronnym interesów państwa i korporacji, powinny być tematem nie tylko mojej, ale i każdej książki o demokracji.

– Nie muszę chyba odpowiadać, prawda? – zapytał, robiąc krótką pauzę. – Ale widzisz, nasze firmy nie posuwają się jedynie do korzystania z prywatnych najemników. To właśnie kolumbijskie wojsko jest jednym z większych beneficjentów obecności firm naftowych w Kolumbii. Były dowódca wojskowy,

Generał Harold Bedoya twierdzi, że ochrona ropy i obiektów wydobywczych w pewnym okresie dziewięćdziesiątego szóstego roku była pełnoetatowym zajęciem dla ponad połowy kolumbijskiej armii. Z drugiej strony układu sytuacja wyglądała podobnie. Jeden z przedstawicieli Occidental stwierdził, że w dziewięćdziesiątym siódmym roku około dziesięć procent budżetu firmy przeznaczonego na operacje na miejscu, przeznaczone było na ochronę instalacji, z czego większość przeznaczona była dla kolumbijskiej armii²³.

– A rebelianci? – zapytałem. – Oni pewnie też konkurują o wpływy na terenach, przez które przebiegają rurociągi.

– No właśnie – odparł. – Na tym również polega tragedia Kolumbii. Pieniądze z ropy są źródłem dochodów dla obu stron i to one napędzają ten konflikt.

– Ochrona?

– Nie inaczej.

– W porządku. Rozumiem – przerwałem już dość zmęczony. – No, ale pozostało jeszcze jedno puste pole. – Wskazałem na miejsce w prawym dolnym rogu, gdzie między „Surowcami” i „Żelaznym trójkątem” widniała zagadkowa elipsa.

– Dokładnie. – Nick wyjął z torby starą, zniszczoną mapę i rozłożył ją przede mną. Była to mapa fizyczna Kolumbii z naniesionymi na niej punktami, notatkami i wektorami.

– Co widzisz? – zapytał.

– Jak to co? Mapę Kolumbii.

Obrócił ją południową częścią w moją stronę i nakreślił na niej dwie proste linie. Jedną wzdłuż Kanału Panamskiego, drugą przechodzącą przez północne terytorium kraju tuż przy granicy z Panamą.

– Nowy kanał? – zapytałem.

– Wkrótce część statków będzie zbyt duża, by przepłynąć Kanałem Panamskim. Już teraz połowa z nich potrzebuje pełnej szerokości kanału, by przepłynąć z jednego końca na drugi. Wyobraź sobie, jak bardzo wszystkim musi zależeć na czymś takim.

– Chiny i cała Azja będą zabiegać o to tak samo jak my.

– Tak, tylko, że to właśnie my rozpychamy się teraz łokciami w Kolumbii. Tutaj. – Wskazał miejsce, w którym rzeka Atrato wpływa do Atlantyku. – To jest Darien, strefa kontrolowana przez grupy paramilitarne. Wyszędłają stąd ludność, by pchnąć ten projekt do przodu.

– Tylko wysiedlają? – zapytałem.

– A jak ci się wydaje? – burknął. – W zeszłym roku w Kolumbii zamordowano trzy tysiące ludzi, a prawie dwa miliony wysiedlono²¹. Myślisz, że inwestorzy, którzy liczą na rozwój kolei i autostrad wzdłuż kanału, cackają się

z ludźmi, którzy tam mieszkają?

– Masz rację – przyznałem. – To wiele tłumaczy.

– Rurociągi, ropa i gaz to jedna sprawa – kontynuował. – Natomiast kontrola multimiliardowej inwestycji to już zupełnie inny rodzaj rozgrywki.

– Z drugiej strony – powiedziałem po chwili – taki projekt może mieć też pozytywny wpływ na sytuację ludzi.

– Nie zapominaj, o jakim kraju mówimy, Jerry. Kolumbia to kraj, w którym około pięćdziesiąt pięć procent populacji żyje poniżej poziomu ubóstwa. To kraj, w którym co roku około trzysta tysięcy uchodźców jest wypędzanych z domów. To kraj z największą na świecie liczbą wysiedlonej populacji zaraz po Sudanie i Angoli¹⁹. To kraj, w którym w masakrach ginie ponad czterysta osób rocznie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku liczba zamordowanych działaczy związkowych była równa połowie tego rodzaju ofiar na całym świecie²¹.

– Rozumiem. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, wojna będzie trwać jeszcze wiele lat.

– To prawda, ale tutaj nie chodzi już tylko o tę wojnę.

– A o co innego? – zapytałem.

Dla mnie, wojna w Kolumbii była ukoronowaniem kilkudziesięciu minut rozmowy z Nickiem. Była nagrodą za cierpliwość i walkę z własną pamięcią. Nie chciałem dochodzić do kolejnego dna tej historii. To, co podsunął mi Nick, w zupełności wystarczało.

– Wiesz, co powiedział jeden z naszych senatorów w tym roku? – zapytał.

– Czy mógłbyś mówić dokładniej?

– Według Washington Post, niejaki Senator Coverdell stwierdził, iż ochrona naszych interesów związanych z ropą usprawiedliwia amerykańską interwencję w Kolumbii.

Nick, wysunął się lekko do przodu, oparł łokciami na stole i splótł palce na wysokości twarzy tak, by zasłoniły usta wykrzywione w lekkim uśmiechu. Czekał na moją reakcję. Przypatrywał mi się uważnie. Oceniał poziom mojego logicznego myślenia.

– Teraz, gdy o tym wspomniałeś, wydaje się to oczywiste – odparłem.

– A przed chwilą nie było? – zapytał z ironią w głosie.

– Jeśli próbujesz komuś coś udowodnić, to pomyliłeś adresy.

– Nie dramatyzuj. Przecież sam wiesz, co się dzieje w Wenezueli. Myślisz, że nasze firmy są zadowolone kierunkiem, w którym zmierza ten kraj? Myślisz, że podoba im się bunt rdzennych mieszkańców Boliwii, Ekwadoru i pozostałych krajów? Czy historia nie lubi się powtarzać?

– Niestety. W tym wypadku ma na to dużą szansę – odparłem.

– W rzeczy samej. I to właśnie to, drogi Jeremy, jest największym problemem Kolumbii.

- Dostęp do Ameryki Południowej i jej surowców.
- Dokładnie. Problemem Kolumbii jesteśmy głównie my.
- I co niby mielibyśmy z tym zrobić? – zapytałem.
- Jedyne, co możemy, to zidentyfikować inwestorów, dostać się do ich dokumentacji i udowodnić, że przyczynili się do nasilenia konfliktu.
- Mówisz tak, jakby to było coś prostego – powiedziałem.
- Wiem, że to niełatwe zadanie. Zajmie nam to trochę czasu, a tobie w szczególności. Na szczęście, mamy już coś na początek – wyciągnął z torby grubą papierową teczkę i położył ją na mapie.
- Mam nadzieję, że możemy na ciebie liczyć – dodał.

Przyjrzałem się szaremu pergaminowi opinającemu stertę stron o różnych odcieniach bieli. Zapowiadały kolejny okres pracy: lekturę, weryfikację i składanie tekstu. Znałem ten schemat. Zdążył już zawładnąć moim życiem.

Odruchowo sięgnąłem po teczkę, ale cofnąłem dłoń. Część mnie chciała ją otworzyć i dowiedzieć się z niej wszystkiego, co ukrywała. Z drugiej strony, wiedziałem, że mam przed oczami źródło kolejnych bezsennych nocy wypełnionych znużającym poszukiwaniem powiązań i spisków. Czuję, jak ciekawość powoli obezwładnia mnie, wtłacza moje myśli w te wszystkie samotne wieczory, gdy przestrzeń między ścianą a ekranem staje się dla mnie więzieniem.

– Postaram się nie ominąć niczego ważnego – powiedziałem i przyciągnąłem teczkę do siebie.

Nick zmrużył oczy i uśmiechnął się szelmowsko.

Widok, dotyk i zapach zniszczonego papieru okrywającego opasły plik kartek przede mną uzmysłowiły mi, że oto miałem przed sobą kolejny dowód własnej niewiedzy. Był to też kolejny dowód na to, że Nick orientował się w temacie mojej książki o wiele lepiej niż ja sam. Czuję, jak zbliża się przygębienie, jak wślizguje się pod stół i łąsi się do moich nóg. Temat Kolumbii, który przed chwilą zyskał rangę kluczowego motywu tekstu, stracił nagle swe ekscytujące właściwości, zmienił się w kuszącą truciznę, która żywi się moją ciekawością, której nie sposób się oprzeć i która strawi mnie, pozostawiając Nickowi koktajl moich myśli i naiwnego żalu.

Nick wyłożył na stół tak wiele kart, że cała historia Ameryki Środkowej przestała należeć nawet do jej mieszkańców. Jak więc mogła należeć do mnie? Nick przywłaszczył ją, sobie pozbawiając prawa do niej wszystkich pozostałych. Spojrzałem na jego obojętną twarz, a potem znów na przekłute dokumenty przede mną. Były jak obce ciało próbujące wkraść się w moje posiadanie, zawładnąć umysłem i zniewolić mnie, nie dając w zamian żadnej satysfakcji. A jednak, nie to było najgorsze. Patrząc ze wstrętem na ów skoroszyt, niczym na lustro mojej ignorancji, uświadomiłem sobie, że straciłem z oczu cel, do którego zmierzałem. Niepostrzeżenie, sama książka stała się najważniejsza. Zaczęła definiować mnie,

moją wartość i to, jak postrzegałem świat wokół. Zamknąłem się w ograniczeniach i obietnicach formy.

Chciałem wyjść. Pragnąłem tego tak, jak pragnie się ukojenia po morderczej wyprawie, jak pragnie się alkoholu po całym dniu niewolniczej pracy. Byłaby to jednak oznaka słabości, tchórzostwo, na które Nick zdawał się czekać.

Krótką chwilą ciszy przeciągała się nieskończenie długo. Nick szlifował kciukiem brzeg swojego kufła, przypatrując się w skupieniu mojej walce z samym sobą. Widział, jak odpłynąłem na tych kilka sekund, i jak wrywam się z odrętwienia dotknięty ciszą wokół. W międzyczasie, ktoś wyłączył telewizor i w tle rozbrzmiewał już jedynie gwar z drugiego końca sali. Nagle dźwięk domykanych drzwi wzniósł się nad stolikami. Wychyliłem się, by sprawdzić, czy to twarz Jasmine, tej, która powróciła, by nas pogodzić.

– Jass raczej nie wróci dzisiaj – powiedział, jakby wyczytał to z mojej twarzy.

– Na to wygląda – odparłem, przesuwając się z powrotem na swoje miejsce.

– W rzeczy samej... – powiedział, przeciągając każde słowo, jakby snuł z rozważą długą, niezręczną ciszę.

– Co proponujesz? – zapytałem beznamiętnym tonem. – Nie wierzę, że nie chcesz nic za te materiały.

– Skąd ten pomysł?

– Nie ma nic za darmo. Każdy czegoś chce. – Wzruszyłem ramionami. – Nie w mówisz mi, że jesteś inny.

Nick milczał. Wyglądało na to, że zastanawiał się, czego może ode mnie chcieć.

– Mów! Czego chcesz w zamian?!

– Wersję elektroniczną – rzucił w końcu. – Do darmowego rozprowadzenia w sieci.

Mój pragmatyczny, nastawiony na sukces umysł natychmiast uruchomił sygnał ostrzegawczy. Nick chciał, żebym podzielił się z nim owocem mojej kilkumiesięcznej pracy. Moje zdziwienie musiało być zabawne, bo Nick od razu uśmiechnął się na widok zmian w mojej twarzy.

– O co chodzi? Jeszcze nic nie wydałeś nic, a już zachowujesz się jak komercyjna świnią?

– Jeśli próbujesz mnie rozdrażnić, dobrze ci idzie – rzuciłem.

– Czy to znaczy, że się nie zgodzisz?

– Domyśl się – odparłem. – Może i nie robię tego dla pieniędzy, ale zostało mi jeszcze trochę rozumu. Jesteś młody, więc możesz sobie pozwolić na tę całą zabawę w aktywizm. Kiedy będziesz w moim wieku, spojrzysz na to trochę inaczej.

Nick przyglądał mi się rozbawiony.

– Poza tym, po publikacji mogę pożegnać się z pracą w głównych mediach.

– Jerry, oboje wiemy, ile trwa proces wydawniczy. Najpierw co najmniej miesiąc na przeczytanie, potem poprawki, korekta, skład i łamanie. Zanim ktokolwiek weźmie twoją książkę do ręki, będziesz już dawno z powrotem w redakcji z berłem króla felietonów na biurku.

– Idzie ci coraz lepiej – przerwałem mu. Słowo felieton brzmiało dla mnie jak obraza.

– Jerry, gdybyśmy opublikowali to wewnątrz naszej sieci, moglibyśmy szybko i skutecznie dotrzeć do ogromnej liczby ludzi. I nie mówię tu o przechodniach, wstępujących do księgarni, by skryć się przed deszczem. Mówię o osobach, które chcą wiedzieć, co dzieje się w naszym kraju i co dzieje się na świecie. Czy wiesz, jak wielu młodych ludzi poszukuje prawdy? Przyznaj. Tak naprawdę dobrze wiesz, że mam rację.

Telefon Nicka zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz, uśmiechnął się i odebrał, dając mi do zrozumienia, że nie ma innego wyjścia.

Miałem chwilę, żeby zastanowić się nad tym, co powiedział. Z jednej strony wiedziałem, że ma rację. Jeśli rzeczywiście chodziło mi o prawdę, nie powinienem był przedkładać zysku nad dobro powszechne. Z drugiej strony, gra toczyła się również o moją książkę, o moje dziedzictwo i świadectwo tej złudnej wartości, do której każdy z nas dąży przez całe życie. Tylko przez podpisanie umowy z wydawnictwem mogłem upewnić się, że należała naprawdę do mnie. Liczyłem na to, że zmieni życie innych, ale chciałem też, żeby zmieniła też moje, żeby jako część mnie, stała się częścią mojej historii.

– Tak... Tak, jesteśmy w Irish Pub – mówił ze wzrokiem wbitym w sufit. Podrapał się po nieogolonej twarzy i przytaknął dwa razy uśmiechając się.

– Nie, nie mogę narzekać – powiedział po chwili, spoglądając na mnie, jakby odpowiedź znalazł właśnie na mojej twarzy. Nie mogłem być tego pewny, ale odniosłem wrażenie, że z kimkolwiek rozmawiał, mówił właśnie o mnie.

Wyciągnąłem komórkę, wzorem owego mimowolnego, obronnego gestu, który każe wyciągać komórki wszystkim lekceważonym rozmówcom, ustępującym palmy pierwszeństwa osobie nieokreślonej, nieznamomej, oddalonej o setki kilometrów a jednak ważniejszej od nas, bo również przyssanej do aparatu na drugim końcu łącza. Wybrałem kalendarz i powoli zacząłem przeskakiwać po kolejnych stronach.

– A jakiej oczekiwałaś? – syknął do słuchawki. Na jego twarz wpełzło zniecierpliwienie.

Wykręciłem numer do Jass, ale długi przerywany sygnał oznajmił, że nie odbierze.

– Nie. Nie powiedziałem mu – ciągnął Nick. – Ale zaraz zamierzam to zrobić.

Opuścił wzrok, wyławiając moją twarz znad wyświetlacza telefonu. Teraz byłem już pewny. Rozmawiali o mnie, on i jakaś kobieta. Pomyślałem, że w zasadzie mogła to być Jass. Nie pojawiła się i z jakiegoś powodu wolała poinformować o tym jego zamiast mnie.

– No dobrze już, dobrze. – Próbował ją uspokoić. Był zniecierpliwiony. Jego spokojny i opanowany ton, przeszedł stopniowo w zmęczone, zrezygnowane przytakiwanie. Niczym pracownik przyjmujący ostatnie polecenie służbowe na dwie minuty przed końcem zmiany. Przetarł dłonią czoło, zatrzymując kciuk nad łukiem brwiowym. Masował nerwowo napięte jej głosem nerwy, po czym przymknął oczy i czekał, aż skończy mówić. Kimkolwiek była, wolał ustąpić i katować się, zamiast postawić na swoim.

– Sama mu powiedz. – Pokiwał głową. – Masz – rzucił, podając mi słuchawkę.

Zrobił to tak niespodziewanie, że przez chwilę wpatrywałem się w niego zdziwiony.

– Żarty sobie stroisz? – zapytałem, ale on tylko pokręcił głową. – Jeśli to Jass, powiedz jej, że nie musi się tu fatygować.

Nick nie silił się nawet na odpowiedź. Trzymał aparat nieruchomo w powietrzu, jakbym nie miał wyboru, jakbym i ja należał do zaklętego kręgu zniewolonych przez tę kobietę. Nie spodobał mi się ten wzrok. Chwyciłem słuchawkę i przyłożyłem do ucha.

– Jerry? – usłyszałem znajomy głos po drugiej stronie.

Serce zabiło mi mocniej.

Spojrzałem na Nicka, wbijając w niego wzrok. Mógłbym przysiąc, że przebiłem się przez fasadę obojętności, penetrując miękką tkankę osłabioną przed chwilą przez ten kobiecy głos.

– Jerry? – powtórzyła.

– Tak, to ja – odpowiedziałem nieprzytomnym głosem. – Zaskoczyłaś mnie po raz kolejny.

– Daj spokój, Jerry. Mówiłam ci przecież, że na pewno go poznasz.

– No i poznałem – wycodziłem z trudem.

– I jak? Dogadaliście się? Pomożesz mi w opracowaniu tego artykułu?

– Czego? – zapytałem oburzony.

– Artykułu. Przecież po to się spotkaliście? Nicky pisuje dla Counterpunch i chciał dowiedzieć się od ciebie czegoś o Kolumbii.

– O Kolumbii? – powtórzyłem, obrzucając go wściekłym wzrokiem. Nick wzruszył ramionami, rozkładając dłonie w teatralnym geście niewinności.

– A tak, o Kolumbii – powiedziałem w końcu. – Tak, rozmawialiśmy już o Kolumbii, skarbie, o wiele dłużej, niż się spodziewałem. Ciekawy koleżka ten twój Nick.

– Miałam nadzieję, że się dogadacie. Zwłaszcza, że wróciłeś teraz do pisania. Kto wie, może nawet podsunie ci jakiś pomysł.

Ostatnia uwaga trafiła mnie jak w policzek. Oczywiście, nie mogłem jej za to winić. Nie mogła wiedzieć, że przez ostatnią godzinę tańczyłem, jak mi zagrał, tylko po to, bym mógł się od niego czegoś dowiedzieć. Byłem wściekły na niego, ale przede wszystkim na siebie, że pozwoliłem mu na to wszystko. Nie tylko, przewyższał mnie wiedzą, wodził mnie za nos i żądał rezultatów mojej kilkumiesięcznej pracy, ale, co gorsza, sypiał z moją córką. Zastanawiałem się, kto bardziej zasługiwał na zemstę, on czy ja sam.

– Zadzwoń wieczorem, dobrze? Muszę jeszcze przedyskutować z Nickiem pewną kwestię.

– Tato? – zapytała.

Było to słowo, którego używała niezwykle rzadko. Albo potrzebowała czegoś, albo dotarło do niej, że coś jest nie tak.

– Tato, przestań, proszę... – Chciała powiedzieć, ale nie zdążyła. Odłożyłem słuchawkę. Nie chciałem rozmawiać z nią w tym stanie. Wstałem, oparłem dłoń o stół i spojrzałem Nickowi prosto w oczy.

– Nie możesz winić mnie za to, że nie przypadłem ci do gustu – powiedział. Spojrzałem na kufel stojący obok. Wyobraziłem sobie, jak roztrzaskuję go na jego głowie. Zaraz potem przed oczami stanęła mi Pat, nachylona nad jego szpitalnym łóżkiem.

Stałem obok stołu, zdjąłem z haka kurtkę i rzuciłem dwie dwudziestki na jego przynętę.

– Zatrzymaj swoje papiery i znajdź innego frajera do brudnej roboty.

Zanim oddaliłem się zbyt daleko, odwróciłem się i powiedziałem:

– I radzę ci dobrze. Nie pokazuj się mi więcej na oczy.

Nick spojrzał na mnie tak, jakby dokładnie takiej reakcji oczekiwał i skinął głową.

XVI. Wielka Szachownica

Nie wiem sam, co miałem jej bardziej za złe – to, że nie była ze mną szczerą, czy to, że zbyt szybko dorosła. Jeszcze kilka dni wcześniej była zbuntowaną nastolatką, dziewczyną o naiwnych marzeniach, snutyh w teoretycznym związku z nieistniejącym chłopakiem, który choć był samcem z krwi i kości, to dla mnie pozostawał jedynie mglistą postacią w ramce z minionych wakacji, niczym więcej niż martwym pojęciem w skostniałym banku znaczeń.

Tymczasem Pat przestała być dzieckiem. Stała się tym, czym stają się wszystkie kobiety, na których mi zależy – moją słabością.

Analogicznie, Nick również ewoluował w mojej świadomości. Stał się czymś więcej niż polemistą, antagonistą, czy źródłem informacji. Stał się częścią układanki i jej kluczowym elementem, który należało zbadać, przeanalizować i dopasować, tak, by konstrukcja piętrzącego się wokół mnie chaosu zdarzeń nie załamała się nagle i nie runęła pokonana przez ciężar piętrzących się zależności i zobowiązań.

To prawda. Zawsze po cichu pragnąłem, żeby Pat poszła w moje ślady, ale nigdy nie spodziewałem się, że znajdzie dla siebie po prostu młodszą i podlejszą wersję mnie. Żaden ojciec nie chciałby tego dla swojej córki, a ja bynajmniej nie byłem w tej kwestii wyjątkiem.

Mogłem, rzecz jasna, dać mu szansę, spotkać się z nim i wyjaśnić od początku do końca na czym każdemu z nas zależy. Koniec końców, pomógł mi przecież w sprawie Kolumbii i jakaś część mnie, nie chciała uwierzyć, że kierował się jedynie podłymi pobudkami. Chciałem uwierzyć, że za tą fascynacją wojną i postępami zła na Ziemi, w rzeczywistości kryło się coś dobrego.

Byłem pewny, że ktoś, kto interesuje się siłami zniszczenia tak bardzo jak Nick, nie może być na nie obojętny ani umiarkowany w swoich przekonaniach. Nie może znajdować na środku, między biegunami dobra i zła, a może istnieć tylko na końcu jednego z nich. Nick mógł być wyrachowanym idealistą, przesiąkniętym cynizmem teoretykiem, który dla zaspokojenia swojego nadętego wiedzą ego planuje z zegarmistrzowską precyzją zamachy bombowe w imię wyższych idei. Mógł też być psychopata, poszukującym w nieformalnych grupach ujścia dla swoich niespełnionych fantazji i dławionych emocji. Zastanawiałem się, czy spotkał się ze mną tylko po to, by przyjrzeć mi się z bliska, ocenić, na co mnie stać i do czego mógłby mnie wykorzystać, czy może rzeczywiście, tak jak twierdził, zjawił się tam, byśmy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Pozostawała oczywiście jeszcze najważniejsza kwestia. Wciąż nie wiedziałem, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Pat. Czy mogłem jej ufać? Czy jej wrodzona intuicja do ludzi i rozsądek, z których zawsze byłem tak dumny, powinny mi wystarczyć jako zapewnienie? Czy powinienem zaufać Nickowi? Jeśli

rzeczywiście sypiali ze sobą, nie mogłem wykluczyć, że to on manipuluje nią, a nie ona nim.

Byłem w pełni świadom, że miłość w stylu Bonnie i Clyde, nie była jedynie wymysłem pop kultury. Rozgrywała się każdego dnia w mikroskali tysięcy zdesperowanych związków na całym świecie, a Patricia mogła być uwięziona właśnie w jednym z nich. Tyle, że jej miłością nie był ten pocieszny, anorektyczny chłopak, a jego idea; idea, której dopiero miałem doświadczyć.

Zadzwoiłem do Pat koło południa, a potem jeszcze kilka razy tego samego dnia, ale nie odebrała. Oddzwoniła dopiero późnym wieczorem. Mówiła chaotycznie, a właściwie krzyczała, próbując przebić się przez decybele płynące z głośników w tle. Była wstawiona i mamrotała coś w niezrozumiałym dialekcie pijanych nastolatek. Jedyne, co udało mi się spleść ze strzępów słów wyrwanych między riffami gitar, to zadowolenie i oczekiwania, a także lekceważenie moich obaw.

Pat bawiła się świetnie i nie martwiła się moim spotkaniem z Nickiem. Muzyka i gwizdy przebijające się przez zgrzyt wzmacniaczy nie były w stanie zagłuszyć radości w jej głosie. Tradycyjna bezceremonialność jej słów uspokoiła mnie trochę. Wyglądało na to, że nawet jeśli Nick zaczął ją indoktrynować, to miał przed sobą jeszcze długą drogę i, co ważniejsze, nie próbował zwracać jej przeciwko mnie.

Gdy to w końcu zrozumiałem, dotarła do mnie również inna świadomość. Przez cały ten czas od naszego ostatniego spotkania nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Nick w pewien sposób mnie rozbudził. Odkrył we mnie nowe pokłady ambicji, o których wcześniej nie miałem pojęcia i o które nigdy się nie podejrzewałem. Nagle, z dnia na dzień, znów pragnąłem wiedzieć więcej. Znów uwierzyłem, że mogę naprawdę coś zmienić.

Moje myśli krążyły wokół Nicka. Wyobraźnia powadziła mnie do niego przez gąszcz obrazów i znaczeń, przez slumsy i dżungle Kolumbii, przez instalacje roponośne, wzdłuż, których rebelianci, baronowie narkotykowi, grupy paramilitarne i wojsko gromadzili się jak muchy wokół mokrego ścierwa. Widziałem drążone dopiero kanały handlowe, wzdłuż których tłumami maszerowali uciekinierzy i przesiedleńcy, mężczyźni i starcy, kobiety i dzieci, z całym dobytkiem ugniecionym na rozklekotanych ciężarówkach lub dźwigane przez ich juczne zwierzęta brodzące w grząskim błocie.

Były to jedynie obrazy, produkty nadpobudliwej wyobraźni człowieka, który niewiele widział i jeszcze mniej wiedział. Nie byłem nigdy ani w Kolumbii ani w Ameryce Łacińskiej. Nie miałem pojęcia, jak ludzie żyją w tym piekle, jak radzą sobie z każdym nadchodzącym dniem. Wiedziałem natomiast jedno – musiałem napisać o tym tak, by Amerykanie poczuli się do odpowiedzialności. Poza tym, jeśli chłopak mówił prawdę, jeśli Kolumbia nie była zwieńczeniem, a zaledwie

początkiem reakcji łańcuchowej, którą zainicjowaliśmy, to z pewnością nie był to temat, który można było zignorować.

Naturalnie wszystko, co Nick powiedział mi o tym krwawiącym ropą kraju, okazało się prawdą. Z zażenowaniem stwierdziłem, że potwierdzenie jego teorii było bardzo łatwe, powiedziałbym, że zbyt łatwe. Większość dokumentów znalezionych w sieci była zupełnie jawna. Mógł po nie sięgnąć praktycznie każdy, kto dysponował wystarczającą ilością wolnego czasu i samozaparciem. Pomimo że część ukrywanych przez rząd informacji wciąż czekała na odtajnienie przez Freedom of Information Act, w ciągu zaledwie dwóch dni, byłem w stanie zweryfikować większość podanych przez Nicka informacji.

Te dwa dni wystarczyły mi, by uchronić się przed niemal pewną kompromitacją, i przed oskarżeniami o powierzchowność, lekkomyślność i brak szerszej perspektywy. Te dwa dni wystarczyły mi, żeby zebrać wszystko, co do tej pory napisałem, i zamknąć w jedną spójną całość. I co najważniejsze, owe dwa dni utwierdziły mnie w przekonaniu, że wciąż mogę coś zmienić, nawet jeśli nie zdążę opublikować tekstu przed wyborami.

Było to oczywiście złudzenie. Śladem innych autorów i niedoszłych pisarzy, pielęgnowałem w sobie poczucie oryginalności, niepowtarzalności i doniosłości własnego dzieła. Niepostrzeżenie uwierzyłem w siłę papieru, zapominając jednocześnie o potędze obrazu.

W zasadzie, dopiero teraz, gdy o tym myślę, ta idea wydaje się mi kosmicznie absurdalna. Sam fakt, że karmiłem się tą infantylną wiarą w siebie, w nasz niepiśmienny, telewizyjny naród, zupełnie pomijając potęgę maszyny wyborczej, do dziś wzbudza we mnie wstyd i zażenowanie. Dziś bowiem wiem już, że nic, ani obywatelska desperacja, ani przedwyborcza gorączka nie usprawiedliwiały tego, czym się wtedy stałem.

Była niedziela i do wyborów prezydenckich pozostało dziewięć dni. W terenie przewijały się setki reporterów i choć większość z nich zajmowała się jedynie wygodnym relacjonowaniem wierzgających dłońmi tłumów i wkraczających na scenę kandydatów, zdarzali się zapewne i tacy, którzy podobnie jak ja próbowali wysupłać spod warstw medialnego pudru te fakty, których nazwy i twarze stanowiły trzon wyborczej rzeczywistości. Naturalnie, żaden z reporterów nie przebił się na drugą stronę lustra, wszyscy pozostali w bezpiecznym świecie medialnej schizofrenii, w której złodzieje, trucidiele i oszuści przywdziewają maski herosów, a ambitni i nieustępliwi dziennikarze śledczy ozdabiani są łachmanami szarlatanów i bezdomnych wariatów.

Zastanawiałem się wtedy, jakie mam w tym wszystkim szanse, czy zdołam przebić przez ów kordon korporacyjnej armii reporterów, redaktorów i prezesów medialnej nomenklatury. Wiedziałem, że krytyka kandydatów i podważanie wiarygodności systemu nie należą do ulubionych tematów redaktorów, ale liczyłem

na to, że kiedy klamka zapadnie, a wyborcza wrzawa nieco ucichnie, znajdzie się ktoś, komu nie spodobają się wyniki głosowania i podniesie głos, lub wykorzysta mój własny, niemy, uwięziony między stronicami sprzeciw. Naturalnie, nie dopuszczałem wtedy do siebie najbardziej oczywistej myśli, a mianowicie, że na tym etapie będzie już o wiele za późno na jakikolwiek sprzeciw.

Wieczór zastukał kroplami w szyby okien. Kończyłem właśnie szlifować ostatni fragment tekstu. Odłożyłem do teczki wydrukowane ponad dwieście stron męki, otworzyłem chłodne piwo i zatopiłem się w fotelu moich myśli. Widok ułożonego w bloczek papieru nie dawał ukojenia, na które tak długo czekałem. Wraz z ostatnimi poprawkami po tym niekończącym się wyczekiwaniu, pojawiła się we mnie wyrwa, pustka wyżarta przez jątrzącą się ciekawość. Myślałem, że koniec będzie wspaniały, miałem nadzieję, że odetchnę spełniony zwieńczeniem mojej małej krucjaty. Moje życie powinno było nabrać nowego wymiaru. W końcu, wydawałem na świat nowe życie zrodzone z mojej cnoty, wiary i potęgi dobrych intencji, a nie bełkot słów podsycany naiwnością. Gdy jednak przelałem na papier ostatnią myśl, a biel stron umykająca do tej pory przed prawdą słów zatrzymała się, nagromadzony we mnie żal i gniew nie zelzały ani trochę, nie ustąpiły i nie minęły, a jedynie przycichły na moment, zagłuszone galopującą w tle nieokiełznaną bestią ciekawości. Była to ciekawość niezaspokojona, podsycana rozszanymi w pamięci faktami, rozbudzona rozchwianą, pulsującą, kurczącą się we mnie i rosnącą na przemian determinacją. Było to dzikie, zniewalające uczucie, nie pozwalające na stan spoczynku, trwające w ruchu, wyrażające się w presji, pozbawiające mnie szans na głębszy oddech, zmieniające mnie w kłębek nerwów, którego jądro kryje w sobie magnes przyciągający bodźce, jak gwoździe do trumny spokoju i równowagi.

Włączyłem telewizor, by oddalić od siebie ten pulsujący galimatias powiązanych ze sobą, wirujących obrazów. Przeskakiwałem po kanałach, próbując znaleźć coś, co kakofonią dźwięków i lawiną migawek zaleje moje zmysły i zawładnie uwagą. Niestety, jak na złość większość kanałów raczyła mnie wyłącznie wyborczym jazgotem i falami entuzjazmu. Kanały skupiały się na relacjach z poszczególnych stanów, analizując przy okazji przedwyborczą debatę i wmawiając nam, jak ważne jest, który z kandydatów zajmie prezydencki fotel. Jakbyśmy mieli jakiś wybór. Jakby to miało cokolwiek zmienić...

Kampania wyborcza wchodziła w decydującą fazę. Na ekranie przewijały się spoty wyborcze wyjaśniające, nam jak ważne dla właściwego rządu krajem są Bóg, honor i rodzina. Oczywiście wyobraźni widziałem Alberta Gora w salonie białego domu z drinkiem w dłoni, oglądającego mecz finałowy i jego żonę, Mary, krojącą coś w kuchni, jak nagabuje go, kreśląc nożem w powietrzu znaki, by zalegalizował eutanazję, zdelegalizował testy na zwierzętach lub wypowiedział wojnę sprzedawcom dziecięcej pornografii. Widziałem G.W. na rodzinnym

barbecue w Teksasie, gdzie z bratem i ojcem, stojąc nad żarzącymi się węglami i skwierczącym mięsem, uzgadniają, który kraj warto najechać w pierwszej kolejności, podczas nadchodzącej kadencji, który przyniesie zyski z ropy, który z inwestycji budowlanych, a który wymaga przewrotu dla poprawienia jakości demokracji.

Bóg, patriotyzm, honor i rodzina. Jeśli tak miała wyglądać rola tej ostatniej, wołałem nie wiedzieć, co zrobią, zasłaniając się makietą Boga.

Przez kilkanaście długich minut przypatrywałem się kandydatom na ekranie. Czekałem, aż ich bełkot wyklaruje się w choć jedno sensowne zdanie. Nic takiego nie nastąpiło. Wszyscy jak jeden mąż przypominali statystów w reklamie demokracji, próbujących sprzedać ją w odrobinę innym opakowaniu.

Chciałem, by któryś z nich powiedział coś o swojej prawdziwej ideologii, o wyznaczonych im funkcjach i przyssanych do nich korporacjach, które to my, jako potulni obywatele, powinniśmy akceptować jako symbiotyczne organizmy, a nie obawiać się ich jak pasożytniczej zarazy.

Oczywiście, żaden z kandydatów nie podjął tego tematu. Mówili językiem obrazów i gestów, serwując nam sceny osadzone w fantastycznej konwencji politycznych bohaterów i czekających na ratunek, uwięzionych w rzeczywistości obywateli. Przemawiali do nas pismem obrazkowym i prymitywnymi sygnałami, sprowadzając tym samym to najważniejsze na Ziemi stanowisko do roli pacynki wierzgającej łapkami pod dyktando korporacyjnych lalkarzy.

Nazwiska darczyńców Busha i jego patronów wirowały mi przed oczami przypisane do dziesiątek twarzy, na które gdzieś, kiedyś przelotnie spojrzełem. Wraz z nimi przemykały mi przed oczami oblicza Carla, Meg, Laurie, Keitha, Jacka, Donny'ego i Rory'ego Scotta. Nawet Frank pojawił się w tym cyklonie, niby przypadkowo i bez powiązania. Po chwili jednak, gdy jego twarz pojawiła się po raz drugi i trzeci, zrozumiałem, że coś mi umknęło, że przeoczyłem go w którymś kluczowym momencie. Podświadomość szeptała do mnie poprzez jego przystojną, ogorzałą, lekko uśmiechniętą twarz.

– Frank... – pomyślałem, drapiąc nieumyte od dwóch dni włosy. – I Enron! – szepnąłem, wyprostowując się podekscytowany. Nagle, do mnie dotarło. Frank nie był tylko najeźdźcą, który zajął mój dom i zawłaszczył rodzinę. Był kolejnym elementem niekończącej się układanki. Miał coś, czego potrzebowałem, coś, czego nie miał nikt inny, miał dostęp do i wiedzę na temat Enronu.

Świadomość ta mnie nie uspokoiła. Dawała szansę na odsunięcie lub okiełznanie chaotycznych myśli, zaspokojenie rozrastającej się ciekawości, a przy tym, dawała również pretekst do ponownego kontaktu z Pat, co ułatwiłoby mi wyciągnięcie z niej czegoś więcej na temat Nicka.

Byłem podekscytowany. Chciałem zadzwonić do Franka od razu. Niezobowiązująca rozmowa przy piwie w ramach od dawna zalecanej przez

Elizabeth integracji jawiła się niemal jak przyjemność. Wystarczyło zadzwonić.

Niestety, gdy wykręciłem numer, słuchawkę podniósł nie Frank a Liz, która bezbłędnie wyczuła prawdziwy powód mojego entuzjazmu.

Po kilku minutach rozmowy przyznała, że spodziewała się telefonu ode mnie. Gdy zapytałem dlaczego, nie odpowiedziała. Postawiła tylko jeden warunek, na który musiałem się zgodzić.

– Obiecuję, że nie będę go naciskał – powiedziałem.

– I nie opublikujesz niczego bez jego zgody? – zapytała, przeciągając nerwowo przedostatnie słowo.

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Tajemnica handlowa to świętość.

Tak naprawdę nie mogłem jej niczego obiecać. Nie miałem pojęcia, o czym mi opowie. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że nie dowiem się czegoś, co mogło by go pograżyć.

Poza tym, dziwna przenikliwość Liz i łatwość, z jaką odgadła przyczynę mojego telefonu, uruchomiły alarm w mojej głowie. Kończąc rozmowę nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nie byłem pierwszym, który dopytywał o jej męża. Ostatecznie uznałem, że jej reakcja mogła sprowadzać się do dwóch ewentualności: albo Frank potrzebował kogoś, komu mógłby powierzyć niewygodną tajemnicę, a Liz zasugerowała mu właśnie, że to ja będę odpowiednią osobą, albo ktoś wysoko postawiony, kilka szczebli nad nim czekał na naszą rozmowę i jej wyniki.

Gdyby nie to, że ufałem Liz, z pewnością nie ryzykowałbym tego spotkania. Frank, co prawda, mógł nie wiedzieć, jak w rzeczywistości działała jego firma, ale mógł też być pod obserwacją ludzi, którzy interesowali się nim z podobnych powodów.

Spojrzałem na czarną tekturową teczkę opiętą gumką. Tekst w środku czekał na ostateczny szlif.

– Czyżbym dał za wygraną? – pomyślałem. – Jak to się stało, że nie poruszyłem tego wątku?

Odpaliłem laptopa, wyjąłem wszystko, co miałem na temat kampanii i wznowiłem przeczesywanie list darczyńców Busha. Dopiero gdy rzuciłem okiem na listę Carla, moja pamięć zaskoczyła, uruchamiając odpowiedni trybik. Przed oczyma stanęła mi postać zapomnianego prezesa Enronu – Kennetha Laya. Oczywiście Lay był już pod lupą TPJ, a jego poczynania uzupełniały się idealnie z zestawem zarzutów, które w moim własnym tekście kierowałem pod adresem Busha juniora. Już po lekturze pierwszego artykułu o jego poczynaniach nabrałem pewności, że Kenneth Lay, uległ niemalże wszystkim pokusom, jakie czyhały na niego za sprawą wszechobecnej siły przyciągania obrotowych drzwi. Lista zarzutów pod jego adresem była długa i naszpikowana faktami, które w naturalny sposób łączyły się z naturą firmy, którą zarządzał. A zarządzał on Enronem, prawdziwym gigantem na wśród dostawców energii.

* * *

Indyjski Gambit Enronu

To, co już na samym początku rzuciło mi się w oczy, to fakt, iż według Center for Public Integrity, to właśnie Enron był głównym patronem kariery Busha¹. G.W. otrzymał od spółki łącznie siedemset siedemdziesiąt cztery tysiące sto dolarów, nie licząc dwóch milionów, które Partia Republikańska zdążyła zainkasować od momentu, gdy G.W. wystartował w wyborach³.

Gubernator Teksasu rzecz jasna nie pozostał dłużny. Na początek zatwierdził tak zwany Tort Law, czyli ustawę, która utrudniała obywatelom ubieganie się o odszkodowania od korporacji. Z pewnością ucieszyło to prezesa Enronu, który był głównym członkiem PAC forsującego zmianę reformy pozwów sądowych³. Sam fakt lobbowania przeciw odpowiedzialności korporacji, automatycznie plasował go w czołówce kapłanów korporacji.

Kolejną nagrodą dla Kennetha Laya za wspierania Busha juniora, był podpisany przez Gubernatora program CARE, w ramach którego wiekowe elektrownie Enronu zostały zwolnione z konieczności dostosowywania się do norm emisji spalin. Fabryki Enronu zlokalizowane wokół Huston w Teksasie, przewyższyły ilością emisji spalin nawet największych trucicieli środowiska z Los Angeles. Dzięki nim Huston wysunęło się na pierwsze miejsce wśród miast z najbardziej zanieczyszczonym powietrzem w Stanach^{1,4}.

Enron skorzystał również z doświadczenia Toma Hicksa i jego drużyny Dallas Mavericks, której kupno było możliwe dzięki wsparciu Gubernatora Busha. W 2000 roku, idąc śladem wytyczonym przez Hicksa, Houston Astros otworzyło Boisko Enron Field, którego budowę sfinansowano nakładem stu milionów dolarów Enronu i stu osiemdziesięciu milionów z kieszeni podatników. W zamian, firma ta otrzymała ulgi podatkowe i kontrakt na dostarczanie energii dla stadionu na kwotę dwustu milionów dolarów¹.

Z każdym kolejnym artykułem ogarniało mnie coraz większe zażenowanie zarówno sobą, jak i całą amerykańską prasą. Firma, która powinna być sztandarowym przykładem wroga obywateli, lokalnych społeczności i demokracji, przemyciała przez strony gazet praktycznie niezauważona.

Inną „przysługą” Busha dla firmy, była rzecz niebagatelna, bo podpisanie ustawy deregulującej rynek energetyczny w Teksasie¹. Choć oprócz Enronu, również inne firmy lobbowały w tej sprawie (np. Green Mountain Energy braci Wyly), to właśnie Enron wydawał się grać tam pierwsze skrzypce. Świadczyć o tym może fakt, że już, w 1992 roku, ten największy odbiorca i dystrybutor gazu ziemnego w USA, lobbował Szeftową Commodity Futures Trading Commission (CFTC), agencji rządowej odpowiedzialnej za kontrolę kontraktów terminowych, by wyłączyła z rządowego nadzoru kontrakty firm energetycznych. W tysiąc

dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, na kilka dni przed tym, jak opuściła swoje stanowisko, Wendy Gramm spełniła prośbę Enronu, inicjując tym samym powolny proces deregulacji rynku energetycznego. Zaledwie pięć tygodni po opuszczeniu stanowiska, Wendy została przyjęta do zarządu Enronu^{3,8}. Dodam tylko, że mąż nowo przyjętej, Senator Phil Gramm, jest drugim na liście najszczerzej obdarowanych przez Enron członków kongresu⁸.

Firma Kennetha Laya, podobnie jak dziesiątki innych korporacji, których prezesi zabiegali o status pioniera, skutecznie przekształcała swój potencjał ekonomiczny w polityczny, by później jak najkorzystniej go spieniężyć. Nie musiałem długo szukać, by dowiedzieć się, jak daleko sięgały wpływy Enronu. Każdy kolejny artykuł dowodził, że korporacja ta jak pasożyt zagnieżdżyła się w organach władzy.

Zagnieżdzenie Enronu w labiryncie władzy stało się możliwe dzięki dwóm faktom. Po pierwsze, Komitet Akcji Politycznej (PAC) Enronu, wraz z prezesami firmy wydali łącznie ponad dziesięć milionów dolarów, by wpłynąć na rząd USA podczas wyborów w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym i dwutysięcznym roku. Z owych dziesięciu milionów trzystu tysięcy dolarów, ponad połowę, bo sześć milionów siedemset tysięcy wydano na federalnych lobbystów, podczas gdy pozostałe trzy i pół miliona wpłacono na konta federalnych komitetów PAC i kandydatów. Większość pieniędzy Enronu powędrowała do Republikanów, co doskonale oddaje osobiste preferencje Laya³. I tu właśnie pojawia się drugie źródło zażyłości firmy z administracją. Otóż to, kogo prezes Kenneth faworyzował, nie było rzeczą przypadkową. Dwoje odchodzących członków gabinetu Busha seniora znalazło azyl w bezpiecznej przestrzeni biur Enronu: Robert Mosbacher, pełniący wówczas rolę Sekretarza Handlu i – uwaga – James Baker, ten sam, który kilka lat później tak pięknie odnalazł się w zarządzie Carlyle Group¹.

Nie muszę chyba wspominać, jak podle poczułem się po tym odkryciu. Przeoczenie tak oczywistego powiązania dowodziło nie tylko powierzchowności moich dociekań, ale i ignorancji, jaką wykazałem się, sądząc, że wiem z czym się mierzę. Jeśli ominąłem fakt takiego kalibru, co jeszcze umknęło mi w trakcie pisania? Jak mogłem przed samym sobą przyznać, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, skoro wokół mnie, jak wzrokiem sięgnąć na powierzchni czegoś, co do tej pory uznawałem za demokrację, wykwitwały czarne plamy korupcji, zmieniając ją w korpokrację, tak samo jak wyciek ropy zmienia zatokę w strefę śmierci.

Baker był bez wątpienia postacią kluczową. W mojej wyobraźni urósł do roli mentora G.W., człowieka, bez którego junior praktycznie nie miał racji bytu. Oczywiście jego rola nie sprowadzała się jedynie do zasiadania w zarządzie korporacji. Człowiek formatu takiego jak Baker, zasługiwał na lepszą, bardziej

doraźną funkcję niż tylko bierne zasiadanie w zarządzie spółki. Tak więc, gdy, rozprawiliśmy się z Saddamem, pokonując go w Wojnie w Zatoce Perskiej, Baker udał się do Kuwejtu, by dopilnować kontraktów Enronu w tym kraju¹. Towarzyszył mu G.W. Bush senior, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku nie był już prezydentem, a Kuwejt odwiedzał zupełnie prywatnie. James Baker oczywiście nie był tam prywatnie. Jego zadaniem było lobbowanie rządu Kuwejtu, by ten przydzielił Enronowi kontrakty na odbudowę zniszczonych wojną elektrowni w tym kraju. Był więc nie tylko człowiekiem Carlyle, ale miał też swoją rolę w procesie bogacenia się Enronu za sprawą naszej maszyny wojennej².

Romans Enronu z rządem zaowocował ponownie, gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, lobbyści firmy nakłonili administrację Clintona, by ta zagroziła odcięciem pomocy dla Mozambiku. Nasi urzędnicy ostrzegali, iż, jeśli ów najbiedniejszy kraj na świecie nie podpisze z nami pięćset milionowego kontraktu na budowę rurociągu eksportującego gaz do RPA, fundusze przeznaczone na rozwój zostaną wstrzymane. Amerykańska Agencja Rozwoju Międzynarodowego, Ambasada Amerykańska, a nawet Doradca do spraw Bezpieczeństwa Narodowego, Anthony Lake, lobbowali rząd Mozambiku w interesie tej rosnącej w siłę korporacji³.

Informacje te były ogólnie dostępne, co bynajmniej nie podnosiło mnie to na duchu. Jeśli rzeczywiście każdy mógł sprawdzić historię tego Behemota, to niewielu udało się wykorzystać ją we właściwy sposób. Było to niewiarygodne i przewidywalne zarazem. Enron zdawał się być okryty ochronnym całunem władzy, który skutecznie ukrywał go lub odstraszał zainteresowanych ujawnieniem prawdy. Mogłem wertować dokumenty całą noc i wyszukiwać kompromitujące informacje, ale i tak nie miałem pewności, że cokolwiek z tego, co znajdę, zdoła poruszyć skostniałe media i otępiałą opinię publiczną.

I dopiero wtedy natrafiłem na to, co powinienem był zauważyć już na samym początku. Spośród gąszczy słów rozsianych na dziesiątkach stron, jedno rzuciło mi się w oczy od razu. Było nim „Dabhol”, nazwa niewielkiej portowej miejscowości w stanie Maharashtra w Indiach. To właśnie tam Frank miał pojechać, gdy zastałem go w domu w owe niedzielne popołudnie. I to właśnie tam rozgrywał się scenariusz godny nominacji do Oskara. Wszystko to, co Enron z różnym skutkiem testował w Stanach, w Indiach wprowadzano w życie bez znieczulenia. Tam, w krainie nieodpowiedzialnych polityków, powszechnego ubóstwa i niskiej odporności na zachcianki kapitału, firma taka jak Enron mogła przetestować wszystkie możliwości i sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

Po drugiej stronie globu Enron mógł nagiąć prawa, a nawet zaryzykować skandal i zainteresowanie mediów tylko po to, by wygrać kontrakt wart o wiele więcej niż to, co straciłby na kampanię PR. W Indiach bowiem Enron mógł praktycznie dyktować warunki. Wystarczyło przyjrzeć się okolicznościom

podpisania kontraktu, by zrozumieć, do czego Enron był w stanie się posunąć.

Wszystko zaczęło się w lutym 1993 roku, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bush i Baker załatwiali interesy Enronu w Kuwejcie. Władze stanu Maharashtra oświadczyły, że projekt budowy elektrowni o mocy tysiąca dziewięciuset dwudziestu megawatów, za sumę dwóch miliardów sześćset pięćdziesięciu milionów dolarów został zatwierdzony i jedyne, co pozostało, by rozpocząć budowę, to zwrócić się do Banku Światowego o wsparcie finansowe⁶. Nie wiem, czy Lay zdziwił się, gdy w kwietniu tamtego roku odmówiono mu wsparcia dla projektu, ale na pewno nie stanowiło to dla niego problemu. Był to problem lokalnych władz i całych Indii, problem, którego nikt z miejscowych władz nie uznał za niepokojący.

Choć Bank światowy określił projekt jako ekonomicznie nieopłacalny i zbyt duży jak na zapotrzebowanie stanu Maharashtra⁶, lokalne władze i tak podpisały kontrakt na zakup prądu na następne dwadzieścia lat. Sygnatariuszami kontraktu był miejscowy rząd i Dabhol Power Corporation (DPC), konsorcjum, którego udziały rozkładały się między Enron (osiemdziesiąt procent), Betchel (dziesięć procent) i General Electric (dziesięć procent)⁶.

Ekonomiści z banku światowego stąpali twardo po ziemi i nie mieli złudzeń co do natury kontraktu. Gdyby ktoś próbował podpisać podobną umowę w Stanach, lub w Kanadzie, miejscowe władze wyśmiały by to jako rozbój w biały dzień, stanowczo zbyt czytelny dla tamtejszych podatników. Nic więc dziwnego, że Hindusi przejrzeni zamiary zachodniego inwestora. W przeciwieństwie jednak do krajów zachodnich, w których moglibyśmy podziwiać demonstracje protestujące przeciwko budowie, Indie zareagowały na swój własny, prosty i dosadny sposób. Otóż, w maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku setki mieszkańców wiosek położonych wokół placu budowy wkroczyły na jego teren, raniąc wielu z tysiąca pięciuset pracowników i troje z sześćdziesięciu doradców z zagranicy. Protestujący skarżyli się nie tylko na koszt elektrowni, który to oni będą musieli ponieść, ale i na zanieczyszczenie powietrza, wody i łąk, z których żyli³. Rozwścieczeni mieszkańcy zniszczyli pompy wodne, meble i dokumenty, wzniesając przy tym szum medialny, który w lokalnych wyborach skutecznie wykorzystywała konserwatywna partia socjalistyczna⁵.

Wkrótce po wyborach nowe władze anulowały kontrakt, twierdząc, że nie pozwolą, by Enron zarabiał kosztem ich wyborców³. Oczywiście mieli rację. Kontrakt, który przez długi czas ukrywano przed opinią publiczną (pod pretekstem tajemnicy handlowej), ujrzał w końcu światło dzienne. Okazało się, że wart dwa miliardy osiemset milionów dolarów kontrakt został opłacony pożyczkami, które Zarząd Energii Elektrycznej stanu Maharashtra (MSEB) zamierzał spłacić poprzez system stałych taryf energii elektrycznej, zaczynających się od ośmiu centów, a które następnie miały wzrosnąć do trzydziestu trzech centów za kilowatogodzinę.

Konsumenci, którzy do tej pory płacili cztery i trzy dziesiąte centa za kilowatogodzinę, nie mieli powodów do radości. Jakby tego było mało, pomimo sprzeciwu Banku Światowego, rząd Indii zdecydował się gwarantować pożyczkę zaciągniętą pod budowę elektrowni. Zabezpieczenie to nie było jedyną premią dla Enronu. Ekonomisci z Prayas, lokalnej pozarządowej organizacji, obliczyli, że ulgi podatkowe dla tej korporacji wyniosą trzydzieści dwa procent, czyli trzy razy tyle, ile wynosi średnia stopa zwrotu w USA. Ponadto zwrócili uwagę na fakt, iż w północnej Anglii, Enron wybudował obiekt podobnych rozmiarów za mniej niż połowę sumy, na którą wycenił projekt w Dabhol⁵.

To, co się stało potem, było klasycznym przykładem dwudziestowiecznego imperializmu. Najpierw, przed kongresem zeznania złożyła Linda Powers, prezes Enron Development Corporation. Skarżąc się na ogromne koszty, poniesione przez firmę w związku z projektem, wymieniła między innymi dwadzieścia milionów dolarów przeznaczone na proces edukacji, co krytycy określali mianem cichych łapówek dla ówczesnego rządu⁵.

Oczywiście na tym nie kończyło się zainteresowanie naszych władz. Prezydent Clinton osobiście zainteresował się kontraktem. Nic dziwnego, skoro rok wcześniej Export-Import Bank z Waszyngtonu przyznał Enronowi trzysta dwa miliony dolarów pożyczki na projekt w Dabhol. Zainteresowanie to zaszło tak daleko, że sam Thomas F. McLarty, prezydencki doradca, został obarczony misją monitorowania kontraktu. W sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, niecały miesiąc po ogłoszeniu decyzji o zerwaniu kontraktu, McLarty wraz z Sekretarzem Skarbu, Robertem Rubinem, zaczęli naciskać rząd Indii, by zainterweniował⁷.

Decyzja nowych władz w Dabhol wywołała również niedwuznaczne komentarze ze strony innych członków naszej ekipy rządzącej. Komunikat z biura Sekretarza Departamentu Energii przestrzegał, przed zerwaniem kontraktu, twierdząc, iż zagrozi to pozostałym inwestycjom zagranicznym w Indiach. Palcem pokijał również Kenneth Clarke, Minister Skarbu Wielkiej Brytanii, który przepowiadał poważne reperkusje ze strony brytyjskich inwestorów⁵.

Z kolei przeciwnicy zerwania kontraktu w Indiach, ostrzegali, że może on ograniczyć proces liberalizacji Indyjskiej gospodarki. Co więcej, stan Maharashtra musiałby zapłacić do dwieście osiemdziesiąt sześć milionów dolarów odszkodowania, gdyby zerwał umowę⁵. Nie były to fakty łatwe do zignorowania. W połączeniu z groźbami płynącymi z zachodu, stanowiły niełatwy orzech do zgryzienia. Ale czy aby na pewno niełatwy?

Pomimo przytłaczającej liczby niejasności i zaniedbań podczas podpisywania umowy, rząd Maharastry ostatecznie ustąpił. Choć umowę renegocjowano, Enron osiągnął cel. Zwolennicy projektu stwierdzą zapewne, że sprawiedliwości stało się zadość. Nie dopatrzą się niczego zdrożnego w stu

tysiącach dolarów, które Enron wpłacił na konto Demokratów na cztery dni przed renegecją umowy. Nikt nie powiąże tego faktu z osobistym zainteresowaniem Clintona. Nikt też nie posądzi McLarty'ego o korupcję, pomimo że przed podpisaniem kontraktu spotykał się przynajmniej raz z prezesem Enronu, a po zakończeniu kadencji otrzymał posadę jako jeden z dyrektorów firmy⁷.

Z politycznego i ekonomicznego punktu widzenia kontynuacja kontraktu była nie tylko naturalna, ale i konieczna dla równowagi i stabilności ekonomicznej Indii. Zapewne nawet ekonomiści z Banku Światowego byli tego zdania. Dobro narodu, ponad dobro obywateli. I jak nietrudno się domyślić, znalazł się ktoś, kto nieco inaczej widział przyszłość własnego kraju. Mianowicie ekonomiści z Prayas.

Obliczyli oni, że całość energii wytwarzanej przez Dabhol po pierwszym etapie budowy byłaby zupełnie niepotrzebna, gdyby wprowadzono odpowiednie środki promujące oszczędność prądu. Maharashtra mogłaby zaoszczędzić łącznie tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć megawatów, gdyby zmodernizowała infrastrukturę, a przemysł i obywatele nakłoniła do bardziej energooszczędnych rozwiązań, takich jak choćby wymiana żarówek na fluorescencyjne. Oprócz tego, wyliczyli, że zastosowanie kogeneracji w elektrociepłowniach i budowa małych elektrowni wodnych mogłaby dostarczyć odpowiednio pięćset i siedemset megawatów. Co jednak było najważniejsze, to fakt, iż z ich wyliczeń wynikało, że łączny koszt wybudowania powyższych obiektów i zaimplementowania energooszczędnych zmian łącznie z wypłaceniem kary za rezygnację z usług Enronu, wyniosły by mniej niż cena, jaką firma ta zażyczyła sobie za swój projekt i dostarczaną energię⁵. Ich argumenty nie były bezpodstawne, albowiem, z umowy na zakup prądu z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku wynikało, że Zarząd Energii Elektrycznej stanu Maharashtra (MSEB) będzie musiał płacić DBC minimum dwieście dwadzieścia milionów dolarów rocznie przez kolejnych dwadzieścia lat bez względu na to, czy będzie potrzebował energii, czy nie. Układ taki nie tylko grozi bankructwem MSEB, ale i zrujnowaniem skarbu stanu⁶. Oczywiście prawnicy Enronu nie mieli powodu, by martwić się takimi detalami. Rok wcześniej rząd Indii podpisał poręczenie na wypadek, gdyby stan Maharashtra zbankrutował. Oznaczało to, że w razie opóźnień w spłatach, Enron mógł zająć dowolne aktywa należące do stanu, w celu uregulowania zaległości. Co jednak najciekawsze, a dla Hindusów najgorsze, to fakt, iż za sprawą owego poręczenia wszelkie roszczenia i spory będą rozpatrywane w brytyjskim sądzie z całkowitym pominięciem jurysdykcji władz indyjskich i tamtejszego systemu sprawiedliwości⁶.

Tak więc, kontrakt, który negocjowano i przyznano bez żadnego przetargu, co już na pierwszy rzut oka sugerowało korupcję, został dodatkowo zabezpieczony możliwością sądenia się w kraju, z którego pochodziła ta agresywna korporacja. I tak na przykład, gdyby z jakiegoś powodu, np. odkrycia dowodów na korupcję

urzędników podpisujących kontrakt, obecna ekipa chciała znacjonalizować elektrownię, co na mocy kontraktu było oczywiście zabronione, Enron mógł dochodzić swoich racji w brytyjskim sądzie, wyciągając od rządu Indii praktycznie każdą kwotę odszkodowania⁶.

Lista skaz w samym kontrakcie i potencjalnych reperkusji była oczywiście o wiele dłuższa. I tak na przykład, coroczne płatności MSEB dla Enronu wynosiły połowę wydatków z budżetu stanu Maharashtra. Sam projekt miał wielką szansę na podwyższenie cen prądu w całych Indiach i pogorszenie warunków życia milionów ludzi. Podczas przydzielania kontraktu władze nie wykonały jakichkolwiek badań oceniających wpływ projektu na środowisko, co nawiasem mówiąc, okoliczni mieszkańcy zdążyli już odczuć na własnej skórze⁶. Kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku Enron otrzymał ubezpieczenie o wartości dwustu milionów dla innego projektu niedaleko wybrzeży Dabhol, Human Rights Watch i Amnesty International oskarżyły firmę o finansowanie i podsycanie brutalnych zachowań policji. Według raportu Human Rights Watch z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, od grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku setki pokojowych protestantów zostało aresztowanych i zatrzymywanych przez indyjską policję, której funkcjonariusze byli na „liście płac” Enronu. W tym samym czasie zgłoszono liczne przypadki pobic i znęcania się nad kobietami, aktywistami i organizatorami protestów przeciw projektowi DBH4 Enron nie przebierał w środkach, projekt musiał być ukończony. Zyski, jak zawsze, były jedynym priorytetem.

Nie było to żadne odstępstwo od normy. Mechanizm warunkujący przetrwanie firmy, według którego fundusze emerytalne, portfele akcji i środki na studia dzieci akcjonariuszy zależą od zysków, które odnotuje firma, leży u podstaw funkcjonowania każdej korporacji. Mnie jednak interesowało coś innego. Chciałem wiedzieć, jak tak naprawdę działają giganci energetyczni pokroju Enronu. To, co pozostali dziennikarze zbierali spod stołów zarządu spółki, nie satysfakcjonowało mnie. Chciałem poznać mechanizmy przejmowania powietrza, wody i ziemi, zaprzędawania dusz i historii za obietnice rozwoju i dobrobytu. Chciałem dowiedzieć się, jak ten proceder ten w bezpośredni sposób dotyka tych, którym teoretycznie miał służyć. Jeżeli zarząd spółki był mózgiem firmy to inżynierowie tacy jak Frank byli jego najważniejszą, choć często pomijaną częścią. To właśnie oni dysponowali informacjami z pierwszej ręki, to ich doświadczenie i wyrzuty sumienia przeplatały się w niekończącym się konflikcie konieczności z wyczyskiem. Dzięki Frankowi, miałem szansę dowiedzieć się, jak projekt Enronu wyglądał w rzeczywistości, i jak katastrofalne decyzje prezesów zmieniały życie ludzi tam na miejscu. Jeśli był ktoś, kto mógł dla mnie uchylić rąbka tajemnicy, to był nim właśnie Frank.

* * *

Stracony Goniec

Uzupełniałem właśnie listę naszych firm inwestujących w Indiach, gdy cichy, stłumiony dźwięk komórki obwieścił dotarcie SMS-a. Podniosłem komórkę i spojrzałem na wyświetlacz. Wiadomość była krótka: „Chcę, żebyś z kimś porozmawiał”.

Wybrałem numer, nadawcy, ale nikt nie odebrał. Potem spróbowałem po raz drugi i trzeci, również bez powodzenia. Pat odebrała dopiero przy czwartej próbie.

– Dlaczego nie odbierasz? – zapytałem.
– Nie mogę teraz rozmawiać, oddzwonię do ciebie za chwilę.
– W porządku – odparłem, rozłączyłem się i cisnąłem poirytowany telefonem w róg kanapy.

Byłem wściekły, że nie powiedziała mi o Nicku. Miałem jej za złe, że mi nie zaufała. Z drugiej strony byłem też zły na siebie, bo nie domyśliłem się, że to o niego chodzi. Poza tym, wciąż nie wiedziałem, jak poruszyć z nią ten temat, tymczasem ona sam odezwała się pierwsza, skutecznie pozbawiając mnie czasu na zastanowienie.

Musiałem dowiedzieć się o nim jak najwięcej, o tym czym się zajmował, z kim współpracował i jaki wpływ miał na moją córkę. Niestety Pat znów przejęła inicjatywę, a ja po raz kolejny dawałem się manipulować.

Zastanawiałem się, kogo miała na myśli, pisząc, że chciałaby, żebym z kimś porozmawiał. Czy chodziło jej o Nicka, czy może o innego aktywistę? Przez myśl przeszło mi nawet, że może była w niebezpieczeństwie i chciała żebym jej w jakiś sposób pomógł.

Podszedłem do okna, żeby nabrać w płuca powietrza, wilgotnej mieszanki wieczornego zapachu Delaware i spalin. Spojrzałem w dół i w dal, na arterie dzielnic. Filadelfia wydawała się nieporuszona. Nikt nie przejmował się losem walczących w tej batalii idealistów i beznadziejnych w swej naiwności anarchistów. Same wybory prezydenckie były odległą burzą, której echo rozbrzmiewało jedynie w wyobraźni tych przybywających z oddali. Chciałem krzyknąć, by obudzić ich wszystkich, owych lunatyków ciągnących do domowych jadalni lub pubów, gdzie ku pokrzepieniu serc oglądać będą sfabrykowane obrazki, prześlizgując się wzrokiem jedynie po powierzchni znaczeń. Większość z nich nie zdawała sobie sprawy z tragedii rozgrywającej się przed ich oczami. Śnili wspólny

sen, który nigdy tak naprawdę nie należał do nich. Był wyreżyserowany przez garstkę szczęśliwców, którzy zgłębiając misterium manipulacji, zapanowali nie tylko nad własnym losem, ale i nad losem pozostałych.

Telefon przerwał zalegającą wokół ciszę. Podeszedłem do kanapy, spojrzałem na wyświetlacz i odebrałem.

– Przepraszam – powiedziała Pat – ale mieliśmy kolejną scenę.

Wydawała się być spokojniejsza.

– Coś się stało?

– Nie, nic. Wszystko gra. Frank jest ostatnio nadpobudliwy.

– Nie dziwię się. Słuchaj... – Chciałem zaproponować, ale mnie ubiegła.

– Chcę, żebyś z nim pogadał.

– Z kim? Z Frankiem?

– Tak.

– Nagle, wszyscy chcą, żebym z nim rozmawiał. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Matka do ciebie dzwoniła?

– Coś w tym stylu. Powiedz mi coś...

– Co?

– Jeśli trzeba z nim porozmawiać, dlaczego same tego nie zrobicie? Po co mnie w to mieszać?

– Z tego, co wiem, to sam już się w to wmieszałeś.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, że sprawdzasz Enron.

Serce zabiło mi mocniej.

– Słucham? – rzuciłem zaskoczony.

– Kilka minut temu dostałam wiadomość od znajomego.

– No i?

– Napisał, że oprócz Kolumbii sprawdzałeś też firmę Franka.

– To niemożliwe – rzuciłem. – Dopiero co odszedłem od komputera.

– Uspokój się – powiedziała powoli. – Prosiłam go, żeby tego nie robił, ale jesteś na ich liście kontaktów, a on nie kontroluje tego, co robią pozostali. Wiesz, tak naprawdę to nic trudnego – sprawdzić, czym się interesujesz po samym I.P..

– Prosiłaś go? – zapytałem, ignorując jej ostatnią uwagę.

– Wiesz dobrze, o kogo mi chodzi.

– Wiem doskonale – pomyślałem, ale nie odpowiedziałem.

Byłem na nią wściekły i dopiero teraz zacząłem to sobie uświadamiać.

– No właśnie – powiedziałem. – Zastanawiałem się, kiedy powiesz, kim tak naprawdę jest twój chłopak.

– Ale teraz to już chyba niepotrzebne, prawda?

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że spotykasz się z miejscowym

anarchistą?

– Cieszę się, że to powiedziałeś.

– Co?

– Anarchista. Już prawie zapomniałam, jak obraźliwe są te przezwiska w ustach porządných ludzi. – Parsknęła.

– Nie zmieniaj tematu. – Uciałem. – Dlaczego nie powiedziałaś, mi czym on się zajmuje?

– Czy to by coś zmieniło?

– Być może. W końcu wciąż jestem twoim ojcem, a ojcowie, jak wiesz, mają skłonność do irracjonalnych zachowań, zwłaszcza, gdy chodzi o ich córki.

– Dobrze, rozumiem. Jeśli chcesz, możemy się spotkać i obgadać ten temat, ale teraz proszę cię o coś innego.

– Frank?

– Tak, Frank.

– Boże... – Przeciągnąłem dłonią po twarzy. Moja chęć na rozmowę z nim nagle osłabła. – Dlaczego on sam do mnie nie zadzwonił?

– Dlatego, że jeszcze nie wie, że chce się z tobą spotkać.

– Oszalałaś?

– Wcale nie. Ale on... Nie mam pojęcia, co dzieje się w jego głowie. Zmienił się, tato, naprawdę zmienił się. Nie chcę, żeby kolejne małżeństwo runęło na moich oczach.

– Nie jestem terapeutą.

– Wiem, wiem. Ale on naprawdę powinien się z tobą spotkać.

– To twoja osobista opinia czy obserwacja?

– I jedno i drugie. Powiedz, zrobisz to dla mnie?

– Jeśli obiecasz mi, że po wszystkim usiądziemy gdzieś i porozmawiamy.

– Obiecuję – odparła i włączyła jakąś muzykę w tle. – Sorry za hałas, ale nie chcę, żeby usłyszeli, że tak długo rozmawiam.

– W porządku. A teraz powiedz, wiesz może, gdzie mogę go spotkać?

– W Bellington Park. Biega tam codziennie wieczorem.

– W parku? Dlaczego akurat tam?

– Będzie wyglądało na przypadkowe spotkanie.

– No tak, teraz już wiem, dlaczego się nie dogadujecie. Masz go za idiotę?

– Nic nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem?

– Tu nie chodzi o niego.

– A o kogo? Zaraz, chwileczkę. Czy ktoś go obserwuje?

– Nie wiem, ale lepiej zachować ostrożność.

– Czy Frank robi dla Enronu coś ważnego? – zapytałem.

– Nie wiem, ale wiem, że to zżera go od środka.

- Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą...
 - To co?
 - Jeśli ktoś go śledzi... Przecież wystarczy, że sprawdzą, co robi każdego dnia, z kim i o której godzinie się spotyka. Wystarczy, że zobaczą mnie w pobliżu. Pat, przecież dobrze wiesz, czym się zajmuję?
 - Tak, wiem. Ja wiem, ale oni nie.
 - Tego nie możesz być pewna. Poza tym, jeśli ktoś go obserwuje, wystarczy, że zrobi coś dziwnego, odejdzie od codziennego rytuału i...
 - Więc upewnij się, żeby tego nie zrobił – przerwała mi.
 - Niby jak? Wystarczy, że mnie zobaczy i zacznie się rozglądać. Od razu się zorientują, że coś jest nie tak.
 - Nie robi tego, jeśli to będzie naprawdę przypadkowe spotkanie. Jeśli uwierzy, że spotkaliście się przypadkiem.
 - Wspólny jogging z byłym mężem żony? Daj spokój.
 - Dlaczego nie? – Usłyszałem uśmiech w jej głosie.
 - Takie spotkanie zawsze będzie wyglądać podejrzanie.
 - Nie ważne. Ważne, że będzie mógł z kimś pogadać.
 - Myślę, że lepiej będzie, jeśli spotkam się z nim w jakimś lokalu.
 - Wyobraź sobie jego minę, na twoje zaproszenie. Od razu wyczułby, że coś jest nie tak.
 - I ja niby mam biegać?
 - Ten jeden raz.
 - Daj mi chwilę pomyśleć.
 - Możesz myśleć, ile ci się żywnie podoba. Przecież nie zmuszę cię do niczego.
 - Zadzwoń do ciebie za minutę – powiedziałem i się rozłączyłem.
- Wiedziałem, że coś nie gra. Dlaczego to Pat zadzwoniła, a nie Elizabeth? Czyżby znów Nick maczał w tym palce? Cały plan śmierdział podstępem. Poza tym, jeśli Pat rzeczywiście mówiła prawdę, chodziło tu o wiele więcej niż nastrój Franka. Jego kariera mogła tkwić na ostrzu noża, a może nawet o wiele więcej niż tylko kariera.
- Z drugiej strony, to, co mówiła, miało sens. Spotkanie w neutralnym miejscu, na jego własnym terenie tworzyło bufor, którego Frank potrzebował. Przecież też chciałem się z nim spotkać. Jeśli rzeczywiście chodziło o Enron, mogliśmy pomóc sobie nawzajem. Poza tym, Frank był w o wiele lepszej formie niż ja. Gdyby nie chciał ze mną rozmawiać, mógłby w każdym momencie przyspieszyć, odłączyć się i biec dalej sam.
- Wybrałem numer Pat. Odebrała natychmiast.
- Nie, żebym wątpił w twój altruizm – powiedziałem – ale jaki ty masz w tym interes?

– Żaden, po prostu wiem, że coś go gryzie, a matka najwyraźniej nie ma o niczym pojęcia.

– O ile mi wiadomo to ma niejaki pojęcie. Mówiłem ci już, że dzwoniła do mnie wcześniej.

– Mniejsza o większość, chcę po prostu, żebyś zrobił to dla mnie.

– A potem ty zrobisz coś dla mnie, tak?

– Zgadza się.

– W takim razie zgadzam się.

– Świetnie. Frank wychodzi z domu koło osiemnastej. Bądź przy pierwszym rozwidleniu alejki od naszej strony. Zadzwoń do ciebie, gdy wyjdzie.

– Świetnie. Do usłyszenia.

Była dziewiętnasta. Siedziałem na czarnej drewnianej ławce wpatrzony w korony dębów nade mną. Wiatr dokonywał w nich ostatniej inwentaryzacji przed zimą, zrzucając na ziemię deszcz złotych i czerwonych liści i żołądzi.

Park był zadbane i czysty, a w dodatku dość mocno przerzedzony. Nigdzie w zasięgu kilkuset metrów nie dostrzegłem krzaków, które utrudniłyby odnalezienie ukrytych obserwatorów. Oprócz przecinających park asfaltowych alejek, było w nim również sporo bocznych ścieżek prowadzących przez gęściej zarośnięte przestrzenie jedynie na obrzeżach pola widzenia. Buki, sosny, świerki i brzozy dawały nam dodatkowe schronienie przed wścibskim okiem obiektywu, zakładając, że będziemy w ruchu.

Jadąc tam przez pół miasta, zastanawiałem się, czy nie lepiej było umówić się z nim w knajpie w centrum. Uzbrojony w procenty i promile mógłbym z łatwością pokonać przepaść, która nas dzieliła. Poza tym, alkohol zwiększał szansę na wyciągnięcie od niego czegoś więcej niż odpowiedź na pytania w stylu: „Jak tam, Frank? Jak ci się pracuje z tubylcami?”

Wibracja komórki zadrżała w mojej kieszeni. Był to sygnał oznaczający, że Frank wybiegł z domu. Czekałem na niego kilka minut, ale gdy się pojawił i tak mnie zaskoczył. Zauważyłem go dopiero, gdy dobiegł, stanął przy mnie i wysapał przez przyśpieszony oddech:

– Cześć, Jerry. Co ty tu robisz? – Wyjął z uszu słuchawki i wyciągnął suchą, rozgrzaną dłoń w moim kierunku.

– Witaj. – Wstałem i odwzajemniłem uścisk.

Miał na sobie czarne pumy, luźne spodnie dresowe i dopasowaną bluzę z kapturem. Cały strój był tak markowy, jak tylko to możliwe. Ruchoma reklama sklepu sportowego. Wyglądałem przy nim jak domorosły bokser na treningu przed walką życia. Odrobina tłuszczu nad pasem, szara, sprana bluza i stare schodzone trampki, które miałem nadzieję wymienić po tej decydującej potyczce.

– Co robię? Odpoczywam.

Frank zmierzył mnie wzrokiem w poszukiwaniu śladów zmęczenia.

– A tak na serio? – zapytał, wznosił ramiona do góry i odchylił się do tyłu jak artysta cyrkowy. Potem przechylił się do przodu, zrobił skłon i dotknął czołem kolan.

– Niedawno zacząłem biegać i nie mam jeszcze formy. – Wstałem, położyłem nogę na ławce i zacząłem rozciągać zastygłe łydki. – Co kilka dni wybieram sobie jakiś park i robię półgodzinną przebieżkę. Nad rzeką nie można wytrzymać, za dużo spalin.

Frank spojrział na mnie, zastanawiając się, dlaczego kłamię. Złapał dłonią staw skokowy, zgiał nogę w kolanie, naciągnął ją do tyłu i przycisnął piętę do pośladków.

– Zdumiewający zbieg okoliczności – powiedział. – Może pobiegniemy razem?

– Dlaczego nie? Znasz jakąś ciekawą trasę? – Wskazałem na rozwidlenie, przy którym staliśmy.

– Znam ciekawą trasę – powiedział. – W sam raz na taką okazję.

Wygiął się jeszcze raz do przodu, przechylił kilka razy na boki i do tyłu, jakby demonstrował elastyczność tworzywa, z którego go wykonano, po czym podskoczył kilka razy, przestępując z nogi na nogę i ruszył do przodu.

– Nie zaplanowałem tego – pomyślałem. – Czyżby Pat miała rację?

Wzięłem głęboki oddech i ruszyłem za nim.

– Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz – powiedział, gdy wyrównałem tempo.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy się umawiali – odparłem.

– My? Nie, my nie. – Uśmiechnął się.

Biegliśmy asfaltową alejką z wydzielonym pasem dla rowerzystów. Leżące pod nogami mokre i śliskie liście, utrudniały bieg, zmuszając do ostrożności. Po chwili Frank odbił w prawo i przebiegliśmy po mostku zawieszonym nad rowem. Zaraz za nim skręcili w lewo, kierując się wzdłuż płytkiego, przejrzystego strumienia. Wokół było zdecydowanie mniej drzew, ale trasa, którą biegliśmy, była gęsto zarośnięta krzewami. Zastanawiałem się, czy celowo ją wybrał.

– Powiedz, jak tam u was? – zagadnąłem po kilku minutach niemego truchtu.

– Układa się wam z Liz?

– Nawet gdyby nam się nie układało, uwierz mi, Jerry, byłbyś ostatnią osobą, której bym o tym powiedział.

– Nie wątpię...

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedział, przeskakując nad wielką kałużą – ale wydaje mi się, że chcesz mnie o coś zapytać, prawda?

– Możliwe – wysapałem, omijając mini bajoro i kilka kolejnych po nim. Frank skakał jak kozica. Ja skakałem jak cielna krowa. Zastanawiałem się, ile musiałbym trenować, żeby sam widok trasy nie sprawiał mi bólu.

– Powiedz prawdę, czy to nie jest tak, że rozmawiasz ze mną, żeby jej coś udowodnić? – zapytałem.

– Nawet jeśli tak jest, co z tego? – odparł.

– Nic. W sumie, masz rację, nic mi do tego.

– No, dobrze. A ty? – rzucił, łapiąc oddech. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Chyba nie robisz tego dla Liz?

– Boże uchowaj. – Roześmiałem się. – Mam to już za sobą.

Wbiegliśmy na otwartą polanę nad stawem, do którego wpływał strumień. Szara tafla przejrzystej wody przy ujściu zmieniła się w brunatne rozlewisko pełne trzciny i gnijących liści. Frank biegł przed siebie wzdłuż brzegu zbiornika po prawej, ale zauważyłem, że rozgląda się dyskretnie w poszukiwaniu kogoś po drugiej stronie. Wiszące nisko gałęzie niemal dotykały powierzchni wody i niczym żółto-zielona kurtyna ukrywały odległy brzeg.

– Gdybym jej nie znał – powiedziałem, próbując nie zostać w tyle – pomyślałbym, że jesteście tutaj, tylko dlatego, że chce nas pogodzić.

– Tak – odparł. – Liz to dziwna kobieta.

– To prawda, ale możesz być spokojny, wasze małżeństwo mnie nie interesuje.

– O to akurat jestem spokojny – odparł i przyśpieszył tempo. Jego zrywy zaczynały mnie męczyć. Był w dużo lepszej formie, a przesłuchanie zaczynało zbaczać z toru, który zaplanowałem.

– Natomiast Pat – powiedziałem po chwili, próbując złapać oddech. – Patricia to zupełnie inna historia.

Frank zwolnił i spojrzał na mnie.

– Poznałem jej faceta – dodałem obojętnie.

Zatrzymał się. Najwidoczniej nie lubił biec i myśleć jednocześnie.

– Przerwa? – zapytałem, walcząc z niedotlenieniem. Stałem obok niego i pochyliłem się do przodu, wspierając się dłońmi na kolanach. Walczyłem z oddechem, wpompowując w siebie cenne powietrze. Zawiesiłem wzrok na spokojnym torsie Franka i przyrzekłem sobie, że to mój pierwszy i ostatni taki bieg. Irytowało mnie to, jak lekko oddycha.

– Przedstawiła ci go? – zapytał.

– Nie. Sam mi się przedstawił – wysapałem.

– Jak to?

– To długa historia. – Zrobiłem pauzę. – W zasadzie to przypadek, chociaż, nie mogę być do końca pewny. – Stałem w rozkroku, udając, że rozciągam plecy. Musiałem zyskać kilka sekund odpoczynku.

– Nie wierzę w przypadki. – Frank podskoczył kilka razy.

– Mamy wspólnych znajomych – odparłem, wziąłem głęboki oddech i tym razem to ja pierwszy ruszyłem do przodu.

Frank natychmiast do mnie dołączył.

– W to akurat mogę uwierzyć – powiedział. – Ale powiedz mi, czego się dowiedziałeś? Co to za jeden?

– W zasadzie to niewiele. Wydawał się być w porządku. – odparłem.

Każde zdanie skracało mój gruźliczy oddech. Na tym etapie wiedziałem już, że jestem ograniczony do krótkich haseł. Monosylaby byłyby jednak o wiele wygodniejsze.

– Bystry chłopak – powiedziałem. – Idealista.

– Tacy są najgorsi.

– Tak, wiem coś o tym. Liz wyszła kiedyś za takiego.

– I do tego skromny? – Zaśmiał się.

– Nie – wysapałem. – Skromności mu nie przypiszę. – Uśmiechnąłem się.

– Czyli co? Powinienem się martwić czy nie? – zapytał.

Musiałem odczekać chwilę. Dyszałem, jakbym kończył maraton.

– Oczywiście, że powinieneś. – Zatrzymałem się. – Jeśli rzeczywiście zależy ci na Liz, powinieneś martwić się o obie do końca życia. Powinieneś... Powinieneś wyłysieć, martwiąc się o jej czystość i pociąg do niegrzecznych chłopców.

– Nie jestem jej ojcem.

– Ale chciałbyś być.

– Widzę, że na wszystko masz odpowiedź.

– Taka praca. – Ruszyłem. Frank spokojnie przyśpieszył za mną.

– A propos pracy. Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparłem. W jego głosie dosłyszałem drwinę i coś jeszcze.

Nie pytał jedynie o mój brak zatrudnienia. Pytał o tekst.

– Myślę, że niebawem trafię... – Przerwałem. – Na właściwych ludzi.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, mogę poprosić kolegów – odparł.

– Serio? – rzuciłem z powątpiewaniem.

– Masz rację, to śmieszne. – Pokręcił głową.

Następnych kilkadziesiąt metrów pokonaliśmy w ciszy. Im więcej mówiłem, tym mniejsze miałem szanse na ukończenie tej katorgi. Tymczasem niebo w prześwitach drzew przybrało kolor ołowiu. Gęste, deszczowe chmury nadpłynęły niepostrzeżenie i zawisły nad nami.

– Nie miej mi tego za złe – powiedział. – Przecież w zasadzie, to my się nie znamy.

– W zasadzie – wysapałem – to nie musimy się znać bliżej niż teraz.

– To prawda – odparł i uśmiechnął się. – A teraz powiedz, czemu zawdzięczam to spotkanie?

– Trafiłem ostatnio na ciekawy artykuł – starałem się brzmieć naturalnie, ale mój głos zaczynał już świszcząć.

– Artykuł, powiadasz? – Przeskoczył pień zwalonego drzewa i wrzucił

wyższy bieg. Jeśli chciał mnie wykończyć, osłabić moją czujność i zmiękczyć mnie, szło mu całkiem nieźle.

– Zastanawia mnie – rzuciłem, dysząc – jak to jest – przerwałem pod oddech – pracować dla tak wielkiej korporacji?

– Masz na myśli tak wielkiej jak Enron? – odparł lekkim, nieśpiesznym tonem. Jeśli chciał zagadać mnie na śmierć, szło mu rewelacyjnie.

– Tak, takiej jak Enron – wysapałem.

– To wspaniałe uczucie – odparł krótko.

Spojrzałem na niego, próbując wychwycić przyzwolenie na kolejne pytanie.

– Załóżmy... – rzuciłem i zamilkłem na moment, zapominając reszty zdania.

Coraz trudniej było mi się skupić na rozmowie.

Frank wyprzedził mnie, okrążając rosnący po środku alejki dąb.

– Zwolnij! – krzyknąłem, ale on zboczył już z alejki i wbiegł w wydeptaną w trawie ścieżkę po lewej.

Pobiegłem za nim. Ścieżka odbijała najpierw lekko w prawo, a potem przecinała kolejną polanę, za którą park się kończył, a zaczynały się zaorane pola. Po kilku sekundach Frank zwolnił i go dogoniłem.

– Przepraszam – powiedział. – Zwykle biegam sam i ciężko mi wyrównać tempo.

Dobiegliśmy do drogi oddzielającej park od pól uprawnych i skręcili w prawo, w kierunku rysującego się na horyzoncie zwirowiska.

– Mówiłeś coś? – zapytał.

– Tak, mówiłem – powiedziałem z trudem. – Załóżmy – zrobiłem pauzę – że wiesz o czymś, co dzieje się w obrębie firmy – kolejna pauza – ale nie możesz mówić na ten temat – kolejna pauza – bo obowiązuje cię tajemnica handlowa.

Frank się nie odezwał. Spojrzał tylko na mnie, jakby dawał mi do zrozumienia, że zmierzam w dobrym kierunku.

– Gdyby rzeczywiście tak było – mówiłem dalej – nie mógłbyś odpowiedzieć na większość moich pytań.

– To prawda, nie mógłbym. A już na pewno nie na te najważniejsze.

– A które pytania były by najważniejsze?

– Cóż... – Zastanowił się chwilę. – Trudno powiedzieć. Sporo jest tych naprawdę istotnych.

– Przerwa? – zapytałem, wskazując ławkę wbity w ziemię przy alejce po lewej. Asfalt przed nią usłany był gęstą warstwą mokrych, kolorowych liści.

– W porządku – powiedział, zwolnił i zatrzymał się.

Gdy opadłem na ławkę, Frank wykonał jeszcze serię ćwiczeń, zanim podszedł do mnie i usiadł obok. Nad naszymi głowami rozciągały się konary starej, srebrnej lipy. Jej posępne gałęzie trzeszczały na wietrze, wygrywając melodię, której nikt nie rozumiał. Ja tymczasem wsłuchiwałem się w jęki moich

nadwyreżonych ścięgien i mięśni.

– Więc?

– Więc co? – powiedział.

– Które pytania są najważniejsze? – zapytałem.

– Nie chcesz chyba, żebym łamał prawo, Jerry?

– Skądże znowu.

– W takim razie nie pytaj mnie o takie rzeczy.

– W porządku. W takim razie może odpowiesz mi na inne pytanie?

– Do rzeczy – rzucił sucho.

– Powiedz mi, Frank, jak to jest, że projekt, który od samego początku wydaje się bardzo ryzykowny, pomimo sprzeciwów i tak dochodzi do skutku?

– Po pierwsze nie wiem, o jakim projekcie mówisz. Po drugie, nawet gdybym wiedział i tak bym ci nie odpowiedział. Nie jestem w zarządzie, więc to nie do mnie pytanie – odparł.

Była to szybka odpowiedź. Być może sądził, że jest wyczerpująca. Ale ja mimo wszystko, dosłyszałem w jego głosie wahanie.

– Nie, nie jesteś w zarządzie, ale za to jesteś inżynierem. Na pewno widziałeś już nie jedną taką inwestycję.

Frank spojrzał na mnie niepewnie, zupełnie jakby nie wiedział, czy może już odetchnąć, czy może powinien wciąć utrzymywać pozory nieświadomości.

– Sugerujesz coś? – zapytał nieco mniej obojętnym głosem.

– Wiesz dobrze, o co pytam.

Zacisnął dłonie na kolanach, jakby pokonywał ostatni odcinek sztafety własnych myśli. Gdy dobiegł do mety, spojrzał na mnie i drżącym głosem powiedział:

– Pracuję dla największej firmy energetycznej na świecie. Czy wiesz, ile zarobił projekt, przy którym pracuję?

– Sporo.

– W lipcu ogłosiliśmy zyski rzędu czterdziestu dwóch milionów dolarów. Po zaledwie roku funkcjonowania elektrowni⁶.

– Wybacz, ale bez punktu odniesienia niewiele mi to mówi.

Frank odetchnął i wziął głęboki oddech. Wyglądało na to, że najgorsze ma już za sobą.

– Pod koniec przyszłego roku – powiedział – elektrownia będzie wytwarzać prawie dwa i pół megawata prądu. A to znaczy, że jest to największa elektrownia gazowa na świecie⁶.

– Nie wyglądasz na specjalnie dumnego – stwierdziłem, starając się nie patrzeć w jego rozbiegane oczy.

Przejechał palcami po złotej grzywie, po czym skrzyżował ręce na piersi i osunął się lekko w dół. Coś trawiło go od środka, ale nie chciał uwolnić tego na

zewnątrz.

– Nie wiem, czy wiesz o tym, ale miejscowy kontrahent nie płaci nam od października – powiedział w końcu.

– To na pewno tylko lekkie opóźnienie – skłamałem. Frank zmierzył mnie dociekliwym spojrzeniem. Próbował wyczytać coś z mojej twarzy, a gdy nie znalazł tego, czego szukał, westchnął.

Przeciagnałem dłonią po nieogolonej twarzy. Najwidoczniej MSEB sięgnęło dna szybciej, niż przewidywałem.

– Ale wcześniej zarobiliście te czterdzieści dwa miliony, tak?

– Zgadza się.

– Czyli ile są wam dłużni?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– No tak, ale dobrze rozumiem, że to rachunek za prąd?

– Tak.

– A teraz produkujecie go ile?

– Siedemset czterdzieści megawatów – powiedział przygnębiony.

– Rozumiem. Czyli jedziecie na pół gwizdka.

– Raczej jedną trzecią. – Westchnął.

– W takim razie popraw mnie, jeśli się mylę, ale, jeśli teraz nie stać ich na kupno prądu, to tym bardziej nie będzie ich stać, gdy będziecie dostarczać trzy razy tyle?

– Teoretycznie to nie problem. Indie potrzebują naszego prądu. Z resztą, nie tylko prądu. A to jest przecież największa zachodnia inwestycja w tamtym kraju³.

– Więc w czym problem?

– Nie wiesz? – zapytał zdziwiony.

– Wiem – odparłem.

Jego oczy nie uspokoiły się. Nie wierzył mi. Nie był tak naiwny, jak sądziłem.

– MSEB zbankrutuje – rzuciłem. – A ty masz wyrzuty sumienia. Tylko dlaczego?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale i ulgą w oczach.

– Liz dobrze mówiła – powiedział.

– Co mówiła?

– Że będziesz wiedział, o co chodzi.

– Liz mnie przecenia.

– Tak czy inaczej... – Poklepał się po kolanach, oparł dłonie na siedzeniu i odchylił głowę do tyłu, spoglądając w górę, między konary lipy.

– To wszystko jest popieprzone – powiedział. – Kiedy zaczynaliśmy kilka lat temu już wtedy było jasne, że coś jest nie tak.

– Z tego, co wiem, cały ten kontrakt jest „nie tak” – odparłem.

– Tyle, że nikt wtedy nie interesował się szczegółami. Każdy robił swoje i robota była prosta. A potem...

– A potem zaatakowali was miejscowi.

– Tak... – odparł, jakby mówił do mnie nie z tej samej ławki, a z celi obok.

Odpląnął. Myślni był gdzieś daleko stąd, w obcym kraju o piekielnej temperaturze, pełnym wygłodzonych, zdesperowanych ludzi. Nie pracował, nie odpoczywał, uciekał przed tłumem rozwścieczonych hinduskich rolników.

– Takie doświadczenia zmieniają perspektywę – rzuciłem.

– To prawda. Na drugi dzień nikt nie przyszedł na plac budowy. Już to powinno nam dać do myślenia.

– Ale nie dało?

– Nie.

– Frank? – Szturchnąłem go, żeby na mnie spojrzeć. – Frank! – Powtórzyłem, zanim się ocknął. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, po prostu powiedz.

– Przykro mi. – Wzruszył ramionami. – Jeśli liczyłeś na wielki spisek, muszę cię rozczarować. Robimy dokładnie to, co każda inna firma w każdym spragnionym energii kraju.

– Ale w zasadzie to czym ty się zajmujesz? Przecież to nie twoje zmartwienie – powiedziałem. – Wykonujesz po prostu swoją pracę.

– Byłeś kiedyś w Afryce?

– Wiesz dobrze, że nie byłem.

– Ja też nie. Ale byłem w Indiach. Byłem tam nie raz i tak naprawdę wciąż tam jestem. Nigdy tak do końca nie opuściłem Dabhol, ludzi, którzy tam mieszkają, i tych, których życie zrujnowaliśmy.

Spojrzałem na niego i rzeczywiście, dopiero teraz to dostrzegłem. Smutek w oczach, z rodzaju tych, których doświadczają ludzie powracający z innej, prawdziwej rzeczywistości. Smutek specyficzny, bo przesycony wyrzutami sumienia z powodu wygód własnego życia.

– Jedno mnie zastanawia.

– Co takiego? – zapytał.

Był jak otwarta księga, wiedziałem, że teraz mogę wyciągnąć od niego wszystko.

– Macie kontrakt na dwadzieścia lat – powiedziałem. – A w tej chwili używacie głównie gazu z lokalnych złóż. Co, jeśli zapotrzebowanie wzrośnie? Czy ten tankowiec, który budujecie, wystarczy?

– Musi. Póki co nie ma innej drogi.

– No właśnie. I ten gaz będziecie transportować z Omanu?

– Nie tylko, ale tak, większość z Omanu. Mamy umowę na ponad dwa miliony ton rocznie. Transport zaczniemy w przyszłym roku.

– Więc o to chodzi? Nawet jeśli nie MSEB nie zapłaci wam, i tak możecie

ten gaz sprzedać odbiorcom w Indiach.

– W zasadzie tak.

– A co, jeśli dostawy gazu z Omanu zostaną przerwane? Co zrobią wtedy Indie?

– To właśnie musisz sprawdzić sam. – Podniósł się powoli, poklepał dłońmi po policzkach, wykonał kilka skłonów do przodu i ruszył przed siebie.

Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę, ale go nie zatrzymałem. Nawet jeśli posiadał informacje na temat Enronu, nie miałem sumienia pogrążyć go jeszcze bardziej. Nie wiem, czego Pat ode mnie oczekiwała, ale na pewno nie zamierzałem bawić się w psychologa. Frank powinien udać się do specjalisty, natomiast ja... Ja prawdopodobnie powinienem zrobić to samo.

Pat, próbowała nakierować mnie na kolejny trop, a ja, podobnie jak w przypadku Rory'ego i Carla, znów rzucałem wszystko, skupiając się na tym nowym, ekscytującym celu.

Byłem roboczym mułem w kopalni mrocznych informacji, któremu wystarczyło zaświecić lampkę, by parł do przodu w paraliżującą ciemność, zostawiając cały świat za sobą.

Po powrocie do domu przejrzałem jeszcze raz materiały dotyczące przetargu na elektrownię w Dabhol. Okazało się, że przynajmniej cztery zagraniczne firmy wycofały się z różnych projektów z powodów, które dla Enronu zdawały się być bez znaczenia. Francuska Electricite de France zrezygnowała z innej elektrowni w Maharashtra, Daewoo Power z elektrociepłowni w Madhya Pradesh, a Cogentrix Energy wraz z China Light and Power Limited wycofały się z budowy innej elektrowni zaledwie rok wcześniej. Podczas gdy żadna z tych firm nie zdecydowała się na ryzyko związane z tego rodzaju inwestycją, zarząd Enronu uparł się przy wybudowaniu elektrowni. Wyglądało na to, że mają ku temu dobry powód.

Dla Kennetha Laya indyjska inwestycja to kolejny gambit przeprowadzony brawurowo kosztem nic nie znaczących najbiedniejszych. Pewny wsparcia ze strony elit rządzących mógł zaryzykować, o ile można to było nazwać ryzykiem.

Podczas gdy Enron otrzymał w Indiach zarówno pomoc od lokalnych władz, jak i gwarancje finansowe skarbu państwa, pozostałe firmy nie mogły liczyć na żadną z tych opcji. A wszystko to dzięki koneksjom i suto zastawionemu korporacyjnemu korycie.

Jedna rzecz jednak wydała mi się dziwna. Zastanawiałem się, dlaczego sam Clinton zainteresował się kontraktem Enronu. Jest zasadnicza różnica pomiędzy uruchamianiem koneksji w kongresie, senacie czy nawet w gabinecie prezydenta, a wyciąganiem ręki po pomoc do samej głowy państwa. Choć zdarzało się to już w przeszłości, zastanawiałem się, czy w tym przypadku nie chodziło o coś więcej niż tylko wyświadczenie korporacyjnemu arystokracji cennej przysługi.

Jeśli mogło być coś ważniejszego od prywatnych interesów polityka

i korporacyjnych zysków jednej spółki, to musiało to być związane z kwestią bezpieczeństwa i strategicznymi interesami całego kraju.

I nie chodziło tu bynajmniej o bezpieczeństwo Energetyczne Indii. To nie Indie miały być beneficjentem planu, a nasz wspaniały i szlachetny kraj. To nie o Indyjską gospodarkę toczyła się gra, a o naszą, amerykańską.

To prawda, że stworzenie wielu stanowisk pracy mogło zależeć od podpisania tego kontraktu, ale na pewno nie było ich wiele, by sam prezydent wysyłał do Indii McLarty'ego by dopilnował podpisania umowy. Gra toczyła się więc o wiele wyższą stawkę, o bezpieczeństwo energetyczne USA.

To, co powiedział mi Frank o gazie z Omanu, potwierdzało, że źródłem troski Clintona mógł być brak alternatywnych źródeł paliwa dla Indii. Ktoś mógłby się zapytać, co nas obchodzi zapotrzebowanie Indii, sądząc, że kraj na drugim końcu świata nie powinien spędzać nam snu z powiek. Problem w tym, że gra nie toczy się tylko o głód energetyczny Indii, ale również Pakistanu, Chin i całej Azji Południowo-Wschodniej. Strach pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby w którymś momencie zabrakło wystarczającej ilości gazu dla wszystkich. Ceny poszybowałyby w górę, spowalniając lub niszcząc gospodarkę wielu krajów, a w tym również i naszą.

Aby zapobiec temu katastroficznemu scenariuszowi, nasz rząd musiał przystać na plan Enronu, który wybiegał daleko poza pojedynczy projekt budowy nierentownej elektrowni w Indiach.

Wszystko to zaczęło się prawie dekadę temu, gdy z rozpadem Związku Radzieckiego uwolnione spod żelaznego uścisku, były republiki radzieckie otworzyły swe granice na penetrację żądnych zysku korporacji z całego globu. Z dnia na dzień, dziesiątki pojawiły się na miękkim podbrzuszu bepańskiej demokracji, by wprowadzać tam nowy, dziki model kapitalizmu.

Dziesiątki firm połączyły się w konsorcja, które w gorączce ropy lat dziewięćdziesiątych rozpoczęły eksploatację skorumpowanych republik, i samej Rosji i byłych republikach radzieckich, by wydrzeć i wykraść dla siebie prawa do wydobywania, transportu i sprzedaży surowców. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku rozpoczął się wyścig, w którym tylko najsilniejsi mogli przetrwać i tylko najsilniejsi zdobywali prawdziwą władzę: władzę ropy i gazu.

Po rozpadzie ZSRR Rosja uruchomiła projekty poszukiwawcze, wydobywcze i budowlane w celu stworzenia infrastruktury zdolnej przetransportować gaz i ropę z obszarów Morza Kaspijskiego we wszystkie kierunki świata, używając istniejącej już własnej, przestarzałej infrastruktury. Z kolei Europa i Azja liczyły na swoją część zasobów dopingując konsorcja, które niekoniernie z interesem dla Rosji obiecywały Europie niezależność energetyczną od Rosji, a Chinom nieograniczone dostawy paliw.

W takiej oto rzeczywistości operował Enron. Eldorado dla opętanych rywalizacją firm budowlanych, naftowych i energetycznych było popierane przez kraje zachodu i usprawiedliwiane zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego dla całych narodów.

W takich oto realiach operuje również nasz rząd, próbując przejąć kontrolę nad energetycznym chaosem konsorcjów i dyktatorów, a także pozbawić znienawidzony Iran wpływów w regionie. Niestety, nie wszystko zawsze idzie po naszej myśli. W niecały miesiąc po tym, jak nasz szef Departamentu Energii, Hazel O'Leary, osobiście upomniął władze Indii, by zaakceptowały kontrakt Enronu, premier tego kraju – Rao zwrócił się do ministra spraw zagranicznych Iranu, Ali Akbar Velayati'ego, i rozpoczęli omawiać możliwości budowy alternatywnych rurociągów, będących w stanie doprowadzić gaz kaspijski do Indii.

Jawne odstąpienie Indii od naszej jawnej polityki izolowania Iranu musiało mieć wpływ na dalsze naciski i przeforsowanie podpisania umowy z Enronem. Tym bardziej, że wśród omawianych przez Rao i Velayati'ego opcji był również rurociąg TAPI, biegnący z Turkmenistanu, przez Afganistan, Pakistan aż do Indii, który omijał Iran szerokim łukiem⁷. O rurociąg ten konkurowała argentyńska firma Bridas i amerykański UNOCAL. Co jednak ciekawe, to to, że oprócz UNOCALU i nasz Enron miał w tym rurociągu interes. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, zaledwie kilka miesięcy po rozpoczęciu rozmów między Indiami i Iranem, Enron podpisał kontrakt dający mu prawo na zbadanie jedenastu pól w Uzbekistanie graniczącym na południu z Afganistanem. Paliwo, które Enron odnalazł i wydobył w Uzbekistanie, miało być potem przesłane na południe do Afganistanu, rurociągiem podłączonym do TAPI. Kolejnym krokiem w planie Enronu było ujawnienie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku przez prezes Enron International, Rebeccę Mark, planów wybudowania ich własnego rurociągu na południu Indii, który miałby prowadzić z Dabhol do Haziry na północy, a potem dalej tysiąc dwieście kilometrów na północ, gdzie miał połączyć się z istniejącym już indyjskim rurociągiem gazowym HBJ. Całość projektu miała wartość miliarda dwustu milionów dolarów, czyli nieco mniej niż połowa sumy przeznaczona na elektrownię w Maharashtra⁷.

Tak więc Enron planował zabezpieczyć złoza w Uzbekistanie, wykorzystać do transportu gazu TAPI, o który zabiegała inna Amerykańska firma UNOCAL, i dostarczyć go do własnej elektrowni w Indiach za pomocą nowej nitki rurociągu podłączonego do istniejącej sieci gazowej Indii.

Koronnym dowodem na sukcesywną realizację planu Enronu i współdziałanie w tym wszystkim naszej elity rządzącej jest zlecenie, które firma Kennetha Laya otrzymała w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym od naszej Agencji Rozwoju i Handlu. Zlecenie polegało na powierzeniu Enronowi wykonania badania opłacalności innej, konkurencyjnej dla TAPI trasy rurociągu z rejonu Morza

Kaspijskiego. Jak się okazało, według wyliczeń Enronu, koszt tego konkurencyjnego rurociągu kończącego się w Turcji okazał się o miliard wyższy od kosztu trasy rurociągu TAPI wytyczonego z Turkmenistanu, tuż obok złóż Enronu w Uzbekistanie, przez Afganistan i dalej na południe do Indii, gdzie miał połączyć się z planowanym gazociągiem Enronu doprowadzającym gaz do Dabhol^{9,10}. Tym oto sposobem, po raz kolejny agencja rządowa zleciła prywatnej firmie wykonanie analizy projektu, którego ocena miała bezpośredni wpływ na zyski tejże firmy. Opinia wydana przez Enron była jak najbardziej zgodna z prawdą i jak nie trudno się domyślić, była zgodna z planami Enronu.

XVII. Dzień Sądu

Termin wyborów zbliżał się nieubłaganie. Był jak góra lodowa sunąca powoli w stronę tankowca na mieliźnie. Jego zbiorniki wypełnione były moją pychą i strachem. Jego kadłub był stary i przerdzewiały. Wokół niego, na powierzchni oczekiwań, rozciągała się czarna plama rozpacz i rozczarowań, a nad wszystkim unosiły się ciemne chmury nadchodzących konsekwencji.

Nieuchwytność czasu przytłaczała mnie. Była nieokiełznana i nieprzewidywalna. Doznawałem jej każdego dnia, w miarę, jak kolejne fakty oddalały cel, który obrałem. Miraż, który miałem przed oczami, zmieniał się, przekształcał i na nowo przeistaczał z każdym napotkanym strzępem informacji. Na początku krył się pod postacią Marsiano, potem rozrósł się do rozmiarów Georga Busha. Wkrótce potem dążyłem już ku szczytom, zamierzałem walczyć o uleczenie demokracji, wskrzeszenie martwego systemu wyborczego z pomocą poderwanego do walki oburzonego narodu. Ostatni miraż wydawał się jednak najwspanialszy. Gdzieś w zakamarkach zmęczonego, pokonanego umysłu ukazał mi się pokój na Ziemi i droga zaczynająca się od pierwszego kroku. Widziałem ją zupełnie wyraźnie: kres imperializmu, zdławienie korupcji i obalenie kompleksu wojskowo-przemysłowego. Tak, to były cudowne wizje, a jednak były to tylko fantazje, urojenia głupca, którym ostatecznie się stałem. Pomimo niezliczonej ilości faktów, przetrawionych, przyjętych i odrzuconych, pomimo oddzielenia prawdy od kłamstw i spekulacji ostatecznie i tak pozostałem głupcem. Wydawało mi się, że mogę coś zmienić, a nie potrafiłem zmienić nic nawet we własnym życiu.

W pewnym sensie jednak zmiana, która dotyczyła mnie bezpośrednio, nastąpiła sama. Podczas tych kilku ostatnich dni pozostałych do sądnego dnia, siódmego listopada 2000 roku, Liz nie zadzwoniła ani razu. Najwyraźniej nie była zadowolona z terapii, jaką zaserwowałem jej mężowi. Pat z kolei raczyła mnie częstymi SMS-ami, jakby moja rozmowa z Frankiem utwierdziła ją w przekonaniu, że mam jakąś nową cechę, którą nagle we mnie odkryła. Nie odpowiadała na moje telefony, ale i nie zerwała kontaktu. Najwidoczniej wiedziała, co mógłbym powiedzieć, gdyby odebrała telefon. Posyłała mi jedną lub dwie wiadomości dziennie, w których krótko, rzeczowo, czasem dowcipnie komentowała bieżące wydarzenia z dziedziny rodzinnych relacji lub interakcji interpersonalnych z nieco mniej błyskotliwymi znajomymi. Im bardziej zbliżaliśmy się do wyborów, tym wiadomości stawały się krótsze, bardziej dosadne i przepełnione nerwowością. Zupełnie jakby i ona wyczuwała zbliżające się niebezpieczeństwo, jakby czarna dziura wyborów wysysała z niej energię i radość. Sprawa Nicka wydawała się odległa niczym wspomnienie nieprzyjemnych wakacji, które najlepiej pozostawić za sobą tak, by dojrzało do przyszłych wniosków.

Siódmego listopada dwutysięcznego roku wszystkie stacje powtarzały tylko

jedno słowo: Floryda. To właśnie tam do zgarnięcia było dwadzieścia pięć głosów elektorskich, które miały przesądzić o zwycięstwie w wyborach. Floryda, której gubernatorem był Jeb Bush, w której szefem komisji wyborczej była również republikanka, Sekretarz Stanu Katherine Harris, wydawała się być niedyskretnym prezentem na uwieńczenie kampanii prezydenckiej Busha juniora. Floryda to kraina bagien, komarów, aligatorów i białych emerytów. Floryda to stan, w którym miały paść decydujące głosy, miejsce, w którym zapaść miały decyzje wpływające na przyszłość całego kraju. Tego wieczoru brakowało mi Jasmine. Zastanawiałem się gdzie trwoni młodzieńczą energię. Czy pikietowała pod biurem wyborczym któregoś z większych hrabstw Pensylwanii? Czy może na Florydzie wraz z dziesiątkami starców przed siedzibą komisji w Palm Beach County, gdzie zaczęły się problemy z kartami do głosowania? A może w Duval County, gdzie na ponad dwadzieścia tysięcy kart zostało uznanych za nieważne?

W Palm Beach emeryci protestowali przeciw wprowadzającym ich w błąd kartom do głosowania, dzięki którym wielu zagłosowało na Patricka Buchanana zamiast na demokratę Ala Gora. Przekłucie szpilką kilkumilimetrowego otworu wskazanego strzałką przy nazwisku z lewej lub prawej strony karty okazało się wyzwaniem nie tylko dla emerytów, ale i sędziego sądu okręgowego, który został wciągnięty w centrum zamieszania na chwilę przed pojawieniem się na miejscu furgonetki CNN. Z kolei w Duval County nazwiska rozłożono na dwóch osobnych stronach, podczas gdy załączony do niedzielnego tygodnika wzór karty do głosowania instruował wyborców, by głosowali na wszystkich stronach. W wyborach do kongresu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym tylko siedem tysięcy mieszkańców zagłosowało na więcej niż jednego kandydata. Tymczasem protesty przed lokalami wyborczymi w tych wyborach wskazywały na dużo większą skalę pomyłek. Wszystko to działało na korzyść republikanów, co w tym równo podzielonym politycznie stanie mogło mieć decydujące znaczenie.

Przyglądając się relacjom stacji telewizyjnych i bezustannie licytującym się komentatorom, za których plecami rozświetlały się czerwono niebieskie mapy obrazujące wyniki głosowania, dotarło do mnie, że tak naprawdę niewielu ludzi wie, jak w rzeczywistości wygląda proces wyborczy. Siedząc w domach poddawani jesteśmy bezustannej indoktrynacji telewizyjnych potentatów. Nasza obywatelska rola ogranicza się do posłusznego wyjścia z domu, dotarcia do siedziby komisji i oddania głosu na jedną z dwóch partii. Jesteśmy jak bydło, które posłusznie robi to, co każe im naganiacz. Nawet emeryci pikietujący w Palm Beach County, oburzeni odebraniem im ich roli, również nie wiedzieli, czym tak naprawdę kierują się ich kandydaci.

Wyłączyłem telewizor i wyszedłem po piwo. Ulice żyły swoim życiem jakby nigdy nic. Czerwony mustang podjechał pod sklep z biżuterią, zatrzymując się na miejscu dla inwalidów. Policjant przy radiowozie zaparkowanym przed kawiarnią

spojrzał obojętnie na właściciela „inwalidę”, po czym wszedł do radiowozu, powiedział coś do partnera i odjechał. Wszedłem do monopolowego, w którym wysoko pod sufitem czekał na mnie malutki, wrzaskliwy telewizor. Czułem, że relacje wyborcze prześladują mnie, przypominając, że, jak każdy, jestem współwinnym tego chorego systemu.

Sięgnąłem po czteropak, spoglądając na chłodne, pochmurne popołudnie na zewnątrz. Pogoda usprawiedliwiała moją chwilę słabości. Wskazałem sprzedawcy półkę z Bourbonami. Mężczyzna odwrócił się bez słowa, sięgnął po pierwszą z brzegu butelkę i włożył ją do dyskretnej papierowej torby. Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem w stronę rzeki. Potrzebowałem powietrza, nie mogłem dłużej znieść paranoi tego dnia. Był kumulacją niespełnionych życzeń, nawarstwiających się obaw i bezsilności wobec porządku rzeczywistości.

Po kilkunastu minutach dotarłem nad Delaware. Gdy zobaczyłem spokojną taflę wody, odetchnąłem z ulgą. Zielonobrunatne żłobione wiatrem łódeczki kołysały się i skrzyły w promieniach słońca. Był wtorek, praktycznie środek tygodnia, więc ławki wzdłuż deptaka, zazwyczaj zajęte przez bezdomnych, obnażały na wietrze nagie, wydrapane przez wandalów ciała. Otworzyłem Kentucky i spojrzałem na most Franklina. Chciałem wznieść toast, ale nic mądrego nie przyszło mi do głowy. Prawdę mówiąc nie przeszkadzało mi to. Pustka w głowie była o wiele łatwiejsza. Pustka nie ciążyła mnożącymi się bez końca złudzeniami.

Gdy dotarłem do połowy butelki miałem dość. Żołądek skurczył się nagle i zakuł, zupełnie jakby demon tych wyborów ożył we mnie, ocknął się z leniwego snu, podźwignął i postanowił rozerwać mnie od środka. Nudności poderwały mnie na nogi. Podszedłem chwiejnym krokiem do balustrady i zwymiotowałem. Kobieta z psem przechodząca obok zmierzyła mnie purytańskim spojrzeniem. Nie potrzebowałem jej pogardy. Potrzebowałem zupełnie innego spojrzenia, takiego, które wynagrodziłoby mi cały ten zmarnowany czas i nadzieję.

Zostawiłem butelkę szczęśliwemu znalazcy i ruszyłem z powrotem, w stronę mojej ciemnej nory. W połowie drogi chmury zasłoniły niebo i zaczęło się śnieżyć. Zanim dowlokłem się na miejsce, byłem cały mokry. Wszedłem pod prysznic, by rozgrzać przemarznięte kości, a gdy wyszedłem i stanąłem przed lustrem, zobaczyłem w nim twarz człowieka, którego nie rozpoznałem. Było to oblicze przegranego. Nagle wszystko, co do tej pory robiłem, przestało się liczyć. Byłem sam w krainie własnych oczekiwań i fantazji, w krainie, której firmament łuszczył się i odpadał całymi płatami. Ściany salonu, jak zwykle mroczne i ziejące pustką, wzmacniały tylko poczucie osamotnienia. Odizolowany i uwięziony zatęskniłem za czymś, czego nie potrafiłem określić.

Wszedłem do salonu, otworzyłem okno i wpuściłem do środka fragment grafitowego nieba. Do pokoju wdarł się wilgotny, chłodny przeciąg. Otrzeźwiony nim przeszedłem do kuchni i wypłem szklankę wody. Spojrzałem na puste meble,

stół i puste, nieobwieszane niczym drzwi lodówki. Nie miałem nikogo – nikogo, kogo mógłbym potrzebować. Jass była po części moja, przynajmniej jako muza, ale tak naprawdę nie czułem, że bym był jej do czegośkolwiek potrzebny. Nawet w moich własnych myślach nie chciała się do mnie przyznać. Pomyślałem, że tak naprawdę, chyba nigdy nie należała do nikogo. Wróciłem do salonu, zamknąłem okno i usiadłem na pustej kanapie.

– Jak to się stało, że utknąłem w tym życiu zupełnie sam? – zastanawiałem się.

Byłem bez pracy, przyjaciół, rodziny, a nawet kochanki. Pomyślałem o Laurie, o młodej uśmiechniętej twarzy, cudownym ciele i dzikim temperamentem. Próbowałem odszukać w pamięci choć iskrę uczucia, ale jedyne, co powracało za każdym razem to prosta i prymitywna żądza.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma. Włączyłem telewizor. Musiałem zająć czymś umysł. Przeskoczyłem po kanałach: CBS, NBC, ABC i CNN. Wszystkie ogłosiły, że lokale wyborcze zostały zamknięte.

– Co? – zdawało mi się, że się przesłyszałem.

– Wszystkie lokale wyborcze w stanie Floryda zostały zamknięte – odpowiedział prezenter, jakby w odpowiedzi na moje zdziwienie.

Spojrzałem jeszcze raz na zegarek. Wydawało mi się, że zaczynam trzeźwieć.

– Boże... – pomyślałem. – Przecież część Florydy jest w środkowej strefie czasowej. Ci ludzie będą głosować jeszcze przez godzinę.

Podniosłem się z trudem i siadłem w fotelu. Otarłem twarz, próbując się obudzić. Musiałem pomyśleć.

– Jeśli główne stacje popełniają takie błędy... – zastanawiałem się. – Co jeszcze pójdzie nie tak?

Potem wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak się tego obawiałem. O dziewiętnastej czterdzieści osiem czasu wschodniego Voter News Service, konsorcjum CBS, NBC, ABC, CNN i Fox TV ogłosiło zwycięstwo Ala Gora na Florydzie. Zrobili to na dwanaście minut przed zakończeniem głosowania w strefie centralnej. Mogłem tylko zgadywać, ilu ludzi nie zagłosowało przez to całe zamieszanie.

Przeskakiwałem po kanałach już dość długo, gdy dzwonek do drzwi wyrwał mnie z transu.

Spojrzałem na zegarek, zastanawiając się, kto w taką noc może czegoś ode mnie chcieć. Goście o tej porze nie wróżyli nic dobrego.

Podszedłem do drzwi, wyczuwając silną wodę kolońską. Zerknąłem przez judasza, szacując szanse na dostrzeżenie po drugiej stronie lufy pistoletu.

Za drzwiami stał mężczyzna. Średniego wzrostu, biały, z torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Jego dłoń opierała się o futrynę drzwi, jakby czekał, aż

kochanka otworzy mu i wciągnie go do środka. Jego twarz pokrywał gęsty jasny zarost, nad którym niemal połowę twarzy zakrywały srebrne okulary o brązowych szklach. Był łysy i dość kościsty, ale było w nim coś znajomego, coś, co uspokoiło mnie, gdy otwierałem drzwi.

– Cześć, Dawson! – krzyknął. – Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli wejdem?

Zrobił krok, wpychając stopę w próg drzwi. Musiałbym go odepchnąć, żeby nie wszedł. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zrzucił torbę na podłogę, zrobił drugi krok i objął mnie, poklepując po plecach.

Poklepałem go, zastanawiając się, skąd znam ten głos. Odsunął się, robiąc krok w tył. Spojrzałem na starą sportową marynarkę i jasnoniebieskie jeansy. Wyglądał jak włóczęga, którego świeżo ogolona głowa i okulary są ostatnim bastionem przeszłości.

– Zdejmij okulary – powiedziałem.

– A no tak. Nie poznasz mnie.

Carl zdjął okulary, uśmiechając się nową kościstą twarzą.

– Boże, Fargo, nie poznałem cię, chcesz, żeby cię ktoś zastrzelił?

– Niby kto? Ty? Przestań chrzanić! – Parsknął śmiechem.

– Co ty tu robisz? Gdzie byłeś przez ten czas? Myślałem, że cię zgarnęli.

– Kto? To bardzo ważne pytanie, Jerry. Kto?

Carl podniósł torbę i przeszedł do salonu. Wszedłem za nim z szumiącą głową i stanąłem w progu. Musiałem przestawić umysł na drugą osobę. Byłem tak skupiony na sobie, że wyparłem ze świadomości jego istnienie, a teraz, gdy stał przede mną chudy jak model w sali biologicznej, uświadomiłem sobie, że nie jest z nim dobrze. Stałem przez chwilę zakłopotany, a potem wszedłem głębiej, próbując dostroić wzrok do jego nowego wyglądu.

– Nieźle się tu urządziłeś – powiedział jakby nigdy nic.

– Żartujesz?

– Masz rację, żartuję. – Klepnął mnie po ramieniu, mijając w drodze z kuchni. – Straszna nora. Nic dziwnego, że się drugi raz nie ożeniłeś.

– Przeszedłeś tu, żeby mnie obrażać? Co się stało? Dlaczego zniknąłeś tak nagle?

– To długa historia.

– Do końca wyborów jeszcze kilka godzin, z chęcią wysłucham tej długiej historii.

– Też masz dość tego pieprzenia? – zapytał.

– Wierz mi, nie tylko ich. No więc? Co się dzieje?

– Gdzie twoja gościnność? – odparł urażony. – Nie zaoferujesz nic do picia?

Zmierzyłem go wzrokiem, zanim się ruszyłem. Coś zżarło go, może rak, może inne cholerstwo. Tak czy inaczej niewiele z niego zostało. Wszedłem do

kuchni, zastanawiając się, czy jedna kolejka może mu zaszkodzić. Podeszedłem do lodówki, wypełniłem szklankę wodą mineralną i wróciłem. Spojrzałem z wyrzutem. Poczułem się jak ojciec, którego pijany syn prosi o butelkę po powrocie do domu.

– Raczysz żartować? – rzucił.

– Nie piję.

– No, właśnie czuję. Od kiedy, od podwieczorku?

– Do rzeczy, mów, czego chcesz. – Położyłem szklankę na ławie i usiadłem.

– Cóż – powiedział, siadając w fotelu. – Widzisz, jestem w małym dołku finansowym i nie miałem gotówki, żeby zatrzymać się w motelu.

– A karta kredytowa?

– Anulowana, zresztą nie chciałbym ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi.

– Coś ty znowu narobił, Carl?

– Ja? Nic. Jestem jedynie skromnym biznesmenem.

– Myślałem, że politykiem.

– Z polityką skończyłem. Przecież wiesz. Nota bene, ty skończyłeś to za mnie, pamiętasz?

– Mów, o co chodzi?

– Cóż...

– Mów.

– No dobrze. – Wzruszył ramionami. – Jak każdy biznesmen jestem poszukiwaczem okazji i tak się składa, że tej jednej nie mogłem przepuścić.

– Czyli to prawda? – zapytałem.

– Że jestem powalająco przystojny? No cóż... – Uśmiechał się, gładząc palcami brodę.

– Że zmalwersowałeś kilkadziesiąt tysięcy przeznaczonych na kampanię Busha?

– Po pierwsze nie zmalwersowałem tylko przekierowałem, a po drugie te kilkanaście tysięcy jest mi potrzebne bardziej niż jemu.

– Boże, Fargo, w coś ty się wpakował? I w co mnie wciągasz?

– Daj spokój. Jutro otworzą banki i zwinę się stąd, zanim zdążysz powiedzieć „synalek Bush jest prezydentem”.

– Bardzo śmieszne – rzuciłem.

Nie podobało mi się, że żartuje. Nie w takim momencie. Przetarłem dłonią czoło i rozejrzałem się po pokoju.

– Możesz spać na kanapie – powiedziałem.

– Dzięki. Pozwolisz, że wezmę prysznic?

– Jasne. – Skinąłem. – Ręczniki są obok umywalki.

Kiedy pół godziny później wyszedł z łazienki, dostrzegłem ślady nakłuć na jego barkach i piersi.

– A to? – zapytałem, wskazując na czerwoną plamę. – To po to były ci

pieniądze?

- Cóż... – Przejechał dłonią po łysej głowie. – Czy to aż tak oczywiste?
- Moja siostra miała takie po pierwszej chemii – skłamałem.
- Co zrobisz? Taki los – dodał zupełnie pogodnie.
- Ile ci dają? – zapytałem.
- Niewiele.
- To po to były ci potrzebne pieniądze? Dlatego zniknąłeś?
- Stare kundle wolą umierać w samotności.
- Przestań chrzanić! – rzuciłem. – Nikt nie chce umierać w samotności. Ile ci

zostało?

- W tym tygodniu odbieram wyniki. Wszystko się okaże.
- Która seria?
- Pierwsza.
- Siadaj. – Wskazałem na kanapę i przesunąłem w jego stronę talerz z odgrzaną pizzą. – Co teraz?

- Zależy, o co pytasz?
- Przecież nie o wybory – rzuciłem poirytowany.

Carl nie odpowiedział. Wzruszył tylko beztrosko ramionami.

– W zasadzie to powinienem zapytać o wybory – powiedziałem. – O wybory i o twoją zdradę wobec republikanów, ale teraz to chyba bez znaczenia. Dlatego pytam o ciebie. Jak sobie radzisz? Co planujesz?

– Co planuję? Planuję żyć. A reszta niech cię nie martwi. – Sięgnął po pilota i włączył telewizor. – Powiedz mi lepiej, jak radzą sobie nasi aktorzy?

Zamilkłem. Nic, co powiedziałbym, nie zmieniłoby stanu rzeczy. Nic nie zmieniłoby tego, jak się czuł ani jak wyglądał. Pod warstwą uśmiechów i beztroskiego tonu Carl pielęgnował gorycz rozczarowania. Język jego ciała, zbitego, stłamszonego, otwarcie pokornego mówił jasno: Fargo był człowiekiem pokonanym. Mogłem zaoferować mu jedynie milczenie i zrozumienie, ale nic poza tym.

Wskazałem na ekran i rozgadane, odmalowane, wypudrowane postacie. Zakotwiczylem wzrok w prezenterce, jakby mówiła coś bardzo ważnego. Wołałem nie patrzeć na Carla. Gdyby spojrział mi w oczy, z łatwością odczytałby z nich, o czym myślę.

- Sam widzisz – powiedziałem. – Media zdążyły już ogłosić zwycięzcę.
- Bush? – zapytał.
- Nie, Gore.
- Ciekawe. – Pokiwał głową, zastanawiając się nad czymś.
- Co?
- A nic. Tak sobie myślę, że to niekoniecznie musi być koniec.
- Wiesz coś, o czym ja nie wiem? – zapytałem.

– Nie. Po prostu daj im trochę czasu. – Uśmiechnął się. – W taką noc jak ta wszystko może się zdarzyć – dodał. – Ci z VNS34 zdążą jeszcze ze dwa razy zmienić zdanie, zanim skończą liczyć głosy.

– Tak sądzisz? To dość ryzykowne nawet jak na nasze media.

– Pamiętaj, że chodzi tylko o zachowanie pozorów. Obiektywizm jest jedynie zasłoną dymną.

– Wiem. Teraz widać to lepiej niż kiedykolwiek.

– Tak – powiedział nieobecny głosem. – Wybory to piękny czas. Obiektywizm zostaje zawieszony na czas święta demokracji.

Odpywał. Jego myśli ominęły strumień z telewizora i podążyły za jakimś odległym marzeniem. Miał zupełną rację i w ogóle go to nie obchodziło.

O drugiej nad ranem, zanim wyniki z całego stanu spłynęły i wykwitły na tablicy wyborczej, VNS zmieniło decyzję.

– Carl! – krzyknąłem, szturchając na wpół przytomnego gościa. Fargo leżał na kanapie, a widok zasłaniały mu dwie puste butelki.

– Co znowu? – powiedział zaspany.

– Słuchaj! – powiedziałem, pogłaśniając dźwięk.

Na Kanale Fox Channel prezenter ogłosił Busha zwycięzcą i zdobywcą decydujących dwudziestu pięciu głosów elektorskich. Przy lewym zdjęciu widniało 48% przy prawym 49%. Obaj kandydaci uśmiechali się szczerze, jakby oferowali nam drogę usłaną różami.

– I po zawodach – powiedział Carl.

– Zaraz, przecież to tylko przewidywania. Widziałeś wynik? Jeden procent, nie powiesz chyba, że wierzysz w te bzdury?

– Sprawdź CBS – powiedział ze spokojem.

Przełączyłem na CBS, gdzie Dan Rather potwierdzał wersję z Fox Channel. „Skosztujcie tego, zasmakujcie, nalejcie sobie do filiżanki, podkreślcie czerwonym flamastrem, włóżcie do książki jako zakładkę, wstawcie w album, powieście na ścianie – George W. Bush jest następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych”.

– Niewiarygodnie... – powiedziałem.

– Dlaczego? Dlatego, że wszystkie – wziął pilota z mojej dłoni i ostentacyjnie przeskoczył po wszystkich kanałach – kanały z VNS zmieniły zdanie? Przecież to media, banda sprywatyzowanych biurokratów bez jaj.

– Mimo wszystko! – Protestowałem. – Carl, przecież to jest tylko jeden procent!

– Skąd ta pewność. Może być nawet mniej niż procent. Weź pod uwagę Palm Beach i Duval County. Protestujący tam to starzy ludzie. A te maszyny są przeżytkiem, powinny stać w muzeum, a nie w salach wyborczych.

– Jesteś pewien? – spytałem zaintrygowany.

– Jasne. Ale nie to jest najlepsze. Wiesz, co jest najciekawsze?

- Co?
- To, co się dzieje z tymi małymi, małutkimi kwadracikami papieru wyciskanymi z kart do głosowania.
- Co to ma za znaczenie?
- Ależ ma i to kolosalne. – Zaśmiał się.
- Mów.
- OK. Słuchaj. – Podźwignął się, przechylił do przodu i oparł łokcie na kolanach. – Wszystkie karty przekłuwane są przez wyborców specjalnym nakłuwaczem, tak?
- No tak. Co z tego?
- A potem wpadają do pojemnika pod spodem, tak?
- Pewnie tak. Mów, o co chodzi.
- Więc wyobraź sobie, że ktoś nie opróżni tego pojemnika lub ma stary model maszyny, która nie przekłupa już tak dobrze, albo ma nieopróżniony model z zeszłego roku. Kartki nawarstwiają się do momentu, gdy wypełnią pojemnik po brzegi. W pewnym momencie, wyborca nie jest w stanie przekłuć karty do głosowania, gdyż pod spodem nie ma miejsca. Sterta papieru blokuje przekłucie. Pojemnik nie musi być nawet pełny po brzegi, wystarczy, że kupka ułoży się odpowiednio. Jerry, w takiej sytuacji wyborca przy zaznaczaniu kandydata nie przebiję głosu, tylko naciśnie przekłuwaczem dane miejsce.
- No dobra. Rozumiem. Taki głos jest nieważny – powiedziałem. – Ale jaki jest odsetek takich głosów?
- A widzisz. Tego nie dowiesz się teraz. O tym dowiesz się dopiero, gdy zliczą głosy.
- Dopiero teraz dotarło do mnie, o czym tak naprawdę mówił. Znów miał rację.
- Ale wtedy będzie już za późno – powiedziałem.
- Dokładnie. – Przytaknął. – No, ale załóżmy na chwilę, że mam rację. – Sięgnął po kawałek pizzy, a potem połał mi i sobie. – Jeśli Bush wygrał mniej niż połową procenta, prawo nakazuje przeprowadzić w całym stanie automatyczne przeliczanie głosów.
- Co niczego nie zmieni.
- Tego nie wiemy na pewno. Wszystko zależy od tego, jak te głosy policzą.
- Automatycznie – powiedziałem. – Wpuszczą w maszynę, a ona policzy.
- No właśnie. – Uśmiechnął się. – I tu znów robi się ciekawie. Widzisz, maszyna policzy głosy i da ten sam wynik, ale to nie znaczy, że wszystkie głosy zostaną podliczone.
- Jak to?
- Ano tak, że jeśli kartka została tylko nagięta, a nie przebita, jak to ma miejsce w przypadku wypełnionych pojemników na papier, głos pozostanie

nieważny. Podobnie będzie z kartami przebitymi, które wciąż mają skrawki papieru przytwierdzone jednym rogiem. Jeśli wpuścimy je do maszyny, czytnik automatycznie rozpozna je jako nieprzebite i uzna za nieważne. Dodatkowo weź pod uwagę, że nie wszystkim będzie się chciało przepuszczać głosy przez te maszyny ponownie. Ci ludzie pracują do późnych godzin rannych. Wyobraź sobie, że wstajesz po czterech godzinach snu, a oni każą ci przeliczyć ponownie kilka tysięcy kart. Co zrobisz?

– Zrobię to, co do mnie należy.

– Tak – powiedział tonem cierpliwego nauczyciela – albo sprawdzisz pamięć maszyny i potwierdzisz przeliczony poprzednio wynik. Zamiast wrzucić wszystkie głosy do maszyny, pójdziesz na łatwiznę i podasz wynik z pamięci urządzenia. Przecież maszyna policzy wszystko tak samo.

– Po co w ogóle o tym mówimy? Przecież nie znamy jeszcze procentowego wyniku.

– Czyżby? – Wskazał na telewizor, gdzie wszystkie kanały głośiły wszem i wobec, że następnym prezydentem został G.W. Bush. Carl przeskoczył po kanałach, a ja zaczynałem rozumieć, o co chodzi.

– Boże... Przecież to jakaś paranoja – powiedziałem.

– Nie udawaj zaskoczonego. – Zaśmiał się i podniósł szklankę. – Za nowego prezydenta!

Przeskoczyłem jeszcze raz po kilku kanałach. Wszystkie stacje ogłosiły już, że prezydentem został Bush. Koronowali go na oczach narodu, jakby komisje liczące głosy były jedynie formalnością.

– Wiesz, kto siedzi dzisiaj w Fox News przy biurku decyzyjnym?

– Słucham? – spytałem. Nie byłem pewny, czy rozumiem, o co mu chodzi.

– Kto siedzi przy biurku decyzyjnym – powtórzył.

– Nie, nie wiem.

– Otóż, drogi Jerry, specjalnie na tę noc Fox Channel zatrudniło doradcę politycznego Johna Ellisa.

– A mówisz mi to dlatego, że...?

– John Ellis to kuzyn Georga i Jeba Bushów.

Szczęka niemal opadła mi na dywan.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytał.

Wiedziałem doskonale. Facet przy biurku decyzyjnym decydował o tym, co powiedzieć i kiedy powiedzieć na żywo, w trakcie programu ingerował w treść wyświetlaną na ekranie monitora, z którego czytali prezenterzy. Jeśli Carl mówił prawdę, to właśnie John Ellis, kuzyn Busha, zdecydował ogłosić Georga prezydentem.

Problem nie polegał na samym ogłoszeniu wyników przed końcem zliczania. Chodziło raczej o to, co stanie się po ogłoszeniu wyników, jak zareagują pozostałe

stacje i jakie przeświadczenie stworzy to w przypadku nierównego podziału głosów. Siła afirmacji jest często niedocenianym narzędziem, a afirmacja w rękach mediów w tym przypadku to indoktrynacja.

Sztuczka polegała więc na prostym mechanizmie psychologicznym. Jeśli wszyscy uwierzą, że Bush wygrał, demokraci poczują się pokonani. A jeśli poczują się pokonani, nie będą chcieli walczyć o swoje. A było o co walczyć. Tym bardziej, że wszystkie nieprawidłowości podczas głosowania mogły wprowadzić do końcowych wyników głosy, które wcześniej zostały uznane za nieważne.

– To jeszcze nie koniec – powiedziałem. – Oficjalne wyniki dopiero jutro.

– W takim razie przekonamy się jutro – odparł i ruszył do łazienki.

Tej nocy spałem niespokojnie. Śnił mi się Carl. Tym razem zamknięty w maszynie naświetlającej, z woreczkiem chemii podpiętym do żyły w barku. Z lewej i prawej strony do maszyny ustawiała się kolejka emerytów, którzy podchodzili do niej, wspinali się po kilku podstawionych stopniach i oddawali głosy, przekłuwając karty do głosowania. Twarz wychudzonego Carla zasypana była wybitymi kwadracikami. Nagle ktoś otworzył drzwi i przeciąg zdmuchnął wszystkie na podłogę, odsłaniając ukrytą pod nimi twarz – moją twarz.

Zbudził mnie chłód skradający się przez otwarte okna w salonie. Wstałem powoli i spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta rano. Ekscytacja nocą wyborczą osłabła chwilowo i przez ogłuszenie zaspanego umysłu dotarło do mnie, że w pokoju obok leży umierający mężczyzna. Byłem tak bardzo opętany tymi wyborami, że nie podjąłem ryzyka i nie dałem z siebie ani odrobiny wysiłku, by okazać mu cień współczucia. Utrzymywanie rozmowy w obrębie wyborów było łatwiejsze. Unikanie tematu było wygodnym tchórzostwem.

Wyszedłem z sypialni do chłodnego salonu. Drzwi na balkon były otwarte na oścież. Miałem wyrzuty sumienia. Byłem zdeterminowany. Chciałem z nim pomówić. Musiałem z nim pomówić. Chciałem zapytać, czy mogę mu pomóc. Niestety. Jak zwykle okazało się, że jest za późno. Carl po raz kolejny przetoczył się przez moją rzeczywistość i zniknął.

Rozejrzałem się po mieszkaniu i wykręciłem jego numer. Nie odbierał, miał wyłączony telefon.

XVIII. Król George II

Była środa, ósmy listopada dwutysięcznego roku, początek zawieruchy na politycznym horyzoncie, której nikt tak naprawdę się nie spodziewał.

Koronowanie Geoga Busha przez jego kuzyna, potwierdzone i poparte przez pozostałych pięć głównych stacji telewizyjnych zostało potwierdzone przez Sekretarz Stanu, Katherine Harris, która oprócz pełnienia roli „obiektywnego” arbitra stanowych wyborów była również przewodniczącą stanowego komitetu wyborczego G.W. I zupełnie tak jak przewidział to Carl, tuż po ogłoszeniu wyników rozpętało się piekło.

George otrzymał dwa miliony dziewięćset dziewięć tysięcy sto trzydzieści pięć głosów, o zaledwie tysiąc siedemset osiemdziesiąt cztery głosy więcej od Gora. Dawało mu to przewagę mniejszą niż pół procenta i automatycznie zainicjowało procedurę ponownego automatycznego liczenia głosów. Podczas kolejnych kilku dni Ameryka była świadkiem niecodziennego widowiska. Burza wokół kart do głosowania w Palm Beach i Duval County była zaledwie początkiem.

Jak się okazało, w uboższych hrabstwach Florydy, gdzie przeważającą liczbę wyborców stanowili ciemnoskórzy wyborcy – prawie wszyscy demokraci, do głosowania użyto przestarzałych maszyn, tak jak sugerował Carl. I dokładnie tak jak przewidywał Carl, odsetek pomyłek był tam o wiele większy w porównaniu z pozostałymi okręgami.

Republikanie: 1. Demokraci: 0.

W czwartek, dziewiątego listopada sztab wyborczy demokratów zwrócił się z oficjalną prośbą o ręczne przeliczenie głosów w czterech okręgach: Palm Beach, Volusia, Broward i Miami–Dade. Wstępne ręczne liczenie jednego procenta głosów potwierdziło, że maszyny błędnie odczytały wystarczającą liczbę głosów, by wpłynąć na wynik wyborów. W poniedziałek trzynastego listopada okręgi, w których rozpoczęto ponowne liczenie zostały poinformowane przez Katherine Harris, iż zgodnie z prawem jedynie huragan może zmusić ją do przyjęcia ręcznie liczonych głosów po statutowym terminie, który upłynie nazajutrz o godzinie siedemnastej. Sekretarz Stanu Harris mogła pozwolić na ponowne liczenie głosów i poczekać na wszystkie, które nie z winy głosujących zostały uznane za nieważne. Byłby to ukłon w stronę wyborców i znak, że liczą się ich głosy, a nie wynik. Oczywiście, dla Harris – Szefa Sztabu Wyborczego Busha – wyborcy i ich głosy byli na końcu listy priorytetów. Swoim oficjalnym oświadczeniem Harris efektywnie zmniejszyła nie tylko czas na przeliczanie głosów, ale i szansę demokratów na zwycięstwo.

Republikanie: 2. Demokraci: 1.

W międzyczasie Republikanie wzięli się do roboty. Nikt nie zamierzał stać

bezczylnie i czekać, aż proces wyborczy wróci na właściwy tor. Republikanie w komisjach zliczających głosy efektywnie opóźniali ich podliczanie. Każdy głos musiał być potwierdzony przez dwie osoby, po jednej z obu głównych partii. Dawało to doskonałą szansę do otwartej interpretacji nieprzebitych, nastemplowanych i nie do końca przekłutych kart do głosowania. Zamiast przeliczyć trzydzieści głosów na minutę, niejednokrotnie rozprawiano i kłócono się nad spornym głosem po kilka, lub kilkanaście minut.

Republikanie: 3. Demokraci: 1.

Oczywiście to nie wszystko. Oprócz oficerów odpowiedzialnych za dywersję w komisjach, republikanie mieli również oddziały szturmowe. Jeden z takich oddziałów, grupa protestantów sympatyzujących z republikanami, wdarł się do siedziby komisji liczącej głosy w Miami-Dade, skutecznie przerywając proces liczenia.

Republikanie: 4. Demokraci 1.

Wobec takich opóźnień, decyzja Harris okazała się genialnym posunięciem. Wygrana wydawała się być w kieszeni Busha. Demokraci mieli jednak wciąż wolę walki. Trzynastego listopada Volusia County Canvassing Board wniosła pozew do sądu i wytoczyła sprawę przeciw Sekretarz Harris. Chodziło o przedłużenie terminu zliczania głosów. Następnego dnia, czternastego listopada, sędzia uznał, że Harris może, ale nie musi zezwolić na przedłużenie liczenia. W praktyce oznaczało to, że tylko od niej zależy, czy zechce policzyć wszystkie ważne głosy, czy raczej unieważni swoją decyzją tysiące kart wyborców, którzy chcieli zagłosować na swojego kandydata, ale z różnych przyczyn ich głos nie został uznany.

We wtorek, po ogłoszeniu wyroku sądu, Sekretarz Stanu ogłosiła, że pozwoli na dalsze liczenie, jeśli do godziny czternastej następnego dnia, poszczególne okręgi uzasadnią, podając szczególne okoliczności, powód przedłużenia zliczania głosów. Było to kolejne sprytne zagranie. Harris, mogła uniknąć kolejnych oskarżeń o blokowanie głosów przy jednoczesnym utrzymaniu status quo.

Patrząc na kolejne wystąpienie Katherine, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znalazła się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiedniej chwili. Język, którym mówiła, sposób, w jaki mówiła, jej gesty i język ciała dawały wrażenie porażającej niekompetencji, a mimo to każda z jej decyzji była sprytne i skuteczne, zupełnie jakby ktoś stał za jej plecami i szeptał jej do ucha. Zastanawiałem się, kto mógł odpowiadać za posunięcia pani Sekretarz. Dopiero później, dowiedziałem się, że sam stary niedźwiedź, James Baker przyleciał do Florydy by ratować skórę juniora.

Gdy podany przez Harris termin minął, w środę, piętnastego lipca, Sekretarz Stanu ogłosiła, że nie przyjmuje okoliczności i wyjaśnień podanych przez komitety jako wystarczające. Oświadczyła, że tym samym pozostanie przy liczbach podanych jej po automatycznym zliczaniu głosów. Na koniec dodała, że wstrzyma

się z ogłoszeniem wyników do czasu dostarczenia głosów spoza głównego terytorium stanu i odczyta je w sobotę osiemnastego listopada.

Republikanie: 5. Demokraci: 1.

Reakcja sztabu Gora była natychmiastowa. W czwartek szesnastego listopada ekipa kandydata demokratów wniosła kolejny pozew przeciwko Harris, tym razem do sądu w Leon County, próbując zmusić ją do uznania ręcznego liczenia w stanach w których pojawiły się sporne głosy. W momencie zatrzymania liczenia po ogłoszeniu oświadczenia Harris, w dwóch hrabstwach, w których ukończono ponowne ręczne przeliczanie Gore zyskał łącznie dodatkowych sześćset sześćdziesiąt pięć głosów.

Wydawało się, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Jednakże, w piątek, siedemnastego listopada, sąd okręgowy w Leon uchylił wniosek demokratów.

Oni jednak nie zamierzali się poddać. Tego samego dnia złożyli apelację w pierwszym sądzie apelacyjnym, gdzie w końcu im się poszczęściło. Sąd zalecił, by Sekretarz stanu nie ogłaszała wyników do czasu rozpatrzenia sprawy przez sąd i wydania wyroku, który miał zapaść dwudziestego pierwszego listopada.

Republikanie: 5. Demokraci: 2.

To były cztery długie dni. Cały kraj spoglądał z uwagą na to, co dzieje się na Florydzie. Komentatorzy polityczni spirali się, kwestionując skuteczność procedur wyborczych albo też krytykowali samo kwestionowanie wyników zebranych po zamknięciu lokali wyborczych.

Gdy dzień decyzji sądu w końcu nadszedł, demokraci odnieśli kolejny sukces. Sąd uchylił wyrok sądu okręgowego z Leon County zmuszając Harris do uznania wyników liczenia ręcznego. Uzasadniając wyrok podał liczne niejasności w przepisach a następnie zalecił liczenie jako środek umożliwiający zadośćuczynienie nieuznanej na wielu kartach głosowania „intencji głosującego”, co było jasną aluzją do nieprzekłutych pól w kartach do głosowania.

Republikanie: 5. Demokraci: 5.

Nikt nie mógł wiedzieć na pewno, kto wygra, dopóki przeliczanie nie dobiegnie końca, ale demokraci byli pewni, że maszerują po zwycięstwo i klucze do Białego Domu. I wtedy właśnie James Baker zrobił coś, czego wszyscy powinni się spodziewać: pierwszego grudnia dwutysięcznego roku wniósł apelację do Sądu Najwyższego.

Sprawa przeszła na zupełnie inny poziom. Baker dał sygnał, że pora porzucić pozory i skończyć z czekaniem aż sprawiedliwość dopełni się sama. Stary niedźwiedź przeszedł do ataku. Wygraną nie miały być głosy wyborców ani sprawiedliwość. Chodziło o władzę i wpływy.

Po trzech dniach od wniesienia apelacji, czwartego grudnia dwutysięcznego roku, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zalecił sądowi apelacyjnemu z Florydy, przeanalizować sprawę ponownie.

Republikanie: 6. Demokraci: 5.

Cztery dni później, ósmego grudnia, w czasie gdy w Sądzie Najwyższym toczyła się już sprawa Bush kontra Gore, sąd apelacyjny stanu Floryda głosami cztery do trzech, utrzymał swoją decyzję sprzed trzech tygodni. Sąd nie tylko zalecił kontynuowanie liczenia, które zostało przerwane w Miami–Dade, ale przede wszystkim zalecił ręczne liczenie wszystkich spornych głosów we wszystkich hrabstwach na Florydzie. Sąd zaznaczył, że chodzi tu jedynie o karty, na których nie zostały zaznaczone wybory głosujących. Rezultaty miały być dodane do wyników zebranych do dnia czternastego listopada, czyli do momentu, w którym Harris przerwała ręczne liczenie.

Republikanie: 6. Demokraci: 6.

Komisje wyborcze otrzymały trzy dni na policzenie tych głosów. Decyzja mogła oznaczać wzrost liczby ważnych głosów oddanych na Gora, a według demokratów nawet zwycięstwo.

Dla mnie jednak, oznaczała coś zupełnie innego. Bez względu na to, kto miałby wygrać, na kogo oddane zostały nieuznane głosy, decyzja sądu była światełkiem w tunelu, dowodem na to, że wbrew machinie medialnej, nieprawidłowościom podczas głosowania, wbrew przestarzałej metodzie oddawania głosów, archaicznym i wadliwym maszynom, sąd uznał iż głos wyborcy i prawa obywatela są ważniejsze niż decyzje biurokraty. Był to sygnał dla wszystkich, którzy stracili wiarę w sprawiedliwość, wszystkich, którzy przestali liczyć na uczciwość procesu wyborczego. Był to dzień nadziei nie tylko dla demokratów, ale i dla tych, którym nie podobało się to, co działo się z naszą demokracją.

Niestety, radość ta okazała się przedwczesna. Drugiego dnia liczenia głosów, dziewiątego grudnia dwutysięcznego roku, Sąd Najwyższy głosami pięć do czterech przychylił się do wniosku Busha i wstrzymał ręczne liczenie głosów w momencie gdy dodawane niepoliczone wcześniej głosy zmniejszyły przewagę Busha nad Gorem do zaledwie stu pięćdziesięciu siedmiu głosów.

Republikanie: 7. Demokraci: 6.

Trzy dni później, dwudziestego drugiego grudnia o godzinie dwudziestej drugiej, Sąd Najwyższy podjął werdykt na korzyść Busha. Ława sędziowska w uzasadnieniu podała iż brak jednego, wspólnego standardu określającego ważność głosu (przekłucie, nadgięcie, częściowe oderwanie) jest sprzeczny z klauzulą równej ochrony obywateli zawartej w czternastej poprawce do konstytucji. Uznał jednocześnie, że rozwiązaniem problemu, ergo, wspólnym standardem mogłoby być liczenie ręczne, ale w obecnych okolicznościach jest za mało czasu, by wprowadzić ten standard we wszystkich stanach, a co za tym idzie jedynym wyjściem jest pozostanie przy standardach jakie obowiązują w różnych stanach. Tak więc, skoro liczenie nie zostało ukończone zgodnie z zaleceniem Sądu

Apelacyjnego z Florydy, nie można rozwiązać problemu braku równej ochrony obywateli.

A co oznaczało to w rzeczywistości? To, że Sąd Najwyższy przerwał ręczne liczenie głosów, tylko po to, by dwa dni później uznać, że nie można go kontynuować, gdyż pozostało na to liczenie zbyt mało czasu. Przerwał liczenie, opóźnił je a potem ogłosił, że skoro opóźnił je i nie zostało zakończone w terminie trzeba uznać wynik z pominięciem kilku tysięcy głosów.

Sąd najwyższy wybrał nowego prezydenta.

Był to precedens na niewyobrażalną skalę. Obywatele demokratycznego kraju zostali pozbawieni swoich praw przez Sąd Najwyższy, który praktycznie dokonał za nich wyboru.

Oczywiście to jeszcze nie wszystko. Spójrzmy na wynik głosowania: pięciu sędziów za i czterech przeciw. Sam podział powinien dawać do myślenia. Jakby nie dość było, że to Sąd Najwyższy praktycznie mianował nowego prezydenta USA, to zrobił to niejednomyślnie. No, ale przyjrzyjmy się temu, kto mianował owych sędziów. Spośród dziewięciu sędziów aż siedmiu było mianowanych przez prezydentów republikanów, a jedynie dwóch przez demokratę: jeden przez Forda, czterech przez Reagana, dwóch przez G. H. W. Busha i tylko dwóch przez Clintona. Czy mogło to mieć wpływ na ich decyzje?

Nepotyzm: 10. Demokracja: 0.

Prawdziwe zaskoczenie przeżyłem jednak dopiero kilka dni później. Otóż szóstego stycznia, podczas połączonej sesji kongresu i senatu, gdzie poświadczano głosy elektorskie, nastąpiła dramatyczna scena w wykonaniu grupy ciemnoskórych demokratów.

Poświadczanie głosów elektorskich to proces, w którym kongresmen reprezentujący wyborców z danego okręgu może poświadczyć lub podważyć ważność oddanych przez wyborców głosów zamienionych w trakcie wyborów na jeden głos elektorski. Jest to rodzaj zabezpieczenia, dzięki któremu wyborcy mogą wydać z siebie ostatni głos sprzeciwu, gdy czują, że proces wyborczy nie był wystarczająco demokratyczny. Jest jednak haczyk. Kongresmen reprezentujący swoich wyborców musi mieć poparcie przynajmniej jednego członka senatu.

Był to naprawdę przynębiający widok. Jeden po drugim, na mównicę wchodzili sfrustrowani mężczyźni i kobiety wypowiadający się w imieniu swoich wyborców. Ich pełne zapału słowa wywoływały poruszenie na sali, ale i tak żaden z senatorów nie zdobył się na odwagę by ich poprzeć. Każdy z wnoszących sprzeciw w tym dniu protestował przeciwko wynikom głosowania z Florydy. Kongresmeni reprezentujący kolorowych wyborców protestowali, podczas gdy senat białych milczał.

Jako odchodzący wiceprezydent i głowa senatu, obradom przewodniczył Al Gore. Kongresmeni wymachiwali podpisaną listą, mówiąc o licznych złe

przeprowadzonych procedurach, celowym oszustwie i innych nieprawidłowościach, których oczywiście nie mogli wymienić do końca, gdyż przewodniczący Gore musiał im przerywać za każdym razem, gdy wykraczali swoim wystąpieniem poza wąskie ramy procedury. Nie robił tego bez powodu. Zgodnie z prawem, sesja nie dopuszczała możliwości debaty, a jedynie możliwość wniesienia sprzeciwu wobec wyników głosowania, dlatego za każdym razem, gdy wypowiedź przechodziła z wniosku w pełen gorzki manifest, przewodniczący Gore przerywał, pytając, czy mają podpis senatora, po czym prosił kongresmenów o opuszczenie mównicy. Sprzeciw mógł zostać przyjęty tylko i wyłącznie z podpisem senatora, który zechciałby go poprzeć. Niestety, na sali nie znalazł się ani jeden senator, który odpowiedziałby na powtarzające się jak mantra prośby kolejnych członków kongresu. To był doprawdy przykry widok. Gore, którego ograbiono z prezydentury musiał wypraszać z mównicy ludzi, którzy mówili w imieniu jego wyborców: pozbawionych głosów i praw obywateli.

Ale było w tym wszystkim jeszcze coś innego. Coś, co rzucało się w oczy i skupiało uwagę. W powietrzu wisiała atmosfera apartheidu. Ciemnoskórcy wchodzili przed mównicę pełni gniewu i żalu, rzucali gromy na zgromadzenie przed nimi i odwracali się co chwilę w kierunku siwych głów za plecami, usytuowanych nieco powyżej, siedzących w niemej powadze, niczym trybunał panów starożytnej aryjskiej rasy dzierżącej w rękach los swych ciemnoskórych podwładnych. Potem schodzili ze sceny, pełni gniewu i sfrustrowani, pokonani przez pięciu sędziów prezydenta. Patrząc na ten desperacki pokaz woli, przypomniał mi się obraz wielebnego Sandersa stojącego na scenie w Annenberg Centre i jego ognista przemowa podczas Shadow Convention. Byłem ciekaw, co czarnoskóry pastor powiedziałby, gdyby mógł stanąć tutaj, przed nimi wszystkimi, i wylać prawdę na głowy naszych mężów stanu.

Patrząc jak Gore blokuje kolejne przygotowane przez protestujących oskarżenia, dotarło do mnie, że tu nie może chodzić jedynie o karty do głosowania. W pewnym momencie przed oczami stanął mi obraz, migawka z jednego z reportaży przedwyborczych, gdzie na ekranie telewizora, przez krótki moment pojawiła się grupka kilkunastu ciemnoskórych mężczyzn i kobiet z zaklejonymi taśmą ustami. Czy ci ciemnoskórcy protestowali przeciwko prawom emerytów z Palm Beach i Volusia County? Czy może chodziło o coś innego? Dlaczego pośród kongresmenów wnoszących sprzeciw nie zobaczyłem ani jednego białego?

Okazało się, że problem z kartami wcale nie był jedynym. Największe oszustwo było nieporównywalnie większych rozmiarów, bo dotyczyło liczby kilkanaście razy większej niż margines, który dał Bushowi zwycięstwo.

Oficjalnie G.W. wygrał na Florydzie przewagą pięćset trzydziestu siedmiu głosów, podczas gdy rzeczywistości tysiące ciemnoskórych wyborców na Florydzie zostało ograbionych z praw wyborczych.

Chociaż główne media milczały, prawda dotycząca oszustwa krążyła już w Internecie. Podczas wyborów na Florydzie ponad pięćdziesiąt cztery tysiące wyborców, w przeważającej mierze ciemnoskórych zostało skreślonych z list osób uprawnionych do głosowania. Co ciekawe, oryginalny artykuł na ten temat nie pochodził ze Stanów, a z Londynu, gdzie amerykański dziennikarz śledczy Gerg Palast napisał o całej aferze w niedzielnym wydaniu tygodnika the Observer.

Jak się okazało, jeszcze przed wyborami Sekretarz Stanu Katherine Harris podpisała kontrakt z firmą ChoicePoint, w ramach którego zleceniobiorca miał zebrać dane wyborców z Florydy a następnie opracować listę byłych skazanych, którym w świetle prawa nie przysługiwało prawo do głosu. Decyzję o odebraniu praw wyborczych mógł w tym przypadku podjąć Gubernator Stanu Floryda, którym w tym przypadku był nikt inny tylko Jeb Bush, brat G.W. Busha.

Dzięki swojej decyzji Jeb odebrał prawa do głosu nie tylko przestępcom, którzy byli wcześniej skazani, ale i wyborcom spoza Florydy, którzy akurat w tym czasie przebywali w tym stanie. I tutaj pojawiła się pierwsza „nieprawidłowość”, sprowadzająca się do jednego prostego faktu: decyzja o odebraniu praw wyborczych była całkowicie bezprawna i sprzeczna z konstytucją. O legalności decyzji Busha wypowiedział się sąd w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku w sprawie Schlenther kontra Departament Stanu Floryda, stwierdzając iż władze Florydy nie mogą pozbawić obywatela jego praw, tylko dlatego, że został skazany w Connecticut, gdzie jego prawa nie zostały mu odebrane¹. Innymi słowy, nie mogą pozbawić prawa do głosowania kogoś, kto został skazany w stanie, w którym prawa wyborcze nie są odbierane.

Były więzień może zostać pozbawiony praw, ale nie musi. Poza tym, może zostać ich pozbawiony jedynie w miejscu, w którym popełnił przestępstwo, a nie w miejscu, gdzie obecnie mieszka.

No, ale wróćmy do Choice Point, firmy wybranej przez Kate Harris. Otóż okazuje się, że Data Technologies, spółka, której Choice Point zleciła stworzenie listy wyborców nie należy do najbardziej dyskretnych firm zarządzających danymi. Spółka ta była i wciąż jest mocno krytykowana za niewłaściwe używanie informacji osobistych w komputerach państwowych.

W styczniu dwutysięcznego roku stan Pensylwania przerwał kontrakt z ChoicePoint po odkryciu, że firma sprzedaje profile personalne nieupoważnionym osobom². Nie przeszkadzało to jednak Katherine Harris w wybraniu tej właśnie firmy i powierzeniu jej danych osobowych wyborców. Nie przeszkadzało jej również, że Database Technologies straciła wcześniej inny kontrakt, tym razem z FBI, po tym jak służby ścigania stwierdziły, że założyciel firmy, Hank Asher mógł mieć powiązania z handlarzami narkotyków z Wysp Bahama². Cóż, kto przejmowałby się takimi szczegółami? Przecież powierzenie praw wyborczych prywatnej firmie to nic poważnego, prawda?

No właśnie. Okazuje się jednak, że Floryda jest jedynym, powtarzam, JEDYNYM stanem, który płaci prywatnej firmie za sporządzanie listy pozbawiającej Amerykanów praw do głosowania.

Jak do tego doszło? Otóż, po okrytych złą sławą wyborach na burmistrza Nowego Jorku, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym władze Florydy podpisały ustawę mającą zapobiegać fałszowaniu głosów. Jej celem było wyeliminowanie z list głosujących wszystkich zmarłych, niezamieszkałych w danym okręgu i pozbawionych praw do głosowania na mocy werdyktu sędziowskiego. Niestety, jak to często bywa, efekt był zupełnie odwrotny, niż oczekiwano. Okazało się bowiem, że na liście DBT, na której znajdowało się pięćdziesiąt siedem tysięcy siedmiuset byłych skazanych, większa część nie była nigdy skazana. Ciemnoskórzy wyborcy zajmowali około połowę pozycji z tej listy.

Jako że nie wszystkie hrabstwa „skorzystały” z błędnych informacji podanych im przez Katherine Harris i DBT, część z nich zignorowała bazę danych i dopuściła nazwiska z podanych list do głosowania. Większość jednak użyła tej listy i jak się okazało, z tych, którzy nie mogli zagłosować aż osiemdziesiąt procent stanowili ciemnoskórzy. I w tym miejscu należy zadać sobie pytanie: na kogo głosują ubodzy i ciemnoskórzy obywatele? Na białego republikanina, syna prezydenta, czy na tego drugiego, kimkolwiek by nie był?

W naszej rozdartej rasowo rzeczywistości, dziewięćdziesiąt procent wszystkich kolorowych głosuje na demokratów².

No dobrze, ale jak sporządzić taką listę? Jak pozbyć się kolorowych z list wyborczych i nie zostać na tym przyłapanym? Przede wszystkim, trzeba dobrze zapłacić. I do takich właśnie wniosków doszli urzędnicy stanu Floryda, zleceniodawcy Choice Point.

Pierwszym wykonawcą listy miała być niewielka firma, która w drodze przetargu zobowiązała się sporządzić ją za pięć tysięcy siedemset dolarów. Potem władze Florydy przydzieliły to samo zadanie DBT, płacąc za nie niebagatelną kwotę dwóch milionów trzystu dwudziestu siedmiu tysięcy ośmiuset dolarów, oczywiście bez przetargu². Można by zapytać: za co DBT otrzymała taką premię? Czy ich usługi były faktycznie czterysta osiem razy lepsze albo warte czterysta osiem razy więcej? Zapewne chodziło o dużo dokładniej sporządzone listy, bo jak inaczej wytłumaczyć taki skok w cenie, jeśli nie adekwatnym skokiem w jakości usługi? Niestety, okazało się, że cena nie koresponduje z jakością, chyba że ktoś ma na myśli jakość konkretnego rodzaju.

W naszym pięknym kraju wystarczy jedna informacja, aby sprawdzić tożsamość obywatela. Jest nią numer polisy ubezpieczeniowej. Z nim możemy załatwić prawie wszystko. Jak się jednak okazało, okręgi wyborcze, których prawem i obowiązkiem było zweryfikowanie danych na liście DBT, nie posiadały numerów ubezpieczenia większości obywateli. Stało się tak, gdyż wyborcy nie

mieli obowiązek ich podawać. Prawdopodobnie dzięki temu, większość obywateli na liście DBT nie musiała mieć i nie miała przypisanych numerów ubezpieczenia². To oczywiście nie wszystko.

Program komputerowy lub algorytm, którego użyto do zbierania danych, wykazał frywolną wręcz dowolność w kojarzeniu osób i nazwisk. Kryteria takie jak inicjały, pierwsze i drugie imiona, przedrostki i tytuły, łącznie z nazwiskiem łączono między sobą ze sporym marginesem błędu. Ktoś o nazwisku John Tom Willis mógł stracić głos na rzecz innego Toma Johna Willisa a J.P. Morgan, matka dwójki dzieci, mogła stracić prawo do głosu dzięki J.P. Morganowi odsiadującemu wyrok w stanowym więzieniu. Jedno jednak kryterium pozostawało bez zmian i decydowało o tym, czy nazwiska zostaną „pomyłone” czy nie – rasa. Z pięćdziesięciu siedmiu tysięcy siedmiuset rzekomych skazanych, ponad połowa, pięćdziesiąt cztery procent, była ciemnoskóra, co w porównaniu z krajowym odsetkiem (czterdzieści sześć procent) stanowiło poważne odchylenie od średniej. Duża część reszty „skazanych” była pochodzenia latynoamerykańskiego, czyli w przeważającej mierze demokraci. Na liście znajdowało się czterysta osób skazanych „w przyszłości” czyli po roku dwutysięcznym, a ponad cztery tysiące nazwisk nie miało w ogóle przypisanej daty wyroku. Większość osób na liście znalazła się tam dzięki błędom lub celowemu zamysłowi programu².

George Bush zwyciężył pięćset trzydziestoma siedmioma głosami. W całym stanie Floryda nie przeliczono stu siedemdziesięciu tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu pięciu kart do głosowania. W Leon County, z większością białych mieszkańców jedynie pięćset głosów zostało uznanych za nieważne. W sąsiednim Gadsden, z przeważającą liczbą ciemnoskórych mieszkańców jedna na osiem kart do głosowania została odrzucona jako nieważna. Skąd różnica? W Leon County, maszyny do przyjmowania głosów zostały ustawione tak, by odrzucały źle oddany głos, podczas gdy w Gadsden, te same maszyny ustawiono tak, by przyjmowały nieprawidłowo oznaczone karty do głosowania².

Daje to pewien obraz dziwnych zbiegów okoliczności. Daje to również wyjaśnienie zaklejonych ust na migawkach z reportaży kręconych podczas wyborów. Daje to w końcu, obraz naszej demokratycznej rzeczywistości. Oddaje jej pozorność, kruchość i łatwość z jaką jest składana na ołtarzu władzy.

Korpokracja: 10. Demokracja: 0.

XIX. Rozdroże

George Bush zostanie wybrany czterdziestym trzecim prezydentem USA i zaprzysiężony dwudziestego stycznia dwutysięcznego pierwszego roku. Wynik wyborów był rozczarowujący, a jednak gorszy od wyniku był sam sposób w jaki wygrał, zakładając, że możemy w ogóle mówić o wygranej. Z jakiegoś powodu, naiwnie sądziłem, że bez względu na wynik po siódmym listopada w końcu zmobilizuję się i ruszę z tekstem do miejscowych wydawnictw. Gdyby Gore wygrał, moja krytyka G.W. byłaby jedynie stanowczym ostrzeżeniem, przed możliwą katastrofą. Skoro jednak apokalipsa nadeszła, nie powinienem mieć skrępowań przed naświetleniem wszystkiego, co udało mi się zebrać.

Zamieszanie na Florydzie wokół kart do głosowania, liczenie głosów, ponowne przeliczanie, przepychanki, pozwy i wyroki sądu utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie mogę pozostawić walki samym czytelnikom. Ja również powinienem aktywniej się zaangażować, na poważnie zabrać się za dziennikarstwo śledcze i stać się dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia. Zastanawiałem się długo, od czego zacząć, którym rozwidleniem tej niekończącej się liczby ścieżek podążyć. Miałem do wyboru Carlyle, Halliburton i KBR, a także Enron i setki innych spółek inwestujących w nowo wybraną głowę państwa. Zastanawiałem się, co George postanowi zniszczyć jako pierwsze: nasze prawa obywatelskie, naszą służbę zdrowia, kulejący system edukacyjny, czy może sięgnie po nasze oszczędności, wspierając spekulantów z sektora finansowego? Było tak wiele możliwości i tak wiele czarnych scenariuszy, że nie wiedziałem od czego zacząć. Instynkt podpowiadał mi, by skupić się na tym sektorze i tych przysługach, na których spłatę George czekał najdłużej, których protekcja chroniła Georga od najdawniejszych lat. Czuję, że powinienem skupić się na miękkiej tkance sektora energetycznego.

Może z racji ostatniej rozmowy z Georgem, może z powodu kilku artykułów wciąż rozrzuconych po pulpicie komputera, na pierwszy ogień wzięłem Enron i kontrakt, który Agencja Handlu i Rozwoju przyznała Enronowi przy decydowaniu o bezpieczeństwie energetycznym naszego kraju.

W poniedziałek piętnastego stycznia dwutysięcznego pierwszego roku wykręciłem numer do biura Agencji Handlu i Rozwoju i przedstawiłem się jako dziennikarz badający wpływ polityki zagranicznej na rolę naszego bezpieczeństwa energetycznego. Ostatnie dwa słowa zdawały się być magicznym zaklęciem. Niechętna z początku sekretarka zmieniła nagle ton głosu jakby duma z zapewniania krajowi bezpieczeństwa była wystarczającym powodem, by mnie wysłuchać i pomóc. Oczywiście, już po kilku pytaniach, w których próbowałem dowiedzieć się, czegoś więcej o kontrakcie zleconym Enronowi, kobieta okazała lekkie zdziwienie, po czym bardzo uprzejmym tonem poprosiła mnie

o pozostawienie danych kontaktowych. Zrobiłem to, po czym podałem dokładną nazwę kontraktu, o który mi chodziło i jakiej natury informacje mnie interesowały. Poprosiłem o spotkanie z przełożonym i możliwość przeprowadzenia wywiadu. Kobieta obiecała oddzwonić.

Dziś jednak, zamiast owej kobiety zadzwonił do mnie tajemniczy, szorstki typ o niskim głosie. Zadawał więcej pytań niż ja sam miałem przygotowanych, a przy każdym robił krótką przerwę, powtarzając moje słowa, jakby notował albo konsultował z kimś obok odpowiedzi.

Pośród idiotycznych i powtarzających się w kółko pytań, najczęściej pojawiały te poruszające powód mojego zainteresowania rurociągiem. Naturalnie, chciał również znać źródło, z którego dowiedziałem się o kontrakcie. Wsłuchując się w jego głos wyobraziłem sobie jak sporządza listę, zapisuje punkty i podlicza je oceniając moją przydatność lub zagrożenie.

Najciekawsze nastąpiło jednak kilka godzin po telefonie z agencji.

Zadzwonił do mnie bowiem ktoś jeszcze.

Stałem przed stojakiem z gazetami przy High Street, przeglądając czołówki czarno-białych dzienników. Zniecierpliwiony sprzedawca spojrzał na mnie jakbym chciał wykraść wzrokiem nadruk z każdej otwieranej gazety. Gdy telefon zadzwonił, nie odebrałem połączenia od razu. Uśmiechnąłem się do sprzedawcy, wybrałem kilka dzienników, tygodnik i rzuciłem wszystkie na ladę przed nim.

Spojrzałem na komórkę. Numer był nieznany, ale odebrałem.

– Cieszę się, że udało mi się do pana dodzwonić panie Dawson – niski metaliczny głos zadudnił w uchu. Mówił używając urządzenia modulującego głos. Nie wiedziałem, czy to żart, czy zapowiedź problemów.

– Kto mówi? – spytałem w pierwszym obronnym odruchu.

– Przyjaciel.

– Znam swoich przyjaciół. Żaden z nich nie ma takiego głosu.

– Niech mi pan uwierzy panie Dawson. Jestem przyjacielem i chcę panu pomóc.

Sprzedawca machnął ręką, próbując zwrócić na siebie uwagę. Trzymałem przed sobą pięćdziesięciodolarowy banknot, który utknął w połowie drogi na ladę. Sprzedawca skrzywił się. Zignorowałem go.

– No dobrze – rzuciłem do słuchawki. – Niech pan przejdzie do rzeczy. O co chodzi?

– Przede wszystkim chciałem powiedzieć, że od jakiegoś czasu obserwuję pana wysiłki i kibicuję panu.

– Słucham? – rzuciłem banknot na gazety.

– Zapał z jakim pan pisze o naszym nowym prezydencie jest godny podziwu

– powiedział głębokim, gardłowym głosem.

– Nie wiem o czym pan mówi – odparłem.

– Myślę, że pan wie. Wie pan doskonale.

– Do rzeczy panie...

– Toks, Red Toks – powiedział.

– No dobrze, Panie Toks. Po co pan dzwoni?

– Rozumiem, że zainteresował się pan już sprawą rurociągu do Turcji?

Stałem w połowie wyjścia ze straganu.

– Kolejny świr – pomyślałem. – Kolejny śledzący mnie świr.

Stałem tak przez chwilę otoczony obrotowymi stojakami z widokówkami i gazetami, próbując zebrać myśli.

– Przepraszam – rozbrzmiał delikatny damski głos za moimi plecami.

Obróciłem się, ocknąłem i wyszedłem na zewnątrz. Po lewej, około dziesięć metrów ode mnie, dostrzegłem przystanek autobusowy. Ruszyłem pod zadaszenie i usiadłem na ławce.

– Jest pan tam? – Niski głos zdawał się być rozbawiony.

– Jestem, Jestem. Dzwoni pan z Agencji Handlu? – zapytałem. – Rozmawiałem już wczoraj z jednym z was i nie był bardzo pomocny.

– Nie, nie dzwonię z Agencji. Jestem jakby to powiedzieć... Niezależny.

W jego głosie usłyszałem rozbawienie. Mówił prawdę.

– Kim pan jest i czego pan chce? – zapytałem. – Ma pan pół minuty zanim się rozłączę.

– Śpieszy się panu na autobus?

Zamarłem. Serce zabiło mi mocniej. Rozejrzałem się powoli we wszystkie strony. Kimkolwiek był, obserwował mnie.

– Dwadzieścia sekund – powiedziałem.

– Przede wszystkim, dzwonię, żeby panu pomóc.

Prychnąłem.

– Dziesięć sekund – rzuciłem.

– No dobrze, panie Dawson. Nie wiem, czy pan wie, ale Cheney chce utworzyć komisję do spraw Bezpieczeństwa Energetycznego.

– To żadna tajemnica – odparłem. – Pana czas się kończy.

– Kwestią kluczową dla nich będzie Kaukaz, a konkretnie, jeden z rurociągów.

Odczekałem chwilę wahając się, zastanawiając się, czy rozłączyć się, czy może wysłuchać go do końca.

– Słucham – powiedziałem po chwili.

– Enron to zaledwie początek tropu. Na pana miejscu przyjrzałbym się Rurociągowi TAPI.

Przejechałem dłonią po brodzie. Nie zdziwiło mnie, że Red, kimkolwiek był, orientował się w tym, o czym mówił. Niepokojące było to, że poruszył akurat ten temat. Przeciętny zjadacz chleba nie byłby zorientowany w temacie, a on zdawał

się wiedzieć, o czym rozmawiałem z ludźmi z Agencji Handlu.

– Dlaczego? Dlaczego mam węszyć wokół TAPI? – zapytałem.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że włożył pan wiele wysiłku w napisanie tej książki, ale oboje wiemy, że ta prezydentura to zaledwie początek czegoś zupełnie nowego. Chcę, żeby pan napisał o wszystkim, zanim będzie za późno.

– Za późno? O czym pan mówi? O czym miałbym napisać?

– Rurociąg TAPI – powiedział. – Niech pan zapamięta – dodał i rozłączył się.

Spojrzałem odruchowo na wyświetlacz telefonu. Nie wiedziałem, co myśleć o tej dziwacznej rozmowie.

– Czyżby mówił prawdę? – pomyślałem.

Nagle telefon zadrżał. Na ekranie pojawiła się koperta. Wybrałem ikonę i przeczytałem wiadomość: „Tej rozmowy NIE BYŁO”

W jednej kwestii Red Toks się nie mylił. Wiem to bez sprawdzania czegokolwiek. Zwycięstwo Busha oznaczało początek czegoś zupełnie nowego – czego dokładnie, mogłem się jedynie domyślać, choć potomni zapewne uznają, że powinienem był zrobić znacznie więcej.

* * *

Jest wtorek. Zwykły dzień. Ludzie budzą się, wstają, rozpoczynają poranne rytuały. W tle ich myśli, w tle ich śniadań, w tle ich drogi do pracy przez przedmieścia, autostrady i zatłoczone ulice płynie ścieżka dźwiękowa odległego, znajomego filmu. Na ekranie telewizora stojącego na drugim planie prezenter komentuje wyniki wyborów. Jest jedynym aktorem tej najważniejszej sceny, w której akcja toczy się za kulisami i zapewne właśnie dlatego nikogo nie interesuje, co do powiedzenia ma ten samotny aktor. Ludzie patrzą na ekran, oczekując z niecierpliwością streszczenia fabuły, skondensowanej relacji, pełnych zestawień tabel, liczb i faktów. Nie mają czasu na obejrzenie całości. Nigdy nie widzieli całości spektaklu i nigdy nie zobaczą.

Prawdziwa akcja rozgrywa się bowiem między nimi, milionami statystów niemego filmu, między garstką polityków, milionerów i armią lobbystów penetrującą pracowicie, każdego dnia, gmachy władzy. Tymczasem film zwykłych ludzi trwa nadal. Zbiorowa hipnoza tłumu posłusznych statystów w dobrze wyreżyserowanym spektaklu pozorów nie ma swojego finału.

Scena wyborów dobiegła końca. Kostiumy obywateli trafiają do rekwizytorni. Luźniejsze i prostsze w obsłudze, identyczne kostiumy konsumentów

wracają na pierwszy plan filmu, który trwa nadal i trwać będzie dopóki przenika nasze myśli, świadomość i pozostaje naszą jedyną rzeczywistością.

Film ten nie ma budżetu określonego długością pasji, nadziei i złudzeń. Nie kończy się wraz z zapadnięciem kurtyny w Białym Domu, na Kapitolu, czy w tej lub innej wojnie. Przedstawienie będzie trwać, bo musi trwać, a ludzie muszą odgrywać swoje małe, ambitne role w przydzielonych im gatunkach tego psychodelicznego spektaklu.

Zgubiłem swój scenariusz. Straciłem go olśniony i zszokowany irracjonalnością spektaklu wokół. Próbowałem kilkakrotnie napisać go na nowo, ale każde rozwiązanie i każdy zwrot akcji nieuchronnie kończą się w tym samym punkcie. Zupełnie jakbym utknął w scenie ogromnego dramatu, którego plan zajmują dwie stojące naprzeciw siebie armie, a ja gdzieś w tle próbuję wznieść w górę samotną białą flagę z nadzieją, że ktoś zareaguje.

Chciałbym zapomnieć. Chciałbym obudzić się jutro wolny od spektaklu, który wyrył się głęboko w mojej świadomości. Szaleństwo tej maskarady przytłacza mnie. Odpowiedzialność, od której nie mogę się uwolnić przygniata i wypełnia moją prywatną scenę życia. Nie ma w niej już miejsca dla mnie. Istnieje tylko spektakl i napierające fale szaleństwa. Istnieje tylko huragan i niemy sztorm wokół, którego nikt nie widzi lub nie chce dostrzec.

Nic nie jest w stanie rozpedzić sił ciemności. Ci, którzy walczą o reformy ustroju, próbując zatamować rzekę złota płynącą w głąb partyjnych skarbców, milkną zagłuszeni rykiem korporacyjnych bestii krążących wokół Kapitolu jak Cerber przy bramie piekieł. Nie widzę rozwiązania. Nie widzę nadziei. Potrafię jedynie wyszukiwać pęknięcia, przez które stworzenia nocy wślizgują się do Białego Domu i zmieniają go w mroczną twierdzę wrogów ludzkości. To one są symptomem i źródłem zarazy. To je należy wytepić co do ostatniego.

To tak oczywiste i nie do pomyślenia zarazem. Zupełnie jakby sprzeciwianie się zepsuciu wiązało się z nieuniknioną infekcją, niszczącą naszą czystość i komfort wytykania palcami. Czy zatem zostaje nam jedynie Ragnarok? Czy musimy czekać na krwawą rewolucję? Być może to jest jedyne wyjście i jedyna możliwa droga?

Przyglądając się popełnionym błędom, odczuwając obecną bierność i widząc wyraźnie rysującą się przed nami przyszłość o mrocznych barwach zasnutego smogiem nieba, nasuwa się na myśl tylko jeden scenariusz. Jeśli lobbyści korporacyjnych twórców nie zostaną zmieceni z powierzchni ziemi falą dzikiego, niepohamowanego gniewu, wzbierającą z przedmieść, gett i slumsów, armie korpokracji będą w dalszym ciągu rosły w siłę, a zniewolenie narodów będzie postępować do momentu, gdy staniemy się produktem na półkach dzikiego, wolnego rynku lub odpadkami na śmietniku globalizacji.

Jak więc wywołać ten gniew narodów już teraz? Jak wyswobodzić je spod

jarzma maszyny propagandowej bez rewolucji, bez wzbudzania tsunami pozostawiającego po sobie jedynie zgliszczą anarchii?

Czy rewolucja może dokonać się poprzez świadomość? Czy sama świadomość może zmienić oblicze imperium głupców? Jak stworzyć jej katalizator? Czy do oświecenia konieczny jest upadek cywilizacji jaką znamy? Czy konieczna jest kolejna wojna, ludobójstwo i niewyobrażalna tragedia, która dosięgnie nas samych? Czy może nadzieja tkwi zupełnie gdzie indziej, jak chociażby, w pojawieniu się alternatywy dla medialnej tuby władców? Jeśli Internet i idea globalnej wioski, w której niczym nieskrępowany przepływ idei wyzwala umysły i serca zniewolonych, są rzeczywiście niezgłębioną siłą naszej przyszłości, to czy zdołamy oszczędzić ją przed wszechobecną patologią spektaklu i ocalić od nas samych? Czy może jest gdzieś inne rozwiązanie i tylko czeka na pierwszą iskrę.

Przypisy

Wszystkie zacytowane adresy internetowe były dostępne po raz ostatni 20 kwietnia 2014 roku. Dokumenty ze stron internetowych zostały zarchiwizowane i są dostępne również pod adresem:

<https://drive.google.com/folderview?id=0B1dphWQysju5fmt5YIJLeWYwcG03N1BNeWFacGZoQUNEdW9JN0JoakV0N1JRTEdncFpoWFU&usp=sharing>

I. CZĘŚĆ PIERWSZA - GŁUPIEC

1. Tabula rasa

2. Znalezisko

II. CZĘŚĆ II IMPERIUM

1. Sprzeciw

1) Backyard terrorism, The US has been training terrorists at a camp in Georgia for years - and it's still at it, George Monbiot, The Guardian, Tuesday 30 October 2001,

<http://www.guardian.co.uk/world/2001/oct/30/afghanistan.terrorism19>

2)

<http://forusa.org/content/report-military-assistance-human-rights-colombia-us-accountability-global-implications>

3)

<http://www.soaw.org/about-the-soawhinsec/victims-and-survivors/colombia/3470-the-impact-of-the-soa-in-colombia>

4) PRISONER ABUSE: PATTERNS FROM THE PAST, National Security Archive Electronic Briefing Book No. 122 Cold War U.S. Interrogation Manuals Counseled "Coercive Techniques", National Security Archive Posts CIA Training Manuals from 60s, 80s, and Investigative memos on earlier controversy on human rights abuses <http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/>

5) DOD, Improper Material in Spanish-Language Intelligence Manuals, SECRET, 10 March 1992 <http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/920310%20Imporper%20Material%20in%20Spanish-Language%20Intelligence%20Training%20Manuals.pdf>

6) Kopia oryginalnego podręcznika szkoleniowego "KUBARK" w trzech częściach:

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%2001-60.pdf>

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%2061-112.pdf>

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%20113-128.pdf>

7) CIA, Human Resource Exploitation Training Manual – 1983
<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Human%20Res%20Exploit%20H0-L17.pdf>

8) Gale Norton, Sourcewatch,
http://www.sourcewatch.org/index.php?title=Gale_A._Norton

9) Good Riddance to Gale Norton, The former Interior Secretary will be greeted with open arms by the industries that benefited from her agenda of environmental devastation.
<http://www.alternet.org/environment/33802?page=entire>

10) A Cabinet That Looks Like (Corporate) America by Bill Mesler, Special to CorpWatch <http://www.corpwatch.org/article.php?id=11458>

2. Miss Liberty

1) Transmisja z trzeciego dnia Shadow Convention zawierająca przemówienie założyciela Międzywyznaniowego Kościoła Metropolitańskiego, ojca Edwina Sandersa oraz Gubernatora Nowego Meksyku Garego Johnsona dostępne na: <http://www.c-spanvideo.org/program/FailedW>

3. Kolaborant

4. Kobieta Szpieg

5. Wyznawczyni

6. Sojusznik

7. Książę George

1) George W. Bush, Corporate Candidate How Money Grows on the Shrub, Wheat Andrew, Multinational Monitor, March 1 2000
<http://www.allbusiness.com/specialty-businesses/non-profit-businesses/497385-1.html>

2) The Governor's Gusher: The Sources of George W. Bush's \$41 Million Texas War Chest, Texans For Public Justice, January 2000, Austin, dostępne na <http://info.tpj.org/bush/>

3) Austin's Oldest Profession: Texas' Top Lobby Clients & Those Who Service Them, Texans For Public Justice, May 1999,
<http://info.tpj.org/docs/1999/06/reports/lobby/toc.html>

4) Bush Name Helps Fuel Oil Dealings, By George Lardner Jr. and Lois Romano Washington Post Staff Writers Friday, July 30, 1999; Page A1,
<http://www.washingtonpost.com/wp-srv/politics/campaigns/wp000/stories/bush073099.htm>

5) The George W. Bush Success Story, A heartwarming tale about baseball, \$1.7 billion, and a lot of swell friends. by Joe Conason. Harpers Magazine, February 2000, Centre for Research on Globalisation (CRG), globalresearch.ca, 26 February 2002 <http://www.globalresearch.ca/articles/CON202A.html>

6) Governor Bush's Well-Appointed Texas Officials, Texans for Public Justice, October 2000, <http://info.tpj.org/reports/appointments/toc.html>

7) The Pioneers: George W. Bush's \$100,000 Club, Texans For Public Justice, Austin, <http://info.tpj.org/pioneers/> lub http://info.tpj.org/pioneers/r_hicks.html

8) The Pioneers: George W. Bush's \$100,000 Club, Texans For Public Justice, Austin, <http://info.tpj.org/pioneers/> lub http://info.tpj.org/pioneers/charles_wyly.html

9) 2004 The Washington Post Company, The Bush Money Machine, Fundraising's Rewards http://www.washingtonpost.com/wp-srv/politics/pioneers/pioneers_spheres.html

10) The New York Times Saturday, March 4, 2000 Richard W. Stevenson with Richard Perez-Pena The 2000 Campaign: The Tactics; Wealthy Texan Says He Bought Anti-McCain Ads <http://www.boycottgreenmountain.com/mccain-ads-nyt.html>

11) Green Power Next for Huge IPO, Financier Sam Wyly aims to take Greenmountain.com public. Investors and potential customers better read the fine print. Mark Gimein The Industry Standard, April 26th, 1999 <http://www.boycottgreenmountain.com/industry-standard.html>

12) Pioneer Profiles: George W. Bush's \$100,000 Club Texans For Public Justice, Austin July 2000 http://info.tpj.org/pioneers/charles_wyly.html

13) Ustawa z 1999 roku określająca źródła energii odnawialnej <http://www.capitol.state.tx.us/BillLookup/Text.aspx?LegSess=76R&Bill=SB7#>

14) Ralph Marquez', TNRCC Commissioner, Testimony before Congress 11/9/1995 <http://www.txpeer.org/Bush/RalphMarquezTestimony.html>

15) Texas State Auditor's Office SAO: Reports: An Audit Report on The Department of Economic Development January 2000 Report Number 00-008 <http://www.sao.state.tx.us/Reports/report.cfm/report/00-008>
<http://www.sao.state.tx.us/reports/main/00-008.pdf>

16) Toxic Texas The Environmental Legacy of Governor George W. Bush, Public Employees for Environmental Responsibility, Protecting Employees Who Protect The Environment <http://www.txpeer.org/Bush/index.html#stories>

17) SEED Coalition, Sustainable Energy and Economic Development, <http://www.seedcoalition.org/learn.GF.htm>

18) Toxic Exposure: How Texas Chemical Council Members Pollute State Politics & the Environment, Texans for Public Justice, August 1999

”<http://info.tpj.org/docs/2000/01/reports/toxic/statewide.html>

19) List Toma Khuna do Robbie Aiken, Bud Albright, David Brown, Haley Fisackerly, Kerrill Scrivner, Patsy Thompson, Jeanne Wolak, John Maxson odnośnie przyjęcia z G.W. Bushem mającego się odbyć 22 lipca 1999, 27 maj 1999, Austin w stanie Teksas, http://www.whitehouseforsale.org/documents/bundler_letter.pdf

20) Formularz zawierający dane osobowe nazywany również listem-deklaracją, gdyż zawiera pole, w którym darczyńca zobowiązywał się zebrać konkretną sumę na rzecz kampanii <http://info.tpj.org/pioneers/newpioneers/> lub plik http://info.tpj.org/pioneers/newpioneers/pledge_form_wb.html

21) George W. Bush’s \$100,000 Club, Texans For Public Justice, Austin, Texas, July 20 2000 <http://info.tpj.org/pioneers/>

8. Roszada

9. Spektakl

10. Atak

1) Pioneer Profiles: George W. Bush’s \$100,000 Club Texans For Public Justice, Austin July 2000 http://info.tpj.org/pioneers/kenneth_lay.html

11. Mroczne Przymierze

1) CIA Air Operations in Laos, 1955-1974 — Central Intelligence Agency <https://www.cia.gov/library/center-for-the-study-of-intelligence/csi-publications/csi-studies/studies/winter99-00/art7.html>

2) AIR AMERICA: NORTH AMERICAN T-28s by Dr. Joe F. Leeker <http://www.utdallas.edu/library/collections/speccoll/Leeker/t28.pdf>

3) Agent Orange From Wikipedia, the free encyclopedia http://en.wikipedia.org/wiki/Agent_orange

4) Postwar Vietnam: Dynamics of a transforming society. Edited by Luong, Hy V., Singapore: Rowman & Littlefield Pub. Podgląd dostępny również na stronie: <http://books.google.com/books?id=AkIhYEavBrEC&pg=PA4#v=onepage&q&f=false>

5) ‘Last ghost’ of the Vietnam War Geoffrey York AND Hayley Mick Hanoi and Elmira, Ont.— From Saturday’s Globe and Mail Published Saturday, Jul. 12, 2008

<http://www.theglobeandmail.com/archives/last-ghost-of-the-vietnam-war/article697346/page1/>

6) The extent and patterns of usage of Agent Orange and other herbicides in Vietnam Jeanne Mager Stellman*, Steven D. Stellman²³, Richard Christian§, Tracy Weber* & Carrie Tomasallo* * Departments of Health Policy and Management and ² Epidemiology, Mailman School of Public Health, Columbia University, 600 West 168th Street, New York, New York 10032, USA, publikacja dostępna na stronie: <http://www.vn-agentorange.org/edmaterials/nature01537.pdf>

- 7) citation from Noam Chomsky's Towards New Cold War, p. 74,75
- 8) Noam Chomsky At war with Asia p.130
- 9) Vietnam War From Wikipedia, the free encyclopedia
http://en.wikipedia.org/wiki/Vietnam_War
- 10) Noam Chomsky's Towards New Cold War p.145
- 11) Noam Chomsky's Towards New Cold War p.164
- 12) Publikacja relacji "Trybunału Bertranda" z 1967r dostępna na stronie:
<http://www.vietnamese-american.org/Bertrand%20Russell.pdf>
- 13) Operation Menu From Wikipedia, the free encyclopedia
http://en.wikipedia.org/wiki/Operation_Menu
- 14) Noam Chomsky's Towards New Cold War p.131
- 15) Noam Chomsky's Towards New Cold War pp.176,177
- 16) Phoenix Program From Wikipedia, the free encyclopedia
http://en.wikipedia.org/wiki/Phoenix_Program
- 17) Operations Malheur I and Malheur II From Wikipedia, the free encyclopedia
http://en.wikipedia.org/wiki/Operations_Malheur_I_and_Malheur_II
- 18) CIA Air Operations in Laos, 1955-1974 Supporting the "Secret War"
William M. Leary
<https://www.cia.gov/library/center-for-the-study-of-intelligence/csi-publications/csi-studies/studies/winter99-00/art7.html>
- 19) Dark Alliance: The CIA, the Contras, and the Crack Cocaine Explosion, Seven Stories Press, New York 1999; jak również: Gary Webb Dark Alliance, The Story Behind the Crack Explosion, Stories by Gary Webb Mercury News Staff Writer
<http://www.narconews.com/darkalliance/drugs/start.htm>
- 20) Peter Kornbluch, Anatomy of a Story, Columbia Journalism Review, 1997, dostępne na stronie Uniwersytetu Georga Waszyngtona
<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB2/storm.htm>
- 21) Federal Crack Cocaine Laws, by Shawn Lealo
http://www.ehow.com/list_6939487_federal-crack-cocaine-laws.html
- 22) Wybrane fragmenty z Raportu Komisji w Sprawie Narkotyków, Służb Ścigania i Polityki Zagranicznej pod przewodnictwem senatora John F. Kerry
<http://www.pinknoiz.com/covert/contracoke.html>
- 23) Statement of CIA Inspector General to The House Committee On Intelligence - March 16, 1998,
http://en.wikisource.org/wiki/Statement_of_CIA_Inspector_General_to_The_House_Committee_On_Intelligence_-_March_16,_1998

12. Najemnik

- 1) DynCorp in Colombia: Outsourcing the Drug War by Jeremy Bigwood, Special to CorpWatch May 23rd, 2001
<http://corpwatch.org/article.php?id=672>
- 2) US: A Blank Check from Washington for Colombia's Dirty War by Mark

Weisbrot, AlterNet April 1st, 2000
http://www.alternet.org/story/111/a_blank_check_from_washington_for_colombia_lub

<http://www.cepr.net/index.php/op-eds-&-columns/op-eds-&-columns/a-blank-check-from-washington-for-colombias-dirty-war>

3) Backyard terrorism, George Monbiot, The Guardian, Tuesday 30 October 2001, <http://www.guardian.co.uk/world/2001/oct/30/afghanistan.terrorism19>

4) PRISONER ABUSE: PATTERNS FROM THE PAST, National Security Archive Electronic Briefing Book No. 122 Cold War U.S. Interrogation Manuals Counseled “Coercive Techniques”, National Security Archive Posts CIA Training Manuals from 60s, 80s, and Investigative memos on earlier controversy on human rights abuses <http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/>

5) Kopia oryginalnego podręcznika szkoleniowego “KUBARK” w trzech częściach:

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%201-60.pdf>

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%2061-112.pdf>

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Kubark%20113-128.pdf>

6) CIA, Human Resource Exploitation Training Manual – 1983 <http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB122/CIA%20Human%20Res%20Exploit%20H0-L17.pdf>

7) Bush’s Dirty War in Colombia, by George Monbiot, The Guardian (London) May 22nd, 2001 <http://www.theguardian.com/world/2001/may/22/usa.globalisation>

8) Plan Colombia, Noam Chomsky, fragment z Rogue States, 2000, <http://chomsky.info/books/roquestates08.htm>”<http://chomsky.info/books/roquestates08.htm>

13. Głupiec

14. Agenci Imperium

1) Profiteering and the “war on terrorism”: Cheney’s former firm cashes in on US militarism, by Joseph Kay, 25 July 2002, <http://www.wsws.org/articles/2002/jul2002/hall-j25.shtml>

2) The Halliburton Agenda. The Politics of Oil and money, Dan Briody.

3) Cheney led Halliburton to feast at federal trough. State Department Questioned Deal With Firm Linked to Russian Mob, by Knut Royce and Nathaniel

Heller, August 2, 2000
<http://www.iwatchnews.org/2000/08/02/3279/cheneyledhalliburtonfeastfederaltrough>

4) Company profile, Halliburton, <http://www.crocodyl.org/wiki/halliburton>

5) About Halliburton, Halliburton's Tax Haven Explained, http://www.halliburtonwatch.org/about_hal/taxhaven.html

6) Halliburton Corporation's Brown and Root is one of the major components of THE BUSH-CHENEY DRUG EMPIRE [Lead story in the October 24, 2000 issue of "From The Wilderness"] by Michael C. Ruppert <http://www.fromthewilderness.com/free/ciadrugs/bush-cheneyleft.html>

7) Halliburton's Destructive Engagement. How Dick Cheney and USA-Engage Subvert Democracy at Home and Abroad, by Kenny Bruno & Jim Vallette, EarthRights International report, 2000, <http://www.earthrights.org/sites/default/files/publications/halliburtonreport2000.pdf>

8) Heydar Aliyev, From Wikipedia, the free encyclopedia, http://en.wikipedia.org/wiki/Heydar_Aliyev

9) Total Denial, A Report on the Yadana Pipeline Project in Burma by EarthRights International (ERI) and Southeast Asian Information Network (SAIN), 1996, <http://www.earthrights.org/sites/default/files/publications/total-denial-1996.pdf>

10) Total Denial Continues, Earth Rights Abuses Along The Yadana and Yetagun Pipelines in Burma by EarthRights International 2000, <http://www.earthrights.org/sites/default/files/publications/Total-Denial-Continues-2000.pdf>

11) Massachusetts Burma Law From Wikipedia, the free encyclopedia, http://en.wikipedia.org/wiki/Massachusetts_Burma_Law

Crosby v. National Foreign Trade Council From Wikipedia, the free encyclopedia, http://en.wikipedia.org/wiki/Crosby_v._National_Foreign_Trade_Council

12) The Iron Triangle: Inside the Secret World of the Carlyle Group, Dan Briody, , John Wiley & Sons, Inc., Hoboken, New Jersey, 2003

13) What Uncle Sam Really Wants, Noam Chomsky, 1993

15. Poligony Imperium

1) Which Nazis Fled To South America? The dead, the captured and the fugitives, Marcelo Mackinnon http://english.ohmynews.com/articleview/article_view.asp?menu=c10400&no=297273&rel_no=1

2) Walter Rauff był niemieckim agentem w Chile, Tomasz Surdel; 26 września 2011, <http://www.tierralatina.pl/2011/09/walter-rauff-agent-chile/>

3) Secrets of ex-Nazi's Chilean fiefdom, By Becky Branford, BBC News,

2005, <http://news.bbc.co.uk/2/hi/americas/4340591.stm>

4) World Anti-Communist League, Right Web, Tracking militarists' efforts to influence U.S. foreign policy - a project of the Institute for Policy Studies, Washington,

http://rightweb.irc-online.org/articles/display/World_Anti-Communist_League

5) Mengele and The Nazi International, January 23, 2009 By Joseph P. Farrell, <http://gizadeathstar.com/2009/01/mengele-and-the-nazi-international/>

6) Mystery of the 'Land of Twins': Something in the Water? Mengele?, ALEXEI BARRIONUEVO, February 22, 2009, <http://www.nytimes.com/2009/02/23/world/americas/23twins.html?scp=1&sq=Mystery%20of%20the%20%E2%80%98Land%20of%20Twins%E2%80%99:%20Something%20in%20the%20Water?%20Mengele?&st=cse>

7) The first Boys From Brazil: Nazi graveyard discovered deep in the Amazon rainforest, By Alan Hall, October 2008, <http://www.dailymail.co.uk/news/article-1080071/The-Boys-Brazil-Nazi-graveyard-discovered-deep-Amazon-rainforest.html>

8) Empire's Workshop, Latin America, the United States and the Rise of the New Imperialism, Greg Grandin, P. 58, Henz Holt Books, New Zork, 2006

9) What Uncle Sam Really Wants, Noam Chomsky, 1993

10) Empire's workshop, Greg Gardin

11) 1964 Brazilian coup d'état: Reference, The Full Wiki, [http://www.thefullwiki.org/1964_Brazilian_coup_d'état#cite_note-gwunsa-24](http://www.thefullwiki.org/1964_Brazilian_coup_d%27%C3%A9tat#cite_note-gwunsa-24)

12) BRAZIL MARKS 40th ANNIVERSARY OF MILITARY COUP DECLASSIFIED DOCUMENTS SHED LIGHT ON U.S. ROLE, The National Security Archive, Washington D.C., 31 March 2004, <http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB118/index.htm#audio>

13) Telegram From the Ambassador to Brazil (Gordon) to the Department of State, Rio de Janeiro, February 21, 1964. <http://history.state.gov/historicaldocuments/frus1964-68v31/d183>

14) Telegram From the Department of State to the Embassy in Brazil, Washington, March 31, 1964. <http://history.state.gov/historicaldocuments/frus1964-68v31/d198>

<http://www.gwu.edu/~nsarchiv/NSAEBB/NSAEBB118/bz05.pdf>

15) Julio Adalberto Rivera Carballo: Reference, The Full Wiki, http://www.thefullwiki.org/Julio_Adalberto_Rivera_Carballo

16) Panama Noriega's Money Machine, by Michael S. Serrill Sunday, June 24, 2001, Time Magazine World, <http://www.time.com/time/magazine/article/0,9171,1101880222-148712,00.html>

17) Consul Asserts C.I.A. Aided in Panama Cover-Up, By ELAINE SCIOLINO, Special to the New York Times, Published: February 10, 1988, The

New York Times,
<http://www.nytimes.com/1988/02/10/world/consul-asserts-cia-aided-in-panama-cover-up.html?src=pm>

18) Manuel Noriega: Reference, the full Wiki ,
http://www.thefullwiki.org/Manuel_Noriega#cite_note-4

19) Plan Colombia, Noam Chomsky, Excerpted from Rogue States, 2000,
<http://chomsky.info/books/roquestates08.htm>

20) New Role for U.S. in Colombia: Protecting a Vital Oil Pipeline By
JUAN FORERO, October 04, 2002,
<http://www.nytimes.com/2002/10/04/world/new-role-for-us-in-colombia-protecting-a-vital-oil-pipeline.html?pagewanted=all&src=pm>

21) (en) Plan Colombia, FTAA and Black Communities in the process of
global struggle From “el desaparecido” desaparecido@nadir.org, A-Infos
a multi-lingual news service by, for, and about anarchists, Date Mon, 15 Jan
2001 <http://www.ainfos.ca/01/jan/ainfos00191.html>

22) T. Christian Miller, “A Colombian Village Caught in a Cross-Fire: The
Bombing of Santo Domingo Shows How Messy U.S. Involvement in the Latin
American Drug War Can Be”, Los Angeles Times, 17 March, 2002.
<http://articles.latimes.com/2002/mar/17/news/mn-33266>

23) Washington Office on Latin America, 1630 Connecticut Avenue, NW,
Washington, the Colombia Monitor,
<http://reliefweb.int/sites/reliefweb.int/files/resources/B28580307872CB57C1256D33004000C5-wola-col-27may.pdf>

16. Wielka Szachownica

1) http://info.tpj.org/pioneers/kenneth_lay.html

2) System Failure, Deregulation, Political Corruption, Corporate Fraud and
the Enron Debacle by Andrew Wheat,
<http://multinationalmonitor.org/enronwheat.html>

3) The Multinational Monitor, December 1995 · Volume 16 · Number 12,
1995's Ten Worst Corporations,
<http://multinationalmonitor.org/hyper/mm1295.04.html>

4) George W. Bush Gets Layed The Mutually Beneficial Relationship
Between Enron CEO Ken Lay and the Republican Contender by Pratap Chatterjee,
Special to CorpWatch <http://www.corpwatch.org/article.php?id=462>

5) Enron Deal Blows a Fuse”, Multinational Monitor, July/August 1995,
<http://multinationalmonitor.org/hyper/mm0795.05.html>

6) Enron's eight-year power struggle in India by Tony Allison, Asia Times
Online, January 18, 2001, <http://www.atimes.com/reports/ca13ai01.html>

7) Dabhol - Enron Timeline by Ron Callari,
<http://www.albionmonitor.com/0202a/enrontimeline.html>

8) Blind Faith: How Deregulation and Enron's Influence Over Government Looted Billions from Americans, December 2001, Public Citizen's Critical Mass Energy & Environment Program
http://www.citizen.org/cmep/article_redirect.cfm?ID=7104

9) A Timeline of Oil and Violence, Afghanistan,
<http://www.ringnebula.com/Oil/Timeline.htm>

10) The Enron-Cheney-Taliban Connection? by Ron Callari, Albion Monitor, February 28, 2002, <http://www.alternet.org/story/12525?page=3>

17. Dzień Sądu

1) Bush family finances: Best Democracy Money Can Buy , The London Observer, Sunday, November 26, 2000,
<http://www.gregpalast.com/bush-family-finances-best-democracy-money-can-buy/>

2) The Best Democracy Money Can Buy, by Greg Palast, 2002, Pluto Press, London

18. Król George II

19. Rozdroże

Przypisy dolne

1 Kensington Welfare Rights Union (KWRU) – grupa działająca w Filadelfii i całej Pensylwanii, będąca częścią ogólnokrajowej kampanii walki z ubóstwem w Stanach.

2 Sweatshop – określenie używane dla zakładu lub miejsca pracy zorganizowanego przez firmę wyzyskującą tanią siłę roboczą. Zazwyczaj stawka godzinowa, czas pracy i warunki nie spełniają ani oczekiwań pracowników ani norm bezpieczeństwa i zdrowia.

3 Protesty podczas konferencji Światowej Organizacji Handlu w Seattle w 1999 roku.

4 Z.j.ang. “Trent Lott to dziwka korporacji, której nie zamierzamy dłużej znosić”.

5 Z. j.ang. “Lott, Lott, wykupiony, nie ma w nim wartości rodzinnych”.

6 Funt brytyjski (avoirdupois, powszechnie używany w USA), ang. pound: 1 lb = 0,453 592 37 kg = 16 oz (uncji) = 7000 gramów (ziaren)

7 Manifet Destiny – Boskie przeznaczenie. Pogląd u którego źródła leży przeświadczenie, o wyjątkowości narodu Amerykańskiego, jego niezaprzeczalnym prawie i nieuniknionym przeznaczeniu do rządzenia kontynentem amerykańskim, obiema Amerykami i całą strefą wpływów.

8 Arbusto z języka hiszpańskiego – Krzak, co w j. angielskim zamienia się na „bush”.

9 Według prawa amerykańskiego, członkowie zarządów firm nie mogą sprzedawać akcji firm, którymi kierują, jeśli posiadają informacje dotyczące firmy, np. Sytuacji finansowej, które nie są dostępne publicznie. Bush jako syn ówczesnego prezydenta, byłego szefa CIA mógł mieć dostęp do informacji o wrogich zamiarach lub planach Saddama Husajna wobec Kuwejtu.

10 Kennedy Husbands (Mężowie Kennediego) – określenie odnoszące się do kilku tysięcy małżonków, którzy ruszyli do ślubnego kobierca, gdy dowiedzieli się, że prezydent Lyndon Johnson zdecydował się usunąć ochronę jaką byli objęci ojcowie i mężowie za kadencji Kennediego. W 1963 roku J.F.K. zasugerował by głowy rodziny i mężowie znajdowali się na dalszych pozycjach w listach poborowych, tuż za kawalerami. W 1965 roku prezydent Johnson zdecydował się znieść ten przywilej.

11 Hmong – liczna grupa etniczna zamieszkująca góryste regiony Azji Południowo-Wschodniej, posługująca się językiem Hmong. W początkach lat sześćdziesiątych XX wieku Centralna Agencja Wywiadowcza zaczęła werbować laotańskich Hmongów do udziału w wojnie wietnamskiej w szeregach Specjalnego Oddziału Partyzanckiego (SGU) pod dowództwem generała Vang Pao. Około 60% Hmongów–mężczyzn było opłacanych przez CIA za uczestniczenie w „tajnej

wojnie”. CIA używało SGU do przeciwdziałania siłom komunistycznej Ludowej Armii Wietnamu (LAW) na szlaku Ho Chi Minha, głównej militarnej drogi zaopatrzeniowej z północy na południe przez terytorium Laosu. Partyzanci Hmong ryzykowali życiem, walcząc dla Stanów Zjednoczonych, starając się przecinać linie nieprzyjacielskiej komunikacji i ratując strąconych amerykańskich pilotów. W wyniku tych walk Hmongowie ponieśli wysokie straty: ponad 40 tysięcy Hmongów zginęło, niezliczoną liczbę uznano za zaginionych, tysiące zostało rannych i na całe życie okaleczonych.

12 Mianem rice (ryż) nazywano dostawy żywności, natomiast hard rice (twardy ryż) broń i amunicję.

13 Charlie – imię używane przez amerykańskich żołnierzy dla określenie żołnierzy Wietkongu.

14 Crack jest kokainą w formie wolnej zasady, którą można palić. Jest najbardziej uzależniającą formą kokainy. Kryształki Cracku wywołują u palaczy krótkie, ale intensywne uczucie odurzenia. Crack pojawił się głównie w ubogich dzielnicach Nowego Jorku, Los Angeles i Miami w późnym 1984 i 1985 roku. Wzrost jego popularności może być wyjaśniony odkryciem, że wodorowęglan sodu zawarty w proszku do pieczenia był tanim i łatwym substytutem eteru dietylowego używanego do produkcji kokainy.

15 DEA (Drug Enforcement Agency) – Amerykańska agencja odpowiedzialna za walkę z narkotykami.

16 FBI (Federal Bureau of Investigation) – Federalny Urząd Śledczy to amerykańska agencja państwowa Stanów Zjednoczonych zajmująca się przestępstwami wykraczającymi poza granice danego stanu, stanowiąca ponadto część systemu bezpieczeństwa kraju.

17 W wyniku prac komisji Towera, w listopadzie 1986 roku, ujawniono skandal Iran–Contra, dotyczący sprzedaży broni dla Iranu w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników pojmanych przez Hezbollah. Co ciekawe, zwłaszcza w kontekście kokainy, ze stu milionów dolarów ze sprzedaży tej broni aż czterdzieści osiem popłynęło do sił Contras. Pomimo że kilku członków gabinetu Reagana zostało postawionych w stan oskarżenia, żaden z nich nie został skazany.

18 Szefowie CIA: George H. W. Bush 1976–1977; Stansfield Turner 1977–1981; William J. Casey 1981–1987

19 Freedom of Information Act – ustawa z 1966 roku z poprawkami z 1999 roku, umożliwiająca wgląd obywatela do informacji posiadanych przez rząd USA wykorzystywana przez instytucje i organizacje w celu ujawnienia często tajnych dokumentów rządowych.

20 FARC: FARC–EP (hiszp. Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – Ejército del Pueblo, pol. Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii – Armia Ludowa) – najstarsza, największa i o największym potencjale kolumbijska grupa partyzancka,

która została utworzona w 1964 roku, pierwotnie jako zbrojne skrzydło Kolumbijskiej Partii Komunistycznej.

21 Największa część z 1,3 miliarda przeznaczonych na pomoc dla Kolumbii, przechwyciła pojedyncza firma, United Technologies, zgarniając 390 milionowy kontrakt na zakup 30 helikopterów Blackhawk. Nasz rząd mógł wybrać o 6 razy tańszą alternatywę, ale zamówił właśnie te maszyny. Inna firma, Textron w nagrodę pocieszenia otrzymała kontrakt na podobną liczbę, bo 33, o wiele tańszych helikopterów Huey II za około 66 milionów dolarów. Powody takiej decyzji mogą być różne, ale warto wspomnieć, że podczas poprzedniej i obecnej kampanii wyborczej United Technologies dołożyła do skrzyni Demokratów i Republikanów kwotę ponad 700 tysięcy dolarów.²

22 „Spooky” – oznacza wzbudzający strach i grozę

23 W Arabii Saudyjskiej kobiety nie mają praw wyborczych, prawa do prowadzenia pojazdów, prawa do opuszczania domu bez „opieki/ochrony” mężczyzny. Ludzi skazuje się na śmierć m. in. za kradzież, nadużywanie narkotyków czy cudzołóstwo, a egzekucje wykonuje się publicznie m. in. przez ścięcie głowy mieczem lub kamienowanie.

24 Według National Archive, Counterintelligence Corps (CIC) armii Stanów Zjednoczonych chroniły Klausego Barbiego po wojnie przed francuskim prokuratorem i pomogły mu dostać się do Ameryki Południowej. Według źródła CIA, Barbie był uwikłany w spisek mający na celu zabójstwo Victora Paz Estenssoro, lewicowego prezydenta Boliwii, który został zmuszony do dymisji i wygnany do Peru. Pomimo tych problemów CIA wciąż publicznie twierdzi, że Agencja nie miała bezpośredniego kontaktu z Barbiem. Publikacja dostępna na: <http://www.archives.gov/iwg/declassified-records/rg-263-cia-records/rg-263-report.html?template=print>

Klaus Barbie and the United States Government, A Report to the Attorney General of the United States, Allan A. Ryan, Jr., U.S. Department of Justice Criminal Division, August 1983, <http://www.justice.gov/criminal/hrsp/archives/1983/08-02-83barbie-rpt.pdf>

25 Augusto José Ramón Pinochet Ugarte – chilijski dyktator i generał, przywódca junty wojskowej w Chile od 1973 roku. W latach 1974 do 1990 pełnił urząd prezydenta. Doszedł do władzy w wyniku wojskowego puczu, odsuwając od władzy Salvadora Allende i zawieszając konstytucję.

26 Mosad – Izraelska Agencja Wywiadowcza

27 Escudaras de la muerte – szwadron śmierci (z hiszp.)

28 Alliance for Progress – Sojusz dla Postępu (z ang.)

29 United Alliance – Zjednoczone Przymierze (z ang.)

30 Nowy Ład (ang. New Deal) – program reform ekonomiczno-społecznych wprowadzonych w USA przez prezydenta Roosevelta w latach 1933–1939. Celem

tych reform było przeciwdziałanie skutkom Wielkiego Kryzysu, który pozostawił miliony Amerykanów bez pracy, w nędzy, a gospodarkę w stanie chaosu. Zwolennicy programu uważali, że zapaść spowodowana została „wewnętrzną” niestabilnością kapitalistycznego rynku oraz że interwencja rządowa jest konieczna do ustabilizowania i usprawnienia gospodarki.

31 The National Security Archive (Archiwum Bezpieczeństwa Narodowego), niezależna pozarządowa organizacja badawcza i biblioteka znajdująca się w Uniwersytecie Geорга Waszyngtona w Waszyngtonie gromadzi i publikuje odtajnione dokumenty zdobyte dzięki ustawie Freedom of Information Act (FOIA).

32 Lyndon B. Johnson, trzydziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych.

33 Dziel i rządź (łac. Divide et impera) – stara i praktyczna zasada rządzenia polegająca na wzniecaniu wewnętrznych konfliktów na podbitych terenach i występowaniu jako rozjemca zwaśnionych stron. Jako pierwsi zastosowali ją Rzymianie na Półwyspie Apenińskim.

34 VNS – Voting News Service – konsorcjum stworzone w 1990 roku przez sześć głównych organizacji medialnych (ABC, CBS, NBC, CNN, FOX, The Associated Press). Jego zadaniem było przedstawić wyniki wyborów prezydenckich tak szybko jak to możliwe, aby poszczególne stacje nie musiały wykonywać sondaży wśród wyborców opuszczających lokale wyborcze.

Spis treści

Podziękowania Przedmowa Część Pierwsza – Głupiec I. Tabula Rasa II. Znajdzisko Część Druga – Imperium Przedmowa I. Sprzeciw II. Miss Liberty III. Kolaborant IV. Kobieta Szpieg V. Wyznawczyni VI. Sojusznik VII. Księżę George VIII. Roszada IX. Spektakl X. Atak XI. Mroczne Przymierze XII. Najemnik XIII. Głupiec XIV. Agenci Imperium XV. Poligony Imperium XVI. Wielka Szachownica XVII. Dzień Sądu XVIII. Król George II XIX. Rozdroże Przypisy Przypisy dolne

